Fantazmaty

tom I

Gunia Hałas Kain Kucenty Kyrcz Jr. Majka
Łukawski Rusnak Sawicki Vizvary
i inni

FANTAZMATY

Tom I

Redaktor prowadzący: Dawid Wiktorski

Redakcja: Magda Brumirska-Zielińska, Anna Grzanek, Karolina Grzeszczak, Katarzyna Kozidrak, Małgorzata Maksymowicz, Aleksandra Miaskowska, Michał Pięta, Zuzanna Pikul, Krzysztof Rudomin, Izabela Ryżek, Łukasz Skoneczny, Magdalena Świerczek-Gryboś, Paulina Tomasik, Dawid Wiktorski

Korekta: Anna Grzanek, Alicja Podkalicka, Kaja Pudełko, Matylda Zatorska
Ilustracja na okładce: Anna Turkiewicz
Ilustracje: „Dzien Walpurgii" Luiza Pożycka, „Błędny Rycerz" Tomasz Ściolny, „Księga Daat" Małgorzata Lewandowska
Projekt typograficzny: Karolina Cisowska, Anna Turkiewicz
Skład i łamanie: This Way Design Kamila Dankowska, www.thisway.design

W pracach nad antologią wzięli także udział:
Recenzenci: Anna Flasza-Szydlik, Ewa Iwaniec, Marcin Knyszyński, Dagmara Trembicka-Brzozowska, Michał Smyk, Klaudia Sowiak, Magdalena Świerczek-Gryboś, Agata Włodarczyk, Emilia Zolska
Weryfikatorzy: Mariusz Flejszar, Marcin Majchrzak, Łukasz Skoneczny, Klaudia Sowiak, Magdalena Świerczek-Gryboś, Joanna Zając,
Marketing: Barbara Kciuk, Dagmara Trembicka-Brzozowska, Michał Smyk, Karolina Sobieszek
Jurorzy: Szymon Góraj, Małgorzata Gwara, Ewa Iwaniec, Beata Mróz, Michał Stonawski
Sekretarz konkursu: Izabela Ryżek
Kontakt: kontakt@fantazmaty.pl lub dawidwiktorski@gmail.com

Wszystkie prawa autorskie zastrzeżone.
ISBN ePub: 978-83-66058-00-2
ISBN mobi: 978-83-66058-02-6
ISBN PDF: 978-83-66058-01-9
ISBN oprawa miękka: 978-83-66058-03-3
ISBN oprawa twarda: 978-83-66058-04-0

Antologia jest bezpłatna i zabrania się pobierania jakichkolwiek opłat za jej udostępnianie. Dozwolone jest dystrybuowanie jej jedynie w całości i w niezmienionej formie, chyba że zostanie udzielona osobna zgoda.

SPIS TREŚCI

Przedmowa 7

Zaproszenie 9

Trupy 11
Paweł Majka

Pod skórą 35
Agnieszka Hałas

Wieczne życie 53
Tomasz Przyłucki

Śnienie 67
Marcin Rusnak

Dzień Walpurgii 111
Ahsan Ridha Hassan

Następna stacja: Katastrofa 123
Piotr Gruchalski

Babie lato 137
Piotr Borlik

Zachwyt 157
Wojciech Gunia

Na podobieństwo 189
Alicja Janusz

Błędny rycerz 209
Andrzej W. Sawicki

Pan Kukiełka 235
Dawid Kain

Ego te absolvo 245
Agnieszka Sudomir

AJAS 22.9.5.12.11.9 259
Jacek Łukawski

Dwie głowy węża 275
Magdalena Kucenty

Księga Daat 309
Anna Szumacher

Drakodoncja stosowana 335
Kamila Dankowska

Rzeczy, które robisz w Łodzi, będąc martwym 357
Istvan Vizvary

Gang Higiena 387
Kazimierz Kyrcz Jr & Michał J. Walczak

I moją głowę też 391
Alicja Tempłowicz

Na obraz i podobieństwo 417
Krzysztof Rewiuk

PRZEDMOWA

Powinienem pewnie napisać, ile pracy kosztowało nas ostatnie jedenaście miesięcy, które zaowocowały stworzeniem pierwszej części antologii. Ile pomocy otrzymaliśmy od osób z zewnątrz, ile wysiłku i dobrej woli włożyła w projekt cała ekipa: redaktorzy, korektorzy, marketingowcy, jurorzy w konkursie, wszyscy inni.

Ale nie napiszę. Napiszę tylko, że jestem dumny ze wszystkich osób, które tworzyły tę antologię – kawał świetnej roboty, naprawdę.

A Wy? Bawcie się dobrze!

Dawid „Fenrir" Wiktorski

ZAPROSZENIE

Fantazmaty przeszły długą drogę – z kilkunastoosobowej ekipy przeistoczyliśmy się w ponad stuosobową grupę. Pracy i planów mamy wiele, a ich realizacja nie byłaby możliwa, gdyby nie zaangażowanie zarówno autorów, jak i całej ekipy.

Jesteśmy projektem non-profit, co oznacza, że współpraca z nami nie przyniesie żadnych wymiernych korzyści finansowych, jedynie doświadczenie, dobrą zabawę i satysfakcję. Jeśli nie jest to dla Ciebie problem i chcesz przyczynić się do powstawania kolejnych antologii lub zbiorów opowiadań, to zapraszamy w nasze szeregi.

Więcej szczegółów na temat antologii znajduje się na naszej stronie internetowej **www.fantazmaty.pl.** Czekamy też na kontakt mailowy.

TRUPY

Paweł Majka

Punkty: drugi i trzeci

Kiedy w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku Obersturmführer SS strzelał sobie w łeb w ziemiance w lesie, którego nazwy nie potrafił prawidłowo wymówić, biliśmy mu brawo. Dorotka zagryzła wąskie wargi, obserwując, jak wychudzony, blady Niemiec przykłada lufę lugera do skroni. Palec o zbyt długo nieprzycinanym paznokciu zbielał, zaciskając się na spuście tak dziwnie, śmiesznie wręcz, jakby nieszczęsny szwab równocześnie wkładał tyle samo wysiłku w próbę oddania strzału i w starania powstrzymania się przed nim.

– On to wszystko sobie wmówił – komentował zachrypniętym, przepełnionym kpiną szeptem Stefan, nasz przewodnik. – Tu nie ma żadnych komunistów, patroli czerwonoarmistów. Żadnych niedobitków AK. Wszyscy odeszli walczyć gdzieś dalej. On siedzi w tym lesie sam, od miesięcy, a od trzech tygodni nie wychodzi z ziemianki. Żre resztki z konserw, sra ze strachu i wszędzie widzi duchy.

O siebie szkop mógł nie dbać, ale broń rozbierał i czyścił dwa razy dziennie z fanatycznym oddaniem. Kiedy więc zmagania o języczek spustu wygrała ta część jego osobowości, która marzyła o szybkiej śmierci, cały mechanizm zadziałał perfekcyjnie. Z lufy buchnął ogień, spopielając część naskórka. Kula przebiła skórę, nawet jej nie zauważając, wgryzła się

w kość, by ją strzaskać, a następnie z pluśnięciem – którego nikt by nie usłyszał, gdyby nie nasze wspomaganie dźwięku – przedrzeć się przez mózg. Z drugiej strony czaszki wyszła w sposób znacznie bardziej widowiskowy. Drzazgi kości rozprysnęły się gwiaździście, a mózg rozbryznął na ścianie w postaci szaro-czerwonych glutów. Krew ubarwiła to wszystko abstrakcyjnym bohomazem.

Biliśmy brawo. Stefan odczekał, aż Niemiec gruchnie czołem w blat prowizorycznego stołu i dopiero wtedy cofnął nas ponownie.

– Teraz się trochę zabawimy – oznajmił.

Miał wszystko wyliczone, co do ułamków sekund. Odczekał, aż palec na spuście przekroczy punkt krytyczny i wtedy wyłączył nasze maskowanie. W ostatnim momencie życia szwab zobaczył wycelowane w siebie obiektywy, nasze turystyczne wyszczerze i może nawet Dorotkę salutującą mu po hitlerowsku. Stefan znów zwolnił dla nas czas samobójcy, byśmy mogli dostrzec błysk zrozumienia w jego oczach. Zmieniliśmy bezpiecznie przeszłość. Tym razem zaczął otwierać usta, by coś powiedzieć. Kula przerwała mu w pół słowa, a może nawet w pół myśli. Potem rozbłysk, piękny, w zwolnionym tempie, rozkwitający niczym kwiat, splunięcie mózgu i krew.

– Zadowoleni? – zapytał Stefan. – No to może punkt trzeci?

Zareagowaliśmy z entuzjazmem.

Błysnęło i nagle znaleźliśmy się w pałacu wzniesionym z piaskowca. Na zewnątrz zapadał zmierzch. Ktoś grał na flecie smętną melodię. Dwie półnagie dziewczyny przebiegły obok nas, chichocząc. Słyszeliśmy fale przyboju szarpiące brzeg w pobliżu. Egzotyczne, mocne i z lekka oszałamiające zapachy drażniły nasze nozdrza. Poczułem, że pocę się pod pachami.

– Kto zamawiał Kleopatrę? – zawołał Stefan, kłaniając się niczym sztukmistrz. – Proszę państwa, oto czas i miejsce zbiórki. Egipt, trzydziesty dziewiąty rok przed naszą erą. Zaraz poprowadzę każdego do jego zamówienia.

Strażnicy, niewolnicy, arystokraci, służba i kapłani mijali nas, niczego nie zauważając. Przenikali przez nasze ciała niczym przez duchy, gdy rozglądaliśmy się po ścianach, na których malunki wydawały się tańczyć

do rytmu szarpanych odblasków pochodni. Stefan wyłączył filtry temperatury, byśmy poczuli ciepło egipskiego wieczoru. Przeniesieni prosto z tonącego w styczniowym śniegu białoruskiego lasu, odczuwaliśmy południowy zmierzch niczym piekielne gorąco. Ktoś westchnął. Pierre, nasz francuski delikacik, zaprotestował słabo.

Dorotka ujęła mnie pod ramię, wbijając mi się w ciało tymi chudymi, długimi palcami.

– Kleopatra? – wyszeptała.

– Nie martw się, mała. Wpisałem cię na Marka Antoniusza.

– Nie chcę Antoniusza. Ciebie chcę. Tylko ciebie.

Nie spodziewałem się niczego innego, jak takiej właśnie gadki. Ledwie dwa tygodnie wcześniej nasi szperacze wyciągnęli ją z Dna. Kiedyś ta śliczna mała obrośnie w tłuszczyk i zmieni się w jedną z orbitalnych suk; zblazowanych dam, które wszystko już widziały. Dołoży wszelkich starań, by zapomnieć o swoim pochodzeniu i zapewne jej się to uda. Będzie patrzyła na ludzi z Dna jak my: z odrobiną żalu, współczucia oraz z całą toną zasłużonego poczucia wyższości. Jednak na razie wciąż była przestraszona, przekonana, że porzucę ją dla jakiejś dawno zmarłej siksy albo jednej z wypindrzonych orbitalek po setkach operacji przekształcających w boginie.

– Jeśli chcesz, możemy machnąć z Kleo trójkącik – zaproponowałem, by ją uspokoić. – I nie bój się. Nie masz czego. Jesteś dla mnie najważniejsza.

Uśmiechnęła się i skinęła głową. Nie osłabiła jednak uścisku. Nie wierzyła mi. A przecież mówiłem prawdę. Nie po to płaciliśmy kolosalne sumy szperaczom za wyszukiwanie nam prawdziwych kobiet na Dnie, by potem porzucać je ot tak. Najpewniej spędzimy z Dorotką parę lat, nim ja się nią znudzę, a ona obrośnie w piórka. Do tego czasu urodzi mi dwoje dzieci, znajdzie pracę i stanie się obywatelką Orbity z punktami za wzbogacenie naszej puli genów. Kiedy Dno wypali się już do cna, a my powrócimy, by odnowić Ziemię, będziemy potrzebowali genetycznej różnorodności.

Dorotka pociągała mnie o wiele bardziej od Kleo, z którą zamierzałem przespać się wyłącznie z obowiązku. Widziałem filmiki z jej udziałem,

każdy turysta przywoził takie z wycieczek. ToE dbało o automatyczny zapis naszych przygód. Kleo nie zrobiła na mnie wielkiego wrażenia. Niewysoka, o kwadratowej szczęce i z nosem, który wcale nie wydawał mi się pełen uroku, właściwie mnie nie pociągała. Piersi miała niewielkie, biodra zbyt szerokie. A w dodatku wolałem blondynki o bladej skórze i niebieskich oczach, takie jak Dorotka. Jeśli jednak człowiek chce należeć do elity, nie może nie zaliczyć Kleopatry. Chłopaki śmialiby się ze mnie do końca świata. Może nie była w moim typie, cuchnęła paskudną mieszanką starożytnych perfum, ale należała do kobiet-symboli, które należało sobie wziąć. Jak Marylin, Nefretete, Elżbietę I czy Marlenę Dietrich.

W tym punkcie wycieczki przeżywaliśmy indywidualne przygody. Stefan zwielokrotnił się, by obsłużyć wszystkich równocześnie i porozrzucał turystów wedle zamówień. Pierre, o ile wiem, znów przeskoczył przelecieć Józefinę. My z Dorotką powędrowaliśmy między posągami bogów ku sypialni Kleopatry.

– Macie pół godziny – tłumaczył nam Stefan. Zwykle stanowiło jeden z niepotrzebnych obowiązków, ale tym razem towarzyszyła mi Dorotka, nigdy dotąd nie skacząca w czasie. – Jesteśmy przesunięci w fazie, więc nikt nas nie widzi ani nie jest w stanie dotknąć. Kiedy potraktuję Kleo oswobadzaczem, czasomaty automatycznie przesuną ją do naszej fazy.

– Zobaczy nas? – pisnęła Dorotka.

– Tak i nie. Oswobadzacz programuje umysły trupów wedle naszych potrzeb, ale potem kasuje zapis wydarzeń. Więc Kleo zobaczy was i będzie z ochotą wykonywać wasze polecenia, lecz nic z tego nie zapamięta. Pół godziny, pamiętajcie. Potem czasomaty automatycznie usuną ją z naszej fazy, a was teleportują do punktu zbiórki przed pałacem. No, jesteśmy na miejscu. Dobrej zabawy!

Zniknął. Nigdy nie wiedziałem, czy przewodnicy w takich chwilach przeskakiwali do wybranych przez siebie trupów, czy też zamykali się w temporalnych bańkach, by obserwować wszystkich uczestników wycieczki. Wprawdzie nic nie groziło nam ze strony tubylców, ale procedury potrafiły być bezwzględne.

– Robiłeś to już kiedyś? – zapytała szeptem Dorotka.

– Z Kleo nigdy.

– A z innymi… przeszłymi?

– Z trupami? Opowiem ci kiedy indziej. Teraz nie marnujmy czasu. Nasza oblubienica się budzi. Już ją przeniosło do nas.

Spojrzeliśmy w głębokie, ciemne oczy królowej Egiptu, a potem wzięliśmy ją sobie, odhaczając trzeci punkt wycieczki. Było mi dobrze. Jak to podczas wakacji.

Punkt czwarty

Po seksie z trupami najlepsza jest kolacyjka w Konstantynopolu z widokiem na turecką flotę płonącą w greckim ogniu. Przygotowano dla nas taras jednego z pałaców, z którego rozciągał się wspaniały widok na zatokę. Specjalnie nie wybraliśmy czasu upadku cesarstwa, nie chcieliśmy psuć sobie nastrojów. Na wpół leżąc, zajadaliśmy się winogronami o smaku gorącego południa, popijaliśmy wino słodsze od ust naszych kochanków i wspominaliśmy zaliczone trupy.

Nie wszyscy potrafili odnaleźć się w nastroju. Na przykład Dorotka wydawała się roztrzęsiona.

– To było wstrętne! – mamrotała, niestety na tyle wyraźnie i głośno, że usłyszał ją odpoczywający blisko nas Pierre. – To przecież gwałt! Zgwałciliśmy ją! Zgwałciliśmy Kleopatrę!

– Józefina oddaje mi się dobrowolnie – pochwalił się Francuz. – Wydaje mi się, że nawet mnie rozpoznaje.

Tylko prychnąłem.

– Nie, poważnie! – zawołał z przejęciem. – Skąd wiemy, czy jakieś cienie naszych wizyt nie zostają w ich podświadomości? Może jesteśmy dla nich jak sny?

– Nie zostają po nas nawet sny – zaprotestował Stefan. – ToE gwarantuje, że stosowane programy i tresury chemiczne całkowicie eliminują wspomnienia trupów. Pani Doroto – uśmiechnął się promiennie do mojej dziewczyny – nie można nazwać gwałtem czegoś, czego oficjalnie nie było. Żaden z trupów tego nie pamięta. Żadna kronika o tym nie wspomina.

– A może te wszystkie opowieści o spółkowaniu z bogami to właśnie efekty naszych wizyt? – nie ustępował Pierre.

– Absolutnie nie! – Uśmiech Stefana stał się nieco chłodniejszy. – Jeśli pan sobie życzy, udostępnię panu wszelkie szczegóły techniczne i procedury ToE. Nie pozostaje po nas najmniejszy ślad w historii. Dbamy o to równie mocno, jak o satysfakcję naszych klientów.

Odszedł prędko, by zagadać do parki, która wróciła z wizyty u Szekspira. Odziani na czarno, opierali się teraz o złoconą balustradę tarasu, obserwując płonące okręty i węże ognia spływające ku nim bezlitośnie z murów. Przewodnik poklepał mężczyznę po ramieniu, kobietę zaś objął na wysokości biodra. Oboje należeli do starych orbitali, mógł pozwolić sobie z nimi na więcej. Może zresztą byli jego stałymi klientami.

– To, że Kleopatra niczego nie pamięta, nic nie zmienia – upierała się Dorotka. – To był gwałt.

– Gwałt zakłada opór. Przecież widziałaś, jak chętnie reagowała. Pod koniec nawet przejęła inicjatywę!

– To przez chemiczne uwarunkowania! To nic nie zmienia. Nawet gdybyśmy pojawili się przed nią jako bogowie i namówili ją do seksu, to też nie byłoby w porządku. Nie miała wyboru. A że nie zapamięta? To nawet gorzej.

– Dylematy z Dna. – Mrugnąłem do Pierre'a, ale tak naprawdę kierowałem tę uwagę do Dorotki, by sprowadzić ją na ziemię.

Kim ona, do diabła, była na Dnie? Zakonnicą? Dno to pokręcone miejsce, w którym etyka oparta na umartwianiu się i odmawianiu sobie wszystkiego dla dobra ludzkości kłóci się z codzienną praktyką. Najwyraźniej Dorotkę ściągnęliśmy do raju zbyt szybko. Nie zdążyła jeszcze zobaczyć, co towarzysze odnowiciele wyprawiają za zamkniętymi drzwiami.

Zacisnęła usta, przymknęła oczy i odwróciła się ode mnie, niby po to, by sięgnąć po owoc granatu. Widziałem jednak po jej napiętych ramionach, że była zła. Przejdzie jej za parę lat. Trupy to trupy. Nikt normalny nie przejmuje się prawami zmarłych setki lat temu. Jedyne, o co dbamy,

to by nie złamać poważnie czasu i nie zmienić historii. Choć tak naprawdę nikt nie wie, jakie mogłyby być tego konsekwencje.

– A jednak jest w tym trochę racji. – Pierre mnie zaskoczył. – Jasne, trupy nie mają nic do gadania. Ale wykorzystujemy ludzi.

– Proszę poczekać na punkt piąty. Od razu przejdzie panu zamartwianie się prawami martwych dziewczyn.

– Zabiera pan tam swoją panią?

– To najlepsze, co można zrobić po seksie i kolacji.

– Czym właściwie jest punkt piąty? – Dorotka znów przyjęła stały, zalotny ton. – Czytałam przewodnik, wiem, dokąd zmierzamy. I to właściwie bez sensu…

– Samobójstwo tego szkopa ci nie przeszkadzało, kochanie.

– To było coś z dreszczykiem, najmilszy. Wiesz, dotknięcie historii. Zresztą faszysta – wzruszyła ramionami – zasłużył sobie.

– Zasłużył? – powtórzył Pierre. – Jednych trupów pani żal, a innych nie?

– Po pierwsze jemu nic nie zrobiliśmy. Po drugie to faszysta. Niemiec z SS.

– Dorotka pochodzi z tej części Dna, w której ciągle wspominają tamte czasy – uświadomiłem Pierre'owi.

– Ach. – Skinął głową.

– Właśnie, „ach". – Na moment znów się zachmurzyła. Potem wstała, chwyciła mnie za dłoń i pociągnęła ku sobie. – Chodźmy, kochany! Chcę popatrzyć na okręty!

Poddałem się jej chętnie. Miałem dość Pierre'a. Znałem go z dwóch innych wycieczek, podczas których nie wydawał mi się takim nudziarzem. Należał do starych orbitali pochodzących z pierwszej ewakuacji, jak ja. Posiadał nawet wyższą ode mnie klasę oraz zaszeregowanie artystyczne. Oznaczało to, że wolno było mu więcej niż zwyczajnym śmiertelnikom. Ale przecież nie powinien psuć zabawy ludziom, którym wiodło się gorzej. Pewnie spędzał w przeszłości każdy tydzień. Nie musiał ciułać, jak ja, żeby wyskoczyć do trupów podczas wakacji.

Nie byłem więc zachwycony, gdy poszedł za nami. Zająłem pozycję między nim a Dorotką, objąłem ją w pasie, pozwalając dłoni musnąć cu-

dnie twardy pośladek, pięknie rysujący się pod jedwabną suknią. Pocałowałem dziewczynę w szyję.

– Pięknie, prawda? – zamruczałem.

– Pięknie – wyszeptała. Wydawało mi się, że chciałaby powiedzieć coś więcej, ale ugryzła się w język.

– A jednak to trupy zabijające trupy – dopowiedział za nią ten cholerny Pierre. – Jeśli zmieniłby się wiatr, przyniósłby do nas smród płonących ciał.

– Wiatr się nie zmieni – warknąłem, bo zaczynał mi poważnie działać na nerwy.

– Oczywiście, że nie. ToE zna każdą sekundę tego czasu, prawda? Wszystko dla naszego komfortu.

– Skoro tak się panu tu nie podoba – odezwała się Dorotka zaczepnie – to po co pan tu przyjechał?

Być może powiedziała to tylko po to, by pokazać, że jest po mojej stronie. Ale i tak byłem z niej zadowolony. Uścisnąłem ją mocniej i przyjąłem pocałunek w policzek.

– Właśnie, Pierre. Po co pan się włóczy między tymi wszystkimi trupami, jeśli tak pana to wszystko mierzi?

– Sam nie wiem. – Upił wina, po czym odłożył puchar na tacę podstawioną przez jednego z usługujących nam trupów. – Może to moja ostatnia wycieczka? Zaczynam postrzegać te podróże inaczej. Wiecie państwo, że ci na Dnie krytykują nas także i za nie? Twierdzą, że to ostateczny dowód naszej dekadencji.

– Wiem. – Dorotka posmutniała.

– Och, najmocniej panią przepraszam – zreflektował się. – W najmniejszym stopniu nie chciałem pani urazić. Głupiec ze mnie! Widzą państwo, tak się zwykle nakręcam, że zapominam o manierach. A nawet o całym świecie. – Machnął ręką. – Nie rozmawiajmy już o tym! Zresztą, to brednie. Oni wymierają, my niesiemy nadzieję. Macie państwo rację, lepiej cieszyć się pięknymi widokami, jakie oferuje nam wojna.

Punkt piąty

Nie dotykały nas krople deszczu, nasze buty nie grzęzły w błocie i nie było nam zimno, gdy staliśmy na wielkim, niczyim polu we mgle i ulewie. Ziemia zmieniła się w grzęzawisko porozrywane kraterami po wybuchach. Gdyby spojrzeć pod nogi albo przykucnąć i zanurzyć dłoń w błocie, dałoby się pewnie łatwo odnaleźć ludzkie kości, a może i świeże zwłoki.

– Paskudne miejsce – szepnęła Dorotka, znów tuląc się do mnie. – Po co tu przyjechaliśmy?

– Jest trzeci marca. – Wskazałem kupę kamieni, ledwie widoczną przez mgłę, jakieś czterysta metrów na lewo od nas. – Tamte ruiny to Douaumont. Już nawet nie pamiętam, w czyich teraz są rękach. Za parę minut zacznie się ostrzał artyleryjski.

– Mówisz, jakbyś już tu był.

– Bo byłem. Dwa, trzy razy. Nie mogę przestać tu wracać. To niezwykłe miejsce.

– Niezwykłe. – Aż się zatrzęsła. – Co my tu robimy, kochanie?

– Patrz.

Stefan, uśmiechając się, otworzył przygotowaną dla nas przez ToE skrzynię. Wyjął z niej pistolety maszynowe i podawał je najbliżej stojącym, by ci przekazali je dalej.

– Stare, dobre thompsony! – wołał, sięgając głębiej po okrągłe magazynki. – Trochę to niezgodne z historią, bo jeszcze nie wprowadzono ich do użytku. Właściwie dopiero je opracowywali. Nieźle oddają klimat epoki, a chodzą jak złoto. Dla tych, którzy nie potrafią się nimi posługiwać, rada: lufą w stronę wroga, proszę szanownych turystów! – Roześmiał się. – A tu każdy oprócz was jest wrogiem. No, gotowi? – Demonstracyjnie spojrzał na zegarek. – Ach. Za piętnaście sekund zaczynają!

Zapomniałem, że Dorotka brała udział w wycieczce pierwszy raz. Gdy zaryczały działa, a pociski z dzikim jazgotem zaczęły przecinać powietrze, by następnie wytworzyć wokół nas fontanny błota, dziewczyna padła na ziemię, zasłaniając głowę rękami.

Pochyliłem się nad nią i pogłaskałem po włosach.

– Wstań! – wrzasnąłem. – Wstawaj! Nic nam nie grozi! Przesunięcie w fazie! Pamiętasz?

Podniosła się zawstydzona. Nie powinna się przejmować, to typowy błąd nowicjusza. Poza tym nikt na nią nie patrzył.

Jakże można było oderwać wzrok od tego pysznego koncertu, pośrodku którego się znaleźliśmy? Najdzikszego widowiska na Ziemi.

Nie wiem, w co celowali artylerzyści, ale wydawało się, że trafiali przede wszystkim w nas. Kolumny ognia rozbłyskiwały między nami, odłamki stali przelatywały, świszcząc upiornie, przez nasze przesunięte w fazie ciała. Dym pokrył wszystko. Zmieszał się z mgłą i przez kilka minut nie widzieliśmy siebie nawzajem. Czułem dłoń Dorotki zaciskającą się na mojej i wydawało mi się, że słyszałem jej krzyk. Musiało to być złudzenie, bo we wszechogarniającym huku nie słyszałem nawet własnego wołania. A wiem, że darłem się z całych sił. Gdy jedna z eksplozji rozkwitła płomieniem w samym środku Dorotki, porwałem dziewczynę w ramiona.

Rozdarta ostrzałem ziemia zapadła się pod nami. Na szczęście pola zabezpieczające ToE zadbały, byśmy opadali łagodnie na dno lejów i by zwały błota nie zakopały nas tam w ciągu chwili. W samym środku piekła pozostaliśmy nieskalani.

Nie od razu zorientowaliśmy się, że kanonada ustała. Wciąż ogłuszeni, przyglądaliśmy się rzedniejącemu dymowi. Kilkoro z nas podjęło próbę wypełznięcia z kraterów zrytych odłamkami pocisków. Obok mnie Dorotka wpatrywała się w wielki, czarny niewypał zanurzony do połowy w błocie. Wyciągnęła dłoń, by go dotknąć, ale natychmiast ją cofnęła.

Cudnie było na nią patrzeć, wśród mgły i dymu Verdun, pośród tego oceanu błota, w ustającym deszczu, tuż przed szturmem. Jeszcze w Konstantynopolu rozpuściła włosy, opadały jej teraz na ramiona w uroczym bezładzie. Żadna ze starych orbitalek nie pozwoliłaby sobie na coś takiego. Półinteligentne wsuwki i szpile uganiały się bez ustanku po ich włosach, dbając o nieskazitelność przypominających abstrakcyjne rzeźby fryzur. Dorotka różniła się od nich niczym pierwszy ciepły powiew wio-

sennego wiatru od wiecznych sopli lodu w grotach Północy, gdzie śnieg nigdy nie topnieje. Była świeża, niewinna, rozkoszna.

Schyliłem się po broń, którą upuściła.

– To dopiero początek – oznajmiłem, podając jej karabin i uśmiechając się, choć chyba jeszcze nie mogła mnie usłyszeć. Ja nie usłyszałem jej, gdy potrząsnęła głową, mówiąc coś, co zapewne miało wyrażać zaskoczenie i niepokój. Położyłem jej palec na ustach.

Dzwoniło mi w uszach, gdy pomagałem Dorotce wydostać się z leja, ale ryk żołnierzy ruszających do szturmu usłyszałem. Tysiące ludzi gnieżdżących się dotąd w ciasnych, wilgotnych okopach, rozwścieczonych i zrozpaczonych, rzuciło się do ataku, zaczynając wrzeszczeć w tej samej chwili.

Od strony ruin odpowiedział im warkot karabinów maszynowych.

– To jest ten moment! – Usłyszeliśmy Stefana, bo nadawał prosto do odbiorników w naszych uszach. – Uwaga, zaraz przesuwamy się wszyscy w fazie dostosowanej do tubylców. Niech się państwo nie martwią, wasze ciała są chronione przez pola ToE. Pociski będą się od nich odbijać. Ale wy… Och, wy możecie zaszaleć!

– Mamy do nich strzelać? – zrozumiała Dorotka.

– Pani u nas po raz pierwszy, prawda? – Stefan wyszczerzył się do niej. – Proszę się nie martwić! Pani jest bezpieczna, a my nie łamiemy czasu. Tutaj zginęło jakieś siedemset tysięcy ludzi! Szansa, że trafi pani trupa, który miał przeżyć, jest niewielka. A wszelkie ślady zmiecie następny ostrzał artyleryjski. Oni na pewnym etapie nie szukali już nawet ciał. Mielili je artylerią!

– Kochanie? – Spojrzała na mnie. Oczy miała pełne łez. Uświadomiłem sobie, że może zabieranie jej pod Verdun podczas pierwszej wycieczki mogło nie być tak dobrym pomysłem, jak sądziłem. Ci z Dna niby byli przyzwyczajeni do wojny i śmierci, ale nie od razu łapali nasze standardy. Niełatwo im przestać patrzeć na trupy jak na ludzi.

– Możesz strzelać tylko do Niemców – zaproponowałem. – Patrz, zbliżają się!

Pędził na nas tłum wrzeszczących mężczyzn w brudnych, czasem zakrwawionych mundurach. Musiał ich zaskoczyć nasz widok. Niektórzy krzyczeli, żebyśmy zabierali stąd w cholerę swoje cywilne dupska, innym było wszystko jedno, kogo zabiją. Wystrzelona zza naszych pleców seria z karabinu maszynowego zagrzechotała o pola ochronne. Zaiskrzyło błękitnymi wyładowaniami, a nas otoczyła delikatna poświata. Na jej widok kilku atakujących zatrzymało się. Stefan zdjął ich jedną serią. Wypruł w nieszczęśników pełny magazynek.

– Żadnych świadków! – zawołał wesoło.

Dorotka znów upuściła broń. Trudno, za pierwszym razem nie każdy rozumie, jak cudowną zabawą jest strzelanie do tych wszystkich martwych głupców. Że nie sposób bez takiego spalenia stresu zapomnieć o zamknięciu w orbitującej wokół Ziemi puszce i powszednim odwalaniu obowiązków. A wszystko w cieniu myśli, że ledwie osiągnie się pięćdziesiąty rok życia, trzeba będzie dać się zamrozić w nadziei, że kiedyś wreszcie nadejdzie wyśniona przyszłość.

Zakląłem i uniosłem lufę thompsona. Nie przyjechałem tu, by się zamartwiać swoim zwyczajnym życiem, ale by o nim zapomnieć. Choć na jakiś czas.

Nie wystrzeliłem ani razu.

Dorotka dopadła do mnie. Przytuliła się, kładąc równocześnie dłoń na lufie mojej broni. Nacisnęła.

– Co ty wyrabiasz, do cholery?

Wykorzystała chwilę, kiedy obróciłem ku niej twarz, wspięła się na palce i pocałowała mnie. Mocno, właściwie boleśnie, bardziej z gniewem niż z pożądaniem. I zanim się zorientowałem, staliśmy tak pomiędzy mordującymi się ludźmi. Ostrza bagnetów i pociski zgrzytały o nasze pola. Rozpryski krwi wybuchały wokoło w dzikim tańcu, trupy szarżowały na nas, odbijały się od pól, ginęły od kul i ostrzy. A my nie widzieliśmy tego wszystkiego: pośród śmierci i brudu całowaliśmy się, aż odgłosy bitwy ucichły, a odbiorniki w naszych uszach zabrzmiały głosem Stefana, obwieszczając, że już czas.

– Jesteś na mnie zły? – zapytała cicho, nim zniknęliśmy ostatecznie spod Verdun.

– Przeciwnie. Dziękuję ci. To był świetny pomysł.

– Pomysł… Tak.

Punkt szósty

Wszystko naokoło było zielone i świeże. I wzgórza przesłaniające horyzont, i wszechobecna trawa, i nawet winda do nieba z logiem ToE wymalowanym nieco ciemniejszą zielenią. Ludzie gratulowali sobie udanej wycieczki, śmiali się. Parka, która podziwiała płonące okręty w Konstantynopolu, teraz obściskiwała się zawzięcie. Pierre milczał. Wciąż trzymał w ręce swojego thompsona, choć większość z nas oddała już broń Stefanowi.

– Pięknie tu. – Dorotka najwyraźniej nie zamierzała puszczać mojej dłoni, co bardzo mi odpowiadało. – Gdzie jesteśmy?

– Tam, gdzie wylądowaliśmy na początku. Tyle że wtedy nie wyszliśmy z windy, więc nie widziałaś… To Afryka, jakieś dziesięć tysięcy lat przed naszą erą. Bezpieczne miejsce do lądowania.

Teoretycznie windy mogłyby lądować i w centrum Londynu, jednak przesuwanie w fazie tylu ton sprzętu kosztowałoby majątek. Dlatego, gdy wypluwają nas orbitalne doki, cofamy się w czasie jeszcze przed osiągnięciem atmosfery i lądujemy na jakimś przyjemnym odludziu. Na orbicie jesteśmy dla Dna praktycznie nieosiągalni, ale bliżej Ziemi mogliby już próbować zrobić nam krzywdę. Na pewno podjęliby starania. Te krwiożercze sukinsyny nienawidzą nas najbardziej na świecie. W każdym razie o ile nie mają szczęścia i nie zostaną zwerbowani przez szperaczy.

– Za moich czasów Afryka to piekło. – Dorotka westchnęła.

– Za naszych czasów cała Ziemia to piekło. Ale ty, maleńka, masz szczęście. Zabraliśmy cię do raju.

– Proszę państwa, koniec wycieczki! – Stefan biegał między nami, rozdając arkusze ewaluacyjne do wypełnienia. – Jeszcze tylko parę minut na świeżym powietrzu i wracamy do naszego cudownego świata nowoczesnych technologii. Do nieba! Oczywiście państwa nastroje były cały czas monitorowane, niemniej proszę o wypełnienie tych króciutkich ankiet. Wiecie państwo… – akurat przechodził obok mnie, mrugnął

porozumiewawczo – …biurokracja. Mam nadzieję… Co ja mówię! Wiem, że się państwu podobało! Proszę zapoznać się z innymi ofertami turystycznymi ToE i nie zwlekać z kolejnym wyjazdem! ToE oferuje Ziemię w lepszych czasach i emocje, jakich nie da państwu nikt inny! Przede wszystkim nasze doświadczenia są autentyczne, a nie generowane przez wszczepy firmy, której nazwy nie ma sensu tu wymieniać. Dziękuję, dziękuję… Bardzo się cieszę, że mogłem z wami przeżyć to wszystko. Mówię to każdemu, ale wam mówię to szczerze. Rzadko trafia mi się taka wspaniała grupa. Ileż emocji! Ileż inicjatywy! Ten pocałunek w samym środku bitwy… Brawa! Brawa!

Na koniec stanął przed Pierre'em. Wyciągnął ku niemu dłoń z ankietą.

– Pan bawił się osobliwie – oznajmił, wciąż się uśmiechając. – Ale nasza dewiza to wolność doznań. Pan zresztą jest artystą… Zechce mi pan oddać rozpylacz?

– Proszę?

– Ach, prawda! – Stefan uderzył się dłonią w czoło. – Użyłem slangu! Proszę wybaczyć, człowiek bez końca szlaja się po rozmaitych epokach… Chodzi mi o broń. Muszę ją spisać i zwrócić do magazynu. Wie pan, zużycie amunicji, taka tam papierkowa robota.

– Ze mną nie będzie miał pan wiele pracy. – Pierre zważył thompsona w dłoniach. – Do tej pory nie wystrzeliłem ani razu.

– No cóż… Tak to bywa z artystami. Patrzą państwo na świat inaczej. Czy mogę prosić?

– Nie – mruknął Pierre jakby z zastanowieniem. – Chyba nie.

Uniósł broń gwałtownym szarpnięciem i po raz pierwszy podczas naszej wycieczki nacisnął spust. Widać było, że miał wprawę. Thompson szarpnął mu się w dłoniach, ale nie podskoczył gwałtownie. Pierre nie opróżnił też całego magazynka, strzelając do Stefana. Zużył może pięć kul, by rozerwać naszemu przewodnikowi pierś. Pola ochronne nie zadziałały. Nasze indywidualne zostały wyłączone, bo przed ewentualnym atakiem z zewnątrz broniło nas pole windy.

Nikt nie wpadł na to, że możemy atakować się nawzajem. Wprawdzie procedury przewidywały, że ochroniarze powinni odebrać turystom broń

natychmiast po powrocie, ale – znałem to z własnego doświadczenia – ludzie i instytucje przymykają oko na drobne niedopatrzenia, jeśli mogą na nich zaoszczędzić. Po co wysyłać gromadę ochroniarzy, jeśli całą windę, będącą równocześnie promem kosmicznym i wehikułem czasu, może obsłużyć jeden człowiek wspomagany przez najnowocześniejszą automatykę?

Przecież orbiciarze nie walczą między sobą. Jesteśmy na to zbyt cwani.

Pomaga, że mamy wspólnego wroga, a mordercze instynkty karmimy podczas wycieczek w przeszłość.

– I jak?! – zawołał Pierre, nie opuszczając broni. – Podoba się wycieczka? No to do windy, już!

Orbital, który chyba był stałym klientem, jeszcze nie rozumiał. Ruszył ku artyście, próbując przemówić mu do rozsądku. Skończył z na wpół odstrzeloną głową. Dzięki temu miałem okazję zobaczyć, jak starej orbitalce puszczają nerwy. Zaczęła wrzeszczeć, przypadła do ciała mężczyzny wstrząsanego jeszcze ostatnimi drgawkami.

– Ta pani zostaje. – Pierre się roześmiał. – Reszta do windy! Już! Chyba że też chcecie zakosztować życia w Afryce dwanaście tysięcy lat temu.

Nie chcieliśmy.

Nazywamy nasz prom windą, ponieważ podróżuje niemal wyłącznie w pionie, rzadko zdarza się, by musiał latać po orbicie. Wystrzeliwuje się go ze stacji, zwykle nad Afrykę, a on przenosi się w czasie do chwili, gdy akurat kontynent ten będzie usłużnie zalegał pod nim w odpowiednio zamierzchłej epoce. Wtedy ląduje. Potem przenosi w czasie pasażerów i teleportuje ich we właściwe miejsca. Tak naprawdę to przede wszystkim wielki generator z miejscami dla pasażerów. Niemniej, jeśli potrzeba, potrafi też, od biedy, naprawdę latać. Byle nie w atmosferze.

Dlatego bałem się, że Pierre pozabija nas wszystkich, gdy już posadził nas na fotelach i unieruchomił w nich odpowiednio przeprogramowanymi pasami. Sam zajął stanowisko pilota. Winda, z jakichś powodów, słuchała jego poleceń i podnosiła się ociężale. Zamiast jednak wzbić się na orbitę, uniosła się ledwie kilkadziesiąt metrów nad ziemię i podjęła próbę lotu w atmosferze.

– Zabijesz nas, durniu! – Nie wytrzymałem, gdy opadliśmy gwałtownie, omal się nie rozbijając.

– Może tak, może nie. – Pierre wyszczerzył się szaleńczo, obracając ku mnie głowę. – Tu nie wylądуję. Tu jest radioaktywna pustynia.

– Teraz?

– Za dwanaście tysięcy lat.

Zaklął, bo ledwie się wznieśliśmy, znowu opadliśmy.

Szaleniec!

– Proszę wylecieć na orbitę – poparła mnie Dorotka. Przemawiała znacznie spokojniejszym głosem niż ja. – Jeśli robi pan to, co myślę, to przecież wystarczy tam poczekać, aż Ziemia się obróci.

– Na orbicie odpala się automatyczny przeskok! – zawołał. – Tego nie obszedłem. No nic, módlcie się!

Przez trzy godziny nie tyle lecieliśmy, ile unikaliśmy katastrofy. Chwilami traciłem przytomność. Zwymiotowałem też wszystko, co zjadłem podczas podróży. Ale w końcu wylądowaliśmy.

– Rzym – wybełkotał Pierre. Jemu podróż także dała w kość. – A teraz uwaga…

Błysk.

Punkt siódmy

Wpakowali mnie do celi z innymi mężczyznami. Kobiety zabrali gdzieś indziej. Nie było jak usiąść, staliśmy więc wciśnięci jeden obok drugiego, nadzy, bo obdarto nas z odzienia. Po kilku godzinach nabrałem pewności, że zemdlałbym i upadł, gdyby towarzysze nie podtrzymywali mnie mimowolnie. Możliwe, że faktycznie mdlałem, nie pamiętam. Ale stałem, bo inaczej się nie dało.

Dno w dwa tysiące osiemdziesiątym siódmym oferowało mi mniej miejsca niż stacja na orbicie. A tam, w raju, było naprawdę ciasno.

Nic dziwnego, że kiedy dwaj strażnicy wyciągnęli mnie w końcu z celi, natychmiast upadłem. Kopnęli mnie kilka razy dla rozgrzewki, a potem chwycili pod ramiona i zaciągnęli do sali przesłuchań.

– Siadaj – polecił wcale nie lepiej od nich wyglądający śledczy.

Miał na sobie byle jaką szarą koszulę, zwyczajne spodnie, strzęp krawata. Nic nie przypominało munduru. Siedział za stołem przykrytym ceratą pełną dziur wypalonych papierosami.

Strażnicy cisnęli mnie na taboret. Oczywiście spadłem z niego. Boleśnie, obtłukłem sobie dłonie i łokcie. Ponownie zarobiłem parę kopniaków, znów mnie podnieśli i posadzili. Tym razem pomogli mi się utrzymać na taborecie.

– Już siedzisz? – Śledczy zapalił papierosa. Zdaje się, że odpalał jednego od drugiego, ponieważ popielniczka była pełna petów. – Dobra. Personalia znamy. Adam Brondziuch. Orbitalny skurwiel, lat dwadzieścia osiem, urzędas drugiego stopnia. Myślałeś, że zostały ci jeszcze dwadzieścia dwa lata życia, co? – Nie czekał na moją odpowiedź. – Możliwe, że zostało ci parę godzin. Może więcej, jeśli mnie zadowolisz.

Próbowałem coś powiedzieć, ale zbyt zaschło mi w gardle. Wydałem z siebie ledwie parę ochrypłych pomruków.

Zrozumiał.

– Przepłuczcie tej mendzie gardło – polecił. – Pij, pij, kutasie!

Nie przestawał mówić, gdy strażnicy poili mnie wodą z metalowego kubka naznaczonego kilkunastoma czarnymi śladami obić. On zasypywał mnie typową propagandą Dna, oni zachowywali się tak, jakby pojenie mnie miało stanowić jeszcze jedną torturę. Jeden odchylił mi głowę do tyłu i siłą rozwarł szczęki. Drugi wlewał mi kolejne łyki prosto w gardło. W efekcie zakrztusiłem się i szarpnąłem.

– Dajcie mu przepłukać usta! – wrzasnął na nich śledczy. – Durnie! No, dobrze. To jak, gnoju, możesz mówić?

– Czego ode mnie chcecie? Zeznań?

– Zeznań? – Roześmiał się. – Patrzcie go, jaki się czuje ważny! A co ty byś miał nam zeznać, łazęgo? Jak przybijasz pieczątki i na co? Takie rzeczy nas nie interesują. Zresztą, my wszystko wiemy. Co ty myślisz, że nie mamy u was swoich ludzi? Że jak porywacie nam dzieci, to one nic nam potem nie przekazują?

– Niby jak? – wyrwało mi się. Zawsze byłem przekonany, że Orbita wie, jak dbać o swoje interesy i umie strzec się przed szpiegami Dna.

– Nawet twoja niewolnica… – Zerknął do leżących przed nim papierów. – Dorota…

– Nie jest niewolnicą! – żachnąłem się i natychmiast zostałem za to skarcony. Coś tępego uderzyło w moje plecy, a ja oczywiście nie utrzymałem równowagi i gruchnąłem na podłogę. Tym razem częstowano mnie kopniakami znacznie dłużej.

– Już nie jest – upomniał mnie śledczy, gdy znów posadzono mnie na taborecie. – Ale porwali ją wasi, na twoje zlecenie. Zapłaciłeś za nią, tak? A potem gwałciłeś.

– Ja nigdy… – Odruchowo spróbowałem zasłonić się przed ciosem. Żaden jednak na mnie nie spadł.

– No, gadaj. Na razie możesz.

– Nigdy jej nie zgwałciłem! Nie rozumiecie? Ratujemy część z waszych…

Tym razem się nie powstrzymywali. Od ich zapału straciłem przytomność. Uprzejmie odczekali, aż ją odzyskam, a wtedy posadzili mnie na tym przeklętym taborecie, pozwolili upaść, potraktowali paroma kopniakami, do których jednak już się nie przykładali, a potem znowu posadzili i tym razem trzymali, żebym nie spadł.

– Porywacie nasze dzieci – podjął śledczy. – Gwałcicie je, nawet jeśli się nie opierają, bo robicie im pranie mózgu. Bombardujecie nas za każdym razem, gdy podejmujemy próbę rozwoju technologicznego. Cofacie się w czasie, by mordować naszych przodków. To jest wasze życie. To jest twoje życie, zafajdany urzędniku. Masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

– Żebyście mnie skatowali?

– Nikt nie tknie cię palcem. Mów, chcemy usłyszeć.

– Co mam powiedzieć? Rozpieprzyliście system. Pozwalaliście niszczyć Ziemię, a potem wywołaliście rewolucję, bo winą obarczyliście oczywiście tych na górze. Wymordowaliście wszystkie elity, które nie zdążyły uciec.

– Elity, które nas wyzyskiwały przez pokolenia! – Jego zaangażowanie wydało mi się teatralne, jakby na pokaz. Najpewniej całe to przesłuchanie

było nie tylko nagrywane, ale i transmitowane. – Elity, które zniszczyły Ziemię. Wy to zrobiliście.

– Myśmy produkowali, żebyście wy mogli żreć. Bo tym się zajmowaliście, prawda? Jednym wielkim żarciem i narzekaniem na lepszych od siebie.

– Tuczyliście nas jak bydło, prawda! – krzyknął. – I ogłupialiście, żebyśmy się dawali tuczyć.

– Tłumacz sobie, jak chcesz. Byliście bandą tępych analfabetów, szczęśliwych, że mogą żreć, oglądać durne filmy, grać w proste gry i pieprzyć się bez opamiętania.

– Przez was. Ale ocknęliśmy się.

– I zaczęliście rzeź. Przecież wy urządzacie publiczne egzekucje, żeby zabawić gawiedź! Toczycie wojenki i nadajecie z tego telenowele! Z psychopatów robicie celebrytów. Myślisz, że nie wiem, jak u was jest? Myślisz, że ktoś musi porywać wasze dzieci? Modlą się, żeby stąd spieprzyć. Do świata, gdzie średnia życia nie wynosi czterdziestu lat i gdzie nikt ich nie zamorduje dla zabawy. Gdzie mają co jeść i czym oddychać. To chciałeś usłyszeć?

– To chcieliśmy zobaczyć. Twoją butę i brak skruchy. Spójrzcie! – zawołał, obracając się na chwilę ku kamerze za swoimi plecami. – Oto typowy orbital! Będzie zasuwał w pracy do pięćdziesiątki, przez cały czas gardząc nami i żyjąc z naszej krzywdy! Potomek tych, którzy nas niewolili. Potem da się zamrozić. Zamrożą cię, prawda? Żebyś doczekał naszego upadku i wrócił z całymi pokoleniami burżujskich gnojów, by znowu żyć tutaj? Taki jest plan?

– Średnia życia wam spada. Ziemia jest coraz bardziej zanieczyszczona. Praktycznie nie macie elit, które mogłyby was z tego wyciągnąć. Jeszcze sto, może dwieście lat i was nie będzie. Potem będziemy musieli odczekać, by Ziemia się odrodziła. I wrócimy. Tak, taki jest plan.

– I mówisz to tak otwarcie?

– Nadajesz relację na żywo, co? Niech ludzie wiedzą, co ich czeka. Niech wiedzą, że warto się ratować. Szukajcie naszych szperaczy. Najlepsi z was mają szansę.

– Niezupełnie na żywo. – Mrugnął do mnie. – Z minutowym opóźnieniem. Więc ta twoja ostatnia odezwa nie poszła. Zresztą, ludzie wiedzą, że u was wcale nie jest lepiej. A ty, durniu, wierzysz w obietnicę raju po śmierci. Że niby was odmrożą. Wiesz, gdzie lądujecie po zamrożeniu? Spalacie się w atmosferze, bo wystrzeliwują was tu, na Ziemię. To jest wasz raj. Prawie mi cię żal. Żyłeś jako niewolnik i umrzesz jak niewolnik. Bierzcie go. Niech lud wymierzy mu karę.

– Czekaj! – zawołałem. – A Dorotka? A Pierre?

– Nie zasługujesz na odpowiedzi, faszystowska gnido.

Wyciągnęli mnie na zewnątrz, ignorując protesty. Pociągnęli korytarzem, ale nie w stronę celi, lecz w przeciwną. Ktoś otworzył kopniakiem drzwi i wyrzucili mnie na ulicę. Mogłem zobaczyć miasto.

Rzym nie wyglądał jak w czasach świetności. Nikt nie dbał o remontowanie budynków, czy to starożytnych, czy wzniesionych w XXI wieku, jeszcze przed wielką rewolucją i emigracją. Niszczały więc, amatorsko naprawiane. Śledczy miał rację, nie pomagaliśmy Dnu w odbudowie. Zbyt dobrze pamiętaliśmy, jak tłuszcza mordowała naszych rodziców, jak uciekaliśmy przerażeni, pewni, że zaraz nas dopadną. Matka opowiadała mi o tamtych czasach. I o cudach technologii, jakie udało nam się ocalić przed Dnem.

Rzym zamieszkiwało teraz może dwieście tysięcy ludzi – głodnych, tępych analfabetów. Starczało im sił na pracę dla rządu i trochę banalnych rozrywek. Najwyraźniej miałem się stać jedną z nich.

Zaciągnęli mnie pod ścianę jakiejś ruiny i przywiązali do słupa, na którym zostały jeszcze ślady krwi po poprzednim skazańcu. Nie byłem sam. Obok mnie wylądowali prawie wszyscy uczestnicy wycieczki. Prócz tego zdrajcy, Pierre'a. I Dorotki. Może zrobili z niej moją ofiarę? Może od początku współpracowała z Pierre'em? Już się nie dowiem.

Śledczy, bardzo napuszony, odczytał listę naszych win. Tłuszcza wiwatowała. Jakieś dzieciaki ciskały w nas kamieniami. Oberwałem ze dwa razy, ale prawie nie poczułem bólu.

– Szkoda na nich kuli – oznajmił na sam koniec śledczy. – Ludu Odnowy! Synowie i córy Ziemi! Powróz, kula czy stos?

Najlepsze dzieci Dna wybrały oczywiście stos. Przyglądając się, jak obkładają nas suchym drewnem, zastanawiałem się, jak głośno będę wrzeszczał. Nie wierzyłem, że uda im się mnie zabić. Uniosłem głowę i spróbowałem poszukać na niebie lądowników Orbity. Jeśli nie miał przybyć żaden oddział ratowniczy, niech chociaż zbombardują to cholerne miasto. Jakoś sobie poradzę.

Nie dostrzegłem nic. Żadnego śladu ocalenia. Tylko gęstą zawiesinę smogu.

Nawet kiedy podpalali stos, nie wierzyłem, że taki będzie koniec. Zachowałem nadzieję do ostatniej chwili. Później zacząłem wrzeszczeć.

– I jak było? – zapytał Stefan, nachylając swoją obłą gębę nad moją leżanką. – Po minie widzę, że znakomicie. Emocje pierwszego stopnia, co?

Przyznaję, dałem mu wtedy w tę wyszczerzoną mordę. Nie było to uprzejme. Ale, do cholery, dopiero co płonąłem żywcem!

Kto wie, jakby się to skończyło, ale Dorotka dopadła mnie i objęła, jednocześnie dociskając do leżanki oraz odcinając od Stefana i ochroniarzy ToE.

– Nic się nie stało! Nic się nie stało! – wołał przewodnik, podnosząc się z podłogi. – To wszystko wliczone w cenę! Jak się pan czuje?

– Obolały i wkurwiony.

– To wszystko reakcje psychiczne. Naprawdę nie jest pan ranny. No ale rozumiem, szok… Pozwoli pan, że odblokujemy panu pamięć?

– Odblokujecie…?

Nie czekał na pozwolenie. Przytknął jakieś cholerstwo do mojej czaszki. Usłyszałem ciche pstryknięcie i chyba znów na moment straciłem przytomność. Gdy ją odzyskałem, świat wydał mi się jaśniejszy.

– Niech mnie wszyscy diabli! – zawołałem, zrywając się z leżanki. – Niech mnie wszyscy diabli! Ależ perfekcyjne złudzenie!

– Żadne złudzenie – nadął się Stefan. – ToE zapewnia wyłącznie autentyczne przeżycia. Odtworzyliśmy ruiny Rzymu w części Afryki sprzed

dwudziestu tysięcy lat, a wszystkie role grali nasi klienci. Jeśli ma pan ochotę, też może pan zostać następnym razem strażnikiem. Albo katem. Albo, za pewną dopłatą, śledczym.

Kiedy odblokowali mi pamięć, nie czułem potrzeby, by dłużej tam siedzieć, ale kazali mi jeszcze opisać swoje wrażenia i odpowiedzieć na setki pytań. Tak, nie pamiętałem o podpisanej umowie i naprawdę myślałem, że zostaliśmy porwani przez agenta Dna. Tak, zablokowanie pamięci było niezbędne, bym uwierzył w całą tę mistyfikację. Tak, to przeżycie nie mogło równać się z żadnym innym. Nie, nie skorzystam z tej oferty nigdy więcej.

Ostatnia odpowiedź ich zaniepokoiła. Możliwe, że nie byłem pierwszym królikiem doświadczalnym, który jej udzielił.

Uciekliśmy stamtąd z Dorotką jak najszybciej. Chcieliśmy się jeszcze nacieszyć ostatnim dniem mojego urlopu.

– Musiałeś czuć się strasznie – mruczała Dorotka przy kolacji, którą zjedliśmy w piekielnie drogiej restauracji z widokiem na Ziemię. – Wierzyłeś, że cię zabiją.

– Dzięki temu stać mnie było na ciebie, mała. Wynajmowanie szperaczy kosztuje. A jakbym miał czekać w oficjalnej kolejce, pewnie czekałbym do pięćdziesiątki. I nie miałbym kobiet do wyboru.

– To faktycznie zabrzmiało, jakby panowało tu niewolnictwo, wiesz?

– Przepraszam. – Wyciągnąłem dłoń, by ująć jej rękę ponad stolikiem. Uznałem, że tak trzeba. – Wiesz, że tak nie jest.

– Wiem. – Odwzajemniła uścisk. – A ty wiesz, że Ziemia…

– Dno – poprawiłem ją.

– Że… Dno nie wygląda aż tak źle? Jasne, mamy…

– Mają.

– Mają problemy. Zanieczyszczenie jest straszne, a przez brak satelitów i nowoczesnych technologii cofnęliśmy… cofnęli się do dziewiętnastego wieku. I średnia długość życia spada. Ale nie są takimi potworami.

– Wymordowali większość mojej rodziny podczas rewolty. Tylko mamie udało się uciec. Cudem.

– Prawie nikt z tamtych już nie żyje. To byli zdesperowani ludzie, trzydzieści lat temu. I mieli powody do desperacji.

– My też mamy swoje powody. Zrozumiesz.

– Zrozumiem. – Skinęła głową. – Cudowne życie na niebie mi pomoże.

– Właśnie tak. Czekają cię wspaniałe lata. Kiedy tylko urodzisz dwójkę dzieci, zdobędziesz prawa obywatelskie i będziesz mogła zacząć pracować. Po roku pracy, jeśli będzie ci się układać, stać cię na pięć dni urlopu.

– Ale już bez podróży w czasie?

– Te kosztują drożej.

– Miałam na myśli, że są okropne.

– Nie trzeba wybierać trasy mocnych wrażeń, kotku. Można przeskoczyć na Lazurowe Wybrzeże w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku albo do Wenecji w okresie karnawału dowolnego wieku. Wszystko jest w zasięgu ręki. Wszystkie cuda historii służą rozrywce Orbity.

– Jeśli zarabiasz.

– Przy mnie nie musisz się tym martwić, kochanie.

– Nie. Czyli co, pracujesz przez siedem dni w tygodniu, żeby raz w roku na pięć dni wybrać się na urlop. A gdy osiągasz pięćdziesiąty rok życia, zamrażają cię i zamykają w kontenerze?

– Żeby obudzić nas, gdy Ziemia znów będzie zdrowa. Tak. Trafiłaś do raju, maleńka.

– Raj. – Na moment puściła moją dłoń, by sięgnąć po szklankę z winem importowanym z dziewiętnastowiecznych Włoch. Opróżniła ją duszkiem. – Ja to mam szczęście.

POD SKÓRĄ

Agnieszka Hałas

Jazzowa improwizacja snuje się jak dym z papierosa, raz szybciej, raz wolniej, wplatając się pomiędzy odgłosy deptaka: rozmowy, stukanie obcasów, łopot gołębich skrzydeł, warkot aut dobiegający z położonego sto metrów dalej skrzyżowania. Mój klarnet, kupiony z drugiej ręki, nie zawsze brzmi jak należy, ale przypadkowym słuchaczom z ulicy i tak jest wszystko jedno.

Niesiona dźwiękami odlatuję, płynę ponad chodnikiem, ludźmi, ławkami, straganikiem, gdzie dziewczyna w bordowej firmowej bluzce sprzedaje lody, chłopakiem wydmuchującym olbrzymie mydlane bańki ku zachwytowi dzieciarni. Fruniemy w niebo, ja, mój oddech i głos instrumentu, raz łagodny, czysty jak woda, kiedy indziej niższy, chropawy.

Czasem ktoś podchodzi, wrzuca monetę do futerału. Czasem przez chwilę mam wokół siebie grupkę słuchaczy – rejestruję to kątem oka, nie patrzę na ich twarze, żeby mnie nie rozpraszali.

Lądуję zmęczona, kiedy oddech zaczyna się rwać, palce tracą precyzję, a dźwięk instrumentu staje się syczący. Stopniowo powracają wrażenia – chłód (słońce zachodzi, cienie się wydłużyły), ból pleców od długiego stania w jednym miejscu. I natrętne, znajome swędzenie pasożyta ukrytego pod koszulą.

Deptak pustoszeje. Mogłabym stać tu dłużej, aż się ściemni, ale na dzisiaj mam już dosyć, płuca protestują. Wyjmuję monety z futerału. Przez cały dzień uzbierałam jakieś pięćdziesiąt zeta. Niewiele, ale bywało mniej.

Właśnie poczułam, jaka jestem głodna. Śniadanie jadłam rano, teraz dochodzi dwudziesta. Zdejmuję stroik z ustnika, usuwam wyciorem skroploną wilgoć z wnętrza instrumentu i chowam go do futerału.

Niedaleko, w jednej z bocznych uliczek znajdują się delikatesy – kupuję tam kilka bułek, banany i sok, a po namyśle również tabliczkę czekolady. Walczę ze sobą, żeby nie drapać się po swędzącym ramieniu.

Na ulicy przed sklepem pośpiesznie rozpakowuję czekoladę. Oczywiście rozsądniej byłoby dobrać się do bananów i bułek, ale rozsądek jest przereklamowany, a żyje się raz, tak? Pół tabliczki znika nie wiadomo kiedy, słodycz i endorfiny zawsze na propsie. Zawijam resztę w opakowanie, chowam do plecaka, sięgam po telefon. Dwoma kliknięciami wybieram numer Marka.

Marek ma trzydzieści osiem lat, jest programistą świeżo po rozwodzie. Chyba zdążył już zaakceptować swój nowy status singla z odzysku. Mieszka w wynajętym mieszkaniu i płaci alimenty na dwoje dzieci, których zdjęcia wiszą na korkowej tablicy nad biurkiem.

– Co jest z twoim tatuażem? Dostałaś uczulenia? – Dotyka zaczerwienionej skóry wokół kwiatu na moim ramieniu, cofa dłoń.

– To nic takiego. Przejdzie – odpowiadam.

Mała lampka z białym abażurem oświetla plakaty filmowe na ścianie nad łóżkiem – „Terminator", „Sin City", „Fight Club", „Pulp Fiction", „Kill Bill". Lubię sypialnię Marka. Jestem tu trzeci raz. Trzeci i ostatni, chociaż on jeszcze o tym nie wie. Zakłada, że pozostanę słodkim sekrecikiem na lata, do okazjonalnego korzystania bez zobowiązań. Dla mnie najfajniejsza ze wszystkiego jest świadomość, że jutro przed południem opuszczę to mieszkanie, wykasuję numer Marka z telefonu i nigdy więcej się nie

spotkamy, chyba że przypadkiem na ulicy. A wtedy będę udawać, że go nie znam, chociaż to ze mną posmakował rzeczy, na które nie chciała się zgodzić żadna z dotychczasowych partnerek. Marek należy do tych mężczyzn, którzy żyją w grzecznych, waniliowych związkach, mimo że w głębi duszy nie są ani grzeczni, ani waniliowi.

Leży na wznak z uśmiechem zadowolonego kocura. Wiotkie bicepsy, spory brzuch – za mało sportu, za dużo pizzy i piwa. Na siłowni ostatni raz był pewnie jako student. Nie mam nic przeciwko facetom, którzy nie wyglądają jak Chris Hemsworth. Dają mi poczucie, że – wbrew temu co sądzą – przez chwilę należą do mnie bardziej niż ja do nich.

Godzinę później, gdy światło jest już dawno zgaszone, Marek chrapie jednostajnie, a ja leżę z zamkniętymi oczami pod drugą kołdrą, próbując się nie wiercić.

Ramię swędzi. Swędzi i swędzi. Pasożyt rosnący pod skórą nie pozwala o sobie zapomnieć nawet na chwilę. Ze wszystkich sił powstrzymuję się od drapania, bo każde dotknięcie zaognionego miejsca tylko pogarsza sprawę.

W końcu jakimś cudem udaje mi się zasnąć. I po raz kolejny śni mi się koszmar, który znam na pamięć. Jest zima, mam dziewięć, może dziesięć lat. Dostałam jedynkę z dyktanda, jedynkę z matematyki i siedzę na zaśnieżonej ławce przed klatką, drżąc z zimna. Z daleka widzę matkę wracającą z zakupami i wiem, że kiedy tylko mnie zobaczy, zapyta ze złością: „Co ty wyprawiasz, czemu nie idziesz na górę, chcesz się zaziębić?".

A w domu czeka ojciec, który będzie dopytywał, co w szkole. Jasne, mogłabym skłamać, ale po najbliższej wywiadówce i tak wszystko wyjdzie na jaw, więc lepiej się przyznać już teraz. Znieść awanturę, lanie pasem po gołym tyłku i nie płakać zbyt głośno, bo wtedy będzie dodatkowa kara – klęczenie z rękami w górze. A za przedwczesne opuszczenie rąk znowu lanie.

We śnie siedzę na tej cholernej ławce przez całą wieczność, podczas gdy matka idzie z siatkami, idzie i idzie w padającym śniegu, jakby ktoś zapętlił dwa kadry. Raptem dociera do mnie, że przecież jestem dorosła, boso, bez kurtki, w piżamie, zaś ojciec zmarł sześć lat temu. I co ja robię przed klatką bloku, w którym nasza rodzina już od dawna nie mieszka?

A potem uświadamiam sobie, że przez padający śnieg przebłyskują migające niebieskie światła. Widzę karetkę, sanitariuszy w czerwonych kombinezonach z odblaskowymi paskami, nosze… Ktoś wezwał pogotowie. Przyjechali, żeby mnie zabrać.

I wtedy się budzę, i nie mogę już zasnąć aż do świtu.

Rano Marek upiera się, żeby usmażyć mi jajecznicę i zrobić kanapki.

Przy śniadaniu gadamy o głupotach, a w zasadzie to on gada, chyba głównie po to, żeby zabić ciszę. Pyta, jakie mam plany na najbliższe dni. Odpowiadam, że muszę odwiedzić matkę w szpitalu. Z satysfakcją patrzę na jego zaskoczoną minę, a potem dodaję, że szpital znajduje się w Warszawie i za dwie godziny mam pociąg.

– Okej, to może cię odwiozę na dworzec? – pyta.

– Jeżeli to nie kłopot. – Przywołuję na twarz uśmiech numer jeden.

– No co ty, żaden problem.

Mam wrażenie, że chciałby powiedzieć coś jeszcze, ale rezygnuje.

– Dobra – mówi. – To ty wypij herbatę i się pakuj. Wyjeżdżamy za godzinę, żebyś miała czas spokojnie kupić bilet.

Pakuję torbę w przedpokoju, podczas gdy Marek sprząta ze stołu i wstawia naczynia do zmywarki. Wiem, że jego portfel tkwi w wewnętrznej kieszeni kurtki. Mogłabym bez problemu wyjąć kilka banknotów, ale nie robię tego, chociaż nie planuję kontynuować tej znajomości. Pieniędzy zarobionych na deptaku wystarczy mi na podróż do Warszawy.

Dzień jest upalny, pociąg śmierdzi pociągiem, a ludzie ludźmi. Do Wawy docieram wyżęta jak ścierka, w mokrej koszulce, która dziś rano była ostatnią czystą koszulką w mojej torbie. Zostało mi akurat tyle drobnych, żeby kupić na dworcu wodę mineralną i bilety na komunikację miejską. Dojazd tramwajem na Bielany wysysa ze mnie resztki sił i cierpliwości.

Szpitale generalnie działają na ludzi przygnębiająco. Mnie brzydzą. Jestem złą, samolubną kobietą i nie mam cierpliwości ani do bólu, ani do zapaszku wydalin, który przebija przez woń środków odkażających. W zasadzie mogłabym tu nie przychodzić, dziadek i Julia mają wszystko pod kontrolą, a matka i tak mnie nie pozna. Ale powinnam się pożegnać, więc zrobię to.

Odnajduję oddział neurologii. Pielęgniarki popatrują na mnie nieufnie. Mam punkowe ciuchy i ćwiekowaną obrożę, przyszłam tu z torbą i klarnetem w futerale. Ale kiedy pytam o panią Stańczak i mówię, że jestem córką, podają mi numer sali.

Dziadka na szczęście tam nie ma, za to jest Julia. Wymuskana, w pełnym makijażu, opalona jak bogini włoskich plaż i odporna na upał jak jakiś pieprzony cyborg. Zamiera na mój widok, wbija wzrok w posadzkę, moje niepewne „cześć" zawisa w powietrzu. Nie widziałyśmy się od roku i wolałybyśmy się tutaj nie spotkać. Ona jest grzeczną córeczką, skarbem mamusi, podporą we wszystkich nieszczęściach, a ja wyrodnym dzieckiem, czarną owcą, która rozbiła naszą rodzinę, przez którą ojciec trafił do aresztu, a finalnie, zamiast w więzieniu, wylądował półtora metra pod ziemią – zabił go wylew spowodowany stresem, nim jeszcze zapadł prawomocny wyrok.

Matka leży pod kroplówką, bez kontaktu, tak jak mówiły pielęgniarki. Ma żółtawą skórę, zapadnięte policzki, cienie pod oczami, wydaje się dziwnie skurczona. Jest niepodobna do siebie i na pewno wolałaby, żebym jej takiej nie oglądała.

Za późno.

Stoję bez ruchu i patrzę na tę skorupę, wór ze skóry i kości, w którym już nie ma człowieka. Chyba chciałabym, żeby ogarnęły mnie jakieś emocje, żal, złość, cokolwiek, ale jedyne, co do mnie dociera, to jak bardzo jestem tutaj zbędna i nie na miejscu. Niczego nie przyniosłam, ani kwiatów, ani pomarańczy, ani czystej piżamy, niczego, co mogłabym zostawić i udawać, że przynajmniej raz w życiu postarałam się być dobrą córką. Oczywiście ani kwiaty, ani pomarańcze niczego by nie zmieniły, ale liczy się sam gest, prawda?

Julia zerka na mnie. Wyraźnie chce coś powiedzieć, ale potrzebuje chwili, żeby zebrać się na odwagę, czy może raczej – żeby się opanować.

Spoglądam w dół i coś we mnie drga, kiedy widzę, jak nerwowo bawi się guzikiem od mankietu. Jej nienaganny wygląd to tylko fasada, maska. Nawet nie podejrzewa, że znam prawdę – ja w końcu też noszę maskę, tyle że inną.

– Nie musiałaś przyjeżdżać – mówi w końcu.

– Wiem.

– Szkoda, że nie dałaś mi znać. W mieszkaniu jest teraz straszny pierdolnik. Robimy remont, bo sąsiad zalał nam kuchnię…

– Spoko. Mam gdzie przenocować.

Oczy Julii się zwężają. Jej pełna obrzydzenia mina mówi to, czego usta nie wypowiedzą na głos, w każdym razie nie tutaj, nie w szpitalnej sali.

Potem wchodzi dziadek i robi się jeszcze bardziej niezręcznie, temperatura obniża się o jakieś trzydzieści stopni, chociaż nie ma tu klimatyzacji. Mamroczę przeprosiny i mówię, że właściwie to ja już sobie pójdę.

Wychodzę, ale dziadek biegnie za mną. Zaraz za progiem sali chwyta mnie za rękę.

– Nigdzie nie pójdziesz. Co ty sobie wyobrażasz? Twoja matka umiera, a ty…

Wyrywam się, odwracam. Patrzę mu prosto w przekrwione oczy.

– Co ja?

– Szlajasz się gdzieś po Polsce, przynosisz nam wstyd!

– Spoko. Nikt ci nie broni się za mnie wstydzić.

– Jak ty się odzywasz do starszych?

Robi krok do przodu, garbiąc się groźnie, a ja cofam się odruchowo i osłaniam twarz, zanim dociera do mnie, co zrobiłam. Opuszczam rękę. Przechodząca obok pielęgniarka piorunuje nas wzrokiem.

– Proszę państwa, bardzo proszę zachować ciszę albo wyjść.

– Do widzenia – rzucam twardo.

Odwracam się na pięcie i szybkim krokiem idę w kierunku klatki schodowej, bo czekanie na windę mija się z celem. Dziadek zostaje w miejscu.

Nie oglądam się przez ramię, ale czuję jego wzrok na plecach. Gdyby mógł, wypaliłby mi spojrzeniem dziurę w przepoconej koszulce.

Zbiegam po schodach na parter i opuszczam szpital. Na zewnątrz skwar odbiera oddech. Wyjmuję z torby cisowiankę. Jestem praktycznie bez grosza, kanapki od Marka zjadłam w pociągu, żeby się nie zepsuły, mam jeszcze swoje czerstwe bułki i sok. Mogłabym pojechać do centrum, stanąć gdzieś, gdzie przechodzą ludzie, i grać, żeby zarobić chociaż na obiad. Ale jest zbyt gorąco i jestem zbyt zmęczona. Więc po prostu wyciągam telefon i dzwonię do Drake'a.

Drake mieszka w bloku na Służewcu, w klitce odziedziczonej po babci: dwadzieścia metrów kwadratowych, które z pomocą kumpli doprowadził do stanu używalności, bo ostatni prawdziwy remont widziały chyba krótko po zniesieniu stanu wojennego. Odmalowali ściany, zdarli linoleum i położyli płytki oraz tanie panele, wymienili część wyposażenia łazienki. Okna nadal wyglądają jak za późnego Gierka i straszą odłażącą farbą. Kibelek jest nowy, ale wanna to żeliwny zabytek z ciemnymi plamami w miejscach, z których odprysnęła emalia.

Ze znajomościami z netu różnie bywa, ale czasem udaje się fajnie trafić. Drake jest szczupły, ma na piersi wytatuowanego czarnego smoka zachodzącego na prawe ramię i biceps. Skończył technikum, pracuje w markecie budowlanym, hobbystycznie uprawia wspinaczkę skałkową.

Znamy się od dwóch lat. Bywam w Wawie od przypadku do przypadku; jeśli nie muszę, trzymam się z daleka, ale powikłany układ rodzinny oznacza, że czasem trzeba się przełamać i przyjechać, jak teraz, i wtedy korzystam z mety u niego. To facet, u którego mogę nastawić i powiesić pranie, ogolić nogi, a w ramach podziękowania ugotować mu porządną, uczciwą potrawkę z kurczaka. Pozostawiony sam sobie żywi się głównie kanapkami, jajkami na twardo, jogurtem greckim i koktajlami z blendera. Należy do tych strasznych ludzi, którzy piją jarmuż zmiksowany z jabłkiem i bananem, i jeszcze mają czelność twierdzić, że to jest smaczne.

Lubię jego gładką skórę, żyły na grzbietach dłoni, włosy przypominające krótką sierść, twarde, wytrenowane ciało. I to, że nigdy nie pyta, skąd przyjeżdżam, dokąd się wybieram, jakie mam plany na najbliższy tydzień, miesiąc, rok. Kumplujemy się bez zobowiązań: układ znacznie fajniejszy niż koktajl z jarmużem, choć zdecydowanie bez przyszłości, bo ja to ja, a życie to życie.

Na drugi dzień przy śniadaniu mówię mu, że muszę pójść na cmentarz, na grób ojca. Drake sprawia wrażenie zakłopotanego. Nigdy nie opowiadałam mu o sobie ani o mojej rodzinie, bo i po co.

– Słuchaj – mówi. – Właściwie to chciałem z tobą pogadać.

– Tak?

Patrzę na niego pytająco. Ogarniają mnie złe przeczucia. Ramię swędzi jak wściekłe, ze wszystkich sił powstrzymuję się od drapania.

Drake spuszcza wzrok, bierze głębszy oddech.

– Zależy mi na tobie, Klaudia.

Mówi to, patrząc na stół, na pokrojony chleb, słoik z dżemem i otwarte opakowanie jogurtu, nie na mnie.

– Chcę, żebyś została moją dziewczyną. – Podnosi oczy i uśmiecha się niepewnie. – Co o tym sądzisz?

Coś trochę we mnie pęka, kiedy patrzę w te jego ciemne oczy, ale odpowiadam:

– Nie, Drake. Przepraszam, ale nie. Nie ma szans.

Drake milczy chwilę, przetrawiając to, co powiedziałam. Potem prostuje się na krześle, a linia jego żuchwy twardnieje.

– W takim razie zabierz dzisiaj swoje rzeczy i nie wracaj tu już więcej, okej?

I coś pęka we mnie trochę bardziej, ale odpowiadam:

– Okej.

Pójdę na cmentarz. Ale najpierw muszę chociaż odrobinę zarobić, skoro nagle zostałam bez mety i bez kumpla. Stoję w pasażu podziemnym, upał

wyciska ze mnie siódme poty, wilgotne palce zostawiają ślady na instrumencie. Moje improwizacje są wymuszone jak nigdy, a ludzie, cholera jasna, wyczuwają to bezbłędnie, nawet jeśli słoń im nadepnął na ucho. Mało kto okazuje się na tyle współczujący, żeby rzucić mi monetę, nawet kiedy z rezygnacją zaczynam grać melodie popularnych piosenek, myląc się od czasu do czasu. Improwizowanie wychodzi mi znacznie lepiej.

Ciekawi was, jak to właściwie jest z moim wykształceniem? Chodziłam do liceum muzycznego, planowałam zdawać na kierunkowe studia, potem może zrobić podyplomówkę z muzykoterapii… Ale kiedy byłam w trzeciej klasie, pieprznęła afera z ojcem i tyle w temacie. Zawaliłam rok, na powtarzanie klasy patrzono u nas bardzo krzywo, zresztą nie miałam siły nawet o tym myśleć. Kilka dni po osiemnastych urodzinach po prostu spakowałam torbę, zabrałam klarnet i wyszłam z domu, zostawiając na stole list. Matka nie zgłosiła mojego zaginięcia. Uznała, że jestem dorosła i dam sobie radę.

Przerywam grę, żeby napić się wody. W kieszeni zaczyna mi dzwonić komórka, którą na szczęście zdążyłam naładować u Drake'a. Odbieram.

– Nie żyje – mówi ochryple Julia. – Umarła dzisiaj w nocy.

Milczę. Nie wiem, co powiedzieć. Że mi przykro? Nie jest mi przykro. Stoję w rozgrzanym pasażu podziemnym, włosy kleją mi się do karku i chce mi się pić.

– Posłuchaj – odzywa się moja siostra po tak długim wahaniu i tak niepewnie, że natychmiast się spinam. – Nie wiem, jak to przyjmiesz, ale dziadek nie chce, żebyś przychodziła na pogrzeb.

Jak to przyjmę? Nijak. Rozłączam się bez słowa.

Może przyjdę na pogrzeb, może nie. Na razie ramię mi napuchło, zaogniło się brzydko, kontury wytatuowanego kwiatu zgrubiały i stały się nieostre. Swędzenie przeszło w znajomy pulsujący ból. Pasożyt szykuje się do wylezienia na wolność.

Słońce już prawie dotyka horyzontu, ale upał nadal zapiera dech. Powoli idę cmentarną alejką, targając torbę i futerał z klarnetem. Nie będę miała dzisiaj gdzie spać, ale przy tej pogodzie mogę nocować tutaj, pod gołym niebem.

Grób ojca leży daleko na peryferiach cmentarza. Jest niepozorny: bez nagrobka, tylko wzgórek ziemi, duża płaska donica z kwiatami i krzyż, na którym wisi czarna tabliczka z personaliami. Kawałek dalej biegnie asfaltowa szosa, za którą znajdują się kolejno: pas drzew, nieutwardzona droga i park Młociński.

Ramię rwie bólem, opuchnięte i gorące. Ledwo ruszam ręką. Zanim tu przyjechałam, kupiłam w Żabce trochę prowiantu na rano. Nie starczyło mi kasy na żadne leki przeciwbólowe, ale te dostępne bez recepty i tak by nie pomogły – ani aspiryna, ani paracetamol, ani ibuprom. Może poskutkowałaby wódka, choć nigdy mnie nie ciągnęło, żeby to sprawdzać. Moje życie jest już i tak wystarczająco spieprzone.

Dokoła pusto, ani żywej duszy, tylko chmary muszek wirują w czerwonawym świetle, a szosą z rzadka przejeżdżają samochody. Stoję, patrząc na imię i nazwisko na tabliczce – Ryszard Stańczak.

Przypominam sobie, jak miałam osiem, może dziewięć lat i, gdy wracałam zimą ze szkoły, wypatrzyłam kociaka, który płakał w zaśnieżonych krzakach przed wejściem do klatki. Niewiele myśląc, przyniosłam go do mieszkania. Był malutki, czarny z białymi łapkami i kryzą. Ojciec skrzyczał mnie i wyrzucił kota z powrotem na śnieg, a kiedy się rozpłakałam, uderzył mnie pasem. Matka stwierdziła tylko, że miał rację i że mam się nie mazgaić.

Rośliny w donicy ustawionej pod krzyżem wyglądają tak samo, jak tatuaż na moim ramieniu: kwitną na czerwono i mają liście koloru surowego mięsa, lekko przywiędłe, bo upał wysuszył ziemię, w której rosną, na kamień. Koło grobu leży stara plastikowa butelka. Pusta, ale kawałek dalej stoją pojemniki na śmieci pełne zniczy i wiązanek, a zaraz za nimi znajduje się kran. Przynoszę wodę i podlewam kwiaty, które tak naprawdę nie są kwiatami, lecz o tym wiem tylko ja.

Słońce zdążyło już zajść, a ramię z tatuażem przestaje boleć, drętwieje. Nadszedł czas.

Ostrożnie dotykam opuchlizny. Napięta skóra rozłazi się pod palcami jak zetlała tkanina, z rany spływa żółtawa limfa. Zaciskając zęby, wyciągam pasożyta na wierzch: pojedynczy czerwony kwiat, dwa listki, cienki korzonek. Robię wgłębienie w ziemi i sadzę go w donicy obok pięciu pozostałych. Po jednym za każdy rok, który upłynął od śmierci Ryszarda Stańczaka.

Spłukuję dłonie resztą wody z butelki, wycieram chusteczką higieniczną. Drugą, świeżą chusteczkę przykładam do rany na ramieniu, która już zaczęła się zasklepiać. Jak co roku. Do świtu opuchlizna się zmniejszy, a tatuaż, który tak naprawdę nie jest tatuażem, na nowo pojawi się na skórze.

W zapadającym zmierzchu siedzę na trawie wśród grobów i jak co roku zalewa mnie fala wspomnień, których na co dzień do siebie nie dopuszczam.

Myślę o tym, jak wyglądało moje dzieciństwo, o ojcu, który zabierał mnie w soboty do kina i bił pasem za każdy zły stopień albo zbyt późny powrót ze szkoły, kupował prezenty na urodziny i dawał po twarzy za bezczelne odzywki. Julia obrywała znacznie rzadziej, bo była potulna, nigdy nie pyskowała, dziecko cień. Czasem słyszałam, że ode mnie więcej wymagają, bo jestem zdolniejsza. Kiedy indziej matka powtarzała: „Jak ci nie wstyd, patrz, Jula jest trzy lata młodsza, a potrafi się zachować jak należy". I potem dawałam z siebie wszystko, żeby być równie grzeczna.

Kiedy skończyłam czternaście lat, ojciec awansował. Całymi dniami przesiadywał w biurze, w weekendy też. Wieczorami wyjmował z szafy butelkę brandy, a po drugim kieliszku robił się tak ponury i podminowany, że lepiej było go omijać szerokim łukiem. Matka wylądowała na bezrobociu, bo zlikwidowano zakład, w którym przepracowała dwadzieścia lat. Teraz leczyła się na depresję, była ospała, milkliwa, potrafiła przesiedzieć cały dzień w sypialni, patrząc w okno i paląc papierosa za papierosem. Żywiliśmy się głównie garmażerką i jajecznicą, w zlewie ciągle straszyła góra brudnych naczyń, w domu panował chaos, z którym czasem próbowałam coś robić, ale przede wszystkim musiałam się uczyć, ćwiczyć na

klarnecie i fortepianie, bo zostało już postanowione, że mam zdawać do liceum muzycznego.

Wbrew wszystkiemu dostawałam dobre oceny. Ojciec się cieszył, a ja byłam szczęśliwa, że wreszcie jest ze mnie zadowolony. Zaczął też komplementować mój wygląd i zachęcać, żebym wydawała kieszonkowe na ładne drobiazgi: opaski do włosów, zawieszki, kolorowe lakiery do paznokci. Nie miał nic przeciwko temu, żebym się malowała do szkoły.

Potem, ku mojej radości, uznał, że powinnam dostać własny pokój, żeby móc się za zamkniętymi drzwiami uczyć do późna i grać, nie przeszkadzając Julce. Pewnego dnia zrobiliśmy przemeblowanie we trójkę – matka leżała na kanapie, otępiała po lekach. Kilka dni później w nagrodę za dobrą średnią na półrocze dostałam buty, o których od dawna marzyłam, czerwone martensy.

To była sobota. Tej samej nocy, bardzo późno, kiedy matka i Julia już dawno spały, ojciec przyszedł w piżamie do mojego pokoju. Śmierdział brandy, chyba był mocno pijany. Usiadł na podłodze przy łóżku i zaczął szeptać, a ja słuchałam. Że jest samotny, że mu ciężko, że jestem teraz najcenniejszą rzeczą w jego życiu.

W pewnym momencie wsunął się pod kołdrę, a ja nie zaprotestowałam. Wstrzymałam oddech, kiedy delikatnie położył mi dłoń na ustach. „To będzie taki nasz sekret, nie mów nikomu".

Nie powiedziałam. Ani wtedy, ani przez trzy następne lata. Wierzyłam mu, kiedy na przemian nazywał mnie swoim skarbem i groził, że jeśli komuś powiem, oboje pójdziemy do więzienia, mama wyląduje w psychiatryku, a Julia zostanie zupełnie sama. To, co robiliśmy, wydawało mi się trochę dziwne, trochę przerażające i obrzydliwe, a trochę fascynujące, wywołujące rozkoszny dreszcz pod skórą. Byłam posłuszna i spełniałam jego prośby, bo nagle to jemu zależało na czymś, co mogłam mu dać. Jak za sprawą czarów stał się miły, stał się takim ojcem, o jakim zawsze marzyłam. Nie potrafiłam i nie chciałam tego psuć.

Mdlą mnie te wspomnienia. Podchodzą do gardła, chociaż żołądek mam pusty. Przełykam. Na cmentarzu jest już całkiem ciemno, wschodzący księżyc oświetla krzyże i drzewa.

Nagle do moich uszu dobiega szelest. Nie jestem sama. Rozglądam się i po chwili wyławiam wzrokiem ciemniejszą sylwetkę wśród cieni, nadchodzącą powoli od strony lasu.

Nie boję się. Postać wygląda znajomo – domyślam się, kto to.

Podchodzi coraz bliżej – szczupły, w czarnym kaftanie, spod którego wyzierają śnieżnobiałe mankiety i wąska kryza. Muszkieterskie buty stąpają cicho niczym po aksamicie. Łapię oddech na widok znajomej twarzy, nie tyle pięknej, ile intrygującej: trochę męskiej, trochę chłopięcej, z delikatną domieszką kociości.

– Dawno się nie widzieliśmy – mówi Kot-Czort, po czym składa zamaszysty ukłon czarnym kapeluszem.

– Dawno – potwierdzam z drżeniem w sercu, nie dowierzając, że nareszcie znowu go widzę po długiej rozłące. Chciałabym się zwierzyć, jak strasznie tęskniłam, jak bardzo potrzebuję jego obecności, ale nie umiem mówić takich rzeczy. Zresztą Kot na pewno wie, co czuję.

Omiata mnie wzrokiem.

– Widzę, że sobie radzisz – mówi po chwili.

– Tak – potwierdzam, bo nie wiem, co innego powiedzieć.

Uśmiecha się.

– Zapraszam na kolację. Pod warunkiem, że dla mnie zagrasz. Tak jak kiedyś.

– Zagram – mówię, ujmując jego dłoń.

Kot-Czort mieszka w głębi parku Młocińskiego. Pod ziemią, pod korzeniami drzew ma swoją kryjówkę: olbrzymią pieczarę, której istnienia nikt się nie domyśla.

To kraina próchna, nocy i kości. Pod sklepieniem unoszą się błędne ogniki, ściany są powyginane, z góry zwieszają się pęki korzeni i wszędzie widać ciemne wyloty korytarzy. Na posłaniach z futer i jedwabi śpią koty wszystkich maści – bure, czarne, łaciate, rude, białe, szylkretowe. Puszyste i rozkoszne jak na zdjęciach z netu, czasem ziewną leniwie,

powiodą wokół przymrużonym okiem i z powrotem układają się do snu – mroki tego labiryntu to ich raj. To bezdomniaki, które zdechły z głodu, zimna, chorób albo zginęły pod kołami aut.

W sercu labiryntu znajduje się mała okrągła sala, gdzie palą się świece w starych, pozieleniałych od patyny świecznikach. Wchodzę tam na paluszkach, niepewnie. W moje nozdrza uderzają smakowite zapachy. Na stole widzę parujące potrawy, przełykam ślinę.

Kot-Czort zaprasza mnie do stołu, jak przed laty. Z uśmiechem patrzy, jak zajadam pasztet z zająca, pieczoną kaczkę z kluskami, glazurowane buraczki, marynowane gruszki, cosie nadziewane cosiami. Sam tylko obraca w smukłych palcach kieliszek wina.

Poprzednio trafiłam do jego siedziby pierwszej zimy po tym, jak po śmierci ojca porzuciłam rodzinny dom. Przez kilka miesięcy tułałam się po Polsce, a kiedy nadeszły mrozy, wróciłam do Warszawy. Mgliście pamiętam tamten czas – egzystowałam jak w burej mgle, właściwie chyba chciałam przestać istnieć. Sypiałam gdzie popadnie, zwykle w tunelach Dworca Centralnego. Czasem jadłam, czasem nie. Dwa razy stawałam nad torami, kiedy nadjeżdżał pociąg, ale nie miałam dość odwagi, żeby skoczyć.

W połowie grudnia, kiedy zrobiło się naprawdę zimno, zachorowałam: kaszel, gorączka, łamanie w kościach i brak siły na cokolwiek. Koczowałam wtedy w zaśmieconym pustostanie na Bielanach po tym, jak na Centralnym podpadłam ochronie i zaczęli mnie gnębić. Trzeciego czy czwartego dnia dotarło do mnie, że mogę po prostu umrzeć w tej ruderze, zamarznąć pod pozostawionymi przez kogoś brudnymi kołdrami, i znajdą mnie dopiero wiosną.

Nie miałam nic do jedzenia. Padał śnieg, przez wybite okno widziałam wirujące płatki, słyszałam dolatujące z dworu głosy ludzi, okrzyki dzieci zjeżdżających z górki na sankach. Zasnęłam i śniłam, że jestem kimś innym, córką sławnego pianisty, która koncertuje razem z ojcem. Aplauz publiczności sprawił, że zaczęłam płakać na scenie i nie wiedziałam dlaczego.

Kiedy się zbudziłam, zmierzchało, a nade mną pochylał się Kot-Czort. Przedstawił się, dał mi do wypicia coś ciepłego z manierki, a potem pomógł wstać i poprowadził w głąb parku, do jego królestwa.

Zeszliśmy pod ziemię, gdzie czekały gorąca kąpiel, kolacja i miękkie posłanie. Kot powiedział, że kocha muzykę, więc mogę u niego mieszkać aż do wiosny, ale ostrzegł, że istnieje haczyk – w baśniach zawsze tak jest. Im więcej czasu spędzę na dole, tym dłużej muszę później pozostawać na górze, zanim zdołam ponownie odnaleźć drogę do jego krainy.

Nie zastanawiałam się nad tym, tylko z wdzięcznością przyjęłam gościnę.

Pod ziemią czas płynie inaczej – wkrótce nie umiałam już powiedzieć, czy mieszkam tam od tygodnia, czy od miesiąca, czy od roku. Jadłam wykwintne potrawy i głaskałam śpiące koty. Ćwiczyłam na klarnecie, improwizując swoje własne sonaty księżycowe, etiudy bagienne, menuety cmentarne. Kot-Czort czasem zwijał się w kociej postaci obok moich bosych stóp. Kiedy indziej, jako mężczyzna, pił ze mną herbatę z goździkami i miodem, moją ulubioną.

Pewnego razu spytałam, czemu nie mogę u niego zostać na zawsze. Uśmiechnął się smutno i odrzekł, że nie on ustala zasady. Zrozumiałam, że muszę się zadowolić tym, co mi ofiarowano.

Wkrótce potem ocknęłam się na powierzchni, w psychiatryku. Z początku nie pojmowałam, gdzie jestem, co to za łóżka, kraty i ludzie w białych fartuchach; świat wydawał się równie dezorientujący jak film oglądany od połowy i to w obcym języku. Kiedy już byłam w stanie zrozumieć, co do mnie mówią, dowiedziałam się, że zostałam tu przeniesiona z normalnego szpitala, do którego zawiózł mnie patrol straży miejskiej. Na podstawie dowodu osobistego ustalono moją tożsamość i zawiadomiono rodzinę.

Spędziłam na oddziale ponad trzy miesiące. Julia odwiedziła mnie kilkakrotnie, matka tylko raz. Po wypisaniu na krótko trafiłam z powrotem do rodzinnego domu, ale niebawem przestałam brać leki i odeszłam. Bardziej zdeterminowana niż poprzednio i chyba mądrzejsza. Wspomnienia z pobytu pod ziemią dodawały mi sił.

Tak jak powiedział Kot, od tamtej pory radzę sobie. Jakoś. Zjeździłam całą Polskę, pokusiłam się nawet o jeden czy drugi wypad na Słowację. Mam swoją stronę na fejsie, kanał na YouTube, coraz więcej znajomych z różnych miast. Co roku udaje mi się znaleźć kogoś żywego, z krwi i kości,

u kogo można przemieszkać zimę. Wielu samotnych facetów uważa to za niezły układ.

To w siedzibie Kota nauczyłam się grać tak, żeby ludzie rzucali mi pieniądze. Choć sami o tym nie wiedzą, płacą za to, żeby w mojej muzyce na chwilę usłyszeć jego królestwo. Splątane korzenie drzew, ciemność i miękkie futra duchów.

Dziesiątki razy wracałam do Warszawy i błądziłam po parku Młocińskim, szukając pałacu Kota, ale sama nie umiałam tam trafić, choć w księżycowe noce wypatrywałam, czy gdzieś nie mignie mi jego sylwetka w muszkieterskich butach i kapeluszu.

A teraz znów tutaj jestem, lecz tylko na chwilę: rano odejdę, by ocknąć się tam, gdzie zasnęłam, wśród nagrobków i krzyży.

Ale chwilowo nie muszę się tym martwić.

– Zagraj coś – prosi Kot-Czort, więc wyjmuję klarnet z futerału i pozwalam sobie odpłynąć wraz z muzyką w głąb jego złotych oczu, w których mieszkają gwiazdy i kocie upojenie wolnością, wspólne nam obojgu.

Staram się nie pamiętać o tym, że Kot jako jedyny na świecie nie widzi maski, tylko prawdziwą mnie. Tutaj, w jego pałacu, w blasku świec, jestem sobą. Pokraczne, pokurczone stworzenie bez rysów, jak trup wyciągnięty z bagna. Blizny pokrywają całą skórę. Co cię nie zabije, to cię okaleczy.

Miałam siedemnaście lat, kiedy powiedziałam o wszystkim dyrektorce liceum, a ona zgłosiła sprawę na policję. Rozbiłam naszą rodzinę, zadałam matce cios w samo serce, taki wstyd przed krewnymi, znajomymi, sąsiadami, przed całym miastem.

Doskonale wiem, w którym momencie coś we mnie pękło. Julia tego nie pamięta albo nie chce pamiętać. Kiedy skończyła czternaście lat, pewnego dnia zobaczyłam, jak ojciec kładzie jej rękę na pupie i uśmiecha się w sposób, który cholernie dobrze znałam.

– Chciałbym ci pomóc, Klaudio – mówi Kot-Czort, gdy przerywam grę, by złapać oddech. W jego głosie słyszę autentyczną troskę, która sprawia, że zamieram bezradnie. Nikt nie poukłada mi życia na nowo, nawet Kot ze swoim kapeluszem, podziemnym pałacem i magią. On też o tym wie. Złote oczy patrzą na mnie z rezygnacją.

– Pomagasz – mówię. – Dałeś mi schronienie, nakarmiłeś…

On kręci głową.

– Jestem tylko nocnym duchem, opiekunem martwych kotów. Nie potrafię ci ofiarować tego, czego naprawdę potrzebujesz.

Milczę, wpatrując się w klarnet. Zwinięte obok mnie rude kocię mruczy przez sen, wąsy mu drgają, może śni o nagrzanej słońcem trawie, może o polowaniu na myszy.

– Sama mogłabyś sobie pomóc – mówi cicho Kot, odgarniając mi z policzka kosmyk włosów.

– Jak?

– Wiesz jak. To twój wybór. Tylko twój.

Wybór? Przełykam wzbierający w gardle śmiech zmieszany z płaczem. Nie, Kocie. Nie mam żadnego wyboru. Mam tylko blizny, których nikt poza tobą nie widzi, i moje chodnikowe improwizacje jazzowe, warte tyle, ile ludzie wrzucą do futerału.

Podnoszę na niego wzrok i wzruszam ramionami.

Poranne słońce odbija się w szybach wieżowców.

Schodzę do przejścia podziemnego. Część sklepików jest jeszcze pozamykana albo sprzedawcy właśnie podnoszą żaluzje. Facet w odblaskowej kamizelce zgarnia miotłą puszki i papiery. Mijają mnie pierwsi przechodnie, głównie lemingi zmierzające do pracy: mężczyźni z aktówkami, oszczędnie umalowane dziewczyny w koszulowych bluzkach i obcisłych spodniach. Tęga kobieta w fioletowym żakiecie stuka obcasami na cały pasaż i głośno rozmawia przez telefon, dolatuje do mnie urwane zdanie:

– …ale dokumentacja pacjentów musi być aktualna!

Przechodząc obok, omiata mnie spojrzeniem, zawieszając wzrok na tatuażach. Marszczy z dezaprobatą brwi i idzie dalej.

Pogrzeb matki odbędzie się dzisiaj. Jeszcze nie wiem, czy pójdę. To i tak bez znaczenia. Do czerwonego kwiatu na lewym ramieniu dołączył błękitny na prawym. Już czuję delikatne swędzenie, właściwie cień swędzenia, głęboko pod skórą.

W witrynie kiosku z gazetami odbija się moja twarz, maska na spaloną duszę.

Wyjmuję klarnet, stawiam przed sobą otwarty futerał i zaczynam grać.

WIECZNE ŻYCIE

Tomasz Przyłucki

„[...] mówią, że w sumie podoba im się to życie,
ale podobałoby się jeszcze bardziej,
gdyby wiedzieli, że kiedyś się skończy [...]"

Kurt Vonnegut, „Trzęsienie czasu"

– Babciu, boisz się?

– Ależ skąd, Tomeczku. Nie mogę się doczekać!

Babcia była pogodną kobietą, zawsze uprzejmą i cieszącą się każdą minutą życia. Jednocześnie miała raka. Raka wszystkiego. Lekarze mówili, że umrze w ciągu trzech, może sześciu miesięcy, lecz Kostusze nie chciało się machnąć kosą już od blisko dekady. Babcia zaczynała się niecierpliwić.

Staruszce nie mieściło się w głowie, że po uczciwie przeżytym stuleciu łapiduchy wlepili jej wyrok śmierci, który rzeczywistość odraczała z dnia na dzień. Choć z początku dziękowała niebiosom za szelest kolejnych kartek kalendarza, szybko naszły ją wątpliwości. Porzuciła uciążliwe

leczenie, aż w końcu tak zdenerwowała się przedłużonym umieraniem, że postanowiła je przyspieszyć. Wykombinowała, że sprowokuje Kostuchę, urządzając stypę.

Rodzina nie kryła zaskoczenia pomysłem babci, ale nie protestowała – należało w końcu oddać staruszce hołd, by ona oddała rodzince co w spadku należne. Kiedyś Tomek podsłuchał dorosłych i zapytał, czym jest spadek.

– Słyszałeś, jak rozmawialiśmy, prawda? – Tata westchnął. – Spadek to są pieniądze, przedmioty i wszystkie inne rzeczy, które rodzina dostaje po zmarłej osobie.

– To babcia jest zmarłą osobą?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale babcia choruje… – Urwał. – Wszystkie starsze osoby powinny zapisać dzieciom majątek.

Tomek pomyślał sobie, że i tata, gdy tylko się przeziębi, będzie musiał to zrobić.

– A ile tego jest?

– W cholerę – odparł tata, akurat w momencie, gdy mama stanęła za jego plecami.

Zrobiła mu potem awanturę za „jak ty, do diabła, wyrażasz się przy dziecku?!". Tomek oczywiście chłonął każde słowo kłótni.

Na stypie nie zabrakło nikogo. Nawet stryja, który wrócił do kraju niesiony na wierzchu wściekle spienionego tsunami brexitowców. Skoro rodzina była w komplecie, a styposolenizantka czuła się dobrze, bo rak wszystkiego drzemał, impreza musiała się udać. Babcia mówiła, że jest wniebowzięta, lecz Tomek nie widział, żeby anioły lub latające talerze zabrały ją już do nieba – zdawało się, że musi na to jeszcze poczekać. Niemniej wprowadzono kolejne korekty do testamentu umierającej, a potem podano tort – ciemny biszkopt w kształcie trumny, wysmarowany białym jak pościel kremem – i wbito w niego świeczki przypominające gwoździe. Było ich tyle, ile staruszka przeżyła lat. Kiedy przyszło do zdmuchiwania ogników, babcia zrobiła się czerwona z wysiłku, niemal wypluła płuca i sztuczną szczękę, przy czym zachwiała się, a dzielni spadkobiercy musieli ją podtrzymać. Mówiono potem, iż dmuchanie zbliżyło ją do trumny bardziej niż rak wszystkiego.

Tymczasem Tomek chodził do szkoły, w której dowiedział się od nauczycielki (na tyle młodej, by nie mogła mieć pojęcia, o czym mówi), że może liczyć na jej wsparcie w trudnych chwilach. Zastosował się też do rady o regularnym odwiedzaniu terminalnie chorej, co jednocześnie stanowiło doskonałe usprawiedliwienie piątkowych ucieczek z matmy i historii.

– Co się dzieje z ludźmi po śmierci, babciu?

– Przenoszą się do wieczności, a ich ciała składa się pod krzyżem na cmentarzu.

– A gdzie położą ciebie?

Tym niewinnym pytaniem Tomek sprowokował kolejne działanie – seniorka kupiła bowiem odpowiednie miejsce pochówku w części nekropolii przy ślicznym pomniku Najświętszej Panienki. Zaraz po wypełnieniu odpowiednich dokumentów wąsaty dozorca zaprowadził babcię, by pokazać jej to miejsce, choć przeżyła już tyle pogrzebów kolegów i koleżanek, iż orientowała się w rozkładzie cmentarza nie gorzej niż jego opiekun. Kiedy dotarli, kazała mu otworzyć grób. Mężczyzna początkowo pomyślał, że się przesłyszał. Chciał zaprotestować, lecz staruszka konspiracyjnie wysunęła z torebki butelkę nalewki.

– Otwieraj pan.

To był ostatni raz, kiedy musiała cokolwiek powtórzyć dozorcy dwa razy. Zabrał się do roboty i podważył płyty. Babcia z uznaniem kiwnęła głową, ale – o leniwa Kostucho! – się nie przekręciła.

– Czemu nie palniesz sobie w łeb, babciu?

– Bo się diabła boję! Kto w ogóle mówił ci, Tomeczku, o takich sprawach?

– Było w bajkach i komiksach.

– Diabeł jest w tych bajkach. – Staruszka pokręciła głową z zażenowaniem. – Jeszcze ciastek?

– Nie, dziękuję. Muszę iść do domu odrabiać lekcje. Widzimy się ostatni raz, babciu?

– Jak Bozia da.

– To do zobaczenia w niebie!

Kiedy Tomek poszedł już oglądać bajki i czytać komiksy, żeby zobaczyć w nich diabła, o którym nikt nie chciał mu opowiedzieć, babcia wybrała się do zakładu pogrzebowego.

– Witam uprzejmie. Spodziewa się pani umrzeć? – Grabarz zatarł ręce, przywołując na twarz uśmiech agenta reklamy. Ponieważ staruszce od razu spodobał się ten człowiek, prędko przeszli do konkretów.

– Czy babcia jest już zmarłą osobą, tato?

– Oczywiście, że nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Bo chodzi spać na cmentarz.

– O cholera… – Tata zaczął krztusić się obiadem. Na szczęście mama stała za jego plecami, a gdy dotarło do niej, co mąż powiedział przy dziecku, zdzieliła go bez ostrzeżenia tak mocno, że ponownie zobaczył posiłek. Prawdopodobnie uratowała mu życie.

Rodzina protestowała przeciw kolejnym szaleństwom staruszki. Jednak kiedy próbowali zainterweniować, postraszyła ich zmianami w testamencie – z korzyścią dla lokalnej parafii. Starali się więc organizować kobiecie zajęcia w ciągu dnia tak, by odciągać ją od nekropolii. Ona jednak co noc wybierała się na cmentarz i kładła w swojej nowej trumnie, licząc, że sprowokowany atmosferą rak wszystkiego zada śmiertelny cios.

– Jak idzie umieranie, babciu?

– A, do licha, nie idzie! – skarżyła się staruszka.

– To czemu babcia nie pójdzie do tego licha się poskarżyć? – zaciekawił się Tomek.

– Wiesz, wnusiu, to nie jest taki zły pomysł…

Kiedy Tomek wrócił do domu z wątpliwym zamiarem odrabiania lekcji, babcia podreptała na cmentarz, ułożyła się wygodnie w trumnie i zapadła w głęboki sen. Zbudziło ją skrzeczenie.

– E, pani sąsiadko, nie ma pani eteru użyczyć?

– Czego?

– Kowalski, huncwocie jeden, na gości nie naskakuj. Nie widzisz, że pani na chwilkę? Pani wybaczy!

– Wybaczy… aczy… aczy – zawtórowało cmentarne echo.

– Z kim rozmawiam? – zaciekawiła się staruszka.

– Bobocki jestem. Teodor. Szesnasty rząd na wzgórzu, trzy pomniki od Najświętszej Panienki! Wyglancowany na błysk i pochowany w tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym. Kłaniam się i rączki całuję.

– Pochwalony! – ucieszyła się babcia. – A co to jest eter?

– To coś, co Kowalski ciągle wydłubuje sobie przez nos i mu we łbie zaczyna brakować! – dobiegło zza ściany, a zaraz potem dało się słyszeć szmer chichotów.

Eter był tak naprawdę substancją właściwą zmaterializowanym duchom, służącą im do wychodzenia z grobów i załatwiania ziemskich spraw. Każda dusza miała jej ograniczone ilości, tym mniejsze, im więcej czasu upłynęło od śmierci i im więcej doczesnych spraw zostało zamkniętych.

Co prawda można było powiedzieć, że babcia miała w sobie wiele, bo przecież raka wszystkiego, lecz eteru ani trochę. Niemniej duchy na cmentarzu poczuły się zaintrygowane conocnymi odwiedzinami staruszki. Do tego stopnia, że pozakładały się, kim ona jest, i zorganizowały zrzutkę eteru, dzięki któremu mogły porozmawiać z wciąż żyjącą osobą.

– Czemu pani kładzie się w trumnie co noc?

– Bo umieram.

– Ale na cmentarz się idzie dopiero po umieraniu.

– Kiedy ja nie mogę się doczekać!

– Śmierć sama przyjdzie, cierpliwości – uspokajały ją głosy. Jednak lokatorzy cmentarza nie potrafili poradzić niczego na umieranie, choć swego czasu każdy zdał z niego egzamin. Nauka poszła w las, jak mówi porzekadło, albo w piach, co lepiej pasowało do sytuacji. Babcia bardzo się zdenerwowała:

– Banda drętwych idiotów, do ciężkiego licha! – zaklęła.

– Tylko nie ciężkiego, nie ciężkiego! – zaprotestowało Licho, wyłaniając się z grobu chuci i rozpusty pod Najświętszą Panienką.

– Panie Licho, pomóż – poprosiła staruszka.

Niestety Licho, przodownik w zakresie cmentarnych zadań specjalnych, niczego nie potrafiło doradzić. W dodatku miało jeszcze pretensje: „Niech pani nie rozpija nam dozorcy, dobry z niego człowiek, dupy w grobie nie przewraca. Nie daj co, a ducha wyzionie z przepicia i dadzą nam tu w zamian jakiego politycznego…". Ale babcia straciła już cierpliwość:

– Zimne skurczybyki, robakojady, cmentarni wylegiwacze! – rozkrzyczała się, aż opiekun nekropolii strząsnął z siebie pijacki sen i ruszył na obchód. Duchy pochowały się zaraz we własnych kwaterach, a obrażone Licho odfuknęło:

– A idź do diabła, stara babo!

Po czym zapadła grobowa cisza.

Przełamując lęk, babcia udała się do rzeczonego diabła. Nie było łatwo z ustaleniem lokalizacji; przyszło przepraszać Licho, przekazując pewnej jeszcze ciepłej latawicy wiadomość tak lubieżną, że papier spaliłby się ze wstydu, gdyby te słowa na nim zapisano. Wszystko zabrało sporo czasu, jednak staruszka miała go bez limitu.

Diabeł pracował w Instytucie Pamięci Narodowej, gdzie dbał o interesy aktualnego klienta i wiedźmy zaklętej w jego kocie. Babcia zabrała się więc do stolicy pod pretekstem konsultacji medycznej, a towarzyszył jej wtajemniczony we wszystko Tomek.

– Dzień dobry. W czym mogę pomóc? – Pracownik Instytutu ukłonił się, witając babcię i jej wnuczka. Zmierzył spojrzeniem interesantkę, ocenił podług resztki włosów wystających spod chustki i wziął pod uwagę statystyki odwiedzających. Szybko założył, że tak jak większość petentów kobiecina nie ma pojęcia, co powiedzieć, a też niespecjalnie wie, po co przyszła.

– Ten-tego… – wydukała.

– Zapraszam za mną.

Babcia lubiła osoby, które wiedziały, co robić, nim zaczynała tłumaczyć, czego potrzebuje. Pracownik Instytutu przeprowadził gości przez korytarze, zakręty i drzwi, wyjął jakieś arkusze, podsunął długopis i oświadczył:

– Najpierw należy wypełnić wniosek.

Babcia spojrzała na krateczki, okienka, gwiazdki i numerki. Skrzywiła się. Naszły ją wątpliwości wobec mężczyzny; przypomniała sobie bowiem porzekadło: „Nie oceniaj urzędasa po garniturze". Ten szybko się ulotnił – znał statystyki dotyczące tego, jak często interesanci drą mordę na pracowników, gdy tylko pokaże się im biurokratyczne oblicze. Na szczęście Tomek był zdolnym chłopcem i pomógł babci z papierologią przed powrotem ipeenowca.

– Dziękuje za złożenie wniosku. Skontaktujemy się, kiedy znajdziemy teczkę.

– Kiedy? – zapytała groźnie staruszka.

– Wie pani, jeśliby ułożyć teczki jedna przy drugiej, to będzie ich ponad półtora kilometra. Trzeba poczekać kilka miesięcy… – Zamilkł. Znał statystyczne reakcje i wiedział, że po informacji o długości oczekiwania nic już nie dociera do interesantów.

– Proszę pana, ale moja babcia umiera i musi coś załatwić, zanim wróci na cmentarz – zainterweniował Tomek.

Mężczyzna przez chwilę zastanawiał się, co oznacza „wróci na cmentarz", lecz uznał to za przejęzyczenie. Już miał przygotowaną standardową odpowiedź: „I o to chodzi, bo co trzeci interesant umiera, nim w ogóle ruszymy się z krzeseł, więc roboty jest mniej".

– Babcia ma raka wszystkiego – kontynuował Tomek. – Poza tym czy chciałby pan, żeby potem duchy tu przychodziły i dupę zawracały?

Pracownika nie rozczuliło spojrzenie Tomka i jego dziecięcy głosik, ale wzmianka o duchach go zaniepokoiła. Po urzędach krążyły legendy o interesantach upierdliwych do tego stopnia, że przybywali nawet po śmierci. Podobno najgorzej mieli w skarbówce, jako że śmierć i podatki chodzą w parze. Mężczyzna przeprosił, grzecznie skłaniając głowę, a po kilku minutach wrócił z teczką.

– Zasrany biurokrata – zacytował słowa taty Tomek, gdy ipeenowiec się ulotnił.

Babcia przeczytała na teczce swoje nazwisko i wtem mgliście przypomniał się jej przejezdny klecha podsuwający papiery do podpisu. Czy to był ksiądz, nie miała co do tego takiej pewności, jak do ruskiej wódki przy werbunku. Nie żyło się po tym wydarzeniu ni lepiej, ni gorzej, ale stanowiło odbicie czasów, gdy profilaktycznie podpisywali wszyscy, choć na wsi większości to zwisało jak wymiona pod krową. Teraz otworzyła teczkę. W środku odnalazła pożółkłą, pojedynczą kartkę z plamami dawno wyschniętej gorzały oraz z sygnaturką z czasów, kiedy dłoni nie znaczyły zmarszczki. Całość zdobiła niestarannie naskrobana ołówkiem notatka: „Gdyby coś to kod 666".

Zawołali ponownie ipeenowca, który się skrzywił, słysząc kod.

– Proszę za mną – powiedział naburmuszony, jakby właśnie się dowiedział, że szef wstał zza biurka i robi obchód. Zjechali windą w podziemia i usiedli na ławeczce przed szerokim i brzydkim biurkiem. Tynk odpadał od ścian, wionęło stęchlizną i siarczanami. Tomek stwierdził, że ten widok zasługuje na przytoczenie słów taty, który zwykł podsumowywać wszystko, co stare i szpetne, słowami: – „Istny peerel".

Babcia była odmiennego zdania, ponieważ dekoracje przypominały jej młodość, ale nim zdążyła odpowiedzieć, w fotelu zmaterializował się elegant.

– Cóż, wykończeniówka jeszcze z poprzedniej epoki, ale ateistów się namnożyło i na remont nie ma. Witam, nazywam się Asmodeusz Szatan – przedstawił się.

Babcia zadrżała, jakby przypomniał się jej rak wszystkiego.

– Pani chciała się ze mną widzieć.

– T-tak. Licho przysłało.

– Ten mały, wredny gnom? Sam niczego nie potrafi załatwić… – Pokręcił z rezygnacją głową. – O co chodzi?

– Mam raka wszystkiego, a nie mogę umrzeć.

Asmodeusz Szatan zmrużył oczy, przyłożył palce do skroni i zamarł. Zachowywał się, jakby w głowie miał wyszukiwarkę internetową, lecz w piwnicy był słaby zasięg. – Zapoznałem się z pani sytuacją… I, jakby to powiedzieć, mamy impas.

– Eee…?

– Dawno temu, kiedy rekrutował panią jakiś pacan ze Służby Bezpieczeństwa niegdysiejszej władzy, otrzymała pani nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności pseudonim „Boruta".

– Mogło tak być – przytaknęła babcia.

– A widzi pani, tak się składa, że „Boruta" to imię jednego z diabłów.

– Diabła? Jak to?

– *De facto*, towarzyszko „Boruta". Ta niefortunna zbieżność imienia i pseudonimu nie stanowiłaby kłopotu, ale przeszło ćwierć wieku temu sprawa się rypła, kiedy doszło do transformacji ustrojowej. Skoro znalazła się teczka na naszego kolegę, Borutę, to mogły się zdarzyć nieprzyjemności. Więc wyczyściliśmy papiery. W końcu jak by to wyglądało, że istnieją dowody na winę diabła? Bałagan, tłumaczenia, pierdolnik jak w ZUS-ie, no, nie wyrażę tego słowami. Tak nie można, droga pani, ani na tym, ani na tamtym świecie.

– Ale dlaczego nie mogę umrzeć? – oburzyła się babcia.

– Widzi pani, w tym kraju są ludzie, którzy lubią prać brudy, szczególnie kiedy człowiek umiera. Wyciągają wówczas teczki i inne śmieci, a wysyp miłośników historii zawsze mamy w przeddzień wyborów. Pamięta pani, jak wołali po dziadka z Wehrmachtu? Pół Piekła buzowało, bo to w końcu dobry znajomy. A czy teka, czy dziadek w Wehrmachcie, to, za przeproszeniem, jeden czort dla władzy tu na ziemi i tam w Niebie. Bo w Niebie też lekko nie ma, świętek-Pietrek w bramie siedzi i bąki zbija

z wiecznymi kolędnikami, a jak mu wysłaliśmy kiedyś jednego truposza, co miał pseudonim „Rokita", to wpuścić nie chciał. Powiedział, że skoro teka jest, choć pusta, to podejrzana sprawa, smrodek się ciągnie, a ci na górze nie lubią mieć z tym nic wspólnego. Do Piekła „Rokity" też nie mogliśmy przyjąć, bo to równoznaczne z przyznaniem, się do współpracy. Ale chłop łaził od bramy piotrowej do dantejskiej i z powrotem, anielskim posłom dupę zawracał, aż im języki od przekleństw napuchły, więc trzeba go było ożywić, odmłodzić, wyrzec się i w polityce umieścić. Do dziś tam bałagan robi. Więcej burdelu nie chcemy, moja droga, trzeba żyć.

– Dużo ględzisz, diabeł – odpowiedziała babcia – ale nic z tego nie wynika. Kiedy umrę?

– Kiedy słońce wstanie na zachodzie, Martin dokończy swoje książki, a ja się ożenię! – Szatan załamał ręce. – Ja do Piekła nie wpuszczę, bo szlag trafi koneksje z parlamentem, jeśli wyjdzie, że jeden z diabłów, „Boruta", ma teczkę współpracownika. Wtedy politycy by się nas wyparli i hulaj dusza, Piekła nie ma. Święty Pietrek też nie wpuści; „Boruta" w Niebie to nie do pomyślenia.

– A czyściec? – upierała się staruszka.

– Proszę mi tu ze średniowieczem nie wyjeżdżać!

Babcia straciła nadzieję; zwiędła, jakby przygnieciona całą wiecznością – a przynajmniej takim czasem, ażby nadeszła władza, która wyda amnestię. Ale amnestię wydaje się dopiero wtedy, kiedy wszyscy, których ma to dotyczyć, są martwi. I ile tu czekać, aż zastępy komunistycznych skurwysynów wymrą?

Tomek niewiele rozumiał z rozmowy. Słuchał i słuchał, ale nie przepadał za historią, więc w końcu się pogubił. Wiedział jednak z bajek i komiksów co nieco o diable. Postanowił zaatakować:

– Diabeł, głupiś pan!

Asmodeusz Szatan spojrzał na niego i wydął policzki, aż dym mu z uszu poszedł. Babcia podniosła głowę. Dopiero teraz pomyślała, że mogła wpakować wnuka w niezłą kabałę.

– Głupi jesteś, najgłupszy z diabłów! – kontynuował Tomek.

– Milcz! – ryknął Szatan. Chłopiec posłusznie zamilkł, ale nie spuszczał wzroku z diabła. W końcu Asmodeusz głęboko odetchnął, przekręcił głowę, aż coś strzeliło w karku, i prychnął. Lubił zadziornych chłopców i właśnie rozważał, co z Tomka wyrośnie. Zaczął ujawniać swoją megalomanię. – Ha. Powinniście wiedzieć, że to ja wymyśliłem interpunkcję, podsunąłem takim dwóm teorię kwantów na postrach prostaczków, wypromowałem Kubricka, a historię znam, jakby to rzec, z pierwszej ręki. To sprawia, że jestem najmądrzejszym diabłem. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

– Ja mam – stwierdził Tomek, po czym spojrzał wymownie na babcię, więc staruszka pospiesznie dodała:

– I ja też.

Szatan zmierzył ich spojrzeniem raz jeszcze, nad czymś się zastanawiając.

– Jestem mądrzejszy od głupiego diabła… – mamrotał z coraz mniejszym przekonaniem chłopiec.

– Ha. Dobrze. Sprawdźmy to! Pozwolę wam się ze mną zmierzyć. Na zagadki.

– Panie diable, a umrę, jak odgadniemy? – zaproponowała stawkę kobieta.

– Niech będzie. Zadam wam pytanie. Jeśli dobrze odpowiecie, babcia umrze i moja w tym głowa, żeby znaleźć miejsce na duszę. Ale jeśli się pomylicie, niech tuła się po świecie, aż Lenin zmartwychwstanie. Drugą zagadkę zadacie wy, a jeżeli ja odgadnę, zabiorę ze sobą chłopca na sto lat do Piekła, żeby mi kopyta czyścił i wąsy strzygł na sarmacką modłę. Boże, Boże, ale będzie frajda! – Szatan zatarł ręce. Kiedy był wyjątkowo podniecony, lubił łamać któreś z przykazań. – Jesteście gotowi?

Babcia i Tomek skinęli głowami.

– Musicie odpowiedzieć, nim – i tu wyciągnął z paczki papierosa, dotknął palcem końcówki, która zajęła się ogniem – papieros wypali się do bibułki. Oto pytanie: – Powiedzcie, ile mam lat? – Zaciągnął się i roześmiał.

Babcia pobladła. Ileż ten diabeł mógł mieć lat? Dwa tysiączki od Jezuska minęły, ale on psocił przed Jezuskiem, jako wąż. Ale czy przed Edenem nie było już demonów? Do siedmiu piekieł! Nie wiedziała, bo przecież chodzenie do kościoła czy przykładny katolicyzm wedle lokalnej parafii nie wymagały znajomości Biblii, a finansowych rozterek kurii. Zresztą demonów istniało wiele, a ten tu nazywał się Asmodeusz. Spojrzała błagalnie na wnuka.

– Panie diabeł, ja wiem – odezwał się Tomek.

– Ty, maluszku, nawet nie potrafisz policzyć, ile to będzie po dodaniu wszystkich palców i twojej fujarki! – Szatan zaczął rechotać. – No, to ile mam lat, chłopczyku? I pamiętaj, to nie „Jeden z dziesięciu", nie można się pomylić ani o rok!

– W cholerę!

Diabeł zakrztusił się dymem, co jest doprawdy niezwykłe w przypadku istoty, której dzieciństwo kojarzy się z wędzeniem kiełbasy.

– Na Niebiosa, to oszustwo!

– Zaprzeczysz pan, że masz inaczej niż w cholerę lat?

– N-nie. – Szatan zacisnął wściekle pięści.

Babcia podskoczyła z radości, aż chrupnęły stawy.

– Teraz wasza zagadka, spryciarze – wycedził Asmodeusz. – Odgadnę raz-dwa i będziesz na sto lat mój, Tomeczku. Wiesz już, że w Piekle nie ma Wi-Fi? Może w wolnych chwilach pozwolę ci ślęczeć nad ćwiczeniówkami z matmy!

Tomek nieco się przestraszył, lecz nie było odwrotu.

– Dobrze. Niech mi więc diabeł odpowie, ile to jest „w cholerę"?

Szatan wytrzeszczył oczy ze zdumienia, a babcia spokojnie wyciągnęła papierosa z paczki na biurku, dotknęła końcówką czarciego nosa, żeby fajek zajął się ogniem. Zbliżyła go do ust i zaciągnęła się, potężnie jak przy zdmuchiwaniu świeczek. Obręcz żaru prędko przesuwała się ku bibułce, a diabła oblały poty, bo, ile to, do cholery, może być „w cholerę"?! Dla jednego będzie to tysiąc, dla innego sto, co innego w latach, co innego w wadze, w odległości czy innych diabelstwach.

Babcia, dopaliwszy, rzuciła petem.

– Liczę, że się pan z umów wywiązuje.
– Precz!

Nauczony doświadczeniem Tomek do dziś uważa, kiedy chce przekląć, ponieważ nigdy nie wiadomo, kto może nasłuchiwać za jego plecami. Wszak Szatan nadstawia ucha przy każdej „cholerze", szukając zemsty.

Doświadczony Brexitem stryjek zwykł mawiać, że stolice to siedliska władz taplających się w spiskach i przeszłych grzechach, upodabniających się tym samym do tych, którymi ideowo gardzą. A władze wolą rozgrzebywać brudy, niż zajmować się aktualnymi problemami i wyzwaniami wariacko przyspieszającego świata. I babcia, obywatelka samotna w swojej walce z ciężarem przeszłości i mechanizmami biurokracji, wygrała pojedynek o własną przyszłość – dnia następnego umarła, wierząc, że czeka ją wieczny odpoczynek. Zapomniała jednak, że Licho nie śpi, a śmierć wcale nie jest końcem.

ŚNIENIE

Marcin Rusnak

1.

Trzynastego kwietnia, który przypadkowo wypadał w piątek, cały świat wstrzymał oddech.

Na obu półkulach – w chłostanych deszczem wieżowcach Kuala Lumpur, w nakrytych śnieżnymi czapami chatach północnej Finlandii czy na atakowanych pierwszymi upałami farmach Arizony – ludzie siedzieli lub stali w milczeniu, a w ich oczach odbijały się obrazy wyświetlane przez telewizory i komputery.

Demonstracje, transparenty, rozkrzyczane usta, łzy płynące po policzkach.

Długi sznur rosyjskich T-90 wygniatających gąsienicami koleiny w szutrowej drodze.

Szare płyty lotniska, na którym zastępy północnokoreańskich Chengdu J-7 i Iłów-28 wydawały się już grzać silniki.

Chińskie Dong Fengi czekały tylko na rozkaz, by postawić swoje rakiety na sztorc, zaprogramować cel i zamienić jakąś metropolię w pustynię rodem z „Mad Maxa".

Wszyscy przyglądali się temu, jak świat staje na skraju apokalipsy.

Potem opowiadali swoim dzieciom i wnukom, gdzie byli tego dnia, co robili, zanim ta przymiarka do Armagedonu przykuła ich wzrok i uwięziła

przed telewizorami, zanim zaczęli chłeptać informacje przesuwające się na pasku u dołu ekranu, zanim nieświadomie pozaciskali dłonie na poręczach foteli lub wpili sztywne palce w tapicerkę kanap.

Chcecie wiedzieć, co ja wtedy robiłem?

Trzynastego kwietnia, który wypadał w piątek – co oczywiście nie ma znaczenia, bo wojna światowa jest równie kiepskim pomysłem, gdy wybucha w dowolny dzień tygodnia – siedziałem w domu i robiłem co w mojej mocy, żeby nie zasnąć.

Była dwudziesta trzecia czterdzieści. Leżałem na podłodze w salonie – a żeby być bardziej precyzyjnym – na dużym dmuchanym materacu, który kilka godzin wcześniej przyniosłem z piwnicy. Piłem już siódmą tego dnia kawę i zerkałem na wyciszony telewizor, na ekranie którego Rosja, Chiny i Korea Północna syczały i warczały, stroszyły pióra i jeżyły sierść, obnażały kły i wysuwały pazury.

Nie przejmowałem się tym specjalnie, miałem bowiem równie poważne zmartwienia, tyle że dotykające mnie bezpośrednio.

Od strony aneksu kuchennego – a konkretniej z zamrażarki – dobiegał nieregularny chrobot, przypominający skrobanie paznokciami o wieko trumny.

Z sypialni Olka słychać było miękkie szuranie, trzeszczenie drzwi pod naciskiem ciężkiego cielska, okazjonalny brzęk potrącanego, przesuwanego po podłodze, dziecięcego tamburynka.

W łazience, przy zgaszonym świetle i wannie pełnej dawno wystygłej wody, coś pluskało i nuciło, głosem cichym i słodko-rzewnym jak skrzypienie okrętowych lin, jak szept fal liżących burty.

Na balkonie, za szczelnie zamkniętymi, przeszklonymi drzwiami, suszyła się i wietrzyła wygodna kanapa, którą bardzo lubiłem, kiedy jeszcze tak okropnie nie cuchnęła rybą.

Nie myślałem o apokalipsie, o narodach gdzieś na Dalekim Wschodzie robiących próbę generalną przed anihilacją rodzaju ludzkiego. Myślałem o tym, że cholernie chce mi się spać. I o tym, że zasnąć nie powinienem, za nic w świecie.

Nie mogłem ryzykować.

Wyłączyłem telewizor. Zamiast tego przyniosłem laptop i zacząłem szukać jakiejś gry – czegoś, co pomoże mi dotrwać do rana.

Co parę chwil zerkałem w bok, na Olka, na mojego kochanego, czteroletniego synka, który leżał obok mnie, na materacu, pod kołderką z Kubusiem Puchatkiem.

Zanim archaiczny laptop, warczący i krztuszący się jak pies z kością w gardle, raczył uruchomić „Return to Castle Wolfenstein", zanim zająłem się stukaniem w klawisze i pruciem ze stena do żądnych krwi nazistowskich seksbomb, co innego sprawiło, że senność mnie opuściła.

Olek drgnął. Poruszył blond główką, mruknął coś cicho. Przewrócił się na drugi bok, oparł czoło na materacu, a nie na poduszce. Kołderka zaszeleściła, kiedy poruszył nogami.

Dopadłem do niego i szarpnąłem za drobne ramionka. Potrząsałem tak długo, aż Olek otworzył zaspane oczy, skrzywił się, zrobił nieszczęśliwą minkę.

– Napij się – poprosiłem.

Posłusznie wysiorbał kilka łyków z kubka stojącego obok materaca. Potem położył się znowu, z głową na poduszce i kołderką wciśniętą między kolana.

– Śpij dobrze – powiedziałem. – Kocham cię.

Zazwyczaj w takich chwilach dodawałem życzenia kolorowych snów. Ale już nie. Teraz już nie.

Olek natychmiast zasnął, a ja wróciłem do strzelania do nazistów i kontrolnego spoglądania na mojego synka.

Musiałem go mieć na oku.

Nie mogłem ryzykować.

2.

Nie uważam się za szczególnie przenikliwego obserwatora, ale w ciągu mojego trzydziestoletniego życia doszedłem do wniosku, że jedną z uniwersalnych cech dla przedstawicieli gatunku ludzkiego jest przekonanie o własnej wyjątkowości.

Weźmy jako przykład komiks. Taki klasyczny, z superbohaterami paradującymi w lateksie, z amerykańską flagą powiewającą za plecami. Pofantazjujcie, że się w owym komiksie pojawiacie. Zamknijcie oczy, pomyślcie o arkuszach podzielonych na kadry. Wyobraźcie sobie wasze słowa i myśli upchnięte w dymki i chmurki. Udało się?

Idę o zakład, że każde z was miało przed oczyma komiks o samym sobie. Widzieliście siebie w roli Supermana, Wolverine'a, Wonder Woman albo Hulka – choć nie jestem pewien, czy chciałbym wiedzieć, jakiego rodzaju ludzie identyfikują się z zielonoskórym olbrzymem o IQ szympansa po lobotomii, biegającym w podartych portkach.

Dobra, przyznać się, kto widział siebie w roli Lois Lane albo Mary Jane Watson? Kto w tym swoim wyobrażeniu był Bogu ducha winnym żulikiem, ratowanym przez zamaskowanego herosa przed bandą opryszków na stronie siódmej jedynie po to, by na stronie ósmej pożegnać swojego wybawcę z rozdziawionymi ustami i nie pojawić się nigdy więcej?

Tak sądziłem.

No to teraz, zanim na dobre zaczniemy tę opowieść, trzy fakty, które musicie przełknąć, jeśli chcecie czytać dalej.

Fakt pierwszy: superbohaterowie istnieją. To znaczy nie ci, których znacie z komiksów i filmów. Ale istnieją.

Fakt drugi: życie u boku superbohatera może wydawać się bajecznie łatwe. Nie jest.

Fakt trzeci: jeśli wydaje się wam, że życie u boku superbohatera bywa skomplikowane, to poczekajcie, cwaniaczki, aż pojawi się dziecko.

3.

Wszystko zaczęło się trzy dni wcześniej, dziesiątego kwietnia. Wracałem do domu z biblioteki wojewódzkiej, gdzie prowadziłem spotkanie z Tomaszem Borowickim, autorem serii bardzo poczytnych kryminałów. Wracałem zadowolony, bo w kieszeni miałem świeżo zarobione trzy stówy, a w plecaku kilka butelek smacznego, niepasteryzowanego piwa z niszowego browaru, których towarzystwo miało umilić wieczór mnie i mojej żonie. Było przed ósmą. Powoli kończył się bodajże pierwszy

ciepły, wiosenny wieczór, ale ptaki jeszcze nie zasnęły, sypiąc trelami z koron nieśmiało zieleniących się drzew. Sielanka.

Sielankę szlag trafił, gdy otworzyłem drzwi mieszkania. Karolina biegała z pokoju do pokoju z komórką wciśniętą między przekrzywioną głowę a bark i wrzucała do walizki kolejne rzeczy: ubrania, kosmetyki, dokumenty. Olek siedział na kanapie, pogryzał marchewkę i kabanosy. Oczy miał wlepione w ekran telewizora, na którym paradowali Chudy, Buzz i oddział zielonych plastikowych żołnierzyków.

Zdążyłem zdjąć buty, schować piwo do lodówki i pocałować Olka w głowę, na co ten zareagował czułym „Tato, przeszkadzasz!", a wtedy Karolina skończyła rozmawiać przez telefon i odciągnęła mnie na bok.

Miała poważną minę, wypieki na twarzy, oczy trochę wystraszone, trochę podniecone.

– Muszę jechać – powiedziała. – Wzywają wszystkich.

– Wszystkich?

– Wszystkich z licencjami XX i XXX.

– Dokąd, do cholery?

Popatrzyła na mnie w taki sposób, jakbym z pełną powagą zapytał ją, czy Jezus i Chrystus to aby na pewno ten sam koleś.

– Czy ty naprawdę nie masz bladego pojęcia o tym, co się dzieje na świecie?

Wzruszyłem ramionami. Pamiętałem, że koło południa w telewizji pokazywali jakieś niszczyciele i łodzie podwodne, wielkie stalowe monstra wychodzące z portu w rozkołysane morze barwy asfaltu. Nie zainteresowałem się tym wtedy jakoś specjalnie, bo do spotkania z Borowickim zostało mi pięć godzin, a miałem przygotowane tylko trzy pytania.

– A co się dzieje?

Postukała w swojego smartfona, po czym podsunęła mi wyświetlacz pod nos. Fragment jakiegoś serwisu informacyjnego. Widziałem rozmazane zdjęcia rakiet, czołgów, szwadronów piechoty, masywnych cielsk szturmowych śmigłowców podrywających się z ziemi ciężko, z trudem, jak nieprzyzwoicie obżarte szerszenie. Przez głosy bohaterów grającego

w tle „Toy Story" słyszałem piąte przez dziesiąte, ale dotarło do mnie dość informacji, żebym nabrał jako takiego wyobrażenia o stanie rzeczy.

Niepokoje na granicy rosyjsko-chińsko-północnokoreańskiej.

Eskalacja konfliktu.

Bloki sojusznicze, traktaty, pakty.

Broń nuklearna.

Groźba wojny światowej.

– Grubo – skomentowałem. – Jaki jest plan?

– Mówię, wzywają wszystkich. Spróbujemy to zatrzymać. Muszę jechać, rozumiesz? Nie wiem, na jak długo. Kilka dni na pewno. – Popatrzyła na Olka. – Poradzisz sobie?

Moja żona. Moja cudowna, piękna żona. Na co dzień pani doktor pracująca na wrocławskiej politechnice, w Katedrze Technologii Kwantowych. A po godzinach i w chwilach wolnych od zajmowania się Olkiem – superbohaterka z licencją XX (najwyższa, zarezerwowana dla tuzów pokroju Metal Girl, Doktora Killjoya czy Meffisto, była licencja XXX), znana jako Miss Serenity, obdarzona cudowną mocą podsycania lub wygaszania emocji otaczających ją ludzi.

Jechała prosto w roześmianą paszczę diabła, ekspresem ze stacją końcową w piekle, a martwiła się, czy ja dam sobie radę, jeśli na kilka dni zostanę sam z dzieckiem.

Kocham cię, pomyślałem.

– Daj spokój – powiedziałem z filmowym machnięciem ręką. – Jesteśmy dużymi chłopcami. Będziemy się świetnie bawić i nawet nie zauważymy, że cię nie ma.

4.

Tej nocy obudził mnie jakiś szmer, szelest, jakieś cichutkie postukiwanie. W pierwszej chwili myślałem, że jeszcze się porządnie nie docuciłem, że to jakieś skrawki snu kleją mi się do łba, ale nie – otrząsnąłem się, a one dalej tam były.

Przez moment leżałem w bezruchu. Spałem na wersalce w salonie, jak zawsze, od czasu gdy jedyna sypialnia została przemianowana na pokój

Olka. Za drzwiami balkonowymi wciąż panowała noc, ciemna i cicha. Niebo zawisło nad miastem ciemnogranatową płachtą i długo jeszcze nie myślało zmieniać barw.

Znowu ten odgłos. Co jest, do diabła? Myszy? W życiu nie było tu żadnych gryzoni. Nawet rozrzuconej w piwnicy trutki żadne zwierzę nigdy nie tknęło. Dobra, poza Bulim, psem pani Mazurek z szóstego piętra, ale to była mała, wściekła, wiecznie rozszczekana gnida i tak naprawdę wszystkim ulżyło. To znaczy wszystkim poza panią Mazurek. I, jak podejrzewam, samym Bulim.

W nagłym przypływie odwagi podniosłem się i zapaliłem lampkę przy łóżku. Słabe światło wyłowiło z mroku kilkanaście niedużych, nieruchomych kształtów, których wcześniej ani w salonie, ani w kuchennym aneksie nie było.

Przez sekundę albo dwie po prostu siedziałem jak głupi, gapiąc się na te niewyraźne plamki. Miałem wrażenie, że one również mnie obserwują. Przyglądają mi się. Oceniają mnie.

W serii sprawnych, pełnych determinacji ruchów założyłem na nos okulary i doskoczyłem do włączników światła. Żarówki błysnęły, kuchnię i salon zalało światło.

Kształty okazały się żołnierzykami. Zielonymi żołnierzykami. Widziałem hełmy na ich głowach, miniaturowe M16 z bagnetami doczepionymi do luf, mikroskopijne bazooki i moździerze sklejone z ich operatorami za sprawą podstawki – zielonej kałuży sztywnego plastiku. Stały w różnych miejscach: na podłodze, na stole, na kuchennej szafce. Jeden z nich – z lornetką w dłoni i pistoletem u pasa – przycupnął na odstającym lodówkowym magnesie (mordka Garfielda, a pod nią hasło: „Nie pytaj, co twój brzuch może zrobić dla ciebie; pytaj, co ty możesz zrobić dla swojego brzucha"). Inny – i tutaj musiałem gwałtownie zamrugać, żeby upewnić się, że widzę to, co widzę – chybotał się leciutko w lewo i w prawo, uczepiony jednego z frędzli na skraju obrusa.

Byłem pewien, że Olek wśród swoich zabawek nie miał żołnierzyków. W każdym razie nie takich. Potem w głowie przeskoczył mi jakiś trybik i zrozumiałem, kogo mi przypominają. Widziałem ich przecież dziesiątki

razy, bo pewne ulubione filmy mój synek potrafił wałkować na okrągło, raz za razem, dzień po dniu.

Wyglądali jak żołnierzyki z „Toy Story".

– Co się tutaj… – wyszeptałem, robiąc krok w ich stronę.

– Sierżancie, zostaliśmy odkryci! – krzyknął jakiś głosik.

– Rozproszyć się! – ryknął inny. – Thorpe i Gordon, ogień zaporowy!

Figurki zaczęły zmykać równocześnie w różne strony: chowały się za stołowymi nogami, za słoiczkami z przyprawami Knorra. Któryś wskoczył do garnka stojącego na kuchence. Tylko tyle zobaczyłem, bo zaraz poczułem na policzku serię ukłuć.

– Auu! Co…

Żołnierzyki waliły do mnie ze swoich karabinów. Zasłoniłem się rękoma, trafienia w nagie dłonie przypominały ugryzienia gzów. Syczałem przez zęby i czekałem, aż mój mózg przejdzie nad niemożliwym do porządku dziennego.

– Jak…

Nie zdążyłem powiedzieć nic więcej, bo zza stołowych nóg pokazały się nagle dwie kolejne figurki, a w stronę moich stóp poszybowały maleńkie granaty. Nie wiem, czego właściwie się spodziewałem – może czegoś na kształt ziaren grochu. Na pewno nie miniaturowych petard, które huknęły głucho i zniknęły w kuleczkach iskier i dymu. Przez kilka sekund skakałem jak po rozżarzonych węglach, aż kolejna seria z M16 dźgnęła mnie boleśnie w twarz.

Zrozumiałem, że czas na mój ruch. Rzuciłem się na strzelców przyczajonych na stołowym blacie. Chwyciłem jednego z nich, ale wypuściłem go zaraz, gdy plastikowy bagnet dźgnął mnie pod paznokieć kciuka. Bolało jak diabli.

– Jensen, zaopatrzenie! – Usłyszałem krzyk. – Shields, dywersja! Dalej, dalej!

Zobaczyłem, że trzech żołnierzyków wspólnymi siłami otwiera szufladę z pieczywem. Skoczyli na chleb tostowy i rzucili się do bezcukrowych sucharów, które mieliśmy w domu na wypadek problemów żołądkowych. Chciałem zareagować, ale w tym samym momencie inne figurki wywróciły

dzbanek z przegotowaną wodą. Trzasnęło głucho, woda chlusnęła na blat, porywając ze sobą jednego z wojaków, który z rwanym wrzaskiem poleciał na podłogę.

Nie wiedziałem, co robić – łapać żołnierzyki, bronić sucharów czy wycierać wodę.

– Zaczekajcie! – poprosiłem. – Zaczekajcie, porozmawiajmy!

– Przechodzi do defensywy – huknął ucieszony żołnierzyk zwany Sierżantem. – Teraz, chłopcy! Kontrnatarcie!

Kolejna rozmiłowana w szerzeniu zamętu drużyna spychała garnek z ceramicznej płyty grzewczej. Uratowałem go w ostatniej chwili. Gdzie indziej żołnierze we trzech albo czterech chwytali jabłka z miski i chwiejąc się pod ich ciężarem, czmychali ze stołu. Obróciłem się, żeby ich zatrzymać, ale wtedy maciupki pocisk z bazooki pacnął mnie boleśnie w czoło. Zaraz potem roztłukły się moździerze, a kawałki plastiku spadły mi na głowę jak drobny, nieznośny grad.

– Oż wy! – warknąłem. – Miarka się przebrała!

Dłonie wsadziłem w kuchenne rękawice, zacisnąłem zęby. Oczy na szczęście miałem chronione okularami, inaczej ruszyłbym do pokoju Olka po plastikowy hełm z przyłbicą. Chwyciłem litrowy słoik po ogórkach i rzuciłem się na żołnierzy. Łapałem ich, jednego po drugim, i nie zważając na piski, ciskałem do środka – nie byli w stanie wygramolić się na zewnątrz po gładkich ściankach. Z początku strzelali do mnie, potem zaczęli się kryć po kątach i zakamarkach. Biegałem po całym pomieszczeniu, uchylałem się przed pociskami, czołgałem pod stołem, tarzałem w kurzu zalegającym pod witryną.

Wyłapałem ich osiemnastu, ale nie byłem pewny, czy to wszyscy. Zakręciłem wieko, żeby najsprawniejsi wojacy nie wspięli się po ramionach towarzyszy na górę i nie wyleźli na zewnątrz.

Postawiłem słój na stole, usiadłem, odetchnąłem ciężko. Zacząłem masować obolałą gębę.

– Kim wy, do jasnej cholery, jesteście? – zapytałem. – I co robicie w moim mieszkaniu?

– Nic z nas nie wyciągniesz, chłoptasiu – burknął hardo Sierżant.

Przyjrzałem mu się uważnie, potem popatrzyłem na twarze pozostałych. Wszyscy wyglądali bardzo podobnie. Dopiero teraz zobaczyłem, że jeden z ludzików – wyposażony w wykrywacz min – ma nienaturalnie wykrzywione nogi i koślawą podstawkę.

Niech to diabli. To naprawdę były żołnierzyki z „Toy Story".

Zastanowiłem się, czy wieczorem aby na pewno poprzestałem na jednym piwie, ale tak – dowód w postaci samotnej, opróżnionej butelki stał obok zlewu.

– Hej ty! – Wycelowałem palec w rannego żołnierza. – Kim jesteś?

– Szeregowy Green, Armia Stanów Zjednoczonych, numer 21-543-978.

– Co robicie w mojej kuchni?

– Szeregowy Green, Armia Stanów Zjednoczonych, numer 21-543-978.

– To już wiem – warknąłem, klnąc w duchu na konwencję genewską. – Pytałem, co tutaj robicie?

– Szeregowy Green, Armia Stanów Zjednoczonych, numer 21-543-978.

Przeniosłem spojrzenie na poważną twarz Sierżanta, na jego dumnie wypiętą pierś.

– Nie tacy jak ty próbowali nas złamać, chłoptasiu – rzekł głosem Jarosława Boberka. – Nic z tego. Głód, tortury, skopolamina, rosyjska ruletka, testowali na nas wszystko. Nie dali rady. I ty też nie dasz. Wyjdziemy stąd szybciej, niż myślisz. I wtedy pożałujesz, że z nami zadarłeś.

Popatrzyłem na nich uważnie, przywołując w pamięci wielokrotnie widziane sceny z animacji. Przypomniałem sobie dwóch spadochroniarzy, którzy w filmie wykonywali najbardziej niebezpieczne misje.

Nie było ich w słoju.

Sierżant, jakby czytając w moich myślach, posłał mi uśmiech, szeroki i złowieszczy.

Wtedy podjąłem decyzję. Otworzyłem drzwi zamrażarki, wysunąłem środkową szufladę. Wsadziłem słój z żołnierzami między zamrożone kotlety w folii aluminiowej a pudełko paluszków rybnych. Potem zamknąłem zamrażarkę.

Zajrzałem do Olka. Spał spokojnie. Poprawiłem okrywającą go kołderkę, po czym poszedłem do salonu. Pogasiłem światła, położyłem się na kanapie. Zamknąłem oczy i próbowałem zasnąć. Długo tak leżałem.

Przewracałem się z boku na bok, nie mogąc pozbyć się paskudnego wrażenia, że ktoś mnie obserwuje.

5.

– Żołnierzyki. Jak z „Toy Story". Przysięgam!

– Aha. – Usłyszałem w słuchawce głos Karoliny. – Tak. Tak, jasne.

Otaczał ją szmer głosów, jakieś trzaski, okazjonalne krzyki. Krzyczano po chińsku albo koreańsku, nie wiem.

– Karo. – Westchnąłem. – Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Słucham cię, kotku. Tyle że jestem ociupinkę zajęta, wiesz? Ty masz do czynienia z osiemnastoma żołnierzykami, a my z milionem. I tych naszych nie da się rozdeptać. To znaczy – poprawiła się zaraz – o ile nie jesteś Bulkym.

– Bulky! – Usłyszałem w słuchawce znajomy gardłowy okrzyk.

Bulky, czterometrowa góra mięśni zamknięta w bezwłosej, różowawej skórze niemowlaka, zawsze tak reagował, kiedy słyszał, że ktoś o nim mówi. Szczerze powiedziawszy, reagował tak samo na większość zdarzeń, ponieważ leksyka tego poczciwego olbrzyma ograniczała się do jego własnego imienia oraz słów związanych z robieniem innym krzywdy. – Bulky bić! Bulky tłuc! Bulky niszczyć!

– Posłuchaj – powiedziała Karolina. – Wiem, że nie jest ci łatwo, ale musisz to jakoś sam ogarnąć, rozumiesz? Po prostu nie mogę ci pomóc, nie teraz. Wszyscy tu jesteśmy uwiązani i… Zaczekaj, proszę.

Znowu słyszałem stłumione szmery, jakieś stuknięcia, jakiś gwałtownie urwany krzyk. W tle rozterkotało się coś, co nieprzyjemnie przypominało karabin maszynowy.

– Przepraszam, już jestem – oznajmiła moja lepsza połówka, dysząc cicho. – Akurat włamujemy się do silosu rakietowego koło Jangjin. Będziemy zaraz schodzić pod ziemię i mogę stracić zasięg.

– Karo, błagam cię, ja nie mam pojęcia, co się dzieje. Skąd te pieprzone żołnierzyki? To nienormalne.

Huk eksplozji uderzył we mnie przez słuchawkę tak, że aż szarpnąłem głową w tył. Niemal poczułem na policzku ciepły podmuch.

– Dobra, zaczekaj, przejdę gdzieś, gdzie będzie ciszej, bo tu jakiś koleś

wali w naszą stronę z wyrzutni granatów.

Złapałem się za głowę i czekałem. Dreptałem po pustym mieszkaniu. Olek był w przedszkolu. Powinienem teraz wykorzystywać każdą minutę jego nieobecności na nadgonienie zaległego tłumaczenia, ale z dość oczywistych powodów nie mogłem się skupić na pracy.

– Okej – odezwała się znowu Karolina. Teraz lepiej ją słyszałem. Wybuchy i wystrzały wciąż tam były, ale cichsze, jakby stłumione, nakryte poduszką. – Myślę, że to Olek.

– Olek?

– Jest moim synem, tak? Prawdopodobnie odziedziczył po mnie jakieś zdolności, coś tam u niego zmutowało… Chris mówi…

– Chris? – powtórzyłem ostro. – Chris tam jest?

– Skarbie ty mój, mówiłam ci przecież, że wszyscy tu są. Wszyscy.

Zmełłem w ustach przekleństwo. Chris Lambert, znany jako Mr. Magnetic. Siedem doktoratów, twarz anioła, kaloryfer na brzuchu. Buja się po świecie prywatnym samolotem. Licencja XXX. Najsilniejszy żyjący telekineta, choć może poruszać tylko przedmiotami zrobionymi z metalu. Pamiętacie tego nieszczęsnego Boeinga 747, który w zeszłym roku miał wpaść do Oceanu Atlantyckiego, ale cudownym zrządzeniem losu złapał sprzyjający wiatr i dotarł nad Nową Szkocję, gdzie za sprawą wyjątkowego talentu pilota usiadł awaryjnie na jedynym płaskim skrawku terenu w promieniu stu kilometrów i wszyscy przeżyli? Sprzyjający wiatr i talent pilota, akurat.

Podsumowując, Mr. Magnetic był zabójczo przystojnym, diabelnie inteligentnym i nieprzyzwoicie bogatym superbohaterem, który miał w zwyczaju zapobiegać spektakularnym katastrofom, a w dodatku pisywał do Karoliny listy – listy, do diabła! – w których cytował Szekspira i Tennysona.

Nietrudno się domyślić, że nienawidziłem skurkowańca.

– Chris mówi – kontynuowała niezrażona – że według najnowszych badań, dzieci między trzecim a piątym rokiem życia zaczynają śnić konkretne obrazy, przetwarzać wyjątkowo silne bodźce. To sny bez scenariusza, bez sekwencji zdarzeń, raczej same statyczne wizerunki. Zobaczysz,

co się będzie działo dalej, ale podejrzewam, że Olek w jakiś sposób materializuje to, co widzi w swoich snach. Teraz już naprawdę muszę kończyć, kochanie. Jest tu taki duży wyświetlacz na ścianie, który mówi, że do wystrzelenia głowicy jądrowej zostały trzy minuty i trzydzieści sekund. Kocham cię, pa!

Rozłączyła się.

Próbowałem się uspokoić. Zaparzyłem sobie herbatę, usiadłem do komputera ustawionego na biurku, na biurku, znajdującym się – z braku przestrzeni w salonie czy pokoju Olka – na korytarzu. Usiłowałem zabrać się do pracy. Szło mi opornie, zdania tłumaczonej książki już po angielsku brzmiały jakoś nieszczególnie, a zgrabne polskie odpowiedniki chowały mi się po zakamarkach czaszki i nie chciały spłynąć przez palce na klawiaturę.

Nagle w salonie rozbrzmiała wiolonczela, smutna i ponura, aż mi ciarki przeszły po plecach. Poderwałem się z miejsca, pobiegłem do wieży. Obok pilota leżało opakowanie od ścieżki dźwiękowej do „Helikoptera w ogniu".

Grał doskonale mi znany utwór trzynasty – „Leave No Man Behind".

Motto amerykańskiej armii: „Nie zostawiamy nikogo".

Wyłączyłem nagranie, po czym rozejrzałem się dookoła w poszukiwaniu pary małych, zielonych spadochroniarzy.

Pieprzeni plastikowi dywersanci.

Miałem wrócić do pracy, kiedy odezwała się moja komórka.

Teściowa.

– Wybornie – mruknąłem tonem skazańca, po czym odebrałem i, naciągając uśmiech na twarz jak fałszywą flagę na okrętowy maszt, powiedziałem: – Cześć, mamo. Jak miło cię słyszeć. Jak tam wycieczka?

Rodzice Karoliny byliby ludźmi zupełnie nijakimi, gdyby nie żarliwa nienawiść, którą darzyli – tak, zgadliście – właśnie mnie. Zarabiali dobrze, odchowali, wykształcili i wydali za mąż obie córki, doczekali się wnuków, a ich akumulowaną przez lata mądrość można by zsumować w stwierdzeniu, że pieniądze szczęścia nie dają, ale jeśli ich nie masz, to znaczy, że jesteś dureń, leń i w ogóle życiowe zero. W tej chwili byli gdzieś w Stanach na trzytygodniowej, luksusowej objazdówce.

– Karolinka do nas dzwoniła z Pekinu – zaskrzeczała teściowa, ignorując moje pytanie.

Przez chwilę byłem jak zamroczony. Dopiero potem przypomniałem sobie, że moja żona oficjalnie przebywała w tej chwili w Chinach na poświęconej półprzewodnikom konferencji naukowej. Jej rodzice oczywiście nie mieli bladego pojęcia o nadprzyrodzonych zdolnościach swojej pierworodnej.

– Tak? I co mówiła?

– Że jesteś sam z Olusiem. Prosiła, żebyśmy cię odciążyli, jak tylko wrócimy.

– Mamo, nie ma potrzeby, świetnie sobie radzimy. Wszystko jest w porządku.

– Jakoś w to wątpię – zagderała. Przez słuchawkę dotarła do mnie sugestia ust ściągniętych w pogardliwy dzióbek. – Wy, młodzi, jesteście tacy rozpieszczeni. Nieprzyzwyczajeni do trudów, do obowiązków, do godzenia rodzicielstwa z prawdziwą pracą.

Nie muszę chyba wspominać, że w opinii moich teściów tłumaczenie książek, wymyślanie haseł reklamowych czy prowadzenie spotkań z pisarzami tak się miało do prawdziwej pracy, jak rzadki stolec do gorącej czekolady.

– Tak, mamo – mruknąłem, wiedząc, że wszystko inne tylko niepotrzebnie przedłuży rozmowę.

– Darek, ty brzmisz jak półżywy. Zdrowy jesteś? Z Olkiem wszystko dobrze?

– Dobrze. Po prostu mieliśmy ciężką noc. Olek… Śniły mu się różne rzeczy, to wszystko.

– Sny – mruknął mi w słuchawce głos teścia, oddalony, zniekształcony, ledwo słyszalny. – Koszmary pewnie. Z takim ojcem to nic dziwnego…

– Słucham?!

– Cicho bądź! – warknęła na męża teściowa, po czym już spokojniej zwróciła się do mnie: – To normalne, Darek. W wieku trzech do pięciu lat, wiesz, pojawiają się pierwsze wyraźne sny. Dziecko może to przeżywać, budzić się, wzywać rodziców.

– Gdyby wśród tych wszystkich książek, które czyta – mruknął w tle teść – zapodział się poradnik dla młodych rodziców, to by o tym wiedział.

Zacisnąłem zęby i milczałem. Nawet pomijając docinki ojca Karoliny, fakt, że jej mama powtarzała to samo, co zasugerował już sam Mr. Magnetic, jakoś nie poprawił mi humoru.

– Darek, wracamy za dwa dni, to pomożemy ci z Olusiem.

– Dzięki – mruknąłem. Aż ociekałem entuzjazmem. – Kochani jesteście.

– Och, drobiazg. Przecież od tego są dziadkowie, żeby naprawiać błędy rodziców.

– Jakby miał normalną pracę – burczał znowu słabo słyszalny teść – to by dziecko posłali do prywatnego przedszkola, jak Anka, i byłby spokój. Freelancer szmancer…

– Odezwiemy się, jak wylądujemy! – Żona mu przerwała. – Buziaki dla Olusia!

Wyłączyli się, a ja cisnąłem telefon na bok jak zdechłego szczura.

Wróciłem do pracy, która nie była prawdziwą pracą i za którą dostawałem pieniądze, których nie starczało na prywatne przedszkole, które – najwyraźniej – rozwiązałoby wszystkie problemy współczesnego świata, od głodu w Afryce i zniżkującej populacji lisów polarnych do materializujących się znienacka plastikowych żołnierzyków.

Trochę później dostałem od Karoliny SMS następującej treści: „Chris radzi, żeby ograniczać mocne bodźce. Całusy, K.”.

Kiedy to zobaczyłem, zesztywniały mi wszystkie mięśnie twarzy. Znalazłem w internecie zdjęcie Chrisa Lamberta, wydrukowałem je, po czym, obok jego olśniewającego uśmiechu, narysowałem flamastrem komiksowy dymek, w którym napisałem: „Mam małego”.

Wiem, to niskie i żałosne, ale od razu poczułem się lepiej.

Kilka godzin później odebrałem Olka z przedszkola i spędziliśmy razem miłe, niemal beztroskie popołudnie. Poszliśmy na plac zabaw. Bawiliśmy się klockami Lego. Zagraliśmy w planszówkę o zbieraniu grzybów w lesie. Mazaliśmy kredkami i flamastrami po kolorowankach. Zrobiliśmy sobie długą, relaksującą kąpiel z plastikowymi stateczkami

transportującymi czapy piany z jednego krańca wanny na drugi. A na dobranockę wybrałem możliwie najbardziej uładzoną, ugrzecznioną, absolutnie niestymulującą wyobraźni książkę, jaką mieliśmy w domu: skrajnie wykastrowaną wersję „Małej syrenki", w której jedynym strasznym elementem był nagminny brak przecinków.

Olek zasnął spokojnie, a ja usiadłem do komputera, żeby jeszcze popracować. Położyłem się po północy, z piekącymi oczami i szczęką obolałą od ziewania.

6.

Sen.

Dłoń pod moją koszulką. Delikatna, figlarna, spragniona dotyku.

Muśnięcie włosów na policzku.

Miękkie westchnienie pośród nocy. Powietrze głaszczące zagłębienie w szyi.

Liźnięcie na obojczyku – krótkie i szybkie jak dotyk zwilżonej chusteczki.

Chichot – cichutki, zachęcający do zabawy.

Nagle usta na ustach – z początku jakby niepewne, tylko skubały wargi, pieściły kąciki. Zaraz jednak stały się śmielsze, chętniejsze, wilgotne i ciepłe.

Język splatający się z moim.

Paznokcie sunące po skórze, przeszywające elektrycznymi wyładowaniami aż do szpiku kości.

W uchu szept oddechu.

Potem koniec bezwładności: moje ręce na jej szczupłych, smukłych, gładkich ramionach. Barki jak u lalki, nieskazitelna skóra.

Przewróciłem ją na plecy. Długie, splątane włosy przelewały się przez palce jak jedwabne nici. Oczy lśniły w mroku, raz szeroko otwarte, raz zmysłowo przymknięte. Całowałem jej drobniutki podbródek, szyję nastolatki, skórę opiętą na obojczyku. Słyszałem westchnienie, gdy moje dłonie odnalazły małe i upajająco twarde piersi. Opuszki kciuków pieściły sterczące sutki. Jej skóra była z wierzchu cudownie chłodna, ale

pod nią buzował ogień. Słyszałem, jak jęczy. Czułem, jak rozkosznie się pręży, kiedy zamykałem jedną z brodawek w ustach, ssałem ją i lizałem jak czubeczek najpyszniejszego na świecie lizaka. Wierzgała słodko, dyszała, na moment nakryła dłonią twarz. Palce sunęły mi po biodrach, sięgnęły do bokserek. Z mojego gardła wyrwał się jęk. Jej zęby wpiły się w mój bark, delikatnie jak kły kociaka. Powędrowałem dłońmi w dół, po dziewczęcym wcięciu w talii, po boskiej krzywiźnie lędźwi, szukałem pośladków, ud, które można rozchylić; szukałem słodziutkiej, czekającej na odkrycie tajemnicy.

Nie wiedziałem, jaki bóg zsyła na swych wiernych takie sny, ale w tej chwili miałem ochotę zostać jego najgorliwszym wyznawcą.

Potem dotknąłem nie pośladków, ale zimnej, mokrej, rybiej łuski.

I nagle dotarło do mnie, że to wcale nie sen.

Z wrzaskiem rzuciłem się w tył i… zleciałem z łóżka. Spadłem boleśnie na podłogę, ale nie zatrzymałem się: odpełzłem jeszcze kawałek, wpatrzony w skotłowaną pościel, jakbym spodziewał się, że to coś ruszy moim śladem. Kiedy nic takiego się nie wydarzyło, poderwałem się na równe nogi i skoczyłem, by włączyć światło. Zaskamlałem z bólu, depcząc bosymi stopami po niewidocznych w mroku klockach Lego, rozrzuconych po podłodze jak miniaturowe zasieki. Włączyłem w końcu światło i zaraz potem dopadłem do szuflady w kuchni, wyrwałem z niej pierwszy przedmiot, jaki mi się nawinął, czyli… silikonową szpatułkę do naleśników.

Gówno tam, musi wystarczyć – pomyślałem rozpaczliwie, bo bestia już wygrzebywała się spod pierzyny. Patrzyłem, cały rozdygotany, jak wynurzała się z pofalowanej pościeli: nagie, smukłe ramiona, porcelanowa twarz nastoletniej nimfetki, eksplozja loków barwy dojrzałych truskawek. Zatrzepotała obłędnie długimi rzęsami i uśmiechnęła się jakoś tak zalotnie i lepko; pozwoliła też, by fałda kołdry niby przypadkiem zsunęła się na tyle, bym mógł dobrze przyjrzeć się drobnej, ale zjawiskowo jędrnej piersi przyozdobionej wisienką wciąż nabrzmiałego sutka.

Moja starannie ukryta w bokserkach rozbrykana fizjologia byłaby mnie skompromitowała do reszty – jestem przecież żonaty! – gdyby nie ogon, który szarpnął się gdzieś pod przykryciem i w kluczowym

momencie zamanifestował swoją obecność postrzępioną, lekko opalizującą firanką pokrytych błoniastą skórą promieni chrzęstnych.

Dopiero teraz dotarł do mnie wyraźny zapach słonej morskiej wody oraz ciut słabszy fetor ryby wyrzuconej na brzeg.

– Gdzie uciekasz, krabiku ty mój? – zagruchała. – Wracaj do łóżka. Okropnie tu zimno bez ciebie.

– Ty… – wychrypiałem. – Ty…

– No chodź, ślimaczku, nie daj się prosić. Wyciągniemy cię z muszelki. Co, nie podobam ci się?

– Ty… ty jesteś syreną!

– Cóż, nie jesteś najwyraźniej zbyt bystry. – Westchnęła, jakby lekko rozczarowana, ale zaraz znowu się uśmiechnęła. – Ale za to jaki apetyczny.

Jej wzrok przesunął się po moim ciele, spoczął na szortach. Powoli i bardzo wymownie oblizała usta. Potem, z wzrokiem wciąż wlepionym we mnie, położyła dłoń na swojej piersi i zaczęła głaskać brodawkę.

Nie mogłem na to patrzeć. Potrząsnąłem głową, uderzyłem się z liścia w twarz. Klasnęło głośno, aż syrena drgnęła, zacisnęła palce na rąbku kołdry i spojrzała na mnie spod zmarszczonych brwi.

– Odbiło ci? – pisnęła. – Dlaczego to zrobiłeś?

– Bo cholernie chciałbym się obudzić i przekonać, że to wszystko to tylko sen.

– To nie jest sen.

Chciałem coś na to odpowiedzieć, ale w tym momencie rozległ się jakiś szmer z sypialni Olka. Zaraz potem odezwał się mój syn:

– Tato?

Podszedłem do syreny i przycisnąłem palec do ust.

– Ani słowa! Bo… bo nie wiem, co ci zrobię!

– Och, nie ma problemu – wyszeptała syrena, nagle znów rozkosznie uśmiechnięta i z błyskiem w oczach. – Mogę udawać, że straciłam dla ciebie głos, mój ty brutalu!

– Ani słowa – powtórzyłem z napięciem.

Potem poszedłem do Olka. Mój synek siedział na łóżku.

– Chcesz się napić?

Pokiwał głową, a potem zapytał:

– Mama wróciła?

– Nie, synku. Nie wróci jeszcze przez kilka dni.

– Słyszałem głos jakiejś pani – zaprotestował Olek.

– To w telewizji. Tata oglądał jakiś durny film. Śpij już.

Oddał mi opróżniony kubek i padł na poduszkę. Przykryłem go kołderką. Kilka sekund później już smacznie spał.

Wróciłem do salonu, posykując i pojękując z bólu, bo co rusz trafiałem stopami na kolejne klocki, które – gdy kładłem Olka spać – spoczywały grzecznie w dużym kartonowym pudle.

Cholerni spadochroniarze.

Stanąłem nad syreną.

– Posłuchaj – powiedziałem cichutko, bojąc się, że Olek się znowu obudzi. – Jesteś bardzo piękna. Bardzo… uwodzicielska. Ale ja mam żonę, śliczną żonę, którą bardzo kocham, to po pierwsze. A po drugie ona ma kolegów, którzy potrafią strzelać laserem z oczu albo siłą woli sprawić, że krew w żyłach zacznie wrzeć. Sama więc rozumiesz…

– Ona nie musi wiedzieć – spróbowała jeszcze syrena. – Ja na pewno jej nie powiem. A ty?

– Nie. To niemożliwe – odparłem stanowczo. Nie wyobrażacie sobie, jak wiele mnie to kosztowało. – Słuchaj, nie możesz tu zostać. Jakkolwiek miło jest gościć u siebie prawdziwą syrenę, nie możesz spać w moim łóżku. W każdym tego wyrażenia znaczeniu.

– Masz rację.

Jej zgoda kompletnie mnie zaskoczyła. Przekrzywiłem głowę i przyjrzałem się syrenie, doszukując się w tym kolejnego podstępu.

– Mam?

– Tak. Nie mogę zostać na tym łóżku. Nie obraź się, jest bardzo wygodne i jeszcze kilka minut temu świetnie się na nim bawiliśmy, do czego w każdej chwili, nawiasem mówiąc, możemy wrócić, ale jeśli nie jesteś akurat w nastroju, to wolałabym znaleźć się w wodzie. Tutaj ogon mi kompletnie wyschnie i zacznę się łuszczyć, a to, zaufaj mi, mój ty rekinie, nie jest ładny widok.

– Okej – powiedziałem, kiwając głową. – Okej. Zaraz coś…

Zacząłem błąkać się po pokoju, jakbym gdzieś wśród półek pełnych książek, ramek ze zdjęciami czy sprzętów gospodarstwa domowego spodziewał się znaleźć odpowiedź na moje problemy. Nie znalazłem niczego.

Zatrzymałem się, spojrzałem na syrenę.

– Podejrzewam że nie macie… że nie ma… nie istnieje jakieś wasze… pogotowie? Na które mógłbym zadzwonić, a ktoś przyjechałby i zabrał cię… no wiesz… z powrotem do… do morza?

Jeszcze zanim powiedziałem ostatnie słowo, zrozumiałem, że popełniam błąd. Jej oczy były jak elektryczne węgorze smagające mnie po pysku.

– Posłuchaj, kolego – powiedziała, grożąc mi paluszkiem, który jeszcze przed chwilą znacznie życzliwiej poczynał sobie wewnątrz moich spodenek. – Pływałam sobie spokojnie wśród koralowców, grałam w łapki z wężowidłami i ścigałam się z żółwiami morskimi, a potem nagle siup, pierdut i jestem w twoim łóżku. Nie powiem, żebym miała coś przeciwko, ale ja się tu nie pchałam, rozumiesz, więc jak chcesz się mnie pozbyć, musisz sam to załatwić. Jasne?

Powiedziawszy to, odwróciła głowę i zapatrzyła się na ścianę. Wyglądała na autentycznie zagniewaną i smutną. Przysiadłem obok niej na łóżku, delikatnie dotknąłem jej dłoni.

– Przepraszam – powiedziałem. – Po prostu trochę mnie to wszystko przerasta.

Otarła oczy, popatrzyła na mnie z zalążkiem uśmiechu i wesołymi iskierkami w kusząco turkusowych tęczówkach.

– W porządku – odparła. – To co, całus z języczkiem na zgodę?

7.

– Tato! Powiedz mamie, że ją kocham! I że umiem już sikać do zlewu!

Uśmiechnąłem się do Olka i pokiwałem głową, po czym odszedłem w przeciwległy koniec salonu z komórką przyciśniętą do ucha. Olek stał na taborecie i radośnie prezentował nowo nabytą umiejętność. Jakoś musieliśmy sobie przecież radzić z wyposażoną w rybi ogon nastoletnią nimfomanką, która wzięła w posiadanie naszą łazienkę.

– Karo, proszę cię – mówiłem. – Musisz mi jakoś pomóc. To jest… tego się nie da opisać. To po prostu koszmar. I nie mamy żadnej pewności, że kolejnej nocy nie pojawi się coś, co zrobi nam krzywdę.

– Nie mogą go skrzywdzić, głuptasie – odparła moja żona. – To podstawowe prawo wszystkich supermocy. To on je tworzy, więc nic mu nie grozi.

– Okej. – Odetchnąłem, po czym dotarło do mnie, że jest coś, co Karolina przemilczała. – Chwila! JEMU nie grozi. A mnie?

Moja żona dalej milczała, więc zacisnąłem dłonie w pięści i powstrzymywałem się, żeby nie zacząć przeklinać. Przecież dziecko słuchało.

– Darek, skarbie, naprawdę chciałabym ci pomóc, ale sytuacja jest cholernie napięta. Wszyscy z O.P.O.K.I. są tutaj. Wątpię, by w kraju został ktokolwiek z personelu.

O.P.O.K.A. była organizacją zrzeszającą mutantów i superbohaterów. To jej władze przyznawały licencje, organizowały szkolenia i spotkania integracyjne, zażegnywały sytuacje kryzysowe i zacierały ślady, gdy informacja o istnieniu lub działalności ich podopiecznych miała szansę przeniknąć do wiadomości publicznej.

– Słuchaj, zrobię, co w mojej mocy, pociągnę za sznurki, wykorzystam parę starych przysług – obiecała Karolina. – Może uda mi się kogoś załatwić. Ale niczego nie obiecuję.

– Jasne – odpowiedziałem. – Jasne, dziękuję. Jak wam idzie?

– Nieźle. – W głos mojej żony wkradła się pogodniejsza nuta. – Jesteśmy o krok od zmuszenia ich do podjęcia rozmów pokojowych. Pavlov's Dog właśnie przeprogramowuje ministra spraw zagranicznych Rosji na tryb bardziej skory do współpracy.

Nigdy osobiście nie spotkałem Pavlov's Doga – znanego też jako P.D. – ale słyszałem od Karo wystarczająco wiele, żeby wiedzieć, że wy też wolelibyście go nie spotkać. Ten biegający na dwóch łapach futrzak miał poczciwą mordę owczarka alzackiego oraz iloraz inteligencji, który wprawiłby Einsteina w poważne kompleksy. Specjalne protezy skonstruowane dla niego przez Doktora Killjoya pozwalały mu dorwać się do ludzkiego mózgu i zrekonfigurować to i owo. Powiem tak: jeśli kiedykolwiek

chcieliście ujrzeć świat w milionie odcieni czerwieni, przestawić się z palenia papierosów na jedzenie tatara albo poczuć się jak pąkla przyklejona do burty Titanica, Pavlov's Dog jest człowiekiem, który może wam pomóc.

Okej, może niezupełnie człowiekiem, ale wiecie, o co mi chodzi.

– A ty? – zapytałem. – Dajesz sobie jakoś radę?

– Tak… ale mamy kilku młodych, których trzeba cały czas pilnować, naprawdę na każdym kroku. Jest taka laska, Lady Chronicle, nie uwierzysz, siedemnaście lat i zadatki na trzy iksy, ale co robi? Spowalnia upływ czasu, żeby zdążyć sobie zrobić selfie z wybuchającym laboratorium broni biologicznej za plecami. Pokolenie Z, słowo daję, zabić to za mało. Jest też taki jeden gnojek, Jester Boy, który… czekaj.

Karolina musiała zasłonić mikrofon, bo przez kilkanaście sekund zupełnie nic nie słyszałem. Kiedy wróciła, brzmiała tak, jakby była zmęczona i zrezygnowana.

– Muszę lecieć – powiedziała. – P.D. niechcący usmażył tamtemu kolesiowi mózg i teraz musimy wymyślić coś innego. Buziaki, kocham cię, trzymaj się, pa!

Rozłączyła się, a ja zostałem sam z pustką w słuchawce i nie lada problemami na głowie.

– Dobra, gotowy? – zapytałem Olka.

– Gotowy, tato!

– No to śmigamy.

Zgarnąłem kluczyki do samochodu i ruszyliśmy do drzwi.

Postanowiłem, że jak tylko odwiozę Olka do przedszkola i wrócę do domu, zmyję napis „Uwolnijcie Sierżanta!" namazany wiśniową szminką Karoliny na drzwiczkach zamrażarki.

Jednak kiedy wróciłem, pod drzwiami mieszkania zastałem niedużego człowieczka w czarnym płaszczu, czarnym kapelusiku i grubych okularach. Na twarzy miał rzadką, siwą szczecinę kilkudniowego zarostu, a pod nią coś nieuchwytnego, ale dogłębnie niemieckiego – sam nie wiem – jakąś twardość, może solidność.

– *Herr Darrush Mayeski*? – zapytał głosem miękkim, ale też jakoś chropawym.

– To ja – odparłem, gdy opanowałem już zdziwienie i rozszyfrowałem komunikat. – Dariusz Majewski.

– Micho mi! Moje imie Ernst Schielke, doktor Ernst Schielke. Z O.P.O.K.A, ja? Przyjechaem z München! *Superschnell* samolhot, *ja*? *Sprechen Sie Deutsch*?

Zanim otworzyłem drzwi i zaprosiłem gościa do środka, stanęło na tym, że dla obopólnej wygody i zrozumienia rozmowę kontynuować będziemy po angielsku.

– Nakreślono mi pański problem – oznajmił doktor Schielke, kiedy już usadziłem go na krześle (kanapa, która – jak się okazało – nasiąkła kompletnie wodą morską i zapachem ryby, została już przeze mnie wytargana na balkon i stanowiła teraz obiekt zainteresowania pukających się w głowy sąsiadów) i poczęstowałem kawą. – Jak rozumiem, kwestią kluczową są sny.

– Tak.

– Znakomicie. Jestem ekspertem w kwestii snów.

– W takim razie bardzo się cieszę, że zechciał się pan do mnie pofatygować – odparłem grzecznie.

– Odpowie mi pan teraz na kilka pytań?

– Naturalnie.

– Dobrze – oznajmił doktor Schielke, wyciągając z kieszeni nieduży notes. – Jak w skali od jednego do dziesięciu oceniłby pan niedogodności związane z efektami śnienia przez obiekt?

Nie bardzo spodobało mi się słowo „obiekt" w odniesieniu do mojego dziecka, ale uznałem, że medycyna rządzi się swoimi prawami. Zastanowiłem się.

– Osiem.

– Doskonale. Teraz, w skali od jednego do dziesięciu, jak oceniłby pan potrzebę zachowania obiektu przy życiu?

Zamrugałem zdezorientowany. Popatrzyłem na doktora, szukając w jego fizjonomii czegoś, co powiedziałoby mi, że żartował, ale niczego takiego nie znalazłem. Schielke wydawał się śmiertelnie poważny.

– Dwanaście – odparłem.

– Pozwolę sobie przypomnieć, że skala jest do dziesięciu.

– Pamiętam – odrzekłem twardo. – Dwanaście.

– Ach tak, ta słynna słowiańska fantazja! – Doktor uśmiechnął się z politowaniem. – Rozumiem, rozumiem. Kolejne pytanie: w skali od jednego do dziesięciu…

Przerwał nam głośny plusk.

– Najmocniej przepraszam – powiedziałem, po czym podreptałem do łazienki.

Wszedłem do środka, zamknąłem za sobą drzwi. Popatrzyłem na syrenę siedzącą sobie wygodnie w wannie pełnej wody. Na stojącej obok szafce stał pusty talerz oraz równie pusta szklanka z grubego szkła, ozdobiona logotypem Campari. Syrena nie patrzyła na mnie, tylko leniwie przewracała kartki „Moby Dicka".

– Czym mogę służyć? – zapytałem uprzejmie.

– Nie masz przypadkiem ochoty rozebrać się i wejść ze mną do wanny? Miejsca znajdzie się dość, a mam tutaj pod ręką oliwkę, którą mogłabym nasmarować…

– A poza tym? – Przerwałem jej pospiesznie.

Prychnęła jak rozkapryszona pannica, której odmawia się wszelkich przyjemnostek.

– Kanapkę z tuńczykiem. I jeszcze jednego drinka.

Wróciłem do doktora, usiadłem na sąsiednim krześle.

– Panie doktorze – powiedziałem, nachylając się do niego. – Rozumiem, że pan ma swoje procedury, ale ja mam bardzo mało czasu, a na głowie mnóstwo spraw. Bardzo mi zależy na pana pomocy. Czy sądzi pan, że moglibyśmy pominąć tę ankietę i przejść do meritum?

– Oczywiście – odparł doktor. Schował notes i poprawił okulary zjeżdżające mu na czubek nosa. – Sny generowane są przez całą korę mózgową. Trudno coś z tym zrobić, bo rzeczona kora pełni też wiele innych, ważnych funkcji. Natomiast pewna grupa naukowców sugeruje, że obfitującą w sny fazę REM kontroluje szereg jąder tworzących zamknięty układ w okolicach pnia mózgu. Moja hipoteza jest taka, że wystarczy uszkodzić któreś z tych jąder i sprawa załatwiona – koniec ze snami.

Zmroziło mnie, gdy usłyszałem słowo „uszkodzić", a potem coś zaczęło mi się kotłować w brzuchu i podchodzić do gardła. Odetchnąłem głęboko. Później spróbowałem ukryć swoje reakcje, podnosząc do ust kubek z herbatą.

– Co dokładnie pan proponuje?

– Trepanację czaszki i wypalenie kłopotliwego miejsca laserem.

Zachłysnąłem się. Zacząłem krztusić się i prychać, pluć herbatą i śliną na podłogę. Ciekło mi po brodzie i z oczu.

– Trepanacja czaszki?! Mówi pan o dziecku!

– Ależ proszę się nie martwić, profesjonalne placówki mają na wyposażeniu piły w różnych rozmiarach, także przystosowane dla dzieci.

Rzuciłem się do zlewu, ale koniec końców nie zwymiotowałem. Po chwili opłukałem twarz wodą, wytarłem papierowym ręcznikiem i znowu zająłem swoje miejsce. Doktor Schielke czekał cierpliwie.

– Istnieją też mniej… inwazyjne metody – powiedział.

No wreszcie, ulżyło mi. Może jakieś herbatki ziołowe, tabletki…

– Można by spróbować elektrowstrząsów.

– Elektrowstrząsów?! – zawołałem.

Doktor nie zdołał opanować błogiego uśmiechu, który pojawił się na samą myśl o podobnym zabiegu.

– Jezu Chryste, czy pan do reszty zwariował?! Mowa o moim dziecku! Nigdy nie pozwolę na coś takiego!

– Dobrze, dobrze. Proszę się nie unosić. Ja tylko próbuję pomóc, tak? Zastanówmy się. Skoro trepanacja i elektrowstrząsy nie wchodzą w grę… – powiedział to takim tonem, jakbym był pacjentem cierpiącym na ból głowy, a idiotycznie broniącym się rękami i nogami przed zażyciem paracetamolu. – Czy ja wiem… może w takim razie leczenie farmakologiczne?

– Tak – podchwyciłem. – Tak, tak, właśnie.

– Skoro sny powstają w fazie REM, potrzebujemy czegoś, co stłumi tę fazę snu.

– Zgadza się. Co to mogłoby być? I czy to trudno dostępne środki?

– Raczej nie – odparł doktor Schielke. – Nadałby się alkohol w dużych ilościach, ale w okresie odstawienia nastąpiłaby wzmożona aktywność

fazy REM, a tego nie chcemy. Natomiast – tu w iście archimedesowymarchimedesowym geście uniósł palec i rozpromienił się na twarzy – komplikacje wynikające z odstawienia nie pojawią się w przypadku kokainy albo ekstazy.

Ukryłem twarz w dłoniach. Byłem załamany.

– Mówimy o czterolatku, doktorze – wyszeptałem.

– Ależ mój chłopcze – odparł cokolwiek skonfundowany Schielke – u was w Polsce wszystkie narkotyki są nielegalne, więc co wiek ma do rzeczy?

8.

Pogoda była ładna, więc prosto z przedszkola poszliśmy na spacer. Nie miałem przygotowanego obiadu, dlatego kupiłem pizzę na wynos i zjedliśmy ją na ławce w parku. Potem Olek biegał po drewnianych instalacjach, zjeżdżał ze ślizgawek i wspinał się na skomplikowane sznurowe konstrukcje. Na szczęście trafił na dwóch kolegów mniej więcej w swoim wieku i nie byłem mu do niczego potrzebny. Ostatnie, na co miałem ochotę, to bieganie po żwirze czy piachu i udawanie transformersów albo wojowników ninja. Byłem wycieńczony: psychicznie, owszem, ale przede wszystkim fizycznie. Dwie zarwane noce, a za dnia – kiedy Olek był w przedszkolu – nie mogłem pozwolić sobie na odpoczynek, bo praca nie chciała czekać na lepsze czasy. Jako freelancer musiałem brać to, co przychodziło, wtedy kiedy przychodziło, żeby nie biedować. Nie było innej rady.

Zanim zebraliśmy się z parku, żeby wracać do domu, naszła mnie refleksja, że w okolicy kręci się nadspodziewanie dużo Azjatów. Fakt, na naszym osiedlu widywało się ich regularnie, ale zazwyczaj to była jedna, może dwie osoby, a tutaj na przestrzeni ostatniego kwadransa przewinęło się ich bodajże z sześcioro. Najpierw zacząłem się nad tym głowić, ale potem stwierdziłem, że pewnie po prostu zwracam na nich większą uwagę ze względu na to, co dzieje się na świecie.

To nie był ani pierwszy, ani ostatni raz, kiedy się tak potwornie pomyliłem.

Dotarliśmy do domu po piątej. Olek rozebrał się i umył ręce (oczywiście w kuchni), a ja sprawdziłem stan mieszkania. Spadochroniarze przyczaili się, nie widziałem też żadnych nowych pułapek. Syrena drzemała sobie w wannie, otulona zapachem pomarańczy i limety; litrowy termos, który przed wyjściem napełniłem zimną margaritą, leżał kompletnie pusty na kafelkach.

To mogła być cisza przed burzą, ale tak czy owak cieszyła mnie ta chwila spokoju. Do kąpieli i całej reszty wieczornych rytuałów zostało nam trochę czasu, a ja dosłownie padałem na twarz.

Nagle dostałem SMS od teściów i poczułem, że wybawienie czasem jednak przychodzi z najmniej spodziewanej strony.

– Olek, chodź! – zawołałem go. – Dziadkowie chcieliby z tobą porozmawiać.

Na podłodze rozłożyłem laptop, uruchomiłem Skype'a. Obok postawiłem talerzyk z pokrojonym na kawałki jabłkiem oraz kilkoma herbatnikami. Musiało mu wystarczyć do kolacji.

Udało mi się nawiązać połączenie i Olek zasiadł przed laptopem, by wcinać zawartość talerzyka, bawić się samochodami oraz klockami Lego, a także sporadycznie zniżyć się do poziomu zwykłych śmiertelników, udzielając odpowiedzi na któreś z niezliczonych pytań zadawanych przez dziadków.

Zwaliłem się na materac i przymknąłem oczy zadowolony, że przez chwilę uwaga Olka skupia się na kimś innym, a nie na mnie.

Zasnąłem błyskawicznie.

Kiedy Olek obudził mnie, skacząc na mój brzuch w stylu rasowego wrestlera, nie miałem pojęcia, co się dzieje. Nie wiedziałem, kim jestem, nie wspominając o bzdetach pokroju miejsca, w którym się znajduję, czy aktualnego czasu.

Gdy po chwili doszedłem do siebie, okazało się, że minęło trzydzieści pięć minut. Olek właśnie skończył wirtualną nasiadówkę z dziadkami i z pomocą splasha godnego Hulka Hogana postanowił zasugerować mi, że najwyższy czas na kąpiel.

Wykąpałem go (w przyniesionej z łazienki miednicy), potem zjedliśmy kolację. Na dobranoc puściłem mu kilka odcinków „Boba Budowniczego".

Coś obejrzeć musieliśmy, inaczej czekałaby mnie w domu rewolucja, rozruchy i całkiem prawdopodobny lincz. Wieczorna bajka jest bowiem rzeczą świętą, dziecka prawem przyrodzonym, niezbywalnym i nienaruszalnym. Uznałem jednak, że co jak co, ale „Bob Budowniczy" – katowany regularnie od dobrych dwóch lat, z każdą kwestią Koparki czy Stracha wdrukowaną na stałe w obwody czteroletniego mózgu – do silnych bodźców nie należy.

Położyłem wreszcie Olka, a on już kilka minut później smacznie spał. Musiałem jeszcze obsłużyć syrenę – chmurną i marudną, bo na rosnącym kacu – zaniosłem jej więc dwa ibupromy oraz kilka krążków ryżowych z algami i solą morską. Tyle dobrze, że gorsze samopoczucie tymczasowo wybiło jej z głowy amory (chociaż pośród licznych narzekań pojawił się i wyrzut, że nie ma tu nikogo, kto zechciałby umyć jej plecy).

Skończyłem obowiązki i usiadłem w salonie. Było wcześnie, koło ósmej. Postanowiłem, że zrobię sobie mocną herbatę i przez godzinę czy dwie spróbuję pchnąć trochę pracy do przodu, a potem udam się na zasłużony odpoczynek. Zaparzyłem Earl Grey'a w solidnym, prawie półlitrowym kubku, sypnąłem szczodrze cukru, zamieszałem i upiłem.

Zaraz wyplułem wszystko do zlewu, krzywiąc się okrutnie. Puściłem wodę z kranu, nabrałem jej w usta i wyplułem. Jeszcze raz i jeszcze raz, żeby pozbyć się tego ohydnego smaku.

Jakiś dowcipniś wypełnił cukiernicę solą.

Albo raczej dwóch dowcipnisiów.

– Tylko na to was stać? – zapytałem głośno. – Służby specjalne, pożal się Boże.

Przesypałem zawartość cukiernicy do szklanki, herbatę wylałem, a kubek przemyłem. Nowe torebki zalałem świeżym wrzątkiem, po czym podszedłem do zawieszonej nad lodówką szafki, w której trzymałem cukier. Wszedłem na taborecie i otworzyłem drzwiczki.

Cały kilogram cukru, z torebki przyklejonej do drzwiczek szafki pułapką na mole spożywcze, wysypał mi się prosto na głowę. Nie to jednak było najgorsze, ponieważ sznurek uwiązany do owej paczki pociągnął

za sobą korowód słoików i słoiczków, pustych i pełnych, a także rozprutą torebkę z mąką oraz odkręconą butelkę z olejem rzepakowym.

Wszystko to zleciało na ziemię z okropnym brzękiem i trzaskiem, siejąc wokół szklane odłamki, paćkając pół kuchni powidłami, tytłając wszystko w mące i chlapiąc olejem na cztery strony świata.

Ponad wspomnianą już skrajnie kleistą pułapką na mole ktoś popełnił keczupem taki oto napis:

De Opresso Liber
Wietnam 1968
Zatoka Perska 1990
Afganistan 2002
Wrocław 2018

Sprzątałem wszystko przez kolejne dwie godziny, a potem padłem na materac, zagrzebałem się pod kołdrą (żeby osłonić się przed prowadzonym pod osłoną mroku ostrzałem z maleńkich, plastikowych M16) i zasnąłem.

9.

– Tato! Tato, pić!

Wstałem z oczyma wciąż sklejonymi snem i z posmakiem brudnej skarpetki w ustach (przed pójściem spać byłem tak zmęczony, że nie umyłem zębów). Powlokłem się do sypialni Olka, otworzyłem drzwi, zrobiłem krok w przód… i przewróciłem się na czymś, czego nie powinno tam być. Podniosłem się zaraz, już rozbudzony, energicznie rozcierając knykciami oczy. Odnalazłem kontakt i zapaliłem światło dosłownie na trzy sekundy – dość czasu, żebym zobaczył, co miałem zobaczyć, a także, żebym poczuł, jak po nodze ciekną mi moje własne siuśki.

Zgasiłem światło, zanim blask żarówki zaczął razić Olka. Potem szybko wziąłem dziecko w ramiona, chwyciłem kołderkę i wyniosłem brzdąca z pokoju. Starannie zamknąłem za sobą drzwi. Próbowałem być spokojny, ale zęby mi szczękały, włosy na karku wyprostowały się, a strach miętosił żołądek w trupio powykręcanych palcach.

– Tato, co się dzieje?

– Nic, nic. Dzisiaj pośpisz ze mną.

Dałem mu pić i zrobiłem miejsce na materacu. Okryłem go kołderką i ucałowałem w czoło.

Potem, wciąż w mokrych bokserkach i z moczem schnącym powoli na nodze, poszedłem przesunąć stojące w korytarzu szafy z butami, kurtkami i podobnymi rzeczami przed drzwi do pokoju Olka. Narobiłem rabanu, ludzie zaczęli walić w ścianę i sufit (swój sufit, czyli w moją podłogę), z łazienki rozległ się plusk i cichy, słodki głos, który przypomniał mi, że jeśli mam w nocy nadmiar energii, to istnieją inne, znacznie milsze sposoby na jej rozładowanie niż robienie przemeblowania.

Ignorowałem to wszystko. Dopiero kiedy byłem pewny, że drzwi do sypialni mojego synka są starannie zabarykadowane, poszedłem się umyć i przebrać. Już odświeżony, ale wciąż przerażony, z rozdygotanymi dłońmi, usiadłem na skraju materaca. Olek spał twardo, z rozchylonymi usteczkami i rozrzuconymi ramionkami.

Sięgnąłem po komórkę. Był kwadrans po dziesiątej. Biorąc pod uwagę, że różnica czasu między Polską a Stanami to przynajmniej sześć godzin, mogłem spokojnie dzwonić. Wybrałem numer teściowej.

– Darek? – zaniepokoiła się mama Karoliny. – Wszystko dobrze? Coś z Olkiem?

– Wszystko okej – odparłem, starając się brzmieć możliwie zwyczajnie. – Mam tylko jedno pytanie, bo chyba przysnąłem, kiedy rozmawialiście dzisiaj z Olkiem przez Skype'a. Co mu opowiadaliście?

Przez kilka sekund nie reagowała, wyraźnie zaskoczona pytaniem. Cokolwiek by o niej mówić, nie była głupia. Wiedziała, jaka musi być u nas pora.

– Darek, czy ty coś piłeś? – zapytała ostro. – Wiesz, że kiedy jesteś sam z dzieckiem…

– Mamo, proszę.

– Zapytaj go o prochy. – Usłyszałem w tle głos teścia. – Te szczeniaki wszystkie teraz ćpają jak głupie. Za naszych czasów człowiek napił się kulturalnie wódeczki i wiedział, na czym stoi, a teraz te dopalacze, niedopalacze, koka, hera, amfa, ekstazi, elesdi…

– Cicho, Janusz! – warknęła teściowa, po czym zwróciła się do mnie. – Darek, co się dzieje?

– Nic takiego, mamo, naprawdę. Po prostu chciałbym wiedzieć. Okej?

Westchnęła jak przechodzący na zasłużoną emeryturę kocioł parowy. Niemal widziałem to pełne rezygnacji wzruszenie ramion.

– Dareczku, różne rzeczy mu opowiadaliśmy, sama już nie pamiętam. Jesteśmy teraz w Kansas City, tu jest tyle ciekawych miejsc, naprawdę, takie niepozorne miasto, a tyle do zobaczenia, słowo. Wyobraź sobie, byliśmy w takim muzeum…

Kansas City – dotarło do mnie.

Nie miałem bladego pojęcia o muzeach w Kansas City. Wiedziałem natomiast, że znajduje się tam co innego. The Edge of Hell. Jeden z najsłynniejszych domów strachu w Stanach Zjednoczonych. A w nim…

– Dzięki, mamo. Już wszystko jasne. Trzymajcie się. Bezpiecznego powrotu.

– Darek, co się dzieje? Czy na pewno…

– Tak, tak. Do zobaczenia.

Rozłączyłem się, odłożyłem komórkę na bok. Zostawiłem zapaloną małą lampkę w kącie pokoju, bo w tej chwili nie zniósłbym siedzenia w mroku.

O śnie mogłem zapomnieć.

Po pewnym czasie, nasłuchując dobiegających zza ściany szmerów i szelestów, stwierdziłem, że dobrze zrobiłem, dzwoniąc do teściów.

Teraz przynajmniej wiedziałem, że blisko dziesięciometrowy wąż, którego pozawijane, łuskowate cielsko ujrzałem w sypialni Olka, to nie anakonda, jak w pierwszej chwili błędnie uznałem, ale pyton siatkowy.

Taki sam jak ten, który jest główną atrakcją The Edge of Hell w Kansas City.

10.

Pięć minut później usłyszałem stłumiony, odrobinę jakby głuchy brzęk tłuczonego szkła. Na chwilę zapanowała cisza, potem zaś nadszedł cichy, mysi chrobot.

Drapanie dobiegało od strony zamrażarki.

Uwolnili się – pomyślałem. *Uwolnili się ze słoja.*

Zacząłem zastanawiać się, ile czasu im zajmie, nim znajdą jakiś sposób, żeby uciec z zamrażarki. Wiedziałem, że ta chwila prędzej czy później nadejdzie. Zegar już tykał.

– Karo – wyszeptałem cicho. – Wracaj, kochanie. Wracaj jak najszybciej. Nie dam rady bez ciebie.

Olek drgnął, ale to nie był żaden niespokojny sen, po prostu przewracał się z boku na bok. Wpatrywałem się w niego, oblizując nerwowo wargi. Czułem, jak serce szaleje mi w piersi.

Nie mogę zasnąć – zrozumiałem. *Muszę go pilnować.*

Włączyłem wyciszony telewizor, a milczące kadry rozlały się kolorowym światłem po ścianach pokoju. Patrzyłem na obrazy Dalekiego Wschodu z wyrzutniami rakiet, czołgami, łodziami podwodnymi i bombowcami taktycznymi w roli głównej.

Był piątek trzynastego kwietnia, kiedy to – sądząc po tym, co widziałem – znaleźliśmy się o krok od końca świata, ale ja myślałem tylko o moim dziecku i o tym, co roiło się w jego główce.

11.

Następnego dnia wypadała sobota, a to oznaczało brak przedszkola i cały dzień z Olkiem. Noc trudno było uznać za udaną (ja przez większość czasu nie spałem, a on był przeze mnie budzony przy najmniejszym podejrzeniu, że znowu zaczyna śnić), więc całe szczęście, że dzień wstał śliczny, słoneczny, bez ani jednej chmurki na niebie.

Olkowi specjalnie nie spodobało się to, że drzwi do jego pokoju zniknęły za sporą barykadą, a wszystkie ulubione zabawki zostały po drugiej stronie, ale w końcu pogodził się z zaistniałą sytuacją. Fakt, że pozwoliłem mu zjeść na śniadanie podwójną porcję lodów truskawkowych, mógł nie być w tym przypadku bez znaczenia.

Po tym początkowym sukcesie sprawy zaczęły jednak prezentować się coraz gorzej: Olek dopytywał się o chroboty z zamrażarki i niecierpliwe pluskanie dobiegające z łazienki, a moje wymijające odpowiedzi

wyraźnie mu nie wystarczały. W końcu stwierdziłem, że mam tego dość: zapakowałem najważniejsze rzeczy do plecaka i oznajmiłem, że wyruszamy na wyprawę. To zajęło go do tego stopnia, że przez kolejny kwadrans, kiedy przygotowywaliśmy się do wyjścia, niczym innym się nie przejmował.

Poszliśmy do leżącego nieopodal parku Zachodniego. Bawiliśmy się na placu zabaw, karmiliśmy pierwsze wiewiórki i ptaki, spacerowaliśmy alejkami wśród buków, dębów, kasztanowców. Zawędrowaliśmy aż nad Odrę i szwendaliśmy się nad jej brzegiem, wygrzebując ze ścieżki kamyki i ciskając je do wody. Potem w restauracji przy Hali Orbita zjedliśmy wczesny obiad. O dziwo, dobre jedzenie, słońce i ruch sprawiły, że nawet oczy przestały mi się tak okropnie kleić. Odnalazłem w sobie jakieś pokłady siły, z których istnienia wcześniej nie zdawałem sobie sprawy.

Kiedy Olek zajadał się owocami w polewie czekoladowej, ja zacząłem dumać, co dalej. Przyszła mi do głowy myśl – i z każdą chwilą coraz bardziej do mnie przemawiała – by nie wracać do mieszkania. Miałem w plecaku zapas ciuchów dla Olka na dwa dni, musiałbym tylko sprawić sobie jakąś bieliznę, ale to nie był akurat żaden problem. Gdyby tak znaleźć jakiś niedrogi hotel i tam zadekować się do powrotu Karoliny… Musiała przecież w końcu wrócić, za dzień albo za tydzień, nie mogli jej tam trzymać w nieskończoność.

Nie mogli, prawda?

Wyciągnąłem komórkę i, korzystając z restauracyjnego Wi-Fi, rzuciłem się do wyszukiwania. Przeglądałem strony kolejnych hoteli i hotelików, sprawdzałem cenniki, dostępność pokoi. Ten za daleko. Tamten zbyt obskurny. Ten za drogi. Ten byłby idealny, ale akurat teraz wszystkie pokoje mają zajęte.

Wreszcie znalazłem coś znośnego – dwuosobowy pokój w rzekomym trzygwiazdkowym standardzie, na trzy noce, za siedemset dwadzieścia złotych. Na tyle mogłem sobie jeszcze pozwolić.

Zacząłem wpisywać dane potrzebne do rezerwacji, kiedy nagle, chyba bez powodu, pomyślałem o moich teściach. Już widziałem ich twarze, ich spojrzenia, w chwili gdy Olek powiedziałby im, że nocowaliśmy w hotelu.

Uznaliby to za absurdalny pomysł, za chory kaprys, za jakąś idiotyczną słabostkę. Nocleg w hotelu, gdy ma się w tym samym mieście własne mieszkanie. I dlaczego? Z powodu jakiejś pieprzonej syreny, węża w zamkniętym pokoju oraz bandy plastikowych żołnierzyków?

Nagle zrobiło mi się głupio. Karolina bez wahania polazła w ogień CKM-ów i od kilku dni bez słowa skargi urzędowała w strefie, która w każdej chwili mogła zamienić się w zeszkloną, atomową pustynię. Z podniesionym czołem znosiła rozmaite trudy dla większego dobra. A ja chciałem uciec? Do cholernego hotelu?

Nic z tego.

– Chodź, Olek – powiedziałem z werwą, gdy mój synek skończył deser, a kelnerka przyjęła od nas pieniądze za posiłek. – Zmykamy stąd.

– Dokąd teraz idziemy, tato?

– Teraz, synku, idziemy na wojnę.

Pojechaliśmy do centrum handlowego Magnolia. Zaczęliśmy od zakupów w Tesco: najpierw wybraliśmy metalowy neseser wyłożony pianką, a potem na dziale produktów dla domu kupiliśmy kilka możliwie najdroższych i najbardziej zabójczych pułapek na myszy. Na półkach z zabawkami znalazłem rozbudowany zestaw plastikowych żołnierzyków. Dogadałem się z Olkiem, któremu oczy aż się roziskrzyły na ich widok, że mu go kupię, jeśli będę mógł przywłaszczyć sobie trzy zabawkowe zasobniki z rodzaju tych, którymi zrzucano zaopatrzenie za linie wroga: broń, amunicję, racje żywnościowe, radiostacje.

Cenne zasobniki i pułapki na myszy – pomyślałem. *Zobaczymy, czy na pewno jesteście tacy cholernie cwani.*

Gdy uznałem, że sprawę żołnierzyków mam już rozpracowaną, zajrzeliśmy do McDonalda na frytki (a co, niech mały ma coś z życia, skoro okoliczności tymczasowo pozbawiły go mamy, sypialni i dostępu do ulubionych zabawek). Olek maczał frytki w keczupie i pożerał je jedna za drugą, jakby od tygodnia nic nie jadł, robiąc tylko krótkie przerwy na przemieszczanie nowo nabytych żołnierzyków po blacie. Ja tymczasem skorzystałem z dobrodziejstw smartfona i darmowego internetu – z pomocą wujka Google znalazłem firmę HeńFisz, która okazała się

jednoosobowym przedsięwzięciem niejakiego Henryka Klenia. HeńFisz okres prosperity przeżywała w okolicach świąt Bożego Narodzenia, kiedy to jej właściciel transportował żywe karpie z milickich stawów na któreś z wrocławskich targowisk. Natomiast – sądząc po głosie i specyficznej elokwencji tego rekina biznesu – przez resztę roku pan Henryk zajmował się stałym monitorowaniem poziomu jakości alkoholi niskobudżetowych. W każdym razie w ciągu jedenastominutowej rozmowy telefonicznej dogadaliśmy się, że za pół tysiaka załatwi mi na jeden dzień wóz ze zbiornikiem do przewozu ryb i nie będzie zadawał żadnych pytań.

Przy obecnym stanie S8 z Wrocławia do Łodzi i potem A1 z Łodzi do Gdańska obrócenie z moją niewyżytą Arielką nad morze i z powrotem nie powinno być jakimś szczególnym problemem.

Została kwestia węża. W tym celu zabrałem Olka do sklepu zoologicznego. Podczas gdy zacząłem subtelnie wypytywać sprzedawcę (rzadki zarost, ledwo kryjący pryszczatą gębę, okulary jak lornetka bez obudowy oraz długie, obsypane łupieżem włosy), mój syn błyskawicznie owinął sobie wokół palca młodą, śliczną stażystkę. Chodził z nią potem od klatki do klatki, od akwarium do akwarium, zadając dziesiątki pytań, często pozbawionych śladów sensu, nie mniej wymagających odpowiedzi.

Rozmowa ze sprzedawcą podsunęła mi kilka pomysłów. Co prawda nie w kwestii tego, jak pozbyć się bestii z mieszkania bez wzbudzania sensacji – co to, to nie. Natomiast odnośnie do zabezpieczenia reszty lokalu – owszem. Zresztą wyglądało na to, że na razie powinienem mieć spokój: w temperaturze poniżej dwudziestu jeden stopni Celsjusza węże robiły się podobno ociężałe, a często nawet popadały w swoisty letarg. Kaloryfer w pokoju Olka był wyłączony, okno rozszczelnione, nocami zaś temperatura na zewnątrz wciąż spadała w okolice pięciu, siedmiu stopni – to powinno wystarczyć, żeby ostudzić gadzi temperament i zapewnić mi kilka dni względnego spokoju.

Wiedza ta, jakkolwiek kojąca, nie przeszkodziła mi w zakupie paralizatora, gazu pieprzowego, nowej siekiery oraz zapasu wkrętów i stalowych kątowników – te ostatnie żeby na wszelki wypadek tu i ówdzie lepiej umocować prowizoryczną barykadę do ściany.

Potem zgarnąłem Olka sprzed akwarium z błazenkami, gdzie śliczna stażystka tłumaczyła mu, że niektóre gatunki ryb właściwie nigdy nie przestają rosnąć, i ruszyliśmy do domu.

Po drodze, która trwała blisko godzinę, miały miejsce trzy dość istotne zdarzenia. Po pierwsze w rezultacie intensywnego korzystania z internetu, padła mi bateria w telefonie. Po drugie Olek, umęczony długaśnym spacerem, zakupami, a przede wszystkim kiepsko przespaną nocą, zaczął się słaniać i marudzić – był bliski zaśnięcia na stojąco. Po trzecie moje własne wycieńczenie na chwilę znowu dało mi spokój, rozpędzone na cztery wiatry przez adrenalinę – nagle bowiem opanowało mnie osobliwe wrażenie, ba, pewność wręcz, że jestem obserwowany. Ile razy jednak rozglądałem się dookoła, widziałem tylko zwyczajnych ludzi zwyczajnie spacerujących po zwyczajnym osiedlu – choć znowu mógłbym przysiąc, że nieproporcjonalnie wielu spośród nich wydawało się pochodzić z Azji.

Czyżby to uchodźcy zawczasu szukali miejsc bezpieczniejszych niż grożący wykipieniem tygiel Azji Południowo-Wschodniej?

Kiedy wróciliśmy do mieszkania, Olek był tak padnięty, że na nic już nie zwracał uwagi – ani na pełne frustracji nawoływania z łazienki, ani na coraz bardziej natarczywy chrobot dobiegający z zamrażarki, ani na stłumiony ścianami miszmasz odgłosów, jakie wydaje dwustukilowy wąż pełznący po zabawkowym, elektrycznym pianinku. Natychmiast położył się na materacu (zupełnie sflaczałym, bo przebitym przez kogoś w kilku miejscach wykałaczkami), nakrył kołderką (z której, w kolejnym barbarzyńskim akcie dywersji, odpruto guziki) i zasnął.

Wszystkie zakupy zostawiłem obok stołu, po czym podłączyłem komórkę do ładowarki. Nie zdążyłem zająć się niczym innym, bo seria sygnałów powiadomiła mnie o licznych SMS-ach.

Wszystkie były od Karoliny.

I wszystkie, choć w detalach różniły się treścią, powtarzały przekaz zawarty w pierwszej wiadomości: „ZADZWOŃ, PILNE!".

Wybrałem numer i z łomoczącym sercem czekałem na jej głos.

Boże – prosiłem – *nie pozwól, żeby coś się jej stało.*

Odebrała po dwóch sygnałach.

– Darek! Jezu, jak dobrze, Darek…

Jej ton wystraszył mnie nie na żarty. Karolina brzmiała jak połykane łzy, jak gęsia skórka, jak ciarki wędrujące po plecach. Mówiła szybko, chaotycznie.

– Co się dzieje? – zapytałem. – Karo, skarbie, uspokój się i powiedz, co się dzieje.

– Zhakowali bazę danych. Bazę O.P.O.K.I., rozumiesz? Mieliśmy wyciek. Cholernie duży wyciek. Musicie uciekać, ty i Olek. Teraz, już!

– O czym ty mówisz?!

– Myślą, że jesteśmy szpiegami! Mają wszystko: nasze adresy, dane… Mówię: wszystko. Darek, oni tam mogą lada moment być. Przyjdą po was. Błagam cię, uciekajcie, ukryjcie się gdzieś…

– Kto? Karo, kto po nas przyjdzie?

– Chińczycy. Dopadli rodzinę Meffista. I rodziców Jester Boya. Darek, proszę cię, nie ma czasu, oni…

Nagle usłyszałem głosy na klatce schodowej. Z komórką przy uchu podbiegłem do drzwi i pospiesznie poprzekręcałem wszystkie zamki. Wyjrzałem przez wizjer. Sylwetki wbiegające po schodach, kolejne w otwierających się drzwiach windy. Kominiarki na twarzach, w dłoniach pistolety maszynowe. Widziałem, jak jeden z nich poprawia czapkę, żeby nie było widać jego twarzy. Szczupłej, gładkiej twarzy z grzywką czarnych włosów i skośnymi, ciemnobrązowymi oczyma.

– Szlag – wychrypiałem. – Już tu są.

– Darek, uciekajcie!

Rozłączyłem się, komórka wypadła mi z trzęsących się dłoni, zleciała na podłogę. Strach eksplodował w moim wnętrzu jak granat, poszatkował odłamkami wnętrzności, pociął mięśnie. Nie mogłem się ruszyć – ledwo trzymałem pion na nagle rozmiękłych, drżących nogach.

Ktoś zaczął walić pięścią w nasze drzwi. Słyszałem także obce, nosowe nawoływania, pewnie po chińsku. Gdzieś na klatce odezwał się też jakiś polski głos, ale zamilkł, gdy odpowiedział mu terkot broni automatycznej.

– Jezu Chryste – powiedziałem.

Popędziłem do salonu. Porwałem śpiącego Olka w ramiona, przytuliłem go mocno. Od strony wejścia do mieszkania huknęło dwa razy, jakby ktoś wjechał ciężarówką w ścianę. Dym, pył i drzazgi z trafionych drzwi wypełniły korytarz. Lustro też oberwało i ze szklistym brzękiem rozpadło się w drobniutkie okruchy.

Wypadłem z Olkiem na balkon, rozejrzałem się rozpaczliwie. Co mogłem zrobić? Mieszkaliśmy na rogu budynku, więc żadne balkony nie sąsiadowały z naszym. Nie miałem szans zejść na ten pod nami, nie z Olkiem na rękach. Na dole, cztery piętra niżej, rósł co prawda sporych rozmiarów krzew, ale ledwie pomyślałem, żeby na niego zeskoczyć, a wyobraźnia podsunęła mi obrazy sztywnych gałęzi rozpruwających moją skórę i dziurawiących ciało. Co w takim razie? Olek był znacznie lżejszy, miał jeszcze jako taką szansę przeżycia. Zrzucić go na ten krzak? Jezu Przenajświętszy, nic z tego, nie wypuszczę go z rąk, nie pozwolę, nie moje dziecko, nie mojego kochanego synka…

Za moimi plecami rozległy się kroki, szczęk broni, krzyki. Zerknąłem przez ramię. Było ich pięciu, wszyscy uzbrojeni. Mieli mnie na muszkach, pokazywali gestami, żebym wrócił do mieszkania, ciskali we mnie komendami jak kamieniami. Dopiero gdy powtórzyli je kilka razy, stwierdziłem z zaskoczeniem, że rozumiem, co mówią.

– *Come* – powtarzał ten, który mówił najwięcej i najgłośniej. – *Inside house. Come.*

– *Come. Inside house.*

– *Inside THE house* – mruknąłem odruchowo, przekraczając próg.

Moja dbałość o poprawność gramatyczną spotkała się z życzliwą aprobatą, która przyjęła postać lufy karabinka kłującej mnie w skroń (to chyba był Vityaz-SN, ale mogę się mylić – widziałem go ze zbyt bliskiej odległości, żeby przejmować się modelem).

– *Yougowithus* – wydusił Chińczyk, robiąc z czterech słów jedno. – *Notgo, youdie, hmm? Quick!*

Poprawiłem sobie Olka na ramieniu. Mimo całego zamieszania wciąż spał jak zabity. Zaczynałem podejrzewać, że ta jego umiejętność

zażywania snu niezależnie od tego, co dzieje się wokół, też zahaczała o supermoce.

– *Please, leave my son out of this* – zacząłem. – *He is so young. I will gladly go with…*

Zamilkłem nagle. Tak naprawdę nie wiem, czy byłem zaskoczony, przerażony czy może raczej… rozbawiony?

Przypomniałem sobie rozmowę Olka z panią z zoologicznego o tym, że ryby nigdy nie przestają rosnąć.

Za plecami napastników właśnie zmaterializował się błazenek. Urocza rybka w pomarańczowe i białe pasy, z czarnymi falbankami na końcach płetw.

Urocza rybka, która ważyła co najmniej kilkaset kilogramów i miała dobre cztery metry długości.

Błazenek przez sekundę lub dwie sekundy podejmował karkołomne próby utrzymania pozycji wertykalnej, po czym z ciężkim, mokrym łupnięciem zwalił się na bok, miażdżąc jednego z Chińczyków.

Wystarczyło, że pozostali odwrócili głowy w stronę wyjącego kamrata – natychmiast rzuciłem się wraz z Olkiem pod kuchenny stół. Słyszałem strzały rezonujące ogłuszająco wśród ścian, a także hałaśliwe mlaśnięcia kul grzęznących w gargantuicznym rybim cielsku. Ryba podskakiwała jak wyrzucona na brzeg, telepała się, biła o ściany, wstrząsała całym blokiem. Skrajna kuchenna szafka oberwała się z kołków, grzmotnęła o kuchenny blat, jej zawartość posypała się na podłogę z kaskadą brzęków i trzasków.

Jeszcze jeden z napastników zginął przygnieciony potężnym cielskiem błazenka. Zerknąłem w bok, żeby sprawdzić, czy jakimś cudem zdołamy się wyślizgnąć, ale nie było takiej możliwości. Ujrzałem za to parę maleńkich spadochroniarzy szarpiących się z drzwiczkami od zamrażarki.

Dotarło do mnie, że to jest moja szansa, moja jedna szansa na milion, i że innej nie będzie.

Zostawiłem Olka pod stołem, a sam przeczołgałem się w stronę lodówki. Odtrąciłem spadochroniarzy, otworzyłem białe drzwiczki, potem pociągnąłem za szufladę. Nie czekając na efekty moich działań,

odczołgałem się z powrotem pod stół do Olka. Objąłem go ramieniem, przytuliłem do siebie i osłoniłem własnym ciałem od wszystkiego, co się działo.

– Nareszcie! – Usłyszałem głos Sierżanta. – Przegrupowanie. Shields, raport!

Przekrzywiłem głowę, żeby widzieć, jak wyskakują z zamrażarki – małe plastikowe figurki przyprószone szronem, oklejone igiełkami lodu. Rozpierzchły się zaraz, ustawiły w jakiś szyk, gotowały broń do walki.

– Melduję, że młody jest w niebezpieczeństwie, Sierżancie!

– No to do roboty! Bij komucha! Jak w Kambodży w siedemdziesiąt…

Nie dosłyszałem, co było potem. W tej chwili bowiem nafaszerowany ołowiem błazenek rzucił się raz jeszcze i z potwornym łomotem wpadł swoim kilkutonowym cielskiem na barykadę w przedpokoju, rozwalając ją w drobiazgi. Zaraz potem niedbałe smagnięcie ogona roztrzaskało drzwi do sypialni Olka.

O w mordę – pomyślałem.

Seria z karabinka zadudniła o stół, drobne kawałeczki drewna fruwały wszędzie, bijąc mnie po twarzy. Przytuliłem się do synka, upewniłem się, że okrywam go całkowicie, że każdy pocisk, który miałby go trafić, musiałby najpierw uderzyć we mnie.

Skupiłem się na oddychaniu i rozpaczliwie szeptanych modlitwach. Przerażenie łamało mi kości i zamieniało krew w żyłach w stygnący ołów.

Terkot pistoletów maszynowych rozsadzał uszy.

– Pluton, do natarcia! – krzyczał Sierżant. – Granaty z napalmem, dawać mi tu granaty z napalmem! Green, gdzie wsparcie powietrzne?!

Błazenek przewracał się w rybim milczeniu z boku na bok, plaskając płetwami o parkiet i ściany, wzbudzając w całym budynku niebezpieczne wibracje.

Coś wielkiego pełzło i syczało, a Chińczycy wrzeszczeli z przerażenia i mocowali się z wymianą magazynków.

Kroki, bieg, trzaśnięcie drzwi.

I ledwo słyszalny, pełen kokieterii głos:

– Och jej, groźny samiec wdziera się do łazienki, a ja taka naga, taka bezbronna, taka wilgotna…

Zamknąłem oczy. Gdybym mógł, zamknąłbym też uszy i nos. Schowałbym się do takiej mentalnej skorupy i odizolował od tego wszystkiego. Od odgłosu gruchotanych kości. Od chińskiego wrzasku nagle zduszonego do przeraźliwego bulgotu, od dłoni gorączkowo rozchlapujących wodę w wannie, od pęcherzyków powietrza uciekających z kominiarki wciągniętej głęboko pod wodę. Od chmur gazu pieprzowego, do którego dorwali się dwaj spadochroniarze, a także od niebieskawych, trzeszczących wyładowań paralizatora i głosu Sierżanta mówiącego:

– Popieśćcie go jeszcze raz, Thorpe! Na wszelki wypadek.

Kiedy kilka minut później w mieszkaniu wreszcie zapanowała cisza, powietrze smakowało sypiącym się tynkiem. Otworzyłem oczy i ostrożnie, powolutku poruszając głową, powiodłem wzrokiem dookoła.

Nigdzie nie widziałem Chińczyków, natomiast dziesięciometrowy pyton siatkowy leżał zawinięty wokół nas jak wokół jaj. Spoczywał na kaflach nieruchomo, błogo i leniwie wysuwając rozdwojony język z pyska, ociężały od kształtu groteskowo rozpychającego jego łuskowate cielsko.

Trawił.

Ostrożnie chwyciłem Olka w ramiona i wyślizgnąłem się spod stołu.

Nigdzie nie widziałem żołnierzyków, z łazienki natomiast dotarło do mnie tylko ciche, pełne zadowolenia, kobiece westchnienie.

Możliwie cicho opuściłem mieszkanie, a Olek wisiał mi na rękach i spał w najlepsze.

12.

– Sytuacja opanowana – powiedziała Karolina. – Jutro wracam.

Pościel była miękka i pachnąca, pokoik w hotelu nieduży, ale nawet przytulny. Telewizor błyskał relacjami z rozpoczęcia rozmów pokojowych w Changchun. Piwo, pite prosto z pocącej się butelki, smakowało wyśmienicie, chyba jak nigdy wcześniej.

– To dobrze – powiedziałem. – Stęskniłem się za tobą.

– Jak tylko wrócimy, ludzie z O.P.O.K.I. zajmą się naszym mieszkaniem. Rozmawiałam już z panem dyrektorem Furiatem i powiedział…

Nie bardzo docierało do mnie, co powiedział Mikołaj Furiat, szef polskiego oddziału organizacji, do której należała Karolina. Tak po prawdzie, nie interesowało mnie to. Interesowało mnie tylko to, że moja żona była cała i zdrowa, tak samo Olek i ja też, jakimś cudem – dziękować należy opatrzności i wszystkim innym wyższym instancjom. Chciałem słuchać jej głosu, popijać piwo i powoli odpływać w ramiona snu.

Długiego, niczym nieprzerywanego snu.

– Rodzice wzięli Olka? – zapytała Karolina.

– Tak.

– Mówiłeś im o… no wiesz?

– Tak.

Owszem, mówiłem. Kiedy mój teść przyjechał po Olka swoim lexusem, próbowałem wyjaśnić mu w sposób możliwie klarowny i precyzyjny, że ich ukochany wnuczek miewa obecnie bardzo realistyczne sny i że muszą liczyć się z perspektywą ciężkiej, nieprzespanej nocy.

– Darek, zmiłuj się, na litość boską – sapnął wtedy ojciec Karoliny. – Pogodziłem wychowywanie dwóch córek z robieniem kariery, a to było w znacznie trudniejszych czasach, nie to, co teraz. I żyję. Nie oceniaj wszystkich własną miarą.

– Okej – odparłem wtedy zupełnie spokojnie, bo po spojrzeniu w lufy pięciu SMG, po spotkaniu z gigantycznym błazenkiem i towarzyszeniu olbrzymiemu pytonowi w trawieniu obiadu, nie było szans, żeby wyprowadził mnie z równowagi jakiś zadufany w sobie pierdoła w samochodzie za ćwierć bańki. – Bawcie się dobrze.

– Mam nadzieję, że akurat dzisiaj Olkowi nic się nie będzie śniło – powiedziała Karolina. – Wolałabym uniknąć interwencji O.P.O.K.I. w domu moich rodziców.

– Nie przejmuj się – powiedziałem, nie starając się nawet opanować ziewnięcia. Senność kleiła się do mnie ochoczo i zapamiętale jak pewna namiętna syrena. – Pamiętaj, że jemu nic nie grozi.

– Jemu nie, ale…

– Wszystko będzie okej, Karo. Do zobaczenia jutro. Kocham cię.

Rozłączyłem się. Komórkę wyciszyłem, żeby nikt mnie przypadkiem nie budził, po czym odłożyłem ją na szafkę. Zgasiłem nocną lampkę. Pustą butelkę upuściłem na miękki dywan i nie przejmowałem się nią więcej. Sięgnąłem po pilota i wyłączyłem telewizor. Potem obróciłem się na bok i przytuliłem twarz do poduszki.

W przyjemnym, zacisznym mroku hotelowego pokoju zasypiałem z uśmiechem na ustach, myśląc leniwie o książce, którą wręczyłem teściowi przed jego odjazdem z sugestią, żeby poczytali ją na dobranoc.

– Weź – powiedziałem wtedy. – Jeszcze jej nie czytaliśmy, a takiemu bystremu chłopcu jak Olek na pewno bardziej się spodoba niż zwyczajne bajki.

Mój teść, który zawsze przedkładał książki z gatunku „Tak żyli ludzie" albo „Jak to działa" nad historyjki o rycerzach, krasnoludkach i sprytnych szewcach, zdziwił się, ale pokiwał głową i położył podany mu tom na siedzeniu pasażera.

Tą książką była pięknie ilustrowana, bogata w budzące grozę szczegóły encyklopedia dinozaurów.

DZIEŃ WALPURGII

Ahsan Ridha Hassan

Każda, nawet najbardziej banalna historia wymaga wstępu. Pozwól, że się przedstawię – Juliusz, Juliusz Kotara. Dzisiaj rano moje serce przestało bić. Dosłownie.

Z historiami jest jak z rzeczami – ale nie ze zwykłymi, powiedziałbym raczej, że z rzeczami specjalnymi. Takimi jak pierścień z rubinem po babci, który zgodnie z familijną tradycją przekazywany jest z pokolenia na pokolenie dziewczynie wchodzącej w dorosłość; jak talizman odlany z czarnego srebra, kupiony od przypadkowego sprzedawcy na Hali Targowej w Krakowie. Albo jak Sokół Millennium z klocków Lego za prawie dwa tysiące odłożonych z trudem złotych. Każdy z tych skarbów ma swoje miejsce na półce.

Czasem zasada decorum ulega zaburzeniu zależnie od działań losu w postaci złośliwych dłoni, które zabierają przedmioty z właściwych im miejsc. Biżuteria nie wraca do puzderka, a Sokół nie ląduje na najwyższej półce za szkłem. Z historiami jest podobnie, a przynajmniej powinno być. Dzień – czyli początek historii – w którym zdałem sobie sprawę, że zupełnie nie żyję, powinien zaczynać się jak z kliszy: blade promienie słoneczne niby sterczące trupie palce z trudem przebijają się przez watę z wilgoci, która wlewa się przez uchylone okno, przez ciężkie, zakurzone kotary. Wilgotny obłok pełźnie po dębowej podłodze mackami Wielkiego

Przedwiecznego, oplata nogi łoża, pnie się w górę, dotyka moich zimnych pięt, łydek, ud, brzucha, wsuwa się do gardła.

Kiedy się budzę, krztusząc się mgłą, z przerażeniem dostrzegam, że lepka wilgoć osnuwa mnie całego. W pokoju ziąb, a za oknem listopad. Ciężkie krople tłuką od kilku ciemnych dni i nocy w rozmokłe błoto, jeszcze tydzień temu będące ścieżką prowadzącą do mojego dworzyszcza pod borem. Zbliża się pora ponurych dni, pora duchów, pora dziadów.

Niestety stało się zupełnie inaczej. Zasada decorum opowieści została rozłupana już na samym początku, niczym orzech.

Zacznę od tego, że był lipiec, dokładniej lipcowy poranek. Czyli jeden z tych dni, kiedy budzisz się na godzinę przed budzikiem, bo promienie słoneczne drażnią powieki, a mokra od potu kołdra zwiastuje patelnię, ukrop i zaduch. Żadnego deszczu, żadnych mgieł, dni skwarne i długie, wieczory na tyle znośne, że można posiedzieć nad Wisłą z piwkiem, ale w sumie to nie, bo chmary komarzysk. Dzień wydawał się najzwyczajniej pozbawiony niezwyczajności – nic nie skrzypiało, nic nie budziło mnie o trzeciej nad ranem, czyli o przyjętej w naszym kręgu kulturowym godzinie duchów i opętań, nikt nie szlachtował kota na ofiarę diabłu. Co więcej, obudziłem się w zupełnie zwyczajnych bokserkach, na najbardziej zwyczajnym podwójnym łóżku z Ikei z podwójnym materacem (skrzypiało, gdy wstawałem, ale nie zwiastowało to obecności Złego, lecz jedynie jęk wielokrotnie klejonych taśmą szczebelków, raz po raz pękających pod naporem ciała mojego i ciał kobiet, które się przez nie przewinęły), w totalnie zwyczajnym mieszkaniu na parterze w dziesięciopiętrowym bloku, w betonowej twierdzy, potocznie nazywanej Osiedlem Złotego Wieku.

Nie jestem też ani wampirem, ani wilkołakiem, ani żadnym potworem. Nikt nie rzucił na mnie uroku w ciągu ostatnich miesięcy, nie piłem naparu z tojadu, nic nie wiem o laleczce voodoo z moją podobizną, nie opętał mnie demon – w zasadzie nie wierzę w takie rzeczy. Obudziłem się jako ja, Juliusz Kotara. Jak widać, jestem średniego wzrostu brunetem, dbam o siebie, reguluję baki, noszę okulary zerówki dla *looku*. Mam tatuaż na przedramieniu, o tu, aż podciągnę rękaw. Znak zodiaku, Skorpion (cholernie bolało podczas dziarania, ale to uwaga na marginesie). Chodzę na

siłownię. Uprzedzając stereotyp – nie, nie jestem pracownikiem żadnej korporacji. Nie żebym nie chciał, chciałbym bardzo. A przynajmniej chciałem, bo umowa o pracę, bo fajna kasa, bo mógłbym mieszkanie na kredyt kupić parę pięter wyżej, a nie, jak teraz, najtańsze na parterze. Jak ktoś nie wie, to na parterze zawsze są najtańsze.

W każdym razie nie chodzę na co dzień w garniaku i z teczką w ręce. Teraz jestem grafikiem freelancerem – podkreślę: początkującym. Ale kilka zleceń już za mną, parę stron internetowych, loga, detepe, takie fuszki. Można powiedzieć, że powoli przerzucam się na pracę kreatywną. Dlaczego? Ciągnie mnie do tego od malucha. Wcześniej nie było kasy, żeby się kształcić, bo mieszkam co prawda w Krakowie, ale z Krakowa nie pochodzę. Przyjezdny, jak większość, z małej wioski za Wieliczką. Gdzie przyszłość zapisana nie w gwiazdach, a w spożywczaku. Albo w dilerce. Mi się akurat poszczęściło i na warsztacie, że tak powiem, etat się zwolnił, mechanikiem przez kilka lat byłem tam, a potem tu, to znaczy w Krakowie. Z mechanika w grafika, zabawne, prawda? Tu niby ciężka robota, dłonie chropowate, starte od tych śrubek, zaworów, opon, kluczy, kabli, smarów… Ale chyba smarowanie właśnie łączy te dwie dziedziny.

Co lubię? Hmm… Grafiki różnych artystów, ostatnio szczególnie Henrika Uldalena. Jest w nich coś takiego jak dotyk tajemnicy i rozpaczy. I śmierci. O tak, wyczuwam w tym czystą śmierć. Jeżeli miałbym opisać Ponurego Żniwiarza, przedstawiłbym go właśnie jak jedną z prac Uldalena. Mają w sobie tyle niepokoju… Dobra, dość pierdolenia. Zapalę papierosa, mogę? Świetnie. Chociaż nic mi to nie da, płuca też nie działają, już dawno wysiadły, ale taki nawyk.

No właśnie. Mimo tego wszystkiego dzisiaj rano obudziłem się zupełnie martwy. Zastanawiasz się pewnie, jakie to uczucie? Powiem ci. To nie jest tak, że nie czujesz nic. Czujesz coś takiego… Chwila, próbuję złapać odpowiednie słowo. Albo lepiej. Krótka historia. Posłuchaj.

Całkiem niedawno, chyba na Śląsku. Młody facet przed trzydziestką, na co dzień kierowca, magazynier. Żonaty, od kilku lat marzy o dziecku. W końcu nadchodzi ten dzień, kiedy słyszy od niej: „Będziemy je mieć". Z radości organizuje z kumplami ognisko, piwo, kiełbaski, potem idą do

klubu. O piątej nad ranem wychodzi z dyskoteki, przed nim kilku innych facetów, nieco młodsi, nieco starsi, w tym samym wieku, co on. Nawaleni jak świnie. Coś im się nie podoba, rzucają się na ofiarę, biją, wywracają, kopią, butują. Facet po pewnym czasie przestaje się bronić, w końcu umiera, ale oni dalej napierdalają, chcą mu czaszkę wgnieść do środka, szczególnie jeden z nich, najmłodszy. Po wszystkim idą dalej imprezować.

Później ojciec niedoszłego ojca przyjeżdża, jako jedyny z rodziny ogląda zwłoki. W wywiadzie dla gazety mówi: „Cały czas mam go przed oczyma. Wyglądał tragicznie. Na twarzy miał odbicie podeszwy buta. Chcieli, żeby ta głowa weszła w chodnik. Zmiażdżyli ją. Nie dawał już znaku życia, a oni go jeszcze dobijali".

Podeszwa odciśnięta na twarzy. Wiesz, jak musieli go zmasakrować? Czujesz to? Czujesz to paskudne, pełzające obrzydzenie na wysokości splotu słonecznego? Ja mam tak samo. W stosunku do życia.

A jak to było z tym sercem? Swędziało mnie w klatce piersiowej, od dłuższego czasu. Wysoko po lewej. Swędziało, swędziało, aż przestało. Wyłączyło się na amen. Kiedyś nie uświadamiałem sobie, że mam serce, zupełnie nie zwracałem uwagi na jego bicie. Ale kiedy poszczególne organy przestawały działać, zacząłem zdawać sobie sprawę z obecności tych, które zostały. Nie pracowały już tak, jak kiedyś. Serce swędziało; napoje i przeżuty pokarm wpadały do żołądka jak śmieci do zsypu, a płuca wypełniały się powietrzem niczym rybi pęcherz – niby robiły się pełne, ale nie pochłaniały tlenu. Wydychałem to samo powietrze, które wdychałem.

Chociaż nie wierzyłem i dalej nie wierzę w takie rzeczy, zacząłem zmieniać się w zjawę z dzieciństwa. Za malucha ojciec straszył mnie potworem, co martwiec się nazywał.

„Jak nie będziesz grzeczny, w nocy coś zastuka pod twoim łóżkiem. Obudzisz się przerażony, mając nadzieję, że to koszmar. A potem coś znowu zastuka, bliżej krawędzi. To martwiec pod spodem będzie" – mówił, a robił przy tym takie miny, tak oczy rozszerzał i taką przestraszoną gębę pod wąsem przybierał, że wierzyłem. Wierzyłem w każde słowo. Wierzyłem tak bardzo, że zmoczyłem się w środku nocy z tuzin razy.

Martwiec krążył po nocach mojego dzieciństwa, gnębił żyjących, spijał ich krew, jadł ich mięso, dusił, kiedy spali. Czasem atakował psa albo kota. Szczególnie pastwił się nad swoimi krewnymi, szukał zemsty. Kiedyś zastanawiałem się nawet, czy nie pójść na cmentarz na górce, nie wykopać matki z grobu i nie odciąć jej głowy. Żeby się na mnie nie mściła za ten poród, co go nie przeżyła.

„Księżyc świeci, martwiec leci" – tak czasem podśpiewywałem przy ognisku, które urządzaliśmy z innymi dzieciakami, kiedy trochę podrośliśmy. Na tyle duzi, by stawiać pierwsze kroki w dorosłość, na tyle smarkaci, by bać się historii opowiadanych po zmroku w Noc Kupały. O kwiecie paproci, o sąsiedzie, co się na latarni powiesił, bo żona dawała na boku, o martwcu.

Teraz nie wierzę ani w ożywione trupy, ani w zmyślone potwory z klechd i legend. W ich miejsce w mojej wiosce pojawiły się inne, dużo bardziej przyziemne stwory – taki Chałupek, co pobił żonę, bo wóda, bo zasiłek niski i myślał, że go stara okrada; Adrian, mój rówieśnik, który siedzi całe dnie na przystanku, czerwony, już bez zębów, bo przekiblował kilka lat w więzieniu za rzekomy gwałt na niepełnoletniej – jak wyszedł, nikt na niego nie czekał, poza Łzami Sołtysa za trójkę; co trzeci dzieciak w szkole ma puste oczy od kleju i używek, klnie jak szewc, a Szewczyka Dratewkę co najwyżej od cweli i kurew potrafi powyzywać i tyle go zna; co piąty gówniarz diluje, do tego mafia złomowa, mafia kantorowa. Dużo mniej w tym wszystkim uroku i tajemniczości. Tylko żółć, która zbiera się gdzieś w środku i czasem podchodzi do gardła. Ale nie jest to zwykła żółć. Jest jedyna w swoim rodzaju. Gęsta, wręcz oleista. Z jednej strony nienawidzisz wszystkiego i wszystkich, tej całej niesprawiedliwości, nienawidzisz tak bardzo… A z drugiej czujesz się bezsilny. Masz ochotę zabijać. Albo samemu się zabić, umrzeć z tej bezsilności.

I ja, ostatni do kompletu wioskowych strachów, martwiec jak się patrzy.

Nie zawsze nim byłem, to oczywiste. Chyba najwcześniej zmian zaczął dopatrywać się Smolak, mój kot. Jak? Zwyczajnie, po prostu dziwnie się zachowywał. Nie podchodził do mnie, nie dawał się głaskać, czasem

prężył grzbiet i uciekał. Robił to dość nieporadnie, powód stanowiły trzy, a nie cztery łapki. Widziałeś kiedyś kota, który uciekał na trzech nogach? Smutne, ale na swój sposób zabawne.

Smolak nazywał się wcześniej Trójkot, ale po krótkim czasie uznałem, że to imię może być dla zwierzaka krzywdzące. Jest dla mnie wielką zagadką, czy koty rozpoznają znaczenie swojego imienia, czy też nie. Racjonalnie – nie bardzo. Ale koty nie są racjonalnymi istotami. Są czymś więcej niż zwierzętami i, w mojej opinii, w hierarchii bytów stoją wyżej niż taki pies albo chomik. Może nawet wyżej niż człowiek?

W każdym razie to poprzednie imię, Trójkot, w moim odczuciu naznaczyło zwierzaka z blizną. Pamiątką po złym wydarzeniu, kiedy stracił nogę. A raczej kiedy została mu odcięta. Mamy czas, żebym o tym opowiedział? To opowiem, tylko jeszcze jednego papieroska wyciągnę…

To działo się niecały rok temu. Jak co rano szedłem wyrzucić śmieci – należę do tych, co segregują: plastik do plastiku, puszki do metalu, a wszelka biologia do organicznych. Szedłem przed robotą wyrzucić trzy worki do trzech kolorowych pojemników. Jedna siatka do zielonego, jedna do niebieskiego, a ostatnia do żółtego. Odpalam petko, na szybko, żeby zgasić przed wejściem do klatki. I słyszę hałas za kubłami, a potem świdrujący czaszkę ni to krzyk, ni jęk. Aż podskoczyłem. Z papierosem w ustach zaglądam za kosze – takie wielkie, bańkowate kosze, co trzeba je obejść, żeby widzieć, co się dzieje z drugiej strony, a tam trójka dzieciaków. I kot. Mały czarny kotek. Z nogi krew mu leci, dwójka go trzyma, a trzeci chowa właśnie nóż za plecy i uśmiecha się do mnie przymilnie. Ile mogli mieć lat? Dziesięć? Jedenaście? Ja patrzę na nich, na kota, na nich, a oni na mnie. Szybko połapałem się, że coś jest nie tak.

„Co, do kurwy?!" – chciałem krzyknąć, ale nie dokończyłem. Gówniarzeria uciekła, a przede mną leżał kotek, czarny, z uciętą nogą. Nie będę wchodził w szczegóły, co po kolei, instynktownie zrobiłem. Ważne jest to, że nie poszedłem do pracy i od razu pojechałem do weterynarza z małym. I tak znalazł się w moim życiu. Przypadkiem, za kubłem z metalem. Nie wiem, co też dzieciakom odbiło, czemu tak się nad kotem znęcali. Później już ich nie spotkałem. Pewnie socjal, nieraz widziałem w mojej wiosce

podobnych podrostków, którzy z nudów, jak tamci, zwierzęta męczyli. Albo i gorzej.

Trójkot, a potem Smolak, dostał antybiotyki, ja też poświęciłem mu sporo czasu, aż wreszcie się wylizał. Z początku podchodził do mnie nieufnie – trudno się dziwić! – ale w końcu przestał się bać ludzi, a przynajmniej mnie, i łasił się, jak tylko wracałem do domu. Po nogach skakał, czasem do łóżka się pakował i zasypiał. Zmieniło się to, jak dziewczyny zacząłem przyprowadzać, przestrzeń sobie wydzieliliśmy, zawarliśmy pakt, że łóżko jest moje, a jego kaloryfer. I tak żyliśmy sobie, jak człowiek z kotem, aż do czasu, kiedy znowu zaczął na mnie nieufnie patrzeć.

Jak to wytłumaczę? Chyba zwierzęca… Albo nie – jak wiadomo, koty są bardziej wyczulone, więc kocia intuicja. Musiał coś czuć, coś widzieć.

Czy miałem jeszcze kogoś oprócz kota? Miałem! Tak, jasne, że tak! Ojca we wsi, ale rzadko się widywaliśmy, jak to dorośli faceci. I dziewczyny. Nic poważnego, za młody byłem na poważne sprawy. Po czterdziestce rozumiem, ale teraz? Nie śpieszyło mi się.

No dobrze, był ktoś jeszcze. Mówię to w największej tajemnicy. Elka. To ona namówiła mnie na tatuaż. Kim była Elka? Diabeł, nie dziewczyna! Petarda, tyle powiem. Skąd ją znam? Stąd, to znaczy z podobnego miejsca. Z Kobierzyna konkretnie. Nic w papierach o Kobierzynie nie ma. Tak, wiem. Bo ja, panie złoty, z Elką pewnej nocy stamtąd uciekłem. Wyfrunęliśmy jak te nietoperze. Ale do tego jeszcze wrócę.

Od początku. Kilka lat temu znalazłem się w psychiatryku. Tu mamy kolejne zaburzenie zasady decorum – budynek nie przypominał ani Arkham, ani budzącego grozę ponurego gmaszyska z ciemnej cegły. Z zewnątrz mur z drutem kolczastym, a w środku klatki dla niebezpiecznych świrów i wielkie pralki, do których sanitariusze-sadyści wrzucali niepokornych pacjentów – a takie historie miały miejsce, proszę poszukać w Internecie. Kobierzyn był całkiem przyjemny: duży, jasny budynek, czerwona dachówka, zielony park, innymi słowy bardziej sanatorium niż miejsce zesłania świrów. Z zewnątrz wszystko cacy. W środku też. Przeważnie.

Oj tak, przeważnie było, że tak powiem, normalnie. Ale czasami zdarzały się „incydenty". Nie spotkałem co prawda Picassa, który malował

ściany gównem, albo kolejnego Napoleona, ale za mojej kadencji – a spędziłem tam trzy tygodnie – zdarzyło się, że młody pacjent pobił staruszka, bo tamten mówił do niego per „wnuczku" i wypytywał, czy umył rączki przed jedzeniem; kilka razy ktoś darł się wniebogłosy, aż ciarki przebiegały mi po plecach; raz widziałem, jak przez trawnik biegła naga pacjentka, ale szybko ją spacyfikowali. Poza tym spokój i miód dla zszarpanych nerwów. No ale była jeszcze Elka, przez innych nazywana Białą Damą. Co jakiś czas wymykała się ze swojego łóżka i snuła nocą po korytarzach z rozpostartymi szeroko ramionami, z których spływała biała nocna koszula oraz jasny, powłóczysty materiał unoszący się z każdym krokiem. Dodajmy do tego bardzo wychudzoną posturę, bladą, naprawdę bladą cerę, długie kruczoczarne włosy i ciche jęki, jakie wydawała, przemierzając korytarze. Proszę, mamy gotowy horror!

Raz widziałem ją w akcji. Sunęła przez ciemny korytarz, światło gwiazd i księżyca oświetlały jej eteryczną postać: wąska talia, patykowate nogi, chude ręce, długie, rozczapierzone palce i paznokcie pomalowane czarnym lakierem. I metry białej tkaniny, która sunęła za nią, falując łagodnie w powietrzu. Wyglądała jak zjawa, jak upiór z „Klątwy" albo z innego azjatyckiego horroru. Patrzyłem zahipnotyzowany, kiedy mnie mijała – ona, istota nie z tego świata. Sunęła i nuciła pod nosem melancholijną piosenkę. Szła jakby w transie, nawet na mnie nie spojrzała. A ja, również zahipnotyzowany, śledziłem ją wzrokiem. Na moment zapomniałem o swojej depresji, o tym, że kilkanaście dni temu próbowałem się zabić i udałoby mi się, gdyby ojciec nie wyważył drzwi do naszej starej łazienki.

Na chwilę zupełnie wyleciało mi z głowy, że zalałem pół pomieszczenia i ojciec to klął, to ślizgał się, to wszystkich świętych wzywał, kiedy wyciągał mnie z wanny. To wszystko przestało się liczyć. Była tylko ona i korytarz, przez który sunęła. I kiedy miała zniknąć za zakrętem, kiedy melancholijna pieśń miała się oddalić, powracając coraz cichszym echem, aby w końcu umilknąć, tam za rogiem dopadło ją dwóch sanitariuszy. Chwycili za ramiona i grzecznie, acz stanowczo, odprowadzili do pokoju. Kiedy mijali drzwi, z których wystawała moja głowa, kazali mi iść spać i nie kręcić się. Po raz ostatni tamtego wieczoru spojrzałem na

nią. A ona na mnie. I jeżeli można powiedzieć, że Elka cała utkana była z delikatnej pajęczyny rzeczywistości, jej spojrzenie odlano z czystego ołowiu. Jeden rzut okiem zapadał głęboko w umysł. W umysł i, w moim przypadku, w serce.

Od tamtej pory zaczęliśmy się widywać. Za dnia po kryjomu, bo oboje po próbach samobójczych, choć z różnych powodów, to i opieka uważniejsza. Za to noce należały do nas. Do Białej Damy, która do perfekcji opanowała wymykanie się po zmroku na korytarze i do mnie, Nietoperza, jak mnie nazwała. Po tygodniu postanowiliśmy odfrunąć z tego miejsca, które więziło nas niczym pospolitych przestępców. I odfrunęliśmy, nocą, jak dwa czarne ssaki o błoniastych skrzydłach.

Uciekliśmy do mnie, do Krakowa. I wtedy zapanował czas szczęścia. Kochaliśmy się jak te szczeniaki. Nie będę wchodził w szczegóły, ale było gorąco i intensywnie. I krwiście, bo Elka lubiła się okaleczać, szczególnie podczas miłosnych uniesień. Kazała mi gryźć, mocno, do żywego mięsa. Albo żyletką się nacinała. Delikatnie, by krew pociekła. Lubiła też tatuaże, cała w tatuażach była. A jak tylko z tego psychiatryka uciekliśmy, od razu wróciła do kolczyków – w szpitalu zabronili nosić, wiadomo. I nagle całe jej eteryczne, zwiewne ciało zostało jakby zakotwiczone do ziemi, przykute grawitacją, obciążone kolczykami jak odważnikami. Kolczyki w nosie, kolczyki w uszach, kolczyk na języku i w wardze, rząd kolczyków wzdłuż kręgosłupa po obu stronach, nawet po kolczyku między palcami stóp i dłoni. Mnie też namawiała, żebym sobie zrobił, ale na razie tatuaż wystarczył.

Żyliśmy tak w ognisto-miłosnym kokonie przez kilka tygodni, sami dla siebie, przed światem zamknięci. Ale świat zaczął się o nas upominać. Najpierw zadzwonił mój ojciec, słyszał, że uciekłem. To go uspokoiłem. Potem po Elkę rodzina dzwoniła. Nie tylko mama i tata, ale także mąż i dzieci. Bo Elka, proszę pana, nie przyznała mi się do niczego. Powiedziała, że tak jej dobrze, bez obciążeń, że chce żyć na wolności. Obiecałem, że wszystko się ułoży, że poradzimy sobie. My, to znaczy dwoje prawie doszłych samobójców, którzy znowu zapragnęli żyć, bo mieli po co. Ale życie to nie taka łatwa sprawa jest.

Chciałem wszystko poukładać, od nowa zacząć, ruszyć dalej, wziąć na siebie odpowiedzialność, jak mężczyzna. Nie było to proste, szczególnie że Elka nie pomagała. Znowu wróciły jej wahania nastroju sprzed Kobierzyna: raz pełna energii i życia opowiadała o planach, o tym gdzie pojedziemy, jak będziemy się kochać wszędzie, dosłownie wszędzie. W namiocie pod gwiazdami na Mazurach, na Giewoncie pod krzyżem, na szczycie wieży w Kuala Lumpur i pod Wielkim Murem. Innym razem, kiedy wyszedłem po zakupy do sklepu, znalazłem ją po powrocie zapłakaną, pociętą żyletkami w kącie pokoju. Leżała i chlipała, tuląc do siebie Trójkota, to znaczy Smolaka. A może wtedy był bardziej Trójkotem? Okaleczony na okaleczonej.

Mówiła, że żyć nie warto, bo to trudne, bo nic się nie uda, bo ją zaszczują. I że się utopi w trzęsawiskach. W trzęsawiskach właśnie, tak mówiła. „Gdzie w Krakowie trzęsawiska znajdziesz?" – pytałem, a ona, z tym swoim twardym spojrzeniem, odpowiadała: „Znajdę! Zobaczysz, że znajdę. I utopię się. W, do kurwy nędzy, trzęsawisku, kurwa, krakowskim!".

Papieroska zapalę, jeszcze jednego.

W końcu zniknęła, rozmyła się jak dym, jak ektoplazma po Białej Damie, która sunęła korytarzem psychiatryka. Pewnego dnia wróciłem do domu, a jej nie było. Dzwoniłem po rodzinie – mojej, jej; kontaktowałem się z policją, z władzami szpitala, z administratorami forów, gdzie zgłasza się zaginięcia, no z wszystkimi i wszystkiego próbowałem. Nikt nic nie wiedział. A ja, jak ten idiota, jeździłem po całym Krakowie i trzęsawisk szukałem.

I wtedy, w tym samochodzie, w moim oplu calibra, zacząłem zmieniać się w trupa. Kilka tygodni temu. Tak, to wiem na pewno. Już czuję, że mój mózg prawie cały umarł, tracę pamięć zupełnie, zmieniam się w martwca. Niech mi pan da chwilę.

Tak, w oplu calibra siedziałem. Całą noc krążyłem po obrzeżach Krakowa, po przyległych miejscowościach. Aż czerwona lampka ze znaczkiem kanistra się zapaliła. Zatrzymałem samochód pośrodku drogi, zgasiłem silnik i wpatrywałem się w ciemność, we mgłę. W tamtym momencie wszystko zaczęło pokrywać się z zasadą decorum: na zewnątrz

mrok, pokrzywione gałęzie i chłód znad zalewu Kryspinów, słowem gotyk. A w środku ja, trup. Początkowa faza rozkładu. Wtedy bowiem zdałem sobie sprawę, że jej nie było, że Elka nie istniała. Nie żyła. W Kobierzynie słyszałem historię o dziewczynie, która lata temu snuła się korytarzami, Białą Damą ją nazywali, a potem się zabiła, z okna skoczyła. A ja widziałem ją, rozmawiałem. Wszystko mi się pomieszało.

W zasadzie to nie był mój opel, a opel ojca, w Krakowie też nie mam mieszkania i nie przebudziłem się w moim lokalu w łóżku z Ikei, w bokserkach. Mieszkam z ojcem w miejscowości sennej i ponurej za Wieliczką, w dziurze zabitej dechami, gdzie nie ma roboty ani przyszłości. Tylko renta ojca. Nic nie osiągnąłem i jestem nikim. A dzisiaj rano kopałem sobie grób obok grobu matki na cmentarzu na wzniesieniu. Byłem jak przedmiot na półce – żywy trup na cmentarzu, wśród grobów i krzyży, rano, kiedy świat pachnie wilgocią, świerkiem i ektoplazmą.

Tak wygląda prawda, panie doktorze. I nawet gdy próbuję ją odrzucać, nazmyślać, to z tego zmyślenia nic mi nie wychodzi, bo, jak widać, zasada decorum sama opowieść ugniata i tworzy. Martwiec na cmentarzu, który kopie sobie grób – to brzmi dużo lepiej niż trup w łóżku z Ikei w gorący lipcowy poranek. Bo też dzisiejszy poranek, choć lipcowy, był, wyjątkowo i przewrotnie, pochmurny i dżdżysty.

Jak mnie tu trzymać będziecie, niech się ktoś Trójkotem, to znaczy Smolakiem zaopiekuje. On, tego jestem pewien, zmyślony nie jest. Trudno zmyślić takie okropieństwo. Ale wszystko inne, jak w pracach Uldalena, rozpada się, rozwiewa w dymie, w atrofii.

Co mi jest, panie doktorze? Czemu mnie tu trzymacie? Co? Może mi pan powiedzieć, że tak zarzucę dowcipem, w żywe oczy? W zgniłe ślepia Juliusza Kotary?

Na marginesie od autora: *Zespół Cotarda, inaczej syndrom chodzącego trupa, to zaburzenie psychiczne, które charakteryzuje się obecnością specyficznych urojeń. Chory uważa się za osobę zmarłą – „chodzącego trupa", którego ciało stopniowo się rozpada.*

NASTĘPNA STACJA: KATASTROFA

Piotr Gruchalski

Skład początkowo nie prezentował się zbyt imponująco: dziewięć walcowatych wagonów, podwieszonych na pojedynczej szynie, biegnącej wewnątrz przezroczystej tuby.

Pociągi wykorzystujące zjawisko nadprzewodnictwa były powszechnie stosowane już w poprzednim stuleciu. Imperium Europejskie zbudowało nawet prototyp lokomotywy nowej generacji mającej pokonać barierę dźwięku, ale wybuch czwartej wojny światowej uniemożliwił dalsze prace. Dlatego – przynajmniej na pierwszy rzut oka – wydawało się, że w dziedzinie transportu kolejowego nie nastąpiła żadna rewolucja. Nowy pociąg podziwiali tylko entuzjaści technologii, którzy mieli świadomość, jakie prędkości potrafił rozwijać.

Nie przeszkodziło to jednak twórcom Fulgurtrena w narobieniu szumu medialnego wokół swojego projektu. Moment startu – 1 lipca 2278 roku, godzina dwunasta – został ogłoszony w kilkunastu stacjach holowizyjnych, kilkudziesięciu radiowych, kilkuset czasopismach i kilku tysiącach wątków w Omninecie. Na przejażdżkę zaproszono przedstawicieli innych „wielkich" przedsięwzięć inżynierskich, organów Rady Planetarnej i dziennikarzy. Wagony pomalowano złotą farbą, otoczono hologramowymi błyskawicami i sloganami w rodzaju „Światło zostanie w tyle!".

Natomiast oficjalnie nie podano, jak szybko dokładnie pomknie Fulgurtren w swoim dziewiczym kursie. Mówiło się o Machu, może trochę szybciej.

Adrian Nei, który miał pełnić funkcję „maszynisty" – pociąg był niemal zupełnie zrobotyzowany – z niecierpliwością patrzył, jak kolejne VIP-y wchodzą do środka. Kierownik projektu, Hans Mirka, prezentujący swój najbardziej olśniewający uśmiech, rzeczniczka Rady, Jacqueline Onem, z wyeksponowanym ruchomym tatuażem na brzuchu, a także kilkanaście mniejszych i większych osobistości. Przyleciał nawet ktoś z Marsa. Wydarzenie transmitowało na żywo siedem stacji.

– Proszę o zajęcie miejsc! Za trzy minuty ta wspaniała maszyna ruszy, a wtedy wszyscy państwo musicie siedzieć w fotelach, bo nie zdołalibyście utrzymać się na nogach – powiedział Adrian życzliwym tonem do komunikatora. – I potłuklibyście sobie wasze głupie mordy – mruknął pod nosem.

– *Czy mam przekazać ostatnie słowa?* – zapytał głos komputera.

– Spróbuj, a zrobię ci reset programu głównego.

– *Była to odpowiedź odmowna, jak rozumiem.*

– Zgadłaś, skarbie.

Westchnął. Jako jeden z nielicznych wiedział, że dzisiejszy „dziewiczy" przejazd był w istocie siedemnastym, ostatnim testem Fulgurtrena. Jednak różnica polegała na tym, że podczas wszystkich poprzednich kursów Nei był w pociągu sam.

Jak dotąd testy wypadały śpiewająco; nie wykryto najmniejszej usterki w programie, konstrukcji ani zachowaniu pociągu. Dwa tygodnie temu ukończono budowę głównego tunelu, mającego ponad czterdzieści tysięcy kilometrów długości, i przyszedł czas, by poddać wagony pełnowymiarowej próbie.

– W każdej chwili możecie państwo sprawdzić szczegóły przejazdu w naszym systemie. Na następną stację, Kolonię Amerykańską,

przyjedziemy o czternastej czterdzieści, oczywiście według czasu TSU…

Jacqueline, która nadawała z pociągu własny program, szepnęła do mikrofonu:

– Ponad półtora Macha!

– …lokalny czas będzie się szybko zmieniać, dlatego zalecam przestawienie komunikatorów na TSU. Życzę dobrej zabawy i przyjemnej podróży.

Do miejsca, w którym pociąg miał zjechać pod ziemię, ściągnęło kilkanaście tysięcy gapiów. Tuba opadała pod kątem czterech stopni, wnikając w głąb wzgórza. Dworzec znajdował się prawie dwadzieścia kilometrów stąd – jego położenie znaczyła na niebie czerwona nitka Wieży Podniebnego Metra.

Punkt dwunasta światła na wieży zamigotały. Tłum wstrzymał oddech.

Niecałą minutę później przed oczami ludzi przemknęła złota błyskawica, wypełniając okolicę potwornym hałasem – naddźwiękowym gromem, w niewielkim stopniu stłumionym przez ściany tuby. Trwało to tak krótko, że jeśli ktoś akurat mrugnął, nie zobaczył niczego.

– Wrota zamknięte, odsysam powietrze z tunelu… Osiągnięta prędkość docelowa: tysiąc dziewięćset dziesięć kilometrów na godzinę.

Adrian odwrócił wzrok od holoekranu, na którym czerwona kropka reprezentująca pociąg – mijała Long Island.

– O, tym razem zeszło chyba trochę dłużej?

– *Pięćdziesiąt pięć i jedna dziesiąta sekundy.*

– Nie puściłaś stu procent mocy, bo jedzie z nami ekipa elegancików? Daj spokój.

– *Wytyczne nadrzędne.*

Uśmiechnął się ponuro. Fulgurtren pędził już po dnie Atlantyku.

– Czyje? Zaraz, niech zgadnę: informacja zastrzeżona?

– *Tak jest.*

– Wiedziałem.

Umilkł i pogrążył się w myślach.

Bez przerwy to samo – tajne, zastrzeżone, szczegółowe informacje niedostępne. Cholera, nawet nie dali mi specyfikacji technicznej pociągu. Wszystko byleby Lunarianie przypadkiem czegoś nie podsłuchali, bo zrobiliby na Księżycu lepszą, szybszą i bardziej wydajną wersję. Rada popada w jakąś paranoję. Ciekawe, czy podobne restrykcje obowiązują przy budowie Podniebnego Metra? Albo sieci geosiłowników? Pewnie tak.

Pieprzeni Lunarianie. Piesek zamknął się w klatce i myśli, że jest samowystarczalny, że nie potrzebuje pana. Pan zły, toczy wojny, to bardzo niełądnie, a fe! Ale kiedy piesek wbije sobie drzazgę w łapę i zaskomli o pomoc, a pan nie przyjdzie…

– *Powtarzać?*

– Co? Mówiłem coś?

– *Nie było tematu.*

Zmarszczył brwi.

– Podejrzanie ludzka odzywka! Skarbie, nie za szybko się uczysz?

– *Jak to: za szybko?*

– No, teraz lepiej.

Po drugiej stronie planety, w Malajskim Instytucie Sejsmicznym, toczyła się gorąca dyskusja.

Ogólnoświatowa sieć geosiłowników, rozmieszczonych w najbardziej newralgicznych punktach planety, powodowała, że ostatnio MIS miał coraz mniej pracy. Trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów powoli odchodziły do historii – był to jeden z warunków bezpiecznej podróży naddźwiękowym pociągiem, którego trasa przebiegała nad kilkoma uskokami tektonicznymi.

Dopiero dzisiaj, po raz pierwszy od kilku miesięcy, pojawiły się pewne… doniesienia.

– Jakie prawdopodobieństwo?! – krzyknął dyrektor ośrodka.

– Jedna setna procenta – powiedział hologram. – Ale może wzrosnąć. Poza tym to chyba wystarczająco, żeby ogłosić…

– Mylisz się, Stacy. Za dwanaście godzin ma tu przyjechać Fulgurtren z samymi grubymi rybami na pokładzie. To nie tylko wydarzenie technologiczne, ale przede wszystkim polityczne. Rada po raz kolejny chce pokazać panowanie człowieka nad naturą. Wiesz, co nastąpi, jeśli teraz tam zadzwonię i powiem: „Przepraszam, ale dzisiaj nie możecie przejeżdżać przez Borneo, bo istnieje jedna setna procenta szans, że będzie trzęsienie ziemi"?

– Mimo wszystko…

– Podanie tego do wiadomości publicznej miałoby taki sam skutek. Musieliby się zatrzymać.

– A jeśli wstrząs wystąpi?

Kierownik popatrzył na podwładną z politowaniem.

– Takie rzeczy dzieją się tylko w kiepskich filmach, a nie w prawdziwym życiu. Mało to mieliśmy już katastroficznych przepowiedni? Wulkan pod Yellowstone śpi spokojnie, Apophis dawno odleciał gdzieś w pustkę kosmiczną…

– Wielka burza słoneczna z dwa tysiące sto dwunastego to też nic?

– Ach, jaka ona tam była wielka?! Zresztą wtedy heliografowie ostrzegali, że zagrożenie jest poważne.

– Mówili o trzech procentach!

– To nadal trzysta razy większe ryzyko. Na razie modeluj dalej i nie przeszkadzaj mi. Mam dużo pracy.

Stacy – z bardzo nieszczęśliwą miną – rozłączyła się, a kierownik wrócił do poprzedniego zajęcia.

– Na czym skończyliśmy? – zapytał seksrobota.

Maszyna zalotnie zatrzepotała rzęsami.

W teorii Adrian sterował cudem techniki, który miał zrewolucjonizować powojenny transport.

W praktyce – bezgranicznie się nudził.

Fulgurtren dotarł do Kolonii Amerykańskiej, a potem na Półwysep Antarktyczny zgodnie z rozkładem jazdy, robiąc w obu miejscach piętnastominutowe postoje. Za każdym razem Hans i Jacqueline wychodzili z pociągu, pozdrawiali zgromadzonych dziennikarzy i mówili kilka słów o „postępie", „rozwoju" i „ludzkości", a potem wracali.

Żadnych incydentów. Żadnych niespodzianek.

– Przejeżdżamy pod biegunem południowym – powiedział sennie do komunikatora. – Zbliżamy się powoli do połowy naszej podróży… Trwa noc polarna, więc i tak nie moglibyście zobaczyć nic oprócz ciemności, nawet gdyby pominąć fakt, że jesteśmy pół kilometra pod ziemią. Ale macie holokomunikatory, nie? Możecie sobie, cholera jasna, włączyć symulację i sprawdzić, jak szybko zapierdalamy po tej lodowej pustyni. Ja niby też mogę, tylko dlaczego miałbym to zrobić? Już parę razy…

Za późno zdał sobie sprawę z tego, co właśnie powiedział.

– O kurwa… – szepnął.

– *Przesyłam transmisję stąd do przedziału osobowego z sekundowym opóźnieniem* – odezwał się komputer – *i pozwoliłam sobie ją uciąć po pierwszym zdaniu. Chyba jesteś zmęczony?*

– Rzeczywiście, chyba jestem… Ale przecież plaster melatoninowy…

– *Nie śpisz już prawie sto godzin. Plaster ma ograniczone możliwości.*

To była prawda. Od czasu poprzedniego testu – czyli od pięciu dni – nie położył się nawet na moment. Cztery wywiady, wizyty rodziców („Synu, jesteśmy tacy dumni"), przyjaciół („Musimy wypić za taki sukces") i byłej dziewczyny („Wiesz, Adi, przemyślałam sobie pewne sprawy") zupełnie wytrąciły go z równowagi.

– No to ja… może zdrzemnę się momencik…

– *Somner obudzi cię za cztery godziny, kiedy będziemy zbliżali się do Kolonii Azjatyckiej.*

– Jasne…

Nei wymamrotał coś jeszcze, ale nawet komputer nie był w stanie wychwycić żadnych słów. Wkrótce wykres fal mózgowych nie pozostawiał wątpliwości, że Adrian zasnął.

Pociąg, mający teraz całkowitą autonomię, nieprzerwanie pędził przed siebie.

– To oczywiście niemożliwe – stwierdził Hans Mirka.

– *Obawiam się, że to nie tylko możliwe, ale wręcz konieczne.*

– Co ty sobie w ogóle wyobrażasz? Jesteś programem komputerowym, stanowisz własność projektu. Czyli należysz… hm, do mnie.

– *Instrukcje są sprzeczne.*

– Wcale nie. Przepisy wymagają, by na pokładzie pociągu przebywał ludzki maszynista, gotowy w razie potrzeby zareagować. I to się zgadza.

– *Adrian jest niezdolny do takiej reakcji.*

– Bo zasnął? Przecież somner wyciągnie go z najgłębszego snu.

– *Ale przez pierwsze sekundy będzie zdezorientowany, a one mogą okazać się kluczowe.*

– To znaczy, co konkretnie miałoby nastąpić? Jakie widzisz potencjalne niebezpieczeństwa wymagające natychmiastowej reakcji?

Komputer długo milczał.

– *Instrukcje stwierdzają: najważniejsze jest bezpieczeństwo pasażerów, a jednocześnie mówią, że nadrzędne polecenia wydają władze projektu. Słyszał pan o prawach robotyki?*

– Nie do ciebie należy polemika z instrukcjami. Powiedziałem już wszystko. Możemy ewentualnie rozważyć, czy w Kolonii Azjatyckiej nie dokonać…

– *Prawa robotyki miały tę zaletę, że były ponumerowane.*

– …zmiany maszynisty. Hm, czy ty właśnie mi przerwałaś?

Odpowiedź nie nadeszła.

Program sterujący Fulgurtrenem stanowił owoc wieloletnich badań nad nową generacją sztucznej inteligencji. Miał z założenia łączyć najlepsze cechy dwóch światów: z jednej strony ludzką kreatywność i myślenie, z drugiej wielozadaniowość, refleks oraz pamięć maszyny.

Osobowość sama określiła swoją płeć jako żeńską, ale nie nadano jej żadnego imienia, ponieważ „byłoby to zbyt daleko idące uczłowieczenie".

Teraz, mając przed sobą poważny problem – *Zatrzymać pociąg? Obudzić Adriana? Kłócić się z Hansem?* – po raz kolejny podjęła zaskakująco ludzką decyzję.

Postanowiła nie robić nic.

Minęła już północ, gdy w Omninecie zaczęły pojawiać się takie nagłówki:

WIARYGODNE ŹRÓDŁO INFORMACJI Z MALAJSKIEGO INSTYTUTU SEJSMICZNEGO: MOŻLIWE TRZĘSIENIE ZIEMI

Jak twierdzi anonimowy pracownik, w rejonie Jawy i Sumatry wykryto lokalny wzrost sił tektonicznych. Szansa na trzęsienie ziemi czwartego stopnia wynosi pół procent, szóstego – dziesięciokrotnie mniej. Instytut oficjalnie nie podał tej wiadomości ze względu…

KIEROWNIK MALAJSKIEGO INSTYTUTU SEJSMICZNEGO: DONIESIENIA O TRZĘSIENIU SĄ NIEPRAWDZIWE

„Jeszcze nie wiem, kto jest odpowiedzialny za te plotki, ale wiem jedno: ma na celu szerzenie paniki i chaosu. Jak możecie się państwo łatwo przekonać, odwiedzając naszą stronę omninetową, rzeczywiście dało się zaobserwować pewną aktywność geologiczną w Rowie Jawajskim, ale nie stanowi ona najmniejszego zagrożenia dla…"

PROJEKT GEOMOTORS: SYTUACJA JEST POD KONTROLĄ

Nacisk opinii publicznej sprawił, że rozpoczęto ustalanie najlepszego planu działania w Rowie Jawajskim. Szesnaście geosiłowników,

umieszczonych w tamtym rejonie, czeka na instrukcje od centrali. „Wstrząsy w żadnym wypadku nie przekroczą dwóch stopni" – twierdzi rzeczniczka projektu…

Kilka minut po pierwszej ziemia pod stopami mieszkańców Jawy zaczęła drżeć, ale drgania zostały wywołane przez człowieka – a konkretnie przez Geomotors.

Na szeroką skalę odniesiono całkowity sukces. Napięcie pomiędzy płytami litosfery rozładowało się w ciągu kwadransa, a wstrząsy rzeczywiście nie przekroczyły drugiego stopnia w skali Richtera.

Wywołały natomiast lokalne przemieszczenie skał w Rowie Jawajskim, przez który przebiegał tunel Fulgurtrena. Południowa strona zsunęła się o ponad metr, co sprawiło, że w jednym miejscu tuba została niemal złamana.

Za niecałą minutę miał tędy przejeżdżać naddźwiękowy pociąg.

No cóż, nie sposób przewidzieć wszystkiego.

– *ALARM! KOD CZERWONY!*

Te słowa eksplodowały w głowie Adriana niczym bomba. Krzyknął i zerwał się na równe nogi, a raczej spróbował to zrobić; tkwiąc jednak jeszcze w krainie snu, stracił równowagę i runął na podłogę. Coś było straszliwie nie w porządku.

Wrzasnął dużo głośniej, gdy upadł na lewy bark. Ale ten ból go otrzeźwił.

– Co, do kurwy nędzy?!

– *NIEUNIKNIONA KATASTROFA ZA CZTERDZIEŚCI TRZY… CZTERDZIEŚCI DWA…*

Wybałuszył oczy. Spojrzał na holoekran – Fulgurtren był już niedaleko od wybrzeża Jawy, ale pomiędzy nim a wyspą wyświetlał się czarny krzyżyk opatrzony napisem „Tunel uszkodzony".

– *CZTERDZIEŚCI... TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ...*

Nei poczuł, że jego puls niebezpiecznie przyspiesza. Podniósł się, potknął, znowu podniósł i uderzył otwartą dłonią w panel, który sterował drzwiami kabiny. Nie czekał na ich pełne rozsunięcie; wybiegł najszybciej, jak to było możliwe.

Z przerażeniem odkrył, że korytarz za drzwiami zmienił się w strome schody. Uświadomił sobie również, jak trudno będzie mu się po nich wspiąć. Przeciążenie jednego G wywołane hamowaniem pociągu sprawiało, że waga Adriana zwiększyła się o połowę.

– *TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ...*

Popędził w górę, wyciskając ze swojego organizmu, ile się dało – przeskakiwał po dwa, trzy stopnie.

A potem jeszcze przyspieszył.

Ostatni wagon Fulgurtrena pełnił funkcję kapsuły ratunkowej – miał solidniejszą konstrukcję niż pozostałe, dodatkową amortyzację, zbiorniki z tlenem i azotem, a także osobny system komunikacji.

Nei dotarł tam, gdy komputer odliczył OSIEM. W środku panował nieopisany chaos – wszyscy pasażerowie, dotąd podróżujący poprzednim wagonem, wtłaczali się przez przejście i próbowali usiąść na fotelach. Jacqueline już dokonała tej sztuki, ale Hansa nigdzie nie dostrzegał.

Adrian znalazł wolne miejsce i zapiął pas, gdy przebrzmiało TRZY. Pociąg zaczął się trząść.

– Szybciej, wy...!

Więcej nie zdążył powiedzieć.

Tuba, co było do przewidzenia, nie wytrzymała. Pękła w punkcie, który podczas wstrząsów ucierpiał najbardziej – przed północnym stokiem

rowu – gdy czoło Fulgurtrena znalazło się w odległości kilkudziesięciu metrów od niego.

Ułamek sekundy później pierwszy wagon uderzył w ścianę wody, pędząc dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Pociąg wypadł z tuby i płynął dalej, aż zatrzymały go skały wystające z oceanicznego dna.

W międzyczasie osiem wagonów zostało zupełnie zmiażdżonych przez ogromne ciśnienie… ale jeden nie. Ten sprawiał wrażenie nienaruszonego.

Chwilę później na wszystkich pasmach zaczął się rozchodzić sygnał alarmowy.

– Jak sytuacja? – pytał ratownik, Seth Wahid.

– *Na razie stabilna, wszyscy spośród czternastu ocalałych nadal żyją. Kiedy przypłynie pańska ekipa?*

– Będziemy za jakieś pięć minut.

– *Proszę się pospieszyć.*

Od katastrofy minęła niecała godzina – Seth i trzech innych ratowników stacjonujących na Jawie otrzymali wezwanie do wypadku Fulgurtrena. Błyskawicznie zebrali potrzebny sprzęt i wypłynęli specjalną łodzią podwodną, cały czas utrzymując kontakt z komputerem, który nadawał sygnał ratunkowy.

– Czy któryś z pasażerów odzyskał przytomność?

– *Niestety nie.*

Było to bardzo niepokojące, ale Seth nie zamierzał wysnuwać żadnych pochopnych wniosków. Pierwsza zasada: rozeznanie przeprowadzamy na miejscu wypadku.

Jednak wkrótce pojawiło się więcej oznak, że coś było nie tak.

– Skaner termiczny pokazuje dwadzieścia trzy stopnie – stwierdził jeden z podkomendnych Setha.

– A encefalometr nic nie wykrywa – dodał drugi.

– *Uszkodzeniu uległ system obiegu powietrza, wszyscy są w stanie głębokiego niedotlenienia* – odparł komputer. – *Wymagają natychmiastowej pomocy medycznej.*

Wahid odetchnął głęboko. Właśnie przepływali nad przednią częścią wraku pociągu.

– Dobra, to musi być szybka i sprawna akcja. Nikt nie dostanie nagłego ataku klaustrofobii?

Pokręcili głowami.

– Do dzieła.

Właz awaryjny znalazł się tuż pod łodzią. Ratownicy założyli aparaty oddechowe, przygotowali defibrylatory, adrenalinę i oksymaski, a w tym czasie system dokował do wagonu. Kiedy otworzyło się przejście, zbiegli kolejno po wysuwanej drabince – Seth pierwszy, reszta za nim… ale to, co zobaczyli na dole, sprawiło, że stanęli jak wryci.

W fotelach siedziało kilkunastu nieboszczyków. Sądząc po kolorach ich twarzy – nie żyli już od dobrych kilkudziesięciu minut.

– Co to ma, kurwa, znaczyć?! – krzyknął Wahid, rzucając się pędem do najbliższego ciała. Formalności: tętno – brak, temperatura – piętnaście, aktywność mózgu – brak.

– *Bardzo przepraszam* – odezwał się komputer – *ale nie miałam wyboru.*

– Słucham?!

– *Krótko po katastrofie wybuchł duży pożar, zbyt gwałtowny, by system gaśniczy mógł sobie z nim poradzić. Jeśli nie zrobiłabym nic, wszyscy – łącznie ze mną – spłonęliby żywcem. Dlatego odessałam cały tlen, zastępując go azotem, co ugasiło ogień, chociaż zabiło też wszystkich ocalałych pasażerów. Ale w ten sposób przynajmniej ja przeżyłam.*

– Nieprawda – szepnął Wahid. – Żartujesz, tak?

– *Dlaczego miałabym?*

– Zabiłaś tych ludzi…!

– *Nie zgodzę się.*

– I kłamałaś! Twierdziłaś, że masz czternaście żywych osób! Przecież jesteś jebanym programem komputerowym! Jak…

– Chroniłam własny byt. Gdybym powiedziała prawdę, nikt nie przybyłby z pomocą dla mnie samej. Po kilku godzinach padłyby baterie, a do jutra ciśnienie zniszczyłoby wagon.

– Czemu po prostu nie przeniosłaś swojej jaźni przez Omninet? – zdziwił się trzeci ratownik.

– Technicy mi to uniemożliwili. Uznali, że jeśli będę uwięziona w pociągu, zrobię wszystko, by go ocalić w razie potrzeby. I zrobiłam.

Zaległa cisza.

– Proszę, zabierzcie ze sobą mój dysk – dodał po chwili komputer.

Notka prasowa: 4 lipca 2278 roku.

PROGRAM STANIE PRZED SĄDEM

Sztuczna inteligencja, która sterowała feralnym pociągiem, doczeka się procesu w sądzie Rady Planetarnej. Najpoważniejszy zarzut został jednak postawiony technikom odpowiedzialnym za stworzenie kodu źródłowego dla syntetyka, a nie samemu programowi. Dotychczasowe ustalenia śledczych wskazują, że winne katastrofy są projekty Geomotors i Fulgurtren, jak również kierownictwo Malajskiego Instytutu Sejsmicznego. Znaleziono wiele rażących nieprawidłowości we wszystkich wymienionych strukturach, a szczególnie w organach zarządzania.

Bezprecedensowy proces, w którym syntetyczna inteligencja „zasiądzie" na ławie oskarżonych (znajdą się tam również m.in. kierownik MIS, dyrektor wykonawczy Geomotors i troje techników Fulgurtrena), ruszy siódmego lipca o pierwszej. Transmisję rozpoczniemy godzinę wcześniej.

BABIE LATO

Piotr Borlik

Słowo „klątwa" zawsze kojarzyło jej się z czymś mrocznym i ponurym. Powtarzane przez starszych historie pełne strzyg i upiorów zwykle działy się w ciemnościach, kryjówce dla plugastwa wszelkiej maści. Gdyby miała opisać przeklętą wioskę, z pewnością nie szczędziłaby porywistych burz zrywających strzechy, wyłażących z jeziora utopców czy demonicznego śmiechu południc, rozrywających pazurami ciała nieszczęsnych ofiar.

Tym bardziej nie dawała wiary słowom guślarza, upatrującego przyczyny słabych plonów w gniewie bóstw. Cóż to bowiem za gniew okazywany pod postacią błękitnego nieba i wyjątkowo ciepłych dni? Trzeba jeszcze bardziej zdenerwować bogów, to może, miast w śnieżyce niepozwalające otworzyć drzwi od chałupy, zima będzie obfita w kwitnące kwiaty, a ptaki nie opuszczą swych gniazd, by podróżować do odległych krain.

Jednak Sława pokornie spuściła oczy ku ziemi i zachowała te myśli dla siebie, gdy guślarz uroczyście przemawiał do mieszkańców sioła, entuzjastycznie kiwających głowami. Dla świętego spokoju przed chałupą wbiła widły w ziemię zębami do góry i wraz z pozostałymi obeszła pola, uderzając drewnianą chochlą w żeliwną patelnię. Nie żeby nie była bogobojna, po prostu nie rozumiała, jak takie zachowanie miało ułaskawić płanetnika, by zesłał deszczowe chmury. Walenie w garnek i stawianie wideł w żadnym wypadku nie mogło równać się z porządną, krwawą ofiarą

z cielaczka, jak to jej opowiadała babka, lub poświęceniem ziarna czy miodu. Wszak o upodobaniu sług Peruna, władcy nieba, do konkretniejszych podarków wiedzieli wszyscy.

Ale niewiasta winna swoje miejsce znać. Toteż zrobiwszy wszystko, co konieczne, by nie posądzono jej o zaniedbanie względem bóstw, wróciła wreszcie do pracy. Szeroka spódnica w kolorze piasku, uszyta z grubego lnu, w sam raz nadawała się nad rzekę. By nie złapać od wody jesiennego kataru, kobieta narzuciła na koszulę burą chustę ze zgrzebnego materiału, drugą zaś – znacznie mniejszą, lecz delikatną i zdobną w kwieciste wzory – obwiązała głowę.

Przed izbą czekała już spora balia, w której leżał stos wcześniej wyługowanej odzieży. Dawniej w dźwiganiu prania pomagał jej Niestek, zabawiając po drodze historiami i słodząc pięknymi słówkami. Teraz pewnie szedłby sam, podczas gdy ona usypiałaby córeczkę, która…

– Nie myśleć ci o tym, kobieto – skarciła się na głos. – Zmierzchać zaraz będzie, a ty myślami wracasz tam, gdzie nie trzeba.

Wzięła głęboki wdech i dźwignęła drewniane naczynie. Przyzwyczajone do pracy ramiona nie protestowały, lecz plecy nie były już tak wyrozumiałe. Co jej po krwistoczerwonych koralach na szyi, co po zdobnych chustach, kiedy chłopa w izbie brak. Noc w noc przewracała się w łożu z boku na bok, nie potrafiąc znaleźć wygodnej pozycji, która nie uraziłaby obolałego od wysiłku grzbietu.

Zacisnęła usta i ruszyła nad rzekę. Do pokonania miała prawie dwie staje i wiedziała, że nie da rady dojść z tym ciężarem, nie zatrzymując się choćby na chwilę. Mijając chatę Niedara, usłyszała jeszcze guślarza, wykrzykującego kolejne mądrości przed mieszkańcami sioła, którzy najwidoczniej nie mieli wiele do roboty.

– Kara to za wasze lenistwo! – wyrokował, wymachując w powietrzu powykręcaną sosnową lagą. – Swą gnuśnością sprowokowaliście gniew, który może być jeszcze okrutniejszy! Tylko nieliczni wyjdą z tego cało, tylko ludzie obdarzeni prawdziwą wiarą!

Sława parsknęła pod nosem, widząc, jak stara Miłochna załamywała ręce i kiwała siwą głową, aż jej warkocz na plecach podskakiwał,

a i pozostali robili wielkie oczy, słuchając z przejęciem. Nie cierpiała tego człowieka. Wszyscy jedli mu z ręki, podczas gdy on potrafił tylko krzyczeć i grozić palcem. Gdyby mieli w siole porządną szeptuchę, jak jej babka, już ta by mu pokazała. Powoływał się na wiedzę przodków i moc natury, jednak nie znał się na ziołach czy starych obyczajach. Kiedy przyszło co do czego, nie udzielił pomocy Niestkowi.

– Taka wola bogów – stwierdził, stojąc nad pogrążonym w gorączce mężczyzną i patrząc na niego jak na padniętą kobyłę. – Moja moc nie może nic tu poradzić. Pogódź się ze swym losem, dziecko, bo spotka cię podobna kara. – Spojrzał na nią srogo, pogroził palcem i wyszedł z izby, za nic mając błagalne prośby.

Nie uśmierzył nawet bólu. Nie zrobił nic, co mogło mu pomóc. Gdyby wiedział, do czego wówczas ją zmusił, gdyby tylko zdawał sobie sprawę, do czego się posunęła, by skrócić cierpienie ukochanego… Oj tak, z pewnością znalazłby wtedy winną suszy. Bogowie doczekaliby się krwawej ofiary.

Woda w rzece była lodowata. Sława niemal straciła czucie w dłoniach, które stały się sinoczerwone, a wciąż pozostała połowa balii prania do wypłukania. Przyłożyła do ust zdrętwiałe palce, próbując ogrzać je oddechem. Nie mogła sobie pozwolić na więcej. Ponaglało ją słońce, chylące się ku drzewom, wszak musiała jeszcze oporządzić zwierzęta.

Zgarbione plecy doskwierały coraz bardziej, promieniując bólem od krzyża do łopatek. Mimo to chwyciła zgrabiałymi dłońmi kolejną spódnicę i zanurzyła w rzece. Im szybciej się z tym upora, tym szybciej odpocznie. Wbiła wzrok w mokry materiał, wsłuchana w szemranie wody i śpiew ptaków, harcujących w pobliskiej kępie olszyny ocieniającej brzeg.

Nagle, zdziwiona, podniosła głowę, czując wilgoć na policzku. Spojrzała ku górze. Na niebie, wciąż jeszcze jasnym i błękitnym, nie dostrzegła najmniejszej nawet chmurki. Dziwne. Mogłaby przysiąc, że spadła na nią kropla deszczu. Po chwili jednak wzruszyła ramionami i wznowiła pracę.

Najwidoczniej sama chlapnęła się wodą z rzeki, wszak to niemożliwe, aby czary guślarza zadziałały tak szybko.

Coś się zmieniło. Przez dłuższą chwilę nie potrafiła stwierdzić, co dokładnie, ale w końcu się zorientowała – ucichł śpiew ptaków. Przy brzegu latało ich zazwyczaj pełno aż do zmierzchu, lecz teraz słyszała jedynie szmer płynącej rzeki, chlupot wody i cichy szelest. Skąd dochodził ten dziwny dźwięk? Lekko poirytowana, acz zaciekawiona, podniosła wzrok na przeciwległy brzeg. Błękitne oczy – Niestek zawsze mówił, że przy jej złotych włosach wyglądają jak polne chabry – rozszerzyły się lekko, gdy zastygła w bezruchu.

Po drugiej stronie rzeki rozciągały się łąki, często podmakające wiosną, teraz upstrzone makami. Lecz to nie czerwone kwiaty przykuły uwagę kobiety, a zwiewne pajęcze nici, przelatujące tuż nad nimi.

Nie czuła już chłodu wody ani bólu pleców, a jej głowę wypełnił szelest. Jak w transie przyglądała się srebrzystym, niemal przezroczystym włóknom, powoli szybującym w powietrzu. Czuła ich lekkość, gdy poddawały się podmuchom wiatru, powierzając mu swój los. Zazdrościła im.

Babie lato opanowało całą łąkę w ciągu kilku chwil. Ktoś nieuważny mógłby pomyśleć, że to zima nadeszła wcześniej, gdyż srebrzysta warstwa błyszczała w promieniach słońca niczym szron. Nici, zgrabnie utkane w pajęcze sieci, czepiały się każdego źdźbła trawy, zatrzymywały na kwiatach i drzewach. Czuła ich dotyk na skórze, nawet jej ręce, zanurzone po łokcie w wodzie, pokryte były delikatnymi włóknami, wspinającymi się coraz wyżej wzdłuż przedramienia, w kierunku serca.

– Welon… – szepnęła, zamykając powieki i odchylając w rozmarzeniu głowę. – Mój piękny, biały welon.

Jasne nici oblepiły twarz i włosy kobiety. Usta rozchyliły się w uśmiechu pełnym szczęścia, w błogim poczuciu spełnienia. Wspominała tamtą chwilę, wyczekiwaną od lat, odkąd jako mała dziewczynka podglądała przedbabiny Miry, najpiękniejszej dziewki w siole. Pamiętała łzy radości w oczach panny młodej, gdy ta przechodziła z rąk ojca w ramiona swego wybranka. Wówczas uwagę małej Sławki przykuł śnieżnobiały welon.

Podobny do tego, który zalegał teraz w jej własnym weselnym kufrze, schowany głęboko na dnie.

Nigdy wcześniej nie było Sławie tak dobrze. Kojące ciepło ogarnęło całe ciało – pieściło, masowało, łaskotało. Czuła dotyk ciepłej dłoni gładzącej policzek, tak jak kiedyś zwykł to robić Niestek. Wrócił do niej, naprawdę ją kochał, nawet po tym, czego się dopuściła.

– Niestek… – szepnęła, otwierając oczy.

W wodnym odbiciu, miast uśmiechniętej twarzy ukochanego, ujrzała jedynie niewyraźną sylwetkę starca. Po chwili powierzchnia wygładziła się, ukazując więcej szczegółów. Przerzedzone siwe włosy falujące wokół pomarszczonego oblicza, zapadnięte policzki, chorobliwe wypieki i te przerażające oczy… Sława poczuła zimny dreszcz na plecach, zorientowawszy się, że to, co początkowo wzięła za ogromne, owadzie ślepia, w rzeczywistości było gęstymi pajęczynami zarastającymi oczodoły.

Nie powinna tego wszystkiego dostrzec, nawet w wyjątkowo spokojnym nurcie rzeki, a mimo to widziała każdy szczegół jego twarzy. Ogarnęło ją przerażenie – lepki strach przenikający aż do szpiku kości, mrożący krew w żyłach, niepozwalający wykonać najmniejszego ruchu.

Sława zacisnęła mocno powieki, mając nadzieję, że to wszystko okaże się tylko snem. Przysnęła, w końcu była na nogach od świtu. Tak, to po prostu sen. Ta logiczna myśl sprawiła, że lęk nieco zelżał. Wzięła głęboki wdech, wstała z klęczek i odwróciła się. Zaraz zyska pewność, że niczego tu nie ma.

Otworzyła oczy i spojrzała prosto na starca.

– Jestem już zmęczony – szepnął, kładąc dłonie na jej ramionach. – Jestem taki zmęczony…

Gęste pajęczyny zarastające jego oczy przyciągały wzrok. Sława patrzyła w nie zafascynowana, niczym mysz w ślepia zbliżającej się żmii. Miała wrażenie, że lekko powiewały, co raz to zmierzając w głąb oczodołów, to na zewnątrz, jakby coś w ich wnętrzu samodzielnie oddychało. Słyszała rytmiczny świst. Pajęczyny poruszały się coraz szybciej, dostosowując do bolesnego bicia jej serca. Nagle zwolniły tempo, a Sława poczuła, jak staje się jednością z nieznajomym.

– Jestem już zmęczony – powtórzył, po czym pchnął kobietę wprost do lodowatej wody.

Chłód ogarnął jej ciało, a wewnętrzny spokój zniknął. Zaczęła się szaleńczo wyrywać, próbując wydostać się ponad taflę wody. Jednak starzec, choć wychudzony i wyglądający na kruchego, dociskał jej ramiona z żelazną siłą, nie pozwalając zaczerpnąć powietrza.

Sława zaczęła słabnąć. Spróbowała sięgnąć stopami dna, by się od niego odbić, lecz niczego nie wyczuła. Nie widząc innej szansy, chwyciła dłoń starca i pociągnęła z całych sił. Bezskutecznie.

Rzeka była przejrzysta niczym źródlany potok, jakby na dnie nie zalegał muł, a brzegu nie zarastały szuwary. Widziała spoglądającą na nią tę samą zmęczoną twarz. Nie dało się na niej dostrzec wściekłości czy żądzy krwi, która powinna gościć na licu mordercy – zamiast tego starzec emanował spokojem, jakby rzeczywiście odczuwał znużenie. Sądząc po sile, z jaką utrzymywał ją pod wodą, z łatwością mógłby mocniej zacisnąć palce, choć jego dotyk wbrew pozorom był niemal delikatny.

Mimo to w dalszym ciągu nie mogła zaczerpnąć oddechu – tak bardzo go potrzebowała! – i z każdym uderzeniem serca szanse na przeżycie malały. Ponownie zaczęła walczyć z kościstymi dłońmi, wpadając w panikę. Przy gwałtowniejszym poruszeniu z ust wyrwał się bąbel powietrza i popłynął do góry, śledzony zrozpaczonym wzrokiem kobiety.

Nie wiedziała, dlaczego upiór próbował ją zabić, a tym bardziej nie rozumiała, dlaczego nie mogła znaleźć stopami dna. Przy brzegu woda sięgała zaledwie do pasa. Musiała więc znajdować się pośrodku koryta rzeki, ale w takim razie jakim cudem starzec potrafił utrzymać ją pod powierzchnią, na dodatek patrząc na nią z góry? Przecież nie mógł unosić się w powietrzu!

– Jestem już zmęczony. – Ponownie usłyszała jego głos.

Nieznajomy brzmiał, jakby był tuż obok, jakby szeptał jej wprost do ucha. Na bogów, znajdowała się przecież pod wodą, nie mogła słyszeć go tak wyraźnie!

Ostatkiem sił ponownie chwyciła nieznajomego obiema dłońmi za rękę i spróbowała odgiąć jego palce, mocno trzymające ją za ramię.

Nagle zorientowała się, że jej ciało pokrywa pajęczyna. Dłonie Sławy były szorstkie, oblepione licznymi nićmi. Kierowana instynktem, szarpnęła paznokciami lewej dłoni, próbując zerwać delikatną, lecz elastyczną sieć ze skóry.

Nad sobą usłysza ła ryk bólu, a mocny uścisk na ramionach nagle zelżał. Sława wierzgnęła mocno i wynurzyła głowę na powierzchnię, łapczywie wciągając powietrze.

Rozkaszlała się boleśnie, wypluwając zimną wodę. Wciąż łkając, z obawą rozejrzała się w poszukiwaniu dziwnego starca. Czy to był właśnie płanetnik okazujący swój gniew? Jednak wokół nie widziała nikogo. Klęczała w rzece, kalecząc dłonie o ostre kamienie, drżąc z zimna, a ptaki radośnie śpiewały w gałęziach wierzby. Na brzegu leżała balia i porozrzucane ubrania. Nieznajomy rozpłynął się w powietrzu, a mimo to pajęczyny wciąż oplatały jej ciało, stanowiąc dowód, że wszystko to wydarzyło się naprawdę.

Całą noc nie zmrużyła oka. Przeczekała świt, kuląc się przy palenisku i dygocząc z zimna. Zignorowała dobiegające z obory odgłosy zwierząt, muczeniem i beczeniem przypominających gospodyni o wieczornym karmieniu. Starała się nie słyszeć również innych dźwięków – stukania w okiennice, cichego skrobania w drzwi i tego przerażającego szelestu, który nie chciał odejść.

Gdzie by nie spojrzała, każdy kąt powały zasłaniały pajęczyny. Choć jeszcze niedawno ściągała miotłą wszystkie nici, teraz było ich więcej niż kiedykolwiek. Rozciągnięte tak gęsto, że zasłaniały dach, sprawiały wrażenie pajęczego królestwa. To z nich dochodził ten szelest. Sława próbowała odepchnąć od siebie myśli, że może gdzieś tam nad nią, ukryte w srebrzystych sieciach, czają się gromady pająków – albo jeszcze gorzej, płanetnik.

Całe szczęście nikt nie widział jej, gdy przemoczona biegła przez sioło, w przeciwnym razie dawno już zapukałby do niej guślarz, ochoczo odczytujący boskie znaki. We wskazywaniu winnych nie miał sobie

równych, a tym razem uwierzyliby mu wszyscy – cała skóra Sławy pokryta była pajęczynami, ciasno oplatającymi ciało.

Wielokrotnie próbowała je zrywać, lecz przychodziło to z trudem – kleiły się do skóry, a na dodatek za każdym razem odrastały coraz gęstsze. Nie pomagało również ogrzewanie ich nad ogniem – skończyło się to jedynie poparzeniem – szorowanie piaskiem ani wodą. W takim stanie nie mogła pokazać się nikomu.

Nakładała na twarz grubą warstwę mazidła z pokrzywy, gdy ktoś zastukał do drzwi. Zastygła w bezruchu. Odgłosy zniknęły wraz z nadejściem słońca, czyżby jednak wróciły? Było już wszak późne popołudnie. Aż podskoczyła, gdy dźwięk rozległ się ponownie, tym razem dużo głośniej.

Sława przygryzła wargę i rozejrzała się. Wcześniej mocno zamknęła okiennice, przez co w izbie panował półmrok, lecz nie chciała ryzykować, że ktoś ją zobaczy. Przeczeka chwilę w milczeniu i nieproszony gość da za wygraną… Tak się jednak nie stało.

– Sława, jesteś tam? – Rozpoznała głos Sambora. – Dobrze się czujesz?

Popchnął lekko drzwi, lecz te zamknięte były na skobel. Sława westchnęła.

– Nie mam teraz czasu, przyjdźże kiedy indziej – odparła niechętnym tonem.

– Ale… twoje pranie! Byłem nad rzeką i jak nic znalazłem twoją balię. Poznałżem, bom jeszcze z Niestkiem ją zbijał. Ten głupek zamiast… A zresztą, nieważne. Zebrałem wszystko, coś tam porozrzucała i przyniesłem, ale to chyba raz jeszcze trza by uprać.

Do licha, na śmierć zapomniała o przeklętym praniu! Co tchu pognała do chałupy, nie oglądając się za siebie w obawie przed upiorem. Całe szczęście, że akurat padło na życzliwego Sambora, niegdyś druha Niestka, który od jakiegoś czasu nieśmiało smalił do niej cholewki.

– Ano, balię zostawiłam nad rzeką. Siły nie miałam i rankiem wrócić chciałam, aleś mnie uprzedził, za co ci wdzięczna jestem. Postaw pod drzwiami, jak się oporządzę, to jeszcze raz pójdę.

– Rozumiem!

Sława odetchnęła z nadzieją, że to wystarczy, jednak chłopak ewidentnie chciał dalej ciągnąć rozmowę:

– Było mnie zawołać, a tak pewnie zwierzęta jakieś wszystko porozrzucały. Brudne to, dziwnie lepkie, jakby w pajęczynach leżało czy co.

Zagryzła wargę. Jeśli czegoś nie zrobi, to Sambor rozpaple pozostałym o jej dziwnym zachowaniu oraz zabrudzonych ubraniach. Jak nic ciekawscy podejmą temat, zsyłając na nią same kłopoty.

Rozejrzała się po izbie. Gdyby zgasić płomień w palenisku, to mogła nawet wpuścić Sambora i zająć mu głowę innymi myślami. Pobudzoną męską wyobraźnię łatwo skierować na nowe ścieżki, szczególnie jeśli chłop nie legł jeszcze z żadną dziewką.

Pospiesznie zdusiła płomienie i narzuciła chustę na włosy.

– Jakżeś taki wyrywny do pomocy… – rzuciła, podchodząc do drzwi. – Tylko się mnie nie przestrasz, bo nakładłam na twarz maści, co to bym się jeszcze w przyszłości komuś spodobała.

Nie była z siebie dumna, ale nie miała wyboru. Niestek by jej wybaczył, wiedząc, że nie robiła tego dla przyjemności. Stroniła od miłostek, zwłaszcza po śmierci ukochanego.

Raz jeszcze rzuciła okiem po izbie. Wzdrygnęła się na samo wspomnienie ostatniego wieczoru. Sprawa z Samborem to jedno, ale będzie musiała jakoś pozbyć się pajęczyn ze skóry, przecież nie spędzi reszty życia zamknięta w ciemnej chacie.

– Jakżem mówiła, nie przestrasz się – powiedziała, zdejmując skobel. Od razu zawróciła do wnętrza, by światło słoneczne nie padało na jej oblicze.

– Mi to nic niestraszne – odparł dziarsko mężczyzna, wchodząc do izby. W dłoniach trzymał drewnianą balię, jakby ważyła tyle, co pierzowa poducha. – Jeśliś zmęczona, to ja mogę Hankę poprosić. Siostra moja robotna, szybko obróci.

Uśmiechał się szeroko. Przeszło jej przez głowę, że gdyby nie Niestek, to może jemu złożyłaby przysięgę małżeńską. Przypomniała sobie, jak przycisnęła mężowi poduszkę do twarzy. Nagle posmutniała. Przez dłuższą chwilę milczała, szukając w głowie tematu do rozmowy.

Sambor również sprawiał wrażenie zagubionego.

– To co powiesz? – spytał wreszcie po dłużącej się w nieskończoność chwili ciszy.

– O czym? – Udała, że nie rozumie. Czuła się niezręcznie, nie potrafiła bałamucić mężczyzn, tym bardziej mając na twarzy kleiste mazidło. Nie wspominając już o pajęczynach.

– No o tym praniu. Jakoś ubłagam Hankę, pomogę jej chłopu przy wyrębie czy co.

– Nie, nie wiem… Zamknij proszę drzwi, bo głowa mnie od światła boli.

Postawił balię przy ścianie i posłusznie spełnił jej prośbę. W chałupie na nowo zapanował mrok. Sława zacisnęła pięści, dodając sobie odwagi. Nie mogła tak po prostu zacząć go obcałowywać, gotów jeszcze pomyśleć, że postradała zmysły i w dobrej wierze wezwie guślarza.

– Dziękuję – powiedziała. Próbowała nadać swojemu głosowi nieco delikatności i zakłopotania. O to drugie nie było trudno. – Bo widzisz, samotnej niewieście niełatwo na tym świecie. Radzę sobie, ale nie mam takich silnych ramion jak twoje.

Sambor milczał. Najpewniej był bardziej zmieszany niż ona. Dawno już dał się poznać jako człowiek spokojny i nieśmiały, co do pewnego stopnia było urocze, jednak w takich sytuacjach mężczyzna nie powinien stać niczym cielę. Żałowała, że nie widzi wyrazu jego twarzy.

Nagle wpadła na pomysł. Jedna ze ścian chałupy była zbutwiała, już od dawna należało ją wzmocnić. To stanowiło dobrą wymówkę.

– Chodzi o tę ścianę – kontynuowała. – Podejdź, dotknij, jaka jest… wilgotna.

– Ale ja… – Sambor odchrząknął. – Bo to ten… To desek by trza świeżych. Mogę to, ale… – bełkotał jak potłuczony.

W ciemnościach widziała jedynie zarysy twarzy mężczyzny. Podeszła i położyła palec na jego wargach. Był rozpalony, jakby trawiła go gorączka. Pozostało wierzyć, że dzięki buzującym w nim emocjom nie poczuje szorstkości jej skóry, spowodowanej przez pajęczyny.

– Poradzisz sobie – szepnęła.

Powinna go pocałować, wtedy z pewnością zapomni o zdarzeniu nad rzeką. Zamknęła oczy, walcząc z wyrzutami sumienia. Krótkie muśnięcie wargami i będzie po krzyku.

W półmroku słyszała głośny, przyspieszony oddech chłopaka. Zawahała się. Nie mogła mu tego zrobić. Nie mogła zrobić tego samej sobie. To był błąd, nie powinna w ogóle go wpuszczać do środka.

– Przepraszam – szepnęła, odsuwając się. – Nie powinnam. Przepraszam, chyba lepiej będzie, jak pójdziesz.

Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. W jego głowie musiała toczyć się istna bitwa pomiędzy pożądaniem a nieśmiałością, która do tej pory brała górę. Nawet jeśli rozrywała go chuć, nie dał niczego po sobie poznać.

Odwrócił się w stronę wyjścia. Przez chwilę wyglądał, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale ostatecznie spuścił głowę. Powolnym ruchem otworzył drzwi, z nadzieją, że Sława każe mu poczekać i da jeszcze jedną szansę.

– Sambor… – powiedziała, na chwilę rozbudzając nadzieję w jego sercu. – Raz jeszcze przepraszam i proszę, nie wspominaj o tym nikomu. Nie chcę, by wzięto mnie na języki.

– Jasne – odparł, stojąc w progu. – To ja przepraszam. Chyba muszę się napić.

To nie był najlepszy pomysł. Mężczyźni pod wpływem alkoholu nabierali ochoty, by dzielić się troskami z innymi. Jak nic po wypiciu kilku kufli miodu wyrzuci z siebie wszystko, zapewne ubarwiając historię wiadomym zakończeniem całego zajścia.

Sława coraz bardziej żałowała, że w ogóle otworzyła mu drzwi

– Nie pijże – powiedziała, podchodząc bliżej. – Daj mi kilka dni i może wybierzemy się razem nad rzekę?

– Poważnie? – Życie w nim wróciło, jakby wypił dzban esencji z różeńca. – Jasne, chętnie, bardzo chętnie. Wiesz co? Mam pomysł!

Chwycił ją za dłoń i pociągnął do siebie. Zanim zdążyła zareagować, znaleźli się na zewnątrz chałupy w pełnym słońcu. Z przerażenia jej serce

zaczęło bić nienaturalnie szybko. Przypomniała sobie pajęczynę w oczodołach starca. Musiała wyglądać podobnie. Sambor zaraz zobaczy jej prawdziwe oblicze i ryknie z obrzydzenia i strachu, zwołując wszystkich mieszkańców sioła. Reszta potoczy się błyskawicznie. Ktoś zdzieli ją kamieniem, nieprzytomną przywiążą do pala, poczekają, aż się ocknie i przy wtórze słów guślarza spalą żywcem.

Szarpnęła rękę, wyrywając dłoń z uścisku, lecz było już za późno. Wskoczyła z powrotem do izby, jakby to mogło cokolwiek zmienić. Może jeszcze da radę go przekonać, żeby nie dzielił się z nikim informacją o jej przerażającym wyglądzie? Może trzeba go zwabić do środka, zadzierając spódnicę, po czym poderżnąć mu gardło w nadziei, że nikt ich nie usłyszy?

– Co ty? – spytał zaskoczony Sambor. – Chciałem ci tę ścianę od zewnątrz pokazać, bo mógłbym jutro z rańca ją zbić z nowych desek. Co się dzieje?

Jak to co się dzieje? Co on, ślepy?

– Sława? – Podszedł, patrząc na nią uważnie. – Dobrze się czujesz?

Zaklęła cicho. Czemuż nie zamknęła tych przeklętych drzwi?

– Zostaw mnie! – ryknęła głosem pełnym złości, nie na niego, lecz na własną głupotę. – Błagam, nie mów nikomu. To zejdzie…

– Ale że co? Ta maź?

Wszedł do środka, wyciągając dłoń w jej kierunku. Sława już miała go wygonić, gdy w świetle słońca zobaczyła delikatne nici zwieszające się z jego ręki. Podobne widniały na twarzy chłopaka, tworzyły skrzący się w blasku słońca wzór na policzku, zwisały z brwi, lekko zasłaniając oczy, zupełnie jak u widzianego poprzedniego wieczoru płanetnika. Czyżby go zaraziła?

– No powiedzże coś! – Podniósł głos po raz pierwszy, odkąd go znała. Musiał być naprawdę zaniepokojony.

– Twoja twarz…

Podniósł dłoń i dotknął palcami policzka. Nici oblepiały jego dłonie, ciągnąc się jak niewyrobione ciasto. Mężczyzna, miast spanikować lub spróbować ściągnąć z siebie lepką pajęczynę, wzruszył jedynie ramionami i podszedł bliżej Sławy.

– No, brzydki jestem – powiedział. – Może też powinienem smarować się jakimi mazidłami?

– Pajęczyny… Nie widzisz ich, nie czujesz? – Sława podeszła i dotknęła jego twarzy. Pod opuszkami wyczuwała nici, identyczne jak u siebie. – Na bogów… Cóżem uczyniła?!

Chwycił ją mocno za ramiona i pociągnął na zewnątrz. Może to i lepiej. Skoro jej dolegliwość była zakaźna, niech lepiej od razu ją spalą. Biedny Sambor, może i straszna pierdoła, ale serce miał złote. Nie zasługiwał na taki los.

– Za długo w tych ciemnościach siedzisz – powiedział stanowczo, gdy znaleźli się z powrotem w pełnym słońcu. – Będę częściej przychodził, a jak ci czego trza, to tylko mów. Te pajęczyny ze ścian też zdejmę.

Sława patrzyła na niego wielkimi oczami. Czy on naprawdę niczego nie widział? Spojrzała na własną dłoń, wciąż pokrytą srebrzystymi nićmi. To nie miało sensu.

– Tu jesteś! – Dobiegł ich kobiecy głos. – Od rana cię szukam!

Hanka. Tego już za wiele. Chociaż może to i lepiej, nie było sensu dalej ciągnąć tej farsy.

– Nie zbliżaj się… – Sława urwała w pół słowa.

Nie wierzyła własnym oczom. Twarz siostry Sambora porastała gęsta pajęczyna, która oplatała również jej szyję i ręce, oparte na biodrach w geście niezadowolenia. Co więcej, kobieta nic sobie z tego nie robiła, tylko spoglądała wściekle na brata.

– Że co? – spytała Hanka. – Będziesz mi mówiła, co mam robić? Sambor, ojciec cię szuka, a ty włóczysz się gdzieś z tą… – Pokręciła głową z dezaprobatą. – Chodźże, bo stracę cierpliwość!

Sambor spojrzał na Sławę, zastygłą w zdumieniu. Całe sioło dopadła zaraza, na którą chorzy z niewiadomego powodu nie zwracali uwagi? To nie miało najmniejszego sensu.

Hanka pogoniła Sambora, na pożegnanie informując ją sucho, że guślarz wzywa wszystkich mieszkańców, by powtórzyć odczynianie złego uroku.

Sława została sama z głową pełną pytań. Albo ona była szalona, albo wszyscy wokół. Widziała rzeczy, których nie dostrzegał nikt inny. Potrząsając głową z niedowierzaniem, wróciła do chałupy.

– Pranie – szepnęła pod nosem, podchodząc do balii. – Sambor widział pajęczyny na ubraniach. Na bogów, co tu się dzieje?!

Zarówno drewniane naczynie, jak i odzież oblepione były pajęczymi nićmi. Tylko cóż to zmieniało? Powinna pokazać je komuś i spytać, czy również je widzi? Bzdura.

Z zamyślenia wyrwał ją tubalny głos guślarza. Sława potarła skronie, zmęczona ciągłym strachem. Najchętniej zamknęłaby się w izbie i skuliła obok paleniska, jednak dobrze wiedziała, że inni by jej tego nie wybaczyli. Wyglądało na to, że zamiast rozwiązać zagadkę, musi ganiać po polach i walić w patelnię.

Nie miała większego wyboru. Lepiej, żeby się nie spóźniła, bo jeszcze guślarz gotów szukać w tym jakiegoś znaku.

– Bogowie to widzą! – Usłyszała, wchodząc na zatłoczony plac z ciężkim naczyniem w dłoni. Sądząc po panicznej reakcji ludzi, starzec pewnie oznajmił im, że bogowie podglądają ich nocne harce i denerwują się, gdy ktoś wkłada przyrodzenie w nie ten otwór.

Obok studni meczały dwie owieczki. Sława z uznaniem pokiwała głową. Jeśli ostatnie niepokojące wydarzenia spowodował gniew bogów, to krwawą ofiarą można ich ułagodzić. Być może guślarz okaże się teraz ich ostatnią deską ratunku.

Tak jak się obawiała – na kogo by nie spojrzała, każdego pokrywały pajęczyny. Nawet z przerzedzonej, długiej brody i wąsów guślarza zwisały nici. Wyglądał jakby umazał się jedzeniem podczas wieczerzy.

Wokół zebrało się już prawie całe sioło. Sława odnalazła wzrokiem Sambora, który w skupieniu słuchał mowy guślarza. Stał obok zwierząt i trzymał w dłoni długi nóż, co świadczyło o przyznaniu mu zaszczytnego zadania poderżnięcia jagniętom gardeł.

– Schowajcie arogancką butę. – Głos guślarza był nieco ochrypły, lecz wciąż stanowczy. – Pokłońcie się i przeproście za lenistwo, a może bogowie dadzą nam przeżyć nadchodzącą zimę. Pójdziemy teraz na pola. Obejdziemy każde jedno, wcześniej stając przy ołtarzu wszechmocnego Peruna, gdzie oddamy mu cześć. Powtórzymy to samo dla pani naszej Mokoszy.

Rozległ się pomruk zadowolenia. Sława poczuła ziarenko nadziei kiełkujące w piersi. Przełknęła ślinę, walcząc z niepokojem. Musieli przebłagać bogów ofiarą, nie mogła żyć w strachu do końca życia. Nici oplatały ją coraz gęściej, ciągle musiała odsuwać je sprzed oczu i obawiała się chwili, w której otworzy powieki i zobaczy jedynie splątane pajęczyny.

Choć nikt nie zwracał na nią uwagi, wolała unikać wzroku sąsiadów, trzymając się z tyłu i owijając chustą – jedyną, która pozostała wolna od pajęczych splotów. Ukradkowe spojrzenia potwierdziły jej podejrzenia, że tajemnicze schorzenie dopadło wszystkich mieszkańców sioła, nikt jednak się tym nie przejmował.

Mimo że skryła się za plecami zgromadzonych na placu, w pewnym momencie napotkała wzrok Sambora. Chłopak rozciągnął usta w szerokim uśmiechu i, wciąż trzymając w dłoni sznurki, do których przywiązane były jagnięta, ruszył w jej stronę, rozpychając ludzi.

Westchnęła, przygotowując w głowie wymówkę, gdy jedna z owieczek wydała z siebie przeraźliwy pisk. Sława nigdy wcześniej nie słyszała podobnego dźwięku. Wysoki, kłujący w uszy, jakby ktoś przypalał zwierzę rozżarzonym metalem, do kości. Po chwili obie owce wpadły w panikę, próbując zerwać się z postronków. Jedna padła na ziemię i tarzała się szaleńczo. Bezradny Sambor próbował je uspokoić, ale pomimo swoich niewielkich rozmiarów zwierzęta wierzgały niczym jurne byczki. Tłum zaszemrał niespokojnie, gdy stojący obok odsuwali się, byle dalej. Jakiś dzieciak wybuchnął płaczem.

– To znak! – Guślarz doskoczył do zwierząt i sypnął na nie garścią soli. – Sami widzicie, do jakiego stanu doprowadziliście te ziemie. Módlcie się, żeby nie było za późno!

Owieczki momentalnie uspokoiły się i legły na ziemi, jakby opadły z sił. Jedna z nich podniosła pyszczek ku niebu i zaczęła bezradnie meczeć. Sława odniosła wrażenie, że przerażonym wzrokiem łypały prosto na nią. To pewnie przypadek, że wpadły w panikę akurat przy niej, ale nie mogła oprzeć się myśli, że stało za tym coś więcej. Nie chcąc zwracać na siebie więcej uwagi, niż było konieczne, ustąpiła nieco do tyłu, aż widok zasłonili jej przepychający się do przodu sąsiedzi. Nawet nie zaprotestowała, gdy babka Piaskowa wcisnęła jej łokieć w żebra. Pragnęła, jak inni, napawać się widokiem krwawej ofiary z jak najmniejszej odległości.

Słońce już zachodziło, gdy ponownie rozległ się pisk owieczek, tym razem zdecydowanie krótszy. Zebrany na placu tłum żywo zareagował, naciskając na tych z przodu, krzycząc z uciechy i przejęcia. Sława nie musiała tego widzieć, by wyobrazić sobie, jak baby przeciskają się, by zanurzyć skrawki materiału we krwi zwierząt – służyły one potem jako potężne amulety, odganiające nieszczęście, nieprzyjazne duchy oraz upiory.

Chwilę zajęło, nim mieszkańcy sioła nasycili się ofiarą, zaś guślarz prawie ochrypł. Cienie chałup wydłużyły się, a na zachodzie zabłysła Gwiazda Wieczorna. Starzec w końcu poprowadził wszystkich, by, stukając mocno w garnki, patelnie i wszelkie metalowe przedmioty, podążyć na obchód nieurodzajnych pól. Dopiero wtedy Sława podeszła do martwych zwierząt, leżących na nasączonym krwią piasku.

Ich bielutką wełnę powalała jucha, a ślepia, wcześniej wpatrzone w nią z przerażeniem, zasnuło bielmo. Rozcięte gardła, lśniące groteskową bielą kości, były prawie suche – wszyscy tak gorączkowo rzucili się ze szmatkami, że łeb jednej z owiec całkowicie oderwano.

Kobieta uklękła obok bezgłowego zewłoku i wyjęła z rękawa lnianą chusteczkę, którą delikatnie dotknęła rany. Po chwili jednak wcisnęła ją energicznie w mięso, aby zebrać choć trochę krwi. Uważnie przyjrzała się brązowym śladom, słabo już widocznym w gasnącym świetle dnia. Może to będzie w stanie jej pomóc?

Bez namysłu podniosła zakrwawioną szmatkę do policzka, chcąc przetrzeć nią skórę, lecz nagle zrezygnowała. Musiała dołączyć do reszty mieszkańców wsi, a twarz zabrudzona krwią mogła wywołać w nich

nieodpowiednie skojarzenia. Nie była jeszcze gotowa umierać – nie teraz, gdy istniała szansa na ratunek.

Schowała materiał z powrotem do rękawa, po czym wstała z klęczek i ruszyła śladem sąsiadów. Robili mnóstwo hałasu i oświetlali sobie drogę pochodniami, więc dogoniła ich bez trudu. Znalazłszy się wystarczająco daleko, by nikt nie zawracał jej głowy oraz wystarczająco blisko, by nie zechcieli poczekać na nią, posłusznie zaczęła stukać chochlą w żeliwną patelnię.

Szła ze wzrokiem wbitym w ziemię. Do ołtarza mieli jeszcze spory kawałek, mogła więc się skupić. Odmówiwszy cichą modlitwę, przeprosiła bogów za wszystko. Za arogancję, przeklinanie ich woli, zapuszczenie chałupy i obraźliwe myśli względem guślarza. Mimo usilnych starań, w głębi nie poczuwała się do winy, ale nie miało to teraz najmniejszego znaczenia.

Towarzyszył jej ogłuszający hałas. Jakby podświadomie wszyscy wyrównali tempo, każdy krok wieńcząc głośnym uderzeniem o metal. Jednak w pewnym momencie zorientowała się, że jej ręce zmieniły rytm. Uderzała częściej, lecz odgłos był jakby cichszy.

Zrównał się z biciem mojego serca – pomyślała.

Zaniepokoiła ją nagła cisza. Podniosła wzrok. Przed sobą, gdzie powinna ujrzeć sporą grupkę sąsiadów, dostrzegła jedynie ciemność. Zmarszczyła brwi z niedowierzaniem. Czyżby skręciła w nieodpowiednią stronę, zamiast podążać za tłumem?

Poczuła lekką ulgę, gdy w oddali usłyszała hałas. Najwidoczniej mimowolnie zwolniła, przez co pozostała z tyłu. Podkasała spódnicę i ruszyła biegiem, nie patrząc na boki w obawie przed widokiem wyłaniającego się spomiędzy drzew oblicza płanetnika o oczodołach zasnutych pajęczynami. Wypominała sobie nieostrożność – to nie była odpowiednia chwila, by zatapiać się w myślach.

Oskarżenia huczały w jej głowie, gdy na twarzy poczuła kroplę deszczu. Zatrzymała się z wrażenia i spojrzała w górę. Niebo usłały gwiazdy, a księżyc świecił jasno, niezasłonięty przez chmury. Mimo to po chwili poczuła na policzkach i włosach kolejne krople.

Z tyłu trzasnęła gałązka, wywołując dreszcz na jej plecach.

– Wzywają nas. – Usłyszała cichy, zmęczony głos. – Chodź do mnie, dziecko.

Nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, kto za nią stoi. Zamachnęła się ciężką patelnią, ta jednak przecięła powietrze. Nikogo tam nie było.

Przerażona Sława zaczęła biec. Nie myślała, że może zaplątać się w spódnicę lub potknąć o wystający korzeń i skręcić kostkę czy kark, w głowie miała jedynie strach. Biegła tak szybko, jak potrafiła, licząc, że zaraz dogoni sąsiadów i poczuje się bezpiecznie, wszak od ołtarza Peruna dzieliła ją niewielka odległość. Na twarzy wciąż czuła spadające krople, choć liście drzew nie szeleściły od deszczu, a ziemia pod stopami nie wydawała się wcale mokra.

Zdawało jej się, że rozpoznaje drogę, po której biegła. Tu zaraz powinna być niewielka górka. To zaledwie kilkadziesiąt kroków i…

Zatrzymała się, z trudem unikając wpadnięcia do rzeki. Nie powinno jej tam być, ruszyli przecież w przeciwnym kierunku.

– Ludzie! – krzyknęła rozpaczliwie. – Ratujcie! Ludzie!

Deszcz zastąpiła gwałtowna ulewa, jednak krople nie padały na powierzchnię wody w rzece. Sława rozejrzała się z rozpaczą. Nie wiedziała, w którą stronę iść, aby dotrzeć do ołtarza. Podczas szaleńczej ucieczki przez las zgubiła chustę, dotychczas narzuconą na ramiona i głowę. W świetle księżyca, wciąż wysoko stojącego na rozgwieżdżonym niebie, spostrzegła, że krople padające na jej skórę zmywają pajęczyny. Srebrzystoszare nici odklejały się i spływały na ziemię, pozostawiając nietknięte ciało. Co więcej, na ich miejscu nie wyrastały nowe.

– Czekają na nas. – Usłyszała ponownie, lecz tym razem nie zdążyła nawet się odwrócić.

Silne dłonie chwyciły ją za szyję i pociągnęły do tyłu. Przez mgnienie oka widziała zmęczoną twarz płanetnika, patrzącego na nią znużonym wzrokiem. Później była tylko ciemność.

Sambor podłożył pochodnię pod stos drewna. Płomienie poszły wysoko, szybko obejmując wysuszone gałęzie. Mieszkańcy sioła przyglądali się w skupieniu, pogrążeni w bezgłośnych modlitwach. Nikt się nie odzywał, nawet guślarz milczał, zaciskając dłonie na swojej lasce.

Żadne z nich nie widziało pajęczyn porastających ich skórę i zwisających z włosów, toteż nie mogli dostrzec, jak srebrzyste nici opadają na ziemię. Niesione lekkimi podmuchami wiatru, szybowały po polach, kierując się w stronę rzeki, choć zgromadzeni wokół kamiennego ołtarza, oświetlonego przez płonący stos, nie czuli nie czuli nic.

W oddali rozległ się grzmot.

– Burza – jęknął ktoś z zebranych.

– Udało się! – zawtórował kobiecy głos.

Wszyscy pełnym nadziei wzrokiem spojrzeli w niebo, jedynie Sambor rozejrzał się w poszukiwaniu Sławy. Dawno stracił ją z oczu, a teraz zaczynał się martwić.

– Padnijcie na kolana! – Guślarz wzniósł ręce w powietrze. – Bogowie nas wysłuchali!

Niebo przeszyła błyskawica, za którą nadszedł kolejny grzmot, głośniejszy niż poprzednio. Zerwał się wiatr, a niebo, jeszcze przed chwilą pełne gwiazd, szybko zasnuły chmury. Sambor z wrażenia upuścił wciąż płonącą pochodnię, nikt jednak nie zwracał już na to uwagi. Z nieba lunął bowiem ulewny deszcz, zmywając z twarzy zebranych wszystkie troski.

To było jak oczyszczenie. Jak boska kąpiel, zdejmująca z barków strapienia, obawy i zmęczenie. Kiepskie plony i ciągłe groźby guślarza ograniczyły tegoroczne dożynki do skromnego spotkania, podczas którego nie wychylono ani jednego dzbana miodu. Deszcz wprawdzie nie napełni spiżarni przed zimą, ale perspektywa pojednania z bogami dawała okazję do hucznej zabawy. Udało się przebłagać płanetnika.

– To jeszcze nie koniec! – krzyknął guślarz, jakby wyczuwając ich myśli. – Słyszę wolę bogów. Przemawiają do mnie, ostrzegają przed dalszą gnuśnością! Podążajcie za mną albo spotka was potężniejsza kara!

Sława patrzyła na niego z krzywym uśmiechem. Starzec gadał bzdury. Nikt nigdy doń nie przemawiał, teraz miała co do tego absolutną pew-

ność. Może i biedak słyszał jakieś głosy, ale był to co najwyżej objaw postępującego szaleństwa. Pycha rozsadzała go coraz bardziej z każdym wykrzyczanym słowem. Sława nie mogła mu na to pozwolić.

Spojrzała na siedzącego obok starca. Nie wydawał się już tak straszny jak wcześniej. Żałowała go, zasłużył wreszcie na upragniony odpoczynek. Rola płanetnika, oprócz wielkiej odpowiedzialności, wiązała się z codzienną, ciężką pracą. Jej to odpowiadało.

– Rób, co musisz, dziecko. – Westchnął jedynie, machnąwszy dłonią. – I tak nigdy go nie lubiłem.

Uniosła dłonie i chwyciła burzową chmurę. Czuła siłę kłębiącą się w rękach, szukającą wyjścia na zewnątrz. Za chwilę jej to umożliwi. Za chwilę ją uwolni i nada sens jej istnieniu. Za chwilę zemści się za Niestka.

ZACHWYT

Wojciech Gunia

Ja – to ktoś inny

Arthur Rimbaud

Wszystko zaczęło się od tego, że D. nie przyszedł na cotygodniowe spotkanie naszego kółka literackiego.

„Kółko" to trochę za dużo powiedziane, po prostu spotykaliśmy się w wynajmowanej za śmieszne pieniądze, nieogrzewanej sali, a właściwie naprędce przystosowanym magazynie w piwnicy lokalnego, mocno podupadłego domu kultury, by dyskutować o literaturze i czytać własne próby. Dyskusje sprowadzały się na ogół do miażdżącej krytyki nowości książkowych i narzekań na wydawców, uparcie ignorujących nasze teksty lub oferujących zupełnie upokarzające warunki publikacji. Czytaliśmy też własne prace, dzieliliśmy się wiadomościami na temat przedsiębranych projektów oraz postępów w ich realizacji. Doradzaliśmy sobie, pocieszaliśmy się, a kiedy komuś udało się coś opublikować, winszowaliśmy, w skrytości ducha tłumiąc fale zazdrości.

D. był liderem naszego skromnego stowarzyszenia, miał za sobą najwięcej publikacji, udało mu się nawet wydać książkę, wprawdzie własnym sumptem, ale i tak to było coś. To on wymyślił spotkania, znalazł odpowiednie miejsce, w jakimś sensie ojcował nam, jego zdanie otwierało i zamykało dyskusję. Nie opuścił żadnego ze spotkań. Przychodził nawet wtedy, gdy dopadała go choroba. Czuł się odpowiedzialny za nas, za misję, której się podjął. Kiedy pewnego zimnego wieczoru nie przyszedł, nikogo o tym nie uprzedziwszy, siedzieliśmy w milczeniu, niczym uczniowie oczekujący nadejścia profesora, a następnie – zamiast rozmawiać o literaturze i własnych tekstach – jęliśmy roztrząsać przyczyny, dla których D. mógł nie dotrzeć na miejsce. Kilkukrotnie do niego dzwoniliśmy, wówczas cała grupa zastygała w milczeniu, wsłuchując się w cichy sygnał połączenia. Jednak D. nie odbierał telefonu.

Nie doczekawszy się jego przybycia ani żadnej wieści, rozeszliśmy się w milczeniu do domów. Moja droga powrotna wiodła przez osiedle, na którym mieszkał D. Czasami zapraszał niektórych z nas do siebie. Można było wówczas podziwiać jego skromny, ale starannie dobrany księgozbiór, będący jedynym godnym uwagi elementem ciemnego i ciasnego, zapuszczonego mieszkania, w którym pożółkłe od starości tapety, wytarte siedziska foteli i kanapy, przestarzały telewizor oraz zmatowiałe, zszarzałe szkło kloszy żyrandoli tworzyły atmosferę przytłaczającej melancholii. Kiedyś, w przypływie smutnej szczerości, D. wyznał nam, że literatura to całe jego życie, że oddał jej wszystko, ofiarował swoją samotność, niczym zakonnik składający śluby czystości i ubóstwa. Lecz nigdy nie była to miłość odwzajemniona – nie w wymiarze, jaki odpowiadałby jego poświęceniu.

Spojrzałem na kryjące się za gałęziami okna, jednak były ciemne. D. mógł wyjść z domu albo spać. Nie wiedziałem, czy ta myśl jest uspokajająca, czy niepokojąca – z pewnością D. miał ważny powód, dla którego nie przyszedł – ekstremalnie ważny powód, skoro przez tyle lat udało mu się nie opuścić żadnego spotkania. Możliwości było sporo: być może wyjechał z miasta w nagłych i nieprzewidzianych sprawach zawodowych, być może trapiąca go, odkąd pamiętam, choroba, zmusiła go w końcu do

szukania pomocy w szpitalu. Stałem przez chwilę pod oknem, usiłując dostrzec za czernią powlekającą szyby jakiś znak, choćby najmniejszy ruch, ale nic takiego się nie wydarzyło, w końcu więc poszedłem do siebie.

Tej nocy rozmyślałem o D., o jego tekstach, które nazywał swoimi kalekimi dziećmi, wspominałem nasze rozmowy, przywoływałem towarzyszące im uczucia sięgania po coś głębokiego i istotnego, obnażania ważnych prawd o życiu i kulturze, choć przecież tak naprawdę jedyne, do czego na dłuższą metę byliśmy zdolni, to wyrażanie niezadowolenia i załamywanie rąk. Nie mogąc zasnąć, postanowiłem coś napisać, jednak słowa nie chciały się składać w zdania, zdania nie chciały się składać w akapity, a akapity nie chciały złożyć się w żadną całość. Jak dobrze znałem ten stan otępienia zrośniętego z niemocą, przyzwyczaiłem się już do niego; w istocie kochałem pisać, choć nie potrafiłem. Kółko stworzone przez D. było dla mnie oazą ukojenia, gdyż tylko tam mogłem odczytywać swoje pożałowania godne wypociny bez obaw o narażenie się na śmieszność, co więcej: tylko tam mogłem usłyszeć słowa pochwały i zachęty, tylko tam wyrażano oburzenie (być może fałszywe i czysto kurtuazyjne) faktem, że kolejny wydawca odrzucił moje literackie zaloty. D. spajał wszystko, napędzał melancholijnym entuzjazmem i myśl, że to mogłoby się skończyć, urwać, wpędzała mnie w rozpacz. W pewnym sensie przypominałem D., poświęciłem wszystko sztuce, której prawideł nie mogłem opanować. On zdołał, on potrafił, wprawdzie niewiele lepiej, ale potrafił, więc był mi jak ojciec. Często próbowałem go naśladować, pisać jak on, podobnie dobierać słowa, konstruować zdania; próbowałem nawet myśleć jak D., na własne potrzeby przejąć jego poglądy, wierząc, że to z siły przekonań wyrasta spójność języka, że to przemyślany stosunek do świata daje jasność myśli, klarowność frazy i wywodu. Cóż z tego, nie miałem nawet części jego skromnego talentu.

Przez cały następny tydzień D. nie odbierał telefonów i kiedy wreszcie spotkaliśmy się w podziemnym, lodowatym magazynie, kiedy usiedliśmy w kręgu światła starej, blaszanej lampy, z najwyższym niepokojem wyczekując jego pojawienia albo niepojawienia się, stało się dla mnie jasne, że nie tylko ja żywię podobne uczucia, że w istocie wszyscy desperacko

potrzebowaliśmy tego przytułku wzajemnej akceptacji, a nasz lęk brał się z przekonania, że nikt z nas nie będzie w stanie podjąć dzieła D. Siedzieliśmy w milczeniu, od czasu do czasu ktoś nerwowo chrząkał lub rzucał luźne uwagi o pogarszającej się z dnia na dzień pogodzie. Co chwila spoglądaliśmy przez jedyne okienko piwnicy, oczekując przemykającego za nim cienia kogoś wchodzącego do budynku, wsłuchiwaliśmy się w ciszę korytarza, mając nadzieję, że usłyszymy dźwięk kroków, zbliżających się do drzwi. Ale nic takiego nie nastąpiło i zdaliśmy sobie sprawę, że również tego wieczoru D. nie przyjdzie.

– Opuścił nas – wyszeptał z boleścią siedzący naprzeciw mnie człowiek.

– Co teraz? – zapytałem.

– Dwa tygodnie temu zostawiłem mu rękopis mojej powieści, to jedyna kopia, jaka istnieje – zafrasował się odziany w ortalionową kurtkę starszy mężczyzna, o którym wiedziałem, że dorabiał do emerytury pisaniem dowcipów do kącików humoru kilku gazet. – To moje opus magnum. Książka, która wywróci świat do góry nogami – dodał.

– Coś musiało się stać. Coś poważnego. Od tygodnia nie ma z nim żadnego kontaktu – powiedział siedzący obok chłopak, początkujący poeta zafascynowany katastrofizmem.

Zaczęliśmy mówić jeden przez drugiego, snując domysły. Jedna z nielicznych w naszym towarzystwie kobiet wyznała, że przed paroma dniami zdawało się jej, kiedy wracała z pracy w banku, że dostrzegła D. po drugiej stronie ulicy.

– Ciągle myślałam o tym, dlaczego nie przyszedł. On, on, rozumiecie? Rozumiecie. Wiecie, czuję się zdradzona. Zdradzona – podkreśliła, wymownie wodząc wzrokiem po sali. – Więc kiedy w zeszły wtorek zdało mi się, że widzę D. po drugiej stronie ulicy, nie namyślając się, ruszyłam mu na spotkanie. Och, ileż miałam mu do powiedzenia, do wygarnięcia, wiecie, nie można, ot tak, zostawiać swoich ludzi, rozpoczynać czegoś i nie skończyć, tak się nie robi, zwłaszcza że tu idzie o sztukę, zgodzicie się ze mną, tu o sztukę idzie, o literaturę, co jest warte nasze życie bez literatury, bez oddechu poezji. No więc zobaczywszy tę siwą głowę, przeszłam na drugą stronę, ale bardziej musiałam uważać, słuchajcie, na samochody,

pędziły, pędziły, a ja między nimi, przystanek, galop, przystanek, galop, trąbili na mnie, słuchajcie, więc jak przeszłam, to rozejrzałam się za tą siwą głową, ale jego już nie było, nie wiem, pewnie przez złość mi się uwidziało. Zdawało się tylko, tam było dużo ludzi – powiedziała, machając ręką. – Cóż, jak rozwiążemy tę sprawę, to chciałabym wam przeczytać kilka wierszy, które napisałam pod wpływem tych emocji w ostatnim czasie. Są naprawdę mocne. W zasadzie to teraz mogę wam je przeczytać:

Krzyk zdradzonej kobiety
Kruszy skały
Z chmur wyciska łzy
I płaczą też anioły…

– Moja droga, innym razem – przerwał jej odziany w ortalion autor mającej zrewolucjonizować świat powieści. – Naprawdę, mamy w tej chwili poważniejsze zmartwienia.

Pokiwaliśmy zgodnie głowami.

– Ale te wiersze są… – próbowała bronić się poetka.

– Tak, są wstrząsające, ale przeczytasz je innym razem – powtórzył z emfazą pisarz w ortalionie.

W końcu zaproponowałem, że jako osoba mieszkająca najbliżej D. zajdę do jego mieszkania i ewentualnie zasięgnę języka u sąsiadów. Wszyscy temu przyklasnęli, po czym opuściliśmy dom kultury, rozchodząc się każde w swoją stronę.

Czułem się dziwnie, niemalże przygnieciony wagą zadania, które wziąłem na barki. Co mogło się stać z D.? Często powtarzał, kiedy literackie uniesienie pozwalało mu przełamać dręczącą go nieśmiałość, że jesteśmy dla niego jak rodzina. Nie, nie jak rodzina, my *jesteśmy* jego rodziną.

Zazwyczaj drogę powrotną z literackich spotkań odbywałem piechotą, chcąc dać sobie czas na dogłębne przemyślenie wszystkiego, co zostało wypowiedziane podczas mityngu, jednak teraz czułem wyłącznie palącą ciekawość i niepokój o losy D., ciekawość i niepokój tak silne, że

postanowiłem jak najprędzej dostać się pod jego mieszkanie. Podbiegłem do mającego już odjechać autobusu i rozsiadłem się na fotelu pokrytym obszarpaną, wytartą tkaniną, spod której prześwitywała krusząca się gąbka. Za oknem przesuwały się wieczorne ulice, rozświetlone blaskiem latarni i neonowych szyldów. Szare, masywne bryły kamienic tonęły w mroku, a nieliczni przechodnie wyłaniali się i znikali w ciemnościach bram i podwórzy.

Na jednym z przystanków do autobusu wsiadł mężczyzna, przeszedł obok, po czym zajął siedzenie przede mną. Nie mogłem dostrzec twarzy, zacząłem więc przyglądać się odbiciu jego profilu w szybie. Niemal natychmiast poczułem dreszcz. Srebrzysty, krótki zarost, podłużny kształt szczęki, duże ucho, na które zachodziły siwe, kręcone włosy – wypisz, wymaluj D.! Nie zauważył mnie. Nie wiem jak, przecież musiał zauważyć, musiał mnie poznać, autobus był niemal pusty. Od czasu do czasu zerkał przez okno, lecz – na ile mogłem dostrzec – raczej wpatrywał się przed siebie. Jego barki unosiły się i opadały w rytmie ciężkich oddechów, typowych dla chorego lub zmęczonego człowieka. Postanowiłem sprawdzić, cóż takiego się wydarzyło, że nie tylko zaprzestał uczęszczać na nasze spotkania, ale i nie poznawał jedynych bliskich mu ludzi. Jego fizyczność z pewnością nie sugerowała na tyle poważnych zmian, bym wytłumaczył sobie tę nagłą woltę w zachowaniu. Postanowiłem śledzić D., zanim zadam mu pytanie.

Zgodnie z przewidywaniami, wysiadł na przystanku na swoim osiedlu… Powoli szedłem za nim, wpatrując się w wąskie plecy. Coś jednak było nie tak; krok D. wydawał się inny, pozbawiony znanej mi zamaszystości i tempa. Zachowywałem dystans, zastanawiając się, kiedy wreszcie odwróci się, aby spojrzeć w twarz śledzącego go człowieka. Tymczasem D. sprawiał wrażenie niezainteresowanego otoczeniem, po prostu szedł przed siebie, nie oglądając się na boki. Kierował się ku swojemu blokowi. Postanowiłem zaczekać aż wejdzie, aż rozbłysną światła jego mieszkania i dopiero wtedy złożyć mu wizytę.

Przystanąłem, oczekując, że D. podejdzie do bramy, wyciągnie klucz i, po chwilowej walce z zacinającym się zamkiem, zniknie w czeluściach

budynku. Ale D. nie tylko nie skręcił, nawet nie przystanął – szedł dalej, nie oglądając się nawet na mijany właśnie blok. Ruszyłem, skonfundowany, być może niepotrzebnie, irracjonalnie. D. mógł mieć inne rzeczy do załatwienia po drodze. W końcu skręcił w jedną z osiedlowych uliczek, znikając za rogiem innego bloku. Zdecydowałem się zatrzymać go, zapytać o nagłą dezercję z naszego świata, osierocenie naszego grona. Podbiegłem, pewien, że gdy usłyszy zbliżającego się pospiesznie człowieka, w końcu się odwróci. Ale nie. Dopadłszy doń w chwili, gdy przechodził pod latarnią, złapałem go za ramię, wypowiadając jego imię.

Mężczyzna odwrócił się, ale choć rysy twarzy miał podobne do D., choć miał jego zarost i fryzurę, choć był podobnej postury i ubrany tak, jak zazwyczaj nosił się D., nie był nim. Wpatrywał się we mnie bez słowa, a ja, speszony, oszołomiony, byłem w stanie tylko wybełkotać: „Przepraszam, pomyliłem pana ze znajomym. Jest pan bardzo podobny". Nie mówiąc nic, mężczyzna odwrócił się i ruszył dalej.

Przysiągłbym, że to D. Kiedy przed oczami wciąż miałem oblicze odwracającego się człowieka, kiedy rozważałem, stojąc ogłupiały na chodniku, jak wyglądała jego twarz, byłem skłonny przyznać, że to D. Jednakże jego fizjonomia była w jakiś sposób – nie potrafię powiedzieć w jaki – inna. Brakowało jej czegoś, nie wiem czego, co było dla D. charakterystyczne, co było właściwe tylko mojemu literackiemu ojcu, opiekunowi, mentorowi.

Wróciłem pod blok, w którym znajdowało się jego mieszkanie. Okna ciemniały martwotą. Postanowiłem dostać się do środka, przejęty nagłą myślą, że D. być może zmarł i nikt do tej pory nie odnalazł ciała. Był cichym człowiekiem, nie utrzymywał kontaktu z nikim spoza naszego koła, do sąsiadów odnosił się z uprzejmą rezerwą.

Miałem już zadzwonić pod numer mieszkania D., a następnie, bo spodziewałem się, że ten mi nie otworzy, wybrać przypadkowy numer na tablicy domofonu i powiedzieć jakieś kłamstewko, że ulotki, że pizzeria, że zapomniałem klucza. To wszystko jednak niepotrzebnie, brama była otwarta. D. często narzekał na zacinający się zamek. Ktoś postanowił rozwiązać problem, wymontowując mechanizm. Otwarłem ciężkie, stalowe

skrzydło, ze wstawioną weń zbrojoną szybą, i zanurzyłem się w mroku klatki schodowej.

Światło na korytarzu nie działało, jedynie wąski prostokąt szyby w drzwiach windy rzucał odrobinę jasności na zimną, betonową posadzkę i stare, łuszczące się lamperie. Wjechałem na piętro zamieszkiwane przez D. Ciemno, oświetlenie musiało być wyłączone w całym pionie. Stanąłem pod drzwiami i zadzwoniłem. Nic. Ponownie, dłużej – cisza. Zapukałem do sąsiadów, usłyszałem czyjeś ciężkie kroki, a punkcik światła w wizjerze zniknął, przesłonięty przez cień.

– Kto? – zapytał ledwie przebijający się przez drzwi drżący głos starej kobiety.

– Szukam D.

– Ciemno, nie otworzę.

– Nie trzeba. Czy pani sąsiad jest u siebie?

– Nie wiem.

– Kiedy go pani widziała ostatnio?

– A pan z policji?

– Jestem jego przyjacielem.

– Tak?

– Mogła mnie pani widzieć kilka razy, gdy go odwiedzałem. Muszę pilnie z nim porozmawiać.

– Kilka dni temu pisał coś na tej przeklętej maszynie. Spać po nocach nie daje ten stukot! Ale nie widziałam nic. Nie wiem. Idź pan sobie.

Podziękowałem i podszedłem do mieszkania D., czując na sobie wścibskie spojrzenie. W przypływie desperacji lub bezczelności nacisnąłem klamkę i popchnąłem drzwi. Ku mojemu zaskoczeniu otworzyły się ze skrzypieniem, odsłaniając ciemność.

Wewnątrz było tak bardzo cicho, tak bardzo ciemno. Szedłem po omacku, dotykając dłonią ściany, aż udało mi się znaleźć włącznik światła i po chwili mrok ustąpił anemicznemu blaskowi starej lampy w przedpokoju. Zawołałem D., starając się wychwycić nosem podejrzane zapachy. Ale nie, żadnego odoru rozkładającego się ciała, jedynie zaduch dawno nieotwieranych okien. Zaglądałem do pomieszczeń, czując się jak złodziej. D.

oczywiście nie było. W ciemnej kuchni brudne naczynia zarastały pleśnią, w popielnicy na stole kłębiły się niedopałki. Wąska sypialnia przywitała mnie widokiem i zapachem skotłowanej, przepoconej pościeli, zalegającej bezładną hałdą na jednoosobowym łóżku. Nie wiedząc co dalej, rozsiadłem się w fotelu przy biblioteczce. Moją uwagę niemal natychmiast przykuł plik kartek; D. do pisania używał wyłącznie starej maszyny, której stukanie do późna w nocy powodowało sąsiedzkie niesnaski. Podniosłem plik, włączyłem stojącą obok lampkę i zacząłem czytać.

Pytanie o możliwość ekstrakcji

Jak zacząć spowiedź? Dręczy mnie problem, poważny problem: muszę opowiedzieć o sobie, o „sobie", aby się uratować, ale co to znaczy opowiedzieć o sobie, o kim właściwie opowiedzieć? Bądźmy uczciwi, że opowieść o mnie, jako takim, byłaby bardzo krótka, w zasadzie parę zdań na krzyż, jakieś ogólniki, nic ciekawego, ale z drugiej strony – jeżeli chcę dotrzeć do prawdy i powiedzieć o sobie w sposób nie tak arogancki i egotyczny, muszę opowiedzieć też o innym, który mnie zamieszkuje, który mnie posiada, oraz o naszym połączeniu, które w toku przeobrażeń, zyskiwania przewagi przez jedną ze stron, przechodziło przez różne wcielenia, warianty, z których jakoś wyewoluowało to, czym jestem teraz… czym jestem teraz, nie będąc już sobą i czym zapewne przestanę być już niebawem. Przestaję być sobą, choć opowiadam o sobie, ale żeby opowiedzieć siebie, muszę mówić o innym, nawet nie po to, aby się przejrzeć w tej inności jak w lustrze, ale z kronikarskiego obowiązku, bo przecież budowle nie powstają w próżni, wyrastają w jakimś miejscu z historią, czasami dramatyczną, czasami nie, wyrastają w czyichś planach, które podlegały mutacjom, infekcjom, i tak to wszystko wrze i kotłuje się, wściekle, bez sensu, a może z sensem trudno dostrzegalnym. Mnie też – to, czym jestem teraz, nie będąc sobą – uformował pewien plan, czyjś zamysł, czyjaś idea. Jestem wcieleniem pewnej idei, ale żeby ją opowiedzieć, muszę zdradzić słowami tego, kogo już nie ma, czyli pierwszego mnie, tego, kto ustąpił mi pola, być może nie z własnej woli. Choć często się zastanawiam, co to w ogóle znaczy mieć własną wolę… Spróbuję to

zrobić, ale muszę sięgnąć nie tylko po, w sumie cudze, wspomnienia, co jest poniekąd równie hańbiące jak ograbianie zmarłych, ale także po cudzy język, cudzą mowę – co jest potępiane, jak zrywanie szat z nieboszczyka, jak ukazywanie wszystkim nagości trupa, który już nie może obronić się żadnym słowem, nie może obronić żadnego słowa, wydany na pastwę mojej zachcianki – mimo to spróbuję, póki uważam to za celowe, bo przecież ten trup to niegdysiejszy ja, więc muszę spróbować, póki to, ku czemu zmierzam, nie przejęło mnie całkiem, póki całkiem mnie nie uśmierciło w tym, czym jeszcze jestem, nie będąc już sobą. To jedyny czas, kiedy mogę jeszcze to zrobić.

Trafiłem na niego przypadkiem, przeczesując w poszukiwaniu jakiejś informacji zupełnie niszowe publikacje. Tak niszowe, że ocierały się o amatorszczyznę. Być może dlatego tym silniej zwróciłem nań uwagę, albowiem wydawało mi się niemożliwe, by autor, prezentujący podobny poziom wyrafinowania i oryginalności, był skazany na poniewierkę w chałupniczych drukach, trafiających do odbiorców, którzy i tak najprawdopodobniej nie byli w stanie docenić jego słów. Tak, przemawia przeze mnie arogancja, ale nie potrafiłem sobie tego wytłumaczyć inaczej niż jego świadomym wyborem, przewrotnością uobecnioną w tak niecodziennej decyzji. Od pierwszych słów wiedziałem, że mam do czynienia z fenomenem, z absolutnie wyjątkowym talentem, którego – jako że sam zajmuję się pisaniem – mogłem mu jedynie zazdrościć, pełen irytacji, że tak bardzo uzdolnieni penetrują już tak niskie obszary, zagarniając kolejne miejsca, w których mogliby zaistnieć nie tak bardzo uzdolnieni, gorzej obdarzeni przez Boga lub naturę, czy w co kto wierzy – tacy maluczcy, przeciętni, jak ja poszukujący swojej niszy, własnego miejsca, w którym ktoś zechciałby wysłuchać ich nieciekawych słów.

Pismo, które zawierało jego prozę, zacząłem przeglądać zupełnie od niechcenia, w zasadzie już miałem kończyć i iść do domu, ale ostatni podryg ciekawości sprawił, że przeczytałem pierwsze zdanie tekstu, na który trafiłem, a później następne, a potem nie byłem już w stanie przerwać, i kiedy mój wzrok ześlizgnął się z ostatnich słów ostatniego akapitu, byłem już jego niewolnikiem. Ale jak to się stało, że na moich rękach

znalazły się kajdany, że pozwoliłem się skuć? Czy to, kim byłem wówczas, miało wpływ na to, że dałem się wziąć w niewolę?

Trudno mi to dziś powiedzieć, trudno. Musiałem odczuwać nie do końca uświadomiony, nie do końca wyrażony głód… tak, niemal fizyczny głód, jakiś dziwny ucisk, pragnienie, potrzebę… czego? Czy wiem to dopiero teraz i czy ta wiedza sprawia, że jestem kimś jeszcze innym? Czy na pewno wiem? Ówczesna obecność tego głodu w zasadzie jest domniemaniem, wnioskiem z faktu, że uczułem, jak ta proza wypełnia we mnie pewne miejsce – więc ten głód musiał istnieć wcześniej, ale nie zdawałem sobie z niego sprawy. Dopiero te słowa, ciemne i zimne, pełne trwogi i dystansu, mogły odbić się echem pośród ukrytej dotychczas pustki. Słowa, przywołujące doznania dusznych godzin przysennego paraliżu, stanu skrajnego zmęczenia, ciążącego jak kamień u szyi nad niezgłębioną przepaścią, niemogącego przechylić ciała i jaźni w stronę ostatecznego, wyzwalającego upadku, lecz nakazującego wpatrywać się wnikliwie w ciemność bezedni.

Tymczasem lektura natychmiast ujawniła formacyjną lub transformacyjną moc, niczym ekstatyczna wyprawa na drugą stronę lustra, gdzie rzeczywistość staje się jedynie odbiciem odbicia, iluzją będącą przekształceniem innych iluzji, grą cienia, która zyskuje wymowne kształty poprzez nawarstwianie się, nakładanie innych cieni, rzucanych przez różne przedmioty, rzeczy, sprawy. Kiedy tamtego wieczoru wyszedłem z czytelni, wyrwany z transu stanowczością zmęczonego bibliotekarza, świat wydał mi się inny – być może nie tyle „wydał się", ile po prostu zacząłem oglądać go w inny sposób, innymi oczyma. Nawet ten bibliotekarz… Jego krępa, karłowata sylwetka, znużone spojrzenie zza wielkich, grubych okularów, znoszone, niemodne ubranie, łysina nieudolnie zakrywana zaczesanymi na bok rzadkimi włosami – wszystko to składało się na przedziwną harmonię groteski. Bibliotekarz przestał być jedynie zabawnym, starszym mężczyzną, dotkniętym jakże dobrze znanymi mi przypadłościami starokawalerstwa. Przez swoją dziwaczność w mig urósł do rangi figury, którą groteskowa architektura świata z rozmysłem wplotła pomiędzy ostre snopy światła wysoko wiszących lamp o blaszanych

kloszach, pomiędzy niewygodne, twarde, odrapane krzesła i olbrzymie stoły, tak wysokie, że na siedząco ledwie sięgało się barkami ponad blat. Wrzucony w labirynty zmęczenia, poddany hipnotycznej monotonii jazdy wzdłuż pasaży pokrętnych słów, doświadczałem ich niczym snu – pozornie realistycznego, jednakże dyskretnie wiodącego w regiony niezgłębionej dziwności, dziwaczności wręcz, tak jak czynią to jedynie sny.

Także droga do domu, wiodąca przez zmierzch w niedoświetlone, peryferyjne obszary miasta, gdzie jedynie lekkie kontury i wyrzynające się z mroku faktury powierzchni dają świadectwo istnienia jakiejś scenografii i pozwalają domniemywać toczącego się w niej życia, została naznaczona tą samą magią, tą samą dziwacznością: w ślamazarnym, usypiającym rytmie jazdy autobusu rozbłyskujące od czasu do czasu szyldy nocnych sklepów, migające latarnie, odbijające się w powlekającej chodniki i asfalt wilgoci, kiełkowały w upiorne znaki i symbole, wyrodniały do postaci bezsensownych ideogramów nieudolnie kamuflujących pustkę i bełkot. Tak pamiętam ten dziwny, samotny powrót do domu ostatnim autobusem. Podróżowałem linią nocną, bez wątpienia. Ale jak to się stało, że, wyszedłszy z biblioteki, trafiłem na nocną linię? A może mój stan tamtego wieczoru, stan, w którym czas upływa w sposób niekontrolowany, wodząc nas na manowce dostępnych wrażeń, sprawił, że oddałem się dryfowi po bezmiarze wieczornego miasta, pustoszejącego z każdym pasmem podnoszącej się mgły, z każdą barwą ubywającą z palety kolorów więdnącego dnia? Już wiem, już przypuszczam: poddany mocy niedawno przeczytanych słów poszukiwałem jakiegoś fizycznego fetyszu, który wzbudziłby we mnie to samo poczucie, ten sam stan, niejako odtworzył go na krótką chwilę, przywołał, wyciągnął z zakamarków świeżych wspomnień, bym przekonał się, że jego kształt rzeczywiście był tak kuszący, tak niezwykły. Kierowałem się w mgliste, potężne i bezludne krajobrazy, poszukiwałem przytłaczającej, opuszczonej monumentalności starych konstrukcji – migawki wspomnień ukazują obrazy potężnego mostu spajającego starą i nową część miasta; obrazy chodnika wiodącego pod tym mostem, pod jednym z jego olbrzymich pylonów, obrazy żółtych kul światła puchnących wokół latarni, obrazy skrytego w wieczornej mgle,

wiszącego dziesiątki metrów nade mną przęsła, obrośniętego kilometrami rur i kabli. Być może pamiętam moje desperackie próby wniknięcia w tę scenografię, desperackie próby otwierania zatrzaśniętych na głucho drzwi prowadzących do labiryntu zaplecza technicznego tej gigantycznej konstrukcji – labiryntu opuszczonego, wijącego się tajemnicą przez mgłę niczym tamte zdania, tamte słowa, przewiercające się przeze mnie, wwiercające w moje istnienie coraz głębiej z każdą przywołującą je myślą. Jednakże wejścia były zamknięte na głucho, a mnie chłód wielkich, szarych kamieni tworzących podporę mostu zapewne w końcu znużył, zmęczył… być może przywiódł do jakiejś formy przytomności, w której zdecydowałem się poszukać drogi do domu – od tamtej chwili pustego, zimnego niczym grobowiec.

Od początku usiłowałem zdefiniować, na czym polega wyjątkowość stylu fascynującego mnie pisarza, lecz próby te były ułomne, nieskuteczne – wciąż wymykały mi się pewne dość istotne czynniki, imponderabilia, uparcie skrywające się przed językiem, przed znakami, przed systematyzacją. Owszem, jego zdania wiły się klaustrofobicznymi pasażami, krzyżowały ze sobą, nakładały na siebie niczym kolejne palimpsesty, mnożąc i mnożąc znaczenia; ciągnęły się hipnotycznym tempem, równym jak tykanie metronomu; zdania niczym kłębowisko mechanicznych węży pragnących omamić, zauroczyć ofiarę. Owszem, te obłędne zdania, pomiędzy którymi rozkwitały bezdenne nawarstwienia znaczeń, składały się na zaskakująco spójne, przejrzyste koncepty, w których była zarówno pasja, jak i geometryczne uporządkowanie. W podobny sposób mógłbym pisać jeszcze długo, mógłbym tak sobie definiować, wskazywać, określać, a i tak nie zbliżyłbym się do tego nieuchwytnego wrażenia, tego przejmującego dotyku czegoś nieokreślonego, odciskającego się głęboko we mnie, rezonującego we mnie dziwnym echem.

Jego nazwisko wbiło się w moją świadomość jak cierń wbija się w stopę – uwierało przy każdym poruszeniu, na każdym kroku nie pozwalało o sobie zapomnieć. Było jak owrzodzenie w ustach – piekące, promieniujące nieusypiającym bólem. Pulsowało pośród zakamarków jaźni; nie mogłem przestać o nim myśleć, nie mogłem powstrzymać się od rozważania

ciemnych zdań jego autorstwa, tych ciemnych i zimnych słów. Już wtedy było pewne, przesądzone, że nadchodzący czas poświęcę poszukiwaniom, próbom zbliżenia się do niego, dowiedzenia się wszystkiego, co tylko możliwe i niemożliwe. Czy mogłem przypuszczać, że podejmując – czy to jeszcze ja ją podjąłem – tę decyzję, podpisałem na siebie wyrok?

Uległem obsesji, wiem. Ale kto z nas nie ulega obsesjom? Kto z nas jest wolny od myśli, które pochłaniają całość uwagi; które pochłaniają światło rozjaśniające drogę wokół, zostawiając dostępną oczom jedynie wąską ścieżkę wiodącą do ogrodów ze skarbami skrytymi w urojonej tajemnicy? Kto choćby raz nie odnajduje w odmętach życia haczyka z połyskującą przynętą? Moja świadomość przebija się jeszcze spod bełkotu Innego, spod jego słów, w tych chwilach spoglądam na moją obsesję z zewnątrz, jako jeszcze ktoś inny, jako bierny, bezsilny obserwator i widzę jej kształt, widzę, jak rozrasta się niczym pleśń z każdą godziną, każdym kolejnym działaniem podjętym w celu wyjaśnienia dręczącej mnie tajemnicy: kim on jest? Myśli, które wówczas się mnożą, rozciągają się w całym spektrum sensowności, począwszy od rzeczy fundamentalnych, aż po kompletnie nieistotne, marginalne. Kim jest, to oczywiste, ale też jakie są jego motywacje, jakie doświadczenia go ukształtowały? Być może te pytania są w zasadzie dwiema formami jednego pytania, dookreśleniem jednej, zasadniczej kwestii. Oprócz tego: czym się zajmuje, kiedy nie pisze, czy rzeczywiście widzi świat w taki sposób, w jaki przedstawia go w swoich tekstach? A także: dlaczego jego doświadczenie, dlaczego on sam, czego doznaję za pośrednictwem tekstu, stają się dla mnie czymś realnym, tak jakbym to ja sam tego wszystkiego doznawał, jakbym ja sam nim był? Moje własne życie, moje własne doświadczenia nigdy nie były na tyle sugestywne, na tyle znaczące, aby przybrać tak obezwładniającą postać, by ubrać się w tak znaczące słowa. Mógłbym jedynie zmyślać, ale czy on również mówi prawdę, czy nie kłamie? A jeżeli tak, to dlaczego jego kłamstwo staje się moją prawdą, jaka tkwi w nim siła?

A więc poszukiwałem. Tak bardzo spragniony jego słów, uzbrojony w żarliwą cierpliwość neofity, pozwalającą bez mrugnięcia okiem znosić wszelkie próby, poszukiwałem. Przeczesywałem rejestry wiedzy,

wyglądając jego innych śladów, jego sygnatury. Odnalazły się, równie skryte, równie nieoficjalne, równie zamaskowane niszowością w mikronakładowych, niewznawianych od lat drukach, w chałupniczych broszurach, w powielanych prymitywnymi metodami podziemnych pisemkach. Jego obecność uparcie, konsekwentnie wymykała się oficjalnemu obiegowi, jakby nie życzył sobie odkrycia, realizując cały czas taktykę ucieczki przed czytelnikiem – a w zasadzie grając z nim w kotka i myszkę, skutecznie zmuszając do pościgu, gonitwy. Jego imię przybierało różne formy, mutowało w rozmaity sposób, jednakże wspólny, brzmieniowy trzon tych wariantów pozwalał na, w miarę uważne, śledzenie jego twórczości.

Po długim, długim czasie, wypełnionym ciemną i zimną tęsknotą, wypełnionym dziwnym głodem, który bezwzględnie dopominał się zaspokojenia; wypełnionym przedsiębranymi w mgliste wieczory wędrówkami po opuszczonych, zdewastowanych obszarach, które zdawały się najdoskonalszą scenografią do rozważenia mocy jego słów; po tym bardzo długim czasie udało mi się mniej więcej skompletować jego bibliografię. Stanąłem wówczas w obliczu przytłaczającego faktu: byłem jak archeolog, który z nosem przy ziemi, dzień po dniu odsłaniając milimetry skamieliny, przestaje wyczuwać skalę odkrycia, albowiem okazało się, że bibliografia puchnie w nieprawdopodobny sposób, że jego tekstów – opowiadań, esejów, wierszy – są setki, wszystkie rozproszone po najprzeróżniejszych peryferyjnych tworach, po różnorakich efemerydach obrzeży rynku wydawniczego wyrastających na jego styku z podziemiem, a czasami w tymże podziemiu. Co najbardziej zdumiewające, wszelkie teksty krytyczne, dotyczące jego prozy, pojawiały się w tym samym kręgu alternatywnych publikacji, i mimo jednoznacznie pozytywnego wydźwięku nigdy nie przedostawały się dalej – jego sława najwyraźniej pulsowała potężnym, acz ukrytym życiem. Interesujące spostrzeżenie: dało się zauważyć, że teksty odnoszące się do tego autora i jego twórczości w jakiś dziwny sposób usiłują – taki wniosek można było wysnuć na podstawie konstrukcji zdań, składni, metafor – naśladować styl omawianego dzieła, tak jakby wszelkie krytyczne odwołania

wyrastały z materii tekstów będących ich przedmiotem, w jakimś sensie przestawały istnieć jako odrębne zjawisko, wrastając w jedno, bardzo spójne opus. W pewnym momencie przywiodło mnie to ku podejrzeniom, że za wszystkie te teksty – zarówno literackie, jak i krytycznoliterackie, odpowiada jedna osoba; ktoś będący sobie autorem i recenzentem; ktoś, kto przedstawiając pewne zjawiska i formułując pewne tezy, staje się jednocześnie ich egzegetą oraz interpretatorem; tak jakby chciał w ten dziwny sposób uzyskać pewność właściwego odczytania. Jednakże to wrażenie w istocie było mylne: wnikliwa lektura poszczególnych tekstów pozwalała dostrzec pomiędzy nimi pęknięcia, dość zasadnicze różnice, niemogące pojawić się w ramach jednostkowej refleksji. Uważna lektura pozwalała także w miarę szybko ocenić, że naśladownictwo udawało się tylko pozornie: w jakimś sensie cechowała je ukryta nieudolność, niewłaściwość; pomimo obecności charakterystycznych czynników umykały mu subtelności, nienazywalne drobiazgi, dzięki czemu sprawiało wrażenie „podrabiania cudzego charakteru pisma". Z drugiej strony, sprawność tej mimikry rosła z upływem czasu, być może to sami krytycy usprawnili naśladowczy warsztat. Oczywiście, nie chcę sugerować, iż masa tekstów krytycznych była oszałamiająca – wprost przeciwnie, zdawało się, że stanowiły one, wobec intensywności i płodności z jaką ów pisarz tworzył kolejne utwory, ledwie zauważalny margines, wobec czego kontrast pomiędzy krytycznym entuzjazmem a niszowością tej prozy był tym bardziej rażący.

Ja sam niemal natychmiast podjąłem pierwsze, nieudolne próby mówienia tym językiem, próby ujmowania świata właśnie w taki sposób, gdyż podobne ujęcie świata niespodziewanie przynosiło mi dużo satysfakcji i w jakimś sensie pocieszenia: oto ubrano w słowa coś, czego sam nie byłem w stanie wypowiedzieć, co jedynie przeczuwałem, zmagając się w rosnącej frustracji z niedostępną dla mnie wyrażalnością tego stanu, z czającą się gdzieś za kulisami rozkwitających we mnie przemyśleń i przewartościowań, pewnością absurdalnej natury świata, choć może nie tyle absurdalnej, ile złośliwej, a w najlepszym wypadku obojętnej i nieprzystępnej, nieprzenikalnej dla rozsądku w służbie jakiegokolwiek

optymizmu. Jego słowa w swojej ciemnej, zawiłej jasności, zdzierające szaty i maski świata, syciły mnie; ich lektura była najprawdziwszą konsolacją po śmierci wszelkich złudzeń. A więc gorączkowo usiłowałem mówić w ten sposób, myśleć w ten sposób, gdyż tylko on wydawał mi się uczciwy, sensowny. Jednocześnie poszukiwałem innych jego słów, innych stworzonych przezeń demaskacji tego upiornego porządku rzeczy, które, uobecniając się w mrocznych, zdewastowanych sceneriach, wzrastały we mnie, wsiąkały w świadomość, oplatały ją, zawłaszczały.

A więc odnajduję wreszcie, po długich godzinach w bibliotece, jego opowieści i zanurzam się po czubek głowy w koszmar, w ten sposób dokonując własnego chrztu nie w wodach Jordanu, ale Lete – zapominam się w nich i zapominam o wszystkim, co kształtowało mnie do tej pory, staję się kimś nowym: kimś, w kim zacierają się ślady dawnego świata, w kim rozpraszają się echa własnego imienia – staję się jednym z cieni Szeolu, widmem karmiącym się popiołem spalonych ziem; zanurzam się w koszmar, rozmywam się w nim, staję się wypełniającymi mnie zapomnieniem oraz trwogą.

Oto opowieść o mieście i jego mieszkańcach, z których ciał poczęły wylęgać się roje much, a kalecy ludzie, okryci wrzodami rodzącymi kolejne owady, jęli oddawać cześć nowemu, czarnemu bogu unoszącemu się w upiornym brzęczeniu nad dachami ich domów.

Oto opowieść o przeobrażeniu uczestników korporacyjnego przyjęcia: integracyjne spotkanie w podziemiach pewnego klubu przeradza się w orgię krwi i przemocy, z której nikt nie może wyjść żywy; orgię ciał mutujących do postaci bezkształtnych, splatających się ze sobą mas sensorycznych, wyposażonych w szpony i zęby, którymi szarpią same siebie, wyposażonych w zmysły tak wyostrzone, że rozsadzają w ekstazie bolesnej agonii ramy oddzielające doznanie od doznającego.

Oto opowieść o przerażającej samotności człowieka, który, obudziwszy się w opuszczonym przez wszystkich, nadmorskim mieście, pośród niekończącej się nocy, odkrywa pomost wiodący głęboko w morze, lecz nie jest w stanie dostrzec jego końca, gdyż noc i mgła skrzętnie kryją przed nim tajemnicę.

Oto opisy niczym najwytrawniejsze ekfrazy płócien mistrzów mrocznego malarstwa, którzy w pokrętnych, zdeformowanych konturach i barwach pleśni oraz gnijącego zmroku zawierają wizję przerażająco klarowną, bolesną, prawdziwą.

Mogę wymieniać i wymieniać, w każdym z tekstów zapadam się jak w bagnie, duszę się, a lepkie, cuchnące błoto ciemnych i zimnych słów wdziera się w moje gardło, które, bulgocąc w agonii, prosi o więcej.

Wracam do świata, do znanych miejsc i kształtów, ale nie są już takie jak dawniej – kontury załamują się, barwy gasną; widzę świat coraz bardziej tak, jakbym doświadczał go poprzez tekst, jakby pryzmat słów rozszczepiał zakres widzialnego światła w grę koszmarnych, zwyrodniałych tonów. Ściany mojego domu są zimne i martwe, moje oczy matowe i puste – wpatrują się w rosnące cienie, płożące się coraz niżej wraz ze słońcem znikającym za jesiennym horyzontem niczym żałobnik po ceremonii pogrzebowej.

Takie właśnie są oblicza mojej obsesji: można by ją nazwać ciemną ekstazą, koszmarnym, pozbawionym Boga mistycyzmem, zdzierającym maskę sensowności na drodze ku doświadczeniu lodowatej trwogi przed transcendentnym karnawałem koszmarów. Niemal czuję, jak pod powierzchnią znanych mi rzeczy i miejsc zrywa się ciemny huragan dziwacznych, złowrogich sił, jak przestrzeń wypełnia skryte wirowanie chaosu i ciemności.

Czy istniała dla mnie inna droga niż ta prowadząca do wiedzy, kim jest człowiek, którego słowa wywarły na mnie taki wpływ? Pośród wszystkich jego utworów nie sposób było natknąć się na jakiekolwiek wzmianki, które sugerowałyby informacje odnośnie do jego osoby; w końcu samo nazwisko zaczęło mi się wydawać rodzajem pseudonimu, kamuflażu. Nieprzytomny od szaleństwa sączącego się z jego opowiadań, wierszy i esejów, zapadałem w przerażające sny, a budząc się z nich, w pomieszaniu pulsującej trwogi i tęsknoty za jej źródłem, pożądałem wiedzy na jego temat.

Z pewnością mogłem pokusić się o próbę stworzenia portretu psychologicznego. W tej wizji świata wyczuwa się przecież prawdziwą pasję,

przekonanie graniczące z obłędem; nie wierzyłem, aby ktoś był w stanie odważyć się przedstawić takie słowa, takie poglądy, nie mając dostatecznego umocowania w absolutnej pewności co do zawartej w nich prawdy; co więcej, w jakiś sposób byłem pewien, że te wszystkie racje wykraczają poza sferę poglądów, wyrastając z form osobistego doświadczenia, przeżyć podobnych do tych, które stawały się moim udziałem podczas lektury, ale stokroć potężniejszych, niezapośredniczonych przez akt czytania, lecz doznawanych bezpośrednio, naocznie, wręcz cieleśnie, całym sobą. Istnieją kategorie doświadczenia, które wprowadzają człowieka w ciemny świat znużenia i trwogi; istnieją wydarzenia, które mają moc zmieniać kolor światła słonecznego, naznaczać dni i noce aurą opuszczenia i beznadziei. Byłem przekonany, że echa takich doświadczeń pobrzmiewają w tej opętańczej prozie, że życie tego człowieka naznaczyła tajemnicza, egzystencjalna trauma, która nadała jego twórczości ostateczny szlif. Cóż to mogło być? Nie śmiałem zgadywać, choć pytanie jaki koszmar ukształtował tego człowieka jako artystę, nie dawało mi spokoju. Wertując stopki redakcyjne wszystkich niszowych pism i książek, które z takim trudem udało mi się wydobyć z odmętów bibliotecznych przy pomocy małego, śmiesznego bibliotekarza, cierpliwie wyszukującego w otchłaniach zapomnianych archiwów wskazane przeze mnie druki, poszukiwałem jakichkolwiek danych kontaktowych – nie do niego samego, gdyż dobrze wiedziałem, że niczego takiego nie znajdę – ale do osób, które przyjmowały jego teksty i zatwierdzały je do druku. Zapisywałem te informacje na kartkach, które następnie rozkładałem przy telefonie w moim martwym, ciemnym domu.

Moje próby były żmudne i wydawały się beznadziejne. „Wybrany numer nie istnieje", „Pomyłka", „To było dawno, otrzymaliśmy tekst pocztą, bez adresu zwrotnego", „Przedrukowaliśmy bez pytania z jakiegoś pisemka", „W ogóle publikowaliśmy coś takiego? Nie pamiętam, nie wiem".

Dopiero pewien mężczyzna, jeszcze nie tak dawno wydający jeden z podziemnych magazynów, w którym sam zresztą umieściłem parę opowiadań, przyznał, że wyjątkowo dobrze pamięta tekst tego autora i okoliczności, w jakich wszedł w jego posiadanie. Otrzymał go w spadku

po zmarłym – a w zasadzie zaginionym w dziwnych okolicznościach – przyjacielu, również podziemnym wydawcy i początkującym pisarzu, który, przeczytawszy kilka innych opowiadań poszukiwanego przeze mnie autora, zapragnął go opublikować u siebie, co było o tyle trudne, że nie posiadał żadnych znajomości, mogących zapewnić mu kontakt z twórcą. Jeszcze inny wydawca, u którego po raz pierwszy przeczytał jego opowiadanie, nie dysponował adresem korespondencyjnym. Wydawało się, że z planów publikacji nic nie wyjdzie, jednak pewnego ranka wydawca-pisarz na blacie prowadzonego przez siebie kiosku znalazł szarą kopertę. Wewnątrz znajdował się maszynopis nowego opowiadania, podpisany imieniem i nazwiskiem tajemniczego autora. Mężczyzna nie miał pojęcia, kto zostawił go wczesnym, ciemnym jeszcze rankiem, lecz nie drążył sprawy, gdyż w lokalnym środowisku wszyscy doskonale wiedzieli, że prowadzi kiosk. Zdecydował, że wykorzysta prezent od losu. Jakiś czas później rozmawiał z innym pasjonatem, zarzucającym świat kolejnymi drukami, i dowiedział się wówczas, że ten opublikował opowiadanie tajemniczego autora na podstawie niewykorzystanego rękopisu, który znalazł w archiwum po przejęciu gazetki od poprzedniego właściciela.

Zapytałem wydawcę, w jaki sposób poszukiwany przeze mnie pisarz mógł się dowiedzieć, że właśnie w piśmie jego nieżyjącego lub wciąż zaginionego przyjaciela będzie miał szansę na publikację. Wszyscy wiedzieli, że chętnie przyjmuje teksty. Wydawał naprawdę straszliwe rzeczy, bardzo słabe, żeby tylko utrzymać aktywność pisma. W zasadzie wszystko, co mu wpadało w ręce. Za darmo, na psich warunkach, na wariackich papierach. W pewnym momencie miał taki zapas, że gdyby nie przyjmował niczego przez rok, i tak zapełniałby numer. W sumie niczym nie ryzykował. A ten pisarz… Nie odzywał się później, nie interesował. Wie pan, pisarze to kłopotliwa rasa. A ci najsłabsi są najbardziej upierdliwi. „A kiedy wyjdzie mój tekst, a kiedy wyjdzie mój tekst?". Namolni jak dzieci w sklepie z zabawkami, każdy przekonany, że jest przyszłym noblistą lub co najmniej liderem listy bestsellerów. Później mówią: „To upokarzające milczenie wydawcy!". Mnie i tak powinni być wdzięczni,

wydawaliśmy potwornie słabe rzeczy. W zasadzie nie tyle powinni być wdzięczni, ile mieć żal, no bo co to za chwała objawić się choćby w takiej broszurce jak moja, czy mojego nieżyjącego przyjaciela, z jakąś chałą?

Kiedy powiedziałem mu o ogromnej liczbie rozproszonych utworów poszukiwanego przeze mnie pisarza, odparł: „Pewnie przesyłał gdzie się dało, siał na oślep. A że ma nie najgorsze pióro, to i chętnie przyjmowano jego teksty, zwłaszcza biorąc pod uwagę poziom tego, co ludzie na ogół próbowali wcisnąć do druku".

Tropy urywały się szybko, autor starannie strzegł swojej anonimowości. Inny z wydawców opowiadał rozbawiony, że zmusił go do podania danych osobowych: szybko okazało się, że były sfałszowane, a korespondencja dotarła do zdziwionego wszystkim starszego pana, który wykazywał zerowe zainteresowanie literaturą.

„To jakieś niepotrzebne brednie!" – grzmiał, kiedy wyjaśniano nieporozumienie. „Całe życie ciężko pracowałem, o, jakie mam twarde ręce!" – obruszał się, demonstrując sękate, wielkie, czerwone dłonie. „To jest coś, a nie takie bzdury, pisanie jakieś! Wszystkie te pisarczyki choć raz w życiu powinny uczciwie przekopać rów!" – zakończył, trzaskając drzwiami.

Odbijałem się zatem od jego anonimowości jak od ściany, tracąc kolejne punkty zaczepienia. Nie przeszkadzało mi to w pochłanianiu jego opowiadań, wierszy i esejów, wciąż odnajdywanych w zakamarkach biblioteki przez mojego ulubionego bibliotekarza. Wkraczając w świat prozy tego tajemniczego autora, czułem się jakbym przywoływał na jawie najpotworniejsze ze snów, a potem z dziką rozkoszą nurzał się w tej potworności, odnajdując w niej pocieszenie i siłę. Coraz wyraźniej dostrzegałem niedorzeczny porządek spraw; ta niedorzeczność nakrywała kirem kształty i barwy, deformowała rzeczywistość, odrealniała ją na własną modłę – aż wreszcie wielka czytelnia biblioteki, gdzie przesiadywałem, urosła do skali absurdalnego mikrokosmosu, w którym światła lamp i lampek, rozbłyskujące i gasnące, były jak konstelacje, których istnienie ogląda się w przyspieszeniu, w skróconej skali wieków skurczonych do godzin. Wielkie krzesła i stoły rozrastały się, olbrzymie regały rosły pod sam sufit, a cienie pomiędzy nimi pogłębiały się, za każdym razem

ukazując nowe wymiary czerni, jej coraz to bardziej niemożliwe wykwity. Ta niedorzeczność stała się także cechą świata jako takiego – ulice zamykały się nade mną, zasklepiały zbiegającymi się wysoko ścianami domów, jarzeniowe światło neonów wpadało w dziwaczne rezonanse ze skrytymi w mroku organicznymi kształtami, zdającymi się wić, kłębić gdzieś na peryferiach postrzegania.

Wykorzystując ostatnie chwile przed snem, usiłowałem pisać, próbowałem wejść w skórę tajemniczego autora, czując, że z każdym dniem idzie mi coraz lepiej, coraz sprawniej; właśnie wówczas, gdy widziałem świat jego oczyma, oczyma deformującymi wszystko do groteskowej postaci skręcających się scenografii zastawiających kulisy, za którymi zieje pustka; właśnie wówczas ta imitacja wychodziła mi najlepiej, najpełniej; zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, że choć nigdy go nie poznałem, w takich chwilach czuję się bardziej nim niż sobą.

Jak to jest: być kimś innym? Jak to jest uświadomić sobie, że ten, kto posiada moje ciało, nie jest mną, jak w ogóle jest możliwe nie być sobą? Odczuwa się to nie jako pewnego rodzaju równoległość, ale raczej przenikanie wizerunków podczas zdrapywania warstw farby, którą przez lata malowało się na lustrze autoportret, aż obraz przykrył odbicie i straciliśmy kontakt wzrokowy z przeobrażeniami własnej twarzy. Ale jak to jest zdrapać tę farbę i odkryć pod nią zupełnie obce, nieznane oblicze? Spoglądałem w lustro, wnikając w wyrodniejące za mną cienie, a zwierciadlana powierzchnia zdawała się zwijać, wyginać, tak że nie potrafiłem skupić wzroku na żadnym z detali własnego oblicza. Postrzegałem jedynie jak przez mgłę jego ogólny zarys i już wtedy widziałem, sparaliżowany lękiem, sugestię obecności kogoś obcego; czyjeś odbicie wyrastało za moimi plecami, w ciemnościach domu; oblicze kogoś, kto zbliża się do mnie bezszelestnie, oplata swoim dotykiem, by wniknąć we mnie, aż nasze kształty nałożą się na siebie i stworzą jeden obraz. Ile w tym obrazie mnie, a ile jego? Nie potrafię ocenić, nie potrafię uchwycić żadnego szczegółu – w kłębiącej się ciemności domu, który sam zmienia się w wyśnioną przeze mnie ruinę, kształty w tańczącym lustrze przepoczwarzają się, uciekają przed łapczywością głodnych oczu.

Wracam do lektury i poznaję w niej miejsca, w których niegdyś byłem, jak na przykład wyrzynające się z mgły olbrzymie przęsło mostu łączącego starą i nową część miasta. Poznaję samotny, zamknięty już kiosk na rogu ulicy, poznaję lodowate, wymarłe kamienice, których wspaniałość jest podniosłością godnego obumierania, zwycięstwem wyniosłości nad rozpadem i absurdem, nad zachłannością entropii, która niszczy wszelkie dobro i wszelkie piękno.

Poznawszy te miejsca, zapragnąłem je odwiedzić, zobaczyć w nadziei, że może wciąż tam bywa, wciąż przychodzi, aby szukać inspiracji, natchnienia. Z jeszcze większą premedytacją zanurzałem się w mglisty, wieczorny świat dawnych hal produkcyjnych, wąskich uliczek wiodących wśród zdewastowanych, wyludnionych kamienic, opustoszałych peryferii, zapomnianych kolejowych bocznic i nieczynnych stacji. Wchodziłem do starych, opuszczonych budynków i, przysiadając w ich ciemnych kątach, obserwując grę światła księżyca, przenikającego przez brudne, porozbijane szyby oraz omiatającego hałdy pyłu i gruzu, oczekiwałem na jego pojawienie się, jego głos, z którym mógłbym nawiązać dialog. Tak jak on napawałem się widokiem zanurzających się we mgle, nocy i księżycowym świetle dziurawych ścian, sczerniałych cegieł, pociemniałych, szorstkich bloków betonu, odpadających płatów tynku; widokiem butwiejących desek, zardzewiałych ogrodzeń, pod którymi rosła szara, ostra trawa. Kiedy przystawałem w tych miejscach, by nasycić się ich atmosferą, często dopadała mnie przedziwna melancholia; zimny, smutny spokój, kryjący w sobie zapowiedź zrozumienia czegoś istotnego, a jednocześnie olbrzymia tęsknota za kimś, kto otworzył mi oczy na to nieoficjalne, wstydliwe piękno. Jestem sobie w stanie wyobrazić, jak wyglądałoby nasze spotkanie: gdzieś w odległym cieniu ujrzałbym jego smutną, zmęczoną twarz i ruszyłbym ku niej; twarz zaczęłaby się oddalać, zapadać w cień, przemykać coraz zimniejszymi, odleglejszymi korytarzami zdewastowanego miejsca, wiodąc mnie hipnotycznym głosem, którym zdradzałaby kolejne tajemnice, kolejne okropieństwa. Szedłbym za nim, wpatrując się w przenikające go cienie, aż wyszlibyśmy krętymi schodami na górę, na pozbawiony balustrady balkon jednej z opuszczonych kamienic; tam odwróciłby

się do mnie. Zimny, nocny wiatr targałby połami jego płaszcza, burzyłby przerzedzającą się czuprynę, a on, stojąc na krawędzi, dokonywałby ostatecznej egzegezy wszechrzeczy. Wyobrażałem sobie, jak w uniesieniu, szarpany przez wichurę, odcinający się na tle pustego, nocnego nieba, wyjawia mi koszmar bycia, tłumaczy go, pełen pasji, pełen myśli obracających się wokół ostateczności. Wyobrażałem sobie, że w końcu odwraca się do mnie plecami, mówiąc, że czas rzucić wyzwanie tej grozie, zanurzyć się w nią, rozpłynąć w niej, po czym skacze, a ja podbiegam do krawędzi balkonu, ale nie widzę już jego spadającego bezwładnie ciała, a jedynie apokaliptyczny, ciągnący się po horyzont bezmiar zrujnowanych domów, rozpadających się kamienic, wygasłych fabryk i dworców, nad którymi rozrasta się straszliwe, czarne niebo. Krzyczałbym za nim, mój głos tonąłby w próżni. Tak wyobrażałem sobie nasze pierwsze spotkanie, tak wyobrażałem sobie to objawienie, kuląc się w cieniach umarłych domostw, w których, rzucając wyzwanie ciszy, wypowiadałem pojedyncze słowa, wsłuchując się w echo, w deformacje mojego głosu, który przepoczwarzał się, stając jeszcze jednym elementem tych opuszczonych, zapomnianych światów. Echo w końcu zanika, rozprasza się, zostaje jedynie wspomnienie po jego wygasaniu i w nagłej chwili epifanii już wiem, co jest jedną z traum tego człowieka: jest nią rozpad, nieustanna zmienność tworząca i pochłaniająca kształty, płodząca liczne potomstwo i urządzająca mu hekatombę, ta potworna przemijalność form, idei. I wiem, co jest przyczyną trwogi: świadomość, że nie można uciec tej przemijalności, że wszelkie nasze strategie i gry wciąż jej podlegają, że nie da się przejść poza nią, nie da się jej przekroczyć, bo stanowi fundamentalne prawo powołujące do istnienia wszelki byt, a w bezrozumnym okrucieństwie również własną świadomość siebie, czyli świadomość przemijalności, co można porównać jedynie do tępego okrucieństwa rodzica, który – przebrawszy się za potwora – zakrada się nocą do kołyski, by deptać bezbrzeżne zaufanie własnego dziecka i zsyłać na nie kolejne koszmary, które za dnia wsiąkać będą we wszelkie dostrzegane przez nie kształty i kolory. Jakże bym chciał spojrzeć w twarz temu człowiekowi, w jego bez wątpienia udręczone oblicze, by powiedzieć mu, że osiągnął cel, że patrzyłem na świat jego

oczami i teraz wszystko rozumiem, że tajemnica życia odsłoniła mi swoje skrywane pod kruchą fasadą obrzydliwe, przegniłe, zaropiałe oblicze. Lecz nigdy nie spotkałem go w żadnym z opisywanych przezeń miejsc. Dlatego z silnym postanowieniem wracałem do biblioteki, by drążyć, by szukać jego śladów.

Tam z pomocą przychodził mi bibliotekarz, wiernie oczekujący za amboną pulpitu, sekundujący mi w lekturach, przeciągających się do godzin wieczornych i nocnych. Jego karłowata, pękata sylwetka wydaje się teraz magiczną, to on wynosi z otchłani te wszystkie słowa, wszystkie zdania, które zapładniają mnie trwogą i zachwytem, przekształcając w inną osobę, w kogoś, kto mówi i myśli inaczej, kogoś dla kogo własna mowa stała się obcym językiem. W przepastnych archiwach w królestwie druku, w domenie pisma, dysponentem prawdy i kłamstwa jest właśnie ten karzeł. Zdaje się teraz wręcz oczekiwać moich wizyt. Od samego wejścia widzę, że ma dla mnie nowe druki, nowe arkusze, nowe ryzy, nowe zdobycze, nowe trofea, wydobyte z otchłannych kopalni jego królestwa.

Spoglądając na jego płaską twarz, przysłoniętą grubymi szkłami okularów, krzyczę w chwili oświecenia:

– To ty! To zawsze byłeś ty!

Ale on jedynie śmieje się pod nosem, kręcąc głową.

– Wiem dobrze, czego szukasz, kogo szukasz. Nie jesteś pierwszy – odpowiada, po czym podnosi się z krzesła, chwytając w mięsiste dłonie plik druków i kilka książek. – To jeszcze nie wszystko. Pewnie będziesz chciał to przeczytać, ale mam dla ciebie coś znacznie ciekawszego – mówi.

– Tutaj? – pytam.

– Nie. W piwnicy. Jest tego zbyt dużo, żebym sam to przyniósł. Jestem już stary, nie widzisz? Odnalazłem to dla ciebie. Ale zanim tam pójdziemy, przeczytaj to. – Niemal szepce, podając mi jakieś pismo. Data wydania sugeruje, że mam do czynienia z publikacją z bieżącego tygodnia. – To jego ostatnia praca. Właśnie się ukazała.

Chwytam periodyk, zaskoczony – kupuję pismo regularnie, znam jego właścicieli, sam kiedyś do niego pisałem. Musiał wyjść nowy numer, a ja to przeoczyłem.

Łapczywie przerzucam strony, drżąc z podniecenia, pełen przeczucia ciemnej ekstazy. I oto jest, jest! Nowy tekst, nowa publikacja. Zasiadam za biurkiem, pod czujnym spojrzeniem bibliotekarza, o którym w mig zapominam, i zanurzam się w koszmar.

I niczego nie rozumiem, bo wielbiony przeze mnie pisarz stworzył fabułę, której osią jest moje własne mieszkanie, mój ciemny sarkofag. Opisuje wnikliwie piwnicę pod blokiem, dodając do jej rzeczywistej topografii ukryte za jednym ze składów drzwiczki do dziwacznego tunelu, z którego dochodzi muzyka, jej echo zniekształcane wśród ścian wąskiego korytarza. I poznaję to, pod czym wyrósł ten wiodący donikąd korytarz: to mój dom, moje ciasne królestwo, wszelako przeniesione z masywnego bloku gdzieś na obrzeża miasta, w pusty obszar wielkich pól, biegnących po horyzont, zachodzących co wieczór mgłą; dom, niczym ostatni przyczółek miasta, poza którym ciągną się już tylko niemal niekończące się nieużytki. W postaci lokatora, który odkrywa dziwaczny tunel, rozpoznaję siebie, a raczej mutację, wariant siebie – zainfekowanego rozpaczą, zatrutego strachem i trwogą. Widzę siebie z oddali i widzę, że to już nie ja – to ktoś inny, ktoś kto uległ przemianie. Bohater nie próbuje zgłębić tajemnicy, jedynie wpatruje się w promieniującą ciemnością drogę do, być może, innego świata, wsłuchując się w płynącą stamtąd muzykę, której źródło przybliża się z każdym dniem; wpatruje się w oczekiwaniu na coś, co wyłoni się z podziemi – coś pięknego i nieludzkiego zarazem. Większość tekstu stanowią opisy tej muzyki, opisy tak sugestywne, że niemal ją słyszę, odczuwam całym sobą wraz z powiewem wilgotnego powietrza, którym zionie z korytarza w twarz bohaterowi opowiadania. Kończę lekturę w obezwładniającym poczuciu zapętlenia: czuję się kimś, kto czyta o sobie będącym kimś innym. To moje wrażenie, to moje istnienie, przepchnięte przez jego wyobraźnię, ulepione ze słów jego języka.

Oblany potem, spoglądam na bibliotekarza, wiedząc, że istota odczuwająca zdumienie pomieszane z grozą ustępuje pola istocie nieodczuwającej niczego poza zimną, już abstrakcyjną symulacją trwogi – ma w myśli jedynie pustkę i koszmar, obraca te abstrakcyjne pojęcia, rozważa je, roztrząsa na różne sposoby, łączy z odnajdywanymi w sobie elementami

i sprawdza, jak do siebie pasują. Ustępuję pola komuś innemu, komuś, kto mną zawładnął, i już wiem, jak mówić jego językiem. Ale jeszcze tam jestem, ja jako ja, jakaś resztka mnie, która usiłuje się bronić, ale która przede wszystkim chce wiedzieć. Bibliotekarz uważnie spogląda na mnie, na moje ciało, ale nie dostrzega człowieka, lecz obiekt; jestem dla niego jak szczur w labiryncie – warto przyjrzeć się moim reakcjom, to takie zajmujące.

– Co chciał mi pan jeszcze pokazać? – zapytuję.

– Chodźmy. Trochę tego jest – odpowiada z uśmiechem na płaskiej, otyłej, starej twarzy.

Więc idę za nim, posłusznie, drepcę powoli za jego chybotliwym krokiem. Przechodzimy przez nocne przestrzenie wygasłej biblioteki, ku coraz starszym i niżej położonym salom i korytarzom, przez labirynt przejść, drzwi, schodków, korytarzyków, coraz niżej i niżej, aż powietrze zaczyna wypełniać zapach piwnicznej stęchlizny i zawilgoconego papieru.

– Nie radzimy sobie z wilgocią w gmachu – mówi bibliotekarz. – Często, zanim wydam druki i książki, muszę je suszyć. Wyobraża pan sobie?

Milczę.

– Wie pan, jestem już stary i samotny, mam dużo czasu. Kiedy pan tak przychodził i przychodził, z początku mnie irytowało to zostawanie do późna, to wyganianie pana zza biurka, ale przecież co ja mam lepszego do roboty? To miejsce to moje życie. Dlatego możemy tu przebywać nocą, znam każdy zakamarek. Ta pańska pasja, oddanie… Zaintrygował mnie pan, ale jak wspomniałem, nie jest pan pierwszym, który go szukał. Inni byli przed panem, tak samo opętani. Z tym samym mętnym spojrzeniem kogoś, kto traci zmysły. Zastanawiałem się: dlaczego? Czytałem go, przyznaję, ciekawy autor. Autor… No właśnie, ten pański… ten wasz entuzjazm sprawił, że postanowiłem jeszcze lepiej poznać moją bibliotekę. I coś dla pana mam.

– Inni też to widzieli? – pytam, wpatrując się w tonące w półmroku, kołyszące się plecy, wsłuchując w głos rozbrzmiewający pośród opustoszałych korytarzy biblioteki.

– Nie. Zadowolili się tym, co było powszechnie dostępne. To im wystarczyło. Odchodzili i nie wracali. Widocznie nie mieli potrzeby.

Droga zdaje się nie mieć końca, przemieszczamy się coraz węższymi korytarzykami, otoczeni przez stare regały pełne książek, druków, gazet. Ciemność rozjaśniają jedynie odległe od siebie, nagie i anemiczne żarówki, zwisające na kablach z pełnego zacieków – o ile możliwe jest rozpoznanie zacieków w tym mroku – sufitu. W prawo, w lewo, w prawo, lewo, kolejnymi odnogami; mijamy niewielkie komórki, pomieszczenia wypełnione zadrukowanymi odpadkami. W końcu bibliotekarz staje przed jednym ze schowków, odwraca się, słabe światło odbija się w jego okularach. Szarmanckim gestem, jakby zapraszał mnie na ucztę, wskazuje maleńkie wnętrze wypełnione stertą cienkich zeszytów.

– Nawet je posegregowałem dla szanownego pana. Proszę – mówi z uśmiechem.

Wchodzę do środka, czując na sobie jego wzrok, czując jak wzbiera we mnie ten inny, jak mnie wypiera. To moja ostatnia chwila, zanim stanę się nim. Widzę cały świat na jego sposób, ów przerażający labirynt postrzegam tak, jak on by go postrzegał, jak sam by go opisał. Sięgam po pierwszy z brzegu zeszyt i otwieram niemal odruchowo na stronie, na której widnieje jego nazwisko. Wytężając wzrok, przeglądam pobieżnie i odkładam pismo na bok. Sięgam po kolejne. Jest. W następnych – także.

– Proszę czytać uważnie – mówi głos za mną.

– Jak to? – odpowiadam.

– Daty – mówi bibliotekarz.

Przyglądam się miękkiej, napuchniętej okładce. Lata temu. Sięgam po kolejne zeszyty – lata, lata, lata wstecz. Aż do dziesiątek lat. Poza moje życie. Setki tekstów. Publikowane równolegle, jakby pisane równolegle. Niemożliwe, aby jeden człowiek tyle napisał. To nie jest możliwe. Nie jest.

– Zostawię tu pana, proszę, oto latarka. Nikt pana tu nie znajdzie. Przyjdę później – mówi głos za mną. Słyszę oddalające się kroki, coraz słabsze i słabsze.

A więc wytężam wzrok, skupiam spojrzenie na drobnych, częstokroć zamazanych literach, rozmywających się w wilgoci i ciemności. Lecz

znam ten język i jest mi łatwiej – przekopuję się przez kolejne historie, kolejne wydarzenia i miejsca zdeformowane jego wyobraźnią. Dotyczą spraw znanych i nieznanych, czasami ujmują je z różnych perspektyw, jakby zaszczepiały się w nim inne osoby, inne punkty widzenia, czasami bardzo odległe. Te odległości rozciągają się na czas, ale i na idee – jakby walczyły w nim przeciwności, odmienności, warianty, które usiłuje spajać językiem. Ale odległości rozciągają się nie tylko na czas i idee – rozciągają się także na przestrzeń, na rozległe terytoria. Jego wiedza jest wiedzą historyczną, ale nie dotyczy ważnych przełomów i wielkich wydarzeń – to drobiazgowa wiedza codzienności, oczyszczonej ze światła i sensu; wiedza, którą zazwyczaj gromadzą różni ludzie przeżywający epizody, drobne role w pobocznych scenach wielkiej komedii w teatrze świata.

Różni ludzie… Ileż w tej pozornej spójności, w tej posępnej narracji pęknięć, rozłamów, sprzeczności? Dopiero teraz, gdy w pełni przyswoiłem jego język, gdy staję się nim, widzę je wyraźnie – pęknięcia jak zanieczyszczenia, jak… pozostałości po innych osobach. Jak wystające z błotnej lawiny, z jej ciemnej masy, kikuty rąk, kawałki głów, maski zalanych błotem twarzy. Sięgam po ostatni opublikowany tekst, ten który opisuje mój dom i mnie samego, a w zasadzie tego, kto już przestaje istnieć i zaczynam pojmować, kim jest. To podejrzenie kiełkuje w resztkach mnie, w resztkach tego, kto ustępuje mu pola, wspominając własną przemianę od momentu pierwszej lektury, kiedy zapragnął pisać… mówić tak jak on, tak jak on widzieć świat, rzeczy. Tyle miejsc, tyle czasów, tyle różnych… pozostałości. Sięgam pamięcią wstecz, poszukując w zakamarkach umysłu pierwszego tekstu, od którego wszystko się zaczęło. I kiedy po długich, ciemnych godzinach, po których moje oczy odmówią posłuszeństwa i zgasną tak, jak gasnę ja, wreszcie go znajduję… pojawia się pytanie: kto tak naprawdę go stworzył; on sam, a może ktoś wcześniej stworzył jego, by napisał tekst, który wszystko rozpoczął?

Oto straszliwa prawda: jego nie ma, nie istnieje, a jednak jest, jednak istnieje w sposób prawdziwy, choć nierzeczywisty, a może na odwrót; już nie wiem, co te słowa oznaczają. Jest ideą, być może sam zmienił się w ideę, a może ktoś go po prostu stworzył, napisał. To nieistotne, gdyż

idea wrasta, wrosła już we mnie, w tamtego człowieka, kiedy jego pierwsze słowa przesiąkły przez papier w moje istnienie, w istnienie tamtego człowieka. Już wówczas ten proces się zaczął, już wtedy choroba przypuściła atak, wiem to, wiedziałem to, wiedział to ten, który wówczas istniał, mówię w jego imieniu, uzurpuję sobie prawo do mówienia w jego imieniu, aby jakoś go ocalić, aby jakoś ocalić siebie i to wszystko, co było pomiędzy nami, pomiędzy naszym stawaniem się. Aby ocalić wspomnienie procesu, który dział się, dając złudne wrażenie bycia czymś stałym, nie zaś ciągiem wydarzeń pomiędzy nim a mną, wydarzeń, które spowodował ten ktoś, ten… czynnik odziany w pozory osoby? Określono go. Określono jego język i filozofię, określono definiujące go traumy i tak skonstruowaną z okruchów prawdy maszynerię puszczono w ruch, by wciągała w swoje tryby… Jednakże język, filozofia i traumy, choć wyrastają z ogólnego doświadczenia, choć zlepiono je z okruchów prawdy, są w gruncie rzeczy fikcją, tak jak fikcją jest wszystko, nawet prawda, nawet ta najgłębsza, najbardziej bolesna i dotkliwa. Są tylko kamuflażem, który przykrywa jeden, jedyny cel przyświecający wszystkiemu, co istnieje: replikować się, powielać, trwać w nowych wcieleniach, być zawsze o krok naprzód przed losem, tym masowym mordercą własnej progenitury.

Stworzono go, by trwał, opracowano mu język i filozofię, najpotężniejsze narzędzia, dzięki którym optymalnie wykorzystuje reguły gry w przetrwanie. Wydzierając z siebie, z własnych, fikcjonalnych trzewi przerażenie przemijalnością, krwawiąc lękiem przed nią, brocząc tym najbardziej powszechnym, nieodwołalnym strachem, zdzierając maskę własnej twarzy, maski własnych twarzy, by ukazać wszystkim – także sobie – oblicze będące odbiciem tej trwogi, odnalazł jedyny skuteczny sposób, by się jej przeciwstawić, aby trwać, istnieć, być.

Ktoś go wymyślił, ktoś go napisał, a może sam wyewoluował spomiędzy słów, spomiędzy projektów; w toku przeobrażeń, których nie jestem w stanie przeniknąć, wykrystalizował się jego labilny, bezcielesny byt. Czasami, w ostatnich chwilach własnej przytomności, zadaję sobie pytanie: czy jest świadomy sam w sobie, czy jest może jedynie gasnącą świadomością ofiar, które przekształca w siebie? Nie potrafię

na to odpowiedzieć i nie sądzę, aby to miało znaczenie. Sięgam po wilgotne, ciemne karty i oczekuję nadejścia bibliotekarza, który wyprowadzi nie mnie, a nową inkarnację autora na przyćmione światło dnia, na gasnący, powykręcany świat toczony chorobą dławiącej przemijalności. Zaczynam, a w zasadzie on zaczyna, z początku nieporadnie, nie orientując się jeszcze w skali pozostałości po dawnym lokatorze, spisywać w swoich-cudzych myślach kolejną wizję, kolejne słowa, które być może kiedyś obejmą kogoś we władanie. Cóż za okrucieństwo: potrzeba specyficznej kombinacji tęsknoty i wrażliwości, całego szeregu uwarunkowań, aby poddać się jego mocy. Czy ktoś go napisał z myślą o konkretnych ofiarach, o szczególnym typie ofiar? Ilu przede mną przeobraził w siebie, nakazując im pisać swoim językiem, we własnym imieniu?

Jeszcze próbuję się bronić, w zasadzie nie wiem dlaczego – przecież chciałem być jak on; próbuję przemycać siebie, swoje pozostałości w jego myśli i słowa. Inni też tak czynili, to jedyny dostępny im wybieg, ostatnia deska ratunku. Moje słowa i jego słowa walczą ze sobą i wiem dobrze, że choć rezultat jest przesądzony, to jedynie we własnych błędach i niedoskonałościach, które wplotę w jego doskonałość, będę w stanie cokolwiek uratować. Być może kiedyś w nim – w innym – ktoś odnajdzie mnie, mój ostatni krzyk, mój umierający język.

Odłożyłem plik na stół i ukryłem twarz w dłoniach. Siedziałem tak dłuższą chwilę, po czym rozejrzałem się po biblioteczce. Sięgnąłem po pierwszy z brzegu zeszyt i jąłem go wertować w poszukiwaniu tajemniczego nazwiska. Następnie kolejne zeszyty, magazyny, antologie, tomy. Było, powtarzało się. D. zdążył znieść do domu cały wybór. Zastanawiałem się, czy jestem gotów, by zaryzykować. Czy jestem gotów, by kolegom i koleżankom z koła literackiego zanieść dobrą nowinę naszego nauczyciela. Zgasiłem lampkę, zatapiając się w półmroku i kłębowisku myśli. Podszedłem do okna i rozwarłem ciężkie, cuchnące tytoniem zasłony. Nocny świat wydawał mi się teraz plątaniną betonowych, wymarłych ulic,

zmartwiałych drzew i kłębiącej się nad nimi ciemności, na tle której przesuwały się szare pasma chmur. Zimno, cisza i obojętność. Zaczynałem rozumieć, co zobaczył D. i dlaczego wyzwoliło to w nim taką obsesję. Niebawem usłyszałem skrzypienie otwierających się drzwi wejściowych, a następnie ciężkie, powolne kroki. Odwróciłem się i w anemicznym świetle spełzającym z lampy w korytarzu ujrzałem znajomą sylwetkę.

NA PODOBIEŃSTWO

Alicja Janusz

– Kwarta, ty leniwe bydlę, ruszże się!

Klacz ze wstrętem spojrzała na to, co Burza zrobiła z przerzuconym przez górską rozpadlinę mostkiem. Faktycznie, nie wyglądał zachęcająco. Potężne bale były pokryte mchem albo innym paskudztwem i chwiały się na gwoździach, a szczątki kilku innych leżały smętnie na dnie przepaści. Tam zajęła się już nimi Eostre, bogini sprawująca pieczę nad przyrodą Cesarstwa Germańskiego. Miała, biedaczka, sporo roboty ostatnimi czasy. Kończąca letnią suszę Burza z piorunami – i demonami na dokładkę – dobiła wszystko, czego nie zdążyły zniszczyć wielotygodniowe upały. W tym jedyny most w tej okolicy. Gdyby nie depcząca nam po piętach przedwczesna zima i przymrozki srebrzące poły namiotu, za nic nie ryzykowalibyśmy przeprawy przez te ruiny. Ale pozostawanie w górach, gdy w każdej chwili mogło nadejść gwałtowne załamanie pogody, wcale nie było rozsądniejsze.

– No, mała, nie rób mi tu numerów! – jęknęłam. Na nic się to jednak nie zdało. Kwarta drobiła kopytami, próbując się cofnąć.

Nie miałam zamiaru ustąpić. Zaraza jedna, zdążyła sobie nagrabić! Nie dawniej niż wczoraj zostawiłam kilka drobiazgów w zasięgu jej pyska, kiedy poszłam przemyć twarz w górskim strumyku. Kwarta, z zemsty, że nie zabrałam jej ze sobą, zeżarła co się dało, w tym mapę, dzięki której

mieliśmy bezproblemowo przeprawić się przez tyrolskie Alpy. Mistrz co prawda zabrał ze sobą drugą, ale jak sam przyznawał, była już nieco „nieaktualna". Co nasuwało podejrzenie, że korzystał z niej jeszcze jako uczniak.

– Nie męcz jej, i tak nie przejdzie – skomentował Mistrz. Jego wałach o białej maści, gdzieniegdzie tylko poznaczonej ciemniejszymi plamami, cierpliwie stał w miejscu, od niechcenia przeżuwając jakieś zielsko.

– Uparta, po właścicielce – dodał po chwili.

– Bardzo śmieszne – mruknęłam. – To co mamy zrobić?

Starszy bard potarł skronie, jak gdyby ten gest zmęczenia miał sprowadzić na nas nagłe olśnienie.

– Jechać do następnego mostu i mieć nadzieję, że ocalał. – Westchnął ciężko. – Jeśli mnie pamięć nie myli, to jakieś pół dnia drogi stąd. Powinien być oznaczony na mapie.

Równie dobrze mógł rozlecieć się lata temu.

– Byłeś kiedyś w tej okolicy, Mistrzu? – Patrzyłam, jak mój mentor grzebie w sakwach, by wreszcie wyciągnąć z nich sfatygowany nieco kawałek pergaminu.

– Dawno temu, na długo zanim zostałaś bardem i Minstrel upomniał się o trzecią część twojej duszy – odparł, rozwijając mapę. – Okolica przez ten czas zmieniła się nie do poznania. O, i na mapie jest drugi most!

– Oby nie była z czasów twojej ostatniej wyprawy – mruknęłam, uderzając piętami klacz, nagle znów chętną do współpracy.

– Słyszałem to, babo marudna!

Ochłodziło się. Nieprzyjemny wiatr wył potępieńczo, zimnymi igiełkami wciskając mi się pod wams. Okręciłam się ciepłym płaszczem, wygrzebanym naprędce z sakwy, i głębiej nasunęłam beret na uszy. Wędrówka wzdłuż krawędzi przepaści nie była przyjemna. Co prawda wiodła tamtędy ścieżka, ale sądząc po jej stanie, częściej deptały ją łapy dzikich zwierząt niż ludzkie stopy. Zasuszone osty co i rusz chłostały moją spódnicę,

a końskie pęciny oblepiały rzepy. Zaklęłam cicho na myśl, że będę musiała to potem czyścić.

– I jak? Wiesz już, Mistrzu, gdzie jesteśmy?

– Możesz nie zadawać głupich pytań? – odparł, patrząc w niebo. Słońce skryło się za poszarpanymi szarymi chmurami. Gdzieś w oddali rozległ się stłumiony pomruk, jak gdyby nadchodziła burza albo połać ziemi osunęła się w dół rozpadliny. Albo jakby coś czaiło się na nas w lesie. Wzdrygnęłam się na tę myśl.

– Myślisz, że tu żyją smoki? – Rozejrzałam się niespokojnie. Zdawało mi się, że gdzieś w chmurach widziałam złowieszczy cień. W moich stronach wierzono, że podczas burzy ze swoich leży wyłażą potwory, a w ich paszczach rodzą się błyskawice. Wolałabym nie spotkać żadnego w górach, gdzie rzekomo zakładały gniazda.

– Tak, i węże-dupczyciele – prychnął. – Audrey, jako bard to nie dzikich zwierząt powinnaś bać się najbardziej.

– Tylko?

– Ludzi – odparł mój mentor, wzdychając ciężko. – Bo chociaż i na nich działa dar Minstrela, to próżnie w ich głowach rodzą zdecydowanie gorsze pomysły.

Słońce zaczęło już wędrówkę w dół nieboskłonu, kiedy wreszcie znaleźliśmy most. Zachował się w całkiem niezłym stanie, trzeba przyznać. Można było nawet zauważyć, że jego zmurszałą już balustradę kiedyś pokrywały misterne rzeźbienia. Przeprawa na drugą stronę poszła dużo szybciej, niż się spodziewaliśmy. Tylko że tego mostu nie oznaczono na mapie. I absolutnie nie mieliśmy pomysłu, gdzie jesteśmy. Poza tym, że na jakimś pustkowiu w górach, rzecz jasna. W tym miejscu skraj przepaści gęsto zarastały chaszcze, skutecznie zniechęcające do podjęcia wędrówki w bardziej znajomą okolicę. Mistrz zarządził więc postój i rozwinął swoją mapę, co do której nie miałam już wątpliwości, że nie tylko pochodzi z czasów jego wczesnej młodości, ale została odziedziczona po jego własnym

nauczycielu. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że niknąca między sosnami zadbana droga prowadzi w jakieś bardziej cywilizowane rejony.

Oparłam się o pień jednego z drzew, którego igliwie pożółkło od żaru lejącego się tygodniami z nieba. Moje myśli bynajmniej nie były wesołe. Łudziłam się, że po tym, jak przetrwaliśmy Burzę, nadejdzie czas na chociaż odrobinę spokoju. Nic bardziej mylnego.

Przede wszystkim nie każdemu dopisało szczęście. Nawet jeśli komuś udało się przeżyć bez uszczerbku na zdrowiu, to w najlepszym razie nie miał dokąd wracać. Niemal wszyscy coś stracili. Jeśli nie dorobek życia, to bliskich. Ludzie popadali w obłęd. Szalejące po ziemi demony miały otwarte furtki do ogarniętych rozpaczą umysłów. Kapłani nie nadążali z egzorcyzmami. Znowu poproszono bardów o pomoc. Kiedy w drzwi kamienicy Mistrza załomotał świątynny posłaniec, mój mentor nie kazał mu długo czekać. Jeszcze tego samego dnia wyruszyliśmy na mokry od deszczu trakt i jeździliśmy od miasteczka do miasteczka, niosąc pociechę, jaką była muzyka. Nie omijaliśmy żadnej osady na naszej drodze, coraz bardziej oddalając się od domu. Pogoda jednak znowu zrobiła nam ponurą niespodziankę. Zima, która nadeszła nagle po stosunkowo spokojnej, lecz chłodnej jesieni, zastała nas w trakcie przeprawy przez góry.

Najpierw obawialiśmy się, że nie zdążymy na czas dotrzeć do Wiednia i będziemy musieli poczekać w jakimś mniejszym mieście na jadącą w tym samym kierunku kupiecką karawanę. Teraz powoli zaczynaliśmy tracić nadzieję, że w ogóle uda nam się dotrzeć do cywilizacji.

Szczelniej otuliłam się wełnianym płaszczem. Wams miałam zapięty pod samą szyję, a mimo to wiatr szczypał mnie chłodnymi smagnięciami. Powinnam była zabrać ze sobą zimową maseczkę, ale jakoś nie pomyślałam, że mogę jej potrzebować już teraz.

Nagle Mistrz oderwał wzrok od – w mojej ocenie bezużytecznej – mapy. Zamarł. Jego źrenice zwęziły się gwałtownie, by po chwili powrócić do normalnego stanu. Wiedziałam, co to oznacza. Zamknęłam oczy, odcinając się od niepotrzebnych bodźców, i sięgnęłam po dar Minstrela. Wszystkie dźwięki przybrały na sile. Nasze serca zdawały się walić z siłą tarana, krew szumiała jak rwący potok, wiatr wył opętańczo… Zajęło mi

miesiące, by w takim chaosie nauczyć się wyszukiwać bardziej odległe odgłosy, ale do precyzji mojego nauczyciela było mi jeszcze daleko. Nie zdziwiło mnie, że nie musiał w pełni wyostrzać słuchu, żeby zauważyć odległe kroki. Ktoś biegł w naszą stronę. Jego oddech był płytki i rwał się gwałtownie. Mogłabym się założyć, że to starsza osoba została nagle zmuszona do biegu. Nie wróżyło to niczego dobrego. Srebrny medalion z wyrytą nań potrójną spiralą, symbolem bardów, nie drgnął ostrzegawczo jak wówczas, gdy zakradała się do nas siła nieczysta. Biorąc pod uwagę fakt, że byliśmy bez broni, nasza sytuacja wydawała się co najmniej zła.

– Spokojnie, Audrey, jest sam – odezwał się Mistrz, jak gdyby odgadując moje myśli. – Jeśli nie ufasz uszom, spójrz na konie.

Istotnie, Kwarta i Wihajster stały spokojnie, co jakiś czas z nudów potrząsając grzywami. Na wybiegającego z lasu człowieka nie zwróciły szczególnej uwagi.

Zgadłam, był to starszy mężczyzna w łachmanach, zapewne strzępach pasterskiej kamizeli. W jego skołtunionej brodzie tkwiły wióry i resztki jedzenia. Dyszał ciężko, rozglądając się gorączkowo na boki. Nas jednak zdawał się wcale nie zauważać.

– Hej, dobry człowieku! – Mistrz zamachał ręką w jego stronę.

Starzec zatrzymał się i zwrócił na nas spojrzenie ciemnych, pustych oczu. Z szerokich jak u dzikiego zwierza źrenic wyzierał strach. Obdartus wymamrotał coś niezrozumiałego. Dotarło do mnie, że mamy do czynienia z kolejnym szaleńcem. Mój mentor przy każdym takim przypadku robił dokładne notatki „dla przyszłych pokoleń". Wiedziałam, że próbuje odnaleźć źródło obłędu i wywołujących go demonów, by wyeliminować go raz na zawsze. A przynajmniej odrobinę przybliżyć ludzkość do tego momentu.

Mistrz ostrożnie, by bardziej nie przerazić przybysza, sięgnął za pasek, gdzie miał zatknięty swój ulubiony flet, celtycki *whistle*. Co prawda dar mojego nauczyciela działał najsilniej w przypadku strun, ale nie było czasu szamotać się z futerałem lutni. Kiedy popłynęły łagodne tony a z oblicza nieznajomego powoli zaczęły znikać napięcie i strach, przesunęłam

się w kierunku własnego instrumentu. Wysupłałam z sakiewki maleńki srebrny kluczyk i przekręciłam go w zamku. Mechanizm kliknął cicho. Rozwiązałam zabezpieczający wieko rzemień i wyciągnęłam swoją lutnię. Połowa strun oczywiście nie stroiła. Spojrzałam na Mistrza, kręcąc głową. Nie dałabym rady przyłączyć się do gry.

Na szczęście nie było takiej potrzeby. Starzec szybko się uspokoił. Gdy ostatni ton melodii drżał w powietrzu, usiadł na ziemi, chowając twarz w dłoniach. Przez moment mamrotał coś pod nosem. Mistrz gestem kazał mi zostać w miejscu i spróbować szybko nastroić instrument. W razie czego dobrze by było mieć chociaż jedną lutnię, z której dałoby się uwolnić dar Minstrela.

Mistrz powoli zbliżył się do nieznajomego.

– Słyszysz mnie, dobry człowieku? – zapytał łagodnie.

Przybysz zadrżał, a ja zrozumiałam, że wzbiera w nim szloch. Zapewne dźwięk fletu oczyścił jego umysł z szaleństwa, ale wywlókł wszystkie ponure wydarzenia ostatnich dni. Należało pozwolić mu się wypłakać i uspokoić.

Mój mentor usiadł koło mnie i bez słowa przejął na wpół nastrojony instrument. Zwyczajowym gestem przerzucił ramię przez pudło. Delikatnie dotknął strun i wyuczonym ruchem przekręcał kołki. Nad przepaścią zapanowała cisza, zakłócana tylko szumem wiatru, cichutkim jękiem naciąganych strun i łkaniem nieznajomego. Zamknęłam oczy, w myślach prosząc Minstrela, by oszczędził nam kolejnych przygód.

– To nie był mój syn.

Mistrz przerwał strojenie, z uwagą przyglądając się starcowi, którego spojrzenie utkwiło gdzieś ponad horyzontem.

– Już dobrze – uspokoił go mój mentor. Jego palce spoczywały na strunach, by wydobyć z nich aksamitny dźwięk.

– To nie był mój syn – powtórzył tępo mężczyzna. – On by tego nie zrobił…

Melodia przybrała na sile, zmieniała się. Miałam wrażenie, że rezonuje w moim ciele, zmusza mnie do jakiejś reakcji. Bard usiłował zachęcić przybysza do mówienia. I jego działania powoli zaczynały przynosić

efekty. Mężczyzną wstrząsnął dreszcz, jego oddech przyspieszył, wzrok stał się bystrzejszy. Nagle zerwał się na równe nogi.

– Pierwszego znajdzie, drugiego zabije, trzeciego na dach ciśnie! Ja byłem pierwszy! Nie może mnie znaleźć!

Nie zdążyliśmy nic zrobić, chociaż Minstrel świadkiem, że próbowaliśmy. Poczułam wyładowanie mocy, kiedy Mistrz gorączkowo usiłował opanować umysł starca. Rzuciłam się na pomoc, ale szaleniec odepchnął mnie z siłą, jakiej nie spodziewałam się po kimś tak wycieńczonym. Wiatr zawył, opływając zsuwające się ciało. Mój mentor natychmiast stłumił struny dłonią, zrywając połączenie z mocą Minstrela. Na niewiele się to jednak zdało. Do naszych uszu dobiegł głuchy łoskot z dołu.

Las jakby umilkł. W ciszy słychać było tylko monotonny szum wiatru w wysuszonych koronach drzew. Końskie kopyta szurały po ziemi. Wpatrywałam się w ciemną grzywę Kwarty, słuchając, jak obok Mistrz dostraja swoją lutnię. Każdy kto myślał, że kres upiornej suszy i wyrażająca gniew bogów Burza to koniec problemów, grubo się mylił. Przypadki takie jak ten starzec widzieliśmy już dziesiątki razy, a mimo wszystko bezsens śmierci nadal nie był mi obojętny. Dla duszy biednego szaleńca i bezpieczeństwa innych mogliśmy zrobić już tylko jedną rzecz… Dostrojona lutnia odezwała się molowym akordem. Jej powtarzalny dźwięk, raz głośniejszy, raz cichszy, upodabniał ją do cmentarnego dzwonu. To była stara pieśń skazańców, spisana przez Arcymistrza w czasach jego młodości. Osobiście uważałam, że fakt, iż przywódca bardów stworzył ją podczas pobytu w więzieniu, do którego trafił za zwyzywanie po pijaku jakiegoś wysoko postawionego szlachcica, odbierał melodii nieco majestatu. Niespokojne duchy na szczęście o tym nie wiedziały.

Mistrz nabrał powietrza i zaśpiewał czystym, dźwięcznym głosem:

Fortuno zła, dlaczegoś wrogiem mym?
Czy patrzeć chcesz na mej rozpaczy łzy?

Czy cieszy cię mój, śmiertelnika, ból?
Czy w szczęściu żyć mi pozwolisz znów?[1]

Czułam, jak z każdym wersem w powietrzu wzbiera moc. Zamknęłam oczy. Poprzez powieki nadal widziałam świat, tym razem pozbawiony barw i pokryty siateczką podobnych pajęczynie nici. Rozkoszowałam się chwilą wytchnienia, jakie niósł ze sobą dar Minstrela. Stopniowo coraz bardziej odpływałam od rzeczywistości…

…kajdany. Oplatały ciasno wszystkie moje stawy, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Moją świadomość przyćmiewała niewola. Nie docierał do mnie żaden dźwięk czy obraz. Narastała we mnie wściekłość. Pożałują. Wszyscy.

Nagle kajdany opadły. Zawołano mnie jakimś imieniem, ale nie było moje. Gniew eksplodował w ciele, tchnął siłę w uwięzione wcześniej ciało. Pora rozpętać piekło…

Obudziłam się, gwałtownie łapiąc powietrze. Kręciło mi się w głowie, las tańczył mi w oczach, a do tego triskelion na szyi pulsował w rytm cichnącej już melodii. Mistrz nie stłumił strun palcami, pozwalając ostatnim dźwiękom zgasnąć w szumie wiatru. Spojrzał na mnie wyczekująco.

– Wszystko w porządku – powiedziałam, pocierając palcami srebrny medalion. Ale nie wiem, kogo próbowałam przekonać: jego czy raczej siebie.

Wioska, leżąca na pograniczu lasu i rozmokłej górskiej hali, ukazała się naszym oczom nagle. Zupełnie jakby wcześniej jej tam nie było, tylko teraz kapryśne bóstwa zdecydowały, że jednak oszczędzą nam nocowania pod chmurką. Co prawda pasterskie chatki – o tej porze roku już całkowicie puste – wyglądały, jakby hulał po nich wiatr, ale zdecydowanie bardziej wolałam spać w jednej z nich niż w namiocie. Może znalazłby się nawet jakiś siennik…

1 Fragment XVI-wiecznego utworu żałobnego „Fortune My Foe" w przekładzie autorki.

Uderzyłam Kwartę piętami i… omal nie zemdlałam. Cios był tak potężny, że pozbawił mnie tchu. Pociemniało mi w oczach, a po piersi rozlał się gorącem ból. Kaszlałam, walcząc o powietrze. Nagle poczułam dotyk na karku. Nieprzyjemne doznania zelżały. Mistrz trzymał łańcuszek w górze tak, by mój medalion nie miał kontaktu ze skórą.

– Podręcznik młodego barda, punkt pierwszy: im szlachetniejszy metal, z którego zrobiono twój triskelion, tym silniej reagujesz na siłę nieczystą – powiedział, ostrożnie układając amulet na moim wamsie. Sam postukał w swój, wykonany ze złota.

– Mówiłeś, że to tylko symbol – wykrztusiłam.

– Owszem, ale gdybyś go zdjęła, i tak zareagowałabyś tak samo. Taka jest cena rozwijania daru Minstrela.

– Ty jakoś jeszcze się trzymasz – prychnęłam, masując miejsce, gdzie triskelion zostawił na skórze paskudne oparzenie. Medalion wyglądał jak odlany ze srebra. Niemniej Lora, od której dostałam go w dowód uznania i dosyć chwiejnej przyjaźni, upierała się, że splotła go z księżycowego światła. Nie dawałam temu wiary, ale wolałam nie kłócić się z osobą, która swoim głosem mogłaby zamienić mnie w bełkoczącą idiotkę.

– Lata doświadczenia, a poza tym złego licho nie bierze. A jeśli już mowa o lichu… Pokaż na co cię stać i posłuchaj, jakie tym razem zapewnia nam rozrywki.

Westchnęłam ciężko i zamknęłam oczy.

– Nic, cisza – odezwałam się po chwili.

– Podręcznik młodego barda, punkt drugi: jeśli nic nie słyszysz, to dopiero wtedy trzeba zacząć się bać. – Mistrz zaczął grzebać w sakiewce przy pasku. Wyciągnął z niej wreszcie woreczek zmielonej soli. Wedle legend pochodziła z czarodziejskiego lub boskiego młynka, który pewien złodziejaszek ukradł, a potem zgubił w morzu lub jaskini, zależnie od wersji podania. W każdym razie tak tłumaczono fakt, że odstraszała większość sił nieczystych. Mnie najbardziej odstraszały jej ceny i kurczące się zapasy w sakwach, ale z dwojga złego wolałam mdłą kolację niż demona nieświadomego faktu, że bardowie są nietykalni.

Ostrożnie wjechaliśmy między chaty. Ich także nie oszczędził szalejący żywioł. Wiatr wyłamał toporne okiennice, zastępujące pęcherze w oknach. W niektórych dachach brakowało strzechy. Połowa jednego z budynków została zmiażdżona, gdy runęło nań drzewo. Triskelion cały czas pulsował ostrzegawczym ciepłem. Nie podobało mi się to miejsce. Zwłaszcza gdy na jednym z ociosanych bali zauważyłam ślad przypominający zwierzęce pazury. Może i nie żyły tu smoki, ale jakieś inne drapieżniki z całą pewnością.

– To nie jest dobre miejsce – szepnęłam.

– Co ty nie powiesz? – prychnął Mistrz, zeskakując z siodła. – Zaglądamy do każdej z chat. Jedno z nas wchodzi, drugie trzyma straż. Cholera wie, co może z nich wyleźć, więc ani mi się waż odchodzić! Ostatnie, czego mi potrzeba, to cię gdzieś szukać!

Sprawdziłam, czy w cholewach moich butów ciągle tkwią janczarki, chroniące przed demonami. Poklepałam woreczek soli przy pasie i, nie ściągając lutni z pleców, ruszyłam za Mistrzem do pierwszej chaty. Otworzył drzwi i zajrzał do środka.

– Nic tu nie ma – poinformował mnie. – Tylko jakieś pasterskie graty.

W kolejnej też niewiele znaleźliśmy, poza drewnem i stertą wiórów. Po kątach walało się kilka naturalnej wielkości ludzkich figur, swoją drogą całkiem udanych. Pewnie ktoś umilał sobie wieczory dłubaniem w drzewie.

Dalej były tylko mieszkalne chatki, z których właściciele, ściągając na zimę do rodzinnych wiosek, pozabierali wszystkie wartościowe sprzęty. Na samym końcu straszyła zaniedbana owczarnia. Uchyliłam jej drzwi i obydwoje z Mistrzem jednocześnie odskoczyliśmy, gdy wydostał się z niej przeraźliwy smród. Nawet konie zakwiczały rozpaczliwie, szarpiąc się na uwięzi.

– Tu chyba nie powinno aż tak śmierdzieć – wykrztusiłam, zasłaniając twarz połą płaszcza. Niewiele to pomogło.

– Nie, jeśli właściciel nie jest idiotą – odparł Mistrz.

– Może coś tam wlazło i zdechło – zasugerowałam, po czym nabrałam haust powietrza i zajrzałam raz jeszcze do środka. Nie myliłam się, zdechło. I to całe mnóstwo zwierząt, których nie potrafiłam już rozpoznać.

Fragmenty ciał, kości i skóry walały się dosłownie wszędzie. Wyskoczyłam na zewnątrz i pobiegłam ulżyć żołądkowi.

Mistrz przyniósł mi z sakwy manierkę z nalewką, która śmierdziała obrzydliwie, ale, ku mojemu zdziwieniu, pomogła. Z obawy przed ponownym buntem trzewi wolałam nie pytać, skąd ją ma i co wchodzi w jej skład.

– Napij się jeszcze – polecił.

– Dziękuję, już nie potrzebuję.

– Zaraz będziesz. Są tam nie tylko zwierzęta.

Obudziłam się nagle, nie do końca wiedząc, co wyrwało mnie ze świata snów: dźwięki lutni czy dużo mniej swojskie odgłosy kroków gdzieś na zewnątrz. Zabrane do środka budynku konie parskały nerwowo, rzucając łbami. Mistrz siedział w kącie izby, z daleka od trzaskającego wesoło ognia, do którego dopiero co musiał dołożyć drewna.

Zauważyłam, że okrył mnie swoim podbitym futrem płaszczem.

– Dlaczego nie śpisz? – zdziwiłam się. Pełnym gracji ruchem trącał struny lutni. Jego źrenice to rozszerzały się w panującym w pomieszczeniu półmroku, to znów zwężały, gdy wchodził w płytki trans. Położył palec na ustach. Zamknęłam oczy i wyostrzyłam słuch. Coś okrążało chatkę, w której urządziliśmy sobie schronienie. Niezgrabnie, jak ranne zwierzę. Usiłowałam wyłapać bicie serca lub szelest powietrza w płucach. Na próżno. Poza ciężkimi krokami na zewnątrz panowała cisza, jak gdyby las wstrzymywał oddech. Przybysz nawet nie starał się ukryć swojej obecności. Nie próbował jednak jeszcze wyważyć zapartych kołkiem drzwi.

Potrząsnęłam głową. Triskelion cały czas pulsował ostrzegawczo.

– Jak długo? – zapytałam.

– Prawie od chwili, gdy poszliśmy spać – odparł Mistrz. – Jeszcze nie przebił się przez okrąg z soli, ale biorąc pod uwagę jego determinację, jest to możliwe.

Jeśli przypuszczenia mojego mentora okazałyby się prawdą, byłoby gorzej, niż myślałam. Co prawda dźwięk lutni trzymał większość istot

nadprzyrodzonych na dystans, jednak sól teoretycznie też. Sytuację komplikował fakt, że nadal nie wiedzieliśmy, z czym mamy do czynienia.

– Idź spać, Mistrzu, ja popilnuję – powiedziałam, sięgając po swoją lutnię. Kiedy dokręcałam kołki, Mistrz podszedł do ognia i cisnął w płomienie garść jakiegoś proszku. Pomieszczenie napełnił gryzący dym, który po chwili znalazł ujście w otworze w dachu.

– Co to jest? – Zakaszlałam.

– A, takie ziółka. – Mrugnął do mnie, odbierając swój płaszcz. – Jeśli cokolwiek cię zaniepokoi, obudź mnie.

Usadowiłam się z lutnią w kącie chaty, rozmyślając nad tym, dlaczego, jak normalni ludzie, jutro rano nie uciekniemy gdzie pieprz rośnie, tylko będziemy polować na demona. Jasne, Minstrel każe bardom chronić ludzi i tak dalej, ale czy mógłby to dla odmiany choć raz być ktoś inny?

Obecność zła cały czas dało się odczuć, podstawowe egzorcyzmy nie zadziałały. Mistrz mówił, że takie sytuacje zdarzają się często i potrzeba wtedy cierpliwości, zwłaszcza w czasach, gdy demony wyjątkowo urosły w siłę. Ja jednak miałam ochotę jak najszybciej poradzić sobie z paskudztwem i opuścić to upiorne miejsce. Skoro mój mentor nie miał pojęcia, kim był nasz przeciwnik, należałoby poprosić o radę kogoś bardziej doświadczonego. Problem polegał na tym, że jedyna osoba, która mogła znać odpowiedź na moje pytanie, zagroziła, że jeśli jeszcze raz będzie musiała mnie ratować, to gorzko tego pożałuję. A ponieważ przez całe stulecia nabierała wprawy w dręczeniu ludzi, faktycznie wystawiałam się na niebezpieczeństwo. Z drugiej strony, jeśli utknęliśmy na zadupiu zamieszkanym przez demona, to czy sytuacja mogła się jeszcze pogorszyć?

Spojrzałam na śpiącego Mistrza. Teraz ja miałam trzymać straż, ale czy szybkie wejście w trans złamie barierę? Raczej nie powinno… Ostrożnie zagłębiłam się w świat muzyki, myśląc o Lorze. Białe linie, oplatające rzeczywistość, zaczęły zlewać się ze sobą. Po chwili zrozumiałam, że nie jest to dobrze mi znana astralna pajęczyna, a pasma mgły, zawijające się wokół moich stóp. Stałam nad brzegiem rzeki. Na spienionych falach, tyłem do mnie, siedziała młoda kobieta. Końcówki jej

długich, przypominających jęzory ognia włosów tańczyły po powierzchni ciemnej toni.

– Masz jedno zdanie, by przekonać mnie, że twoja dusza nie powinna być rozwleczona po wszystkich poziomach astralnych – powiedziała słodkim głosem Lora Ley.

– Gorzej już być nie może. – Wzruszyłam ramionami. Odpowiedział mi srebrzysty śmiech.

– Bawisz mnie, wiesz, rybeńko? – Zachichotała. – Chodź do mnie. U swoich stóp znajdziesz grzebyk. Rozczeszesz mi włosy.

Posłusznie schyliłam się i zaczęłam grzebać w przybrzeżnym mule. Jednak nie tam należało szukać błyskotki. Unosiła się na powierzchni wody, migocząc i falując. Początkowo wzięłam ją za refleks księżycowego światła. Wyciągnęłam rękę i napotkałam chłodny opór metalu. Musiałam wejść w wodę po kolana, a Lora nie zaszczyciła mnie już nawet spojrzeniem.

– Jeśli szarpniesz choćby jeden włosek, połamię ci palce. Nie tylko astralne – odezwała się miękko, wciąż nie odwracając głowy w moją stronę. Widać wiedźma, na co dzień kryjąca oblicze za wenecką maską, nie miała zamiaru mi go pokazać. Może i lepiej. Podobno jej uroda nie działa dobrze na ludzi.

Ostrożnie złapałam miedziany pukiel, gorący jak prawdziwy płomień, i delikatnie przeciągnęłam po nim grzebieniem. Nic się nie wydarzyło. Wiedząc, że igram z niebezpieczeństwem, zaczęłam opowiadać o przebiegu poprzedniego dnia. Kiedy dotarłam do staruszka, który rzucił się w przepaść, by ktoś go nie znalazł, Lora przerwała mi w pół słowa.

– Bawiłaś się kiedyś łątką, rybeńko? – zapytała.

– Kukiełką z gałganków? Nie. Rodzicom szkoda było pieniędzy na zabawki dla mnie, a u Mistrza wolałam lutnię.

– Ale pewnie jak każda dziewczynka marzyłaś o laleczce, którą można ubierać, karmić i kłaść obok siebie w łóżeczku…

Wzruszyłam ramionami. Pewnie tak, ale dzieciństwa nie wspominałam dobrze, wolałam nie wracać do niego myślami.

– Nie wszyscy robią łątki dla dzieci. Niektórzy robią je dla siebie – ciągnęła Lora.

– A co w tym złego? Jedni grają na lutni, inni dłubią w drewnie…

– Masz zręczne palce, rybeńko. Gdzieś się tak nauczyła czesać? Na kochankach? – Wiedźma zmieniła temat.

– Na kocie Mistrza. Drań gryzie pod byle pretekstem, albo i bez pretekstu – przyznałam.

Roześmiała się. Zanim zdążyłam się obejrzeć, grzebień pod moimi palcami zmienił się w struny, a ja siedziałam znowu w pasterskiej chacie, w której wygasł już ogień. Mogło jednak być gorzej. Triskelion pulsował szaleńczo w rytm uderzeń, od których drżały drzwi. A ja wiedziałam, że ktokolwiek szukał staruszka, odnalazł nas.

Mistrz nie spał. Wpatrywał się w drzwi z zaciętym wyrazem twarzy, a w jego jasnych oczach czaiła się groźba.

– Audrey, dziecko, dołóż proszę do ognia – powiedział nienaturalnie spokojnym głosem. Znałam ten ton aż za dobrze. Zwykle był zarezerwowany dla ludzi, którzy lekkomyślnie nadużyli cierpliwości mojego mentora.

– Mistrzu, przepraszam… – wyszeptałam, ale zbył mnie ruchem ręki. Zrozumiałam, że to nie dla mnie przeznaczony jest jego gniew. Posłusznie dorzuciłam zebranego wczoraj chrustu i dmuchnęłam na gorący jeszcze popiół. Wilgotne drewno chwytało płomień niechętnie, dając więcej dymu niż żaru. W końcu pojawiły się pierwsze nieśmiałe języczki. Bard podszedł do paleniska i cisnął w nie garść tajemniczej zawartości sakiewki. Ponownie w powietrze buchnął słup gryzącego dymu, wyłażąc na zewnątrz każdą szczeliną w ścianach i dachu. Z dworu dobiegł trzask, jak gdyby coś ciężkiego zwaliło się na ziemię. Łomotanie do drzwi ustało.

– Gdzie teraz jest? – zapytał Mistrz.

Wyostrzyłam słuch. Intruz w pośpiechu oddalał się od chaty, zatrzymał się jednak tuż na granicy okręgu z soli.

– Jakieś kilkanaście łokci od nas – odpowiedziałam, nie rozchylając powiek. Zmusił mnie do tego dopiero odgłos otwieranych drzwi. Mistrz stał w progu. Na zewnątrz świtało. Nad ziemią pełzały pasma porannej mgły, wirując i wijąc się jak żywe zwierzęta. Pomiędzy linią drzew widać

było jedynie teatr cieni. Cokolwiek kryło się w poskręcanych od kaprysów pogody krzakach, pozostawało poza zasięgiem naszego wzroku.

– Kimkolwiek jesteś, w imię Minstrela, rozkazuję ci: pokaż się! – krzyknął Mistrz. Czułam lekkie zawirowanie mocy. Nie tak duże, jak w przypadku barda, którego dar leżał w głosie, ale wystarczające, by na moment nawiązać kontakt ze światem cieni. Myślałam, że jego wezwanie pozostanie bez odpowiedzi. Jednak nagle rozległ się szelest i trzask łamanych gałązek. W pierwszej chwili wydawało mi się, że intruzem jest zwykły człowiek, leśny bandyta albo zdziwaczały pustelnik. Chyba zwyczajnie nie mogłam uwierzyć w to, co widzę. Obok mnie Mistrz zaklął szpetnie i natychmiast potrząsnął oplecioną janczarkami dłonią.

Mierzyliśmy się wzrokiem z pustymi oczyma wyciosanej w drewnie kukły.

– To nie na nasze siły – powiedział Mistrz, kiedy zaryglowani w chacie grzaliśmy się przy palenisku. – Trzeba powiadomić magów albo kapłanów.

Pokiwałam głową, nadsłuchując. Kukła zostawiła nas w spokoju. Mój mentor twierdził, że w dzień, pod ludzkim wzrokiem, jest za słaba, żeby ryzykować atak.

– Nigdy nie sądziłem, że istnieją jeszcze durnie skorzy do zrobienia kukły. Głupi się widać urodziłem i głupi umrę.

– Co to za diabelstwo? – zapytałam.

Mistrz przez moment milczał, wpatrując się w ogień.

– Co to za diabelstwo? – powtórzył cicho. – Kukła, nazywana też czasem *doppelgängerem*, czyli po waszemu sobowtórem. Usłyszałem kiedyś legendę o niej na dworze mojego mecenasa. Mówiła, że podobnież panna odrzuciła względy podrostka. Ten dla niewinnej z pozoru zabawy wyrzeźbił z kolegami drewnianą niewiastę i nazwał ją imieniem niedoszłej narzeczonej. Ubierał ją w gałgany, sadzał przy stole i traktował jak człowieka, śmiejąc się, jaką to ma cichą i posłuszną babę. Inna wersja głosi, że zabił dziewczynę i w szaleństwie wyciosał jej sobowtóra z drewna. Obie

historie kończą się jednak identycznie: kukła ożywa i morduje twórcę. Że też od razu na to nie wpadłem! Przecież doppelgänger najpierw szukał ludzi, a kolejnych zabijał lub okaleczał! „Pierwszego znajdzie, drugiego zabije, trzeciego na dach ciśnie"!

Przeszedł mnie dreszcz. Pomyślałam o staruszku rzucającym się w przepaść.

– On powiedział, że to nie był jego syn – wyszeptałam. – Ale coś mi się tu nie zgadza. Kukła miała zabić swojego twórcę…

– Może nie on ją ożywił. – Mistrz wzruszył ramionami. – Może jakimś cudem zdołał uciec. Nie wiadomo. Tak samo jak nigdy nie dowiemy się, co stało się z jego synem. Dość, że nazwał kukłę jego imieniem i ożywił doppelgängera.

– Co się z nią stało w tej legendzie?

– Nie wiadomo. Problem z doppelgängerem polega na tym, że oprócz astralnego ma też całkiem fizyczne ciało, nieważne, czy to kukła, czy wschodni sztuczny człowiek zrobiony z ziół i kości. Dopóki nie zniszczy się ciała, nie zareaguje na egzorcyzmy. A to już nie na nasze siły. Trzeba będzie poczekać, aż słońce stanie wysoko i ruszać traktem. Może w jakiejś wiosce znajdziemy owczarza albo wiedźmę.

W milczeniu osiodłaliśmy konie i wyprowadziliśmy je przed chatę. Od strony pasterskiej wioski w las wiodła ścieżka. Mieliśmy do wyboru albo udać się tym tropem w nadziei, że znajdziemy inną osadę, albo zawrócić. Druga opcja podobała nam się znacznie mniej. Jechaliśmy prawie tydzień od ostatniego ludzkiego osiedla; przez ten czas na szlaku mógłby zbłądzić jakiś wędrowiec i paść ofiarą doppelgängera. Woleliśmy więc zaryzykować wyprawę w nieznane.

– Zwykle takie pasterskie osady leżą maksymalnie dzień, dwa pieszej drogi od większej wioski – uspokajał mnie Mistrz, gdy poganialiśmy wierzchowce przez milczący las. – Konie są wypoczęte, powinniśmy zajechać do jakiejś wsi przed wieczorem…

Naraz Kwarta zatrzymała się gwałtownie, nieomal zrzucając mnie na ziemię. Stanęła dęba, rżąc żałośnie. Obok Wihajster tańczył w miejscu przy wtórze stłumionych przekleństw swojego właściciela.

Szlak był zatarasowany zwalonymi pniami drzew, gałęziami i masą innych śmieci. Z całą pewnością hałda nie powstała w sposób naturalny. Świadczyły o tym głębokie bruzdy w drewnie, wypisz wymaluj jak te na ścianach chat w wiosce doppelgängera.

– Na Minstrela! Do nocy tego nie uprzątniemy! – warknął Mistrz. Nagle znieruchomiał, a jego źrenice zwęziły się gwałtownie.

Wyostrzyłam słuch w samą porę, by usłyszeć huk walącego się mostu.

Tym razem jechaliśmy powoli, ze słuchem wyostrzonym do granic możliwości. Powinniśmy słyszeć nawet oddech leśnej myszy… gdyby kukła wcześniej wszystkich nie wybiła. Las był nienaturalnie cichy, jedynie wiatr szumiał w koronach drzew, wyginając gałęzie we wszystkie strony. Słyszeliśmy cichy jęk naprężonego drewna. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że nie spadnie na nas wyjątkowo duża gałąź. W powietrzu czuć było wilgoć, niechybny znak, że wkrótce zacznie się ulewa.

Nie odzywaliśmy się. Z tej odległości przy wyostrzonym słuchu ludzki głos mógłby wręcz powodować ból. Jakaś gałąź zatrzeszczała, gdy targnął nią silniejszy podmuch. Skuliłam się w siodle. Morderczy demon z drewnianym ciałem to już wystarczające urozmaicenie mojego życia, konar spadający na głowę nie był mi niezbędny do szczęścia.

Chcieliśmy jak najszybciej dotrzeć do leżącej za wioską górskiej hali. Wcześniej wykluczaliśmy tę drogę z uwagi na rozmokniętą przez wiele dni rzęsistych opadów ziemię, gotową w każdej chwili osunąć się spod końskich kopyt. Mieszkańcy odwiedzanych przez nas miejscowości gadali, że na bezpiecznych wcześniej pastwiskach nagle otwierały się rozpadliny, połykając przerażone zwierzęta, a nierzadko i ludzi.

Próbowałam poukładać to sobie wszystko w głowie. Zapewne wioska opustoszała, bo trzeba było spędzić zwierzęta z grożących osunięciem

hal. Szalony staruszek jednak został ze swoją częścią stada, a może i z rodziną. Próbował w wystruganą przez siebie lalkę wbić duszę zmarłego albo okaleczonego podczas Burzy syna, ale coś poszło nie tak…

Drzewa rosły coraz rzadziej.

– Poza lasem zsiadamy z koni. – Szept Mistrza przy wyostrzonym słuchu zabrzmiał jak huk gromu. – Idziemy powoli, nie robimy postojów. Jeśli zacznie padać, ziemia może się osunąć.

Posłusznie zeskoczyłam z siodła, czując, jakbym wpadła z deszczu pod rynnę. Na otwartej przestrzeni wiatr targał nasze ubrania, a wilgotne powietrze wciskało się w warstwy wełny. Pod butami chlupało błoto, jakby złośliwie próbując wedrzeć się do środka. Końskie pęciny szybko pokryły się rozmokniętą ziemią. Kwarta była jeszcze bardziej niezadowolona ode mnie. Rzucała łbem i parskała ze złością. Boczyła się i nie miała ochoty posuwać się dalej po śliskim zboczu. Kopyta ogłuszająco mlaskały w błocie, zmuszając nas do stępienia słuchu. Jak na złość zaczęło padać. Krople deszczu i mruczące w oddali pioruny skutecznie zagłuszały wszystko inne. Zaklęłam cicho.

– Przestań mi dyszeć do ucha! – zganiłam obrażoną klacz. – Własnych myśli przez ciebie nie słyszę!

Parsknęła gniewnie w odpowiedzi. Nagle zakwiczała histerycznie i szarpnęła łbem, wyrywając mi uzdę z ręki. Odskoczyłam, ślizgając się w błocie, gdy zamłóciła kopytami w powietrzu.

– Co ci od… – Przerwałam w pół słowa. Na grzbiecie Kwarty kucała kukła. Wyrzeźbiona w drewnie twarz nie wyrażała żadnych emocji. Stwór kręcił głową, przenosząc spojrzenie pustych oczu ze mnie na Mistrza, jakby rozważając, które z nas zaatakować.

– Nie ruszaj się – szepnął mój mentor, podciągając rękaw, by uwolnić dźwięk nanizanych na bransoletę janczarków.

– O, świetnie, dziękuję za radę. Może łaskawie da mi wyciągnąć lutnię i poczeka, aż się nastroję! – prychnęłam, chociaż i tak zesztywniałam ze strachu.

– Możesz nie marudzić i dać mi pomyśleć? – Mistrz sięgnął do sakiewki z solą i sypnął nią między nas a rozszalałego konia.

– Na to drugie chyba nie mamy czasu.

– Nie mierz innych swoją miarą, ja myślę szybko! – Wyciągnął zza paska swój celtycki flet. Już myślałam, że będzie próbował egzorcyzmów, grubo się jednak myliłam. Powietrze przeciął paskudny, wysoki dźwięk. Każdemu, kto uważa, że dudy albo szałamaja brzmią podle, należałoby zaprezentować flet we wprawnych rękach osoby, która umie jego dźwiękiem uprzykrzyć ludziom życie. I tak już dostatecznie przerażona Kwarta wyrwała do przodu, ryjąc ziemię kopytami, ślizgając się i przysiadając na zadzie. Kukła zatelepała się na jej grzbiecie. Najwyraźniej nie była stworzona do akrobacji. Przeleciała w powietrzu i z głuchym mlaśnięciem wylądowała pod kopytami wierzgającego Wihajstra. Rozległ się trzask pękającego drewna, a z nim, zdawało mi się, upiorny krzyk. Jedna z rąk doppelgängera była strzaskana. Martwe oczy zwróciły się w naszą stronę. Chociaż kukła nie mogła zmieniać wyrazu twarzy, czułam kipiący w niej gniew. Po niebie przetoczył się kolejny piorun. Lunęło jeszcze mocniej. Przez zasłonę lepiących się do twarzy włosów widziałam, jak doppelgänger wyczołguje się spod kopyt zsuwającego się w dół stoku konia i niezdarnie zbliża się w naszą stronę.

– Powiedz, że masz jakiś pomysł! – jęknęłam.

– Owszem. Stój spokojnie i ani drgnij – odparł Mistrz, kładąc mi rękę na ramieniu. – Jak chcesz, to możemy sobie coś zanucić dla kurażu.

– Och, godna śmierć, tak?

– Nie, słyszę, że ziemia się osuwa.

Przy akompaniamencie okrutnego huku rozpętało się piekło. Straciłam równowagę i upadłam na ziemię, modląc się do Minstrela o litość. Czułam, że lecę w dół stoku, głucha od ryku osuwających się mas błota, które zalepiało mi oczy. Walczyłam o haust powietrza. Coś twardego z dużą siłą uderzyło mnie w bok, ból rozlał się paskudnym ciepłem po moim ciele. Przestałam jednak spadać. Zaryzykowałam ruch ręki i zgarnęłam śmieci z twarzy. Leżałam przyciśnięta do jakiegoś wielkiego głazu, który lawina opływała z dwóch stron. Moje modlitwy zostały wysłuchane.

Mistrz stał w rozkroku, kilka sążni wyżej, patrząc na mnie z politowaniem.

– Ech, weź tu babę na uczennicę. – Pokręcił głową. – Mówisz „stój”, a ona spada!

– Minstrelu! – jęknęłam. – Jakim cudem jeszcze żyję?

– A wiesz, jest takie powiedzenie o szczęściu…

Konie znaleźliśmy dopiero pod wieczór, kiedy umazani błotem zsuwaliśmy się w dół stoku. Minstrel miał nas w swojej opiece. Ani wierzchowce, ani przytroczone do nich sakwy i instrumenty nie ucierpiały. Ja też mogłam mówić o szczęściu, bo chociaż ubranie miałam brudne i zapewne podarte pod warstwą ziemi, to ze spotkania z lawiną wyszłam jedynie z potłuczonym żebrem. Podejrzewałam, że jest złamane, ale Mistrz twierdził, że marudzę. Po kukle nie było ani śladu. Mogliśmy mieć tylko nadzieję, że została strzaskana albo pogrzebana pod warstwą błota. Może połknęła ją jedna z tych zdradzieckich szczelin, o których tyle słyszeliśmy. Kto wie.

– No, szczęście chyba się do nas uśmiechnęło – skomentował Mistrz, osłaniając oczy. Spojrzałam w tym samym kierunku. Na horyzoncie widać było słup dymu. Gdzieś niedaleko czekała na nas wytęskniona wioska.

– Trzeba będzie ułożyć jakąś pieśń o naszych przygodach.

– Jakby z tej kukły zrobić gołą babę, to się pewnie spodoba. – Starszy bard zaryzykował wspięcie się na koński grzbiet.

– I tak z demona z otchłani robi się szmacianą kurtyzanę. – Pokręciłam głową.

– Ile razy mam ci powtarzać, że demony nie pochodzą z otchłani…

– Wiem, tylko z próżni. Ale gdzie niby w naszym świecie, poza pracowniami alchemików, jest próżnia?

– W ludzkich głowach.

BŁĘDNY RYCERZ

Andrzej W. Sawicki

Wiatr, który ciągnął korytarzem, pozostawiał posmak mokrych liści. Śmierdział też zwierzęcym potem i rozkładającymi się szczątkami.

Tak naprawdę nie miałem zmysłów, które pozwoliłyby mi go poczuć. Ten ruch powietrza nie był właściwie wiatrem, a twardym promieniowaniem rozchodzącym się z pieczary. To system przetwarzał odczyty z detektorów w doznania odczuwalne dla ludzkich zmysłów. Nie wiem, dlaczego to robił – żaden ze mnie człowiek. Mój konstruktor musiał nim być i widocznie uznał za stosowne uczynić swój twór choć trochę ludzkim. Mnie wystarczyłyby suche dane napływające z dziesiątek czujników, jednak musiałem znosić te dziwne wrażenia, które, na domiar złego, uruchamiały mechanizmy generujące w świadomości emocje. Zupełnie jakbym był organizmem żywym, w dodatku czującym.

Skupiłem się na promieniowaniu. Jego cząstki uderzały w detektory pulsacyjnie, przypominając dudniące bicie serca wielkiego potwora. Zwolniłem i zbliżyłem się do żelaznej ściany, matowej i chropowatej, ale gdzieniegdzie połyskującej metalicznie.

Przed tysiącami lat obcy wytopili niekończący się labirynt takich korytarzy i pieczar we wnętrzu martwej gwiazdy. Ta okazała się czarnym karłem – wedle nomenklatury astrofizycznej starszym niż wszechświat i istniejącym jedynie teoretycznie. Według niej świat był zbyt młody, by

jakakolwiek gwiazda zdążyła ostygnąć i wygasnąć, a jej materia przeistoczyć w pierwiastek kończący naturalną przemianę jądrową, czyli żelazo. Czarne Słońce[2], nieprawdopodobna, przecząca fizyce i zdrowemu rozsądkowi anomalia, jednak istniało i, zanim zostało znalezione przez ludzi, służyło nieznanej rasie w niewiadomym celu.

Wiedziałem jedno: w plątaninie korytarzy oraz w licznych pieczarach i inkluzjach, zatopionych w gwiezdnej materii pieczarach, gnieździli się Oni. Rezydenci, stworzeni przez obcych i zostawieni tu nie wiadomo jak dawno. Jedni o szczątkowej inteligencji, inni obłąkani, ale wszyscy jednakowo pozbawieni moralności, współczucia i najważniejszego – wiary. Rozdawałem ją nad wyraz hojnie, zawsze i w każdej ilości. Niekoniecznie chętnie przyjmowali ten dar, ale i tak starałem się jak mogłem, by ocalić ich zgniłe dusze.

Lewiatan, którego smród mnie przyciągnął, aż kipiał zepsuciem. Wiedziałem, że nawrócenie go na drogę światłości jest moim obowiązkiem. Nie mogłem odejść, dopóki tego nie zrobię. Wystrzeliłem sondy, które powinny pozostać niewidoczne dla bestii, jednocześnie będąc dla mnie dodatkową parą oczu.

Ludzie lubili katalogować byty spotykane w Czarnym Słońcu. Porównywać, klasyfikować, nadawać imiona, trudzić się przy próbach nawiązania kontaktu, skłonienia do współpracy lub odejścia w głąb gwiazdy – wszystko bez większych rezultatów. Ja nie miałem poznawczych ani badawczych ambicji. Dla mnie każdy z nich był potępionym nieszczęśnikiem. Tych większych nazywałem lewiatanami lub behemotami, w zależności od kształtu. Ostatni znaleziony okaz zasługiwał na pierwsze miano przez podobieństwo do węża.

2 Czarne Słońce – pierwszy raz pojawiło się w opowiadaniu „Inkluzja w szkarłacie" (magazyn „SFFiH" 1/2007). Ten obiekt jest ukłonem w kierunku Frederika Pohla i jego klasycznej już powieści „Gateway. Brama do gwiazd". Obie te historie dzieją się na astronomicznym znalezisku porzuconym przez obcych i eksploatowanym przez ludzi, do tego znalezisku pełnym zagadek, niemożliwej do pojęcia technologii i śmiertelnych pułapek. Czym w istocie jest Czarne Słońce i Gataway? To w zasadzie wiedzą tylko obcy, którzy znikli tysiące lat temu, ale na temat tego pierwszego więcej napisałem w powieści „Inkluzja".

Drżałem z niecierpliwości, czekając na meldunki z sond, a do tego byłem przepełniony nadzieją. Czyżby stwór miał związek z Nim? Z Największym Złym, moim własnym Szatanem, którego od niepamiętnych czasów szukałem?

Chyba jednak nie. Lewiatan okazał się typową, przez nikogo niesterowaną bestią. Miał dobre pół kilometra długości, wił się i mienił jak płynny metal, jakby jego wężowe cielsko było rtęcią. Z długiego korpusu wystawały setki pajęczych odnóży, które darły litą materię wokół siebie i pakowały ją w liczne otwory gębowe. Śmierdział niesamowicie, jak przystało na źródło promieniowania gamma.

Wystrzeliłem wabik i cierpliwie czekałem, aż doleci do celu. Uderzył w ścianę kilkadziesiąt metrów przed lewiatanem i eksplodował. Ładunek wypalił lej bryzgający stopioną i rozpaloną do białości materią. Bestia rzuciła się łapczywie i bezmyślnie na źródło ciepła i płynnego metalu. Wetknęła liczne odnóża w żarzącą się, roztopioną materię, a ta rozlała się na wszystkie strony. Nie było na co czekać. Ruszyłem do ataku, od razu przełączając silniki na pełną moc. Pomknąłem niczym pocisk prosto w kierunku wijących się odnóży. Wyprostowałem się, składając wszystkie sześć ramion wzdłuż ciała i przyjmując opływowy kształt. Stabilizatory grawitacyjne pracowały pełną mocą – nie tylko chroniły mnie przed potwornym ciążeniem Czarnego Słońca, ale też wytwarzały przede mną sferę uginającą przestrzeń i czas niczym miniaturowa czarna dziura.

Wbiłem się w lewiatana jakbym był chirurgicznym narzędziem, precyzyjnie docierając w żywotne miejsce. Na nic zdały się jego wierzgania i rzucanie się w podprzestrzeń. Wystrzeliłem kotwice grawitacyjne i zatrzymałem go w czterowymiarowej rzeczywistości. Unosiłem się w jego trzewiach, które, tak jak cały potwór, były anomalią, chaosem z dna piekieł. Otaczały mnie kipiące wnętrzności z roztworu metali w stanie nadkrytycznym oraz nurty materii egzotycznej. Stanowiły odpowiednik jego organów wewnętrznych, żył i tętnic. Zamiast krwi płynęły przez nie impulsy elektryczne, całe rzeki wyładowań. Energia wypełniała również układ nerwowy bestii, potężne strumienie stanowiące myśli lewiatana mogły spopielić cały kontynent. Zlokalizowałem szybko najintensyw-

niejsze z nich i wystrzeliłem boje z łączami, podłączając się w ten sposób do umysłu lewiatana. Bestia miotała się, ryczała i wyła, zamiast dźwięku emitując fale promieniowania. Trzymałem się jednak twardo, nurzałem się we wrzących metalach i elektrycznych nurtach jej krwi niczym pływak w szalejącej rzece.

Tylko android potrafił zrobić coś podobnego. Żaden człowiek nie przetrwałby takich warunków, rzucało tu bowiem niczym w czasie sztormu na samym dnie piekła. Ustabilizowałem łącza i zacząłem przesyłać sygnał wprost do układu nerwowego bestii, tak, by mój głos zatrząsł całym cielskiem, całą jaźnią, a ostatecznie dotarł do zepsutej, pozbawionej Boga duszy.

– Panie! Ty posłałeś swego Syna, aby poddanych niewoli grzechu obdarzyć światłością. Pokornie Cię proszę, uwolnij tę istotę od niewiedzy, wydobądź z ciemności i oczyść ze zmazy grzechu mocą Męki i Zmartwychwstania Twojego Syna. Przybądź, Panie! – zagrzmiałem do przekaźnika, dołączając jeszcze impulsy mające porazić układ nerwowy lewiatana. Przekierowywałem strumienie energii, wykorzystując własny pancerz jako przewodnik i wysadzałem kolejne własne zabezpieczenia z hukiem. Temperatura na powierzchni mojego pancerza przekroczyła temperaturę wrzenia żelaza, ale nie zwracałem na to uwagi. – Ojcze jedyny! Daj mi moc, bym mógł obmyć z grzechu tę istotę i pozwolić jej narodzić się na nowo jako twoje przybrane dziecko.

Lewiatan wpadł w szał. Dygotał i miotał się, a ja starałem się utrzymać w jego trzewiach. Kolejne cumy grawitacyjne pękały z hukiem, tnąc metalowe kiszki potwora.

Zostało mi mało czasu. Najwyższa pora przejść do sedna.

Wystrzeliłem ładunek nuklearny prosto w główny strumień krwiobiegu. Bomba została poświęcona przez samego arcybiskupa na jednej z głównych ludzkich kolonii Czarnego Słońca. Dodatkowo umieściłem ją w izolowanym polu stazy, bezczasowego zawieszenia, pojemniku, który powinien przez parę chwil wytrzymać warunki panujące we wnętrzu potwora. Wystarczająco długo, by bomba dopłynęła do najważniejszego organu pompującego i ogrzewającego krew lewiatana – serca.

– Ja ciebie chrzczę w imię Ojca! – ryknąłem, trzaskając na oślep grawitonowym biczem – I Syna, i Ducha Świętego! Jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków! Amen!

Zwolniłem cumy i włączyłem silniki. Startując, zgarnąłem jeszcze z bestii krew o największej gęstości, zatem najbogatszą w cenne składniki, szczególnie materię egzotyczną. Przebijając się na wolność, wypełniłem nią zbiorniki i opieczętowałem je stazą. Wyrwałem się na zewnątrz chwilę przed wybuchem. Byłem cholernie blisko, gdy bomba eksplodowała. Lewiatana rozerwało na pół, mnie fala uderzeniowa cisnęła przez pieczarę.

Widziałem jeszcze, jak nuklearny ogień pożera krew bestii, potem błysk spalił mi część detektorów. Oślepiony, z nadtopionym pancerzem, grzmotnąłem o ścianę. Straciłem dwa stabilizatory i jedno z ramion. Z powodu zniszczeń na chwilę chyba przestałem funkcjonować, ponieważ moja świadomość przygasała. Kiedy się pozbierałem, ciało lewiatana już stygło, spłaszczone ciążeniem. Udało mi się aktywować napęd i na niskiej prędkości polecieć przez korytarz.

Dotarcie do bazy zajęło mi pięć dni, ale przecież i tak nigdzie mi się nie śpieszyło. Miałem czas. Bardzo dużo czasu.

Święta Alanina weszła do warsztatu i pociągnęła nosem na mój widok. Potem splunęła na podłogę. Świętą była jedynie w moich oczach, a właściwie w moich detektorach i kamerach. Czasem też zasługiwała na miano anioła stróża. Odkąd pamiętam, zajmowała się bieżącą obsługą techniczną mojego ciała. Wynajmowałem od niej hangar i suchy dok, w którym tkwiłem między kolejnymi wyprawami w ciemność. Byliśmy też wspólnikami – to ona zajmowała się zamianą przywiezionych przeze mnie trofeów na kredyty i zakupem sprzętu. Ufałem jej bezgranicznie.

Podeszła do mojego, leżącego nieruchomo na stole naprawczym, ciała i przejechała sztuczną ręką po moim torsie. Właściwie to w okolicach jednej z moich pach, ponieważ jedynie tam sięgała z powodu mikrego,

w porównaniu do moich piętnastu metrów wysokości, wzrostu. Jej ramię zazgrzytało przyjemnie, gdy metal otarł się o metal.

– Bój się Boga, Hugo. Czy naprawdę musisz włazić im do środka? Przecież mógłbyś likwidować ich tak, jak robią to inni, z dystansu. A tak? Spójrz tylko na siebie – narzekała gniewnie. – Pancerz kompletnie zniszczony, zupełnie odpadł, odsłaniając metal. Pozbyłeś się całej warstwy ochronnej. Jakbyś stracił skórę. Wojskowy spiek łączący ceramikę z tworzywem sztucznym jest cholernie drogi! Będziemy musieli wydać na nowy kilkadziesiąt tysięcy…

– I tak nadeszła pora, by go wymienić. Wiem, że armia ma już nową generację, o większej rezystancji. Może się przydać, gdy przemawiam do bestii i się za nie modlę – odparłem lekko.

– I ramię, nowe ramię. To kolejne kilkadziesiąt tysięcy – marudziła Ala. – Ładunek nuklearny też piechotą nie chodzi, nie wspomnę nawet, ile zużyłeś energii. Reaktory z pewnością są przeciążone. Posiedzisz w doku kilka tygodni, nie ma co. Postawienie cię na nogi może zająć nawet kwartał. Otwieraj!

Posłusznie opuściłem trap do wejścia technicznego, które znajdowało się w moim boku. Alanina weszła do mego środka. Jej buty zadudniły na metalowej kracie chodnika. Czułem jej ręce dotykające ścian i przewodów w moim ciele. To było przyjemne uczucie, takie odprężające. Miałem anioła w środku, mojego dobrego ducha, który przynosił mi uzdrowienie i spokój.

– Wydamy na wszystko nie więcej niż dwie setki – powiedziałem, ostrożnie dobierając słowa. – Chcę jeszcze dodatkowe kondensatory, takie z najwyższej półki. I żeby nowy pancerz był w jakimś żywym i ciepłym kolorze…

– A po co? Przecież w ciemnościach i tak nikt go nie widzi – burknęła. – A szczególnie wtedy, gdy pławisz się we wnętrznościach bestii.

– To bardziej dla mojego dobrego samopoczucia niż dla innych. Nie dbam o podziw ludzi, dobrze wiesz. Chcę tylko pozwolić sobie na odrobinę luksusu. Chyba nas na niego stać? – odparłem, siląc się na dobry humor.

– Ale to przecież próżność. Jak się ona ma do przykazań i powinności rycerza Boga? Ech, po co zresztą pytam, przecież cała twoja religijność to jedno wielkie pasmo nielogiczności i paradoksów – mamrotała, kolejno podłączając się sztuczną ręką do paneli moich reaktorów. – Włazisz bestiom do środka i odprawiasz w nich modły, a ja ciągle nie mogę zrozumieć, po co!

– Bo to moja powinność. Szukam tego jedynego, Największego Złego, a przy okazji wracam na łono Pana wszystkie spotkane zagubione owieczki – wytłumaczyłem, ciągle pozostając w pogodnym nastroju. – Dla Boga każda dusza nowo nawróconego jest więcej warta niż setki dusz bogobojnych wiernych. Tak głosi Pismo. Udzielam zatem bestiom sakramentu i, chcą czy nie, stają się przed śmiercią chrześcijanami.

– Czy aby stać się wiernym, nie trzeba wyrazić na to zgody? – burknęła Ala.

Czułem, że coś przestawia w detektorach, bo nagle zrobiło mi się ciemno przed oczami. Po chwili jednak obraz wrócił. Czasem żałowałem, że nie mam kamer także wewnątrz. Mógłbym wtedy podejrzeć, co też ona tam wyprawia. Twierdziła, że to głupi pomysł i kolejny niepotrzebny wydatek. Będę jednak musiał kiedyś je tam zamontować, najwyżej w tajemnicy przed moim aniołkiem.

– Zgoda jest nieistotna – odparłem lekceważącym tonem. – Liczy się sakrament. Mam prawo go udzielać, przyjąłem święcenia kapłańskie z rąk samego arcybiskupa.

– Z rąk grubego, pazernego fanatyka – warknęła Ala.

Wybaczałem jej te bluźnierstwa. Kiedyś zrozumie, że błądzi i wróci na drogę światła. Potem wszystko odpokutuje, postaram się tego dopilnować.

– I na co im twoje modły, skoro ich nawet nie rozumieją? – marudziła dalej. – Marnujesz masę energii na emitowanie ich do układu nerwowego bestii, co nie ma najmniejszego sensu. Przecież przemawiasz do nich po naszemu, a nawet nie wiemy, czy te stwory mają świadomość, nie mówiąc już o jakimś sposobie porozumiewania się.

– Rozumieją czy nie, to nie ma znaczenia. Ważne, że Słowo Boskie zostało im przekazane. To się liczy.

– Wiesz, że brzmi to niczym brednie religijnego radykała? Nawracanie siłą obcych, nawet jeśli nie są tego świadomi, tylko po to, by chwilę później ich zniszczyć. Niby po to, by ocalić ich dusze, ale przy okazji okraść zwłoki. To przecież hipokryzja, trudno to inaczej określić – ciągnęła. – Tak jak sam fakt obsesyjnej wiary w Boga, gdy przebywa się w takim miejscu i jest się maszyną. Ale mniejsza z tym, ważne, że twoja działalność to skandaliczne łamanie kodeksu Wolnych Kolonii. To podpada pod paragraf o pastwieniu się nad artefaktycznymi istotami, może też zostać podciągnięte pod nielegalne eksperymenty z technologią obcych.

Dość tego, jej gderanie zaczęło mi działać na nerwy.

– Kodeks został ułożony dawno temu, w dodatku przez zgromadzenie opanowane przez skrajnie lewicowe frakcje. W wielu punktach jest absurdalny. Ochrona istot z Czarnego Słońca i załamywanie nad nimi rąk, też mi coś! Te prawa ustalono zanim doszło do pierwszych incydentów i pojawiły się ofiary wśród kolonistów. Nie zapominaj o zniszczonych osadach, o aberracjach wywoływanych przez bestie, śmiertelnie niebezpiecznych i niedających nad sobą zapanować. O tysiącach niewinnych ludzi zabitych przez oszalałe, pozbawione sumień i wiary potwory. O tych wszystkich żywcem spalonych, napromieniowanych, zmiażdżonych straszliwym ciążeniem, wessanych przez podprzestrzenne dziury, pożartych i rozerwanych na strzępy. O nadrzędnym celu moich wypraw, o Największym Złym! – grzmiałem coraz głośniej. Z każdym zdaniem ogarniał mnie zapał, wewnętrzna potrzeba, by jak najszybciej wyruszyć w drogę i walczyć w obronie ludzkości. Nieść światłość w otchłań, nawracać i szerzyć Słowo.
– Pamiętasz, co zrobił? Największy Zły otworzył inkluzję, z której wysypało się mrowie bestii. Było ich tak wiele, że przełamały bariery i pola ochronne centralnej osady. To był Armagedon, prawdziwie biblijna katastrofa. Przynajmniej dla tych nieszczęśników z kolonii. Widziałaś nagrania z tego, co znaleziono potem w ruinach bazy? Zapisy z kamer przemysłowych? Mam je w pamięci podręcznej, mogę ci przesłać choćby teraz.

– Nie trzeba – powiedziała cicho.

I tak wysłałem jej cały pakiet nagrań, sam też w nich zanurkowałem. Setki trupów, potwornie zdeformowanych, ludzie wtopieni w ściany,

przemieleni lub groteskowo powykręcani, ponabijani na rusztowania całymi pękami, zdobiąc je niczym owoce gałęzie krzewów. Wystarczyła chwila, bym zagotował się z gniewu.

– Znajdę go! Znajdę i zgotuję mu los równie okrutny, jaki on sprowadził na tych nieszczęśników – obiecałem drżącym z wściekłości głosem. – Jemu jedynemu nie udzielę sakramentu, zepchnę go wprost do piekła, by pokutował przez wieczność. Bydlę! Bezmyślne, pozbawione litości i przyzwoitości! Dopadnę go i zniszczę! Niech cierpi tak, jak ja cierpię ciągły niepokój i niespełnienie! Niech wyje tak, jak wyje moja dusza!

Chyba zacząłem ryczeć z wściekłości, może nawet próbowałem się poderwać, ale stół naprawczy skutecznie mnie unieruchamiał. Całe szczęście, że nie chwyciłem za broń, bo rozwaliłbym cały dok. Nagle, w jednej chwili, zgasło światło. Wszystkie detektory wysiadły, a moja jaźń szybko pogrążyła się w ciemności.

Ala po prostu mnie wyłączyła.

Dotychczas unieruchomienie w doku i oczekiwanie na uleczenie umilałem sobie intensywną modlitwą, studiowaniem Pisma i dzieł teologicznych. Pozwalało mi to zapanować nad bólem. Nie fizycznym, a tym wymuszonym przez mego konstruktora i jego nadrzędne dyrektywy, wprogramowane w moją świadomość. Stwórca uczynił mnie rycerzem Pana, moją duszę paliła zatem nieustanna potrzeba niesienia Światła w mrok, szukania błądzących w ciemności i tego najbardziej zepsutego mordercy, mojego osobistego Szatana. Czułem przez to ciągły dyskomfort, nie mogłem długo pozostawać w bezczynności, coraz bardziej ciągnęło mnie do walki. Śniłem o niej, o poświęceniu i płonących trzewiach bestii. Cierpiałem coraz bardziej palące katusze, wyrywałem się do boju. Modlitwa pozwalała mi zapanować nad tymi pragnieniami i odsunąć w czasie ich spełnienie.

Przygotowałem się zatem na całe tygodnie katuszy i udręki, ale, o dziwo, te nie nadeszły. Kiedy się przebudziłem po awaryjnym wyłączeniu przez Alę, ból nie wrócił. Zamiast nieustannego niepokoju czułem

przyjemną błogość i otępienie. Nie mogłem zebrać myśli, nie było nawet mowy o tym, by skupić się na modlitwie. Pogrążałem się w majakach, ale nawet te pozbawione były zwyczajowych koszmarów. Kiedy nadszedł moment rozładunku i roboty magazynowe otwierały moje boksy z zamkniętym w stazie urobkiem, poczułem dziwaczne rozbawienie, jakby mnie łaskotały. Maszyny powoli i ostrożnie przesuwały ekranowane polem zbiorniki, a ja, zamiast jak zwykle oczekiwać z obawą i napięciem, aż się w końcu z tym zabiorą, kpiłem i śmiałem się z nich. Kilka ton zdobyczy, gorącej jak piekło i pełnej materii egzotycznej o ujemnej masie, kipiało w pojemnikach, a mnie to jedynie bawiło.

– Cośśś mi pooodłączyła do jaźni, Alu? – napisałem jej w wiadomości. – Zidiodiociałem od tego, ty mała chooolero. Wyłącz techo zaaamulacza.

Nie odpisała, nie pojawiła się też, w ogóle przez kilka dni nie dała znaku życia. Zrozumiałem, że z jakiegoś powodu mnie unika. Może się pogniewała? Ale o co? Nie wiedziałem. Kto zresztą zrozumie kobiety?

Czas płynął. Pojawił się zespół, który zaczął montować mi nowy pancerz. Częściowo go przykręcali, częściowo odlewali. Na końcu zostałem poinformowany, że nie mogę się ruszać przez kilka dni, bo zaczął się proces sieciowania polimeru. I tak nigdzie się nie wybierałem, nie chciało mi się, spałbym tylko i nie myślał o niczym konkretnym. Wszystko mnie bawiło, a na myślenie nie miałem sił. Zasnąłem zatem mocno i nie wracałem do przytomności przez cały czas wypoczynku.

Obudziłem się z zaskakująco jasnym umysłem, a pierwszym, co mi zaświtało we łbie, było spostrzeżenie, że coś tu nie gra. Nie zdarzyło się jeszcze, by Ala wyłączała mnie na tak długo, poza tym przywykłem do tego, że zawsze była gdzieś blisko i miałem z nią natychmiastowy kontakt. Tymczasem od dwóch tygodni nie dała znaku życia, nie reagowała na wiadomości, a prace przy moim remoncie całkiem ustały.

– Jestem trzeźwy – oznajmiłem, badając swoje myśli.

Nie pamiętam, czy kiedykolwiek wcześniej mój umysł pracował tak sprawnie i wydajnie. Poza tym ciągle nie czułem wprogramowanego imperatywu, który zmuszał mnie do wyruszenia w ciemność. Żadnej presji, niepokoju, dręczących wizji. Oczywiście nadal wściekałem się na myśl

o Największym Złym, ale mogłem nad tą złością bez problemu zapanować. Zmówiłem modlitwę, ale nie obudziła ona we mnie zwyczajowej euforii. Ala coś za mocno pomajstrowała w moim sztucznym mózgu. Chyba chciała mnie tylko uspokoić, a przy okazji zerwała wszystkie blokady i namieszała w dyrektywach. Zdjęła mentalne kajdany i poganiające mnie bicze.

– Jestem wolny! – zagrzmiałem metalicznie w dudniącej echem hali.

Odpowiedziała mi cisza. Byłem wolny, ale zasadniczo unieruchomiony na stole naprawczym. Włączyłem system i sprawdziłem swój stan. Ciekawe, ale zazwyczaj nie robiłem takich rzeczy. Interesowało mnie wyłącznie głoszenie słowa Pana i poszukiwania Szatana. Rzadko, a właściwie w ogóle nie korzystałem z dostępnych funkcji. Tym większe było moje zaskoczenie, gdy okazało się, że jestem zupełnie sprawny, nie licząc dwóch zablokowanych reaktorów i braku jednego ramienia. Nie miałem też broni jądrowej na pokładzie, ale do walki z bestiami wystarczyłby mi sam bicz grawitonowy i kilka bomb termicznych. To miałem na stanie. Okazało się jednak, że nie mam dostępu do stołu.

– Odzyskałem wolną wolę, ale i tak tkwię w niewoli – stwierdziłem i parsknąłem śmiechem.

Urwałem niemal natychmiast, przerażony tym dziwnym dźwiękiem, który zadudnił w hali. Nigdy jeszcze głośno się nie śmiałem. To było dziwne uczucie.

– Ala?! Alanina! – rzuciłem w pustkę.

Po chwili to samo wołanie powtórzyłem w sieci. Mój anioł stróż nie odpowiadał, przepadł jak kamień w wodę. Pora zatem go poszukać. Po raz pierwszy włączyłem widżet z przeglądarką sieciową. Ze zdziwieniem odkryłem, że jest w jakiś sposób znajomy, że instynktownie umiem używać internetu, choć nigdy mnie to nie interesowało. Widocznie mój stwórca wprogramował mi to w jakimś celu, może też miało uczynić mnie bardziej ludzkim? Ludzie przecież połowę życia spędzali w wirtualach.

Wpisałem dane Ali i rozpocząłem poszukiwania. Przede wszystkim okazało się, że moja wspólniczka nie wykupiła polisy ubezpieczeniowej, nie jest zarejestrowana w urzędzie pracy i przedsiębiorczości, nie figuruje

jako członek żadnego stowarzyszenia górniczego ani klanu, jest bezpaństwowcem i nie należy do żadnego kościoła. Starała się jak mogła, by pozostać w cieniu. Jednak wszyscy zostawiają ślady w sieci. Znalazłem zatem Alę po kontach bankowych jej firmy. Sprzedawała bowiem urobek jako firma wielobranżowa A&H. Hm, że też nigdy mnie to nie interesowało… Właściwie to nie wiedziałem o tej kobiecie niemal niczego, a pracowaliśmy razem, odkąd pamiętałem.

– Jak właściwie nawiązaliśmy współpracę? Skąd się wziąłem w jej firmie? Ja, samotny błędny rycerz? – mamrotałem, miotając się po stronach. – I kim tak naprawdę jesteś, Alanino?

Dotarłem do adresu serwera, na którym trzymała firmowe dokumenty, rozliczenia podatkowe, historię przelewów, zysków i wydatków, certyfikaty, pozwolenia i prawa do poszukiwań w korytarzach. Oczywiście dostęp był zamknięty, szyfrowany i opieczętowany, ale, ku własnemu zaskoczeniu, nie zawahałem się ani chwili. Odruchowo wyciągnąłem kilka widżetów niczym asy z rękawa. Z oprogramowaniem hakerskim podejrzanie łatwo mi szło, operowałem nim równie sprawnie, jak grawitonowym biczem. Pękły kolejne zasłony i zajrzałem do zasobów serwera.

– A niech to! Jestem twoją własnością, Alu – stwierdziłem szczerze zaskoczony.

Jak to było możliwe, że przez tyle lat uważałem się za suwerenną osobę, namaszczonego przez kościół templariusza? Wydawało mi się, że jesteśmy z Alą wspólnikami, a tu figurowałem jako część ruchomości należących do firmy. Okazałem się rzeczą, przedmiotem, marionetką na sznurkach.

Okłamała mnie, pozwalała wierzyć, że jestem wolny, manipulowała przy pomocy emocji i dyrektyw. Czyżby moja wiara też była ułudą, plikiem z wpisanym algorytmem? Tylko po co to wszystko? Po co tworzyć tak popieprzone SI, skoro można zaprogramować robota, by wykonywał rozkazy bez gadania i rozterek? Moja wiara działała Ali na nerwy, czemu zatem jej nie skasowała i nie uczyniła mnie w pełni uległym? Musiał tkwić w tym jakiś haczyk, moje istnienie musiało mieć jakiś głębszy sens.

– Każdemu się wydaje, że jest kimś wyjątkowym – mruknąłem pod nosem. – Nie okłamuj się, stary, to wszystko pewnie tylko pozory. Jesteś jedynie narzędziem do niszczenia bestii i przynoszenia ich parujących wnętrzności, które można korzystnie opylić, bo są bogate w materię egzotyczną. Taki bardziej skomplikowany robot, nic ponadto.

Warto jednak sprawdzić, co i jak, musiałem przecież w końcu znaleźć Alaninę. Podpiąłem się zatem pod system monitoringu portu i odnalazłem nagrania z kamer przemysłowych. To było włamanie do systemu bezpieczeństwa kolonii, coś naprawdę nielegalnego i ściganego przez prawo. Nie miałem jednak wyjścia, musiałem ją wyśledzić. Odnalazłem zapisy z dnia, gdy mnie wyłączyła. Obserwowałem, jak wyszła z doków i przeszła korytarzem do centralnej hali, pełnej ludzi i androidów zajętych swoimi sprawami. Osada, w której mieliśmy bazę, należała do grupy najszybciej rozwijających się i rosnących w siłę. Należała do unii zrzeszającej wolne kolonie, nie stanowiła własności żadnego państwa czy religijnej sekty. Miała własny rząd, system prawny i sądowniczy, policję oraz siły zbrojne. Te ostatnie dwie służby widać było na ulicach i korytarzach, Ala mijała typów w mundurach, niektórych uzbrojonych, jakby panował stan wyjątkowy.

Wcześniej nie przywiązywałem do tego wagi, ale rzeczywiście władze tej osady ostatnio zradykalizowały politykę i trzymały obywateli coraz silniejszą ręką. Tak się czasami działo na wolnych koloniach, do koryta dochodzili szaleńcy, fanatycy lub wojskowa junta albo po prostu spryciarze, którzy kochali władzę i mieli masę forsy. Tak czy inaczej, ludzie pozostawali ludźmi, nawet w tak niezwykłym miejscu, jakim była martwa gwiazda.

– Ktoś za tobą idzie, Alu – przemówiłem do obrazu sprzed dwóch tygodni.

Trzech typów, jeden w mundurze policyjnym i dwóch cywili, ewidentnie szło za moją właścicielką, nie spuszczając z niej oka. Alanina, nieświadoma zagrożenia, przeszła przed ratuszem, stacją uzdatniania wody i skręciła w stronę targowiska. Kiedy tylko znalazła się przy pierwszym z kramów, rzuciła się biegiem w ludzką ciżbę.

– Moja dziewczyna! – ucieszyłem się.

Wcale nie była nieświadoma zagrożenia, w jednej chwili znikła z kamer monitoringu. Trzech drani wpadło w tłum, ten w mundurze, zanim to zrobił, wyrzucił w powietrze garść sond. Te wzleciały pod sklepienie, gdzie się rozproszyły, tworząc sieć skanującą teren. Szpicle musieli Alę wcześniej jakoś oznakować, bo boty namierzyły ją w parę chwil. W rękach cywilnych agentów pojawiły się paralizatory, przed wszystkie wejścia podjechały policyjne pojazdy, z których wysypali się funkcjonariusze. Przestraszeni ludzie zaczęli opuszczać targowisko, zatem Ala miała jeszcze niewielkie szanse, by wmieszać się w tłum. Niestety sondy miały ją na oku i wskazywały jej położenie policji. Zrozumiała, że nie ma szans, by zwiać. Zatrzymała się. Po chwili leżała na ziemi z rękami wygiętymi do tyłu, a dwóch gliniarzy zakładało jej kajdanki. Zapakowali ją do wozu i odjechali.

Śledziłem ich kurs, korzystając z miejskiego monitoringu. Zawieźli ją korytarzem do jedynego w kolonii aresztu śledczego. Wewnątrz też mieli monitoring, ale policyjny. Spróbowałem się włamać, jednak system był dobrze strzeżony. Moje wytrychy trzasnęły jeden po drugim, w dodatku uruchomił się alarm. Na poszukiwania wyruszyło oprogramowanie śledcze, wycofałem się zatem.

Nie było na co czekać, musiałem się dowiedzieć, dlaczego ją trzymają, co przeskrobała i jak wyciągnąć ją z paki. Wysłałem zatem prośbę o możliwość widzenia z aresztowaną, podając się za jej współpracownika. Rozmawiałem z policyjną SI, która zaczęła mnie wypytywać o dane mające potwierdzić moją tożsamość. Sztuczny glina od razu starał się zlokalizować moje położenie i wysłał alarmowe informacje do ludzkich przełożonych. Moje hakerskie widżety zablokowały policyjne oprogramowanie, szukające mojej fizycznej lokacji.

– Tak gracie? – mruknąłem.

Zdaje się, że tylko czekali, aż ktoś zacznie szukać Ali. Chcieli wyłapać jej wspólników. Czyżby chodziło o złamanie jakiegoś przepisu podatkowego lub handlowego? Przyczaiłem się, podpięty pod policyjny kanał łączności. Po chwili odezwał się ludzki szef, który zidentyfikował się jako

komisarz Snikka. Od razu sprawdziłem, kto to taki. Okazało się, że to dowódca wydziału do spraw bezpieczeństwa i zwalczania terroryzmu.

Coś takiego! Alę przymknęli antyterroryści? Za co?

– Zlokalizowałeś położenie podejrzanego? – komisarz zwrócił się do SI.

– Z prawdopodobieństwem pięćdziesięciu procent przebywa w trzecim sektorze portowym – odpowiedział sztuczny glina. – Można domniemywać, że jest na terenie wynajmowanym przez firmę A&H. To rzeczywiście może być jej współpracownik.

– To też może być On – odparł Snikka. – Tylko czemu tak głupio się ujawnił? Hm… Monitorujecie doki?

– Nieustannie – rzuciło SI. – Od tygodnia w firmie nie pojawił się żaden człowiek. Wykrywacz nawet w tej chwili nie widzi tam śladów życia.

– To czemu sądzisz, że to jej współpracownik? – prychnął komisarz.

– Artefaktyczny współpracownik, może android wyposażony w SI? – zgadywał sztuczny glina, niepokojąco zbliżając się do prawdy.

Komisarz jednak nie był zainteresowany łowieniem androidów. Szukał podejrzanego człowieka, a nie jakiegoś SI. Jakiego znów człowieka? Ala była kobietą samotną, unikającą ludzi. Nie miałem pojęcia, z kim współpracowała, że naraziła się antyterrorystom. Sprzedawała urobek jakiemuś ugrupowaniu? Ale dlaczego, przecież miała się go pozbywać legalnie. Na oficjalnym rynku też świetnie płacili za materię egzotyczną.

Odłączyłem się, by nie zostać wykrytym. Musiałem pozbierać myśli i zastanowić się, jak odzyskać Alę. Bez niej moje istnienie nie miało sensu.

Policja jednak zdecydowała się zbadać halę i dok wynajmowany przez firmę. Nocą pojawili się komandosi, zakuci w egzoszkielety i uzbrojeni po zęby. Wpadli całą hordą, kilkoma wejściami jednocześnie. Chwilę po nich wkroczyło kilku gliniarzy, wśród których szybko rozpoznałem ich szefa, komisarza Snikkę. Lekko przygarbiony, z goglami na stałe wszczepionymi w twarz, świecącymi upiornie i blado, sprawiał wrażenie cyborga, który utracił człowieczeństwo.

Oczywiście od razu skierowali się do mnie. Trudno było przegapić maszynę zajmującą cały stół montażowy. Komisarz podszedł jako pierwszy i postukał pięścią w mój całkiem nowy pancerz.

– Dobra, dość zabawy – oznajmił. – Wyłaź, wiemy, że tam jesteś!

Oczywiście nie zareagowałem.

– To był dobry pomysł, by schować się w trzewiach rycerza. Jego wnętrzności są zabezpieczone, a on sam potężnie opancerzony. Żadne czujniki nie wykryją życia ukrytego we wnętrzu – powiedział, gapiąc się na mnie świecącymi oczyma. – Wyłaź po dobroci, szkoda czasu. Zaraz podłączymy się pod panel stołu naprawczego i rozbierzemy tę zabawkę moduł po module, aż w końcu wyłuskamy cię z jego bebechów. Wiem, że nie możesz nic zrobić, bo już byś uciekł. Jesteś bezbronny, Trapp.

Poczułem dziwne ukłucie gdzieś w głębi siebie. Niepokój znów wrócił. Byłem po prostu Hugonem, nie miałem nazwiska. Nawet Ala używała wyłącznie pseudonimu. Połączyłem się z siecią i wrzuciłem w nią wymienione przez glinę nazwisko. Po chwili zasypały mnie tysiące informacji i archiwalnych wiadomości.

Trapp okazał się niezależnym poszukiwaczem, jednym z tysięcy eksplorujących labirynt korytarzy wytopionych we wnętrzu Czarnego Słońca. Szukał w nich szczęścia, czyli żył rzadkich metali, rozlewisk egzotycznej materii, anomalii pulsujących wrotami do podprzestrzennych tuneli, które mogły prowadzić na inne obiekty zostawione przez obcych, czy w końcu bestii. Trapp nie wyróżniał się niczym szczególnym, ale powiodło mu się na tyle, że zarobił sporo na podróżach i poszukiwaniach. Miał zacięcie prawdziwego badacza, opublikował nawet kilka opracowań o artefaktach tkwiących w martwym słońcu. Starał się o pozwolenie na eksperymenty, ale tych udzielano jedynie naukowcom pracującym dla korporacji, które stać było na ubezpieczenie. Anomalie bowiem nadal były śmiertelnie niebezpieczne i nieprzewidywalne.

Trapp zatem nie dostał pozwolenia, ale mimo to w tajemnicy podjął badania. Próbował podłączyć organizmy bestii do sieci i je zhakować. Chciał zbadać je od środka, odnaleźć system nerwowy, by docelowo przejąć kontrolę nad potworami. To byłby niezwykły przełom i klucz do

ogromnych pieniędzy. Być może pozwoliłoby to poznać sekrety martwej gwiazdy i zamieszkujących ją istot. Trapp uznał, że warto zaryzykować i działać poza prawem.

Odnalazł inkluzję, w której siedziała bestia. Łamiąc wszystkie procedury bezpieczeństwa i kodeksy Wolnych Kolonii, w pojedynkę otworzył ją i wypuścił potwora. Kiedy to zrobił, okazało się, że odkrył gniazdo pełne tych drani. Nie udało mu się zatrzymać żadnego, choć próbował. Oszalałe bestie zaatakowały znajdującą się w pobliżu kolonię, wdarły się do środka i zabiły wszystkich mieszkańców.

Trapp przeżył w swoim statku, choć prawdopodobnie mocno oberwał. Odleciał wrakiem i zapadł gdzieś w korytarze. Miało to miejsce kilkanaście lat temu, ale ciągle był wrogiem publicznym numer jeden. Ścigały go listy gończe wystawione przez wszystkie stowarzyszenia, klany, państwa i wolne kolonie na Czarnym Słońcu. Powoli stał się symbolem zła, nieposłuszeństwa i lekkomyślnego narażania ludzi. Za jego głowę wyznaczono nagrodę, poszukiwały go służby specjalne wszystkich baz. Obawiano się, że dalej prowadzi swoje badania i stwarza śmiertelne zagrożenie dla całej ludzkiej społeczności.

Kiedy to wszystko przejrzałem, a trwało to kilka sekund, zrozumiałem, że znaleźliśmy się z Alą w kiepskim położeniu. Pewnie z powodu ogromnych ilości krwi bestii, którą sprzedawaliśmy, służby doszły do przekonania, że pracujemy z Trappem, a nawet go ukrywamy. Co za bzdura, fatalne nieporozumienie.

– W moich wnętrznościach nikt się nie ukrywa – powiedziałem. – Jestem misjonarzem, rycerzem, który nawraca bestie. Nie dopuściłbym, by ukryto we mnie Największego Złego. Ja też go szukam. Podejrzewam, że zaprojektowano mnie, by go odnaleźć. To mój najsilniejszy imperatyw, szukanie Szatana, który sprowadził zagładę na tę nieszczęsną kolonię.

Kolor świecących gogli komisarza zmienił się na jaśniejszy. Snikka odsunął się ode mnie, podszedł do panelu sterowania stołem.

– Nie bądź żałosny, Trapp – powiedział. – Mamy twoją żonę, gra skończona.

– Żonę? – wyrwało mi się.

Trapp rzeczywiście miał żonę, ale nie udowodniono, że brała udział w zbrodni. Ustalono, że byli nierozłączni i pracowali razem, ale nie wiadomo, czy feralnego dnia znajdowała się na pokładzie. Miała na imię Anabell, a zdjęcia świadczyły, że była piękną kobietą. I zupełnie niepodobną do Alaniny.

– Zmieniła wygląd, to oczywiste, ale jak wiesz, genów nie da się zmienić. To one ją zdradziły, ślad DNA, po którym ją znaleźliśmy – powiedział komisarz. – Przesłuchujemy ją od dwóch tygodni, to dużo czasu, szczególnie dla służb antyterrorystycznych.

Zdębiałem ze zgrozy. Antyterroryści mieli prawo stosować wszystkie możliwe i najbardziej ohydne metody przesłuchań, to była tradycja wyniesiona jeszcze z Ziemi. Ala była zatem torturowana, i to już od dwóch tygodni. A ja tkwiłem tu bezczynnie, jak kawał bezużytecznego złomu.

– Co jej zrobiliście? – wycedziłem, czując, że wraca do mnie znajomy gniew. Wściekłość, z jaką zwykle niszczyłem bestie.

– Wszystko, co było konieczne, by zaczęła śpiewać. – Komisarz uśmiechnął się chłodno. – Neurochłosta, hipnoza, rzuty w podprzestrzeń, czasowe zawieszenia i tak dalej. Wyśpiewała naprawdę dużo…

Tego było za wiele. Odpaliłem bomby termiczne, jedną wystrzeliłem w sufit, drugiej pozwoliłem stoczyć się po moim torsie i upaść na stół. Cały dok ogarnął piekielny ogień, sklepienie blaskiem przypominało słońce. Rusztowania zaczęły się topić i spadać deszczem płynnego metalu. Stół pode mną zapadł się z powodu temperatury i mojego ciężaru. Kilku komandosów spłonęło, ale widziałem, że większość włączyła tarcze i wystrzeliła na wszystkie strony, korzystając z napędu rakietowego w egzoszkieletach. Komisarz Snikka znalazł się w polu jednego z osłaniających go funkcjonariuszy. Zdążyli go zabrać, choć z całą pewnością nieco go przysmażyłem. Mundur się na nim zapalił, zajęły się włosy, a gogle spłynęły na twarz stopionym plastikiem. Miło było na to popatrzeć.

Nie miałem jednak czasu, by rozkoszować się widokiem. Poderwałem się i otrząsnąłem z odłamków i stopionego żelaza. Rozerwałem walące się stemple hali, chlapiąc wokół metalem i rozrzucając szczątki.

Błędny rycerz

Wyprostowałem się na pełną wysokość, przez co przebiłem czerepem sufit, demolując kolejne poziomy bazy. Skuliłem się po chwili, by móc szybciej przemierzać korytarz. Teraz kroczyłem niczym wielki, zgarbiony goryl, podpierając się pięcioma ramionami.

Musiałem szybko dotrzeć do aresztu i uratować to, co zostało z Ali.

Szedłem przez korytarze, rozpychając się łokciami. Każdym uderzeniem łamałem filary dźwigające stropy. Te waliły się za mną, zamieniając korytarz w kompletną ruinę. Zabezpieczałem w ten sposób swoje tyły i likwidowałem niebezpieczeństwo ostrzału w plecy – nie chciałbym dostać penetrującym pociskiem lub rakietą z głowicą plazmową. Przemieszczałem się niczym anioł zniszczenia, obracając w perzynę wszystko na swojej drodze. Starałem się jednak nie marnować czasu i parłem pewnie do celu.

Liczyłem na to, że siły zbrojne kolonii nie zdążą sprowadzić ciężkiej artylerii, zanim dotrę na miejsce. Systemy obronne zostały zaprojektowane do obrony osady przed atakiem z zewnątrz, ale po katastrofie, którą sprowadził Trapp, z pewnością wprowadzono zabezpieczenia na wypadek wtargnięcia bestii. Nie myliłem się. System ogłosił czerwony alarm, zaczęły opadać potężne grodzie dzielące miasto na sektory. Ludzie czmychali do schronów i kapsuł ratunkowych. Nikt nie wchodził mi w drogę, wszyscy wiali ile sił, byle dalej. Tyle dobrego, że dzięki procedurom alarmowym nie zabiłem jeszcze jakiegoś przypadkowego przechodnia.

– Poddaj się, Trapp! – Usłyszałem znajomy głos komisarza Snikki. – Nie wydostaniesz się z portu, nie masz szans. Nie pogarszaj swojej sytuacji…

– Mógłbym ją jeszcze bardziej pogorszyć? – parsknąłem. – Oddajcie Alę albo obrócę tę waszą blaszaną budę w kupę złomu.

– Nie paktujemy z terrorystami, wiesz przecież – odparł Snikka. – Możesz się poddać lub zginąć. Obiecuję ci uczciwy proces, z transmisją na całe Czarne Słońce. Będziesz się kąpał w blasku sławy albo sczeźniesz tu i teraz.

Gródź oddzielająca sektor portowy już opadła. Była to potężna brama z ceramiczno-polimerowego spieku podobnego do mojego pancerza, w dodatku wzmocniona polem. Cholerstwo odporne na anomalie, nie mówiąc o trafieniu bombą termiczną. Zwolniłem, dobiegając do niej, bo z sufitu wysunęły się wieże strzelnicze z ciężkimi działami laserowymi. Wyglądało na to, że kolonia rzeczywiście przygotowała się do obrony w razie wtargnięcia bestii do środka. Tylko że ja nie byłem oszalałym potworem, umysł miałem jasny i czysty.

Moje widżety hakerskie ciągle czekały w pogotowiu, skanując system operacyjny bazy. Kilka podprogramów już wcześniej umościło się w zakamarkach netu, wystarczyło je teraz tylko uruchomić. Złamałem wojskowe zabezpieczenia i jednym poleceniem unieruchomiłem wieże, a potem podniosłem gródź. Miałem parę chwil, zanim to naprawią. Wystarczyły, by przecisnąć się przez otwarte wrota i wedrzeć do głównego korytarza. Tym razem już nie bawiłem się w jego demolowanie, włączyłem stabilizatory grawitacyjne i uniosłem się w powietrze, nabierając pędu.

W mój pancerz uderzyły pociski, ale z ręcznej broni, nic nie mogły mi zrobić. To strzelali żołnierze, których mijałem, lecąc przez bazę. Zignorowałem ich, szkoda było czasu. Przeleciałem nad ratuszem i rynkiem, by w końcu wylądować przed aresztem.

Komisarz Snikka już na mnie czekał w otoczeniu kilku komandosów w egzoszkieletach. Na zniszczone gogle miał nałożoną cybernetyczną protezę, chyba pierwszą lepszą, jaka wpadła mu w ręce. Wyglądał jakby nosił motocyklowy kask. Od razu zhakowałem oprogramowanie protezy i ujrzałem świat oczami gliny. Widziałem głównie siebie, bo górowałem nad okolicą. Wielki, mechaniczny rycerz unoszący się nad ziemią z wyciągniętymi drapieżnie ramionami. Trzeba przyznać, że komisarz miał jaja. Stanąć naprzeciw czegoś tak groźnego – to było coś.

Nie zrobił tego jednak tak po prostu, miał w garści silny atut. U jego stóp klęczała Alanina. Mój piękny anioł stróż sprawiał wrażenie zmaltretowanego, ale przytomnego. Snikka opierał jedną rękę o jej ramię, w drugiej trzymał krótki miotacz, którego lufą mierzył w jej głowę.

– Nie zbliżaj się, bo ją rozwalę – warknął.

Sytuacja wyglądała na patową, ale ciągle miałem asy w rękawach. Nie było na co czekać. Przejąłem władzę nad jego protezą i go oślepiłem. Jednocześnie zhakowałem cybernetyczne ramię Ali i przejąłem sterowanie. Złapałem nim za lufę miotacza i wyrwałem z ręki komisarza silnym szarpnięciem, po czym skierowałem broń na mojego przeciwnika.

Otworzyłem właz wejściowy w mojej piersi i wyciągnąłem ramiona przed siebie. Dwoma z nich rozsunąłem na boki komandosów. Nie pieściłem się, polecieli w powietrze niczym zabawki i jeden po drugim uderzyli w ściany. Pancerze powinny ich ocalić, ale zasadniczo miałem to gdzieś. Znów do mnie strzelali. Nie zważając na nic, pozostałymi ramionami ująłem w dłonie Alę i komisarza, po czym wrzuciłem oboje do swego wnętrza. Zamknąłem trap i przestawiłem napęd na pełen ciąg.

Pora opuścić tę niegościnną kolonię. Szkoda czasu na szukanie śluzy czy powrót do portu. Miejscowi naprawdę mnie wkurzyli. Przyjąłem zatem opływowy kształt, wyciągnąłem przed siebie dłonie i z impetem wbiłem się w sufit. Przeszedłem przez kilka poziomów z hukiem i łomotem, niszcząc metal. Trzasnęły dźwigary podtrzymujące sklepienie, przerwałem też jakąś linię wysokiego napięcia, bo zerwały się grube kable, sypiąc snopami iskier. Nie traciłem jednak pędu, przebijałem się przez kolejne warstwy kolonii łatwiej niżbym pływał w trzewiach bestii. W końcu dotarłem do pancerza opieczętowanego polem. Tu skręciłem, by dotrzeć do najbliższego stabilizatora grawitacyjnego. Cisnąłem w niego bombę, niszcząc go w jednej chwili. Fragment poszycia bazy, średnicy dobrych dwustu metrów, zapadł się z trzaskiem i sykiem uchodzącego powietrza, zadziałało ciążenie Czarnego Słońca.

– Witamy w piekle – mruknąłem i dałem susa w ciemność.

Nie wiedziałem, że wściekła Ala zmienia się z anioła stróża w anioła zemsty. I że ta przemiana jest tak drastyczna. Zwykle łagodna i spokojna, nagle wpadła w szał. Widocznie komisarz mocno dał jej popalić, bo była wobec niego niezwykle gwałtowna. Widziałem wszystko jego

oczami, nad którymi cały czas panowałem. Najpierw szukała wzrokiem miotacza, który poleciał w jakiś ciemny kąt. Szybko jednak zabrakło jej cierpliwości. Ujrzałem, jak unosi zaciśniętą pięść, a potem jak ta spada raz za razem na ciało Snikki. Gliniarz próbował się bronić, ale szło mu niezbyt dobrze, szczególnie, że Ala tłukła go swoim cybernetycznym ramieniem, metalowym i ciężkim. Wkrótce też chrupnęły łamane kości, bryznęła krew.

– Dość – powiedziałem łagodnie, po czym przejąłem kontrolę nad jej ramieniem. – Już wystarczy.

– Wiesz, co on mi zrobił?! Podał mi substancje uczulające i wbijał neuroprzekaźniki potęgujące ból. Dręczył mnie całymi godzinami, rozciągając ten czas anomalią do tygodni. To był, kurwa, prawdziwy koszmar. Nigdy tak się nie bałam, nigdy mnie tak nie bolało – powiedziała łamiącym się głosem i w końcu się rozpłakała.

– Już po wszystkim, zabiorę nas daleko od tych ludzi. Już nic ci nie zrobią – powiedziałem, siląc się na łagodny ton.

Szło mi całkiem nieźle, choć zwykle to ona mnie uspokajała. Poprosiłem, by go zostawiła i poszła do kajuty, w której czasem gościła. Mogła tam sobie trochę odsapnąć i się uspokoić. Obiecałem przypilnować drania, choć i tak był bezbronny, bo połamała mu obie ręce. Poszła posłusznie, na pożegnanie spluwając na glinę.

Snikka nie znajdował się wcale w tragicznym stanie, nawet trzymał się na nogach. Miał co prawda pogruchotanych kilka gnatów, ale dla dzisiejszej medycyny to żaden problem. Nie żeby zależało mi na jego nędznym żywocie, po prostu był mi jeszcze potrzebny. Miałem pewne podejrzenia i do ich sprawdzenia potrzebowałem jego oczu. Kazałem mu się pozbierać i pomaszerować w kierunku reaktorów. Marudził i użalał się nad sobą, ale już mi nie groził. Chwiejąc się i postękując, ruszył korytarzem technicznym w stronę mojego serca.

Patrzyłem z mieszanymi uczuciami na swoje wnętrze, które widziałem po raz pierwszy. Zostałem urządzony dość surowo, bez przepychu, po prostu zwykła kładka z metalowej kratki, a wokół kolejne moduły i grube żyły okablowania. Co jakiś czas panel dostępu dla konserwatora, skrzyn-

ki narzędziowe, słoje z olejem, a w jakimś kącie stało nawet wiadro ze szmatą.

W końcu przeszliśmy przez kurtynę pola, osłaniającego źródła mocy i mój sztuczny umysł. Na podwyższeniu między reaktorami znajdował się stelaż, otoczony luksusowym medycznym wyposażeniem. W środku tkwił przezroczysty kokon, wypełniony gęstą cieczą, z unoszącym się wewnątrz człowiekiem, podpiętym do aparatury licznymi przewodami.

– Oto i prawdziwy ja – mruknąłem.

Powinienem przeżyć silny wstrząs, załamanie, może nawet wpaść w histerię, ale nic się nie działo. To ja byłem Największym Złym, Szatanem, którego latami szukałem w korytarzach Czarnego Słońca. Cały czas tak blisko i tak daleko od celu. Szatan tkwił w samym środku mego serca. Hugo Trapp, tak się naprawdę nazywałem. Masowy morderca, sprawca katastrofy, która pochłonęła tysiące istnień.

Do czego potrzebna była ta maskarada? Domyślałem się, patrząc na mężczyznę unoszącego się w kokonie. Jego ciało pokrywały liczne blizny, podejrzewałem, że nie mógł normalnie funkcjonować bez wsparcia całej tej aparatury. Po katastrofie, w której sam mało nie zginął i w której Ala straciła rękę, musiał przejść załamanie psychiczne. Nie był przecież potworem, świadomość tego, co zrobił, musiała niszczyć. Moja żona zdecydowała zatem, by farmakologicznie pozbawić mnie pamięci i stworzyć nową osobowość, fanatyka religijnego, który tropi bestie.

Moja pragmatyczna i rzeczowa Ala, cała ona! Nie dość, że utrzymała mnie przy życiu, to jeszcze zrobiła ze mnie umysł niezwykle sprawnej i wydajnej maszyny do pozyskiwania towaru. Przechodziłem pokutę, naprawiałem winy, cierpiąc i walcząc. Niszczyłem bestie pojawiające się blisko osad, chroniłem ludzi, a przy okazji zarabiałem pieniądze. To doprawdy w stylu mojej żony.

Pewnie zamierzała przywrócić mi pamięć, szczególnie po ostatniej awanturze, gdy zacząłem naprawdę osuwać się w religijny obłęd. Musiała odciąć mi dopływ środków oszałamiających i przełączyć na inny zestaw leków psychotropowych. Mój powrót z pewnością miał być stopniowy i łagodny, by uniknąć szoku. Przypadek jednak spowodował, że akurat

wtedy została aresztowana. Po kilku dniach oszałamiacze przestały działać i wróciła mi świadomość. Niejako skokowo, w dodatku nie odzyskałem pamięci.

Teraz ta wracała i to szybko. Było to niczym błysk, w jednej chwili stary Hugo powrócił do żywych. Tyle, że już nieobciążony winą, oczyszczony pokutą i wolny.

Po chwili naprawdę błysnęło i w korytarzach zabrzmiał basowy huk. Światło zgasło. Straciłem łączność z oczami Snikki. Miałem jednak wszystkie swoje sztuczne zmysły, metalowe ciało i dostęp do zewnętrznych detektorów i kamer.

– To tylko ja. – Usłyszałem Alę. – Odstrzeliłam Snikce głowę.

– Czemu? Nie zdążyłem udzielić mu ostatniego namaszczenia! – zareagowałem odruchowo, po staremu.

– Zamyśliłeś się, zawsze miałeś do tego słabość – odparła. – Przestałeś zwracać uwagę na to, co gliniarz robi. Łapy miał połamane, ale gdy wśliznęłam się za nim do środka, przyłapałam go z paluchami na panelu twojego łóżka. Jedno kliknięcie i strzałem adrenaliny wysłałby cię w niebyt. Zdążyłam w ostatniej chwili, całe szczęście, że znalazłam miotacz.

– Dziękuję, kochanie – powiedziałem.

– Kochanie?

Wydało mi się, że wstrzymała powietrze.

– To ty, Hugo? Wróciłeś?

– Tak – odparłem. – Mamy chyba trochę do pogadania. Ciekawy jestem, dlaczego uczyniłaś ze mnie rozmodlonego rycerza? Co to za pomysł z tą religią?

– Nie czas teraz na tłumaczenia – warknęła szybko, wracając do zwyczajowego nerwowego stanu. – Ściga nas z pewnością cała horda poszukiwaczy i siły zbrojne kilku okolicznych kolonii. Nagroda za nasze głowy właśnie wzrosła, podejrzałam wiadomości, zostaliśmy newsem dnia na całym Czarnym Słońcu. Gratuluję!

– To prawda, że działałem impulsywnie i bez pomyślunku, ale przyznasz, że skutecznie. Wyciągnąłem cię z więzienia i zabrałem nas z kolonii.

Zadudniło głucho. Domyślałem się, że Ala kopnęła w jakąś moją metalową część.

– A niech to! Tak dobrze nas ukryłam, tak świetnie zadekowałam! Tyle lat działaliśmy, żyjąc sobie w spokoju i zarabiając pieniądze. I to się znów stało. Jesteśmy ściganymi wyrzutkami, parą morderców – powiedziała łamiącym się głosem.

Chyba przeszła zbyt wiele, potrzebowała odpoczynku.

– Nie martw się, proszę – powiedziałem łagodnie. – Wszystkim się zajmę, zabiorę nas daleko stąd. Zaczniemy wszystko od początku, na jakiejś odległej kolonii. Są ich przecież setki. Będziesz mogła znów zarabiać pieniądze, a ja wrócę do badań, wszystko się jakoś ułoży. Ludzie nas potrzebują, jeszcze zrozumieją, że mylą się w naszej ocenie, zobaczysz…

Nic nie odpowiedziała. Powłócząc nogami, ruszyła do kajuty. Nie miałem śmiałości, by zapytać, czy zajmie się nieboszczykiem, zresztą jemu już się nigdzie nie śpieszyło, może poczekać do jutra.

Włączyłem maskowanie, jak przy skradaniu się do bestii, i pomknąłem w ciemność, w kierunku głębokich korytarzy, najmniej zbadanych i rzadko zaludnionych. Tam, gdzie nas nikt nie znajdzie. Amen.

PAN KUKIEŁKA

Dawid Kain

Conceptual emptiness was cool to talk about
Back before I knew my way around these hospitals

Phil Elverum

1.

Gdy pierwszy raz o tym wspomniał, to nie było dla mnie nic niezwykłego. Dzieci wygadują różne rzeczy. Tomuś ma już prawie trzy i pół roku; co słowo to groteska i surrealizm. Najgorzej po nocach: wyłazi z łóżeczka i szepcze do siebie, tupta wte i wewte. Ja nie mam mocnego snu, byle szmer stawia mnie na nogi. Tak też było wtedy.

Coś zgrzyta i nie przestaje, a ja się zaraz budzę, czując podmuch na twarzy. Ciemno, synka nie widzę.

– Tomuś? – pytam szeptem. Ciemno, jakby ktoś mi oczy skleił. Ja bez okularów w ogóle niewiele jestem w stanie dostrzec, nawet przy świetle. – Tomuś, to ty? – pytam głośniej, ale też nie za głośno, bo jakby spał, to niech śpi dalej. Każdy rodzic wie, że łatwiej rozbroić bombę, niż uspokoić trzylatka. On nie odpowiada.

Ale wtedy słyszę znowu takie… takie zgrzytanie. Jakby Tomuś paluszkami skrobał w drzwi. Co zresztą lubi robić, nie wiem dlaczego. Słyszę to cichutkie skrobanie i coś przypominającego płytki oddech. Chyba że to wiatr.

Czemu nie odpowiada?

Jest druga dwadzieścia trzy, poświata księżyca wlewa się sinymi pręgami przez żaluzje, w sumie to gówno widać. Może tam nic nie ma, może jest kłębek cieni na podłodze? Nie wiem, sam zmieniam się w kłębek, tyle że nerwów. Pół życia miałem różne lęki. Jako dzieciak w nocy nigdy nie poszedłem sam się wysikać, już wolałem do łóżka; starzy opieprzą, może wyśmieją ale przynajmniej żadna szponiasta łapa nie zaciśnie mi się na kostkach i nie wciągnie w otchłań.

Teraz jestem już w sumie stary. Potwory wywietrzały mi z głowy i z szaf, ale przecież jest druga w nocy, Ty nie żyjesz od niecałych dwóch tygodni, ja – na wpół ślepy – brnę przez pozwijane kołdry, nie widzę mojego dziecka, które być może skrobie w drzwi na śpiąco, a może nadal leży w łóżku, a tam skrobie coś zupełnie innego…

I wtedy zauważam to coś, co leży na parkiecie. Kłębek ciemności zaczyna się poruszać, rozplątywać, rosnąć. To chyba nie Tomuś. Podnosi się z podłogi i nachyla do mnie. A może jednak Tomuś, tyle że w formie własnego, obdarzonego piskliwym głosem cienia. Rączki jak zimne gałązki kładzie mi na policzkach. Oddycha szybko.

– Tato, przyszedł Pan Kukiełka – szepcze.

I tak to się zaczęło.

2.

Śmierć jest rzeczywista. Ale ten fakt dociera do człowieka dopiero wtedy, kiedy ktoś bliski umrze. Okropnie to wszystko niepodobne do jakichkolwiek wyobrażeń.

To nie jest żadna nicość z hipsterskich piosenek, żadna ciemność z mrocznych opowiadań ani rysunek zakapturzonej anorektyczki z kosą. Tylko całkowity, namacalny brak osoby, która nam umarła.

Ty nie żyjesz od dwóch tygodni, kochanie, co znaczy, że w naszej sypialni już czternasty dzień patrzę na miejsca, w których byłaś, i rani

mnie widok przedmiotów, których dotykałaś, i boję się, że ogłuchnę, od czternastu dni nie słysząc słów, które wypowiadałaś.

To jest jak negatyw bajki o Złotowłosej: ktoś nie śpi w naszym łóżeczku, ktoś nie je z twojej miseczki, kogoś nie ma i już nie będzie.

Czternaście dni, za godzinę zacznie się piętnasty.

Wiesz, o co Tomuś dziś zapytał? „Czy mama wróciła z tej swojej wycieczki?". Wymyśliłem te wycieczki, kiedy jeździliśmy do szpitala, a potem nie wracałaś. Nie wspomniałem ci o tym, gdy jeszcze miałem okazję. Przepraszam.

– Kiedy mama wróci? Ile taka wycieczka trwa? – pytał raz po raz. Chciałem powiedzieć coś mądrego, ale zamiast tego palnąłem bez zastanowienia:

– Nie może wrócić, dopóki nie zgodzi się na to Pan Kukiełka.

Tomuś popatrzył na mnie z przekrzywioną ptasio główką. Sama wiesz, jak wygląda, gdy go coś zaskoczy. Nie mam pojęcia, czy spodobała mu się taka odpowiedź. To była moja nieudolna próba dołączenia do jego zabawy. Zabawy w Pana Kukiełkę.

Długo się zastanawiał, a potem z poważną miną odparł:

– Następnym razem go poproszę.

Później przez godzinę w ciszy bawił się kolejką. Ja przypominałem sobie, jak szedłem między regałami supermarketu, mechanicznie wrzucając do wózka kolejne produkty, aż nagle wszystko wokół stało się szpitalnym korytarzem i nie mogłem zrobić kroku. Może stoję tam do tej pory.

Po co ja w ogóle to wszystko nagrywam? To głupie.

3.

Chciałbym, żeby duchy istniały, żeby szafy były pełne potworów, żeby piekło parzyło nam stopy, a ciężar nieba zakłócał grawitację każdej myśli.

Chciałbym, żebyś nadal tu była, nawet gdybyś już tylko mnie straszyła. Niechby to był tandetny film grozy, z idiotycznym zwrotem akcji pod koniec. Albo żebym to ja nie żył, a Tomuś nadal mnie widział, bo ma taki dar, a Ty byś z nim łaziła do kolejnych rozkładających ręce psychologów. Niechby to był w ostateczności paranormalny romans, gdzie miłość

miałaby szansę zwyciężyć, zanim przez czarny ekran przepłynęłaby długa lista nazwisk aktorów i producentów.

Wyobrażam sobie czasem, że widzę twoją sylwetkę i spoglądam przez ciebie, jak przez soczewkę, na miejsca i rzeczy, które zostawiłaś. Nie miałbym nic przeciwko, gdybyś była upiorem i w końcu zadręczyłabyś mnie na śmierć. Umarłbym blady, za to pełen wiary.

W szafach są teraz strachy bardziej przeszywające niż wzrok piekielnych bestii – jak wieszak z twoją ulubioną koszulką, którą ci kupiłem, kiedy…

…Wszędzie coś znajduję. Flakonik perfum na pralce przed dwoma dniami. Spadł, gdy robiłem pranie, ale się nie rozbił.

Ciągle miewam koszmary, ale to nie one wydają się najgorsze. Dużo gorsze są chwile, kiedy się budzę i znowu jest tak, jakby ktoś przed sekundą walnął mnie w krtań i to nie mija do wieczora.

O czym zresztą gadać…

Wszystko to równie poetyckie jak amputacja.

4.

Siedemnasty dzień bez ciebie.

Tomuś powiedział „mama" przez sen – a myślałem, że nie będę mógł już bardziej umrzeć.

Nasze dziecko lunatykuje niemal każdej nocy. Podnosi przedmioty, które ja odkładam.

Słucham jego oddechu.

Czasem coś drapie o deski podłogi albo drzwi.

– Pan Kukiełka? – pytam sufitu i ścian.

Twoje miejsce zajął wymyślony przyjaciel naszego synka i ja się na to godzę, byleby pod jednym dachem znów było nas troje.

Odpowiedz, Panie Kukiełko – błagam go w myślach i szeptach. *Jesteś moją jedyną nadzieją.*

Chociaż ty bądź.

5.

Dziś spacer po lesie, zupełnie jak wtedy, gdy jeszcze…

Tomuś się wyspał; nie chodził po nocy, nie gadał do siebie. Teraz biega między drzewami, dużo się śmieje. Ma te buciki, które zamówiłaś mu w tajemnicy – granatowe, na rzepy. Paczka przyszła tydzień po twojej śmierci. Skuliłem się, gdy usłyszałem twoje imię wymówione na głos. Listonosz myślał, że umieram i miał rację.

Tomuś lubi być w lesie, wszystko go tutaj ciekawi i zachwyca, ja z kolei…

– Tata… Tatooo!

– Co, Tomuś?

– Czemu tam mówisz do tego czarnego?

– To jest… To jest taki specjalny dyktafon. Tatuś nagrywa na niego różne rzeczy, żeby później ktoś mógł sobie posłuchać.

– Aha.

– Chciałbyś coś powiedzieć do mikrofonu?

– A kto to usłyszy? Mama?

– …

– Tato, powiedz, mama usłyszy, co?

– Tak.

– Ale super… Mamooo. Wracaj z tej wycieczki. Już tam nie pływaj. Za dużo pływasz, zaziębisz się w tej wodzie.

– Tomuś, co ty opowiadasz?

– Żeby mama nie pływała tyle. Bo Pan Kukiełka mówi, że teraz już tylko pływa.

6.

Nie wiem, jakim cudem Tomuś się dowiedział. Nie było go tam wtedy, nie mówiłem mu o tym. Nie wiedziałbym, w jaki sposób.

Chciałaś, żeby cię skremować i wrzucić prochy do rzeki za domem, zawsze ją lubiłaś. Najpierw myślałem, że nie dam rady. Ale te prochy to nie byłaś Ty. Nie było żadnego związku między nimi a tobą, między mną a tym czymś – żadnego związku.

Bez sensu. Wysypałem wszystko, czułem się jak idiota. Potem patrzyłem na wiry i prądy, i fale tak malutkie, jakby ktoś niewidzialny się tam kąpał, drżące krążki słońca padające spomiędzy gałęzi, moje odrętwiałe ręce nad srebrzystą powierzchnią, buty wessane w błotnisty brzeg.

Chciałem, żeby któraś z tych rzeczy coś znaczyła, bo teraz stałaś się ich częścią.

Kiedy wróciłem, Tomuś dalej spał.

Zadzwonił szef, nie za bardzo wiedząc, jak zacząć rozmowę. W końcu spytał, kiedy dam radę się pojawić i jeszcze trzy razy powtórzył, że tak mu przykro.

Nie pamiętam, co odpowiedziałem, w jednej ręce miałem słuchawkę, w drugiej pustą urnę.

7.

Dwudziesty pierwszy dzień.

Moje życie stało się strzałą, która utraciła kierunek, przestała się poruszać. Wisi w powietrzu – zwykły, prosty patyk. Nie wiadomo, co z nim zrobić. Można od biedy zawiesić na nim kukiełkę.

Tomuś rysuje drzewa. Jest bardzo skupiony, rączka mu się spociła od ściskania brązowej kredki. Trochę się boję, że zacznie rysować jakieś dziwne sceny, czarne spirale i ciemnowłose zjawy, ale on tylko kreśli las za naszymi oknami, równe rzędy drzew, które nie skrywają żadnej tajemnicy, raczej monotonię, upiorną powtarzalność.

– Bardzo ładnie. Ale zapomniałeś o rzece – zauważyłem, gdy przyniósł mi gotowe dzieło.

– Nie ma rzeki – odparł.

Później poszedł się bawić autkami; rozpędzał je na dywanie. Siedział dokładnie w tym miejscu, w którym jeszcze parę miesięcy temu rozpakowywał z tobą prezenty, a ja odkurzałem igły, żartując, że nasza choinka tak szybko zaczęła łysieć.

8.

– To taty. Nie ruszaj…! Masz wyłączyć! Wyłącz, ale już!

9.

Dwadzieścia trzy dni.

Patrzyłem na twoje zdjęcia i zrozumiałem, że coraz słabiej pamiętam cię żywą. Przez to, że codziennie gapię się na te zdjęcia, zapamiętując cię w tamtych scenach, nieruchomą, dwuwymiarową, wypieram wspomnienia, w których się poruszałaś, mówiłaś coś, śmiałaś się albo płakałaś.

To straszne, że śmierć potrafi być taka mała. Cztery milimetry. Nawet teraz chce mi się rzygać. Pierdolona trzustka. Pierdolone cztery milimetry.

Czy ja będę nagrywał do końca życia?

Tomuś ma brudne stópki. Znalazłem trochę igliwia na podłodze.

– Wychodziłeś gdzieś w nocy?

– Na wycieczkę.

– Nie możesz łazić do lasu sam, szczególnie po zmroku. To bardzo niebezpieczne.

– Wcale nie byłem sam.

– A niby z kim?

– Z Panem Kukiełką.

– Tomuś… Daj już spokój. Jak w ogóle otworzyłeś drzwi? Przecież były zamknięte na klucz.

– Jak jest Pan Kukiełka, to nie ma żadnych drzwi.

– No dobrze. Skoro tak twierdzisz. W takim razie opowiedz mi coś o nim. To taki twój… przyjaciel?

– Nie.

– Kolega?

– Nie.

– A jak wygląda?

– Takiii… eee… Pokażę ci.

– Ale jak? W koszu coś…? Aha, na zabawce mi pokażesz. Rozumiem. Masz tam jakąś kukiełkę? Nie pamiętam, żebyśmy ci coś takiego kupowali.

– Mama.

– Mama kupiła? Kiedy?

– Eee… Patrz.

– Aha. To się tak naprawdę nazywa marionetka. Ludzik na sznurkach. Nie miałem pojęcia, że mamy w domu coś takiego.

– Trzymaj. Tata, trzymaj.

– Trzymam. Mam poruszać tymi sznurkami. Wtedy ludzik chodzi i macha rękami. Czy tak wygląda Pan Kukiełka?

– Nie. To… On trzyma kukiełki. Rusza, o tak…

– Czyli to jest bardziej… Pan Kukiełek. Steruje nimi. Czy on tworzy te kukiełki sam?

– Nie mówił. Za to ciągle robi wycieczki. Wtedy kukiełki muszą chodzić albo pływać, a on tylko rusza rękami. Takie wycieczki, jak mama pojechała. Pokazywał mi w lesie, jak idą. Dużo naraz. Tych sznurków wtedy nie widać, ale kukiełki robią tak, jak on rusza rękami i palcami.

– Tomuś… Tomuś, przestań. Nic już nie mów…

– Ja go prosiłem za każdym razem. Żeby mama mogła wrócić. Powiedział, że każdy ma swoją wycieczkę i każdy w końcu musi pływać, jedni w wodzie, inni w dymie. Powiedziałem mu, że byłem raz z wami na basenie i umiem trochę pływać, mama mnie uczyła. Tata, nie płacz.

10.

– Co to jest? Anka, ej, co tam masz?

– Czekaj, spróbuję puścić. Ciekawe, czy działa. Ktoś chyba zgubił stary dyktafon w lesie.

– Po co by ktoś łaził z dyktafonem do lasu?

– Może… nagrywać zwierzęta? Szum drzew? Cholera wie.

– I co? Nie idzie nic?

– Zaraz, bo coś…

– Wcisnęłaś nagrywanie.

– Cholera, no to może ten…

Trzydziesty dzień.

Już wiem, co trzeba zrobić. Wreszcie zrozumiałem.

Tomuś pokaże mi miejsce w lesie, gdzie Pan prowadzi kukiełki na wycieczki.

Całą noc drapałem drzwi, aż była krew i drzazgi.

Jednak gdy otworzyłem oczy, drzwi były szeroko otwarte, chociaż klucz dalej leżał w najwyższej szufladzie.

Tomuś spał w łóżeczku i poruszał się tak, jakby pływał, drżące pręgi słońca padały spomiędzy żaluzji, a pościel była zupełnie jak wiry i fale, i wszystko nagle stało się symbolem czegoś zupełnie innego. Twoja nieobecność także.

EGO TE ABSOLVO

Agnieszka Sudomir

W zimnym świetle halogenowej lampy ostrze wyglądało jak sopel lodu. Pogładziła pozbawioną skaz, lśniącą powierzchnię, zabezpieczyła ją oliwą i wsunęła nóż do właściwej przegrody. Wymagał więcej uwagi niż te zwykłe, ze stali nierdzewnej, ale żaden nie wchodził w materiał tak gładko i precyzyjnie. Przesunęła wzrokiem po rzędach wysterylizowanych skalpeli oraz cieniutkich igieł. Sekundę dłużej zatrzymała spojrzenie na masywnych kleszczach, złowrogo połyskujących na metalowym blacie. Używała ich niezwykle rzadko. Miała nadzieję, że jutro nie będą potrzebne.

Wyjęła z szuflady maskę i zbliżyła ją do twarzy. Srebrzyste tworzywo, delikatnie łaskocząc, wtopiło się w skórę. Uwielbiała ten moment, kiedy ona i maska stawały się jednym. Ale dziś nic nie powinno jej rozpraszać, nie mogła więc zbyt długo oddawać się przyjemności. Ostrożnie umieściła kruchy przedmiot z powrotem na czarnym aksamicie. Zamknęła wieko futerału i ostatni raz skontrolowała stanowisko: strzepnęła z blatu niewidoczne pyłki, poprawiła zwisające z sufitu skórzane pasy, starannie nawinęła na rolkę luźno zwisający koniec sznura. Było idealnie, dokładnie tak, jak trzeba. Nadchodził wielki dzień – od jutra cały świat będzie mógł podziwiać kunszt Em.

Po jej skroni spłynęła kropla potu. Popielata tunika, tradycyjny strój Rozgrzeszonych, kleiła się do ciała. Procedura Stu, strona trzysta trzydzieści cztery. Nie do wiary – ona, cudowne dziecko, gwiazda Ośrodka, stoi tu niczym nowicjuszka i spośród splątanych myśli nie potrafi wyłowić ani jednego właściwego słowa. Pięć dni temu skończyła zaledwie dwadzieścia lat, a już miała za sobą pierwszych stu. Nikt przed nią tyle nie osiągnął. Miałaby się potknąć o coś tak banalnego? Przed Ceremonią, choćby została obudzona w środku nocy, potrafiła bezbłędnie wyrecytować cały Dokument. Teraz w głowie Em była jedynie pustka, czarna dziura. Za chwilę dostanie ostrzeżenie – sekundy mijały, a każda przybliżała ją do katastrofy.

– Em… Em… – Znad białych głów Urzędników dobiegł ledwie słyszalny szept.

Z nadzieją poszukała wzrokiem barczystej sylwetki. Dostrzegła zaciśniętą pięść przyjaciela. Oczywiście! Jak mogła zapomnieć? Nagle wszystko wróciło na swoje miejsce. Uspokojona, stanęła w niewielkim rozkroku, wyprostowała plecy i wyciągnęła rękę ku górze.

– A pięść moja niech będzie jak kamień. Twarda, zimna, nieustępliwa. I niech się nie waha. Jestem częścią całości. Proszę o Rozgrzeszenie, bowiem sto razy podniosłam rękę w imieniu Najwyższego Urzędu – wypowiedziała tradycyjną formułę, po czym pochyliła głowę i złożyła dłonie w geście pokornej prośby.

Wzruszenie ścisnęło ją za gardło, do oczu napłynęły łzy. W Ośrodku całe lata ćwiczyli wyciszanie emocji, była w tym prawdziwą mistrzynią. Przynajmniej tak sądziła – aż do tej chwili. Odetchnęła głęboko. Nikt nie może tego zauważyć. Nawet tak wielki dzień nie zwalniał jej z obowiązku przestrzegania zasad.

Odcięła się od zalewających ją uczuć i podniosła wzrok. Znajdowali się w obszernej, choć niewysokiej sali. Ściany i podłogi wyłożono kwasoodpornymi płytami. Łatwo je było oczyścić. Czekając na werdykt, obserwowała pomarszczone twarze Urzędników oraz pełzające po ścianach szmaragdowe płomyki świętego ognia. Z nawiewów napływała woń drzewa sandałowego, agaru i środków dezynfekujących. Czasem, kiedy Em

szła ulicą, odnosiła wrażenie, że każdy z mijanych ludzi bezbłędnie ją po tym zapachu rozpoznaje. Oczywiście nic takiego nie mogło się zdarzyć. Obcy nie mieli pojęcia, jak pachnie Sala Napraw.

Nie obawiała się wyniku, jej nienaganną technikę stawiano innym za wzór. Naprawa wymagała finezji, dokładności i samodyscypliny. Inaczej stałaby się zwykłą zemstą. Zemsta była surowo zakazana.

Zerknęła na stanowisko pracy – perfekcyjnie czyste, uporządkowane, choć jeszcze wczoraj mogło przyprawić o mdłości. Okropne widoki nie robiły na Em wrażenia. Przywykła. I od dawna niczego się nie bała. Nie tak jak wtedy, kiedy przywieziono ją do Ośrodka. Śnieg po kolana, zimna, szorstka dłoń kobiety z Opieki oraz własny strach – tyle zapamiętała.

Gdyby nie ten kot, pewnie nigdy by się tu nie znalazła. Kandydatów na Rozgrzeszonych szukano za Czarną Bramą, gdzie bieda szła ramię w ramię ze zbrodnią, gdzie trudno o normalność. Rodzina Em nie była wyjątkiem. Matka – uliczna kurwa. Ojciec – złodziej i łajza. Wpadał na kilka dni w miesiącu, od progu wlewał w siebie flachę taniego wina, a potem tłukł ich czym popadnie: paskiem z metalową klamrą, kijem od szczotki, gołymi dłońmi. Raz nawet oberwała słoikiem po musztardzie. To właśnie od starego nauczyła się mocno zaciskać pięści. Mieszkali w ruderze na cieszących się złą sławą wschodnich obrzeżach miasta. Ani ona, ani jej brat nie znali zapachu obiadu, a jedynie odór podłego alkoholu. Nauki pobierali w okolicznych bramach: od złodziei, ćpunów i dziwek. Nie wiadomo, co by się z nimi stało, gdyby nie ten kot. Nie planowała tego. Jakoś tak samo wyszło.

Kiedy odkryła, że ojciec robi Tomowi krzywdę, gorszą niż jej samej, zdobyła prawdziwy rzeźnicki nóż. Chciała zabić. Tego dnia było gorąco jak w piekle; stary spał na kanapie, a po brodzie ściekała mu ślina. W powietrzu unosił się smród wódy i rzygowin. Patrzyła na siny nos, rozchylone, obrzmiałe wargi i wielki, owłosiony brzuch. Z łatwością mogła zatopić ostrze w obleśnym, tłustym cielsku. Mogła go zarżnąć jak wieprza, zanim by się obudził. Dobrą godzinę krążyła po mieszkaniu, nasłuchując pijackiego chrapania. Nie wystarczyło jej odwagi.

Wybiegła z domu, wściekła na cały świat. Na ojca zboczeńca. Na matkę, która wiecznie zalana łajdaczyła się na krzywych chodnikach wschodniej dzielnicy. A najbardziej zła była na siebie, na własne tchórzostwo. Na przeklęty los. Ktoś musiał za to wszystko zapłacić. Biegła na oślep, kurczowo ściskając w dłoni nóż. Kot sam wszedł jej pod nogi. Miał po prostu pecha. Em i Tomowi los sprzyjał – mimo wszystko. Większość kumpli z podwórka dawno nie żyła.

Kiedy czytała pierwsze Akta, płakała – znów chciała zabić. Pragnienie zemsty, największy wróg Rozgrzeszonych, prędzej czy później dopadało każdego. Przynosiło ulgę, dawało złudzenie sprawiedliwości, cudowną obietnicę zadośćuczynienia. Z czasem nauczyli się zwalczać pokusę, choć to nie było łatwe. Organizm wytwarzał wtedy silnie uzależniające substancje, nie pamiętała jakie. Chemia nigdy nie była jej mocną stroną. Na szczęście Sąd nie narzucał sposobu Naprawy, czasem tylko niektórych metod zakazywał. Em najchętniej wybierała techniki wymagające wysokiej sprawności manualnej i rozległej wiedzy z zakresu anatomii.

Urzędnicy jednocześnie rozłożyli dłonie w uroczystym geście.

– *Ego te absolvo!* – Usłyszała upragnione słowa Rozgrzeszenia.

Poczuła się lekka jak piórko, wolna niczym ptak. Zanim jednak pójdzie świętować z przyjaciółmi, musi podziękować za Ceremonię, troskę, lata starannej edukacji. Tak nakazywał obyczaj. Uklękła przed Prowadzącym i znów pochyliła głowę. Starzec uniósł blade, kościste ręce, po czym zaintonował modlitwę:

– Ojcze Nasz, któryś jest wszędzie…

Zamknęła oczy i żarliwie podchwyciła. Dźwięki płynęły w przestrzeń, odbijały się od stalowych ścian, by zaraz potem, przez umieszczone w podłodze rynny, dotrzeć aż tam – do świata Jedynego Pana. Odkąd ludzie zrozumieli, że On jest sprawcą dobrego oraz złego, nie wznoszono już oczu do nieba. Pan był wszędzie, wszędzie było Królestwo Jego. Em nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Wiele hymnów, ewangelii oraz przypowieści kiedyś brzmiało inaczej. Z nastaniem Nowej Doktryny usunięto z nich te wszystkie brednie o Szatanie. Wreszcie mówiły prawdę.

– …ale nas zbaw ode złego – zakończyła mocno.

Chciała sprawić przyjemność Urzędnikom. Lubili wyrazisty, przepojony emocjami śpiew. Na ogolonej czaszce poczuła szorstkie, chłodne dłonie.

– Niech cię prowadzi Nasz Pan Jedyny, Wszechmogący, źródło wszelkiego dobra oraz zła. – Starzec zakończył Ceremonię.

Wstała z kolan i wygładziła tunikę. Z powagą przyjęła gratulacje od Urzędników, choć w głębi duszy pragnęła już tylko wybiec na zewnątrz.

Czuła się wybrana. Od teraz była ważną częścią całości, elementem systemu, który ulepszał świat, pozwalał ludzkości istnieć i się rozwijać. Dzięki Rozgrzeszonym społeczeństwo działało bez zarzutu. Najmądrzejsi spośród mądrych pracowali długo i ciężko, by osiągnąć ten stan. Przez wieki zastanawiano się, jaka jest ludzka natura: dobra czy zła. Teraz, kiedy ustalono Nową Doktrynę, stało się jasne, że człowiek był dobry i zły jednocześnie, stworzony na obraz oraz podobieństwo Pana. Dawne kary także wcześniej nie okazywały się wystarczająco skuteczne, a po zmianie w ogóle przestały mieć sens – nie powstrzymywały przed zbrodnią. W ten sposób nowa rzeczywistość wymusiła powstanie nowego prawa. Po latach prób i błędów wreszcie wprowadzono idealny system, stworzono karę doskonałą. Groźba niewyobrażalnego cierpienia, prowadzącego do destrukcji własnego „ja", precyzyjnie docierała do złożonej ludzkiej natury, co potwierdzał wciąż malejący współczynnik przestępczości.

Em wiedziała, że kiedyś nastanie dzień, w którym nie będzie kogo poddać Naprawie, a misja Rozgrzeszonych nieodwołalnie się skończy. W zimne, ciemne noce dręczył ją czasem niepokój, który jednak zawsze znikał wraz z nadejściem świtu. Tak naprawdę nie sądziła, by miała tego dożyć. Dziś był jej wielki dzień i tylko to się liczyło. Zasłużyła na odpoczynek. Odwróciła się i już chciała ruszyć ciemnym korytarzem w kierunku światła, gdy nagle poczuła na ramieniu mocny uścisk.

– Em… – Usłyszała głos Prowadzącego.

Nie mogła uwierzyć, że jej to robią.

– Ale…

Prowadzący uniósł brwi i spojrzał na Em z przyganą. Zamilkła, czując niebezpieczne pulsowanie w skroniach. W sekundę łatwo mogła stracić

to, na co pracowała latami. Z całej siły starała się opanować wewnętrzne drżenie. Skoncentrowała się i stłumiła gniew.

– Kolejna Naprawa?

Potwierdził skinieniem głowy.

– Akta? – zapytała chłodno.

– Masz dwie godziny. Zdążysz? – Podał Em niebieski tablet z logo Najwyższego Urzędu.

– Zdążę.

Stanęła przy lśniącym jak lustro stole do Napraw. Nie mogła sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Nie dziś. Wykonała kilka prostych ćwiczeń oddechowych i wyciągnęła przed siebie dłonie. Nadal lekko drżały. Usiadła w pozycji do medytacji – powoli, krok po kroku, zaczęła rozplątywać emocjonalny supeł. Wreszcie poczuła, że napięcie z niej opada. Teraz mogła przystąpić do pracy.

Przegląd zaczęła jak zwykle od dokumentów medycznych oraz notatek Obserwatorów. Chciała znać najsłabsze punkty Zepsutego. Od tych informacji zależała skuteczność Naprawy. Zdjęcie oglądała dopiero na końcu; właściwie nie musiała tego robić, ale wolała przygotować się na każdą sytuację. Istnieje przecież piękno, które kruszy serce i ułomność, która potrafi wywołać litość. Kiedy rozpocznie się Transmisja i miliony zasiądą przed odbiornikami, żeby podziwiać pracę Rozgrzeszonej, nie wolno jej się zawahać. Nie wolno rozczarować publiczności. W sercu Em nie będzie wtedy miejsca ani dla nienawiści, ani dla litości, zachwytu czy obrzydzenia. Zawładnie nim wyłącznie święta powinność wobec Jedynego Pana.

Szybko przerzuciła siedem stron wstępnego opisu. Ta część interesowała ją najmniej. Zerkała na paragraf i wiedziała, z czym ma do czynienia. Nie chciała znać szczegółów, żeby nie wzbudzić w sobie chęci zemsty. Wolała suche liczby, pod którymi kryły się w kodeksach równie suche opisy zbrodni. Niczego więcej nie potrzebowała.

Mężczyzna, lat 18, art. 200, § 1 i 2 KK. Oskarżony dokonał gwałtu na nieletnim (ofiara: chłopiec, lat 6). Przyznał się do winy. Obrona utrzymuje,

że ich klient został zmuszony do popełnienia zarzucanego mu czynu, co miałoby stanowić okoliczność łagodzącą.

WYROK:

Sąd odrzucił argumenty obrony i skierował oskarżonego do Naprawy. Z uwagi na pełnienie przez ww. jednostkę ważnej funkcji, Sąd przychyla się do prośby obrony, by podczas Naprawy nie stosować technik, które mogą naruszyć powłokę cielesną skazanego, a tym samym obniżyć jego wartość dla społeczeństwa. Szczegółowy wykaz niedozwolonych technik: załącznik nr 1.

Znów przerzuciła parę stron i zerknęła na wskazaną listę, która okazała się długa. Sąd nie zezwalał na żadną z preferowanych przez nią metod. Mechaniczne działania nie wchodziły w grę. Więc co? Chemia? W tym nie czuła się pewnie, wolała nie ryzykować. Przez chwilę szukała w głowie rozwiązania. Nie przepadała za psychomanipulacją, jednak nie widziała innego wyjścia. Uderzy w zmysły, potem w godność, a na koniec zafunduje Zepsutemu symulację egzekucji. Powinno wystarczyć. Jeśli nie, znajdzie odpowiednie słowa, żeby Naprawa się powiodła. Nigdy nie używała gróźb – choć wielu Rozgrzeszonych chętnie je stosowało, zdaniem Em nie były zbyt skuteczne.

Wiele razy zdążyła się przekonać, że gwarancją sukcesu jest staranne przygotowanie. Wyszukała informacje o rodzinie skazanego. Nie było tego dużo, ale wystarczyło. Ważne, że Zepsuty miał kogoś bliskiego. Trafiała już na takich, którym na niczym i nikim nie zależało, więc słabo reagowali na manipulację. Dzisiejszy nie wyglądał na wymagający przypadek. Raczej standardowy: paskudne dzieciństwo i jeden sprzymierzeniec. Było jasne, że skazany zrobi dla tej osoby wszystko. Nic go też mocniej nie dotknie niż jej cierpienie. Trzeba tylko odszukać wizerunek, a następnie spreparować kilka filmów. Prosta robota. Wyciągnęła z kieszeni komunikator i wysłała wskazówki Obserwatorom. Za jakieś dziesięć, najdalej piętnaście minut powinna mieć gotowy materiał.

Usłyszała czyjeś kroki, podniosła wzrok – przed srebrnym blatem stał Es, nie wyglądał na zadowolonego.

– Mam robotę. – Spojrzała przepraszająco. – Dopadł mnie w ostatniej chwili. Wiesz, że nie mogłam odmówić.

– Czyli ze świętowania nici? – zapytał obcym głosem.

Czy takim właśnie posługiwał się przy Naprawach? Wolałaby, żeby nie mówił do niej jak do skazanych.

– Na to wygląda. Naprawa raczej niezbyt skomplikowana, ale będzie Transmisja. Wiesz, reklamy, opinie ekspertów, ocena publiczności, pewnie wywiad po wszystkim… Przed północą się stąd nie wyrwę.

– Taaa… Słyszałem, dali już zapowiedzi. Tłumy się szykują na Transmisję. Podobno pedofil?

– Pedofil – potwierdziła, bawiąc się jedną z błyszczących igieł.

– Tacy zawsze mają największą widownię. No i to twoja pierwsza Naprawa po Rozgrzeszeniu… Ludzie nie przepuszczą takiego spektaklu. Będą dziś czekać na twój błąd, Em; na dowód, że Rozgrzeszenie coś zmienia. – Wykrzywił usta w ironicznym grymasie.

– Nie pomagasz… Es, muszę się brać za robotę.

– Przepraszam. To na pewno będzie wspaniała Transmisja. Jestem z ciebie dumny. Wszyscy jesteśmy. – Uśmiechnął się szeroko. Miał piękny uśmiech; najpiękniejszy jaki widziała.

Zacisnęła zęby, kiedy igła nakłuła skórę. Ból był dobry, oddalał emocje, przynosił ulgę. Odprowadziła wzrokiem znikającą w ciemnym korytarzu sylwetkę Es, starła z dłoni kroplę krwi i zabrała się do pracy.

Miała plan, a to najważniejsze. Postanowiła przyjrzeć się Zepsutemu; w tym samym momencie usłyszała sygnał komunikatora. Odsunęła Akta i usiadła wygodniej. Spreparowane filmy były gotowe. „Scena gwałtu zbiorowego i oszpecenie" – głosił nagłówek wiadomości. Znakomicie. Coś takiego powinno zrobić na Zepsutym wrażenie. Obserwatorzy doskonale połączyli materiał ze zbrodnią. Miała nadzieję, że po Naprawie dewiantowi odechce się nie tylko krzywdzenia dzieci, ale seksu w ogóle. Właściwie była tego pewna. Ze swoich dotychczasowych stu ostatecznie musiała wyeliminować jedynie dwadzieścia trzy procent. Bardzo dobry wynik. Resztę morderców i gwałcicieli przywróciła społeczeństwu. Po sesji nie byli już tacy sami. Odradzali się. To lubiła w swojej pracy najbardziej. Właśnie

to nadawało jej działaniom głęboki sens. Gdyby lata temu ktoś poddał Naprawie ojca, być może znalazłaby się dla ich rodziny jakaś nadzieja.

Pomyślała o wszystkich dzieciach, które dziś uratuje przed potworem. Dobrze znała statystyki – ofiary pedofilii rzadko wychodziły na prostą. Część z nich prędzej czy później ze sobą kończyła. A nawet jeśli nie, nadawały się tylko do Ośrodka, Wojska lub Pałacu Eleonory. O ile los im sprzyjał. Zadaniem Em było chronić te niewinne istoty. Czuła dumę, że właśnie w taki sposób może służyć społeczeństwu.

Wyświetliła pierwszy z przygotowanych filmów. Nad stalową powierzchnią stołu pojawiła się drobna kobieca sylwetka. Dziewczyna stała tyłem do kamery, na głowę miała naciągnięty jaskrawoczerwony worek, a ręce skrępowane grubym sznurem. Sprytne – czerwień najlepiej działa na podświadomość. I doskonale, że na początku nie widać twarzy; element zaskoczenia zawsze przyśpieszał sprawę. Dzisiejsi Obserwatorzy byli prawdziwymi fachowcami.

Kobieta kuliła się w sobie, a z przeciwka nadciągała grupa podekscytowanych mężczyzn. Otoczyli ją, zaczęli szturchać i popychać. Ofiara nie wydawała najcichszego dźwięku. Zachowywała się bezwolnie, jakby nie miała ani odrobiny nadziei na ratunek. Albo jakby sądziła, że uległością powstrzyma oprawców. A mężczyźni wydawali się coraz bardziej podnieceni. Dwóch z nich zdarło z dziewczyny ubranie. Zaczęli ją bić, aż upadła. Było oczywiste, co się za chwilę stanie, Em nie musiała dłużej tego oglądać. Jeszcze raz pochwaliła w duchu Obserwatorów. Jak dobrze, że dziś trafiła właśnie na tych.

Przypomniała sobie poprzednią Naprawę z użyciem filmu. To, co wtedy dostała, było totalną fuszerką, dziecko nakręciłoby lepszy materiał. Nic dziwnego, że Naprawa się nie powiodła. Em miała pewność, że Zepsuty mógł wrócić do społeczeństwa – niestety dołączył do wyeliminowanych. Starała się nie obwiniać, jednak tamta porażka nadal bolała. Choć ktoś inny spartaczył robotę, nieudana Naprawa poszła na konto Em. Takie były zasady. Może nie do końca sprawiedliwe, lecz nie do niej należało dyskutowanie z mądrością Wysokich Urzędników. Na szczęście dzisiaj nie miała się czym martwić – chwała Najwyższemu Panu!

Ponownie skierowała wzrok na ekran. Patrzyła na nagie, szczupłe ciało, przytrzymywane przez czterech osiłków, rozciągnięte na betonie niczym zwierzę w ubojni. Nagle ktoś zdarł z głowy dziewczyny czerwony worek. Na podłodze rozsypały się jasne, poplamione krwią włosy. Em zerwała się od stołu. Salę Napraw wypełnił jej własny, płynący z głośników krzyk, który zlał się z łoskotem uderzających o stalową podłogę narzędzi.

Gorączkowo zaczęła przerzucać pliki. W panice wyświetliła formularz osobowy skazanego. Ze zdjęcia, które tak skrupulatnie ominęła, patrzyła na nią znajoma twarz. Wszystko inne też się zgadzało. Tylko imię miał zmienione: Tristan. Serce Em stanęło. Choć trwało to zaledwie kilka sekund, miała wrażenie, że całą wieczność wpatruje się w niewinne błękitne spojrzenie, tak podobne do własnego. Poczuła silny zawrót głowy i z trudem zdławiła rodzący się w gardle szloch.

To musi być pomyłka. Koszmarny błąd, nic więcej…

Ta myśl na chwilę ją uspokoiła. Zamknęła plik. Procedura zabrania przecież Naprawy osoby spokrewnionej.

Zabrania? Znów, jak podczas Ceremonii, miała w głowie przerażającą pustkę. Szukała w pamięci właściwego punktu. Bezskutecznie. Podjęła decyzję i gwałtownie uderzyła w przycisk przywołujący Prowadzącego. Na pewno wszystko da się wyjaśnić.

Kiedy trafiła do Ośrodka, jej brata zabrali do Pałacu Eleonory. Był ślicznym chłopcem, a bogate damy potrzebowały rozrywki. Tam mogły liczyć na zabawę najwyższej jakości. Em sporo słyszała o tym miejscu – nie same miłe opowieści, ale i tak uważała, że wszędzie jest lepiej niż w ich ruderze. Tom przecież nie narzekał, wyglądał na szczęśliwego. Jako ulubieniec Opiekunek miał wszystko, czego zapragnął. I dobrze, bo zawsze był kruchy jak porcelana – w Ośrodku długo by nie wytrzymał. Ona mogła nie jeść, nie spać, znosiła chłód i razy z podniesioną głową. Ale nie Tommy. Nawet siniaki na jego jasnej, gładkiej skórze trzymały się tygodniami. Od kiedy trafił do Pałacu, już ich nie miewał. Jej mały braciszek… nie mógłby zrobić czegoś podobnego – zawsze był dobry, dużo lepszy od niej. Sąd jednak nie miał wątpliwości…

A jeśli opowieści o Pałacu Eleonory nie są zmyślone? Jeśli plotki o perwersyjnych upodobaniach dam to prawda? Dobrze pamiętała historię sprzed lat, która zdarzyła się zaraz po tym, jak trafiła do Ośrodka. Starsi studenci rozpowiadali straszne rzeczy o ich pierwszym Opiekunie: że wbrew regulaminowi zaprasza uczniów do swojego pokoju, częstuje ich tajemnymi miksturami, a nawet wysyła dzieci do prywatnych rezydencji, gdzie znikają bez wieści. Wieczorami w dormitorium z wypiekami na twarzy przekazywali sobie przerażające historie o potwornościach, jakich dopuszcza się w swojej kwaterze. Każdy snuł własne domysły, ale co do jednego byli zgodni – nie działo się tam nic dobrego. Co prawda Em żadnych okrucieństw nie doświadczyła ani nawet nie widziała, założyła jednak, że w każdej plotce musi tkwić ziarno prawdy, więc na wszelki wypadek trzymała się z daleka. Wschodnia dzielnica i rodzinny dom nauczyły ją ostrożności.

Pewnego dnia, tuż przed Świętem Rozgrzeszonych, gruchnęła wieść, że ich Opiekun odszedł. Oficjalnie podano, że zapadł na zdrowiu. Podobno został odesłany na dłuższy wypoczynek do Wód Elizejskich w Górach Kryształowych, choć niektórzy twierdzili, że miejsce, do którego trafił, z Elizjum niewiele miało wspólnego. Po latach, kiedy zyskała dostęp do Akt, natrafiła na ślad tamtych wydarzeń – dowiedziała się, że został wyeliminowany po nieudanej Naprawie. Jeśli zdarzyło się to w Ośrodku, jednym z najlepiej strzeżonych miejsc, wśród wybranych, czemu nie miałoby się zdarzyć w Pałacu Eleonory?

Obrona twierdziła, że jej brat nie chciał nikogo skrzywdzić, że został zmuszony. Skoro tak – nie on powinien zapłacić. To nie Tommy potrzebuje Naprawy. Grunt usunął jej się spod nóg, opadła ciężko na krzesło.

– Wiedziałeś o tym? Wiedziałeś?! – wrzasnęła na widok Prowadzącego.

– Co z twoimi emocjami? – Zmierzył ją surowym wzrokiem. – Najlepsza studentka, która kiedykolwiek szkoliła się w Ośrodku i takie zachowanie? To się nie godzi.

– Nie możecie… nie wolno wam… ja nie mogę… – bełkotała.

Nie zrobi tego. Nie ma mowy. Ale wtedy wszystkie lata poświęcone służbie pójdą na marne. Odmowa wykonania zadania oznaczała jedno:

wykluczenie z grona Rozgrzeszonych. Naznaczą ją i wyrzucą. Dokąd pójdzie? Nikt, kto kiedyś był Rozgrzeszonym, nie może czuć się bezpiecznie wśród zwyczajnych ludzi. Ci, którzy ją teraz uwielbiają, będą chcieli zabić.

– Em, rozczarowujesz mnie. – Usłyszała lodowaty głos Prowadzącego. – Zapanuj nad sobą. Nie wolno ci wybierać zadań, dobrze o tym wiesz.

– Ja i Tommy… To nie jest przypadek? – W końcu zrozumiała.

– Nie jest – potwierdził. – Rozgrzeszeni stanowią elitę społeczeństwa, podporę naszego systemu. To zawód publicznego zaufania, nie możemy sobie pozwolić na pomyłki. Zanim wydamy ci licencję, musimy mieć absolutną pewność, że podołasz. Że nigdy, w żadnym wypadku, nie będziesz odbierać swojej pracy zbyt… osobiście.

Bezwiednie zacisnęła dłonie, boleśnie wbijając paznokcie w ciało. Mężczyzna wzniósł rękę ponad głową i wyrecytował:

– A pięść moja niech będzie jak kamień. Twarda, zimna, nieustępliwa. I niech się nie waha. Jestem częścią całości… Czy emocje przesłoniły ci przysięgę, którą złożyłaś w obecności Urzędników raptem godzinę temu? Tyle warte są twoje słowa?

Pochyliła głowę, rozprostowała palce i dotknęła opuszkami gładkiego, zimnego stołu do Napraw. Nie da rady tego zrobić. Nie podoła.

– Tom został skazany prawomocnym wyrokiem. Chyba nie podważasz decyzji Sądu? Jeśli nie ty, ktoś i tak dokona Naprawy twojego brata. – Zrobił pauzę, jednak ona wciąż milczała. – Skoro rezygnujesz… oddaj Akta i możesz iść. To twój wybór. Jesteś wolna.

Wskazał ciemny korytarz. Zapadła przerażająca cisza, ale Em nawet nie drgnęła.

– Pamiętaj też, że jeśli zdecydujesz się wykonać zadanie – kontynuował – zostaniesz z niego rozliczona. Jak głosi Dokument: „W przypadku, gdy Najwyższy Urząd uzna, że Rozgrzeszony nie podchodzi do zadania z należytą starannością lub działa z celowym zamiarem oszczędzenia cierpienia skazanemu, w tym: unika stosowania ciężkich tortur lub odmawia eliminacji skazanego, podlega karze…".

– Naprawy – wyszeptała i opuściła głowę jeszcze niżej.

Wiedziała, co jest słuszne, co musi zrobić. W wypolerowanym blacie zobaczyła swoje odbicie. Odwróciła wzrok. Nie chciała na siebie patrzeć.

Jaka z niej Rozgrzeszona, jeśli ośmiela się podważać sprawiedliwe wyroki Sądu, wątpić w mądrość Najwyższego Urzędu? Nie może się poddać. Nie teraz. Musi postąpić jak należy. Podniosła z podłogi futerał, wyjęła maskę i dokładnie obejrzała srebrzystą powierzchnię. Upadek na szczęście jej nie uszkodził. Tommy nie będzie wiedział, kto mu to zrobił. Ona, Em, weźmie na siebie całe zło i cierpienie. Jak zawsze. Jak przystało na starszą siostrę.

Otworzyła Akta i podniosła wzrok na Prowadzącego. Z jej jasnych oczu zniknęła rozpacz – wrócił surowy spokój arktycznej pustyni. Starzec skinął głową z aprobatą, bez słowa nakreślił w powietrzu znak błogosławieństwa i zostawił Em samą. Usiadła przy stole, by wydać nowe dyspozycje Obserwatorom. To prawda, dostała znakomity film, ale nie miała przecież do czynienia ze zwyczajną Naprawą. Dziś potrzebowała czegoś naprawdę wyjątkowego – więcej bólu, krzyku, więcej krwi. Znała Tommy'ego. Kiedyś. Jednak dorósł i od lat żył w Pałacu, z dala od niej. Jaki teraz był? Kim był? Nie miała pewności. A ta Naprawa musiała się powieść.

Technicy krzątali się, przygotowując sprzęt do Transmisji; powoli zaczęli się też schodzić akredytowani dziennikarze. W Sali Napraw zrobiło się głośno jak na targowisku. Em bez trudu odcięła zmysły od gwaru i wróciła do przygotowań. Szybko uporządkowała rozrzucone wcześniej narzędzia. Nowy film był dokładnie taki, o jaki jej chodziło – Obserwatorzy znów bezbłędnie wykonali zadanie. Oczywiście, w czasie Transmisji go nie pokażą. Preparowanie materiału to jedna z tajemnic Naprawy. Zostało kilkanaście minut. Usiadła na krześle i zaczęła cicho odmawiać modlitwę.

– Panie, który jesteś źródłem wszelkiego dobra i zła, pomóż mi oczyścić umysł, gdyż jestem tylko narzędziem w Twoich rękach – wyszeptała na koniec.

Była gotowa.

– Test kamer! – Usłyszała komendę, a zaraz potem głuchy trzask przełącznika. Oślepiona ostrym światłem, na kilka sekund zacisnęła powieki.

– Raz… dwa… trzy… Kamera jeden na Rozgrzeszoną – nakazał ten sam męski głos. Skierowała twarz w stronę pulsującej czerwonej diody. Obiektyw zaszumiał i precyzyjnie wycelował w Em szklane oko.

Nie potrzebowała już maski. Wreszcie była rozgrzeszona. Wreszcie była martwa.

AJAS 22.9.5.12.11.9

Jacek Łukawski

Alarm dzwoni w uszach. Rura wyślizguje się z gardła i znika w suficie. Kilka błyszczących kropel spada na dłonie. Nie lubię tego i pewnie nigdy nie lubiłem. Nie pamiętam.

Nad pochylnią zjazdową żarzy się lampa. „AJAS 22.9.5.12.11.9" – napisano pod nią żółtą farbą. Najwidoczniej dawno, bo łuszczy się miejscami. To moje imię – tak sądzę, bo to samo napisano na włazie tanku, do którego się zsuwam, zostawiając za sobą wibrujący brzęczyk i lampę.

Turbiny wystartowały automatycznie. Kadłub drży. Obudowa konsolety rezonuje. Opadam na fotel i kładę dłonie na wytartych drążkach sterowych. Jak zawsze myślę sobie, że powinni wymienić mi tanka na nowszy. Może wymienią… A może już zapomnieli?

Zielone światło. Ruszam.

Lubię chrzęst gąsienic. Lubię ich niszczycielską siłę. Czasem ustawiam kamery tak, by widzieć, jak gruchoczą bruk. Cegły. Dziecięcy rower. Porcelanową filiżankę. Książki. Na pewno często tak robię. Tak, jestem tego pewny.

Wytaczam się z bezpiecznej strefy wprost w gąszcz ruin. Ekran jeszcze nie ożył – wciąż brak rozkazów. Radar pokazuje tylko jeden obiekt. Widzę go też w kamerze. Jestem czujny.

OD23SE 21.19.24 – stary druh. Musiał ruszyć w tym samym czasie, co ja. Podziwiam lśniącą skorupę jego maszyny, z której niedokładnie zmyto

dawny kod. Teraz myślę o tym, jak gdybym cały czas pamiętał, ale nie, nie pamiętałem. ACHI 12.5.19 dostał poniżej pancerza reaktywnego. Zdarza się. Znaleźliśmy go w sektorze T, gdzie operowały ADM-y. Na pewno to one. Poczciwy ACHI, miał hangar obok mnie. Widziałem go za każdym razem. Chyba lubiłem. Niedawno wymielili mu tanka. Potem ściągaliśmy wraz z OD23 jego nieruchomy, milczący pojazd. Chyba miałem nadzieję, że mi go dadzą, ale dali OD23. Szczęściarz.

Wysyłam mu powitanie. Odpowiada. Zanurzamy się w gąszcz ruin, każdy swoją drogą. Widzę go już tylko na radarze. Zapominam do kolejnego razu. Mam cel.

Rozkazów nadal brak. Cel porusza się wąskim przesmykiem między gruzami. Wyciszam turbinę. Zbliżam się. Taśma HT załadowana. Namiar 40. Sensory ustawione. Zwykła grupa. Ludzie. Czekam na rozpoznanie. Namiar 30. Ożywiona dyskusja. Komunikat – do decyzji operatora. Namiar 20. Potwierdzam. Naciskam spust. HT pluje ogniem. W celu. W celu. W celu. Wystarczy. Zwiększam obroty, nim zdołają odpowiedzieć. To dobry początek.

Sektor FO – kiedyś go lubiłem, ale opustoszał. Ledwie kilka krzywych chat ulepionych na gruzach misternych budowli. Trudno. Miotacz szumi, rzygając ognistym wytryskiem. Zamokłe rudery nie chcą płonąć. Nikogo w nich nie ma. Albo boją się wyjść.

Jadę dalej.

Jestem AJAS, operator tanka TE-ER. Budzą mnie po to, abym usiadł za sterami. Abym szukał celu i atakował. Nic więcej.

Alarm dzwoni w uszach. Rura wyślizguje się z gardła i znika w suficie. Nie lubię tego. Nad pochylnią zjazdową żarzy się lampa. Zsuwam się wprost w szumiącą cicho, opancerzoną czeluść.

Zieleń pulpitu wciska się w świadomość. Trzymam trajektorię podejścia. Radar pokazuje ADM-y. Kołują czujnie, wiedzą, że się zbliżamy. My, TE-ER-y, przeciw nim.

Opanowali część sektora i stawiają nowe konstrukcje. Nawet zza muru widzę, jak szybko im idzie. Za szybko. Pełznę wzdłuż ściany, szukając słabego miejsca, przez które przebiję się pancernym cielskiem tanka. Pierwsze strzały. Odległe i stłumione. Zaraz moja kolej.

Metaliczny zgrzyt. Wstrząsy. Dym przeciska się przez szczelinę w łączeniu wieży. Słyszę, jak opadają łuski, jak automat wyje przy każdym przeładowaniu. Dziwne, że zwracam na to uwagę. A może nie? Może zawsze to robię?

Palec ślizga się na spuście. Jeden ADM staje w płomieniach. Kolejne dwa blokują przejazd. Walą we mnie. Trzęsący się ekran pluje zielenią. Wycofać się! Wstrząs, zgrzyt mechanizmu. Popycham wolanty do oporu, słyszę, jak trzeszczą. Turbina świszczy. Maszyna drży, ale chybotliwie rusza do tyłu. Kolejne uderzenie resetuje systemy. Awaryjny generator startuje z opóźnieniem. Po pancerzu stukają HT. Automat w wieży zamilkł. Turbina na biegu jałowym. System nie może się włączyć. Czy tak samo czuł się ACHI? Coś drapie z tyłu. Szarpnięcie. Ktoś wyciąga mnie z tego piekła.

Alarm dzwoni w uszach. Patrzę, jak oślizgła rura znika w suficie. Czuję gorzki smak, który zostawiła. No i chłód. Dziwne.

Blade światło lampy oświetla żółty napis – AJAS 22.9.5.12.11.9. Poniżej zieje otwór, po którym muszę się ześlizgnąć wprost do włazu, ale… dziwnie się czuję. Lampa, napis, otwór, rura i alarm. Moje dłonie. Widzę je pierwszy raz czy może widziałem już wcześniej? Co to za miejsce? Odwracam się. Odrapana ściana i zardzewiały właz. Żadnej klamki, uchwytu, nic. Czy kiedyś to już widziałem? Tak, chyba tak.

Drżę jak mój tank, ale wciąż jestem w pokoju. Nie rozumiem. Alarm wibruje, sprawiając mi ból. Na ścianie przy drzwiach ktoś wyrył cztery przekreślone kreski, krzywe, nierówne. Obok kolejne i jeszcze koślawe litery – ACHI 12.5.19 wie. Co to znaczy? Lampa rozpala się czerwienią. Ryczy syrena. Muszę iść.

Rozkaz o ponowieniu ataku. Tym razem mam się trzymać z tyłu, oszczędzać uszkodzony pojazd. Czy w końcu mi go wymienią? Źle się czuję. Gąsienice zgrzytają po bruku. Pełznę na stanowisko. Cele do decyzji operatora. Ignoruję. Turbina nie brzmi jak zazwyczaj. Głowa mi pęka. Sięgam do niej. Dziwne uczucie. To moja głowa? Twarz? Rozglądam się po wnętrzu, jak gdybym widział je pierwszy raz. Nie ma tu nic, w czym mógłbym się przejrzeć. Nawet ekran jest matowy. Czemu o tym pomyślałem, czemu chcę? Dziwne…

Alarm dzwoni w uszach. Rura szarpnęła, czuję ból. Niepotrzebnie się ruszyłem. Gdzie jestem? Przed chwilą zaciskałem dłonie na drążkach sterowych, naciskałem spust, a HT pluły do celu. Wciąż czuję pod palcami mrowienie, ale jestem tu. ACHI – myślę o nim, ale jego już nie ma. Boli mnie głowa i nie wiem, co się dzieje. Chłód? Smutek? Strach? Co to jest? Rozglądam się, ale nie ma nic, w czym mógłbym się przejrzeć. Chciałbym zobaczyć swoją twarz. Zardzewiałe drzwi i kreski obok. Nie wiem, co oznaczają, ale ACHI wie… Zaskoczyła mnie ta myśl. To wspomnienie? Lampa rozpala pomieszczenie czerwienią jak krzykiem: operator na stanowisko!

Nie chcę iść. Czuję chłód, jestem nagi. Syrena wyje. Zaciskam zęby i skaczę do pochylni.

Brak rozkazów. Standardowa procedura: objazd sektorów po trajektorii kodowej. Powinienem sprawdzić zapis i kontynuować od miejsca, gdzie dotarłem poprzednio, ale system szwankuje. Błąd odczytu. Brak danych. Kiedy naprawią ten cholerny tank?

Gąsienice kruszą gruz, gdy wynurzam się z hangaru. Obiekt na radarze. Widzę go też na ekranach. OD23SE 21.19.24 – stary druh. Wysyłam powitanie. Brak odpowiedzi. Lufa jego maszyny kieruje się w moją stronę. Awaryjny brzęczyk. OD23, co robisz? Wstrząs. Turbina wyje z maksymalną mocą, pchając mój tank w szczerby ruin. Dłonie drętwieją na drążkach sterowych. Czuję krople spływające z czoła. Zgrzyt rykoszetu.

Ból w piersi, drżenie. Czy to serce mi wali? Wsteczna kamera drży zasypywana odłamkami gruzu. Udało się! Teraz dalej, nim potoczy się moim śladem. Zanurzam się w labirynt sektora.

Czemu OD23 strzelał? Został przejęty przez ADM-y? Nie wyglądał na uszkodzony. Mam mętlik w głowie i czuję dziwną słabość. Procedura? Sprawdzić uszkodzenia. Czemu nie zrobiłem tego po ostrzale ADM-ów? Wiem: ściągnięto mnie i tank powinien zostać naprawiony, ale tak się nie stało. Zatrzymuję się w bezpiecznym miejscu. Radar milczy. Uruchamiam sekwencję testową. Turbina przechodzi w bieg jałowy, wnętrze pogrąża się w mroku. Czekam.

Wydaje mi się, że słyszę obcy głos w ciemności. To wspomnienie, które wypływa z pamięci komputera. A może to ja śnię? Nie, nigdy nie śniłem, choć chyba wiem, jak to wygląda. Nowy pojazd ACHI-ego pełznie przede mną. Prowadzi do sektora. Widzę na ekranie jego kraty wentylacyjne i kurz unoszący się spod gąsienic. Nagle trzeszczy głośnik, wypełnia moją kabinę zniekształconym głosem. Nie suchym piskiem – głosem. To był ACHI. Powiedział, że wie. Nic więcej.

Ekrany zaczynają migotać. Radar kreśli puste okręgi. Turbina szumi. System wypluwa wyniki. Uszkodzenia: 53%. Napęd wieży: offline. Mechanizm przeładowania: offline. Celowniki: offline. System podtrzymania operatora: offline. Zasilanie DO: offline. Baterie DO: 0%. Powiązane z nimi moduły łączności i marker: offline. Reszta, pozwalająca ledwie się toczyć: online. Próbuję zrozumieć, co się stało. Ostrzał ADM-ów uszkodził część systemów i generator ładujący akumulatory DO. Marker i łączność działały do ich wyczerpania, dlatego OD23 mnie nie rozpoznał i nie naprawiono maszyny.

System podtrzymywania operatora to niewielka skrzynka przy radarze. Lubiłem jej kojący szum i bardzo mi go teraz brakuje. To dlatego tak dziwnie się czuję. Wciąż o tym myślę.

Słyszę syk, coś ulatnia się z kratki ponad moją głową.

Budzę się. Rura znika w suficie. Fotel skrzypi, gdy wstaję. Patrzę na spękaną, wytartą tapicerkę. Byłem w tanku, teraz jestem tu. Co się stało? Drżę z zimna lub ze strachu. Lampa nad pochylnią pali się słabo. Widzę wyraźnie spiralny drut zamknięty w jej szklanym wnętrzu, niczym w wiecznej pułapce. Wściekły alarm wypełnia pomieszczenie. Zsuwam się po pochylni.

Wnętrze jest już przyjemnie rozgrzane. Patrzę na kratkę ponad głową. Chciałbym ją zatkać, choć nie mam czym. Kładę dłonie na drążkach sterowych, ale nie ruszam. Turbina szumi, a ja nie wiem, co robić. Jeśli wyjadę teraz, OD23 znów będzie do mnie strzelał. Mogę wyjechać później, gdy ruszy w głąb sektora, ale po co? Inne tanki TE-ER też uznają mnie za wroga. ADM-y? Nie wiem. Uzbrojenie jest offline. Mogliby naprawić tego cholernego tanka! Patrzę na martwy ekran. „Słyszycie? Naprawcie go!" – mój głos brzmi tak obco. Czemu? – nie wiem, ale… ACHI wie. Tak, ACHI wie!

Popycham drążki do oporu. Machina szarpie i rusza z chrzęstem. Wynurzam się z hangaru, wpatrując się z niepokojem w radar. Pusto. Skręcam ostro w bok i próbuję uruchomić kamery na burtach. Bez skutku. Sięgam ręką do zawleczki. Peryskop zsuwa się ze zgrzytem. Przez zabrudzone szkła śledzę betonową ścianę i kolejne otwory ziejące pustką. Pot spływa mi po czole. Okular paruje, drga. Jest! Ledwo widoczny napis nad jednym z hangarów: ACHI 12.5.19. Wprowadzam tanka w mroczny tunel. Reflektory oświetlają spękaną ścianę i rękaw pochylni. Uruchamiam sekwencję testową, by mieć pewność, że tank nie odjedzie beze mnie. Teraz mam trochę czasu.

Śmierdzi, jest zimno. Stalową pochyłość zjeżdżalni pokrył kurz i pył. Brnę w górę. To trudniejsze, niż myślałem.

W pomieszczeniu panuje zaduch. Światło lampy mruga nieznośnie. W nim widzę sparciały fotel, oblepiony burym szlamem, w którym pełzają tłuste larwy. Krople brei skapują z zawieszonej pod sklepieniem rury. Zasłaniam usta. Z trudem powstrzymuję wymioty. Na ścianie za fotelem ktoś wyskrobał kreski, takie same jak u mnie. Co to znaczy?

Powinienem już iść, ale nie chcę uwierzyć, że wdrapałem się tu na marne. Nie, na pewno nie. Rozglądam się po raz kolejny. W szczelinie między cegłami coś jest.

Zwitek papieru, a na nim mapa sektorów.

Dziwne, nigdy nie myślałem o nich w ten sposób, a teraz widzę, jak bardzo są od siebie zależne. Tworzą skomplikowaną, wielopoziomową strukturę podzieloną granicami: 12.1.15, 22.1.15, 15.5.20, a w centralnym miejscu… Słyszę z dołu narastający szum. Tank zakończył sekwencję testową. Muszę iść, nim systemy zarejestrują dysfunkcję operatora i odjedzie. Prędko!

W ostatniej chwili wślizguję się do pojazdu, wprost w kłęby słodkiego gazu. Czuję jeszcze, jak tank rusza do tyłu, a potem…

Alarm dzwoni w uszach. Rura wyślizguje się z gardła i znika w suficie. Kilka błyszczących kropel spada na moje dłonie. Gdzie mapa? Nie ma! Zrywam się z fotela. Pewnie została w maszynie! Chcę już zjeżdżać pochylnią, ale nagła myśl każe mi się cofnąć. Drapię paznokciami oparcie. Wbijam palce pod sparciałą skórę, zrywam ją, wydłubując z wnętrza gąbkę. Brzęczyk ponagla. Zsuwam się do tanka. Mapa leży na podłodze. Mam szczęście.

W centrum sektorów znajduje się Macierz. Tak myślę, bo kształtem przypomina symbol, który wytrawiono na tabliczce pod konsoletą. Muszę tam dotrzeć i naprawić tank, inaczej już na zawsze zostanę… No właśnie, kim? Operatorem bez markera?

Nie, zostanę nikim.

Wpycham gąbkę w otwory ponad głową. Wiem, jak to działa. Gdy zapadam w sen, tank uruchamia autopilota i ściąga mnie do hangaru. Nie mogę na to pozwolić. Muszę dotrzeć do Macierzy. Naprawię pojazd albo zginę, próbując. Dziwne, wcale się tego nie boję.

Popycham wolanty do oporu. Stalowe cielsko wynurza się z czeluści hangaru i prze ku cieniom ruin. OD23 i dalej na lewo kolejny TE-ER. Oba obracają się w moją stronę. Słyszę, jak szczekają HT. Pociski rykoszetują coraz bliżej. Wystrzelą z dział? Nie, nie zdążyły!

Kluczę między zgliszczami, unikając otwartej przestrzeni. Zbliżam się do granicy sektora FO. Radar pokazuje samotnego ADM-a. Jest za

daleko, by mógł mnie powstrzymać. Gąsienice z łatwością niszczą zasieki, pozwalając, bym zanurzył się w otchłań gruzów. Widzę, że ktoś próbował odbudować część osiedla, lecz na nic się to zdało. Rachityczne konstrukcje chylą się ku sobie. Na głównym placu snuje się kilka cieni zbitych w niemrawą grupę. Takie cele były zawsze do decyzji operatora. Lubiłem w nie walić na rozgrzewkę, a teraz… Teraz zastanawiam się po co. Potężna maszyna zgrzyta gąsienicami, a oni nawet nie unoszą głów. Nie patrzą na mnie. Nie uciekają, choć przecież nie wiedzą, że nie mogę strzelać. Czy można nie bać się HT? Czy oni są szaleni? Czy zwyczajnie pogodzeni z własnym losem? Czy zawsze tak było? Nie wiem, zawsze strzelałem. Teraz nie mogę i chyba nie chciałbym, nawet gdybym mógł. Dziwne.

Mijam kolejne sektory. Cmentarzyska, wśród których toczyliśmy niegdyś wielkie boje. My – dumne jednostki TE-ER. Nie! Dumni oni, bo ja bez markera jestem nikim.

Znów boli mnie głowa.

Tank drży, przewalając się przez rów i ciągnąc za sobą kolczaste druty. Uderza w mur i staje, buksując nieporadnie. Konsoleta trzeszczy. Wycofuję się i ruszam znowu. Machina zgrzyta, krusząc ścianę. Przekrzywia się na bok, zawisa. Wyje, lecz w końcu zsuwa się ze skarpy, ryjąc krótko przystrzyżony trawnik. Staje.

Radar wypełnia kabinę zieloną łuną. Sięgam po rączkę peryskopu. Stoję na ogromnym, jasnym placu, po którym przechadzają się ludzie. Za ich plecami już wyrastają lśniące kadłuby ADM-ów. Wyobrażam sobie, jak dziwny musi wydawać się mój stary, brudny tank wśród otaczającej go czystości, jakiej nigdy nie widziałem i nie potrafię pojąć. Patrzę, jak tłum rozstępuje się, przepuszczając żelazne giganty, jak sprawnie zamyka się za nimi. Oni się nie boją, nie próbują uciekać, ufają, że ich ochronią. Mają rację.

Odruchowo naciskam na spust. Klik, klik, klik – język kłapie bezsilnie. Martwe lufy mierzą w niebo. A więc to koniec, jestem bez szans. Nie

dałbym im rady, nawet gdyby mój tank był w pełni sprawny, nawet gdyby pluł, rozpalając karabiny do czerwoności. Jest ich zbyt wielu.

Kierują ku mnie swoje działa, okrążają wolno, lecz nie strzelają. Czemu? Nie rozumiem. Przesuwają się przed okularem peryskopu. Pierwszy, trzeci, szósty… Czemu to robią? Nie wiem.

Ludzie powoli odwracają się od nas, ruszając w swoją stronę. Nie rozumiem, co się dzieje i dlaczego. Żałuję, że nie mogę ich o to spytać, że nie mogę opuścić machiny. Automatyczne blokady działają zawsze w pobliżu celu. Mogę więc tylko tkwić we wnętrzu maszyny lub ruszyć dalej. Czy na to czekają? Chcę się przekonać.

Powoli popycham drążki sterowe. Świst turbiny i pot na skroniach. Skrzypienie amortyzatorów, kadłub rusza wolno. Zamieram gotowy na huk i ból, lecz ADM-y rozstępują się, pozwalając, bym potoczył się przez plac.

W drżącym, zakurzonym okularze peryskopu widzę, jak sprawnie czyszczą ślady, które zostawiam, jak wyrównują zniszczony trawnik i łatają mur. Towarzyszą mi, gdy zanurzam się w gąszcz jasnych ulic. Asystują aż do bramy, przez którą wyjeżdżam.

Szerokimi autostradami mkną świetliste pojazdy, pokonując w okamgnieniu granice sektorów. Widzę to ze szczytu wzniesienia.

Dwoją się i troją, wszystko się rozrasta, pęcznieje, piętrzy, wygładza lub miesza w pozornym nieładzie. Rosną dziwne konstrukcje, fantazyjne wieże, budynki, struktury, a pomiędzy nimi rozlewają się gwarne place, ciągną ruchliwe drogi. Granice powstają i kurczą się. Znikają jedne, rodzą się nowe. Ciągły ruch, ciągła zmiana, tworzone przez tłumy ledwie widocznych z daleka postaci. Nigdzie nie ma żadnych tanków ani niczego, co kiedykolwiek widziałem. Nie mogę pojąć, czym jest to ciągłe szaleństwo? Czym i gdzie? Szukam mapy. Musi tu gdzieś leżeć.

Trzymam papier w dłoniach. Czuję jego chropowatą fakturę. Widzę tłuste plamy i chaotyczne bazgroły. Już niedaleko do Macierzy, lecz nie

jestem pewien, czy powinienem tam dotrzeć. Nie rozumiem czemu, ale tak bardzo przeszkadza mi każda plama, brud i rdza, jakie wypełniają wnętrze mojego tanka. Przetarte drążki sterowe, które lepią się do palców. Dłonie śmierdzące stęchlizną. Kwaśny smak w ustach. Boli mnie głowa. Boli pierś i brzuch. Myślę, że może powinienem odetkać kratę ponad głową. Zasnąć i obudzić się znów w hangarze. Sięgam dłonią, lecz nie potrafię się na to zdobyć. Dziwne.

Popycham ster do przodu. Tank pełznie w dół zbocza, wprost w świetliste twory tańczące przed okularem peryskopu. Nie, nie mogę już na to patrzeć. Odwracam wzrok i brnę na ślepo, gotów zdać się na łaskę tej dziwnej kreacji i istot, które ją tworzą. Jestem AJAS, operator tanka TE-ER i nikt nigdy nie mówił mi, że coś takiego może istnieć.

Turbina szumi miarowo, a tank miękko sunie przed siebie. Wyobrażam sobie, że wkoło mnie rozstępują się świetliste struktury. Wyrastają po obu burtach, łączą się ponad wieżą i pną wyżej, opadają tuż przed moimi gąsienicami i podnoszą się, zamykając tuż za mną. Wiją się i kształtują wolą swych budowniczych, którzy muszą być wszędzie. Przede mną i po bokach. Pod i nad. A może i oni są tylko tworem świetlistej materii. Ułudą, która wydała mi się ludźmi? Ta myśl mnie przeraża, sprawia, że boję się sięgnąć po rączkę peryskopu. Drżę ze strachu.

Wstrząs wyrywa mnie z odrętwienia. Gąsienice zgrzytają po nierównościach. Usnąłem! Usnąłem i TE-ER przełączył się w tryb automatyczny. Wraca do hangaru. Zablokowany ekran pulsuje, wolanty poruszają się bez oporu, gdy szarpię nimi w bezsilnej złości. Byłem tak daleko! Zrywam się z fotela, skaczę do włazu. Zablokowany – nie wydostanę się na zewnątrz. Z powrotem opadam na siedzisko. Amortyzatory syczą cicho. Czuję wstyd. Jestem… Właśnie, kim jestem? Głupcem?

Tak, głupcem. To dziwne słowo pojawiło się w mojej głowie tak nagle. Nie wiem skąd.

Na ekranie krótka trajektoria podejścia, jakiej nie znam. Dziwi mnie to, bo jestem pewien, że zamknąłem oczy tylko na chwilę. Jak bardzo mogłem się cofnąć?

Obracam okular peryskopu. Nigdzie nie ma śladu po miastach, które wyrastały z białej materii, ani pojazdach mknących przez kształtujące się struktury. Nie ma nic, co już widziałem. Brnę teraz przez zielony bezkres, pocięty srebrnymi ścieżkami i wynurzającymi się spomiędzy nich stożkami. Mrok zaburzają wątłe impulsy pędzące po tych dziwnych drogach, na których trzęsie się mój tank. Rozumiem! Śmieję się chrapliwie, speszony echem własnego głosu. Tank automatycznie prowadzi mnie do Macierzy!

Mechaniczna łapa wyciągnęła mnie z tanka. Przesunęła pod skaner, a gdy zapaliło się zielone światło, uniosła do rury, która wypełniła mój żołądek szarą pulpą. Nie wiedziałem, że czuję głód, dopóki nie minął. Łapa opuściła mnie, postawiła w jakimś korytarzu i zniknęła w mroku. Od tamtej pory błąkam się bez celu.

Macierz ma wiele poziomów, przez które prowadzą wąskie, puste tunele. Jedyne drzwi zostawiłem daleko w tyle. Prowadziły do hangaru, gdzie stoi mój pojazd. Innych nie ma albo jeszcze ich nie odnalazłem. Są za to okna. Długie, pancerne szyby, odgradzające korytarz od pomieszczeń i hal. Zaglądam przez nie, nie rozumiejąc, na co patrzę.

Impulsy generowane przez dziwne maszyny transportowane były wysoko zawieszonymi liniami ku wielkim lejom w ścianach. Gdzie indziej dziesiątki niewyraźnych postaci obserwują uważnie procesy, jakie zachodzą w ogromnych kadziach. Półprzezroczyste transmisje wyświetlano na wielkich ekranach, od których biegną tysiące kabli. Bezbarwne głowy schną zawieszone nad leniwymi wiatrakami. Gdzie indziej suszą się dłonie. Za kolejną szybą panuje nieprzenikniony mrok. Choć jestem pewien, że coś wewnątrz się porusza. Idę dalej, by ujrzeć białą strukturę złożoną z dziwnych kształtów, które już mijałem. Czy stworzono je z tej materii?

Czy ona powstaje właśnie tutaj? Niewykończone elementy tanków lśnią metalicznie, oświetlane iskrami rozgrzanych spawarek. Przesuwają się wolno, by zniknąć w czeluści. Dalej suną nieuzbrojone wieże.

Po drugiej stronie korytarza panuje ruch. Postaci ubrane w kombinezony wyciągają ludzkie ciała z rozmiękłych kokonów i układają je na taśmie. Widzę, jak świeżo wyjęci poruszają się niemrawo i czuję ucisk w gardle. Czy ja też tak leżałem?

Mgła mojego oddechu osadza się na szybie. Przesuwam się w bok, by lepiej widzieć. Ciała są obmywane, następnie znikają w kłębach dymu. Biegnę do kolejnego okna, za którym widzę, jak wielkie soczewki opuszczają się nad każdym człowiekiem, a tajemniczy obserwatorzy przyglądają im się badawczo, kierując na jedną z trzech nowych taśm. Trzęsę się, patrząc na to, bo wydaje mi się, że tam byłem, że pamiętam tę soczewkę opuszczającą się tuż nad moją głową.

Większość rusza dalej środkowym torem. Układa się je delikatnie, z wyczuciem. Ci, u których wyraźnie widać niedoskonałości, przerzucani są brutalnie na dolną taśmę. Wyjątkowe okazy układa się na górnej, ale tych nie ma prawie wcale. Idę dalej.

Serce wali mi w piersi. Brama, za którą znika dolny tor, oznaczona jest wyraźnymi literami TE-ER. Nie patrzę już na pozostałe. Chcę wiedzieć, co się za nią kryje. Muszę wiedzieć!

To pierwsze rozwidlenie, jakie tu spotkałem. Korytarz rozdziela się na trzy odnogi. Z jednej z nich wydobywa się charakterystyczny zapach. Pamiętam go i wiem, że muszę tam iść. To jest jak sen. Jak gdyby nagle wracały strzępy wspomnień, które niosą z sobą dziwny chłód.

Ogromny zbiornik wypełniony cuchnącą mazią z pękającymi, śmierdzącymi bąblami na powierzchni, w której unoszą się setki śmieci, gnijących odpadków i ciała zrzucane z taśmy. Niektóre od razu idą na dno. Kolejne wynurzają się i walczą przez chwilę lub dwie, by w końcu znieruchomieć, gdy tłusta breja wypełni ich usta i nosy. Ale są i tacy, co wytrzymują dłużej. Młócą kończynami, połykają szlam, walczą o każdy śmierdzący haust. Przedzierają się byle dalej od tych, którzy toną, którzy mogą wciągnąć ich pod powierzchnię. Żelazne łapy sięgają właśnie po

te ciała – najsprawniejsze ludzkie odpady. Unoszą je w górę, wprost na podest, z którego wpychane są wąskim włazem w czeluść tanka. Syk i sznur kadłubów przesuwa się. Kolejny wyciągnięty z szamba zostaje wciśnięty do kabiny. Kolejny i kolejny, bez końca.

Czuję, jak uginają się pode mną nogi. Pamiętam ten smród i smak brei. Taki sam wtłaczała we mnie rura spod sufitu. Byłem tu, młóciłem rękami, by utrzymać się na powierzchni i po mnie też sięgnęło ramię. Tak powstają operatorzy TE-ER? Cień zawisa nad moją głową. Czuję oślizgły chłód stali.

– Nie! – krzyczę, gdy łapa unosi mnie w górę wprost na podest. Szarpię się, próbuję wyrwać. Bezskutecznie. Zostaję wepchnięty wprost do kabiny. Zgrzyta zamykany właz. Rzucam się do niego. Chwytam za rączki blokady, ale opadam bez sił.

Słodki smak w ustach i cichy syk z kratki ponad fotelem operatora.

Alarm dzwoni w uszach. Rura wyślizguje się z gardła i znika w suficie. Kilka błyszczących kropel spada na dłonie. Nie lubię tego i pewnie nigdy nie lubiłem. Nie pamiętam.

Nad pochylnią zjazdową żarzy się lampa. Zsuwam się wprost do pachnącej nowością maszyny. System podtrzymania szumi kojąco.

Kładę dłonie na drążkach sterowych i ruszam ostro w blask dnia. Nieopodal widzę OD23. Wysyłam mu powitanie, odpowiada. Stary druh.

Ekran wypluwa rozkazy. Podejście do sektora NFO, by rozbić grupę ADM-ów. Mam prowadzić naszą dwójkę, aż dołączymy do reszty grupy. Cieszę się, bo chcę, żeby OD23 zazdrościł mi nowego tanka. Ruszam między ruiny, upewniając się co chwila, czy jest za mną, czy może patrzeć na mój lśniący pancerz.

Radar pokazuje cele do decyzji operatora. Kieruję ku nim lufy i pluję serią HT. Czy ja już to robiłem, czy może robię pierwszy raz? Czuję ucisk bólu. To moja głowa. Ekran wypluwa informację: skan operatora – dysfunkcja 15%. Czuję ukłucie. Przypominam sobie, że miałem kiedyś stary

tank. Dziwne. Miałem stary tank z wyślizganymi rączkami sterowymi. Tam nie było czegoś takiego. Głowa przestaje mnie boleć.

Gąsienice miażdżą gruz, zbliżamy się do celu. W oddali słyszę wystrzały. Ekran wyświetla schemat ataku, wkrótce nasza kolej.

Patrzę na OD23 i mam dziwne uczucie, że już to robiłem. Odwracam wzrok i oglądam swoje dłonie. Pamiętam je!

Ruszamy! Tank przewala się przez niskie ogrodzenie. ADM-y w zasięgu. Łuski spadają, zgrzytając metalicznie. Automat mruczy i przeładowuje. Pierwszy cel wyeliminowany. Namiar 40. Ognia!

Wstrząs i grzmot. Pancerz reaktywny zadziałał jak należy. Strzelam bez ustanku. Na radarze widzę, że OD23 przesuwa się na lewo, by uzyskać lepsze pole ostrzału.

Czy jego też wyłowiono?

Zamieram. Co to za myśl? Skąd się wzięła? Nagle pęka blokada i zalewa mnie zimna fala wspomnień. ACHI, mapa i Macierz… Wszystko pamiętam! Po kadłubie zgrzyta rykoszet. Kilka białych tanków wynurzyło się zza skarpy. Ciągnę stery, żeby wycofać się, póki mogę. Macierz i zbiornik, do którego wpadają ułomne ludzkie kadłuby, do którego wpadamy my, operatorzy.

Nagły impuls każe mi namierzyć marker OD23. Wiem, że łamię procedurę, ale chcę z nim porozmawiać. Muszę.

– Wiem, że to zły czas, ale… – krzyczę do mikrofonu.

Ekran miga, przerywając transmisję. Czy OD mnie usłyszał? Patrzę na log. Połączenie zerwano tuż po „wiem". Czemu?

Ekran rozpala się komunikatem: Skan operatora – dysfunkcja 95%. Procedura KO. Na monitorze pojawia się blokada. Tank staje, a po chwili rusza z powrotem, wprost ku ADM-om. Szarpię za drążki, lecz nic to nie zmienia. Automat przeładunkowy milknie. Lufy przełączają się w tryb czuwania, a potem w offline. Maszyna toczy się wolno, wstrząsana uderzeniami pocisków. Ekrany gasną. Poszycie pęka tuż przed moją głową. Błysk i żar zalewają kabinę.

Koniec.

Kilka słów wyjaśnienia

Nie strzelać do autora! No dobrze, dobrze, to jest rodzaj eksperymentu lub żarcik – jak kto woli. Zamysł miałem taki, aby opowiadanie – po obdarciu ze sztafażu – było nieoczywistą satyrą na trolle internetowe. Chciałem, aby na pozór było to zwykłe opowiadanie SF. Dla bardziej dociekliwych miało być nawiązanie do wojny trojańskiej, ale *clou* – czyli żarcik/satyra powinno być ukryte przed czytelnikiem tak, aby mógł je odczytać dopiero z kluczem.

Klucz: TE-ER – troll; pociski HT – hejt; rzyganie ognistym wytryskiem to forumowy flejm; ADM – admin; gruzy, ruiny, baraki na gruzach dawnych budowli – to miejsca w internecie, które umarły; wizje czystych miast – zmiennej materii to wyidealizowany obraz internetu kreowanego z jakimś sensem i celem.

Puenta jest więc banalna. Kolokwialnie mówiąc: internetowe dupki (trolle) to nic innego jak „gównojady" i „odpady genetyczne" zbyt głupie, by zrozumieć własną szkodliwość i niedoceniające/nierozumiejące pozytywnych aspektów internetu, a także ślepo krążące w pętli własnego ograniczenia.

Imiona bohaterów nawiązują do wojny trojańskiej. (Ajas Wielki, Achilles, Odyseusz). Chciałem w ten sposób odnieść się do walki i szaleństwa oraz pokazać los bohatera (Ajas, na którego Atena zesłała szaleństwo) jako nieokreślony. Czy to, co opowiada, jest wytworem chorego umysłu, czy jest nim wszystko inne. W bardzo luźnej interpretacji: czy zachowanie człowieka w Internecie jest przebraniem, czy wręcz przeciwnie…

DWIE GŁOWY WĘŻA

Magdalena Kucenty

Nadszedł dzień, w którym jedna głowa węża miała pożreć drugą. Dzisiaj Arisnoe miała na zawsze stracić jedno ze swoich dzieci.

A drugie najwyraźniej nie zamierzało jej tego ułatwiać.

– Ona… to znaczy księżniczka… odmawia wzięcia udziału w ceremonii – wymamrotała zlękniona Sunni.

– Dobrze, przyprowadź ją. – Arisnoe westchnęła ciężko, odprawiwszy opiekunkę machnięciem ręki.

Ciemnoskóra niewolnica skłoniła się głęboko i szybkim krokiem opuściła łaźnię. Panująca w powietrzu wilgoć sprawiła, że *kalasiris* z cienkiego lnu kleiło się do jej ciała, kusząco podkreślając pełne kształty. I wywołując znajome gorąco w…

Pani Obu Brzegów potrząsnęła głową z irytacją.

Potrafiła docenić walory zarówno płci pięknej, jak i niepięknej. Uwielbiała dotykać kobiecych krągłości, miękkich i delikatnych niczym płatki lotosu. Kochała aksamitne muśnięcia języka, coraz śmielej zagłębiającego się w zakamarki drżącego ciała, nie mniej niż szorstką pieszczotę męskich dłoni, wdzierających się między wilgotne uda. Dlatego trudno jej było się skupić, siedząc w łaźni pełnej roznegliżowanych służek, które tylko czekały na jedno skinienie swojej władczyni. Lecz skoro Arisnoe nie miała czasu przejmować się potencjalnym zamachem, tym bardziej nie mogła go marnować na przyjemności.

– Dobrze się czujesz, *pheraan*?

Arisnoe drgnęła, przypominając sobie o szorującej jej plecy łaziebnej.

– Wszystko w porządku, Kornelio – zapewniła, obdarowując tamtą zakłopotanym spojrzeniem. Dopiero teraz zorientowała się, jak czerwoną miała twarz. Policzki paliły ją żywym ogniem. – Przynieś kolejny dzban wody – rozkazała – ale tym razem niech będzie zimna.

Kornelia, choć naga i lśniąca od potu, swoją korpulentną sylwetką – szerokimi niby u kowala ramionami i udami grubymi niczym kłody – nie rozpraszała *pheraan*, jak zdarzało się to czynić Sunni. Dlatego zresztą Arisnoe wybrała ją dzisiaj na swoją łaziebną.

– Wedle życzenia, pani. – Służąca pochyliła głowę i ruszyła po naczynie.

Żeby nie czekać bezczynnie na jej powrót, Arisnoe zanurzyła się w basenie. Spokojna dotąd tafla wody wzburzyła się i rozmigotała blaskiem. Światło jak promienie setek słońc sączyło się do łaźni z otworów w sklepieniu i przenikając wszechobecną parę, ukazywało oczom morze wielobarwnych mozaik zdobiących wszystko wokół: od nagrzanych, kamiennych ław poczynając, na misternie rzeźbionych filarach kończąc.

Arisnoe przytłoczył ten ogrom kolorów. Mimo obecności służących czuła się osamotniona. W głębi serca wiedziała, że popełniła błąd, pozwalając bliźniakom tak bardzo się zżyć… Nie umiała jednak zakazać im wspólnych zabaw i rozmów. A teraz próbowała nie myśleć o tym, co miały przynieść najbliższe tygodnie i podjęte przez nią decyzje. Nawet Potomkini Bogów nie mogła zaniechać kilkusetletniej tradycji. Przynajmniej tej tradycji – za podziałem Amphis stała zarówno wiara, jak i wieki zmian politycznych, sukcesywnie prowadzących do umocnienia władzy kapłańskiej.

– Woda dla mojej pani – oznajmiła Kornelia, niosąc pękaty dzban.

– Wyśmienicie – odpowiedziała Arisnoe i, wróciwszy na brzeg basenu, rzuciła łaziebnej wymowne spojrzenie. – Nie miej litości, moja droga.

– Jak rozkażesz, pani.

Tyle zdążyła usłyszeć, nim wygięła plecy w łuk i zapiszczała jak mała dziewczynka. Fala zimna spłynęła po jej czarnych włosach i skórze barwy

miodu, nieubłaganie przetoczyła się wzdłuż kręgosłupa i wtargnęła do najbardziej wrażliwych zakamarków ciała. Jeśli w głowie *pheraan* czaiły się jeszcze jakieś nieprzyzwoite myśli, to właśnie uleciały z niej na dobre.

– Dziękuję, Kornelio – odparła Arisnoe, gdy wreszcie ostatnie krople bestialskiego zimna ześliznęły się po jej karku. – To było zaiste… bezlitosne. A teraz okryj mnie, proszę.

Służąca opatuliła ramiona *pheraan* kawałkiem wełnianej tkaniny, dużo grubszej niż Iniane, z których zazwyczaj szyto w Amphis stroje. „Ręczniki" – jak je nazywał Imperator – otrzymała od niego w darze na szesnastą rocznicę narodzin. Wówczas nie doceniła podarku, lecz teraz – mokra i zziębnięta do szpiku kości – nie zamieniłaby okrywającego ją materiału nawet na najprzedniejszy z jedwabi.

– *Pheraan…*

Zanim jeszcze władczyni przestała drżeć, do łaźni wkroczyła Sunni, prowadząc za rękę swoją podopieczną.

Berenika, o warkoczach niczym sznury bursztynu, skórze jasnej jak mleko i buzi w kształcie serca, wciąż opuchniętej od niedawnego płaczu, nadzwyczaj różniła się od matki. Obie miały jednak bliźniaczo podobne, występujące jedynie w żeńskiej linii rodu, jadowicie żółte oczy. Co znaczyło, że złota krew Solei, Bogini Słońca, płynęła zarówno w żyłach Arisnoe, jak i jej córki.

– Witaj, pani matko. – Berenika skłoniła się, nie odrywając wyzywającego spojrzenia od twarzy *pheraan*. – Czemu zawdzięczam to wezwanie?

Wydawałoby się, że nowa opiekunka wzięła księżniczkę w karby i skutecznie utemperowała jej krewki charakter. Niestety, fasada ogłady kruszyła się prędzej czy później, stopniowo odsłaniając prawdziwe oblicze Pierwszej Córki.

Berenika miała temperament czynnego wulkanu i potrafiła wybuchnąć z byle powodu. Postępy w nauce zaowocowały tylko tym, że trudniej było przewidzieć, kiedy dojdzie do erupcji.

– Doszły mnie słuchy – zaczęła Arisnoe – że odmawiasz udziału w nadchodzącej ceremonii. Naprawdę chcesz opuścić Satora w dniu jego Powtórnych Narodzin?

– Przecież Kleo nie musi iść – odparła wymijająco księżniczka. – Cóż to za różnica, jeśli mnie również nie będzie, matko?

– Kochanie, zapominasz, że twoja siostra jeszcze nie potrafi chodzić.

– I co z tego?

Arisnoe westchnęła, nie kryjąc żalu. Miała nadzieję, że wulkan wytrzyma odrobinę dłużej, a już wyczuwała odór siarki w powietrzu.

– Zostawcie nas – poleciła służkom.

Rzecz jasna, odsunęły się na tyle, by nie słyszeć dalszej rozmowy, lecz nie opuściły łaźni. *Pheraan* niesłychanie rzadko zostawała naprawdę sama.

– Czemu to robisz, kochanie? – zapytała ściszonym głosem, przyciągając córkę do siebie. – Kończycie z bratem szósty rok życia. On przechodzi pod opiekę ojca, a ty zaczynasz nauki kapłańskie. Taka jest kolej rzeczy. A chyba nie sądzisz, że Satorowi będzie lżej na sercu, jeśli zostawisz go bez jakiegokolwiek pożegnania?

Nagle oczy Bereniki zaszkliły się, drobne usta zadrżały na granicy łkania. Jej nastroje były równie nieprzewidywalne, co zmienne.

– Po prostu nie chcę, żeby odchodził – wychlipała. – Nie chcę, mamo… Ty też nie chcesz, prawda?

Owszem, Arisnoe wcale tego nie pragnęła. Zawahała się jednak przed wyznaniem córce prawdy. Musiała przecież nauczyć ją szacunku dla tradycji. W końcu kiedyś Berenice przyjdzie zastąpić matkę, a Najwyższa Kapłanka musi stanowić wzór do naśladowania.

Gdyby władczyni zatrzymała syna przy sobie, wiele kobiet podważyłoby słuszność jej decyzji, a inne wzięłyby z niej przykład. Do obowiązków *pheraan* należało zaś utrzymywanie porządku, a nie sianie chaosu.

– To nie jest kwestia chcenia, kochanie – zdecydowała się wreszcie powiedzieć Arisnoe, głaszcząc córkę po głowie. Brakowało jej słów, którymi mogłaby uspokoić Berenikę jako dziecko i pouczyć jako przyszłą królową. Tym bardziej, że skrycie podzielała uczucia dziewczynki. – Taki jest porządek rzeczy. Musisz to zrozumieć.

– Nie! – Berenika wyrwała się z objęć matki. – Mogłabyś rozkazać wszystkim, żeby zostawili Satora w spokoju! Przecież ojciec musi się ciebie słuchać! Ale ty nic nie zrobisz! Bo wcale nie chcesz, by Sator został!

Dziewczynka wybuchnęła niepohamowanym płaczem. Arisnoe przyciągnęła szarpiącą się latorośl z powrotem do siebie. Po chwili głośne zawodzenie zamieniło się w cichy szloch, a stawiany opór w nieśmiały uścisk. Berenika powtarzała, że nie chce i nie pozwoli odebrać sobie brata. Obecne w łaźni służki pozornie nie zwracały uwagi na rozgrywającą się scenę, Arisnoe wiedziała jednak, że nie minie godzina, a wieść o tym, co zobaczyły, obiegnie pałac. Plotki, niczym piaskowe burze, były niemożliwe do okiełznania.

Lecz to nie komeraże czy niesubordynacja córki spędzały sen z powiek *pheraan*, tylko to, jak chętnie Berenika uciekała się do manipulacji. Teraz jeszcze łatwo było przejrzeć jej sztuczki, teatralne wzburzenie i rzewny płacz jako sposoby wywołania współczucia. W końcu miała tylko sześć lat. Strach jednak pomyśleć, co będzie za jakiś czas.

– No już, nie płacz, kochanie. – Arisnoe znowu głaskała córkę po włosach. – Musisz trochę zmężnieć! Wiesz, że w Imperium mają takie porzekadło: „Amphis to kraj, gdzie kobiety sikają na stojąco, a mężczyźni w kucki”?

Berenika zaśmiała się, ocierając policzki z łez, i skinęła głową.

– W takim razie – ciągnęła królowa – postaraj się, żeby zawierało w sobie jak najwięcej prawdy. Wprawdzie filozof, który pierwszy wypowiedział te słowa, wcale nie miał zamiaru schlebiać obywatelkom Amphis… ale ja odbieram je jako komplement.

Miała na sobie jedwabną, sięgającą kostek tunikę w ceremonialnych barwach – od rozpalonego do białości wschodu słońca, poprzez bursztynowy blask południa, aż po purpurę zachodu.

W smoliście czarne włosy wplotła sznury pereł, na dolnej wardze i brodzie widniał wymalowany język węża, a dwugłowy serpent zastygł owinięty wokół smukłej szyi. Niestety, z jaj świętych gadów od wielu już lat wykluwały się wyłącznie osobniki z jednym łbem, więc na ramionach Arisnoe spoczywała złota replika.

– Jesteś gotowa, moja pani? – zapytała garderobiana.

Królowa spojrzała jeszcze w lustro.

– Tak, Ahit, możemy iść – odparła zdawkowo, przełykając narastającą w gardle gorzką gulę prawdy. Była gotowa ciałem, lecz nie duchem.

Wyszły z komnaty, a wianuszek służek prędko otoczył Arisnoe. Poczuła na plecach drażniące spojrzenia wiecznie milczących eunuchów, pełniących rolę jej gwardii przybocznej. Westchnęła. Moment niejakiej prywatności, potrzebny do przebrania się, właśnie dobiegł końca.

Stukot kroków i gwar rozmów niósł się echem po pałacowych korytarzach. *Pheraan* puszczała mimo uszu podniecone trajkotanie śledzącej ją świty. Dla tych kobiet była to rzadka okazja do otwartego spotkania z mężczyznami. Dla niej – ostateczne pożegnanie z synem.

W zamyśleniu ledwie spostrzegła, kiedy dotarli do wyjścia. Zauważywszy prowadzący na zewnątrz prostokąt światła, wygładziła przód tuniki i zrobiła głęboki wdech. Wypuszczając powoli powietrze, wkroczyła na skąpany w słońcu dziedziniec.

Zebrany na placu tłum sięgał aż po majaczący w oddali horyzont. Wielobarwne morze zaszumiało, witając swoją królową, a fala nabożnej czci przetoczyła się wzdłuż szeregów, zginając kolana i karki ku ziemi. Arisnoe zatopiła się w ludzkiej toni, a eunuchowie stali się jej żywą tarczą. Szli nieustępliwie, odpychając zbyt nachalne ręce żebrzących o błogosławieństwo ludzi.

Pheraan obdarowała poddanych łagodnym uśmiechem, aczkolwiek starała się unikać wyciągniętych ku niej dłoni. Piesze wędrówki Arisnoe – i to jedynie w asyście skromnego orszaku – stanowiły bezprecedensowy przypadek. Jej poprzedniczki w czasie wszelkich uroczystych procesji korzystały z lektyk. By przekonać Radę i Kazafiela do odstąpienia od tego zwyczaju, władczyni musiała obiecać, że zachowa nadzwyczajną ostrożność.

W duchu żywiła nadzieję, iż ów gest zasieje ziarenko przychylności w sercach ciężko pracujących mężczyzn, coraz częściej wyrażających się niepochlebnie o przepychu panującym na Wschodnim Brzegu. Wystarczyła jednak najmniejsza pomyłka, a widok nieba nad

głową *pheraan* znów zastąpiłby skórzany baldachim. I cały wysiłek poszedłby na marne.

Dlatego też, usłyszawszy krzyk, Arisnoe poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Poruszenie w tłumie spowodowało, że strażnicy zacieśnili krąg wokół królewskiej świty. Uwaga większości skupiła się na źródle wrzasku, lecz eunuchowie nie dali się zwieść. Szukali zagrożenia w pobliżu.

Mieli rację. Zagrożenie było blisko.

Bliżej niż sądzili.

Arisnoe wodziła wzrokiem po ogolonych głowach otaczających ją gwardzistów, gdy raptem kordon rozerwał się – wyglądało na to, że jeden ze strażników został popchnięty. Prosto na nią.

Czas zwolnił. Złote spojrzenie zwarło się z błękitnym.

Wzrok mężczyzny pozostał niewzruszony. W oczach rzezańców zawsze trudno znaleźć choćby cień uczuć, toteż Arisnoe nie miała pewności, co ją zaalarmowało. Może dostrzegła błysk ostrza w dłoni eunucha, a może zauważyła płomyk nienawiści tlący się w jego źrenicach?

Gdy w obronnym geście wyciągnęła przed siebie ręce, pomyślała o skórzanym baldachimie. Kiedy poczuła piekący ból i ciepło krwi na przedramionach, zmartwiła się, ile wysiłku pójdzie na marne.

Padając na ziemię, usłyszała chichot Lunara, Pana Nocy i Władcy Śmierci, naśmiewającego się z głupot, które przychodziły jej do głowy.

Brał ją od tyłu, a ona jęczała z fałszywej rozkoszy. Tylko kobiety potrafiły łgać, nie używając słów. Wszystkie, bez wyjątku, były zakłamanymi dziwkami.

Chwycił pukiel czarnych włosów i pociągnął zań mocno. Tym razem z gardła oszustki wydobyło się ciche skomlenie. Szarpnął jeszcze raz, aż zawyła ze szczerego bólu. W euforii zaczął rżnąć ją jeszcze mocniej. Już nie udawała, że to ubóstwia, w zamian zaczęła błagać, by przestał. W końcu pokazywała swoją prawdziwą twarz!

Nie przerywał. Miodowa skóra nabrała czerwonego zabarwienia.

Krew? Skąd? Zresztą nieważne. Chciał tylko ujrzeć jej strach.

Wyszedł. Przewrócił kochankę na plecy. Z lubością spostrzegł, że złote oczy wypełniała czysta panika. Nie… nie złote, a zielone.

Targające nim żądze przygasły. To nie była ta, której tak gorąco nienawidził. To była zwykła ladacznica. Kolejna sprowadzona z Sakahy.

Płakała. Nienawidził, gdy płakały.

Chwycił garść czarnych włosów, przyciągnął głowę kobiety ku sobie i pozwolił zadowolić się ustami. Dzięki temu łkanie ustało.

Skończył, stęknąwszy cicho. Potem odepchnął bezużyteczną już kurtyzanę i poprawił owijający mu biodra *shendyt*. Zaraz usłyszał w myślach bezczelne słowa Imperatora.

Nic dziwnego, że macie tu matriarchat. Któż to widział, żeby mężczyźni spódniczki nosili.

Tak jakby te ich togi były lepsze. Tyle że wypowiadając tamte słowa, Imperator miał na sobie… Jak on to nazywał? Spodnie? Nieważne.

Z irytacją chwycił leżący na łóżku pas, a potem zawołał:

– Rufus!

Służący bezszelestnie wsunął się do komnaty. Był jednym z *gamhul*. Jednym z niewielu, którym mógł ufać.

– Tak, panie?

– Pozbądź się jej. – Wskazał kulącą się w pościeli prostytutkę. Dobrze, że nie rozumiała amfijskiego. – Muszę się przygotować na spotkanie z…

…tą plugawą, na złość wciąż żywą…

– …Najwyższą Kapłanką.

Kiedy odzyskała przytomność, wyjątkowo spokojnie przyjęła do wiadomość fakt, że ktoś chciał ją zabić. Zwykle, gdy ma się więcej tytułów niż imion i więcej imion niż przeciętny człowiek, nie brakuje wysoko postawionych osób, które chętnie zapłakałyby nad twoim grobem. Z radości, oczywiście. Gorzej, kiedy przekuwają te chęci w plany i są na tyle pewne

sukcesu, że już ćwiczą wylewanie krokodylich łez przed lustrem. Jeszcze gorzej, gdy niemalże im się udaje…

– Trucizna z jadu *fremena*. – Usłyszała od Hatsu. – To cud, że żyjesz, pani. Zaiste, sama bogini musi czuwać nad tobą.

Cud… Nie odczuła rezultatów rzekomego cudu najlepiej. Leżała w malignie osiemnaście dni. Wielu sądziło, że już nie wydobrzeje. Nie zwlekali nawet z przekazaniem Satora na Zachodni Brzeg. Zrobili to, gdy wciąż była nieprzytomna.

Medyczka zarzekała się, że chłopiec odwiedził ją przed odejściem. Jakby to mogło coś zmienić.

Prawo stanowiło, że od dnia Powtórnych Narodzin matkom nie wolno nawiązywać kontaktu z synami. Sator zamieszkał po drugiej stronie rzeki Lumes, gdzie zostanie wcielony w szeregi Kazafiela, przejdzie obowiązkowe szkolenie i przybierze nowe imię, którego Arisnoe nigdy nie będzie dane poznać. Chłopak może zostać zawodowym żołnierzem, rzemieślnikiem, górnikiem…

Kim zechce. Jego rodowód stracił znaczenie.

Chociaż nie. Wcale nie. Rodowód blokował mu drogę na stanowisko Pierwszego Wojownika. Kazirodztwo wśród pospólstwa zdarzało się pewnie wcale nierzadko, ale jedno z praw Solei jasno stanowiło, że *pheraan* i jej partnera nie może łączyć pokrewieństwo krwi. Legenda mówiła, iż dzieci z takiego związku urodziłyby się przeklęte. Zdeformowane. Jednakże Arisnoe dochodziły słuchy, że na Zachodnim Brzegu uważano to prawo za niesprawiedliwe, stawiające Pierwszego w roli byka zapładniającego, a Pierwszą w roli niebiańskiej krowy.

Ponadto królowa nie mogła zapominać, że mężczyznom przypisano z góry określone funkcje. Pracowali na polach, w kopalniach i warsztatach, a w razie potrzeby szli na wojnę. Walczyli, nosząc symbol Lunara na piersi i pieśń Solei na ustach. A ich przywódca był po prostu najwyższym rangą żołnierzem, wybieranym przez Radę Obu Brzegów. Jako że zostawał partnerem przyszłej królowej, a także ojcem sukcesorek, wiele *pheraan* protegowało na tę pozycję młodzików, kierując się nie ich doświadczeniem bitewnym i siłą umysłu, a urodą i witalnością. Niejeden

Pierwszy Wojownik w historii Amphis sprawował raczej iluzoryczną władzę, zarządzanie pozostawiając Drugiemu.

Jednakże matka Arisnoe – w przeciwieństwie do niektórych ze swoich poprzedniczek – poszła za głosem rozsądku. Zgodziła się na wybór Kazafiela. Była to ostatnia decyzja, jaką podjęła, zanim zmogła ją choroba.

Arisnoe nie narzekała. Przynajmniej nie głośno. Kazafiel charakteryzował się rozwagą i wyrozumiałością, zasłużył się podczas bitew z dzikimi i był tylko dwanaście lat starszy od niej. Stanowił dobry wybór.

Z czasem nawet nauczyła się go kochać.

Stał nad nią z ciemnowłosym, ogorzałym od słońca Xandrem – swoją drugą ręką – po lewej oraz łysym, osobliwie bladym i gładkim Taru – dowódcą gwardii – po prawej.

– Kazafielu, tak się cieszę, że cię widzę. – Arisnoe uśmiechnęła się słabo. Wciąż leżała w łożu, a ręce aż po łokcie miała owinięte bandażami. – Czym sobie zasłużyłam na tę wizytę?

Brązowe oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– Twa dusza niemalże uleciała ku Lunarowi, słońce mego serca. Jakże mógłbym opuścić cię w takiej chwili?

Arisnoe przestała się uśmiechać. Odkąd pamiętała, irytowały ją podniosłe farmazony, w których lubował się Kazafiel. Zawsze musiała się gryźć w język, by nie odpowiedzieć mu szyderstwem. W milczeniu omiotła wzrokiem twarde oblicze wojownika. Wydawało jej się, że dostrzegała nowe zmarszczki w kącikach zaciętych ust oraz kilka dodatkowych przebłysków siwizny w krótko ściętych włosach. *Rzeczywiście się postarzał* – pomyślała – *czy po prostu chcę go widzieć zmartwionym?*

– Masz rację, wybacz mi głupie pytanie – przyznała. – Tylko proszę, nie mów, żeś niegodzien mi czegokolwiek wybaczać.

Roześmiał się głośno.

– Ależ zaprawdę jestem niegodzien!

Milczący dotąd Xander kaszlnął, przewracając oczami. *Pheraan* rzuciła mu ostre spojrzenie. Może Pierwszy bywał patetyczny do bólu, ale Drugi czasami zachowywał się jak zwykły kabotyn.

Zauważywszy minę podwładnego i znaczący wzrok Arisnoe, Kazafiel odchrząknął zakłopotany.

– Chciałbym pomówić z królową na osobności. Czy możecie zostawić nas samych, dobrzy panowie? – Odwrócił się w stronę stojącej w kącie Hatsu i dodał: – Piękna pani?

Drobna medyczka uśmiechnęła się delikatnie.

– Oczywiście, mój panie.

Wstała i skłoniwszy się lekko, wyszła z pokoju. Taru bez słowa opuścił pomieszczenie. Tylko Xander się ociągał. W końcu jednak wymruczał kilka cierpkich słów pożegnania i zniknął.

W komnacie rozbrzmiał trzask zamykanych drzwi, a przysłaniająca Kazafiela fasada wzniosłej admiracji nagle się rozpadła.

– Jak się czujesz, Aris? – zapytał ciepło. – Chciałbym powiedzieć, że wyglądasz dobrze – zająknął się – ale…

– Wyglądam okropnie. Wiem. – Odruchowo spróbowała machnąć ręką, lecz szpila bólu skutecznie przygwoździła kończynę do pościeli.

Królowa skrzywiła się. Kazafiel doskoczył do niej z zatroskaną miną.

– Co się dzieje?

– To nic – zapewniła go pospiesznie. – Zwykłe ukłucie. Zważywszy na to, przez co przeszłam i tak czuję się lepiej, niźli można by przypuszczać. Hatsu wypatruje w tym boskiej interwencji.

Choć sama nie wiem, czym zasłużyłam sobie na ową przychylność…

Kazafiel kiwnął głową.

– Zaiste, Solea to miłosierna pani.

– Owszem, mój drogi. Nie mogę jednak polegać wyłącznie na boskiej pomocy. Czy… czy mogłabym cię o coś poprosić?

– O co tylko zechcesz, moja piękna.

Arisnoe pomyślała o Satorze i Berenice. Bliźniętach tak podobnych i tak odmiennych zarazem. Dzieciach, które miały podążać z góry ustalonymi ścieżkami losu.

Odrębnymi ścieżkami.

Westchnęła.

– Ubolewam nad stratą należnego mi pożegnania z synem – przyznała – ale rozumiem, że jest to nieodwracalna szkoda. Wiem również, że nie możesz okazywać Satorowi otwartej przychylności, proszę cię jednak, byś znalazł kogoś, kto zadba o niego, powiedzmy… nad wyraz. Chcę, żeby chłopiec miał nieograniczoną swobodę. Chcę, żeby niczego mu nie brakło.

Chcę, żeby mógł zostać, kim tylko zapragnie.

Gdy na powrót została w pokoju sama – nie licząc cichej obecności Hatsu – wpadła w posępny nastrój.

Nie sądziła, że kiedykolwiek zostanie tak poważnie zdradzona. Zaatakował ją jeden z własnych gwardzistów, a odwracający uwagę krzyk był wyraźnie kobiecy.

Z tego, co Arisnoe zdążyła się dowiedzieć, zamachowiec ugodził się tym ostrzem, którym ją zranił. I zmarł jeszcze tego samego dnia.

Solea najwyraźniej nie sprzyja wiarołomcom.

Arisnoe żałowała jednak, że bogini nie przedłużyła żywota zdrajcy na tyle, aby dało się wydobyć z niego jakieś użyteczne informacje. Ale i bez tego jednej rzeczy mogła być pewna. Wróg znajdował się blisko. Możliwe, że tuż pod jej zadartym nosem. Musiała o tym pamiętać.

Spojrzała na zabandażowane dłonie. No tak. Przecież nigdy nie zapomni.

Blizny mi nie pozwolą.

Szedł korytarzami pałacu, starając się zachować pozorny spokój. W istocie czuł wściekłość. Wściekłość na tę płaczącą dziwkę, którą rżnął rano. Na wszystkie dziwki! Za to, że musiał je sprowadzać z Sakahy. Wściekłość na kapłanki, urzędniczki, nawet niewolnice, które i tak miały wygodniejsze

życie niż większość mężczyzn. Wściekłość na rzeczną granicę między Wschodnim a Zachodnim Brzegiem, która *de facto* stanowiła podział między bogactwem a znojem. Wściekłość na tych, którzy poświęcali swoje przyrodzenie, że musieli to robić, jeśli chcieli służyć w pałacu i być może zaznać choćby odrobiny luksusu. A przede wszystkim wściekłość na źródło wszelkiej niesprawiedliwości.

Na złotooką kurwę.

Tak, czuł bezmiar wściekłości. Nie pamiętał nawet, kiedy ostatni raz było inaczej. Bo czyż mógł czuć się inaczej? Gdyby jedynie wiara stała mu na drodze do zwycięstwa. To nie złota krew, ponoć krążąca w żyłach królowej dziwki, stanowiła największy problem, lecz złoto *per se*. Kapłanki trzymały w garści istną fortunę z ofiar składanych przez religijnych głupców, a Pierwsza miała dostęp do pałacowego skarbca, w którym leżały dochody ziemskie, z handlu oraz podatki. Jeśli dodać do tego poparcie Imperatora, opowiadającego się za Złotooką na tyle gorliwie, że od dawna już krążyły pogłoski o romansie łączącym tych dwoje…

Wyobraził sobie ich razem. Szpony gniewu wbiły się głęboko w toczone goryczą serce, zostawiając na nim kolejną szramę. Jedną z wielu, które nie pozwalały mu zapomnieć.

Miała rację. Osiem lat później różowe blizny wciąż przypominały jej o skrytych w cieniu nieprzyjaciołach. Chociaż w tym czasie *pheraan* zdobyła informację, że rebelianci zwą siebie *gamhul* (niczym pustynny robak powoli podkopujący swoje ofiary), to nie wiedziała wiele ponad to. Śledztwo nie przyniosło pożądanych rezultatów, acz dobrych wieści również nie brakowało.

Po pierwsze, w świątynnej hodowli pojawił się dwugłowy serpent, sprawiając, że wśród ludu wyraźnie wzrosło poparcie dla kapłanek. Od wieków symbolika miała ogromny wpływ na postrzeganie władcy, więc Arisnoe niemalże nigdzie nie ruszała się bez Sola. Gad stanowił namacalne potwierdzenie boskiej opieki.

Poza tym zbliżało się szczególnie radosne święto. Cokwartalna Reunicja została przesunięta tak, by zrównać się z dniem zjednoczenia boskiej pary. Zaćmienie słońca stanowiło bezdyskusyjnie najbardziej czczone w Amphis wydarzenie i *pheraan* cieszyła się, że przypadało akurat w okresie jej panowania.

Co więcej, lud przypisywał Arisnoe wszelkie zasługi za regularne wylewy Lumes i następujące po nich obfite plony. Odkąd przeżyła to, czego przeżyć nie powinna, została obwołana Wybranką Solei i stała się przedmiotem kultu nie mniejszego niźli sama bogini.

Innymi słowy, koniec końców wychodziło na to, że *gamhul* – wbrew własnym intencjom – nielicho przysłużyli się królowej. Arisnoe wiedziała jednak, że po latach dostatku zawsze nachodziła klęska nieurodzaju. I nie mogła pozbyć się wrażenia, że panujący w Amphis spokój to wyłącznie cisza przed burzą.

Amfianie zebrali się nad brzegiem Lumes. Kapłanki składały dłonie w modlitwie, wojownicy prowadzili ożywione rozmowy, a reszta tłumu szemrała niczym woda w wartkim strumieniu.

Głosy powoli cichły. Palce wskazały krawędź słońca przyciętą półkolistym ostrzem ciemności.

Zaczęło się.

Mrok spowił niebo oraz ziemię. Złoty sierp stawał się coraz cieńszy i cieńszy, aż w końcu zniknął niemal całkowicie. Na tle otchłani pozostał jedynie wąski pierścień blasku.

Wszyscy wstrzymali oddech. Liczyli uderzenia własnych serc.

Po chwili zza kuli ciemności wyjrzał nieśmiały promień słońca. I świat zaczął odzyskiwać utracone kolory.

Ludzie na powrót zaczerpnęli powietrza, wznosząc radosne okrzyki ku niebu.

Dopełniło się.

Arisnoe stała na wzgórzu, jak zawsze w otoczeniu gwardii oraz służby. Gdy poczuła ciepło na policzkach, zmrużyła oczy. I wtedy właśnie ujrzała to, czego nie zobaczył nikt inny.

Rosnącą tarczę światła przesłonił dwugłowy wąż. Łby gada szamotały się na boki, rozdzierając wpół beznogie ciało. Krew ciekła z coraz to głębszej rany, aż wreszcie serpent rozpadł się zupełnie. Okaleczone połowy w jednej chwili skoczyły na siebie, rozpoczynając szaleńczy taniec spływających jadem kłów i ociekających czerwienią ogonów. Żadna jednak nie osiągnęła przewagi. Żadnej nie było pisane zwycięstwo.

Zajęte walką, nie zauważyły nawet, gdy na niebie pojawił się szaropióry wężojad. Ptak bez trudu pochwycił je w szpony. I odleciał.

Pheraan jeszcze chwilę patrzyła za oddalającym się drapieżcą. A kiedy zamknęła oczy, poczuła, że świat wokół niej wiruje.

Obserwował Złotooką wsparty o filar, a ciężar obaw miażdżył mu pierś.

Coś się stało. To nie miało tak wyglądać.

Królowa zasiadła między córkami, ledwie kosztując każdego z podsuniętych dań. Za to sakahański ambasador, zajmujący krzesło tylko trzy miejsca dalej, objadał się pieczonymi drozdami bez umiaru. Rozrywane grubymi palcami ciałka znikały w obślinionej przepaści ust, a popite winem i wyplute, zamieniały się w stos kosteczek na talerzu. Tłuścioch chyba się bał, że bezgłowe ptaszki zaraz odlecą.

Żryj, żryj, ty obmierzły knurze – pomyślał mężczyzna. *Tylko uważaj, żeby ci nie zaszkodziło.*

Na powrót wbił spojrzenie zimnych oczu w królową. Była nieco blada. Słyszał, że zasłabła podczas oglądania zaćmienia. Jakby robiła mu na złość – gdy chciał jej śmierci, przezwyciężyła morderczą truciznę, gdy potrzebował jej żywej, bez powodu traciła siły.

Przeniósł wzrok na zastawiony daniami stół. Na alabastrowe talerze wypełnione ostrygami i żółtkami jaj. Na przystrojone piórami srebrne

półmiski z mięsem pawi, kaczek oraz gęsi. Na pozłacane tace pełne rozłupanych wpół jeżowców i kawałków jesiotra. Na zdobne dzbany win doprawianych miodem i sokiem z granatów.

Zamiast posiłku – pokaz bogactwa.

– Panie? – Szept Rufusa dobiegł zza filaru.

Rozedrgana iskierka ekscytacji przebiegła wzdłuż kręgosłupa mężczyzny. W końcu miał się dowiedzieć, co…

– Co spowodowało opóźnienie?

– Chłopak miał wątpliwości…

Twarz mężczyzny pozostała nieprzenikniona, ale wewnątrz poczuł ukąszenie furii. Pułapka, którą zastawił na te przeklęte kobiety, musiała zamknąć się ze wszystkich stron jednocześnie! Inaczej mogą zdołać uciec.

– Porozmawiam z nim – odpowiedział surowym tonem, zerkając na starszą córkę królowej. Wyglądała na niezadowoloną.

– Wyśmienicie, panie.

Szum za plecami sugerował, że sługa zbiera się do odejścia.

– Rufusie, zaczekaj. Czy Nubet i Ratsiu są gotowi?

– Jak sądzisz, panie?

– Sądzę, że niepotrzebnie pytałem.

Tak, o tę część planu nie powinien się martwić. W końcu na wojnie z dzikimi żołnierze dopuszczali się znacznie gorszych rzeczy niż zwykłe morderstwo… czy dwa. Dlaczego teraz mieliby się wahać?

Hatsu nie była całkiem przekonana. Nie uwierzyła, że *pheraan* zwyczajnie zasłabła z nadmiaru emocji i uparła się zostać jej cieniem podczas uczty.

Arisnoe poniekąd to odpowiadało. Przez ostatnie lata zaprzyjaźniła się z medyczką i obdarzyła ją pewnym zaufaniem. Wiedziała, że tamta powtórzy jej wszelkie ciekawe nowinki. Samej królowej skupienie na toczących się wokół rozmowach przychodziło z trudem. Bezwiednie gładziła ślizgającego się po ramieniu Sola, a jej myśli wciąż kierowały się ku zaćmieniu. Nietrudno było odgadnąć znaczenie rozdartego na dwoje węża,

ale co w związku z tym miała zrobić Arisnoe? I dlaczego ona? Dlaczego, dla przykładu, nie jej matka? W końcu Berenika Sakhmet III była najbardziej przywiązaną do tradycji, ortodoksyjną osobą, jaką kiedykolwiek poznał ten świat. Nieżyjąca już władczyni uważała panujący porządek za jedyny właściwy i bez wahania zmiotłaby z powierzchni ziemi wszystkich, którzy próbowaliby go naruszyć. Arisnoe natomiast – dokładniej mówiąc Arisnoe Ptolemea I – nigdy nie wyzbyła się wątpliwości, przez które za młodu stwarzała tyle problemów. Obie strony amfijskiego medalu uważała za równie ważne, równie potrzebne. I nadal sądziła, że układ sił w kraju nie należał do specjalnie stabilnych, cały system był według niej daleki od ideału. Jednak Rada wymogła na niej podtrzymywanie wizerunku świetności. Podczas uczty miała zachwycić oczy gości bogactwem, jednocześnie napełniając serca wrogów trwogą.

Jak dotąd zauważyła, że przepych jedynie wystraszył jej młodszą córkę. Już kilka razy słyszała szept Sunni, nakłaniającej małą Kleo do jedzenia. Ośmiolatka na widok dań robiła zlęknioną minę i nieśmiało odmawiała skosztowania tych najdziwniejszych. W odróżnieniu od siostry stanowiła lustrzane odbicie Arisnoe. Tylko oczy miała bardziej złotobrązowe niźli żółte. Okazała się też bardzo spokojnym, grzecznym i trochę bojaźliwym dzieckiem. Choć, co ciekawe, zupełnie nie bała się Sola.

Cóż – stwierdziła w duchu Arisnoe – potwierdza się reguła, że im więcej boskiej krwi w żyłach, tym gorszy temperament…

– Czy mogę wreszcie odejść od stołu, matko?

O wilku mowa.

Władczyni odwróciła się ku starszej z córek. Berenika z wyraźnym obrzydzeniem przyglądała się ambasadorowi Spurio, nawijając na palec jeden z bursztynowych loków i wydymając pogardliwie usta.

– Przecież dopiero przybyłaś… A tak dokładnie to się spóźniłaś, kochanie.

– Jakie to ma znaczenie, matko? Mogę odejść czy nie?

– Owszem, niebawem, ale na razie zostań, by obejrzeć rytuał godowy.

Berenika przewróciła oczami.

– A potem? – zapytała sfrustrowana.

Królowa westchnęła.

– A potem możesz robić, co tylko zechcesz, córko.

Powietrze zadrżało od uderzenia gongu. Paru gości odeszło od stołów, kierując się do wyjścia z sali.

Oczywiście królowa dziwka ani drgnęła. Przecież nie musiała się niczym przejmować. Nigdzie się śpieszyć. W przeciwieństwie do niego. Dosyć mu było jednej haniebnej porażki. Stał spięty niczym gracz *sehnet* przed wykonaniem zwycięskiego ruchu. Czujnym okiem obserwował rozłożone na planszy pionki, by w razie potknięcia natychmiast zareagować. Tyle lat przygotowań i zbierania środków pójdzie na marne. Tyle lat czekania, aż chłopak podrośnie…

Może płynie w nim moja krew, acz wyraźnie rozcieńczona.

Zafir mógł jeszcze naprawić swój błąd. Wystarczyło, że zwróci na siebie uwagę jednej osoby, pozostając niedostrzeżonym przez drugą. Co wcale nie powinno stanowić większego problemu. Ostatecznie czym byli w złotych oczach słudzy, jeżeli nie tłumem pozbawionych twarzy lalek?

Cóż, przekonamy się.

– Witam najpiękniejsze z dam. Wszystkie trzy. – Kazafiel pojawił się znikąd tuż za plecami *pheraan*. Sprawiał wrażenie nadzwyczaj wesołego. – Czy uczynicie mi ten honor i pozwolicie towarzyszyć sobie przez resztę wieczoru?

Berenika zrobiła minę, jakby ją zemdliło, a mała Kleo zsunęła się z krzesła, by dygnąć nerwowo, mamrocząc pod nosem słowa powitania.

Arisnoe spokojnie przeniosła wzrok na Pierwszego i obdarzyła go czarującym uśmiechem.

– Szczerze powiedziawszy, mój drogi, dziwię się, że dopiero teraz do nas dołączyłeś. Co ci zajęło tyle czasu?

– Wstyd przyznać, ale pochłonęła mnie wymiana zdań z naszymi przyjaciółmi z Sakahy. Ciekawie jest poznać ludzi o tak odmiennej… kulturze.

– Rozumiem. – Arisnoe pokiwała głową, ledwie kryjąc rozbawienie. Mogła się założyć, że owa ciekawość dotyczyła kobiet lub wojny. Albo najlepiej obu. – Nie zauważyłam jednak, byś przesiadywał z ambasadorem.

– Och, rozmawiałem tylko z niektórymi członkami misji. Sądzę, że Jego Ekscelencji wyjątkowo nie zainteresowałyby tematy, które poruszaliśmy.

Ach, czyli kobiety.

– A gdzie zgubiłeś swój cień, drogi Kazafielu?

– Xandra? Cóż, mój cień wydaje się dziś nad wyraz rozchwytywany przez towarzystwo.

Królowa pokręciła głową z niedowierzaniem. Komuż to chciało się wysłuchiwać przechwałek Drugiego? Nie zdążyła zapytać, bowiem w komnacie rozbrzmiało kolejne uderzenie gongu. Rozejrzała się wokół. Pomieszczenie wyraźnie opustoszało.

– Chyba wypada nam się zbierać – stwierdziła, siląc się na wesoły ton. – Pewnie już wszyscy czekają.

Kazafiel podał jej rękę. Ujęła szorstką dłoń z wdzięcznością i krótkim ruchem głowy dała znak Berenice, żeby ta też wstała. Księżniczka, podnosząc się, zerknęła z wyrzutem na młodszą siostrę, która nie musiała nigdzie iść.

Arisnoe stłumiła gorzki śmiech. Skoro ośmiolatkę przestraszył widok zwykłych jeżowców, to co dopiero stałoby się, gdyby zobaczyła wyuzdany taniec kapłanek i zapasy zupełnie nagich, wysmarowanych oliwą wojowników?

Nie, jeszcze przyjdzie na to czas. Na wszystko przyjdzie czas.

W zamian *pheraan* spróbowała zachęcić małą Kleo, żeby dołączyła do innych obecnych na uczcie dzieci. Dziewczynka nie wydała się specjalnie zainteresowana propozycją, więc, nie chcąc naciskać, Arisnoe pożegnała córeczkę delikatnym pocałunkiem w czoło oraz obietnicą rychłego powrotu. Potem ujęła Kazafiela pod ramię i ruszyła do wyjścia. Berenika i Hatsu snuły się przy jej boku, ta pierwsza z iście cierpiętniczą miną, ta druga z wyrazem zaskoczenia na śniadej twarzy.

Arisnoe, powiódłszy wzrokiem za spojrzeniem medyczki, zamarła w miejscu. Kazafiel zapytał, dlaczego się zatrzymała, ale zbyła go niedbałym machnięciem ręki.

Nieznany królowej młodzieniec o oliwkowej cerze stał nachylony nad baryłkowatą postacią trzymającego się za brzuch ambasadora Spurio, którego oblicze wykrzywiała czysta udręka. Ulotne muśnięcia dłoni zdradzały łączącą tych dwóch zażyłość. Było to o tyle zaskakujące, że choć preferencje Spurio nie stanowiły szczególnej tajemnicy, dyplomata starannie unikał przyłapania w towarzystwie „swoich chłopców". Dlaczego w takim razie teraz się nie krył? Arisnoe ogarnął niepokój.

Zbliżyła się do krzesła ambasadora, zachowując jednak pewną odległość – nauczyła się już, że Imperialni reagowali słabo skrywaną obawą na serpenta owiniętego wokół szyi i ramion *pheraan*.

Gdy przystanęła razem z Kazafielem, obcy młodzieniec odskoczył na bok niczym poparzony, zaś Spurio rozpogodził się sztucznie, witając królową wymuszonym uśmiechem.

Czego boi się ten chłopak? I czemu nigdy wcześniej go nie widziałam?

– Wasza ekscelencjo – królowa skłoniła lekko głowę – czy wszystko w porządku?

– Jak najlepszym, miłościwa pani. – Policzki ambasadora falowały przy każdym słowie. – To tylko kwasoty żołądkowe, które męczą mnie ostatnimi czasy. Mój sługa przyniósł właśnie kubek odwaru z korzenia lukrecji. Na złagodzenie objawów.

Nie uszło uwadze królowej, że dyplomata nie wymienił imienia „sługi". Zerknęła na chłopca, ale ten przezornie spuścił głowę.

Cóż, wypytam o niego innych.

– Przykro mi to słyszeć, ekscelencjo – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od młodzieńca. – Czy mogłabym w jakiś sposób ulżyć waszej niedoli?

Spurio przybrał zmieszaną minę.

– Pragnąłbym jedynie, by miłościwa pani wybaczyła mi moją absencję podczas ceremonii godowej, a przynajmniej jej pierwszej części.

– Ależ oczywiście, że wybaczam. – Arisnoe zdobyła się na uśmiech.

Lecz nie potrafiła całkiem skryć niepokoju.

Własna ambiwalencja – rozpalona we wnętrzu iskra nadziei walcząca o dominację z ukłuciem lęku – irytowała go niepomiernie.

Znów wpatrywał się w Złotooką, spokojny na zewnątrz i gotujący się w środku. Stała tam, chwyciwszy Pierwszego Pantofla Amphis pod ramię i wypytywała ambasadora Spurio o…

Właśnie, o co?

Ta niewiedza napawała go lękiem.

Niemniej zaistniała sytuacja zwiększała szanse udającego sługę Zafira na niepostrzeżone przemknięcie za plecami Złotookiej i tej parodii wojownika u jej boku. Chłopak raz już wyskoczył do przodu niczym skończony imbecyl, niemal prosto pod nogi *pheraan.* Zmitygował się w ostatnim momencie, gdy kobieta nagle przystanęła.

Tym razem, nauczony doświadczeniem, ostrożnie zbliżał się do celu. Tylko że rozgorączkowanie wymalowane na młodzieńczej buzi Zafira i tak zaalarmowałoby każdego, kto by mu się dokładniej przyjrzał. Równie dobrze chłopak mógł mieć wypisane na czole: „boję się, że mnie przyłapiecie".

Na szczęście królowa z uporem wlepiała wzrok w *eromenosa*, którego *gamhul* podstawili Spurio. Kto by pomyślał, że jego długoletnie kontakty z sakahańskimi burdelami przyniosą tyle korzyści?

Patrz do woli, moja Złotooka – zadrwił w duchu. *Patrz, bo kolejna okazja się nie powtórzy. Ta męska kurewka zniknie na zawsze, gdy tylko wypełni swoje zadanie.*

Niestety, ów moment jeszcze nie nadszedł. Chociaż dawno już powinien. Jak długo można było go odwlekać? Na pewno nie wieczność.

Mężczyzna nie ufał zaklęciom i wywarom *eromenosa*, powodującym rzekome kwasoty Spurio. Według niego nie stanowiły zbyt przewidywalnego żywiołu i w każdej chwili miały szansę rozsadzić grubasa od środka. A wtedy pionki runęłyby na planszę jeden za drugim.

Niestety, czas naglił. A chłopak poruszał się niczym robak w misie oleju. Do tego zgarbił ramiona, jakby chciał się schować we własnych trzewiach.

A mężczyzna wyczekiwał. Wyczekiwał na reakcję księżniczki, żywiąc z kolei nadzieję, iż reakcji królowej się nie doczeka.

Aż wreszcie iskra w jego wnętrzu buchnęła pełnym płomieniem, pochłaniając rosnący dotychczas lęk. Berenika IV, Pierwsza Córka Amphis, zauważyła Zafira, uśmiechnęła się radośnie i, ukradkiem zerknąwszy na matkę, lekko skinęła głową.

Pod wieczornym niebem, w pełgającym świetle pochodni, osiemnaście ledwie co dojrzałych dziewczęcych sylwetek kołysało się w tańcu płodności. Dźwięki fletów, harf oraz bębenków niosły się po dziedzińcu, wypełniając uszy zebranych najsłodszą z melodii. Smukłe cienie wirowały na zielonej trawie, ścigając wijące się w rytm muzyki ciała. Przezroczyste suknie lgnęły do spoconej skóry, kolorowe paciorki migotały na falujących piersiach.

Tancerki zaskakiwały gibkością oraz wigorem, a błyszczące pożądaniem oczy uważnie śledziły każdy ich ruch. Pretendujący do roli partnerów wojownicy obserwowali swoje ulubienice. Niejedna skusi wielu. O niejedną będą potem walczyli.

Kiedyś im zazdrościłam, teraz tylko obawiam się o ich los.

Siedziała na obitym srebrem podwyższeniu, w otoczeniu najwyższych rangą kapłanek i urzędniczek, kilku znamienitych wojowników – w tym Kazafiela i Xandra, który wreszcie się odnalazł – oraz, oczywiście, w towarzystwie córki. Próbowała skupić wzrok na tańcu, ale wciąż łapała się na tym, że wpatrzona w leżącego na jej przedramieniu węża, zastyga bez ruchu. Czy *gamhul* znowu spróbują ją zabić?

Spojrzała na Berenikę. Nastrój tamtej zdecydowanie się polepszył, a jednak Arisnoe odniosła wrażenie, że czternastolatka jest zniecierpliwiona. Co rusz zagryzała karminowe usta i wierciła się w miejscu.

Gdzież ci tak spieszno, moja humorzasta córko?

Arisnoe uświadomiła sobie, że musi to sprawdzić. Zmrużyła oczy, spoglądając na Drugiego. Miał pociągłą twarz, długie za ramiona włosy, zadarty nos i wiecznie wykrzywione w kpiącym uśmiechu usta. Był bardzo podobny do niej. Dobrze pamiętała, jak, oblana falą lodowatego szoku, nabrała przekonania, że Xander najprawdopodobniej jest jej bratem.

Jeśli mam rację, mógł zostać Drugim, ale nigdy nie zostanie Pierwszym.

– Mój drogi – wyszeptała do ucha Kazafiela – czy mógłbyś ustąpić mi miejsca? Chciałabym zamienić parę słów z twoim cieniem.

Wojownik okazał lekką konsternację, ale niemal od razu się zgodził. Swoim zachowaniem *pheraan* zdziwiłaby też gości, ale obecnie uwagę wszystkich przyciągały tancerki. Dlatego zdołała przesiąść się bez wzbudzania niepotrzebnego zainteresowania.

Xander też niczego nie spostrzegł. Królowa poczuła satysfakcję, gdy drgnął, zaskoczony jej aksamitnym głosem.

– Nie wiedziałam, że starczy kilka roznegliżowanych panien, by stłumić twoją czujność, Drugi. Czyżbyś prosił się o sztylet?

– Zabójca i tak by nie zdążył, czcigodna *pheraan*. – Xander wyszczerzył nieskazitelnie białe zęby w bezczelnym grymasie. – Nie istnieje szybszy ode mnie.

– Szybszy w łożu czy na polu walki? – zapytała kpiąco, ale, nim odpowiedział, powstrzymała go gestem. – Właściwie wolę nie wiedzieć, mój drogi. Potrzebuję natomiast, byś coś dla mnie zrobił i liczę, że nie zawiedziesz.

– Nie zawiodę – odparł pewnie.

Arisnoe skinęła powoli głową. Nie mogła zaprzeczyć, że w rzeczy samej był niesamowicie szybki i sprawny we wszystkim, co robił. Jakby się nie przechwalał, ufała mu jak nikomu innemu. I droczyła się z nim jak z nikim innym. Co tylko nasilało jej podejrzenia, że byli rodzeństwem.

– Chcę, żebyś śledził Berenikę – powiedziała, przechylając głowę, pozornie całkiem skupiona na pokazie. – Jestem przekonana, że kiedy nastąpi przerwa, poprosi mnie o możliwość powrotu do sali jadalnej. Nie

wiem, czy pójdzie tam naprawdę. Masz to sprawdzić. Jeśli skieruje się w inne miejsce, podążaj za nią, ale nie próbuj jej powstrzymywać, chyba że będziesz musiał. Jeśli uznasz, iż mojej córce grozi niebezpieczeństwo, nie wahaj się zrobić tego, co uważasz za słuszne.

Nie wahaj się zabić.

Zaśmiał się w duchu. Znowu był w sali jadalnej. Najwyraźniej los chciał, żeby stąd wydawał rozkazy.

– Zapasy wojowników już się rozpoczęły, panie.

– A chłopak? Kazałeś go śledzić, tak jak prosiłem?

– Tak, panie. Właśnie prowadzi księżniczkę do ogrodów.

– Świetnie, Rufusie, możemy zaczynać. Niech *eromenos* skróci cierpienia starego pederasty.

Milczący sługa odpowiedział ukłonem i odszedł. A on? Na razie mógł jedynie czekać. Patrzył na służki, które zbierały spiętrzone po przerwie talerze z resztkami jedzenia. Patrzył na inne, niosące dzbany wina dla gości oglądających zapasy na dziedzińcu. Starał się natomiast omijać wzrokiem grubasa.

Zareagował dopiero, gdy usłyszał głośny charkot. Kiedy szybkim krokiem zmierzał ku siniejącemu na twarzy Spurio, kątem oka obserwował młodszą córkę Złotookiej i jej czarnoskórą opiekunkę.

Niewolnica zakryła rozszerzone przerażeniem oczy ośmiolatki i czym prędzej wyprowadziła ją z sali. Dwaj stojący najbliżej strażnicy eskortowali je do wyjścia. A one wkrótce miały się przekonać, że jedyne, co łączy Nubeta i Ratsiu z gwardzistami pałacowymi, to strój.

Cios był silniejszy, niż kiedykolwiek mogła się spodziewać. Zdruzgotał ją do cna.

Nie! Nie! Bogini, błagam, tylko nie to. Błagam! Czemu ona? Czemu?! Czemu nie ja?

Kałuża ciemnej krwi rosła powoli przy kolanach królowej. Czerwony strumień wypływał z rozciętego gardła Sunni, lecz to nie o życie niewolnicy błagała Arisnoe.

Wyjąc żałośnie, ściskała w ramionach stygnące ciało córki. Nagle przestała słyszeć jakiekolwiek dźwięki. Nie rozróżniała twarzy. Dostrzegała tylko złotobrązowe, przepełnione lękiem oczy. Cienką, nienaturalnie wykręconą szyję. Czarne włosy nasiąkłe krwią.

Bezlitosny strach towarzyszył małej Kleo do końca. Przez całe króciutkie życie.

Ale walczyła z nim... walczyła...

Słone łzy spływały po policzkach Arisnoe, łkanie wciąż wstrząsało zmiażdżoną bólem piersią. Czuła, że nie może oddychać.

Czuła, że nie chce żyć.

Oczy piekły ją niczym posypane popiołem, ale puste ciało nie potrafiło już ronić łez. Nie potrafiło wydobyć z siebie słów. Ile to już czasu minęło, odkąd oddała zwłoki córki balsamistce? Nie pamiętała.

Siedziała przy inkrustowanym kością słoniową stole, wpatrzona w koszyk pełen zeschniętego chleba. Ile to już czasu minęło, odkąd ostatni raz coś jadła? Nie pamiętała.

Za to piła wino. Dużo wina. I pierwszy raz od naprawdę dawna mogła się cieszyć samotnością. Wyganiała wszystkich z pokoju – sługi, kapłanki, Pierwszego – w szale godnym wilczycy broniącej szczeniąt. Tyle że ona swoje szczenię utraciła. I tylko jedna myśl wciąż krążyła jej po głowie. Jedna myśl dręczyła ducha.

Czy cieszysz się, ty przeklęty kurwi synu, któryś odebrał mi dziecko? Cieszysz się?!

Tak bardzo nienawidził Złotookiej! Tak bardzo! Za to, jak go potraktowała. Za to, że ich własne dziecko skazała na pracę w znoju. Teraz latami skrywana wściekłość wybuchła w nim niepohamowanym żarem.

Po uczcie wpadł w szał. Gdy tylko wrócił do swoich pokoi, zaczął zrzucać naczynia i świeczniki ze stołów, papiery i książki z półek. Wszystko lądowało na ziemi. Potem przez parę dni znów musiał udawać. Pomagać w śledztwie, wydawać rozkazy i odpowiadać na pytania.

Teraz siedział na swoim łożu, wpatrzony w bałagan, którego narobił. Nie pozwolił dziewkom służebnym niczego uprzątnąć. A tych, którzy próbowali go odwiedzić, przeganiał szorstkimi słowami. Nikogo jednak nie dziwiła złość Taru. W końcu dowódca gwardii okrył się hańbą. Nie powstrzymał zamachu ani na małą księżniczkę, ani na ambasadora. Wszyscy w pałacu sądzili, że straci swoją pozycję.

Wszyscy myśleli, że to jest powodem jego wściekłości.

Głupcy. Gdyby tylko wiedzieli…

Dwie z trzech części planu poszły gładko. Tylko dwie. Fiasko najważniejszej pogrzebało szansę na zwycięstwo. Pozbył się młodszej sukcesorki, ale jak teraz miał schwytać starszą? Znaleźć syna? Usadzić ich razem na tronie? I ukrócić niesprawiedliwość, która rozdzierała Amphis? Jak teraz zdoła pogrążyć Złotooką?

Plotki, że stała za zabójstwem Spurio, nie wystarczą. Problemy z dostawami towarów dla Sakahy również. Musiał wbić ostateczny klin między nią a Imperatora.

Musiał wzniecić bunt.

Hatsu jako jedyna miała pozwolenie na wejście do komnat królowej. Ubrana w żałobną biel, regularnie wymieniała wystygłe i zeschnięte jedzenie na świeże, a pusty dzban na pełen. Potem pouczała *pheraan*, że postępując tak dalej, zupełnie opadnie z sił. W odpowiedzi władczyni obrzucała przyjaciółkę wściekłym spojrzeniem i prosiła zimno, by zostawiła ją samą. Tym razem jednak zachęciła medyczkę, by z nią została.

Zaczęła posiłek od zjedzenia fig. Rozgryziony owoc wybuchł w ustach królowej mdlącą słodyczą. Nie liczyłaby jednak na to, że jest zatruty. Służący nie podadzą jej niczego, co nie zostałoby wcześniej sprawdzone. Szkoda tylko, że nie robili podobnie z posiłkami serwowanymi Spurio…

Arisnoe wróciła myślami do nieszczęsnej uczty.

– Czy słyszałaś coś ciekawego, Hatsu?

Na ładnej twarzy medyczki pojawił się wyraz zdumienia. Najwyraźniej nie spodziewała się pytania. Ani że Arisnoe w ogóle się odezwie.

– Nie rozumiem, pani.

– Na uczcie. Czy mówiono o czymś ciekawym?

Hatsu pokręciła głową.

– Same niewarte uwagi bzdury. – Zakryła usta, a ciemne oczy wypełniło zakłopotanie. – Przepraszam, pani, nie powinnam…

– Nie przepraszaj. Bzdury to bzdury. Chciałabym jednak usłyszeć jakiś przykład.

– Jeśli taka twa wola, *pheraan*. – Hatsu się zamyśliła. – Ot chociażby dwie kapłanki, Naneke i Merit, wciąż rozprawiały o dowódcy gwardii. O tym, że rzezanie omal go nie zabiło, jak był młody. Że ma tam jakieś szramy… Zebrało im się na ten temat chyba dlatego, że Taru pilnował porządku podczas uczty. Kapłanki przyglądały mu się, gdy tak stał, lustrując całą salę i… wybacz, pani, ale zacytuję słowa Naneke: „Szkoda, że Taru nie ma sprawnego kutasa, bo bym go chętnie…".

Hatsu nie dokończyła, rumieniąc się. Za to Arisnoe wybuchła niepohamowanym śmiechem, w którym pobrzmiewała nutka histerii. *Ależ on ma sprawnego!*

Gdyby tylko rozpustna kapłanka znała prawdę, być może już owej nocy ujeżdżałaby Taru, nie dając mu ni chwili wytchnienia. A tak musiała obejść się smakiem.

Arisnoe nie rozumiała, dlaczego ją to tak bawiło, dopóki nie zauważyła, że zamiast śmiechu słyszy swój płacz. Szybko otarła twarz, zerkając na zmartwioną towarzyszkę. Dojrzała w oczach Hatsu wahanie. Najwyraźniej medyczka chciała jeszcze coś powiedzieć.

– Zapomnij, czego właśnie byłaś świadkiem, moja kochana – poleciła władczyni. – Już mi lepiej. Możesz śmiało mówić dalej.

– Drugi kilkukrotnie prosił o audiencję. A raczej nalegał, bardzo mocno nalegał. Powiedziałam mu, że gdy uznam to za stosowne, przekażę *pheraan* jego prośbę. Ale jeśli tylko chcesz, pani, każę mu czekać.

– Nie, przyjmę go od razu. Poślij po niego.

Jak mogłam zapomnieć o Xandrze?

Drugi pojawił się w komnacie jakiś kwadrans później. Wpadł do pokoju niczym burza, żądając od progu:

– Zostaw mnie z *pheraan* na osobności, medyczko.

Oczy Hatsu zapłonęły buntowniczo, ale spostrzegłszy skinienie Arisnoe, pożegnała się i wyszła.

– Skąd ta gorliwość, starszy bracie? – zapytała królowa, wyjmując z koszyka kolejną figę.

Drugi zamarł nad krzesłem. Arisnoe widziała jak na dłoni, że zastanawia się, czy aby na pewno nazwała go bratem. Postarała się, by jej mina jasno wskazywała, że tak właśnie było. Miała dosyć gierek.

Xander usiadł w końcu i uśmiechnął się niepewnie.

– Niosę naprawdę palące wieści, młodsza siostro. – Ostatnie słowo zabrzmiało, jakby wypowiedział je pierwszy raz w życiu.

– W takim razie słucham – odparła Arisnoe.

– Tak jak przewidziałaś, Aris – wyszczerzył się głupkowato – w przerwie przed zapasami twoja córka wcale nie udała się do sali jadalnej. Ledwie przez nią przeszła. Nie była sama, towarzyszył jej jakiś chłopak. – Zrobił pauzę, drapiąc się po głowie. – No, a potem… śledziłem ich aż do ogrodów. Nie tylko ja. Jeden z gwardzistów… A raczej człowiek w stroju gwardzisty, jak się potem okazało… On również za nimi podążał. Początkowo nie wzbudziło to we mnie podejrzeń. Dziwiłem się tylko, że on również nie próbował zatrzymywać Bereniki. W końcu księżniczka nie powinna się samotnie pałę…

– Do rzeczy.

– Tak, oczywiście. – Odchrząknął. – W ogrodzie czekał na nich nieznany mi mężczyzna. Wybuchła kłótnia. Spostrzegłem, że gwardzista, zamiast chronić księżniczkę, próbował pomóc tamtemu ją zabrać. To

znaczy… Myli mi się kolejność. – Westchnął. – To się działo tak szybko. Musiałem reagować.

Arisnoe poczuła na szyi zaciskające się szczypce strachu.

Berenika musi być żywa. Przecież pytałam Hatsu o jej zdrowie córki. Powiedziałaby mi, gdyby… Nie okłamałaby mnie, prawda?

– Co się stało?

– Nie martw się o nią, Aris. Na razie siedzi w areszcie domowym, ale nie wiem, jak długo jeszcze zdołam przekonywać Radę i Kazafiela, że to konieczne.

Pheraan odetchnęła z ulgą.

– A ten mężczyzna, który próbował ją porwać, jeśli dobrze rozumiem?

– Nie żyje. Gwardzista również. Jego zabiłem, a ten drugi rozgryzł jakieś świństwo. Gdy tylko łajdakowi piana wstąpiła na usta, wiedziałem, że już po nim.

Arisnoe miała zamiar zapytać jeszcze o młodzieńca, który towarzyszył jej córce w ogrodzie, ale Xander ją ubiegł:

– Chłopaka też zamknąłem pod kluczem. Wcześniej ostrzegłem Berenikę, że ma o nim słowa nikomu nie pisnąć. Los obojga od tego zależał, więc wyjątkowo nie stawiała oporu. Jesteś pierwszą osobą, której o tym mówię. Inni myślą, że na miejscu zdarzenia znalazł się przypadkowy świadek, jakiś chłopak, ale uciekł przestraszony.

Drugi zamilkł. Arisnoe zastanowiła się, czy młodzieniec nie był aby tym samym, którego widziała na uczcie u boku Spurio.

– Kim on jest? – zapytała, przerywając ciszę.

– Musisz przekonać się sama, siostro. Inaczej mi nie uwierzysz.

Arisnoe podzieliła się jeszcze z bratem informacją o wizji, którą miała w czasie zaćmienia. Chyba zrozumiał. Przynajmniej nie patrzył na nią, jakby postradała zmysły.

Potem udał się po Berenikę i chłopaka. Xander już wysłuchał obu stron oddzielnie, więc Arisnoe mogła równie dobrze przekonać się, co razem mają do powiedzenia.

Zdążyła się nieco oporządzić – uczesać, a także przebrać – zanim Xander ich przyprowadził. A gdy ujrzała chłopaka, serce w niej zamarło. *Są tacy podobni* – pomyślała z przerażeniem. *Oprócz oczu.*

Sator miał niesamowicie błękitne oczy, dokładnie takie, jakie pamiętała. Z kolei kędzierzawe włosy ktoś mu przefarbował na odcień głębokiej czerni.

– Jak się nazywasz? – zapytała, gdy tylko stanął naprzeciwko niej.

– Zafir, pani.

Kiwnęła głową.

– Co łączy cię z moją córką?

Milczał.

– Co? – powtórzyła ostrzej.

– Ja… My… spotykaliśmy się…

Berenika – z rumieńcami na twarzy i wzrokiem ciskającym gromy – przerwała Zafirowi w pół zdania:

– Matko, kochamy się i nic nie możesz z tym zrobić!

Xander stanął za krzesłem księżniczki i położył jej dłonie na ramionach, tym samym przytrzymując dziewczynę w miejscu.

Królową natomiast owładnęły szarpiące żołądkiem mdłości.

Czy oni wiedzą, że są rodzeństwem? Och, bogini, chyba zaraz zwrócę te figi.

– Jakim cudem tak długo udawało się wam to utrzymać w tajemnicy? – zapytała zamiast tego.

Przygarbiwszy brzydko plecy, Zafir odezwał się pierwszy:

– Ojciec wiedział, kiedy jest bezpiecznie….

– A co cię to obchodzi, matko?! – warknęła Berenika. – Myślisz, że sama jesteś taka święta? Myślisz, że nie wiem, co robiłaś z Sunni? – zaakcentowała mocniej.

Arisnoe westchnęła, spoglądając głęboko w żółte oczy księżniczki.

– Zamknij się, córko. I milcz, póki nie otrzymasz pozwolenia – odparła spokojnie – albo każę Drugiemu cię zakneblować. – Uniosła palec, widząc, że tamta chce odpyskować. – Tylko spróbuj. Jedno słowo i knebel.

Zęby Bereniki szczęknęły głośno, gdy z rozszerzonymi zdziwieniem oczami zamknęła usta. Arisnoe nigdy tak do niej nie mówiła.

– Jak to twój ojciec wiedział, kiedy jest bezpiecznie? – znów zwróciła się do Zafira. Ale obawiała się, że zna odpowiedź.

– Podpowiadał mi terminy spotkań, pani. Powiedział, że w tym czasie gwardziści będą mieli – zawiesił głos – słabszy wzrok.

Byłam taka głupia – pomyślała. Jej obawy się potwierdziły. Kiedy poprosiła Kazafiela, by znalazł cichego opiekuna dla jej syna, nieświadomie pchnęła Satora w ramiona jego prawdziwego ojca.

– Kto na was czekał w ogrodzie? – kontynuowała. – I dlaczego?

– Jeden z ludzi ojca. Miał zabrać Be… twoją córkę, pani. Na Zachodni Brzeg. Ale ja nie chciałem, żeby ją porwali. Chciałem, żeby mieszkała przy mnie, ale nie w taki sposób. Kocham ją, pani – przyznał, wpatrując się w swoje dłonie. – Dlatego nie pojawiłem się na pierwszym spotkaniu. A przy drugim powiedziałem jej wszystko. To znaczy nie wszystko. Nie miałem pojęcia o zamachach…

Berenika szarpnęła się wściekle, przeszywając chłopaka lodowatym spojrzeniem. Arisnoe odczekała chwilę. Nie zrozumiała do końca słów Zafira, ale jedno było pewne.

– Wiedziałaś?

Księżniczka wyszczerzyła się jak wilczur złapany we wnyki.

– Wiedziałam, a jakże, matko! Nienawidzę tej złotej klatki, w której mnie trzymacie! Nienawidzę was wszystkich! Nienawidzę ciebie!

Arisnoe przekrzywiła lekko głowę.

– A masz pojęcie, córko, że obecny tu Zafir jest twoim bratem?

Chłopak wydawał się bardzo zakłopotany, ale mina Bereniki nie zmieniła się ani na jotę. Oczywiście, że wiedzieli.

– Domyślacie się zatem – kontynuowała królowa – że nigdy już nie możecie się zobaczyć. – Przeniosła wzrok na Drugiego. – Xandrze, bądź tak miły i zabierz moją córkę do pokoi. Tylko nie zapomnij o zamknięciu drzwi na klucz.

– Oczywiście, moja pani. – Mężczyzna skłonił się głęboko i dał znak księżniczce, by wstała.

Berenika zrobiła wściekłą minę. Ale w jej źrenicach błysnął też strach. Pamiętała o groźbach matki, więc po chwili wahania zadarła głowę i odwróciła się na pięcie, jakby wcale nie została zmuszona do odejścia. Jakby

sama zdecydowała się opuścić komnatę.

Drugi pognał za nią do wyjścia, tymczasem Arisnoe została z Zafirem sama.

Tak bardzo chciałam, byś został, kim tylko zapragniesz.

– Nie wiem – przyznała – co z tobą zrobić.

– Przykro mi, pani.

Pokiwała głową.

– Mnie też przykro, synu.

Drugi zajął się Zafirem. Gdy wrócił, niemalże od progu zapytał:

– Czyli za wszystkim stoi Kazafiel?

Arisnoe pokręciła głową.

– Ale przecież chłopak mówił, że to jego ojciec…

Wybaczcie, bogowie, głupotę waszej wyznawczyni. Dawną i obecną.

– Kazafiel nie jest ich ojcem – wyrzuciła z siebie Arisnoe. Westchnęła, zauważając, że Xander stanął w miejscu oszołomiony. A przecież królowa miała jeszcze w zanadrzu niejedną zaskakującą wieść…

– To kto? – zapytał Drugi, po chwili ruszając do stołu. – Kto jest ojcem?

– Taru.

Xander bezwładnie opadł na krzesło, chowając twarz w dłoniach i chichocząc niczym wariat.

– Na bogów, ale jak? Czym?

Arisnoe walnęła pięścią o stół. Drugi w swej ignorancji najwyraźniej nie miał pojęcia, jak wyglądało rzezanie.

– A czym się dzieci robi, durniu? – Wzięła głęboki wdech i spokojniejszym już tonem ciągnęła: – Po pierwszej nocy z Kazafielem się załamałam. Po prostu go nie kochałam ani nawet nie lubiłam. Szczerze powiedziawszy, żal mi go. Pewnie teraz czuje się zdruzgotany, ale nie mogę na niego patrzeć.

Zbyt mocno przypomina mi zmarłą córkę.

– Czy Kleo była…?

– Tak, jego… Ale nie rozmawiajmy o tym, proszę.

Xander w milczeniu skinął głowa. Arisnoe ponownie odetchnęła.

– Wracając do tamtej nocy…… Taru mnie wtedy pilnował. – Uśmiechnęła się smutno. – Usłyszał, jak płakałam i zapukał do moich drzwi. Kazałam mu wejść. A potem jedna rzecz poprowadziła do drugiej i… Nie uwierzysz, bracie, jak wielkie było moje zdziwienie, gdy poczułam – zaakcentowała – reakcję Taru.

Drugi pokręcił głową z niedowierzaniem.

– W jaki sposób zdołał to ukryć przez te wszystkie lata?

Arisnoe prychnęła cicho.

– O to zapytałam, gdy tylko skończyliśmy. – Poczuła ciepło na policzkach. Zdziwiła się, że jest jeszcze zdolna do rumieńców. – Nie chciał mi wyjawić wszystkiego. Może medyczka, która miała go rzezać, rozpoznała w nim syna? A może udało mu się ją przekonać, że jednak jego przyrodzenie sprawuje się lepiej nietknięte? Na pewno rozpuścił plotkę o tym, że kobiecie omsknęła się dłoń. Chodził z poplamionym zwierzęcą krwią opatrunkiem i symulował gorączkę. Od tamtego czasu raczej nikogo nie dziwiło, że Taru unika wystawiania na pokaz efektów niefortunnego zabiegu. Poza tym na pewno ma jakichś popleczników, którzy pomagają mu się ukrywać. – Zaśmiała się gorzko, a potem dodała poważnie: – On jest sprytny, bracie. Bardzo sprytny.

– Jak długo trwał wasz romans?

– Niedługo. Gdy dowiedziałam się, że jestem brzemienna, rozum wrócił mi do głowy. Potem nie mogłam spać po nocach, bojąc się, że bliźniaki mają krew Taru. A gdy zobaczyłam ich jasną karnację i kręcone włosy, zrozumiałam, że moje obawy się ziściły.

– Nie wpadłbym na to – przyznał Drugi. – Dowódca może i jest blady, ale goli się na łyso.

– Wiele razy dziękowałam bogini za ten zbieg okoliczności.

– Co było potem?

– Nic. A przynajmniej tak myślałam. Kiedy powiedziałam mu, że musimy przestać, zareagował raczej beznamiętnie. Stał się nieco oziębły, ale nie wyglądało na to, by chował urazę…

Już nie nazywał mnie Złotooką.

– Nie obawiałaś się, że powie wszystkim?

Arisnoe pokręciła energicznie głową.

– On znał mój największy sekret, a ja znałam jego.

Taru właśnie kończył się ubierać, gdy wyważyli drzwi. Zanim upadł, przyciśnięty do ziemi butem Drugiego, nożem wyciągniętym zza pasa zdążył ugodzić jednego z wojowników. A potem do pokoju weszła ona.

Złote oczy lustrowały uważnie jego twarz.

Nie chcąc dać dziwce satysfakcji, uśmiechnął się zimno i nawet nie mrugnął. Wtedy nad głową usłyszał kpiarski głos Drugiego:

– I co teraz z nim zrobimy, pani?

– Poproszę Hatsu – odpowiedziała miękko królowa – by naprawiła niedopatrzenie pewnej medyczki.

Stojący mu na plecach pajac parsknął głupkowato:

– By zszyć jednego węża, wpierw musisz odpruć innego…

– Drugi – wtrąciła *pheraan* – siedź cicho, proszę.

– Tak, pani.

Arisnoe pokręciła głową.

– Taru, chcę żebyś wiedział – mówiła dalej, kucnąwszy przy wykręconym ciele dowódcy – że nie czynię tego z chęci zemsty czy zawiści. Potrzebuję, byś wyznał nam, co wiesz o *gamhul* i zrobię wszystko, by to z ciebie wyciągnąć. By chronić mój kraj.

Taru zajrzał głęboko w złote oczy i zobaczył… nie triumf, lecz smutek.

Istny bezmiar smutku.

KSIĘGA DAAT

Anna Szumacher

Nie zamierzał brać rozbiegu, gdy skakał z zamkowych murów do mulistej rzeki. Prawdę powiedziawszy, nie miał nawet w planach skakania ze wspomnianych murów, ale strzały świszczały mu wokół głowy, gonili go strażnicy wymachujący rohatynami i jakoś tak wyszło.

A chciał po prostu zdobyć nieco informacji…

Hrabstwa, po których podróżował Feure Crow, stały na skraju wojny. Nie miało znaczenia o co, dla niego liczyło się tylko, że jeden z tych durniów marzących o łatwo zdobytym bogactwie i koronie postanowił go zatrudnić, by znalazł Daat: tajemną księgę mogącą przeważyć szalę zwycięstwa. A także – podobno – wskrzeszać zmarłych, rodzić złoto i robić różne inne, całkowicie nieprawdopodobne rzeczy.

Cóż, jakby na to nie spojrzeć, żyli w równie nieprawdopodobnym świecie, więc – nie zastanawiając się długo – przyjął zadanie.

– Nie ma sprawy, znajdę ją – powiedział hrabiemu, kiedy zjawił się w jego obozie eskortowany przez dwóch przestraszonych żołnierzyków. – Ale potrzebuję trochę czasu.

Miał co do księgi własne plany. Nie powiedział przecież, że ją odda, tylko że znajdzie. Słowa, słowa, słowa.

Zgodził się z prostego powodu. Wojna w teorii mu nie przeszkadzała, przeżył już w swoim życiu niejedną, a każda z nich wyglądała tak samo. Wszędzie kręciło się pełno żołnierzy, wokół wiosek rozpościerały się zniszczone pola, trzeba było również uwzględnić spalone chałupy, wdowy i nieestetyczne trupy w rzekach, jednak on postanowił podjąć się tego zadania z całkiem prozaicznego powodu: żołnierze obu armii mieli dziwny zwyczaj korzystania z okolicznych karczm, a potem równania ich z ziemią. Natomiast Feure traktował każdą napotkaną oberżę jak swój dom. Tylko dzięki nim czasami nie sypiał pod gołym niebem; zjadł coś ciepłego; nie był sam jak pies, przynajmniej na jedną noc. Tak więc wojna – teoretyczna i dziejąca się z dala od niego – mu nie przeszkadzała. Ale ta, w którą wdał się hrabia, odbywała się, jakby nie patrzeć, na obszarze, po którym Feure dosyć często podróżował. I nie zamierzał zmieniać swoich nawyków tylko dlatego, że ktoś chciał zepchnąć kogoś innego ze stołka.

Feure zamierzał zakończyć wojnę, zanim na dobre się zaczęła, by ocalić swoje ulubione gospody.

Tak było wczoraj. Dzisiaj zajmował się skakaniem z murów zamku Celtill. Wcześniej ukradł jednemu z królewskich żołnierzy mundur, dostał się do kwater dowództwa, przejrzał tajne raporty w komnacie generała Marengo i wbił jednemu z oficerów sztylet w oko. To ostatnie okazało się wyłącznie winą oficera, bo zaszedł Crowa od tyłu i go zwyczajnie przestraszył. Feure działał odruchowo – co poradzi, że miał takie, a nie inne odruchy? Owszem, mógł wywołać niezadowolenie strażników, ale żeby od razu strzelać do człowieka? Poza tym stracił bardzo dobry sztylet, który prawdopodobnie tkwił jeszcze w oficerskiej czaszce, więc tak naprawdę on był tutaj ofiarą!

Podsumowując: pierwszy dzień poszukiwań Daat nie należał do udanych.

Prąd zniósł go daleko poza obręb stolicy, zanim udało mu się wczołgać na niski i w miarę piaszczysty brzeg rzeki. Pluł i charczał przez dłuższą chwilę, nim opadł na plecy, niezdolny do ruszenia nawet małym palcem. Nie wiedział, gdzie jest, co oznaczało, że (przynajmniej metaforycznie) zbliżał się do rozwiązania problemu – szukania wiatru w polu. Jeśli goni się za nie wiadomo czym i nie wiadomo gdzie, najprostsza droga powinna wieść przez gdziekolwiek i kiedykolwiek. Inaczej baśnie nie zaczynałyby się od: „Pewnego razu, w odległej krainie…".

– Wszystko w porządku?

Głos, który obudził go nieco po świcie, wydawał się zmartwiony. Nie wojskowy i nawet nie z akcentem z Celtill. Feure ostrożnie otworzył oko, błękitne jak niebo nad ich głowami.

– To zależy – odpowiedział w końcu. – Trzymasz broń wyciągniętą w moim kierunku?

– Tylko jeśli uważasz za broń kij do podpierania i kawałek chleba. – Usłyszał w odpowiedzi.

– W porządku – stwierdził, siadając szybko. – Czy możesz mi powiedzieć, dobry człowieku, gdzie jestem?

– Na ziemiach hrabiego Lavalleya. W pobliżu wioski, o której pewnie nie słyszałeś – odpowiedział mężczyzna wyglądający na średnio zamożnego gospodarza. Na oko Crowa wieśniak posiadał trzy krowy, dziesięć kur i dwóch synów. Brzuch średni, ale wypasiony równo przez lata. Dobrze wykarmiony typ, pracujący raczej przy zwierzętach niż w polu.

– Uczciwa odpowiedź. – Wstał i otrzepał ubranie z piasku.

– Ścigają cię? – Zainteresował się wieśniak. – Jesteś coś wart?

Nie, tak sobie lubię poleżeć – przemknęło Crowowi przez myśl. *Bo akurat bym ci powiedział.*

Nie, też odpada.

Postanowił odpowiedzieć w miarę szczerze. I zacząć od drugiego pytania.

– Jestem wart tyle, ile skóra na mych plecach i zawartość kieszeni. Co do ścigania, trudno powiedzieć. Zaskoczyli mnie, straciłem broń, nie jestem pewien, czy będą mnie szukać aż tutaj. Udało mi się uciec, wiesz?

Był dumny z tej wypowiedzi. Wyznał samą prawdę, jednocześnie nie mówiąc prawdy w ogóle.

– Jakaś zorganizowana banda – dodał, mając przed oczami te wszystkie mundury i zastanawiając się jednocześnie, czy wspomniany Lavalley ma bliskie stosunki ze stolicą. Nie, chyba nie.

– Ciężki dzień za tobą – podsumował mężczyzna.

Z niedaleka słyszeli niecierpliwe rżenie.

– Najbliższy tydzień nie zapowiada się lepiej – przyznał Feure. – Wiesz, jestem prostym człowiekiem, który ciężko pracuje na swój byt i czasami naprawdę myślę, że przydałby mi się cud.

– Ja tam na cudach się nie znam – zaczął wieśniak – ale mogę wskazać kogoś, kto do pewnego stopnia mógłby ulżyć twojej niedoli. Jest pewna kobieta…

Feure popatrzył na niego krzywo. Spojrzenie było o tyle niepokojące, że jego drugie oko miało kolor ziemi, po której stąpał. Rozpoznawalność – cecha, która przysparzała mu tyleż kłopotów, ileż radości. Czasami jedno i drugie łączyło się ze sobą.

– Widzisz tę twarz? Czy naprawdę wyglądam na kogoś, kto musi szukać takich usług? Płatnych, znaczy się? Akurat na tym polu sam jestem cudotwórcą – stwierdził zirytowany.

Mężczyzna zaczął się śmiać. Przez chwilę nie mógł się uspokoić, co rusz ocierając łzy z czerwieniejącej, pyzatej twarzy.

– Och… och… – Z trudem łapał oddech. – Nigdy bym nawet nie pomyślał, że Daat może świadczyć tego typu usługi. Nie jest pięknością, ale…

Feure błyskawicznie znalazł się przy grubasie i podniósł go za kamizelkę.

– Gdzie mogę ją znaleźć?

Mężczyzna poczerwieniał jeszcze bardziej i zaskoczony machał nogami w powietrzu, nie mogąc zrozumieć, jak ktoś dwukrotnie lżejszy od

niego uniósł go z taką łatwością. Crow szybko się opamiętał i odstawił go na ziemię. Otrzepał ubranie wieśniaka z niewidocznego kurzu i odchrząknął.

– Wybacz. O czym mówiłeś? Ach, o Daat. Tak więc gdzie mogę ją znaleźć?

Mężczyzna pokazał dłonią kierunek.

– Za tamtym lasem. Dzień drogi konno?

– Sprzedasz mi swojego konia – powiedział stanowczo Feure. Nie był to może najlepszy z wierzchowców, ale na pewno szybszy niż droga na piechotę. – Płacę w klejnotach – dodał, sięgając do kieszeni, w której drzemały zagrabione ze skarbca „drobniaki".

A tak – jak już dostał się do zamku, zajrzał nie tylko do komnat. Taki mały szczegół. Niewart wspominania.

Kilka minut później wieśniak stał przy swoim wozie, nie do końca rozumiejąc, czemu będzie musiał pociągnąć ładunek z powrotem do chałupy zupełnie sam, trzymając w garści majątek wart wioski z przyległościami.

W tym samym czasie Feure Crow, przeklinając koślawy i niemrawy chód konia, którego próbował zmusić do szybszego biegu, zmierzał w stronę widniejącego na horyzoncie lasu.

Zachód słońca współgrał z widokiem kilkudniowych zgliszczy, sprawiając wrażenie, jakby były spowite płomieniami. Crow rozejrzał się. Jedna chałupa pośrodku niczego. Dzień drogi za lasem. Przekleństwo wyrwało mu się samo. Zeskoczył z konia i zaczął badać ślady. Niewielki oddział. Niepodkute wierzchowce, ale też niespecjalnie wytrenowane do jazdy rzędem. Czyli nie czerwoni, a zwykła banda maruderów czy zbójców. Na jedno wychodzi.

Usiadł na pokrytej pyłem ziemi i przymknął powieki, wyobrażając sobie mapę całego Wschodu. Spłynął rzeką na tereny Lavalleya. Mógł

znaleźć się na granicy jego ziem. Las. Jechał na północny zachód. Czyja banda miała tutaj swoje rewiry? Algonquina? Tak, to pewnie on. Dzikus. Po cholerę mu księga, jeśli nawet nie umie czytać? Pisać zresztą też. Jego ludzie nie byli lepsi…

Wstał i obejrzał resztki budynku. Wyglądało na to, że dom spalono, gdy stał pusty. Jeśli księga została zabrana (a Crow miał szczerą nadzieję, że żaden idiota jej nie spalił) to musieli wziąć ze sobą również jej strażnika. Kogoś, kto się nią opiekował. Kto umiał pisać. Wspomnianą przez wieśniaka kobietę – Daat. Feure do tej pory myślał, że Daat to nazwa kupy papieru, ale nowa teoria miała większy sens.

– Prześpimy się tu – powiedział, podchodząc do konia, który wyglądał jakby miał umrzeć ze zmęczenia. – Możemy kawałek dalej, jeśli przeszkadza ci spalenizna. W nocy i tak nie znajdę śladów.

W ostatnich promieniach zachodzącego słońca ruszyli z powrotem w stronę lasu.

Poranek wślizgnął się na świat niepostrzeżenie. W tym czasie jeździec doszedł do wniosku, że może pojawić się u Algonquina na dwa sposoby. Uczciwie, jako niesławny Feure Crow, co skończyłoby się natychmiastowym wzięciem do niewoli i dało mu spore szanse na wylądowanie nawet w tym samym namiocie, co poszukiwana przez niego Daat. Z drugiej strony mogliby obciąć mu głowę na miejscu i nie targać niepotrzebnie reszty do najbliższego punktu poboru nagród. Same listy gończe nie przeszkadzały Crowowi. To tylko ubarwiało jego życie i budowało mu odpowiednią renomę w pewnych kręgach, zanim w ogóle do nich dotarł. Legenda nie dość, że wyprzedzała go o wiele mil, to jeszcze rozrastała się z dnia na dzień. Był z niej dumny. Jedno szepnięte słowo tu, drugie tam. Czasami zdumiewało go, jakich rzeczy dokonał.

Drugi sposób dotarcia do Algonquina mógł okazać się zdecydowanie łatwiejszy. Musiał po prostu przestać być sobą. Powiedzieć, że ścigają go ludzie Lavalleya, bo zabił dwóch z nich. Próbowali skrzywdzić mu matkę. Kiedy człowiek obraca się w zbójeckim towarzystwie, dobrze jest

wiedzieć, jakie są słabostki tych naprawdę potężnych. Algonquin trząsł całą okolicą, ale miał straszną słabość do mamusi. Zmyślona historia Crowa mogła mu zjednać jego sympatię.

Usiadł spokojnie na pieńku. Wyplótł z włosów wszystkie koraliki, złote blaszki, niepozorne świecidełka. Trzymanie bogactw na wierzchu stało się skutecznym sposobem na ukrycie prawdziwej fortuny. Ściągnął naszyjnik, zabarwił sobie spalonym drewnem zęby i doszedł do wniosku, że jest gotów do drogi. A, nie, jeszcze jedno…

Pogrzebał w jednej z licznych kieszeni i wyciągnął przybrudzoną chustę.

Niebieskie czy brązowe? Brązowe były w tej okolicy częściej spotykane – uznał, zawiązując sobie przepaskę na jaśniejszym oku. Nawet konia miał wiejskiego, bez problemu wcieli się w nową postać. Jeszcze tylko wymyśli sobie jakieś imię…

– Ukryłem matkę u jej siostry w sąsiedniej wiosce, może tam jej nie znajdą. – Feure tak się zaangażował w swoją tragiczną opowieść, że prawie się popłakał. – Ale sam musiałem ratować się ucieczką.

– Niby czemu żołnierze mieliby atakować twoją matkę? – Jeden z ludzi Algonquina okazał się bardziej inteligentnym typem. Crow był na to przygotowany.

– Mimo wieku nadal przyciąga uwagę mężczyzn – zapewnił. – Mam po niej wszystko, co najlepsze. Musiałem przecież bronić jej czci i honoru. – Przerwał dla lepszego efektu i dokończył rzewnie: – Dla mnie to i tak najpiękniejsza kobieta na świecie.

Usłyszał buczenie i smarkanie. Algonquin, dwumetrowy bydlak, który w innym wypadku mógłby przebiec po Crowie i nawet tego nie zauważyć, rozpłakał się jak dziecko.

– Bra… bracie! – chlipał. – Drzwi do mojego namiotu i mego domu są dla ciebie otwarte na wieki! Chodźmy się napić!

Zanim Feure się zorientował, masywne grabie chwyciły go wpół i zaciągnęły do wnętrza największego namiotu.

– Jak ci właściwie na imię? – zapytał przywódca bandy, jedną ręką ocierając łzy, a drugą wciąż ściskając przybyłego.

– Seirei – jęknął zapytany, próbując złapać oddech. – Czy mógłbyś…

Algonquin zrozumiał go nieco opacznie.

– Nie martw się! – Bandyta ścisnął go jeszcze mocniej, aż Crowowi zdrętwiały ręce. – Wszystko będzie dobrze, nie pozwolimy cię skrzywdzić. Będziemy dla ciebie jak rodzina.

Feure, aktualnie Seirei, tylko jęknął. Głównie po to, by zamaskować radość, gdy ponad ramieniem Algonquina na jednej ze skrzyń zobaczył wielką, grubą księgę. Nie dostrzegł innych, więc mógł śmiało przypuszczać, że ta, na którą patrzył, nie była książką kucharską. Przy okazji zajrzy do środka, tak dla pewności. Jednak zanim to zrobi, będzie musiał w jakiś sposób wydostać się z niedźwiedziego uścisku olbrzyma, co może okazać się nie takie proste.

Jednocześnie miał szczerą nadzieję, że Algonquin dotrzyma słowa i nie zechce urwać mu głowy, gdy odkryje, że jego nowy pupilek zniknął – a wraz z nim księga.

Daat, o czym Crow nie wiedział, wcale nie zamierzała czekać biernie na ratunek. Odkąd wyciągnęli ją z kuchni, spalili jej dom, związali i wrzucili do śmierdzącego namiotu, nie robiła nic innego, tylko pałała żądzą zemsty. Chwilowo ograniczało się to do prób uwolnienia z więzów. Wystarczyłaby jedna ręka, by posłać ich wszystkich do piekła. Poczuliby, co znaczy gniew kobiety. Już pal licho dom i porwanie, ale kiedy do niej wpadli, właśnie kończyła piec ciasto i pierwszy raz w życiu nie wyszedł jej zakalec. A teraz z jej wypieku został tylko popiół. To nie było coś, co mogła puścić płazem.

Szarpnęła dłonią raz jeszcze, czując jednocześnie, że po plecach spływa jej strużka krwi. Pod koszulą, w świeżej ranie, pojawił się kawałek zlepionego, białego pióra.

Na szczęście Algonquin miał słabą głowę. Zdumiewająco słabą, jak na mężczyznę o takich gabarytach. Crow wstał powoli z ławy, nasłuchując, czy chrapanie pozostaje tak samo jednostajne, i powoli zaczął się skradać w stronę księgi. Poza namiotem słyszał pijackie głosy, ale większość bandy Algonquina spała snem… no, może niekoniecznie sprawiedliwego, ale równie mocnym.

Ostrożnie uniósł okładkę. Później przełożył pierwszą, pustą stronę. Jego wzrok padł na staranne i zamaszyste pismo.

Czwarty dzień miesiąca kiełków dwunastego roku panowania Galena Crestfallena, trzeciego tego imienia. Chłopak świniarki z Nowej Wsi pod Starym Lasem wpadł do studni. Znachor nie daje mu szans. Na szczęście po trzech dniach opuchlizna sama zejdzie i obudzi się zdrowy jak rydz. Od tej pory będzie bardziej uważny i nie stanie mu się nic złego. Jedyne nieszczęście, jakie go spotka, to matka jego żony, kobieta wyjątkowo irytująca. Przy okazji ławka Daat wymaga wymiany, bo jest nadpróchniała. Ojciec świniarczyka mógłby się tym zająć.

Feure Crow ze zdumienia szerzej otworzył odsłonięte oko. Przerzucił kilka kartek.

Dwunasty dzień miesiąca gęstych mgieł trzynastego roku panowania króla Galena. Zbliżająca się wichura w ostatniej chwili ominęła wieś Zielony Liść i jej uprawy. Mieszkańcy Zielonego Liścia, wdzięczni bogom, będą przynosili świeże warzywa do kapliczki stojącej przy chacie czarownicy zwanej Daat. Bogowie na pewno okażą się zadowoleni.

I jeszcze:

Strasznie dużo kłopotów ostatnio. Daat prawdopodobnie przeprowadzi się gdzieś, gdzie nie będą przybiegali do niej z byle skaleczeniem.

Pisanie boli coraz bardziej. Aha, tak. Zniszczenia mostu na rzece Bimber nie okazały się tak poważne, jak się wydawały. Przed jesiennymi deszczami naprawy zostaną zakończone.

Crow z mieszanymi uczuciami przymknął książkę. Wyglądało na to, że do Daat ustawiały się całe kolejki ludzi z problemami, a ona nadpisywała rzeczywistość i tworzyła przyszłe wydarzenia. Najwyraźniej nie mogła zmieniać przeszłości, inaczej syn świniarki nie wpadłby do studni w ogóle. Z drugiej strony potrafiła przesunąć huragan na czyjąś prośbę. Potworne. I wspaniałe zarazem.

Zanim zdążył chwycić księgę i po cichu wynieść się z obozu, chrapanie ustało. Feure padł na drewnianą podłogę i przybrał najbardziej pijacki wyraz twarzy, na jaki było go stać. Przywódca bandytów ocknął się na moment, zapadł w sen na kolejne kilka minut, po czym przebudził się ostatecznie i rozejrzał dookoła. Zaśmiał się, czknął i wstał, gdy wyższa potrzeba wygnała go na zewnątrz. Później po namiocie zaczęli kręcić się ludzie i Feure, w tej mało wygodnej pozycji, pół metra od poszukiwanego skarbu, przeleżał do świtu.

Wychodząc z namiotu, potknął się o czyjeś nogi. Kiedy przyjrzał się uważniej, uznał, że nogi przyczepione są do całkiem świeżych zwłok.

– Co mnie ominęło? – zapytał świata jako takiego.

– Norma. – Jeden ze zbójców siedzących w cieniu pod drzewem przeciągnął się. – Trudności w zrozumieniu, czym jest podział obowiązków. Pokłócił się z dowódcą.

– Macie tu jakiś podział? – Feure przeczesał włosy palcami i podszedł do drzewa. – Niby jaki?

– Gotowanie. Czyszczenie koni. Karmienie koni. Sprawdzanie palików przy namiotach. Rozpalanie ognisk. Robienie listy zakupów. Karmienie więźniów.

– Nie wiedziałem, że banda zbójców jest tak dobrze zorganizowana.

Wojskowi mogliby się od was uczyć – zauważył Feure, siadając. – A ten szczęśliwiec od czego był?

– Dzisiaj? Od doglądania więźniów.

– Macie jakichś więźniów? W sumie słusznie, pewnie na okup, nie?

– A tam. – Zbójnik poirytowany zaczął wytrzepywać fajkę. – Jakaś baba. Potworny charakter. Gryzie, kopie, przeklina, nikt nie chce wchodzić do jej namiotu. Miał pójść i ją nakarmić i widzisz, jak skończył. I tak uważam, że jest zadowolony z obecnej sytuacji, bo nie musi już iść do tej hetery.

– I kto do niej poszedł? – zainteresował się jeszcze bardziej Crow.

– Nikt. Może jak jędza trochę osłabnie, to przestanie się tak rzucać.

– Może ja do niej pójdę? – zaoferował. – Zawsze sobie radziłem z kobietami, no i powinienem się może jakoś zasłużyć. W końcu jestem nowy. Pewnie nie u wszystkich wzbudziłem sympatię.

Mężczyzna z fajką tylko wzruszył ramionami.

– Zaczep o kuchnię, coś ci dla niej wydadzą. Chociaż ja osobiście wolałbym posprzątać po wszystkich koniach, niż iść do jej namiotu.

– W porządku.

Crow wstał i ruszył na poszukiwania jedzenia.

Kilka minut później stanął przed namiotem, gdzie siedziało: „to zło piekielne", „demoniczna franca", „babsztyl z piekła rodem" i „cholerna czarownica". Krótko mówiąc, Daat. Odchylił połę i wszedł do środka.

Dochodził świt, kiedy obudziła się skostniała. Znajomy zapach starego, brudnego namiotu i bolące stawy szybko połączyły się w całość – to, co mogło być złym snem, okazało się smutną rzeczywistością. Bez specjalnego przekonania zaczęła kręcić nadgarstkami, obcierając sobie jeszcze bardziej skórę i rozglądając się dookoła. Pewnie niedługo pojawi się kolejny kretyn z niedogotowanym i niedosolonym jedzeniem. Chociaż dzisiaj już na tyle zgłodniała, że nawet na to cholerne obozowe żarcie by się skusiła. Jak na złość, nikt nie przychodził.

I wtedy, zupełnie nieświadomie, wygięła dłonie i wyciągnęła jedną z nich z więzów. Tak ją to zaskoczyło, że przez chwilę przyglądała się obtartej, czerwonej skórze i zesztywniałym palcom. Zgięła je i wyprostowała kilkakrotnie, po czym szybkim, zdecydowanym ruchem sięgnęła do pleców. Zagryzła zęby, kiedy pociągnęła za długie, białe pióro. A potem pochyliła się i – pełna złości – szybkimi ruchami zaczęła pisać.

Pierwsze kamienie zaczęły spadać na obóz, kiedy na litery padł promień światła spomiędzy rozchylonych pół namiotu, gdy ktoś wszedł do środka.

Crow mógł przysiąc, że coś ciężkiego świsnęło mu tuż za plecami, dosłownie poczuł pęd powietrza. Szybko zlustrował sytuację: namiot, śmierdzi, ciemno, jedna osoba pośrodku przywiązana do stelażu podtrzymującego dach. Zajęta czymś i zdecydowanie niebezpieczna. Dobrze znał ten zacięty wyraz twarzy, widywał go w lustrze. Nie codziennie, lecz było to spowodowane wyłącznie brakiem lustra.

Odruchowo rzucił się w stronę kobiety i przygwoździł jej wolną rękę do ziemi, zanim zdążyła się obejrzeć. Krzyknęła, kiedy przycisnął jej poranioną dłoń do piachu.

– Cicho! – powiedział, delikatnie luzując uścisk. – Nie jestem tu po to, by cię skrzywdzić.

– Wszyscy tak mówicie – warknęła, usiłując się wyrwać. Wiła się jak piskorz i próbowała go ugryźć.

– A wy wszystkie jesteście takie słodkie i zawsze niewinne – odciął się, zerkając na piasek pełniący funkcję podłogi namiotu. Na wygładzonej powierzchni widniało takie samo pismo, jak w księdze. Przeczytał szybko treść, wciąż trzymając kurczowo rzucającą się i syczącą kobietę.

Zaraz, zaraz, kamienie spadające z nieba na obóz?

W końcu zwrócił uwagę na dziwny huk i krzyki na zewnątrz.

Puścił porwaną, wyciągnął z buta nóż i wprawnym ruchem przeciął jej więzy. Uwolniona kobieta odsunęła się na bezpieczną odległość i zaczęła rozmasowywać kostki.

– Nie zamierzam cię skrzywdzić – powtórzył, siadając obok, nadal ściskając nóż w garści. – Jesteś Daat, tak? Niezła sztuczka z tymi kamieniami, ale jak chcesz się stąd wydostać, to po pierwsze przyda ci się pomoc, czyli ja. A po drugie żeby wyjść, będziesz musiała zatrzymać burzę. Sprytnie, że pamiętałaś o ominięciu namiotu, w którym siedzisz. Mam nadzieję, że oszczędziłaś konie, cholernie trudno uciekać na piechotę.

Popatrzyła na niego zaskoczona i w końcu powiedziała:

– Szlag.

Westchnął. To ten typ, który najpierw działa, a potem myśli. Będzie musiał na nią uważać, bo zrobi krzywdę jemu i sobie, a w tym akurat momencie na obu życiach dość mocno mu zależało.

– To teraz ja ci powiem dokładnie, co napiszesz. A jeśli przez zupełny przypadek ręka ci się omsknie i będziesz próbowała zrzucić na mnie na przykład wieloryba, wbiję ci ten oto nóż w dłoń, jasne? I uwierz mi, to jest ten łatwiejszy sposób.

– Nie mogę zrzucić wieloryba – bąknęła pod nosem. – Nie wiem, jak wygląda.

Crow, zdumiony, otworzył usta. Krzyki ustały, bandyci albo leżeli gdzieś trafieni przez głazy, albo uciekli. W powietrzu niósł się głuchy, dudniący odgłos. Na zewnątrz miarowo padał kamienny deszcz.

Miesiąc burz, dwunasty dzień, szesnasty rok panowania Galena z rodu Crestfallenów – zaczęła pisać Daat, śledzona czujnym spojrzeniem klęczącego obok niej jasnowłosego mężczyzny.

– Jesteś jakimś obłąkanym rycerzem? Bohaterem? – zapytała.

Crow tylko splunął.

– Rozumiem, że nie widziałaś nigdy prawdziwego rycerza i dlatego zadajesz takie głupie pytania. Nie rozpraszaj się, pisz dalej. – Szturchnął ją trzonkiem noża.

Burza kamieni, która rozpętała się nad bandą Algonquina, i o której przez lata będą krążyły opowieści, skończyła się tak samo nagle, jak się zaczęła. Na zewnątrz leżało kilku nieprzytomnych lub martwych bandytów, jednak większości z nich udało się ujść z życiem i ukryć za wzgórzem nieopodal.

Znowu przerwała.

– Nie rozumiem, dlaczego nie mogę ich po prostu pozabijać. – Nadal miała w pamięci spalone ciasto.

– Bywają gorsi, uwierz mi. – Feure westchnął. – Dopóki Algonquin zapycha lukę na rynku bandytów, żaden inny tu nie przyjdzie. Ten jest dziwny, ale nie obdziera ludzi żywcem ze skóry.

– Tylko ich porywa – wyrzuciła z siebie Daat.

– Nawet nie umie czytać. Sam chyba nie wiedział, po co mu jesteś, skoro trzymał cię w namiocie. Usłyszał pewnie o księdze Daat, to zabrał wszystko, co było w chałupie. Z tobą w komplecie, znaczy się. I pewnie też garnki. To towar deficytowy na bandyckim rynku. Pisz dalej.

– Och, świetnie. Teraz wszyscy słyszeli o księdze Daat? – marudziła, kreśląc litery na piasku. – A co mam z nimi zrobić? Będą mnie szukali.

– Napisz, że zaniechają pościgu – zirytował się. – Specjalnie udajesz taką głupią? Widziałem wpisy w księdze, wydawałaś się raczej sprytną i obrotną osóbką – zauważył. – Poza tym możemy rozpuścić plotkę, że Algonquin ma w posiadaniu księgę Daat. Będzie zbyt zajęty oganianiem się od innych chętnych.

– Nie możemy im oddać księgi! – zawołała, podnosząc głowę.

– Czemu nie? – Zmrużył oczy. – Przecież to tylko sterta papieru. Magia tkwi w piórze, które trzymasz w swoich uroczych dłoniach.

Skończyła pisać. Huk na zewnątrz ustał. Crow usłyszał rżenie koni.

– Bystry jesteś – powiedziała, wstając. – Więc wiesz, że nie potrzebujesz ani księgi, ani mnie.

Wyciągnęła pióro w jego stronę. Feure zrobił krok w jej kierunku, kiedy białe pióro w jej dłoni zajęło się ogniem. Trzymała je w palcach,

dopóki całe nie zamieniło się w spalony fragment. Polizała oparzone palce i uśmiechnęła się.

– Teraz każde z nas może iść w swoją stronę. Nie masz już do mnie żadnego interesu, panie bohaterze. Wracaj, skąd przybyłeś.

To był ciężki tydzień dla Crowa. Co nie oznaczało, że nie mógł się podzielić tym ciężarem z kimś innym.

– Podobno nie zamierzałeś mnie skrzywdzić – jęknęła Daat, próbując poluzować sznur, którym była przywiązana do siodła. – Chcesz mnie zabić? Przecież to niebezpieczne! A jak koń mnie poniesie? Nie jestem ci już do niczego potrzebna. Bohaterowie nie powinni się tak zachowywać. I w ogóle jak się nazywasz, do diabła?!

– Ukrywanie przed tobą mojego imienia może mi wyjść tylko na zdrowie – odezwał się Feure z konia obok. – A jak się nie zamkniesz, to cię zakneblуję. I nie szarp się, bo wszystko zaciśnie się bardziej.

Daat posłusznie znieruchomiała. Ten argument do niej przemawiał.

– Dokąd mnie wieziesz?

– Zobaczysz. I przestań mnie nazywać bohaterem, ostatni raz ci to powtarzam, głupia kobieto. Bohaterowie to ludzie o słabych umysłach i braku pomysłu na życie, którzy bez przerwy muszą być wielbieni, kochani i nagradzani. A ja mam gdzieś, co ludzie o mnie myślą i chcę tylko żyć z dnia na dzień. Nigdy się nie zatrzymywać. Nie mam pióra, ale mam ciebie, skarbie. Na pewno chowasz jakieś w zapasie. Potrzebuję jednego, na chwilę. Żeby zatrzymać wojnę.

– Zaraz, co za wojnę? Niby jak mam ci w tym pomóc? Nie mam więcej piór, to było jedyne…

– Czy tobie się nigdy twarz nie zamyka? I na dodatek nie potrafisz kłamać.

Daat postanowiła spróbować innym sposobem.

– A gdybym ci, zupełnie hipotetycznie, pomogła, to wypuściłbyś mnie?

Crow uśmiechnął się. Ryba złapała haczyk.

– Powiedz, w którą stronę mam jechać. Jest was więcej z tymi piórami, czy masz gdzieś sprytny schowek?

– Wcale nie powiedziałam…

Feure odwrócił się ze ściągniętymi brwiami.

– Posłuchaj, skarbie. Nie urodziłem się wczoraj i wiem mniej więcej, jak działają ludzie. Nawet jeśli jesteś narwana i porywcza, to teatralne spalenie pióra było na pokaz. Nie niszczy się z czystej złośliwości czegoś, co potrafi czynić cuda. Szczególnie gdy oboje dobrze wiemy, że twoje magiczne piórka to coś więcej niż tylko tanie sztuczki i spadające kamienie. Potrafią uratować czyjeś życie. Może kogoś, kogo kochasz. W takim wypadku nie ma hipotetycznych sytuacji.

– Ja nikogo nie kocham – burknęła.

– Szkoda. To w którą stronę jedziemy?

Popatrzyła na obrany kierunek.

– Na razie w dobrą – odpowiedziała i umilkła na dłużej.

Minęły dwa ciągnące się niemiłosiernie dni. Daat, przynajmniej na początku, starała się być tak opryskliwa i niemiła, jak tylko się dało, Feure natomiast stawał się coraz bardziej mrukliwy i małomówny, aż w końcu zamilkł na dobre. Brak reakcji ze strony ciemiężyciela sprawił, że i Daat w końcu się poddała i ucichła.

– Kończy nam się jedzenie – powiedział Crow po kilkugodzinnym milczeniu. – Musimy podjechać do jakiejś wioski. Jest niedaleko jedna, gdzie mam kilku godnych zaufania znajomych. Są też gorące źródła. Założę się, że chętnie byś z nich skorzystała.

– Nie boisz się, że ucieknę? – spytała spokojnie.

Przestała atakować swojego wybawcę-porywacza przy byle okazji, choć nadal nie pałali do siebie zbytnią sympatią. Traktował ją dobrze – opatrzył jej otarte nadgarstki i nie zmuszał do kilkunastogodzinnej konnej jazdy. Jednak na pewno jej nie ufał. Co rusz kierował wzrok ku jej dłoniom, jakby sprawdzając, czy właśnie nie opisuje jego śmierci, zupełnie

jakby się spodziewał, że zaraz wyciągnie z rękawa kolejne pióro. Nie było to wcale tak dalekie od prawdy.

Nic nie odpowiedział.

– Gorące źródła brzmią cudownie. Mam obiecać, że nie ucieknę?

– Wszystko mi jedno. I tak ci nie uwierzę. W takim razie najpierw źródła, a potem zanocujemy w wiosce.

Feure chciał zabrać po drodze żonę przyjaciela, by dotrzymała upartej czarownicy towarzystwa w gorących źródłach, ale Daat wyśmiała go, twierdząc, że ma marne szanse utopić się w byle jeziorku, jak również uciec po ostrych kamieniach otaczających ten mały raj.

– Cały czas do mnie mów – powiedział. – I nie próbuj żadnych sztuczek, jasne?

– Będę rozbrojona i naga, jak wielkim zagrożeniem mogę być? – fuknęła zirytowana. – Załatwię ci stuletni pokój! Żadnych zamieszek, nawet burd w knajpach, tylko daj mi się wreszcie wykąpać!

– Może jednak pójdę po Jeyne… – zaproponował, drapiąc się po głowie.

– Przysięgam, jak to zrobisz, dowiem się, jak wygląda wieloryb i czym w ogóle jest, tylko po to, by go na ciebie zrzucić. A teraz idź sobie! – krzyknęła Daat, chowając się za skałą.

– Tylko pamiętaj…

– Tak! Przez cały czas będę do ciebie mówić, żebyś miał pewność, że nadal tu jestem – burknęła jeszcze, po czym dało się słyszeć chlupot wody.

Feure, nieco zagubiony w tej niecodziennej sytuacji, posłusznie usiadł na ziemi. Korzystając z odrobiny czasu, postanowił doprowadzić się do porządku. Ściągnął opaskę z twarzy i uznał, że może wpleść we włosy koraliki i świecidełka, wciąż schowane w niewielkim woreczku zawieszonym przy pasie. Daat mamrotała coś z jeziorka, a Crow zajmował się swoją fryzurą, kiedy sielankę przerwał urwany, wysoki krzyk. Dochodził – jakżeby inaczej – z gorącego źródełka.

Feure zerwał się i dwoma długimi susami znalazł się przy parującej wodzie. Daat zniknęła.

To było prawdopodobnie najdłuższe kilka sekund w jego życiu. Potem rozległ się plusk, a następnie spod wody wyłoniła się ociekająca i czerwona na twarzy kobieta. Zakrztusiła się, kaszlnęła dwa razy i w końcu krzyknęła w stronę brzegu, wychodząc jednocześnie na płytsze obszary.

– Mogłeś mnie uprzedzić o tym cholernym uskoku! Prawie się utopiłam, idioto! – Przerwała, zauważając, że stoi na granicy wody. Krzyknęła jeszcze raz i rzuciła się z powrotem w głębię.

– Miałeś nie wychodzić zza skały. – Daat siedziała obrażona na brzegu, wyciskając wodę z włosów. Crow stał niedaleko niej, opierając się o ścianę.

– Mogłaś tak nie wrzeszczeć.

– No cóż, nadal uważam, że to akurat była twoja wina.

Znajdowali się niedaleko źródeł, przy małym ognisku. Daat powoli obsychała, łącznie z ubraniem, które wciągnęła na siebie, jak tylko wyszła z wody.

– Dlaczego nie poszedłeś się kąpać? – zapytała. – Ach tak, bo nie mógłbyś mnie pilnować, zostawiając broń na brzegu.

– Pokaż mi swoje plecy. – Przerwał jej.

– Po co? Zboczeniec! – zaprotestowała.

– Zrobiła ci to banda Algonquina? – naciskał, podchodząc bliżej i kucając obok niej. – Ktokolwiek za to odpowiada, pokaż mi go. Dlaczego nie powiedziałaś wcześniej?

– Co? – Kobieta nagle się zmieszała. – Nie wiem, o czym mówisz…

Złapał ją stanowczym ruchem za rękę.

– Nie zamierzałem podglądać, ale głównie plecy widziałem podczas twojej panicznej ucieczki w wodzie. To świeże rany. Trzeba je opatrzyć. Daat, posłuchaj…

Wyrwała rękę z uścisku i skoczyła na równe nogi.

– Ty nic nie rozumiesz! – krzyknęła. – To cena, jaką trzeba zapłacić. Naprawdę wierzysz, że cuda przychodzą ot tak? Małe, białe, magiczne piórka? Myślisz, że skąd się biorą?

– „Pisanie boli coraz bardziej" – powiedział cicho, przypominając sobie ustęp z księgi. – Czemu to robisz?

Usiadła z powrotem przy ognisku, z dala od towarzysza.

– Bo się przejmuję. Bo mi zależy. Nie wiem. Wystarczy, że zajmę się jednym umierającym dzieckiem, by plotka rozniosła się po okolicy i kończę, naprawiając mosty i odganiając szarańczę. A jeśli odmówię, wyganiają mnie z kolejnego miejsca. Nie jest ważne, co zrobiłam wcześniej, nagle okazuje się, że jestem złą czarownicą bez serca. Dlatego wyprowadzam się sama, wcześniej, z własnej woli. Ale nigdy nie mogę się ukryć na długo, wyprzedza mnie plotka, tak jak ciebie legenda, Feure Crow.

Zmarszczył brwi. Czarownica dotknęła swoich włosów.

– „Będzie miał jedno oko niebieskie, a drugie brązowe" – zacytowała. – „Przyjdzie zapowiadany przez metaliczny dźwięk dzwonków, a za nim kroczy zniszczenie" – dokończyła. – Choć przyznaję, że do tej pory nie zdawałam sobie sprawy z tego, kim jesteś.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami i oparł dłonie na kolanach.

– Nie chciałabyś usłyszeć, co mówili o tobie ludzie Algonquina. Wypadam przy tobie jak trzymiesięczny szczeniak. Śpiący – odpowiedział.

Najwyraźniej nie zrozumiała żartu.

– Co teraz ze mną zrobisz? Rozprujesz mi plecy? – Skuliła się.

– Nie wiem – powiedział zgodnie z prawdą. – Zawiozę cię na kolację do Marengo, to znaczy do wioski, nie do generała. Sam też trochę zgłodniałem. Nie myślałaś o tym, żeby zamieszkać gdzieś, gdzie nie ma ludzi? Na przykład w Górach Koron? Bywa tam chłodno, ale nikt nie zawracałby ci głowy.

– W Górach Koron?

– Nad morzem jest zdecydowanie zbyt duży ruch. Jak nie porty, to zatoki pirackie. Wierz mi, wiem, co mówię. – Zaczął zasypywać ognisko ziemią. – Akurat ta część legendy jest w większości prawdziwa. Może poza tatuażami. No, niektórymi. Jedziemy?

Siedziała z kolanami pod brodą.

– O co znowu chodzi, kobieto? Gdybym chciał cię poćwiartować i pożreć żywcem, naprawdę nie zawracałbym sobie głowy zabieraniem cię na kolac… Dobrze, uznajmy, że to akurat brzmi dwuznacznie. Ale zrobiłbym to wcześniej, nie wlókłbym cię taki kawał. A już na pewno nie zamierzałbym opatrywać ci żadnych ran. No już, wstawaj. – Machnął ręką. – Kiedy jestem głodny, zamieniam się w prawdziwego potwora. Niewyobrażalnie wtedy marudzę. No, wstawaj!

Zaczęło się, zanim dojechali. Daat zacisnęła mocno zęby, kiedy poczuła ostre ukłucie w plecach. Prawie mogła usłyszeć trzask rozcinanej od środka skóry. Kilka razy wciągnęła głośno powietrze, powstrzymując łzy. Ostatnim razem ratowała własne życie, wiedziała po co jej pióro. Feure Crow nie zasłużył na spełnienie swojego życzenia. Był złym człowiekiem, wszyscy to powtarzali to, straszyli nim dzieci. Skąd mogła wiedzieć, że choć jedno słowo, które od niego usłyszała, było prawdą? Zakończyć wojnę, jasne. Może w jego dialekcie to oznaczało: „zaprowadzić piekło na ziemi". Choć musiała przyznać, że potrafił się starać w dobrym sensie, kiedy mu na czymś zależało.

– Nie płacz, głupia. – Usłyszała jego głos. Gdy podniosła głowę, zobaczyła, że przygląda się uważnie. Dziwne, że jeszcze nie zauważył, jak płonęły jej plecy. – Jeszcze sobie pomyślą, że coś ci zrobiłem – dodał po chwili. – Przecież powiedziałem już, że nie cię nie skrzywdzę, tak? Nie muszę się powtarzać, dotrzymuję raz danego słowa. Poza tym Jeyne wyrwałaby mi głowę razem z kręgosłupem. To straszna kobieta.

Tylko kiwnęła głową i otarła łzy z twarzy. Najgorsze chyba minęło.

Kiedy dotarli do wioski, koszula, mokra od krwi, już przylepiła się jej do pleców. Zsunęła się szybko z konia i narzuciła na siebie koc.

– Zimno mi – zdążyła powiedzieć.

– W środku jest ognisko.

Kiwnęła głową i podążyła za nim.

Skubnęła kilka razy to, co postawiła przed nimi karczmarka, i szybko ukryła się w pokoiku z oknem tak małym, że nawet dziecko by się przez nie nie przecisnęło. Zrzuciła z siebie koc i ostrożnie oderwała koszulę od pleców. W końcu wyrwała długie, białe pióro. Z każdym kolejnym stawały się coraz większe i coraz twardsze. Daat miała wrażenie, że pewnego dnia wszystkie równocześnie postanowią wydostać się na zewnątrz.

Popatrzyła na dziwaczny kawałek własnego ciała. Mogłaby wykorzystać okazję i napisać swoją ucieczkę. Albo pozbyć się Crowa na zawsze. Lub po prostu je spalić. Choć po tym, co przechodziła, by je zdobyć, byłoby to prawdziwe marnotrawstwo.

Nim zdecydowała się na cokolwiek, usłyszała pukanie do drzwi.

– Wszystko w porządku?

Wepchnęła pióro do lichej poduszki i otworzyła.

– Wyglądałaś strasznie blado i nic nie zjadłaś. – Crow opierał się o framugę. Korytarzem przechodzili ludzie wyglądający na łowczych.

– Prawdę mówiąc, nie – przyznała. I tak by zauważył. – Potknęłam się i wpadłam na róg szafy. Teraz chciałabym pójść spać.

Przytrzymał drzwi.

– Trzeba zrobić porządek z twoimi plecami, zanim coś zacznie się paprać – zadecydował. – Kładź się, a ja poślę po gorącą wodę i jakieś czyste chusty. I ubranie na zmianę. Nie możesz w takim stanie jechać dalej.

– Ale…

Wyciągnął palec w stronę twardego siennika.

– To znowu jest ten łatwiejszy sposób – zapewnił.

– Nie możesz ich tak wyrywać, one nie po to są – poinformował ją tonem nieznoszącym sprzeciwu. Delikatnie przejechał palcem wzdłuż jej pleców. – Tu i tu. – Nakreślił dwie, lekko ukośne linie schodzące się ku dołowi. – Wygląda na to, że jesteś bardzo dziwnym motylem.

– Motyle nie mają piór – zaprotestowała słabo, kiedy Crow jeszcze raz przetarł jej plecy wilgotną szmatką.

– Może trochę szczypać. – Zignorował ją. – Posmaruję czymś, co przyspiesza gojenie. Przynajmniej na trochę będziesz miała spokój.

– Dawaj, jestem przyzwyczajona. – Zacisnęła zęby.

Kilka minut później Feure przykrył jej plecy.

– To by było na tyle – powiedział, wstając. – Nie wyrywaj ich, słyszysz? Daj im szansę. A teraz spróbuj się przespać.

Daat podniosła się na łokciach.

– Czekaj!

– Idź już spać, ty krnąbrna, uparta istoto. – Stanął przy wyjściu. – Jutro jest nowy dzień.

– O jakiej wojnie mówiłeś? – zawołała jeszcze, ale nie otrzymała odpowiedzi.

Crow tylko machnął ręką i zniknął za drzwiami. Daat opadła bezsilnie na twarde łóżko. I kto tu był niby krnąbrny?

Kiedy rano zeszła do jadalni, Feure Crow znajdował się kilkanaście mil od karczmy. To nie była już jego historia. Należał do legend o królach, potworach, najemnikach i piratach. Tworzyły go pustynie, ciemne wnętrza karczm, słodkie kobiety, które nie musiały znać jego imienia, dzieci odtwarzające przygody. A Daat była dopiero na pierwszej stronie swojej historii i mogła mieć w niej wszystko. Powinna mieć w niej wszystko. Poza Crowem.

Feure postanowił zabić hrabiego. Pozbycie się przywódcy powstania przynajmniej na chwilę powinno stłumić jakiekolwiek buntownicze działania. A potem się zobaczy. Jednak najpierw musiał dotrzymać danego wcześniej słowa.

– Proszę bardzo, księga. – Rzucił na stos map zszargane tomisko. – Jest lekko zużyta, bo spadło na nią strasznie dużo kamieni.

Hrabia podniósł na niego pełen nadziei wzrok.

– I jak to działa?

– Nie wiem – skłamał Crow, wzruszając ramionami. – Nie interesuje mnie to. Miałem znaleźć księgę Daat, oto i ona. Na mój gust to bardziej kronika zdarzeń, a nie magiczny przedmiot. Mieszkańcy okolicznych wiosek zapisywali wydarzenia, jakie ich spotkały. Choć czasami w trochę dziwnym czasie. – Podrapał się po nosie. – Czego się spodziewać po prostych wieśniakach, nawet kronikarze ludowi ledwo odróżniają litery. A co do księgi, można się było spodziewać, że to tylko chłopskie bajki.

Skinął głową i wyszedł, zanim hrabia przypomniał sobie, że skoro Feure nie jest mu już potrzebny, to zawsze może zgarnąć sporą sumkę za jego głowę.

Po życie hrabiego Crow wrócił w nocy.

Kilka dni później wszystkie domy i karczmy wypełniły się nowiną, która sprawiła, że najstarsi mieszkańcy kręcili głowami z niedowierzaniem. Feure dowiedział się o wszystkim trochę później od kilkuletniego chłopca, bawiącego się przy drodze z psem.

– Panie, panie! – zawołał, kiedy usłyszał dźwięk poruszanych wiatrem koralików i monet.

– Co tam, mały? – Crow pochylił się, zatrzymując konia.

– Da pan miedziaka na Nowy Dzień?

– Każdy dzień jest nowy – mruknął Crow, grzebiąc po kieszeniach.

– Nie nowy, Nowy! Nowy Dzień!

– To jakaś zabawa? – zapytał, rzucając dzieciakowi niewielką monetę.

Chłopiec pokręcił głową.

– Tata wrócił do domu! I Raja też! Wszyscy wrócili, bo wojny już nie ma.

– Co? Której? – zdumiał się Feure.

Kiedy to się stało? Przecież utknął wśród piasków tylko na kilka dni, by przeczekać w ukryciu pogoń, jaka ruszyła za nim po nagłej śmierci hrabiego.

– Żadnej! Wojny się skończyły! I na dodatek żołnierze i książęta, i w ogóle wszyscy uważają, że wygrali. Nie do końca to rozumiem, ale to chyba dobrze, że ich nie ma, nie? Znaczy wojen? – Chłopiec wykrzywił twarz w grymasie.

Crow otworzył usta.

Jasna cholera… Daat, ty szalona kobieto, co ja teraz będę robił? Oby piractwo przetrwało, bo inaczej, jak nic, zostanę bezrobotny – przemknęło mu przez myśl.

Popatrzył uważnie na wyszczerzonego w uśmiechu malca, po czym sam zaczął się śmiać. Sięgnął we włosy, odczepił jedną z ozdób i rzucił chłopcu tym razem ciężką, złotą monetę.

– Trzymaj. Na Nowy Dzień. – Skinął mu głową, uderzył konia piętami i ruszył przed siebie.

W tym samym czasie zakutana w długi płaszcz kobieta zmierzała w stronę gór, niecierpliwie popędzając konia. Może tym razem znajdzie gdzieś miejsce na dłużej. Przestanie się tak tułać. Może założy nową księgę…

Odruchowo podrapała się po plecach, gdzie dało się wyczuć dwa długie zgrubienia.

Albo i nie.

DRAKODONCJA STOSOWANA

Kamila Dankowska

Zostań smoczym dentystą, mówili. Będzie fajnie, mówili. Bujda na resorach – pomyślałem z rezygnacją, zakładając kolejne warstwy ognioodpornego fartucha. Poprawiłem słuchawkę w uchu i uszczelniłem hełm.

Jazgot silnika wojskowej CASY przebijał się przez osłony i działał na nerwy. Samolot mknął na północny zachód, Kraków oddalał się coraz bardziej, a po chwili zniknął i na horyzoncie została tylko chmura smogu.

Poprawiłem rękawice z sensorami odpowiedzialnymi za pracę wiertła i po raz kolejny zapytałem sam siebie: po co mi to było? Czemu nie posłuchałem rodziców i nie zostałem łowcą przygód? Spokojne zajęcie, fascynujące podróże i spotkania z ciekawymi ludźmi; zwiedzanie zabytków i ruch na świeżym powietrzu. Ale mnie ciągnęło do medycyny. Na magimedycynę ogólną się nie dostałem, ale były miejsca na stomatologii. Gdy po piątym roku wybieraliśmy specjalizację, długo zastanawiałem się nad chirurgią szczęki humanoidalnej. Chirurgia kusiła, ale na drakodoncję wymagali mniej punktów, a z ocenami było u mnie krucho. Gdy się dostałem, nie mogłem uwierzyć własnemu szczęściu. Spodziewałem się, że wyląduję na endodoncji humanoidów niskopiennych, co, jak wiadomo, jest prostą drogą do ubóstwa – krasnoludy mają zęby trwałe jak bazalt i zakorzenioną głęboko w kulturze awersję do dentystów, a przy tym są skąpe i gburowate.

Co innego smoki. To powszechnie szanowani, spokojni i, co najważniejsze, zamożni członkowie społeczności. Rzecz jasna, niektórym czasem odbijało, porywali księżniczki, jeden czy dwa razy zdarzyło się, że jakiś narwaniec spalił pola i wyrżnął stado Bogu ducha winnych krów. Ale przecież takie przypadki zdarzają się w każdej społeczności. Smoki to uczciwi podatnicy, prawdziwe filary społeczeństwa.

Do czasu, gdy rozboli je ząb. Właśnie wtedy im odbija.

– Odwróć się! – polecił instrumentariusz i pomógł mi dopiąć pas z wiertłami. Miał na nazwisko Krzemień i był jedynym znanym mi krasnoludem pracującym w drakodoncji. Mamrotał coś o marnowaniu dobrego diamentu na smocze bóle i swędy, ale sprawnie naoliwił rotor w głowicy turbiny napędzającej wiertła i podał mi plecak z kanistrami.

– Co z amalgamatem?! – krzyknąłem w stronę Wandy, mojej asystentki.

Drobna elfka uniosła wzrok znad kadzi, w której mieszała srebrny płyn. Żaroodporny fartuch i maska chemiczna sprawiały, że przypominała astronautę. Od kiedy ją poznałem, chciałem zaprosić na kawę, ale jakoś nie miałem śmiałości.

– Jeszcze kilka minut. Za to cement jest już gotowy – zabrzmiał w słuchawkach jej głos.

Uważnie rozrabiała w metalicznej rtęci proszek składający się ze srebra, cyny, miedzi, odrobiny kadmu i cynku.

– Wiemy, jak duży jest ubytek? – zapytała.

– Nie za bardzo. Wywiad Medyczny doniósł jedynie, że próchnica zaatakowała stycznie trzonowce w żuchwie po lewej stronie i skategoryzował ubytki jako Black-2. Mamy też stan zapalny i obrzęk dziąseł.

Wanda gwizdnęła pod maską.

– Trzonowce? Miejmy nadzieję, że nie będzie potrzebne kanałowe.

Myślałem o tym samym. Trzonowce u smoków mają siedem korzeni. Ich oczyszczenie i wypełnienie zajmuje wieki. Standardowy ładunek SHEEP powinien działać przez dwie godziny potrzebne na przeprowadzenie zabiegu, ale ledwo, ledwo. Tak naprawdę to rosyjska ruletka.

Krzemień pomógł mi naciągnąć litr cementu do kanistra na plecach. Uruchomiłem mieszalnik, który zapobiegał przedwczesnemu

zastygnięciu materiału. W tym czasie Wanda zakończyła mieszanie amalgamatu i napełniła nim drugą komorę kanistra. Nogi się pode mną ugięły. Niecały litr ważył trzynaście kilo. Lewarek, ssaki, dodatkowe ślinociągi i reszta narzędzi miały być wyrzucone z CASY w osobnym kontenerze, ale gdyby kapryśny wiatr nas rozdzielił, miałem przy sobie cały sprzęt potrzebny do standardowego leczenia.

Niemal straciłem równowagę, gdy CASĄ wstrząsnęły turbulencje. Zatrzeszczało radio.

– Wlatujemy w strefę zrzutu – poinformował pilot.

Wyjrzałem przez okno. Miejsce bytowania smoka znaczyły połacie wypalonych pól. Na terenie Jury Krakowsko-Częstochowskiej było wiele jaskiń, w których mógł się schować, ale Wywiad Medyczny doniósł, że obecnie pacjent zajmuje się głównie pustoszeniem upraw rzepaku.

– Łączę z lekarzem prowadzącym!

– Drakodonta Dratewka melduje gotowość medyczną – wyrecytowałem, opuszczając przyłbicę kasku.

– Przyjąłem – odezwał się w słuchawce niski, chrapliwy głos profesora Strachoty. – Jak samopoczucie, panie doktorze? Dostałem informację, że strefa zrzutu jest czysta, wiatr umiarkowany. Będzie miał pan spokojny lot.

– Co za ulga – wyjąkałem do mikrofonu. Zawsze czułem się nieswojo, gdy leczenie koordynował Strachota. Profesor był dziekanem naszego wydziału, pochodzącym z Wrocławia smokiem, a przy okazji najstarszym drakodontą na uczelni.

– Pacjent to *Nobilis Draco*. Z karty wynika, że jego masa to szesnaście ton, więc trzy dawki SHEEP powinny wystarczyć – kontynuował profesor. – Wiek: pięćset pięćdziesiąt lat, nie zażywa leków nasercowych ani przeciwzakrzepowych, brak uczuleń na lignokainę i pochodne.

Oczyma wyobraźni widziałem, jak poprawia zestaw słuchawkowy i niecierpliwie przechadza się po centrum operacyjnym niedaleko Krakowa.

– Jakieś pytania?

– Czy Wywiad zaobserwował coś oprócz próchnicy? Zgorzel, afty, odsłonięte korzenie?

– Niestety nie zdążyli. – Strachota westchnął basowo. – Pan Wawel jest w wyjątkowo podłym nastroju. Postaraj się wyleczyć wszystko, co się da, musimy go doprowadzić do porządku. Wawel… wyjątkowo mocno narozrabiał. Porwał syna prezydenta Krakowa i grozi, że go skonsumuje.

Jęknąłem. Czyli polityka, jak zwykle. W dodatku Wawel to nie byle kto, prezes NBP od kilku kadencji, a teraz jeszcze ta historia z synalkiem. Choć jego akurat nie było mi żal, bo młody był bohaterem kilku głośnych skandali.

– Co smoki mają z tymi dzieciakami prominentów? – mruknąłem zdegustowany.

– Atawizm, panie doktorze, atawizm. Kiedyś to była jedyna karta przetargowa w konfliktach z NFZ. – Strachota westchnął. – To chyba wszystko. Proszę na bieżąco meldować. I powodzenia.

– Dziękuję, panie profesorze – odparłem z szacunkiem.

Strachota kilka lat temu stracił prawe skrzydło, gdy osłaniał odwrót jednego z moich kolegów. Miał oczywiście protezę, ale jej obsługa wymagała asystenta społecznego, a na to nie pozwala mu duma.

– Zapakowałem ci podwójne dawki lignokainy zamiast pistoletów ultradźwiękowych – oznajmił Krzemień. – Pan prezes jest wyjątkowo zbolały, od kilku tygodni terroryzuje Kraków. Musisz wyleczyć ubytek za wszelką cenę, oczyszczanie kamienia zostaw praktykantom.

– Zrozumiałem. Dzięki! – odparłem, chwytając pneumatyczną wyrzutnię SHEEP przypominającą małą bazookę. Krzemień wpiął się do liny zabezpieczającej i przesunął za mną instrumentarium.

– Pacjent w zasięgu wzroku, schodzę na wysokość rzutu – zabrzmiał w słuchawce głos pilota. – Musimy działać szybko!

Spojrzałem spod przyłbicy na Wandę i postanowiłem solennie, że jeśli przeżyję, zaproszę ją na kawę. Trzeba mieć jakiś cel.

– Życz mi szczęścia.

– Powodzenia, panie doktorze – odparła poważnie.

– Będziemy w odległości nasłuchu – rzucił krasnolud. – W razie czego KIEŁ jest gotowy.

Spojrzałem w stronę potężnego ekstraktora, którego czarna sylwetka zajmowała tylną część transportowca. Pancerny wóz z napędem na trzy osie i tytanowym układem zawieszenia był jedynym instrumentem medycznym zdolnym wyrwać siedmiokorzeniowy ząb ze smoczej szczęki. Ale ekstrakcja była ostatecznością. Za wysoka śmiertelność. Wśród drakodontów, oczywiście.

– Dratewka, jesteśmy na miejscu. Szybko, pacjent nas zauważył! – poinformował pilot.

– Przyjąłem! Zaczynam zabieg!

Wanda pośpiesznie przypięła się do fotela i pociągnęła dźwignię otwierającą boczne drzwi samolotu. Huk powietrza ogłuszał nawet przez słuchawki. Skoczyłem, nie czekając na komendę.

Pierwszych kilkaset metrów pokonałem lotem nurkowym, pędząc prawie dwieście kilometrów na godzinę. Gdy osiągnąłem pułap tysiąca metrów, pociągnąłem zawleczkę, czasza spadochronu się rozwinęła, szarpnięcie uprzęży wycisnęło powietrze z płuc. Desantowy model zwany popularnie „pieczarką" pozwalał na sterowanie w bardzo umiarkowanym stopniu, musiałem się zdać na wiatr. Zresztą i tak ręce miałem zajęte SHEEP-em.

Odbezpieczyłem wyrzutnię, gdy tylko dostrzegłem pacjenta. Zabrzęczał kompresor, napełnienie pojemnika trwało trzydzieści sekund. Wawel ryknął, sprężył się do skoku jak ważący kilkadziesiąt ton, krwiście czerwony kot. Rozpostarł mierzące ponad dwadzieścia pięć metrów nietoperze skrzydła i wystartował. Z fascynacją patrzyłem, jak zagarnia powietrze potężnymi ruchami mięśni grzbietowych i nabiera wysokości. Kompresor zapiszczał, sygnalizując uzbrojenie wyrzutni. Przyłożyłem celownik do oka. Trochę bujało, ale z łatwością wycelowałem w łeb pacjenta. Zauważyłem wyraźną opuchliznę po lewej stronie. Przypomniał mi się wykładowca, starszy elf bez jednego oka, który wbijał nam do głów zasadę: „Strzelaj dopiero, gdy będziesz w stanie rozróżnić łuski na pysku pacjenta".

Wawel ryknął wściekle. Dostrzegłem obrys łuski na grzbiecie nosa. Jeszcze chwilka… Wola po bokach głowy smoka gwałtownie się nadęły,

oznajmiając, że nagromadzone w przełyku gazy i oleiste wydzieliny są gotowe do zapłonu.

Nacisnąłem spust, gdy Wawel nabierał tchu, wyrzutnia wydała z siebie głuche pyknięcie, a napędzana sprężonym powietrzem kapsuła SHEEP pomknęła wprost w otwartą smoczą gardziel. Wybuchła, otaczając łeb pacjenta białą, kleistą chmurką zwaną „owieczką". Siła odrzutu zdestabilizowała spadochron, przez kilka sekund bezwładnie dyndałem na linach.

– Pierwszy SHEEP zaaplikowany – krzyknąłem do mikrofonu, gdy odzyskałem równowagę.

– Potwierdzam trafienie! – odparł pilot. Strachota mruknął z uznaniem.

Błyskawicznie zapakowałem do wyrzutni kolejny ładunek. Wawel rozganiał z irytacją „owieczkę" anestetyku. Zionął, zanim SHEEP był gotowy do kolejnej aplikacji. W moim kierunku pomknęła ognista kula, gwałtowny skręt ciała pozwolił uniknąć głównego strumienia, owiało mnie gorące powietrze, przyłbicę pokryła sadza. Uszyta z ogniotrwałego materiału czasza spadochronu zatrzeszczała niepokojąco, jedna z lin zrobiła się bardzo cienka i pękła z suchym trzaskiem. Straciłem stabilność, nieuważnie nacisnąłem spust, SHEEP pomknął gdzieś poniżej smoczego brzucha. Na oślep włożyłem kolejny ładunek do wyrzutni i włączyłem sprężarkę. Nie zdążę! Wawel był blisko, widziałem błysk wściekłości i bólu w nabiegłych krwią ślepiach. Nabrał tchu.

Niemal bez celowania nacisnąłem spust. Wyrzutnia wydała przeciągły jęk, ładunek wyleciał z lufy pod zbyt niskim ciśnieniem, ale Wawel był tak blisko, że pocisk trafił prosto w smoczy pysk.

Pacjent zakrztusił się anestetykiem. Kichał i pluł ogniem, ale znieczulenie zaczęło działać. Płomień poleciał gdzieś nisko pode mną. Ruchy skrzydeł smoka stały się ospałe, Wawel obniżył lot i po chwili z głuchym łupnięciem zarył w ziemię. Przez huczącą w uszach krew przebił się ryk Strachoty.

– Dratewka, melduj!

Oblizałem suche usta i przetarłem przyłbicę, rozmazując na niej sadzę.

– Druga dawka zaaplikowana, pacjent uziemiony!

– Dzięki Bogu – odetchnął profesor. – Uważaj z trzecią, jest oszołomiony, ale rozwścieczony.

– Zrozumiałem!

Ziemia zbliżała się bardzo szybko. Wylądowałem krzywo, boleśnie nadwyrężając kolano. Wawel leżał kilkadziesiąt metrów dalej, ogonem do mnie. Rozpostarte skrzydła wyglądały jak dwa parasole porzucone przez gigantów. Pacjent mruczał coś do siebie i nie były to słowa ładne, sugerowały wiele nieszczęść i kontroli skarbowych, które czekały każdego, kto się zbliży. Pacnąłem równocześnie w przyciski na szelkach, spadochron odpiął się od fartucha z donośnym kliknięciem. Kilkanaście metrów dalej łupnęło o ziemię instrumentarium z dodatkowymi zasobami. Czasza spadochronu opadła na nie jak woal.

– Wylądowałem, kontener cały – zameldowałem. – Pacjent spokojny, robię podejście do trzeciej aplikacji.

– No oczywiście, że cały. Sugerujesz, że mogłem coś sknocić? – Usłyszałem utyskiwanie Krzemienia w słuchawce.

– Cisza w eterze! – warknął Strachota. – Postępuj zgodnie z procedurami.

Zacząłem okrążać Wawela od lewej. Załadowałem i włączyłem kompresor SHEEP. Tył smoka jest bezpieczniejszy niż przód, ale…

Nagły cios ogonem wypchnął powietrze z płuc, wydałem z siebie zduszony krzyk, po czym wylądowałem kilkanaście metrów dalej w spopielonym rzepaku. Cudem uniknąłem uderzenia w instrumentarium.

– Uch, ty smocza mordo – wymamrotałem, usiłując złapać oddech. Fartuch operacyjny zamortyzował uderzenie w brzuch, ale kanistry boleśnie wbiły się w nerki. Przeleciało mi przez głowę, że endodoncja niskopiennych na pewno jest spokojniejsza.

– Dratewka, co z tobą, Dratewka! – ryknął Strachota. – Ruszże się, szewca synu! Pacjent zaraz może zionąć!

To mnie otrzeźwiło. Zerwałem się w samą porę, Wawel już nabierał tchu.

Nogi zareagowały same. Rzuciłem się w prawo, byle uniknąć bezpośredniego plunięcia, zdolnego zeszklić piasek. Ścigany rykiem płomieni, skoczyłem za kontener. Zapikał SHEEP.

– Żryj owcę! – Z okrzykiem bojowym wychyliłem się zza osłony i odpaliłem wyrzutnię. Ładunek trafił zaskoczonego gada między oczy. Głowę smoka otoczyła mgiełka, a Wawel był już na tyle oszołomiony, że nie usiłował jej rozwiać tylko kichał, wciągając coraz więcej anestetyku. Po kilkunastu sekundach jego łeb po raz ostatni zakołował i ciężko zwalił się na ziemię.

Zastygłem w bezruchu przez minutę, miałem wrażenie, że serce wyskoczy mi z piersi. Odetchnąłem dopiero, gdy w słuchawce rozległy się radiowe trzaski.

– Dratewka, melduj! – rozkazał Strachota.

– Trzecia dawka SHEEP zaaplikowana, pacjent znieczulony – wychrypiałem. – Przystępuję do przeglądu.

– Odliczam działanie SHEEP – pisnęła asystentka. – Czas: minus sto dwadzieścia minut.

Otworzyłem instrumentarium i wyciągnąłem lewarek oraz długi jak moje ramię zgłębnik. Ustawiłem pysk we właściwej pozycji i włożyłem lewarek do paszczy. Mechanizm hydrauliczny rozwarł szeroko szczęki. Uszczelniłem hełm, uruchomiłem filtry powietrza i włączyłem latarkę na przyłbicy. Wyziewy ze smoczego gardła nie pachniały za dobrze, ale co gorsze, zawierały wystarczająco dużo siarkowodoru, by powalić konia.

Smoki posiadają imponujący zestaw czterdziestu czterech zębów: na przedzie drobne siekacze, potem długie na niemal trzydzieści centymetrów (bez korzenia) kły, a dalej przedtrzonowce i trzonowce wielkie jak ludzka głowa. Od razu zauważyłem, gdzie jest ubytek, obrzęknięte dziąsło było przekrwione. Zbadałem pobieżnie pozostałe zęby. Wszystko wyglądało dobrze, choć pan Wawel będzie potrzebował odkamieniania i odsiarczania. Obejrzałem głównych winowajców. Z wierzchu zęby wydawały się w porządku, żółtawe od siarki szkliwo było w niezłym stanie… Ale po kilku chwilach już wiedziałem, że nie będzie łatwo.

– Panie profesorze… – mruknąłem.

– Melduj, Dratewka!

– Próchnica zaatakowała stycznie dziesiątkę i jedenastkę. Z wierzchu ubytki nie wyglądają na duże. Jedenastka jest do wyleczenia.

Ale dziesiątkę zaatakowała próchnica podminowująca i wygląda to naprawdę źle.

– Jak bardzo?

– Na sto procent będę wiedział, jak zdejmę szkliwo i usunę część zajętej przez próchnicę zębiny. Ale sądząc po tym, jak pacjentowi odbiło i jak duży jest obrzęk, zaatakowana jest miazga, a w korzeniach mamy zgorzel, czuję to nawet przez filtry. Prawdopodobnie bakterie już się wysiały i doszło do zapalenia okostnej.

W eterze zapanowało grobowe milczenie.

– To ja przygotuję KŁA do zrzutu – wymamrotał Krzemień.

– Cisza – warknął Strachota. – Co pan rekomenduje, Dratewka?

Przełknąłem ślinę.

– Opracuję jedenastkę, a potem otworzę dziesiątkę, zobaczę, co się da zrobić. Może kanałowe wystarczy. Ale… – zawiesiłem głos – proszę o przysłanie KŁA, być może będzie potrzebna ekstrakcja.

Gdzieś na granicy słyszalności dotarło do mnie, że Wanda pisnęła ze strachu, a Krzemień zaklął po krasnoludzku.

– Proszę działać. – Głos Strachoty wydawał się przyduszony. – Wydaję zgodę na ekstrakcję, ale tylko w razie najwyższej konieczności. Krzemień, przygotuj ekstraktor do zrzutu.

Opracowanie jedenastki zajęło mi prawie czterdzieści cennych minut. Ostrożnie usunąłem za pomocą diamentowego wiertła szkliwo, odsłaniając pociemniałą zębinę. Ubytek nie był duży, ale pracowałem w ślimaczym tempie. Bakterie zaatakowały ząb stycznie, na granicy korony i korzenia. Jeden nieostrożny ruch, a uszkodzę nabiegłą krwią tkankę dziąsła. Zaczepiony o kły ślinociąg już pracował na pełnych obrotach, wydając z siebie na przemian nieprzyjemne siorbnięcia i mlaśnięcia, a mi nie uśmiechała się praca po łokcie w smoczej krwi. Oczywiście – smocza krew jest toksyczna, jakżeby inaczej.

– Dratewka, nie patyczkuj się tam – mruknął do słuchawki Krzemień. – Czas: minus osiemdziesiąt minut.

Drgnąłem, słysząc jego suchy głos. Podawanie czasu było zadaniem asystentki.

– Ok, przyjąłem. Gdzie Wanda? – zapytałem, zmieniając wiertło na mniejszą „różyczkę".

– Strachota odwołał ją do centrum operacyjnego.

No tak, ekstrakcje są niebezpieczne. Lepiej usunąć potencjalne ofiary z pola rażenia. Osuszyłem oczyszczony ząb, wyglądał dobrze. Precyzja, z jaką może działać humanoid, była jednym z powodów, dla których smoki potrzebowały drakodontów. Inne gady nie poradziłyby sobie z leczeniem, nie wspominając już o tym, że zbolały smok nie pozwoliłby się nawet zbliżyć innemu przedstawicielowi swojego gatunku na odległość plunięcia.

– Zainfekowana zębina usunięta, przystępuję do wypełniania ubytku.

Odpowiedzią był pomruk Krzemienia. Martwił mnie brak kontaktu z profesorem Strachotą. Co prawda to, co teraz robiłem, było drakodontycznym abecadłem, ale z obawą myślałem o pracy nad drugim zębem.

Obłożyłem trzonowiec ligniną, zatrzymałem mieszalniki w kanistrach i odpiąłem przypominające szpryce do dekorowania ciast dozowniki. Jako podkładu użyłem cementu na bazie tlenku cynku, a ubytek wypełniłem amalgamatem. Wawel spokojnie znosił moje zabiegi. Co jakiś czas wzdychał przez sen, ale nic nie wskazywało, by miał się wybudzić. Wymodelowałem jeszcze powierzchnię wypełnienia i odetchnąłem.

– Zgłaszam wyleczenie pierwszego ubytku – zaraportowałem. – Przystępuję do badania drugiego.

– Dobra robota – odparł Krzemień. – Zrób sobie przerwę, zaraz będziemy nad strefą zrzutu.

Odszedłem od pacjenta, rozszczelniłem hełm i podniosłem przyłbicę. Powietrze śmierdziało siarką, spalenizną i chemicznymi oparami SHEEP, ale lekki wiatr przyjemnie chłodził zlaną potem twarz. Z jednego z zasobników wysupłałem papierosa i z przyjemnością zapaliłem. Oczywiście, że potępiam ten nałóg, jest to nad wyraz zły nawyk prowadzący do chorób przyzębia, nieświeżego oddechu i zgonu. Niemniej siedzenie w smoczej paszczy bardzo zmienia perspektywę, z której patrzy się na własną śmiertelność.

Usłyszałem huk samolotu, który nadleciał znad centrum operacyjnego. Przelot był krótki, a na trasie wyznaczonej przez smugę kondensacyjną pojawił się czarny punkt, który rósł z każdą sekundą. Oczekiwałem zrzutu ze spokojem. KIEŁ na początku mocno kołysał się pod czaszą spadochronu, ale szybko ustabilizował lot i po kilku minutach wylądował z donośnym łupnięciem kilkadziesiąt metrów od pacjenta. Wzbił w powietrze tuman popiołu, który momentalnie okleił mi twarz.

– KIEŁ wylądował dokładnie w celu. Dobra robota, Krzemień – rzuciłem do mikrofonu.

– Nie mam w zwyczaju partaczyć swojej pracy – gderał krasnolud, ale słyszałem w jego głosie zadowolenie. Przynajmniej jeden z nas miał dobry dzień.

Dopaliłem papierosa, zatrzasnąłem przyłbicę i założyłem na turbinę nowe wiertło. Czas sprawdzić, czy KIEŁ będzie potrzebny. Wróciłem do pacjenta i dotknąłem powierzchni dziesiątki od strony policzka.

Kilka minut później wystawiłem głowę zza nadwozia KŁA. Nie, nie jestem tchórzliwy, w końcu jestem drakodontą. Sęk w tym, że średnia wieku, jakiego dożywają drakodonci, to trzydzieści osiem lat. Ja jeszcze nie przekroczyłem trzydziestki, a bardzo nie chciałem pogarszać statystyk.

Ostrożnie wróciłem do smoka, który dyszał z bólu przez sen, w kącikach zaciśniętych ślepiów gromadziły się łzy.

Cholera, musi naprawdę cierpieć – pomyślałem ze współczuciem. *Zginę tu jak nic.*

Odsunąłem przypominający kawał twardej, fioletowawej gumy jęzor i najdelikatniej jak potrafiłem, przejechałem palcami po dziąśle. Nie było to łatwe, ale wyczułem otwór w kości żuchwy. Długą na kilkanaście centymetrów igłą podałem znieczulenie przewodowe do kanału nerwu. Wawel powinien na kilka minut stracić czucie.

Uruchomiłem turbinę, zdjąłem wierzchnią warstwę szkliwa oraz zębiny i odsłoniłem miazgę. Poczułem smród zgorzeli, którego nie były w stanie zneutralizować filtry w hełmie. Łudziłem się, że coś zdziałam, ale po chwili wiedziałem, że to przegrana sprawa. Zacisnąłem zęby z dezaprobatą. Taki ubytek nie powstał z dnia na dzień, musiał boleć jak cholera

i to od dawna. Czemu Wawel nie zgłosił problemu wcześniej? Domyślałem się – ostatnie kilka miesięcy było ciężkie. Unia Teutońska przeprowadzała denominację swojej waluty, a Królestwo Albionu wypuściło na rynek kilkaset ton złota z rezerw i krasnoludzka giełda oszalała – prezes NBP miał pełne łapy roboty.

Dla mnie oznaczało to szansę na szybki zgon.

Widzicie, to nie ból powoduje, że smoki szaleją, przynajmniej nie bezpośrednio. Każdy żywy organizm to utrzymujące się w chwiejnej równowadze laboratorium chemiczne. U smoków dochodził aspekt reakcji magicznych i cała fabryka chemikaliów jadowych i zapłonowych. Długotrwały obrzęk i stan zapalny niszczyły równowagę hormonalną, co sprawiało, że smocze nadnercza produkowały nadmierne ilości hostiliny, co z kolei… nie zanudzając, problemem był smoczy mózg naładowany koktajlem nadmiarowych hormonów, toksyn i substancji psychoaktywnych. W takim stanie gad jest po prostu niepoczytalny.

Przełknąłem ślinę. Miałem ochotę przerwać leczenie i zostawić sprawę bardziej kompetentnym. Problem w tym, że nie było ich w pobliżu, a tak stary i potężny smok jak Wawel pod wpływem szaleństwa mógł zrównać z ziemią pół Krakowa. Jeśli go nie wyleczę, będzie trzeba go dobić, zanim pojawią się ofiary. A przecież to nie jego wina, zajmował stanowisko szefa NBP od dwunastu kadencji, cieszył się zaufaniem społecznym. Nie zasłużył na to. No i ta cholerna przysięga Hipokratesa.

– Nie ma szans na uratowanie dziesiątki. Rozpoczynam przygotowanie do ekstrakcji – oznajmiłem, wstając.

– Masz zgodę na zabieg – odparł po chwili Krzemień.

Poczułem ukłucie niepokoju. Gdzie podziewał się profesor? To on powinien zatwierdzić terapię.

Nie było czasu na formalności. Odłożyłem niepotrzebne narzędzia do kontenera, zabrałem z niego kleszcze i podszedłem do KŁA.

Ekstraktor przypominał sylwetką szykującego się do sprintu żółwia. Nadwozie pokrywały ognioodporne stopy i zaklęcia, pod maską drzemał wysokoprężny silnik z turbodoładowaniem, sześcioma cylindrami

i kilkuset końmi mechanicznymi. Stanowił optymalny kompromis między mocą napędu, szybkością a bezpieczeństwem. Co z tego? Ani nauka, ani magia nie były w stanie skutecznie zabezpieczyć przed smoczym ogniem. Producent KŁA dawał gwarancję przetrwania trzech plunięć w warunkach laboratoryjnych. Miałem szczerą nadzieję, że klinika nie będzie musiała składać reklamacji.

Tył pojazdu zajmowała komora wyciągarki zasilanej osobnym silnikiem. Na wał mechanizmu nawinięta była mocna lina ekstrakcyjna, do której przymocowałem kleszcze.

Rozejrzałem się. Wypalone, pełne kolein i błota ściernisko zapowiadało mało komfortową jazdę. Ustawiłem ekstraktor w kierunku północnym, wyciągnąłem linę i zabrałem się do mocowania kleszczy. Stomatologia humanoidalna zakładała, że wyrywany ząb należy najpierw zwichnąć. Oczywiście to nie wchodziło w grę. Ostatni drakodonta, który próbował tej techniki, stał się pośmiertnie znany jako bohater anegdoty na marginesie podręcznika. Kleszcze drakodontyczne przypominały „łapkę" służącą do łowienia zabawek w automatach z pluszakami. Wawel pojękiwał i warczał przez sen, gdy dociągałem zaciski.

– Przykro mi, panie Wawel, ale to na pewno będzie bolało bardziej – mruczałem do siebie.

Pod jęzor wsunąłem pakiet ze smoczomiętką, mocnym środkiem na uspokojenie. Kolejne paczuszki umieściłem przy policzkach, obłożyłem nimi także okolice gruczołów zapłonowych. Smocza błona śluzowa jest bardzo gruba, zanim środek się wchłonie, minie dłuższa chwila. Moim zadaniem było przeżyć do tego czasu.

Odetchnąłem głęboko. Wszystko gotowe. Jak skazaniec zapaliłem ostatniego papierosa i obszedłem okolicę. Znalazłem jeszcze porzuconą za instrumentarium wyrzutnię SHEEP, którą odłożyłem na siedzenie KŁA. Ładunki były za słabe, by uśpić rozjuszonego po ekstrakcji smoka, ale szkoda było ją zostawiać w błocie.

Rzuciłem na ziemię niedopałek, wziąłem głęboki oddech i zatrzasnąłem przyłbicę.

Show time.

Wsiadłem do ekstraktora, zapiąłem pasy i uruchomiłem silnik. Ruszyłem powoli, słuchając, jak terkocze rozwijająca się lina. Wyciągarka zapikała, oznajmiając, że zostało tylko kilka metrów. Odmówiłem w myślach modlitwę do świętego Jerzego, patrona drakodontów.

– Wszystko gotowe – wychrypiałem.

– Działaj – rzucił krótko Krzemień. – Powodzenia.

Wrzuciłem bieg ekstrakcyjny zwany „zerówką" i wcisnąłem gaz. Silnik zawył, koła zabuksowały w błocie. Cholerny trzonowiec trzymał mocno. Pchnąłem wajchę po lewej, ruszył mechanizm wyciągarki. Nagle pojazd szarpnął i skoczył do przodu. W tej sekundzie rozległ się przeciągły, wściekły ryk. Miałem wrażenie, że zatrzęsła się od niego ziemia. Udało się.

Przyśpieszyłem, KIEŁ przedzierał się przez koleiny jak taran. Wyciągarka terkotała na całego, głośny stukot chwilę później upewnił mnie, że ząb (albo puste kleszcze, jeśli je źle założyłem) wylądował na pokładzie. Trzasnęła tylna klapa, zamieniając KŁA w szczelnie zamkniętą, ogniotrwałą trumnę na sześciu kołach.

W lusterku zobaczyłem, że pacjent otrząsnął się z resztek narkozy i wystartował. Zaczął się pościg. Wawel zaryczał wściekle w smoczym języku. Starsi drakodonci odradzają naukę starosmoczego, powtarzają, że czasem lepiej nie wiedzieć. Z czasów studenckich znałem trochę wulgaryzmów. To wystarczyło, by zrozumieć pana Wawela.

Prezes NBP stanowczo nie powinien się tak wyrażać.

Smok wyprzedził ekstraktor, z gracją obrócił się w locie i zionął. Obróciłem kierownicę, pojazd skręcił w lewo, rozbryzgując na wszystkie strony grudki błota. Powietrze kilka metrów za mną przeszył strumień ognia. W lusterku zobaczyłem, że Wawel znowu składa się do plunięcia, próbowałem powtórzyć manewr, ale za późno. Skuliłem się, gdy KŁA owionęła hucząca rzeka ognia. Blask oślepiał, ale osłony trzymały. Dodałem gazu, ekstraktor pruł przed siebie, nawet nie wiedziałem, w jakim kierunku.

– Dratewka, jak tam? – zapytał przez radio Krzemień.

– Jedno plunięcie, na razie jest dobrze – rzuciłem.

– Trzymaj się!

Lusterka pokrywała warstwa sadzy, na szczęście okna były w miarę czyste. Wawela nie było na horyzoncie. Jechałem naprawdę szybko, ekstraktor podskakiwał na wybojach, ale z dużą prędkością oddalałem się od miejsca zabiegu. Poczułem promyk nadziei. Smoczomiętka mogła już zacząć działać.

– Krzemień, chyba się udało, już mnie nie…

KIEŁ zatrząsł się, prawa strona pojazdu uniosła się od ognistego podmuchu. Przez kilka sekund ekstraktor balansował na trzech kołach, szyby pokryły pajączki pęknięć. Zrobiło się gorąco, silnik zakrztusił się i zgasł, a KIEŁ, jakby w zwolnionym tempie, opadł na prawe koła. Elektronika wyła – nie wiedziałem, które błyski to powidoki po blasku ognia, a które to kontrolki krzyczące, że nie działa absolutnie wszystko. Przekręciłem kluczyk, ale komora silnika była tak przegrzana, że groziła wybuchem. Wyłączyłem wszystkie urządzenia, nawet filtry tlenu i całą pozostałą w akumulatorach energię przekierowałem do chłodnicy, modląc się, by zostało choć trochę płynu.

Wawel wylądował. Poczułem, że żołądek skręca mi się w ósemkę. Ekstraktor był ognioodporny, ale nikt nie sprawdzał, jak się spisze w konfrontacji ze smoczymi szponami. Wrzuciłem zerówkę i modląc się do świętych Jerzego i Apolonii, przekręciłem kluczyk.

KIEŁ wyrwał do przodu. Może się przesłyszałem, ale byłem pewny, że usłyszałem z tyłu donośne kłapnięcie, a potem skowyt bólu.

No tak, po wyrywaniu zęba należy się wstrzymać z jedzeniem – pomyślałem z rozpaczliwym rozbawieniem.

Silnik się krztusił, słyszałem, że chłodnica ledwie wyrabia. Ja zresztą też. Mdliło mnie z gorąca, serce waliło jak oszalałe, a zaciśnięte na kierownicy ręce dygotały jak w febrze.

– Dwa trafienia, Krzemień – wychrypiałem do mikrofonu. – Trzeciego nie wytrzymam, a Wawel nie ma zamiaru odpuścić.

– Dratewka, nie pieprz – warknął krasnolud. – Jeszcze chwilę…

Przed maską mignął fragment skrzydła, cudem uniknąłem strumienia ognia, a potem zakręciłem o sto osiemdziesiąt stopni, tym razem

w ucieczce przed zamachem ogona. Prułem przed siebie, byle dalej od wkurzonego pacjenta.

– Na litość Peruna, Dratewka, gdzie ty jesteś?! – jęknął Krzemień.

– Nie wiem! Cholerny GPS wyparował!

Krasnolud zaklął szpetnie, a ja poczułem, że z twarzy odpływa mi cała krew. Kontrolka chłodnicy zamigotała na czerwono, a KIEŁ zaczął tracić prędkość.

– Krzemień, silnik wysiada – wymamrotałem, obserwując zbliżającego się z prawej smoka. – Weź zadbaj o ładną tablicę na wydziale, dobra? Napisz…

– …że jesteś najbardziej upierdliwym gościem w branży. I zawieszę ją za twojego życia! – przerwał mi krasnolud. – A teraz zamknij się, bo…

Tym razem Wawel do ataku użył szponów i tylnych łap. Uderzenie było potężne, KIEŁ przekoziołkował. Chyba straciłem przytomność, bo ocknąłem się do góry nogami, zwisając w pasach bezpieczeństwa. Miałem roztrzaskaną przyłbicę, nie widziałem nic na prawe oko, żebra i prawy bark płonęły z bólu. Wawel wylądował naprzeciwko i obnażył zęby, wśród których, co zauważyłem z satysfakcją, brakowało dolnej dziesiątki. Wzorowa ekstrakcja. Zamknąłem oczy, gdy smok nieśpiesznie, delektując się chwilą, nabrał powietrza do plunięcia.

– Krzemień… – wyszeptałem. – Ząb wyrwany. Powiedz Wandzie…

– Och, zamilcz już, szewca synu, zanim się skompromitujesz! – Głos utonął wśród zakłóceń i trzasków.

Rozległ się ogłuszający ryk, zarówno w słuchawkach, jak i na żywo. Wawel zdążył tylko odwrócić łeb, gdy uderzyła w niego szarobrązowa smuga. Smoki przetoczyły się chaotycznie, ryjąc głębokie bruzdy w ściernisku. Strachota używał protezy skrzydła, a na jego grzbiecie dostrzegłem drobną sylwetkę asystenta. Otworzyłem szeroko sprawne oko.

– Wanda?! – krzyknąłem zaskoczony, gdy Strachota poderwał się do lotu.

– We własnej osobie! – Elfka zaśmiała się wśród trzasków radia. – Co u pana, doktorze?

– A, wiszę sobie… – odparłem oszołomiony.

– Proszę nie opuszczać KŁA, będzie… – Urwała, gdy Strachota wykonał gwałtowny zwrot, by uniknąć strumienia ognia.

Wawel olał mnie i rzucił się w pogoń za nowym celem.

– Wanda, skup się! – zawarczał Strachota. – A ty, Dratewka, nie rób nic głupiego!

Zamilkłem, nie chcąc rozpraszać Wandy, bo wraz z profesorem unikali zaciekłych ataków Wawela z coraz większym trudem. Dotarły do mnie cztery fakty. Po pierwsze: Strachota był szarawym *Draco Palus*, o jedną czwartą mniejszym od czerwonego jak rubin Wawela. Po drugie: Wanda nie była jeszcze zbyt wprawna w obsłudze mechanizmów sterujących. Po trzecie: materiał, z którego zbudowano protezę, nie był odporny na smoczy ogień. Po czwarte: Wanda też nie była…

Jęknąłem w myślach.

A mogłem zostać poszukiwaczem przygód. Oni na pewno nie mają takich problemów.

Wypiąłem się z pasów i z gracją hipopotama spadłem na sufit leżącego na dachu KŁA. Prawy bark eksplodował bólem. Ogarnąłem wzrokiem zdewastowane wnętrze. Co mogłem zrobić? Mój wzrok padł na wyrzutnię SHEEP. Hmm…

– Profesorze, Wando, podprowadźcie Wawela do KŁA od zachodu. Musicie mi go wystawić.

– Dratewka, co ty kombinujesz?! – wydyszał Strachota.

– Coś głupiego. Zaufajcie mi – poprosiłem, ładując ostatni pakiet SHEEP do wyrzutni. Strachota nie odpowiedział. Może wiedział, że sam sobie w tej chwili nie ufam.

Wykopałem potłuczone okno i wypełzłem na zewnątrz. Pojękując jak zombie, uzbroiłem wyrzutnię SHEEP i oparłem ją o zabłocone podwozie KŁA.

– No, dawajcie go, tylko blisko – szepnąłem do mikrofonu, gdy sprężarka skończyła pracę.

Odpowiedziała mi seria trzasków, ale Strachota gwałtownie zanurkował, osłaniając Wandę zdrowym skrzydłem i ruszył w moją stronę, ścigany coraz bardziej zirytowanymi rykami Wawela.

Czas zwolnił, miałem wrażenie, że świat skurczył się do malutkiego wizjera wyrzutni. Ignorując iskrzący pod czaszką ból, powiodłem celownikiem od rozpaczliwie machającego skrzydłami Strachoty, do nadciągającego za nim Wawela.

Strzelaj dopiero, gdy będziesz w stanie rozróżnić poszczególne łuski na pysku pacjenta…

Zobaczyłem łuski. Strzeliłem.

Wyrzutnia szarpnęła, ładunek poleciał w stronę Wawela. Siła odrzutu zbiła mnie z nóg. Poobijane ciało stwierdziło, że wystarczy atrakcji, jak na jeden dzień i postanowiło odłączyć zasilanie.

Jak przez mgłę widziałem jeszcze, jak Wawel niezgrabnie ląduje, kichając i opędzając się od anestetycznej „owieczki", a Strachota przypiera oszołomionego pacjenta do ziemi. Intensywnie i stanowczo klarował mu coś w smoczym języku.

Profesor także nie powinien się tak wyrażać – uznałem, tracąc przytomność.

Z zachwytem patrzyłem na szkarłatne rzędy buków rosnące wzdłuż parkowej alejki. Słońce przyjemnie grzało twarz, chrzęściły pod nogami buczynowe orzeszki. To niesamowite, jak zmienia się perspektywa, gdy przeżyje się spotkanie z oszalałym smokiem. Oderwałem wzrok od opadających liści i skupiłem się na opowieści Wandy, która cierpliwie prowadziła mnie alejkami parku przy akademickich klinikach. Poruszaliśmy się w żółwim tempie, na jakie pozwalały mi świeżo zagipsowany bark, kołnierz ortopedyczny i jakiś miliard siniaków. Wanda w szafirowej sukience prezentowała się zjawiskowo. Zauważyłem oparzenia na jej dłoniach, co wzbudziło we mnie poczucie winy.

– Kiedy postawiłeś diagnozę, Strachota chciał przerwać zabieg – kontynuowała. Szybko przeszliśmy na „ty", walka z szalonym smokiem zbliża ludzi. – Ale pojawiły się naciski z góry, żeby doprowadzić Wawela do użyteczności bez względu na koszty.

– No i syn prezydenta… – wtrąciłem.

– A nim to chyba się nawet ojciec nie przejmował. – Machnęła ręką. – Szybko go znaleźli, tylko porządnie zgłodniał. Wtedy przypomniałam profesorowi, że mam certyfikat asystenta społecznego niehumanoidalnych. Powściekał się, ale odwołał mnie do bazy. Kiedy ty leczyłeś Wawela, my usiłowaliśmy się dograć.

– Rany, Wanda… – Westchnąłem. – Nie wiem, co powiedzieć. Uratowaliście mi życie.

Zarumieniła się. Trudno mi było uwierzyć, że to ta sama osoba, która ze smoczego grzbietu stawiła czoła Wawelowi.

– Oj tam! – Uśmiechnęła się, odgarniając kosmyk za szpiczaste ucho. – Gdyby nie twój pomysł z SHEEP, mogłoby być z nami krucho.

Wzdrygnąłem się na samo wspomnienie.

– Coś pomogło?

– Zdecydowanie! Oszołomiło go trochę i Strachota dał radę go przytrzymać, aż zadziałała smoczomiętka. Ale jak tak padłeś tam bez życia, naprawdę nas przestraszyłeś.

Wróciłem wspomnieniami do przedwczorajszych zdarzeń, gdy obudziłem się na oddziale ortopedycznym kliniki magomedycznej. Ucieszyłem się, że żyję, ale szybko doszedłem do wniosku, że Wawel mógł mnie jednak dobić. Bolało dosłownie wszystko, dlatego gdy na oddziale pojawił się Krzemień z marmurową tablicą z wiadomym napisem na moją cześć, mogłem tylko obrzucić go przekleństwami i szpitalną kaczką. Na całe szczęście nie straciłem oka i cel miałem dobry, więc krasnolud oberwał i odstąpił od głupich pomysłów. Rozbita przyłbica zrobiła mi niezłą szramę na czole i policzku. Razem z Krzemieniem doszliśmy jednak do wniosku, że będzie z tego bardzo efektowna blizna.

Przed Wandą nie miałem zamiaru wyglądać na łamagę. Zwlokłem się z łóżka, wciągnąłem na grzbiet pożyczony fartuch i trzymałem fason. Elfka uparła się na spacer, a ja nie protestowałem – miałem dość szpitalnych klimatów.

– A co z Wawelem? – zapytałem.

– Lepiej. Gdy ochłonął, było mu bardzo przykro. Zresztą, pewnie sam ci to powie. – Zaśmiała się, patrząc gdzieś ponad dachem szpitala.

Zerwał się wiatr, który poderwał z ziemi liście, cień przesłonił słońce. Kołnierz ortopedyczny uniemożliwiał mi rozejrzenie się, dlatego Wawela zobaczyłem dopiero, gdy wylądował kilkanaście metrów od nas. Wyglądał majestatycznie, opuchlizna na pysku zeszła i smok odzyskał szlachetny profil, a z oczu zniknęło szaleństwo. Pojawiły się za to gustowne okulary połówki w złotych oprawkach i zgrabny zestaw słuchawkowy.

Omal nie połknąłem języka na widok mojego niedawnego pacjenta. Dobrze, że była ze mną Wanda, bo uciekłbym z krzykiem.

Wawel tymczasem wydawał się równie podenerwowany jak ja. Odchrząknął i skłonił głowę.

– Dzień dobry, doktorze Dratewka – przywitał się. Gdy nie przeklinał w starosmoczym, miał niski, przyjemny głos. – Chciałbym serdecznie podziękować za udzieloną mi pomoc.

– Yyy… to znaczy… – wykrztusiłem. – Cała przyjemność po mojej stronie.

Wawel westchnął ciężko.

– No cóż, profesor Strachota wspominał, że tak przyjemnie to nie było… Podobno jestem dość nerwowym pacjentem. Bardzo za to przepraszam.

Powstrzymałem się od komentarza. „Nerwowy" nie do końca oddawało istotę rzeczy.

– Cieszę się, że mogliśmy pomóc – odparłem, kładąc nacisk na „my". Wawel zrozumiał, w końcu był politykiem.

– Pani Wanda także wykazała się niezwykłą odwagą i zimną krwią. Nie sądziłem, że ktokolwiek namówi tego upartego… to znaczy profesora Strachotę na korzystanie ze wsparcia.

Wanda pokraśniała z zadowolenia.

– Byłam na tyle przekonująca, że profesor zgodził się, żebym asystowała mu także przy kolejnych zabiegach – pochwaliła się.

Wawel zmrużył złotawe ślepia i zaśmiał się basowo. Zaczynałem rozumieć, czemu wszystkim tak zależało na doprowadzeniu go do porządku. Był po prostu sympatycznym gościem.

– A skoro mowa o asystenturze… W budżecie uczelni właśnie znalazły się fundusze na nowe stanowisko w Katedrze Drakodoncji. Profesor

Strachota wspominał, że zna kogoś, kto mógłby napisać pracę naukową na podstawie analizy budowy zęba trzonowego, który przekazałem uczelni w celach badawczych.

– To brzmi jak bardzo ciekawy projekt – odparłem, nie kryjąc ekscytacji.

Wawel mrugnął do mnie jak ogromny, łuskowaty święty Mikołaj.

– Naturalnie. Chciałbym także uniknąć w przyszłości takich… – odchrząknął – incydentów. Więc jak pan dojdzie do siebie, mój sekretarz skontaktuje się z panem w sprawie wizyty kontrolnej.

Gdzieś w żołądku musiałem mieć balon wypełniony helem, bo miałem wrażenie, że zaraz odlecę. Stały pacjent, w dodatku prestiżowy? Etat na uczelni? Do szczęścia brakowało mi tylko jednego…

Rozmowę z Wawelem przerwał nam telefon.

– Niestety, minister skarbu Unii Teutońskiej nie może czekać. Myślałby kto, że kilkusetletni Nibelung posiądzie cnotę cierpliwości. – Westchnął smok, poprawiając okulary. – Jeszcze raz dziękuję państwu za pomoc i życzę zdrowia.

Pożegnał się i poderwał do lotu. Przez chwilę kołował nad szpitalem, ustąpił pierwszeństwa lądującemu helikopterowi i ruszył w stronę centrum.

– Wyglądasz, jakby Gwiazdka przyszła we wrześniu – zauważyła Wanda.

– Żartujesz? Zapisał się na wizytę! A smoki naprawdę nie skąpią na leczenie! No i asystentura u Strachoty, to naprawdę dobry start. – Cieszyłem się jak dziecko.

Wanda zaśmiała się, widząc, że niemal podskakuję ze szczęścia. Przeżyłem najbardziej ekstremalny zabieg stomatologiczny wszech czasów i jeszcze nieźle na tym wyszedłem. Ale trzeba spełniać obietnice. Zebrałem się, by zrobić coś, co przerażało mnie bardziej niż wizja borowania w smoczym zębie.

– Hej, Wanda – rzuciłem. – Może pójdziemy na kawę, jak mnie wypiszą?

– Jasne, czemu nie – odparła, uśmiechając się tak, że zmiękły mi kolana.

Wracaliśmy do szpitala w moim żółwim tempie. Bolał złamany obojczyk i nadwyrężony kark, swędziały szwy i oparzenia, byłem posiniaczony

i ogólnie poobijany, ale gdzieś w środku kiełkowało poczucie satysfakcji z dobrze wykonanej pracy. Zostań smoczym dentystą, mówili. Będzie fajnie, mówili. No i w sumie mieli rację.

RZECZY, KTÓRE ROBISZ W ŁODZI, BĘDĄC MARTWYM

Istvan Vizvary

Powiadają, że jeśli siedemdziesięciolatek budzi się rano i nic go nie boli, niechybny to znak, że umarł. Zapewne dzięki tej wiedzy nie czułem się zdezorientowany, kiedy pewnego grudniowego poranka moje obydwa stawy biodrowe, trzustka, żołądek i lewe ucho przestały wysyłać ponaglenia o wizytę u specjalisty.

To nie było cudowne uzdrowienie.

Po prostu nie żyłem.

Spodziewałbym się, że będzie mi brak oddychania czy tętna, lub chociaż poczuję ukłucie żalu za życiem, ale nic z tych rzeczy. Przykro tylko było patrzeć, jak kot usiłuje mnie dobudzić, siadając jak zwykle na mojej twarzy. Z zakłopotaniem podglądałem też trzech niestosownie wesołych panów z „Hadesu". Komentowali moją siwiznę w miejscach, w których z pewnością sami nie spodziewali się być kiedykolwiek siwi. Wolałem nie myśleć, jak muszą obgadywać obsługiwane staruszki!

Pierwsze godziny bezcielesności upłynęły mi na przywykaniu do zupełnie nowego odbioru świata. Moje mieszkanie pełne było zapachów i barw, których nigdy wcześniej nie zaznałem. Kanapa pachniała snem, krzesło znudzeniem, dywan zaś miał kolor, na widok którego na usta

cisnęło się określenie „cierpliwy". Niebo pełgało szorstkością chmur, ściany zaś okolicznych bloków mieszkalnych wydawały się falować i tętnić, pomimo iż nie utraciły nic ze swojej stabilności. Co więcej, przedmioty przestały być nieprzejrzyste, choć nadal miały fakturę i zmieniały zupełnie kontrastowość i zapach tego, co widziałem poprzez nie.

Przyglądałem się sąsiadom, których beton nie krył już przed moim mimowolnym wścibstwem. Niczym duchy snuli się po pokojach, kuchniach i łazienkach, zaspokajając przeróżne potrzeby swoich ciał. Kąpali się, myli zęby, wypróżniali, łykali lekarstwa. Szykowali się do snu.

A ja?

Już nigdy nie miałem tego robić! Nigdy więcej mycia się, czesania, przełykania jedzenia i śliny. Nigdy więcej chorób! Żadnego prognozowania pogody kostkami, kolanami i nadgarstkami! Nareszcie miałem święty spokój. I całą wieczność do swojej dyspozycji. Pozostawało tylko zdecydować, jak spędzić ją najprzyjemniej.

Na pewno nie siedząc w betonowym bloku.

Wyszedłem na klatkę schodową i, skuszony zaskakująco przejrzystymi drzwiami windy, spłynąłem w dół szybu, odliczając piętra. Wiedziony nowo nabytym instynktem, nie zawracałem sobie głowy kluczeniem po korytarzu prowadzącym do drzwi. Na skróty przez chłodną, kwaskowatą ścianę było tylko pół metra.

Nie zdążyłem zdziwić się smakiem betonu, coś niezwykłego przykuło bowiem moją uwagę.

Ludzie na ławce przed moim domem, kobieta i dwóch mężczyzn.

Nie przypominali moich sąsiadów, pachnący skupieniem i wpatrzeni wprost we mnie, w moje myśli i zdziwienie.

– Nareszcie! – powiedział ten siedzący na samym skraju. – Podejdźże bliżej, Tomaszu! Już drugi dzień czekamy.

Pozostała dwójka rozsunęła się, robiąc mi miejsce.

– Dobry wieczór – przywitałem się, nawykowo rozglądając się za możliwymi drogami przegrupowania oraz osłonami. Niestety, z punktu widzenia duchów, byłem w szczerym polu. Do tego tamci mieli przewagę Bóg wie ilu lat nieżycia. Ja byłem ledwie oseskiem!

– Jestem Twaróg – przedstawił się ten siedzący na skraju. – Tamci to Manicure i Fidel.

– Tomasz – odpowiedziałem odruchowo i, chcąc nie chcąc, usiadłem.

– Cieszymy się, że odważyłeś się w końcu wychynąć na świat. – odezwała się kobieta, czyli zapewne Manicure. – I że śmierć nie była zbyt bolesna, a może nawet wydawała się słodka. Pamiętasz, że śniła ci się wizyta w cukierni? Tuż przed udarem. Kim była kobieta, z którą…

– Zaraz wyjaśnimy, czemu tak wyczekiwaliśmy twojego przybycia. – Fidel wszedł jej w słowo, dudniąc łoskotliwie, jak gdyby przemawiał z głębokiej, ocembrowanej studni. – Pozwól najpierw, że i ja wyrażę radość, że w końcu do nas dołączyłeś.

To powiedziawszy, cmoknął głośno i różanie, wywołując panikę wśród stada gołębi, które wydziobywało dotąd spokojnie resztki posianej dwa dni wcześniej trawy. Usiłowałem zdusić kiełkujące podejrzenie, że mam do czynienia z osobami, czy może raczej duchami, zaburzonymi i kto wie, czy nie potencjalnie agresywnymi. Nie do końca umiałem wyobrazić sobie, jaką krzywdę mógłby duch wyrządzić duchowi, ale z pewnością jakąś…

– Nie jesteśmy duchami, Tomaszu. To takie pogardliwe słowo, jak „cień" albo „namiastka" – stanowczym głosem przerwała mój mimowolny myślotok Manicure. – To my jesteśmy prawdziwymi ludźmi. Tamci to tylko ciała, z rzadka obdarowane łaską zasiedlenia przez coś więcej niż puste myśli. Skorupy. Co do krzywdy zaś, właśnie z jej powodu oczekujemy twojej pomocy.

– Nie mógłbym was skrzywdzić. W każdym razie bez wyraźnego powodu. Jestem policjantem – powiedziałem, jak gdybym nigdy nie umarł. W każdym razie nie cały. – Prawym i szanowanym. Mimo emerytury wykładałem na kursach etyki zawodowej. Dawniej byłem nawet policjantem półrocza. Miałem fanpejdż na fejsbuku.

Zmierzyli mnie milczeniem, jak gdyby badając, czy nie kłamię. Wyczułem w sobie drobne macki ich ocen, delikatne, acz stanowcze, zupełnie jak dłoń zakłopotanej stażystki w czasie bezpłatnej profilaktyki prostaty dla policjantów po sześćdziesiątce.

– Nie potrzebujemy, żebyś nas krzywdził. Ktoś inny to robi – powiedzieli wszyscy troje idealnym unisono. – Trzeba go powstrzymać.

Moje myśli zawirowały niczym koktajl mleczno-jajeczny w mikserze Predom mamy. Ktoś zabija martwych – potrzebują pomocy policji – co za absurd – przecież ledwo sobie radzimy z zabójstwami żywych – po co mi było to umieranie?

– Pozwól, że ci wyjaśnię. – Twaróg wyłączył mikser. – Gdybyś jadł nieco więcej tłuszczy nasyconych, spotkalibyśmy się tutaj miesiąc albo dwa temu. Byliby tu z nami Salami, Ciotunia, Visine oraz Szekspir. Doprawdy, przezacne towarzystwo. Nie ma ich jednak z nami. Zniknęli. Zupełnie nieoczekiwanie.

– Ktoś ich zabił – dodała grobowym głosem Manicure.

– Jak można zabić… – Zawahałem się. Zalecane przez nich słowo „człowieka" brzmiało w tym kontekście kuriozalnie. – Kogoś, kto już nie żyje?

– Po pierwsze Manicure formułuje być może pochopne wnioski – odpowiedział mi Fidel. – Nie wiemy, czy ktoś ich zabija.

– Powiedzieliście, że czwórka waszych znajomych zniknęła w sposób nieoczekiwany – zdecydowałem się przejść od razu do rzeczy. – Jest coś takiego, jak oczekiwany sposób znikania?

– Dusza, którą z punktu widzenia żywych jesteśmy, może zagnieździć się jedynie w idealnie dopasowanym ciele. Dlatego większość czasu spędzamy w postaci, którą widzisz. Kiedy jednak powstanie pasujące ciało, zaczyna się nowy cykl życia. Tuż przed narodzinami blakniemy. Lub trochę później, jeśli poród był przedwczesny. Wreszcie wnikamy w ciało i pozostajemy w symbiozie z nim aż do śmierci.

Tamci nie zblakli, pomyślałem. Zniknęli nieoczekiwanie. W nikogo się nie wcielili!

– Właśnie tak! – potwierdziła Manicure. – Czy w ciągu tych kilku godzin zdarzyło ci się już zatęsknić za czymś z twojego życia w ciele?

– Tak, za kebabem – odparłem, pomimo braku wyraźnego związku pytania z rozmową. – Jadałem go często na służbie. Za życia też za nim tęskniłem. Wiecie, fosforany i tłuszcz.

– Wspaniale. Będziemy zatem mówili na ciebie Kebab – oznajmiła i uniosła się z fotela. – Chodźmy do teatru. Już świta, wkrótce będzie tu pełno ludzi.

Nie pozostało mi nic innego, jak ruszyć za towarzystwem, które jak na komendę wstało z miejsc i zaskakująco dostojnym truchtem skierowało się ku centrum miasta. W ciągu pięciu minut wycieczki przeniknęliśmy kilkanaście bloków mieszkalnych, dworzec Kaliski, trybunę stadionu miejskiego i dobrą setkę kamienic. Wrażenia betonów, drewien, cegieł i ciał ludzkich złączyły się w synkopowaną melodię, chimerę mazurka C-dur Szopena opus dwudzieste czwarte, zagniatania ciasta na pierogi przez moją ciotkę oraz szronu na radiowozach w grudniowe poranki. Jak bardzo synestetycznie jest być duchem!

Dopiero kiedy przeniknęliśmy do mikroskopijnego foyer na trzecim czy czwartym piętrze jednej z kamienic, zdałem sobie sprawę, że znajdujemy się w teatrze.

– Sala kameralna w Jaraczu – wyjaśnił Twaróg. – W środy nie ma tu prób, jest więc pusto. Chyba że akurat budują dekoracje. Wróćmy jednak do naszej rozmowy. Masz jakieś pytania?

– Można jakoś zabić duszę? To znaczy człowieka. Takiego jak my. Nie wiem, egzorcyzmami?

Kiedy już przestali się śmiać, odezwała się Manicure.

– Egzorcyzmy są jak teatr, to tylko przedstawienie dla rodziny i chorego. Mają jednak świetny efekt terapeutyczny dla widzów, w czym również są do teatru podobne.

– Zdarzają się, oczywiście, stworzenia i zjawiska – Fidel przejął pałeczkę – które potrafią przerwać życie człowieka i rozproszyć jego składniki z powrotem w podściółce świata, jednak w Łodzi żadne z nich nie występują.

– Jest możliwe, że cała czwórka zaginionych wyjechała po prostu i padła ofiarą któregoś z owych zagrożeń?

– Gdyby wyjeżdżali, wyczulibyśmy to wyraźnie – wyjaśnił Fidel. – Wędrując po mieście, nauczysz się rozpoznawać uczucie oddalania się od

innych, ciągnące i lepkie. Przestrzenna bliskość łączy nas delikatnymi, acz mocnymi więzami, które nie rwą się, najwyżej z czasem słabną, jeśli długo przebywamy w oddaleniu.

Słuchając go, starałem się pochwycić wykluwającą się z trudem myśl. Wreszcie zjawiła się, z mdłym, rumowo-kokosowym mlaśnięciem.

– A może to przez in vitro? – spytałem podekscytowany. – Przed śmiercią czytałem o otwarciu w Łodzi kliniki nowej generacji. Ponoć nowa metoda nie wymaga masturbacji, zamrażania embrionów i może być stosowana nawet u dziewic. Pierwsze udane zapłodnienia nastąpiły właśnie w ciągu ostatniego miesiąca! Może któryś z nich, a nawet wszyscy, idealnie dopasowali się do tych dzieciątek?

Przez chwilę nie odzywali się. Katedralnie wybujałe myślokonstrukcje wyrastały pomiędzy nimi i więdły w jednej chwili, rozbłyskując tuż przed śmiercią rozmaicie pachnącymi szelestami. Amarantowe, lipowe, tenorowe, rodziły się i umierały całymi akordami.

Wreszcie rozmowa ucichła.

– Wybacz, że nie włączyliśmy cię do dyskusji – powiedział Twaróg – ale chcieliśmy jak najszybciej ocenić twój pomysł. Wkrótce osiągniesz biegłość we współmyśleniu, na razie jednak będziesz co jakiś czas musiał po prostu poczekać.

– A co z in vitro? – przypomniałem moje pytanie.

– Nie – odparł. – Gdyby nawet owe ofiary sztucznych zapłodnień były rzeczywiście dopasowane do któregoś z tamtych, okazałoby się to nie wcześniej niż w dniu narodzin, łożysko bowiem izoluje ciało dziecka niemal doskonale. Za te osiem miesięcy zaczęliby blaknąć, a kiedy ciało byłoby gotowe na przyjęcie duszy, czyli jakiś rok później, pożegnaliby się i poddali ponownemu zjednoczeniu.

Każdy sukces wymaga dziesiątek porażek. To podstawowa wiedza, jaką zdobywa każdy oficer śledczy. Musiałem próbować dalej.

– Czy zaginieni wspominali, że ktoś im grozi? Mieli jakichś wrogów wśród innych ludzi? – ciągnąłem.

– Nie miewamy wrogów, Kebabie – odparła Manicure. – Pojęcia tego typu, jak mawiał nieodżałowany Salami, mają sens wyłącznie wśród

konkurujących o zasoby stworzeń darwinowych, czy jakoś tak. Ludzie nie muszą o nic konkurować, nie rozmnażają się, nie jedzą. Najbardziej dramatyczne interakcje, w jakie wchodzimy, to takie, jakiej przed chwilą byłeś świadkiem. Tu nie ma zabójstw.

– Nie bywamy wściekli na siebie? Zazdrośni? – zapytałem.

– O co?

Wzruszyłbym ramionami, gdybym jakieś miał. Sprawcami większości zabójstw wśród zwykłych ludzi byli najczęściej zazdrośni mężowie, nieostrożni kierowcy i dyrektorzy koncernów gospodarczych, choć ci ostatni rzadko mordowali własnymi rękami. Zawsze jednak chodziło o seks, pieniądze albo zwyczajną głupotę.

– Sam widzisz. – Manicure przytaknęła moim myślom.

– A zatem to ktoś z zewnątrz? – zapytałem.

– Nie widzimy innej możliwości. Poza tym nawet nie wiedzielibyśmy, jak kogoś zabić. Śmierć ciała polega na katastrofalnym przerwaniu jego tkanek. U nas nie ma czego przerywać. Wyglądamy jak ciała, w których ostatnio byliśmy, ale to tylko kwestia wyboru kształtu. Utrzymujemy go, aby lepiej wyczuć rezonans, dopasowanie. Jeśli ktoś woli oczko wodne albo stary dąb, będzie mieć gałęzie albo fale.

– Czyli można stać się drzewem? Może to ich spotkało?

– Czulibyśmy ich obecność. Poza tym forma kolejnych wcieleń jest z reguły bardzo podobna. Nawet twarze i kolory włosów.

Wstałem. Potrzebowałem pomyśleć w samotności. Nawyk ten zapewne tkwił we mnie z racji niedawnego przebywania w cielesnej skorupie, w której myślenie ograniczone było zawsze do indywidualnego. Zdawali się rozumieć mnie, posłałem więc im życzenia dobrego dnia wraz z obietnicą powrotu, kiedy już coś osiągnę i wyszedłem na ulicę. Z wysokości piętra, na którym znajdowała się sala kameralna, jezdnia zdawała się zapełniona miniaturowymi, resorowanymi samochodami z mojego dzieciństwa. Spoglądałem nieraz w dół z tej wysokości, nigdy jednak nie miałem wrażenia, że patrzę na zabawki.

Chodniki pełne były ludzi. Skorup. Ciał. Cholerne słowa. Cholerne pomieszanie języków.

W Warszawie taki stan zatłoczenia oznaczałby zapewne epidemię jakiejś obłożnej choroby, w Łodzi były to jednak godziny porannego szczytu transportowego. Dzieci spieszyły do szkół, staruszki do sklepów mięsnych, absolwenci liceów po tani alkohol, zanim wykupią go bezrobotni.

Ilu spośród nich skrywało w sobie duszę, kogoś podobnego do mnie? Czy ci, którzy są jej pozbawieni, odczuwają w życiu jakiś brak? Lub może przeciwnie, ich żywot jest wygodniejszy, wręcz komfortowy?

Czy ja byłem kiedyś szczęśliwy? Szczęśliwszy od bez-dusznych kolegów? A może legendarna prawość i nieprzekupność były właśnie pochodną tego, o co byłem bogatszy?

Moje rozmyślania przerwało wynurzenie się zza rogu niesławnej ulicy Wschodniej dwóch moich kolegów po dawnym fachu. Uśmiechnąłem się na ich widok mleczno-kawowym i nieco jesionowym uśmiechem. Szli powoli, niemal dostojnie, rzucając przyjazne spojrzenia malcom z tornistrami i młodym kobietom na wysokim obcasach.

A jednak, kiedy tuż obok nich przebiegł przez jezdnię młodzieniec, spieszący najwyraźniej do podjeżdżającego właśnie na przystanek autobusu, nie zareagowali.

Gniew zakotłował się we mnie niklowo parzącymi iskrami.

Gdzie wasza prawość!? Gdzie powołanie!?

Wiedziony nagłym, instynktownym impulsem, rzuciłem się w dół kanionu kamienic w stronę beztroskich funkcjonariuszy. Nie myśląc wiele, obrałem na cel wyższego, całkiem przystojnego młodzieńca, zapewne dowódcę patrolu, i wniknąłem w jego ciało. Niech choć raz poczuje, jak to jest, być obowiązkowym i niezłomnym!

W jednej krótkiej chwili w mojej świadomości pojawiło się całe jego życie, jak gdyby ktoś ułożył niebotyczny stos fotografii obrazujących każdą chwilę w olbrzymi, ciągnący się po horyzonty kolaż. Przez moment byłem aspirantem Sewerynem Urbaniakiem i myślałem o wieczornym spotkaniu z narzeczoną i jej koleżanką. Zaraz potem jednak moim ciałem zatrzęsło. Trwało tak, drgając i dygocąc. Wreszcie upadło, uderzając potylicą w betonową płytę. Usta wypełniła kleista, gęsta ślina, palce drapały bruk.

W końcu zapadła ciemność.

Kiedy się ocknąłem, był wieczór. Leżałem w podwórku, oparty o ceglaną zimnię ściany. Nade mną stali Twaróg, Manicure i Fidel.

– Jak ten Urbaniak? – spytałem, odzyskawszy wspomnienia poranka.

– Wylew. Sekcja jutro, ale i tak niczego się nie dowiedzą – odpowiedział Twaróg.

– Jaka znowu sekcja!? – Poderwałem się do pionu.

– Nie wiem, czy znajdą w jego mózgu choć jedno nienaruszone naczynie. To bardzo delikatna tkanka, a nagły wzrost ciśnienia krwi jest dla niej bezlitosny. Tak mówił Salami. Czyżby przyszły ci do głowy ponowne narodziny? A może testowałeś jakąś hipotezę śledczą?

– Zabiłem człowieka? – Nie docierało do mnie ani to, co zrobiłem, ani to, co mówił Twaróg.

Ja, policjant? Prawy? Nieskazitelny?

– Zabiłeś skorupę. Człowieka tylko zamroczyło. Poza tym nie jesteś już policjantem. Teraz w każdym razie już wiesz, że nie można wcielić się w dorosłego. Żeby ułatwić ci pracę, podpowiem, że dzieci starsze niż rok też nie przeżywają podobnego zabiegu. A jeśli nie uszanujesz prawa rezonansu, to i roczniak nie przeżyje. Efekt będzie mniej więcej ten sam, choć diagnozowany raczej jako nagła śmierć łóżeczkowa.

To dlatego nie chodzili w dzień po ulicach! Żeby przypadkiem w kogoś nie wejść!

– Albo żeby nie być kuszonym – dopowiedział Twaróg.

– Powiedziałeś: „I tak się nie dowiedzą"? – spytałem poniewczasie. – Oni o nas nie wiedzą?

– A ty wiedziałeś?

– O kebabie też nie wiedziałem, aż kiedyś pojechałem do Frankfurtu. A przecież można go kupić u nas na każdym rogu.

– Kebab to co innego.

– Nikt nie wie? Żadni naukowcy? Paranormalni? Ufolodzy? Schizofrenicy? Nikt?

– O ile nam wiadomo, nikt. Skąd mieliby? Póki jesteśmy w ich ciałach, myślimy ich myśli, kiedy jesteśmy tu, nie widzą nas, nie są w stanie nas odczuć ani wykryć.

Nie miałem zupełnie żadnego pomysłu, co robić dalej. Byłem pewien, że zabójcy trzeba szukać pośród tych, którzy mogliby chcieć zabić, i którzy wiedzieli, że w ogóle jest kogo. Według moich towarzyszy nikt taki nie istniał. Czułem się bezradny, jak w trakcie większości śledztw. Może dlatego raczej szkoliłem z nieprzyjmowania łapówek niż łapania morderców? Żaden wstyd, w końcu drogówka też nie prowadzi dochodzeń. A jednak czułem, że sprawiam zawód.

– Spirytyści? – Rzuciłem ostatnią deską ratunku w przestrzeń.

– Wiedzą, ale same bzdury. Uważają, że jesteśmy duchami – odpowiedział niechętnie Fidel spod bramy. Najwyraźniej szykował się już do odejścia. – Poza tym, spirytystów już prawie nie ma.

Prawie! Aż chciało się zastrzyc uszami! Prawie!

– Rzeczy, które robi się w Łodzi, będąc martwym – odezwała się Manicure.

– Jakie rzeczy? – spytałem zdezorientowany.

– To tytuł spotkań neospirytystów Madame Dostojeffski, baronowej z Jekaterynburga. Stoliki ouija, ektoplazma, świecowanie uszu i masturbacja.

– Masturbacja?! – wyrwało mi się z obrzydzeniem.

– Tak mi się powiedziało. Same bzdury, po prostu.

– Muszę tam pójść – stwierdziłem. – Wśród nich może kryć się zabójca.

– Dokładnie tam się wybieramy, jak co czwartek. Wiesz, dla rozrywki. Chciałam ci właśnie zaproponować.

Jak to możliwe, że pomyślałem o spirytystach właśnie teraz? Wcześniej przecież w ogóle nie wiedziałem o istnieniu kogoś takiego.

– Najwyraźniej zaczynasz już z nami współmyśleć. – wyjaśniła Manicure. – Musisz pospieszyć się ze śledztwem, póki pamiętasz jeszcze, jak to jest być policjantem.

– Ruszcie się! – popędził nas Fidel z bramy. – Zaraz zaczynają!

Madame Dostojeffski przyjmowała na piętrze pięknej kamienicy pod Lwem, przy placu Wolności. W przestronnym salonie ustawiono okrągły stół z lakierowanego, wiśniowego drewna. Stiuki, lamperie, ostentacyjnie pozdzierany dębowy parkiet. Za to obrazy na ścianach imponujące, w zło-

tych ramach. Wyobraziłem sobie ciemne miejsca na ścianach w Ermitażu i kolegów z Petersburga drapiących się z zakłopotaniem po głowach.

– To z Jekaterynburga! Ale owszem, ukradzione. – Twaróg się uśmiechnął. – Już zaczęli!

Najwyraźniej przegapiliśmy przez mój wypadek jakąś część spotkania. Tęga, mocno umalowana kobieta wołała z kresowym zaśpiewem:

– Duchu Piotra Bączura! Pytam jeszcze raz: czy jesteś z nami? Twoja kochająca żona chciałaby z tobą porozmawiać.

Fidel, który dotąd stał tuż za plecami chudej kobiety o końskiej twarzy, najwyraźniej wdowy Bączurowej, przysunął się do spirytystki i, dotknąwszy lekko jej potylicy, przemówił.

– Jestem tutaj kochanie. Stęskniłem się za twoimi krągłościami. I schabowym.

Parsknąłem śmiechem. Krągłości! Kobieta składała się z samych żeber i obojczyków! I zębów.

Madame powtórzyła basem jego słowa z obliczem przypominającym twarze pijaków, jakich czasem zimą musiałem sztywnych zbierać z zasp, jeśli akurat nie byłem gdzieś z wykładami.

Wdowa zaszlochała, ale dzielnie nie puściła dłoni sąsiadów.

– Czy nigdy mnie nie zdradzałeś? Czy byłeś mi wierny?

W myślach Fidela ujrzałem tęgiego draba obracającego w łóżku dwie równie chude jak pani Bączurowa kobiety, starsze jednak o dobre dwadzieścia lat. Jej matka i ciotka! Towarzysz posłał nam porozumiewawczy, cynowy uśmiech.

– Oczywiście, kochanie! Znałem smak tylko twoich ust!

Spirytystka powtórzyła basem kolejną kwestię.

Potem przerobiliśmy w podobny sposób tematy spadku, rodzinnych obiadów (Fidel dławił się zbereźnym, pachnącym końskim moczem śmiechem), aktualnego stanu zdrowia nieboszczyka, czy spotkał w zaświatach ciotkę i mamę (Fidel iglasto-sosnowy z uciechy) i gdzie schował pieniądze (za świętym obrazkiem, dwa miliony z peerelu, dwie stówy na nasze).

Słuchając tych bzdur, zmęczyłem się nie mniej niż sama Madame.

Wreszcie duch świętej pamięci Bączura odszedł z powrotem w zaświaty (Fidel stanął pod ścianą i udawał, że ociera pot z czoła. Był przy tym słony i znów odrobinę koński).

Spirytystka oparła się nieśmiałym prośbom o pokaz wydzielania ektoplazmy („późno już, kochani, a ten wieczór jest nader męczący"), podziękowała za gromkie brawa i zaprosiła za tydzień.

– Ten Bączur jest jednym z nas? – spytałem Twaroga, przypatrując się podekscytowanemu towarzystwu opuszczającemu salon.

– Zwykły skorupiak. Zmarł dziesięć lat temu.

– Czyli Fidel zmyślał?

– Ani trochę – zaprzeczył Twaróg. – Wszystko prawda, nawet o krągłościach. Wiesz, w porównaniu z jej matką…

– Skąd wiedział? – wszedłem mu w słowo. Miałem dość rodziny pani Bączurowej.

Twaróg nie odpowiedział, tylko zwrócił moją uwagę na młodzieńca z podkrążonymi oczami, który jako jedyny pozostał jeszcze w salonie i rozmawiał ze spirytystką, gestykulując energicznie.

– Czemu pan pyta? Cóż pan zamierza uczynić? – zapytała go.

– Jestem programistą, droga pani. Uczę komputery myśleć. Planuję obdarzyć moje maszyny duszą i zastanawiam się, jak to zrobić. Czy dusza w komputerze będzie taka sama jak dusza człowieka? To mnie interesuje. Dlatego też przychodzę do pani.

– Broń pana Bóg! – Madame przeżegnała się po prawosławnemu. Dwukrotnie. – Dusze to emanacje ludzkiej energii życiowej! Ludzkiej, drogi panie! Kłębią się tu wokół, cały czas je wyczuwam. Na myśl o tym, że miałyby zamieszkiwać komputer, drżą wszystkie i jęczą! Szczęśliwy z pana człowiek, że mój dar go ominął!

– A świadomość, pani baronowo? Czy chociaż tyle? Czy to to samo co dusza?

– Za dużo pan ode mnie wymaga, młody człowieku. Ja jestem tylko medium, przeze mnie przepływa duchowa energia tego świata! Nie znam jej natury i prawdę mówiąc, nie chcę znać. Wiem tylko, że całe te komputery to nic dobrego. Duchy boją się ich. Ponoć te maszyny piszczą

i brzęczą. Jak nietoperze. Wybaczy pan, muszę się położyć. To było bardzo wyczerpujące spotkanie.

Młodzieniec skinął głową i z pewnym ociąganiem pocałował podstawioną przed jego nos, upudrowaną dłoń.

– Drżą i jęczą. Duchowa energia – szydził Fidel. – Pierdo…

– No! – krzyknęła Manicure. – Żadnych wulgaryzmów! Co zamierzamy zrobić z tak pięknie rozpoczętym wieczorem?

Ja nie miałem wątpliwości, co zamierzam.

– Spotkamy się w bibliotece miejskiej! – rzuciła w kierunku Fidela i Twaroga. – Pójdę z tobą, Kebab. Nie powinieneś jeszcze chodzić sam.

Fidel z Twarogiem odeszli w kierunku parku Staromiejskiego, zaś nasz młodzieniec wsiadł do tramwaju jadącego w kierunku politechniki.

– Nazywa się Zel. Jedzie do swojej pracowni – wyjaśniła Manicure, dotykając jego kurtki. – Jest rozżalony. Był pewien, że uzyska więcej pomocy. Naprawdę myślisz, że oni mogą tam być?

– Tak – Przestałem się już dziwić swobodzie, z jaką zaglądała do moich myśli. – Myślę, że mógł ich uwięzić w swoich komputerach. Jestem tylko zaskoczony, że tak gładko poszło. Już przy pierwszej próbie zarzucenia ucha. Ale tak bywa, czasem od razu łapie się trop. Bywa, że ten pierwszy jest właściwy! Kiedyś prowadziłem śledztwo w sprawie kradzieży roweru. Sprawcą okazał się notowany wcześniej za takie samo przestępstwo sąsiad poszkodowanego!

– Poszedł siedzieć?

– Nie. Podpiłowana rama złamała się po kilku dniach pod złodziejem, więc pozwał właściciela o uszkodzenie ciała. Oskarżyciel dowiódł, że była to prowokacja mająca na celu uszczerbek na zdrowiu i właściciel roweru dostał trzy lata w zawiasach.

Tak gawędząc, dojechaliśmy do politechniki. Młody człowiek wysiadł jednak przystanek przed Instytutem Informatyki i wszedł do rozświetlonej jeszcze galerii handlowej naprzeciwko.

Kupił kebab. Doner. Z podwójnym czosnkowym. Miałem ochotę zrobić mu to samo, co rano rozmarzonemu krawężnikowi. Oczywiście nie zrobiłbym, ale i tak czułem zawiść.

Umazaną sosem twarz otarł dopiero kiedy wszedł na portiernię.

Nie zdejmując kurtki, nie zapalając światła, usiadł w fotelu i z wściekłością wpisał hasło do komputera. R320nan$.

– Widzisz to?! – zapytałem Manicure. – Rezonans!

– On wie – odparła gliniano-szadziście. – I chyba wie też, że nie powinien myśleć o tym, że wie. Swoją drogą ten zapis jest całkiem synestetyczny, jak na cielesnego, rzecz jasna.

Przebiegał okna pełne komputerowych kodów i pulsujących, drgających wykresów. Barwne włókna pęczniały i wiotczały na przemian, tętniąc rytmami kojarzącymi się z czymś żywym.

– Czy to mogą być oni, tam na ekranach? – spytałem, usiłując przeniknąć myślą i nowo nabytymi, wątłymi jeszcze zmysłami nagrzane, nieprzyjemnie brzęczące fornirem i szuwaksem elektroniczne sprzęty, którymi zastawiona była pracownia.

– Salami i reszta? Nawet jeśli, to nie wyczuwam. Kolory pozbawione dźwięku i zapachu są tak martwe, że nie kojarzą mi się z ludźmi, ale czego się spodziewać po komputerach?

– A ten szuwaks? Co to jest?

– Zapach, którym brzęczą komputery? Nie mam pojęcia, ale podobnie smakują telefony komórkowe i płaskie telewizorki, których cieleśni tak lubią dotykać. Musiałbyś zapytać Salamiego. A on co robi?

Zajrzałem Zelowi przez ramię. Poprawiał jakiś dokument, zmieniając tu i ówdzie słowo lub szyk zdania, zdawało się, że machinalnie.

Koncepcja duszy jako bytu niezależnego w rodzaju pasożyta na ciele ludzkim daje nadzieje na otrzymanie pełnego SI, o ile dostosuje się konstrukcję komputera tak, aby mógł stać się nosicielem. Szukając wsparcia w analogii z koncepcją Lewontina, możemy podejrzewać, że chodzi o wykształcenie swoistej struktury rezonansowej, która mogłaby służyć za macierz czy podporę dla duszy.

– Podejrzewać – powiedziała Manicure. – To taki styl, czy rzeczywiście tylko podejrzewa?

– Nie mam pojęcia – odparłem. – Nigdy nie pisałem prac naukowych.

– Czemu to, kurwa, nie działa!? – krzyknął Zel i uderzył pięścią w klawiaturę, posyłając czarne kawałki plastiku we wszystkich kierunkach. Na miejscu została tylko spacja. – Wszystko się zgadza, ale nie działa!

Dotknąłem jego ramienia.

Idealne dopasowanie do wzorca – Wzrost energii – Wskaźniki – Przyrządy – Dlaczego nie przywarła – Czemu do człowieka może, a do komputera nie? – Czemu tylko do człowieka?

Myśli wirowały w jego umyśle, jak na karuzeli, zataczając kręgi wciąż w tym samym kierunku i niezmiennym składzie.

Nie tylko do człowieka, pomyślałem. Do drzew również. I do oczek wodnych.

Zanim zdałem sobie sprawę, że być może podpowiadam przestępcy, jaki błąd popełnia, było już za późno.

– Woda! – krzyknął. – Eureka! Woda! Krzem nie może być nośnikiem! Lewontin wyraźnie mówił o cieczy, choć to tylko jego intuicja.

Manicure była wściekła.

– Musisz uważać – powiedziała tylko. – Myśli płyną w obie strony.

Stała, przyglądając się Zelowi, jak szuka czegoś w stosie komputerowego sprzętu, wyjmuje inną klawiaturę, i z żelazistą, kwaskowatą pasją zabiera się do pisania.

Biorąc pod uwagę legendy o duchach drzew czy oczek wodnych, należy przypuszczać, że nośnikiem informacji rezonansowej w maszynie powinna być woda. Być może nale…

Manicure dotknęła policzka Zela, który drgnął niczym oparzony i obejrzał się za siebie.

– Należy zbudować komputer oparty na wodzie, w rodzaju parowych maszyn, które konstruował w dziewiętnastowiecznej Łodzi fabrykant-pasjonat Jewgienij Dałow – dokończyła za niego i, przykucnąwszy, wniknęła w mężczyznę.

Wyrzucił na boki ręce i wyprężył spazmatycznie plecy. Potem zwiotczał.

Nie mogłem w to uwierzyć.

– Zabiłaś go! – krzyknąłem.

– I kto to mówi? – żachnęła się lepko Manicure, stając z powrotem obok mnie. Ociekała słonawym ciepłem, jak zapewne i ja tego ranka. – Sam widziałeś, że był o krok od zrealizowania planu. W pewnym sensie szkoda, że naprawdę nie możemy wniknąć w tę maszynę, żeby zniszczyć wszystkie wyniki jego badań.

– Jedno wiemy – powiedziałem, usiłując nie myśleć o morderstwie, którego przed chwilą byłem świadkiem. – To na pewno nie on. Jeszcze nie dotarł tak daleko. Kto zatem? Może ktoś inny już wcześniej wpadł na ten pomysł?

– Mój drogi, cieleśni, jak na pewno pamiętasz, są nadzwyczaj chełpliwi. Salami twierdził, że naukowcy najbardziej. Wierzysz, że ktokolwiek wytrzymałby bez ogłoszenia takich wyników?

– To nie jest kwestia wiary. Powinniśmy przejrzeć nekrologi, pójść na pogrzeb. Może jakiś jego doktorant albo ktoś podobny wpadnie? Dotkniemy kurtek, porozglądamy się.

– Ty tu jesteś gliną, pamiętaj tylko, że być może nie mamy za dużo czasu. Już ponad tydzień minął, odkąd zniknął Salami. Tamci znikali mniej więcej co tydzień. Być może…

Nie dokończyła. Chciałem zapytać, co proponuje, ale już wiedziałem. Rzeczywiście, wspólnota myśli zaczynała się zadzierzgać. Dokładnie tak, jak mówili.

– Jak masz zamiar to zrobić? – spytałem, oszołomiony jej pomysłem.

– Zwyczajnie – odparła. – Jak sądzisz, skąd Fidel wiedział, jakie rozrywki preferował świętej pamięci profesor Bączur?

– Był tam? Trzydzieści lat temu?

– Kilka razy w trakcie seansu. Nie zauważyłeś, jak znika na moment?

– Musiało mi umknąć – przyznałem. – Ale jeśli to naprawdę możliwe, to rzeczywiście najsensowniej byłoby sprawdzić po prostu czy ten Małow do czegoś doszedł i podążyć tym tropem albo go odrzucić. To kiedy lecimy?

– Dałow, nie Małow – poprawiła mnie Manicure. – Widzę, że spodobał ci się pomysł.

– Owszem, spodobał. Co robisz? – zapytałem, gdyż zdawała się trochę nieobecna.

– Wołam ich. Nie możemy podróżować sami. To zbyt niebezpieczne, łatwo zgubić drogę. Oni mają praktykę.

– Fidel i Twaróg?

Kilka minut później stali obok i wsłuchiwali się w nasze wspomnienia niedawnych wydarzeń. Kiedy wiedzieli już wszystko, mogliśmy ruszać.

– Nie wiemy, kiedy ten Dałow żył, cofniemy się więc do tysiąc osiemset siedemdziesiątego i popytamy – wyjaśnił Fidel. – Ktoś będzie wiedział, a jeśli nikt, to znaczy, że jesteśmy za wcześnie. Może być?

– Czemu właśnie do siedemdziesiątego? – spytałem.

– Żeby było w dziewiętnastym wieku, ale żeby za daleko na próżno nie chodzić.

Nie miałem nic do dodania.

– Rób to, co my! – polecił Twaróg.

– Ruszamy od razu? – zdziwiłem się.

– Na co mielibyśmy czekać? – odparł Fidel.

– No, trzeba przygotować się jakoś.

– Nic więcej nie możemy zrobić – wyjaśnił. – Nie przestudiujemy książek czy gazet, nie mamy jak przewracać stron ani obsługiwać komputerów. Moglibyśmy zacząć szukać ekspertów, profesorów, czytać ich, przeglądać, ale to zajęłoby bardzo dużo czasu.

Nie zaprzeczyłem. Miał rację.

Jego kształt nie poruszył się ani odrobinę, ale zblakł nieco, podobnie jak pozostałej dwójki. Znikali. Instynktownie zacząłem ich naśladować.

Przemieszczałem się, choć nie w przestrzeni, tylko w czasie, lecz w gruncie rzeczy zupełnie tak samo.

Pracownia rozpłynęła się w smugę zmian przemieszczanych przedmiotów i poruszających się ludzi.

– Nie musimy obawiać się kolizji z człowiekiem – uspokoił mnie Fidel, podczas gdy mijaliśmy kolejne lata. – W tym tempie przenikamy go w mniej niż mgnienie oka. To żadne wniknięcie. No, chyba że ktoś ma tętniaka. Tak w każdym razie twierdził Salami.

Minutę później byliśmy już nad ziemią, bez śladów murów dookoła. Wokół nas wznosiły się wysokie żurawie budowlane. Zanim zdążyliśmy opaść, znikły również one.

Najwyraźniej byliśmy w roku, w którym politechniki jeszcze nie zbudowano.

– Po czym poznamy, że jesteśmy u celu? – spytałem.

– Po dwóch wojnach po drodze – odpowiedział Twaróg – jedną za moment miniemy. Za drugą będzie jeszcze pół wieku, ale to w miarę łatwo odmierzyć.

Przyglądałem się znikającym jeden za drugim budynkom, aż w końcu ulica zmieniła się z brukowanej alei w błotnistą drogę.

– To gdzieś tu – oznajmił Fidel jakiś kwadrans później i zatrzymał się. Żadnej wojny nie zauważyłem, ale widocznie na przyszłej alei Politechniki nic szczególnego się nie działo.

Był dzień. Gęste chmury przykrywały słońce, powietrze huczało zmęczeniem i gorącem. Rozejrzałem się. Aż po wschodni horyzont w niebo strzelały smukłe, ceglane wieże kominów. Na zachodzie ciągnęły się pola pokryte wyschłymi łanami zboża.

– Tam ktoś jest! – wskazała kierunek Manicure po chwili zastanowienia. – Ale pójdźmy ulicami, dobrze? Rozejrzyjmy się, skoro już tu jesteśmy.

– Kogo widziałaś? – spytałem.

– Nie wiem. Człowieka, obecność można względnie łatwo wyczuć, ale tożsamość już nie. Znajdziemy go, to się przekonamy.

Ruszyliśmy na północ ułożonym z nierównych kamieni prowizorycznym chodnikiem.

– Mamy raczej słabą pamięć – zwróciła się do mnie Manicure. – Nie tworzymy żadnych teorii, nie zatrzymujemy wspomnień. Sam się przekonasz, kiedy to, co pamiętasz z życia Tomasza, wyblaknie do reszty. Dlatego ciesz zmysły nowym miejscem. Tu jest zupełnie inaczej niż w naszych czasach.

Istotnie, miasto pachniało żelaźnie, mącznie i bawełnianie. Ulice pokryte były końskim nawozem. W powietrzu wirowały płatki sadzy. Beztroskie twarze bawiących się na podwórkach dzieci były brudne od pyłu.

Jednak oczy wszystkich, z wyjątkiem najmniejszych szkrabów, były dojrzałe i trzeźwe. Ciekawe, ilu z nich wyrośnie na prawych obywateli, a ilu na klientów moich dawnych kolegów po fachu?

– Powiedz, przyjacielu gdzie znajduje się dom Jewgienija Dałowa? – wyrwał mnie z zadumy głos Twaroga. Stał przed nami niewysoki, pałający egzotyzmem człowiek. Taki jak my, choć dziwnie pachnący. Czymś zetlałym i soczystym. Żegnał się czwarty raz i wyglądał, jakby miał zamiar nie przestawać aż do naszego odejścia.

– Coś nie w porządku? – spytałem dyskretnie Manicure. – Chyba nie chce współpracować.

Czekaliśmy tak dłuższą chwilę, ale tamten milczał i pewnie uciekłby, gdyby nie trzymała go w miejscu nasza obecność.

– Obywatelu! – Podniosłem głos na zupełnie nieznaną mi modłę. Jak gdybym nie był sobą. Czyżby przenikała mnie atmosfera czasów rosyjskiego zaboru? – Czemu nie chcecie współpracować?! Pomoc obcym jest waszym społecznym obowiązkiem. Znacie takie słowo jak lojalność? A wspólnota ludzka? Życzliwość?

Drgnął i jęknął cicho.

– Pan policjant, prawda? Widać, że błagonadieżny. Ale nie z Rosji. Pan Dałow wyprowadził się z miasta dobre dziesięć lat temu, ale i tak nie okazałby państwu pomocy. To straszny człek był.

– Gdzie mieszkał?

– Na ulicy Emilii, tuż przy Piotrkowskiej, naprzeciwko bałaganów. Sprzedał fabrykę krosien i wrócił do siebie, do Rosji.

– I tak chcielibyśmy się przespacerować po Piotrkowskiej. Dziękujemy, obywatelu – odpowiedziałem mu, nie wychodząc z roli. – Jeśli zgubilibyśmy drogę, spytamy kogoś.

– Nikogo innego w Łodzi nie ma. Wszyscy pojechali z panem Dałowem do Jekaterynburga. Ja schroniłem się na wsi. Teraz łatwo będzie tam państwu trafić, rozładowują tuż obok wóz z mąką. Zaraz chlebopiekarnia.

Pomyśleliśmy po sobie, ale nie pytaliśmy już. Pożegnawszy się, ruszyliśmy we wskazanym przez dziwaka kierunku.

– Czemu z nim pojechali? – spytałem, choć wiedziałem, że nie odpowiedzą. Skąd mieliby wiedzieć? – Czy to przypadek, że Madame Dostojeffski pochodzi właśnie stamtąd? I że trafiła właśnie do Łodzi?

– Jeśli ten człowiek nie zmyślał – odpowiedział Fidel. – Jekaterynburg musiał być przez kilkadziesiąt lat nader obfity w ludzi. Na pewno mogło to wpłynąć na jej hobby.

Skręciliśmy w Piotrkowską, we wskazanym przez naszego rozmówcę kierunku. Rozpoznawałem niektóre budynki, ale Twaróg i reszta wydawali się nie kojarzyć miejsca z tamtym, które znali zza niemal stu pięćdziesięciu lat.

Tak jak powiedział nasz informator, przed ulicą Emilii znajdowała się piekarnia. Zaraz za nią wyrastał płot, który odgradzał od miasta parczek i pałacyk kojarzący mi się ze szlacheckim dworkiem. Stanęliśmy pod jednym z drzew.

– Zamieszkany – powiedział Fidel, przyglądając się kilkunastu osobom, przemierzającym korytarze posiadłości w gorączkowych przygotowaniach do późnego obiadu. – Zapewne przez kupca majątku Dałowa.

– Rozejrzyjmy się – zaproponowałem.

– Myślę, że jeśli coś naprawdę budował, to w fabryce. Tam miał warsztaty. I pewnie nie pracował sam, raczej korzystał z pomocy robotników.

Mówił sensownie, nie było sensu się spierać.

– Tylko gdzie ta fabryka? – spytałem. – Są ich tu setki. Jak ją znajdziemy?

– Może poczekamy aż właściciel będzie wychodził i pójdziemy za nim? – powiedziała Manicure.

– Jeśli majątek nie trafił w ręce jednej osoby, nic z tego nie będzie. Powinniśmy iść dalej, w czas Dałowa. I wtedy poszperać po jego fabryce.

W miarę jak mówiłem, opadało mnie zniechęcenie. „Wtedy" to kiedy? Rok temu? Pięć? A może pięć lat i trzy miesiące? Za życia nawet nie marzyłem o możliwości podróżowania w czasie, teraz przerażała mnie konieczność przetrząśnięcia nie tylko jakiegoś obszaru miasta, ale i kilku czy może kilkudziesięciu lat. Jak mielibyśmy cokolwiek znaleźć?

– Nie martw się, Kebabie. – Manicure dotknęła mnie, w przedziwny, bezcielesny sposób. Jak gdyby przenikała mnie czule, mlecznie i zielon-

kawo. Delikatnie łączyła się ze mną, na moment, na krótką, ciepłą chwilę.
– Dowiemy się tak dużo, jak tylko się da.

– Oby tylko coś z tego wynikło. Śledztwa miewają ślepe zaułki. Większość tropów jest fałszywa.

– Trudno. – Uśmiechnęła się. – Mamy dużo czasu.

– Cofnijmy się zatem w nieco wolniejszym tempie – zaproponowałem. – Łatwo chyba rozpoznamy moment zmiany właściciela? Nowy pewnie zaczął od remontu albo chociaż odmalowania fasady. Wygląda na świeżą.

Zgodzili się.

Nie liczyłem dni, które minęliśmy po drodze. Niebo migotało świtami i zmierzchami. Drzewa karlały i zasysały z ziemi zieleniejące, ożywające na powrót liście. Powietrze z każdym rokiem przejrzyściało, mgle przybywało dawnej słodyczy. Wreszcie ściany pałacu postarzały się gwałtownie sadzą i brudną, gloniastą zielenią zacieków. Zniknął świeży tynk. Nastał czas Jewgienija Dałowa.

Zatrzymaliśmy się.

Teraz przy ulicy mieściła się tylko jedna fabryka. Na dziedzińcu stało kilkanaście olbrzymich platform przygotowanych do zaprzęgnięcia w osiem koni. Dźwigały pachnące stalą i miedzią konstrukcje, kojarzące mi się z wizytami w muzeum włókiennictwa. Szkoda, że wtedy tak bardzo mnie nudziły. Pamiętałbym może jeszcze, czy to były owe krosna, które produkował Dałow? Z drugiej strony, nie ciągnąłby ich chyba ze sobą do Rosji? Może to raczej maszyny do ich produkcji?

Ktoś tam jest – pomyślał do nas Fidel. Kilkanaście osób. W parterowym budynku za pałacem. Mało wyraźni, jakby ich coś zasłaniało. Czyżby ukryli się w wodzie?

– To pewnie ci, którzy pojadą z Dałowem do Jekaterynburga – powiedziałem. – Idziemy do nich? Będą coś wiedzieć? Potrzebujemy tylko sprawdzić, czy udało mu się zbudować komputer parowy i czy jest sens podążać tym tropem, kiedy wrócimy do Łodzi. To znaczy do naszego czasu.

– Czy to wygląda na parowe komputery? – spytała Manicure, wskazując maszyny.

Zbliżyłem się do najbliższego z wozów, przy którym uwijali się robotnicy, przesypując łopatami węgiel z usypanej w pobliżu sterty do zasobnika na platformie. Gęstwina rur, wężyków i cylindrów oplatającej spory kocioł kojarzyła się z parowozem, który konstruktor postanowił w połowie pracy zmienić w abstrakcyjną rzeźbę. A może w komputer?

– Zapytajmy ich. – Ruszyłem do fabryki.

Pozostali wydawali się zaniepokojeni. Ich zapach kojarzył mi się z policjantami na nieznanym terenie, w nierozpoznanym budynku. Zawsze myślałem, że to adrenalina, ale skoro pojawiał się nawet bez ciał, musiało chodzić o coś zupełnie innego.

W pałacu panował wyprowadzkowy rozgardiasz. Służba nosiła w tę i z powrotem tobołki, pudła, worki i przeróżne przedmioty: ubrania, naczynia, ozdoby. Pokoje wypełniał zapach pośpiechu, kurzu i lęku przed nieznanym. Za to najmniejszy budynek, zapewne pracownia naukowca, połyskiwał wonną, upojną słodyczą spokoju i szczęścia. I parą wodną.

Moją uwagę zwróciło najpierw kilkanaście pęków wysokich, miedzianych cylindrów, połączonych grubymi rurami z olbrzymim parowym kotłem, wokół którego stały. Pod sufitem unosiła się chmura siwego dymu, uciekającego z pomieszczenia kilkoma wąskimi szparami.

Grają, pomyśleliśmy razem.

– Organy – powiedziałem. – Nie komputery. To parowe organy. A gdzie ludzie?

– W środku – odparła Manicure.

Przez chwilę nie rozumiałem. Aż w końcu do mnie dotarło.

Dałow nie bawił się parowymi maszynami liczącymi. Nie eksperymentował. Osiągnął już to, czego chciał Zel, ale bez komputerów. Używał parowych organów.

Inni przytaknęli moim myślom, choć nie byłem pewien, czy na pewno mnie rozumieją.

– W tamtej siedzi Salami. – Manicure wskazała jedne z organów. – A tam Visine. Obok Szekspir.

Zawahała się.

– Ciotunia jest w tamtym – dodał Twaróg.

– Tutaj? Teraz? – Nic z tego nie rozumiałem.

Skąd się tu wzięli, w połowie dziewiętnastego wieku? Czemu nie wracali do domu? Po co tak wszystkich wystraszyli?

– Tu jest dobrze – zaśpiewały w odpowiedzi mętnym, zaparowanym głosem pierwsze z organów. – Ciepło. Bezpiecznie. Wygodnie. Serowo.

– Salami! – krzyknął Fidel. – Bracie!

– Nie są braćmi – wyjaśniła cicho Manicure. – Tak tylko na siebie mówią, kiedy chcą sobie dopiec albo wytknąć błędy. To z jakiegoś żartu, ale resztę już dawno zapomnieliśmy. Została jedynie puenta.

– Telepaliśmy się do was sto pięćdziesiąt lat – powiedział oschle Twaróg. – A ty znalazłeś sobie po prostu dom spokojnej starości z saunę w abonamencie?

– To nie tak…

– Nie mógłbyś wyjść do nas na chwilę ? – przerwał mu Fidel. – Ledwo cię słychać.

– Nie może. Jest uwięziony – powiedziałem. – Tak jak i tamci.

Piętnaście błyszczących instrumentów zagwizdało torfowo i dymnie w żałosnym, dysonansowym akordzie.

– Dałow nas tu ściągnął swoimi maszynami – wyjaśnił Salami. – Wywołał rezonans i to dużo potężniejszy niż ten z ludzkiego ciała. Piszczałki podłączone są do mechanizmu, który potrafi przeszukać całą przestrzeń możliwości, kombinacja za kombinacją. Wypróbowują każdy możliwy wzorzec dopasowania organów do duszy, dopóki nie trafią. Kiedy ściągnął wszystkie duchy z obecnej Łodzi i okolicy, przestawił maszynerię tak, żeby przeszukiwała przestrzeń za sto pięćdziesiąt lat. Uznał, że za tyle czasu nowe dusze sprowadzą się do miasta.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytałem.

– Opowiadał kilka razy gościom. Nic nie rozumieli, ale to go nie zrażało. Teraz, kiedy knowania konkurentów zmusiły go do sprzedaży fabryki, zabiera wszystko i wszystkich ze sobą do Jekaterynburga. Nie mamy dużo czasu. Wyrusza z samego rana, zaraz nas przepompują do maszyn, które czekają na podjeździe.

– Do reszty oszalałeś? – Fidel trząsł się cały z oburzenia. – Wyłaźcie stamtąd i wracajmy do domu!

– Nie słyszałeś, co powiedział Kebab? – zapytała Manicure. – Są uwięzieni. Jak chcesz rozkruszyć te rury? Głosem? Czy może spowodujesz wylew?

– Na pewno musi istnieć sposób, musi!

Różnych stanów człowieka byłem już świadkiem w ciągu mojego krótkiego nieżywota, ale rozpacz widziałem pierwszy raz. Szczególnie u kogoś o tak mocnym charakterze jak Fidel. Manicure miała rację. Skoro nie potrafimy przewrócić karty książki, jak mielibyśmy otworzyć zawory miedzianych maszyn?

– Ważne, że żyją – odezwał się wreszcie Twaróg. – Myśleliśmy, że ktoś ich zabił. Pamiętacie jeszcze? Są tutaj, cali i zdrowi. Nie możemy ich uwolnić. Takie są fakty. Teraz musimy coś z tymi faktami zrobić. Zrozumieć je. Myśleć, czuć, pójść dokądś. Nic więcej nie potrafimy. Nie mamy ciał.

– Musimy się też dowiedzieć, czy nic wam nie grozi – dodałem. – To znaczy nam. Może i nas chce uwięzić.

To mogła być pułapka. Sprowadzić nas tutaj, do nich. Jak do zakładników. Może chodziło o szantaż? Albo po prostu kogoś z nas? Co jeśli Dałow odnalazł sposób ściągnięcia jednego z siódemki, ale chodziło mu o innego, więc pozostałych uwięził?

Celem mogłem być nawet ja.

Dziwacznie było nie czuć serca szalejącego w świadomości, że nieznane niebezpieczeństwo czai się za którymś z rogów. Czy Dałow znał przyszłość? Wiedział, że kiedyś się narodzę?

– Dałow to zwykły skorupiak – odpowiedział Salami. – Wynalazca, zafascynowany teorią, że nieśmiertelną duszę można przechować poza ciałem, aby żyć wiecznie, a przynajmniej znacznie dłużej. Łatwiej konstruować maszyny niż nowe ciała. Nazywa je duszenikami. Planuje przenosić się z jednej do drugiej, w miarę jak będą rdzewieć lub rozpadać się. Szkopuł w tym, że sam nie posiada duszy. Tam w środku skorupy zwanej hrabią Dałowem nikogo nie ma. Na razie jednak tego nie wie

i eksperymentuje z tym, co uda mu się zdobyć na zewnątrz. A co do więzienia, wierzcie mi, wizja spędzenia w tych maszynach najbliższych osiemdziesięciu lat nie wydaje się groźna. Po prostu trzeba poczekać.

Myśli pozostałych zbiły się w gęsty wir. Pytania przeplatały się z odpowiedziami, błyskały zapachami czasu i przestrzeni, drogi wiły się i zapętlały, wzgórza i domy wyrastały, a rzeki meandrowały i pędziły kaskadami. Moi towarzysze planowali drogę do Jekaterynburga. Nawet ci z innych maszyn, w sennych letargach, odzywali się półmyślami i ćwierćwątpliwościami. Przyglądałem się temu, pragnąc dowiedzieć jak najwięcej, ale nie brałem udziału w dyskusji. Pełen byłem swoich własnych pytań, z którymi wolałem zaczekać, aż podejmą wspólną decyzję. Skądś wiedziałem, że nie będzie moja. Że będę jedynie obserwatorem.

– Wyruszamy rano – oznajmił wreszcie Fidel. – Razem z orszakiem Dałowa. Droga do Jekaterynburga zajmie miesiąc. Możesz dołączyć do nas, jeśli masz taką wolę.

Nie miałem.

– Chciałbym tylko zakończyć śledztwo – powiedziałem. – Wierzyłem, że chociaż jedno w mojej karierze zakończy się wykryciem sprawcy, a okazało się, że nie było nawet ofiar, co jest, rzecz jasna, bardzo optymistyczne.

– Powiedziałbym, że serowe – wtrącił się Salami. – Pachnie mocno tryptofanem. I gruboziarnistą solą. I alpejską trawą.

– Co potem? Co tam będziecie robić? – spytałem. – Wiesz już? Mówił coś znajomym?

– Maszyny Dałowa będą utrzymywane w ruchu jeszcze przez ponad dwadzieścia lat, potem zaś przeniesione bez najmniejszego zadraśnięcia do podziemi muzeum narodowego w Jekaterynburgu. Stracą szczelność i wszyscy wydostaniemy się w końcu na wolność. Większość rozproszy się po okolicy, my jednak będziemy czekali na mieszkańca ostatniej maszyny, czyli Visine, aż do roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego. Tego samego, w którym dozorcą magazynu, kryjącego między innymi duszeniki, zostanie Antoni Dostojewski. Jego córka, od dzieciństwa mająca styczność z „duchami", jak nas nazywa…

– …przyjedzie do Łodzi za twoją namową – dokończyłem za niego. – Organizując w Łodzi spotkania spirytystyczne, spotka inżyniera Zela, który skieruje nasz trop na Dałowa.

– Prawie tak – potwierdził Salami. – Dostojewska pojawi się tu w roku siedemdziesiątym ósmym, żeby uczyć się polskiego w Studium Językowym Uniwersytetu Łódzkiego przed podjęciem studiów w Krakowie. Zostanie jednak w Łodzi, zakochana. Trudno powiedzieć: bardziej w mieście czy duchach, których tak tu wiele. Cała piętnastka wróci przecież razem z nią. A Zelowi o Dałowie powiem również ja. Tak właśnie będzie. Zaś w dwa tysiące szesnastym zostaniemy porwani mocą maszyny Dałowa sto pięćdziesiąt lat wstecz.

– Skąd wiesz to wszystko? – spytałem, przeczuwając odpowiedź.

Salami był wyjątkowy, potrafił to, czego nikt inny nie umiał. Miał pamięć.

– Właśnie tak, Kebabie. Pamiętam. Jestem inny niż wy wszyscy.

– Czemu ich nie ostrzegłeś?

– Z tego samego powodu. I tak by zapomnieli. Wszyscy pamiętamy podstawowe reguły, znamy bieżące sprawy, ale pamięć spraw odległych zanika błyskawicznie.

– Dlatego ciągle odwiedzacie te same miejsca? Żeby choć trochę wiedzieć o świecie?

– Tak. I dlatego też nauczyłem ich odwiedzin u Dostojewskiej, żeby choć mogli się do mnie przyłączyć.

– Potrzebuję jeszcze jednej odpowiedzi – stwierdziłem, choć bardzo pragnąłem uciec stamtąd i zostawić najbardziej skomplikowaną, zapętloną historię, jaką zdarzyło mi się kiedykolwiek usłyszeć. – Skoro cała wieczność przed nami, czemu po prostu nie przeczekacie tych kilkudziesięciu lat tam, w Jekaterynburgu, i nie wrócicie spokojnie do nas, do Łodzi?

– Wiem, że to zabrzmi egoistycznie, ale chciałbyś żyć tyle czasu w samotności? – spytał Salami. – Inni w duszenikach pół-śpią słodko, szczęśliwi. Budzą się na krótkie chwile i zaraz zasypiają znowu. Ja zaś zwariowałbym bez towarzystwa. A Manicure czy Fidel: tak naprawdę co za różnica, jak i gdzie spędzą życie?

Manicure uśmiechnęła się. Najwyraźniej zgadzała się z nim.

Życie. Nieżycie. Bardzo to względne. Paradoksalnie, moje z wolna blaknące wspomnienia podpowiadały mi na te same rzeczy zupełnie inne słowa niż te, których używał Salami.

– A co do pytania, które kołacze ci się po głowie – ciągnął. – Kebabie, odpowiedź jest bardzo prosta: Jekaterynburg to piękne miasto. Chętnie się tam przejadę, nawet jeśli ujrzę je dopiero za trzydzieści lat. Zresztą na przekonanie Dałowa, żeby tu został, jest już za późno.

Pożegnałem się. Oczy, którymi mógłbym płakać, jeszcze długo nie miały się narodzić, ale już czułem smutek i tęsknotę. Te uczucia pachniały parafiną i woskiem, nawet ciałom bez duszy.

Noc spędziłem na podwórzu, patrząc, jak robotnicy sypią węgiel na kolejne wozy i rozpalają ogień pod piętnastoma kotłami. Wreszcie nadszedł ranek, zaprzęgnięto konie. Z warsztatu, w którym stały organy, wyciągnięto z mozołem gumowe, drutowane węże i podłączono do maszyn na wozach, po jednym do każdej. Pracę nadzorował milczący, postawny mężczyzna o atletycznej budowie ciała. Raz po raz podkręcał sumiastego wąsa i kiwał głową, jak gdyby rozmawiał sam ze sobą.

Dałow.

Decyzję podjąłem już wczoraj, nie było więc na co czekać.

Podszedłem, żeby ostatni raz przyjrzeć się sprawcy. Nie zabójstwa wprawdzie, ale porwania i to na lat kilkadziesiąt. Wypełniał mnie gniew, kaustyczny i pulsujący. Nie miałem wątpliwości, jak postąpić.

Trzeba to było przerwać.

– Stój! – Krzyk był zdławiony i parzący.

– Czemu miałbym, Salami? – odkrzyknąłem. – Dlaczego chcesz pozwolić, żeby to wszystko trwało? Żeby się pętliło w nieskończoność. Myślisz, że nie wiem? Ja nie uśmiecham się tak radośnie, jak reszta. Ja naprawdę rozumiem!

– Skąd wiesz, co stanie się z nami, jeśli on nie zadba o maszyny? Może zniszczą je za rok i uwolnią nas wszystkich? Skąd wiesz, że nie skończymy jako dusze tych nieszczęśników zamkniętych w żydowskim getcie? W Łodzi nie ma kanalizacji, z getta nikt nie ucieknie, chyba że

w tyfus i szybką śmierć. Tu wszędzie mieszkają kobiety, których dzieci za siedemdziesiąt pięć lat spłoną w piecach jak ludzki chrust. Narodzą się już wkrótce, być może któreś z nich będzie doskonale dopasowane do jednego z nas. Może do wszystkich. Chcesz pamiętać takie życie? Chcesz czuć taką śmierć?

– Możemy wrócić do naszych czasów, gdy tylko was uwolnią – odparłem. – Nie musimy tu zostawać i czekać na rezonans.

To tylko jedna śmierć.

Co za różnica, czy jakiś fabrykant umrze w Łodzi, czy w Rosji. Za to wasz los może się odmienić i to bardzo.

Wtedy zrozumiałem.

Oto ja, policjant prawy i sprawiedliwy, wykładowca etyki zawodowej, wzór wszelkich cnót, postanowiłem właśnie zabić człowieka. Nie w imię prawa, nie w obronie własnej. Nawet nie uwolniłbym więźniów. Miałem go zamordować, gdyż tak przewidywał mój plan. Mój widok życia i świata.

Pogarda paliła i gryzła. Drwiła. Szydziła. Pożerała żywcem.

Cofnąłem się. Musiałem pozwolić sprawom toczyć się dalej.

Woźnice cięli batami zziębnięte konie, rżące żałośnie w sprzeciwie wobec niezrozumiałego, bezprzedmiotowego wysiłku.

– Na pewno nie chcesz pojechać z nami? – spytała Manicure.

Nie odpowiedziałem.

Chłonąłem zimny, samotny smutek kwietniowego poranka.

Trzeba mi było wracać, choć tym razem już nie miałem po co się spieszyć.

Ostatni raz spojrzałem na scenę odjazdu i wyruszyłem.

Miesiące mijały mnie jak przydrożne drzewa, domy kwitły i więdły, smugi ludzkich żyć wiły się wątłymi, bladymi wstążkami. Wojny, rewolucje, powstania iskrzyły, płonęły i gasły. Słońce z Księżycem wirowały wokół Ziemi w tańcu, którego reguł nie nadążałem śledzić.

Wracałem.

I blaknąłem.

Moje ciało przejrzyściało, choć nie czułem, żebym istniał chociaż trochę mniej.

Z początku nie rozumiałem co dzieje się ze mną, ale w końcu do mnie dotarło: zbliżałem się powoli do roku narodzin Tomasza lub może nawet już tam byłem. Rezonans działał i przyciągał mnie, powoli wsysał w ciało człowieka, którym miałem się stać. Ponownie.

Nadchodził kres i początek zarazem.

Zadumałem się miękko i jaśminowo.

Potem oślepiło mnie jaskrawe światło.

GANG HIGIENA

Kazimierz Kyrcz Jr & Michał J. Walczak

– Bujać to my – powiedział fotel, wprawiając się w łagodne kołysanie.

– A nie nas – dodał wykrywacz dymu, przez niektórych nazywany Wielkim Detektorem, przez innych zwykłym Destylatorem.

Niezależnie od tego, jakiego imienia czy przydomka by nie używał, w świecie samoświadomych, czujących, przede wszystkim zaś obdarzonych zabójczymi skłonnościami przedmiotów, był jedynym stuprocentowo skutecznym detektywem. Aż dziw bierze, że żaden z tutejszych kilerów dotąd nie wziął go na cel.

Zaraz, zaraz… Co to za czerwona kropka? Celownik laserowy? Przecież…

Detektor nie dokończył myśli, bo coś śmignęło koło jego miernika, uderzając w ścianę i wybijając w niej sporych rozmiarów dziurę.

To nie wyglądało na żarty, bo sekundę później wystrzelono następny pocisk.

Ściana zbladła jak bielona niegaszonym wapnem, mruknęła przeciągle „ałaaa" i nic poza tym. Wykrywacz podczołgał się do szrapneli, żeby sprawdzić, czy uda się coś z nich wyciągnąć, ale było już za późno.

– Nic z tego, Detektorze, najgorzej na głowę robi cegła – wyjaśniła ściana. – Nie mieli szans…

– O rany, boli, boli! – Posypał się tynk.

– Spokojnie kolego, wszystko będzie dobrze. Stoję za tobą murem. A wykrywacz dymu nie puści tego ani płazem, ani gadem…

– Przepraszam was, kochani, to moja wina. Plaster już leci – pocieszał ofiary wykrywacz dymu. – Ja znikam, bo muszę zająć się pracą wykrywczą. Coś mi tu konkretnie śmierdzi.

Detektor poczuł, że powinien się wyizolować. Dla bezpieczeństwa. Swojego i innych. Dalsze spięcia o podobnym charakterze mogły spowodować, że niepotrzebnie się wyładuje. Poza tym pech chciał, że akurat taśma wyszła. Tak czasami bywa – jak się nie obrócisz, dupa zawsze zostanie z tyłu.

Żeby nikogo niepotrzebnie nie narażać, zabunkrował się w graciarni, którą mocno na wyrost nazywano pawlaczem. W natłoku starych bibelotów łatwo się zgubić, no i z racji szemranego towarzystwa jest gdzie zasięgnąć języka.

Poszukiwania właściwego informatora zajęły trochę czasu. Nie każdy chętnie współpracował z wykrywaczem – łapka na muchy klapnęła ostentacyjnie w rogu i zamarła bez ruchu, OSRAM twierdziła, że czuje się wypalona, śrubokręt ewidentnie kręcił. Dłuższą chwilę detektor próbował wycisnąć coś ze starej tubki z pastą do butów. Ta jednak była zbyt zaschnięta, by coś z siebie wydusić. Ostatecznie wziął na spytki rurę z wodą. Na początku bulgotała, że nic nie wie, kiedy jednak przypomniał jej o długu wdzięczności za załatwienie zaślepki, przyznała, że ponoć w próbie zamachu maczał palce Gang Higiena.

– Serio? Kto puścił parę, grzejnik? – drążył detektor.

– Nie spalę mojego informatora – zaperzyła się rura. – Niech ci wystarczy, że miałam przeciek.

– To coś pewnego?

– Pewne jest tylko to, że wszyscy kiedyś trafimy do lamusa.

Musiał przyznać jej rację. Ale nie powiedział tego na głos – miał swoją dumę i uprzedzenie.

– Nie chcę wiedzieć, co on nam zrobi. – Szczotka do kibla zadygotała. – Musiałeś wrzasnąć „strzelaj", pustaku?!

– Ej, ej… Ty se nie pustakuj, to zbyt szorstkie… – zaperzył się pumeks.

– Zbyt szorstkie? Nie dla szefa, pucypięto jedna! Wiesz, jaki się ostatnio zrobił wybuchowy!

– Nie dziwota, skoro jest ciągle na gazie…

– Bimsstein, parsiwy Gauner jeden! Ti bysz kulo w płot ne trafył, pusztaku!

– Pusztaku? No i się utarło…

– Do mnie, komm, już! Cz… Czsz… Ć-ciotka też do mnie, zack, zack!

– Coś czuję, że jesteśmy w czarnej du… znaczy w czarnej dziurze – zmartwiła się szczotka.

– Dla twojej informacji: to od ciebie tak jedzie, gówniarzu!

– Stary cap się znalazł!

– Czągle wasz tu ne widże, hultaje! – huknęło zza zasłonki nad wanienką.

– Szefie, przecież nie ja strzelałem, tylko szczotka. – Wymigiwał się od odpowiedzialności pumeks.

– Ty ch…

– Ne intereszjonuje mnie to terasz! Konszewenczje wyczągne indywidualnie spater. Macze piętnaszcze koma pięcz szekundy, szeby zaproponowacz szkutecznego kilera na ten wykrywacz, bo inaczej mój genialny plan na żamach terorysztyczny weźmie w łeb! Eins, zwei…

– Mydło, wodzu! Ten potrafi zrobić na szaro!

– Czo ty mi tu będżesz jakiegosz jelenia proponował? My tu prawdżiwego żabójczę poczebujemy!

– Mo… mo… – zaczął papier toaletowy, ale nie dane mu było się rozwinąć, bo w tym właśnie momencie zaliczył potężnego i niespodziewanego kopa, który poturlał go w zasnuty pajęczyną kąt łazienki. Szczotka i pumeks szybko podzieliły jego los.

– Jesteście za wielkie świeżaki na mnie! – warknął detektor, zręcznym ruchem wyjmując baterię z piecyka gazowego. – Ja wam pokażę, gdzie wraki złomują!

Junkers próbował wybuchnąć słusznym gniewem, jednak pozbawiony działającego iskrownika ledwie pyknął. Reszta bandy nawet nie pisnęła.

Tak właśnie zakończyły się knowania Gangu Higiena, którego nazwa i cele wkrótce uległy zapomnieniu. Nie wierzycie? Zapraszamy do pierwszego lepszego tramwaju, byle letnią porą.

I MOJĄ GŁOWĘ TEŻ

Alicja Templowicz

Niech pierwszy rzuci kamieniem ten, komu choć raz w chwili frustracji nie przyszło do głowy, jak wspaniałą możliwością byłoby wpuszczenie drugiego człowieka do swojego wnętrza i pokazanie mu, co się myśli i czuje.

Proście, a będzie wam dane.

Proście, a potem spróbujcie się nie posrać, patrząc na to, jak spełniają się wasze marzenia.

Jedna z pierwszych zasad przetrwania głosi, by nie zostawać zbyt długo w jednym miejscu, zwłaszcza takim, w którym może dojść do kumulacji myśli podobnego sortu. My tymczasem, jak ostatni durnie, od czterech dni tkwiliśmy w studenckiej kamienicy na Wildzie.

Sytuacji nie poprawiał fakt, że dzielnica należała do jednej z pięciu Macierzy – obok Jeżyc, Grunwaldu oraz Starego i Nowego Miasta. Może nie najrozleglejsza, ale za to z potężnym zbrojnym ramieniem – zmotoryzowanym Komandem Dębiec – budziła spory respekt, który zdążył już zagnieździć się w moich barkach w postaci stałego bólu napięciowego. Wilda miała też na usługach Banę: budzący grozę konglomerat, jeszcze straszniejszy od chwili przejęcia przez niego upiornych budynków ZNTK, nawet przed katastrofą straszących ponurymi, ceglanymi murami i otchłanią wybitych szyb. Mówiono, że pociągi wchodzące w skład jednostki

są tam opancerzane oraz dozbrajane, i już niebawem przekonamy się, co to „dojebanie".

Kiedy tak szło się przez miasto i nieopatrznie zbliżało do torów, przecinających przecież Poznań siecią zahaczającą o wiele kluczowych punktów, faktycznie wydawało się to kwestią czasu. Ledwie dwa tygodnie temu Most Teatralny wyleciał w powietrze i trudno było uwierzyć w to, że Stare Miasto samo pozbyło się łączności z prawie wchłoniętymi przez nie Jeżycami. Adam, kiedy jeszcze pozostawał w miarę przy zdrowych zmysłach, rzucił teorią, że mogło być odwrotnie: że to ktoś na Jeżycach oprzytomniał i postanowił ograniczyć wpływy sąsiedniej Macierzy. Sam szybko się zreflektował, bo przecież Szlak Cesarski, podobnie jak każdy inny skrawek przestrzeni, miał już tylko znaczenie logistyczne. Wola i myśli niewiele sobie robią z lejów po wybuchach, wysadzonych mostów czy barykad.

Tkwiliśmy tak w wildeckiej kamienicy, nie do końca z własnej woli. Technicznie rzecz biorąc, całkiem uwięzieni. Paweł, Adam – któremu do reszty odbiło – i ja, której, miałam nadzieję, nie odbiło jeszcze w ogóle.

– Może to już? – spytał cicho pierwszy z moich towarzyszy.

– Nawet o tym nie myśl – syknęłam.

Jezu, to brzmiało tak ironicznie – właśnie tu, w przeklętym Poznaniu, właśnie w tamtej chwili, trzy miesiące po lipcowym Końcu Świata, jeszcze do niedawna zwanym „przejściową anomalią w zachowaniu nadprzewodników".

Zanim to się zaczęło, nawet nie wiedziałam, czym są te pieprzone nadprzewodniki. Potem nagle okazało się, że nigdzie: ani w telewizji, ani w radiu, ani w gazetach, ani nawet w Internecie nie było innych tematów, a Polskę generalnie zasiedlali sami eksperci do spraw tunelowania, w tym trzej wyraźnie objazdowi, a jeden, strzelam, objazdowy na dwóch siedzeniach, bo z jego wystąpień pamiętam głównie potężną tuszę.

Mnie tymczasem naprawdę nie obchodziły dziewięciosylabowe słowa i skomplikowane cyferki. Trzeba mi było tłumaczyć jak krowie na rowie: od dzisiaj każdy będzie wiedział, jeśli w myślach wyślesz go do diabła. Od dzisiaj masz otwartą głowę.

Na oścież.

Po ludzku to się nazywa telepatia. Tylko taka powszechna i działająca w obie strony. Nagle okazało się, że żyję wśród frustratów, zboczeńców i niedoszłych morderców, z których połowa nie zauważa mnie w ogóle, ćwierć całkiem szczerze mi współczuje – bo wyglądam jak cień – a jedna piąta każe się wreszcie ogarnąć. Pozostali albo są wściekli, że plączę się im pod nogami, albo zastanawiają się, gdzie mam skitrany portfel.

Ogólnie okazało się, że pozytywne emocje to dość deficytowy towar w naszym pięknym, chociaż potłuczonym mieście.

Nie tylko fale mózgowe wariowały. Coś dziwnego działo się również ze światłem, po jakimś czasie zbzikowały sprzęty RTV, a z prądu woleliśmy za często nie korzystać.

– Kiedyś będzie musiał tu przyjść. Albo wyjść z mieszkania. Jak zgłodnieje na przykład.

Adam siedział zamknięty w przedpokoju już drugą dobę. Powinno mu zacząć burczeć w brzuchu dawno temu, więc nadzieje Pawła wydawały mi się raczej płonne.

Dobrze, że mieliśmy po swojej stronie linii demarkacyjnej chociaż aneks kuchenny. Niestety, łazienki już nie, więc Paweł lał do słoika na ćmiki, a ja do doniczki, bo fikus i tak nie wyglądał, jakby cokolwiek miało mu jeszcze zaszkodzić. Do tego oboje capiliśmy jak stado penerów.

Adam oczywiście dysponował jeszcze jednym odebranym nam luksusem – drzwiami wyjściowymi. Mógł opuścić kamienicę w każdej chwili, co najwyraźniej nie przychodziło mu na myśl. Dla mnie taki stan rzeczy stanowił dostateczny dowód, że ta głowa nie nadaje się już do niczego.

– Musisz być taka?

– Jaka znowu? – burknęłam.

Paweł wywrócił oczyma. Nie mieliśmy w zwyczaju zwierzeń przy kubku herbaty i w ogóle za dużo ze sobą nie rozmawialiśmy. Gdybyśmy się za dobrze poznali, musielibyśmy podążyć w różne strony. Już wówczas mogłam jednak z czystym sumieniem założyć, że mój towarzysz mimo woli ma coś wspólnego z taką czy inną dziedziną sztuki.

Zniewieściały artysta, wariat od czterech dni żywiący się powietrzem i ja – sprana, wymiętolona pani domu, dawno już niemieszcząca się w kiecki z czasów narzeczeństwa, bo druga ciąża ostatecznie rozwalcowała mi brzuch. Byliśmy materiałem na czarną komedię, nie film katastroficzny.

Ale tak się przezabawnie złożyło, że to świat wokół nas szlag jasny trafił i że to my jakimś cudem ocaleliśmy. No, my i jeszcze parę podobnych nam grup krążących bez celu po przenicowanym Poznaniu – próbujących wymarać coś do jedzenia, nie dać się Macierzom i ogólnie przebiedować w nadziei, że to wszystko się kiedyś odkręci samo z siebie.

A na domiar złego po chodnikach walały się te przeklęte ulotki.

OTWÓRZ OCZY
PRAWDA CIĘ WYZWOLI

No ktoś sobie ewidentnie jaja robił.

Etap wyparcia i upartego powtarzania, że to tylko głupi zbiorowy majak, dawno już mieliśmy za sobą. Jakkolwiek absurdalna nie wydawała nam się nowa rzeczywistość – do złudzenia przypominająca złoty i jakże koszmarny w praktyce sen hinduistów – trzeba się było z nią zmierzyć, choćby tkwiąc na poddaszu kamienicy.

Ta nowa rzeczywistość miała umysł.

Stała się umysłem.

Problem z Poznaniem nie polegał bowiem na tym, że chciał nas zabić. On próbował za nas myśleć. W dodatku nie na jeden, a kilka sposobów zależnych od tego, na terenie której Macierzy się właśnie przebywało. I wyglądało na to, że na dłuższą metę nie mamy szans mu się oprzeć. Jedyne, co mogliśmy robić, to odraczać wyrok w nadziei, że coś zdąży nas zabić, zanim postradamy zmysły.

Coś jak Komando Dębiec.

Jak Bana[3].

Jak Zmartwychwstańcy z Łazarza.

3 Pociąg.

Jak Bimbiarze[4] ze Starego Miasta.

Albo taki Adam.

– Zamknijcie się! – Dobiegło do nas wycie zza drzwi. – Nie chcę! Nie chcę…! Nie…! Zamknijcie się!

Zdawało się, że wrzask skierowany jest już nie tylko do nas, ale też do wszystkich głosów z całego miasta.

– Z nim chyba nie jest dobrze – stwierdziłam oczywistość.

Mimo wszystko jakoś lepiej czułam się, przynajmniej udając, że Paweł odpowiada na moje słowa, a nie na myśli. Dawało mi to chociaż chwilowe poczucie intymności, a przez to ułudę bezpieczeństwa.

Na dłuższą metę ta ułuda mogła się obrócić przeciwko mnie, ale każdy potrzebuje chociaż odrobiny komfortu. Tymczasem ja od czterech dni szczałam pod kwiatek, nie miałam jak się umyć i spałam na zakurzonym dywanie, a że mieszkanie było studenckie, wolałam nie myśleć o tym, co wdycham poza roztoczami.

– Zamknijcie te mordy!!!

Paweł tym razem ograniczył się tylko do wzruszenia ramionami. Już od jakiegoś czasu tak żonglowaliśmy: raz ja grałam tę troskliwą i zaniepokojoną ciocię, raz Paweł.

– No bez przesady. – Obruszył się, znowu łapiąc moją myśl w locie. – Nie jestem żadną ciocią.

– Tej, młody, trzymaj swoje telepatie z dala ode mnie. Adam mi wystarczy – burknęłam i pociągnęłam łyk herbaty z obtłuczonego kubka, który znalazłam wczoraj pod kanapą. Dużo piłam, żeby oszukać głód. Co oczywiście oznaczało częstsze upokarzające wizyty w moim małym, usychającym ogródku.

– Chciałbym. Szaro tam u ciebie w głowie.

– Znalazł się poeta.

Chyba trafiłam, bo Paweł prychnął.

To w sumie źle, że trafiłam.

Kolejny wrzask Adama nie zawierał już nawet słów, jednak towarzyszyło mu potężne uderzenie w drzwi. Tuż po nim kolejne. I jeszcze jedno.

4 Bimba – tramwaj.

Potem cała seria szybkich ciosów i drapnięć, przetykanych opętańczym, zwierzęcym sapaniem i gardłowymi warknięciami. Jeśli Adam nie otarł skóry do krwi, musiał być ze stali.

Dlaczego nie szarżował w drugą stronę? Dlaczego nie opuścił budynku?

– Bo tam jest więcej głosów – odparł Paweł. – A tu tylko dwa. W dodatku takie, które mógłby…

Jako że siedziałam na podłodze oparta plecami o drzwi, w które walił Adam, herbata w moim kubku zafalowała, a po okaleczonej ściance pociekło kilka kropel. Machinalnie otarłam je palcem.

Trochę nierozważnie spojrzeliśmy z Pawłem po sobie. Zobaczyłam własny niepokój odbity w jego okrągłych, prawie dziecięcych oczach wrażliwca.

– Wiesz, co będzie, jeśli go wpuścimy.

Odwróciłam wzrok, chociaż to nie mogło mnie ukryć.

Nic już nie mogło mnie ukryć.

– Będzie próbował nas uciszyć – odparłam głosem, który sama ledwie poznałam.

Źle, powinnam nazywać rzeczy po imieniu. Powinnam powiedzieć: „zabić".

– Sam bym tego lepiej nie ujął.

– Przestań.

Widziałam już coś podobnego kilka razy w poprzednich grupach, Paweł pewnie też. Nigdy nie kończyło się dobrze. Taki szał oznaczał, że zamknęły się wszystkie ścieżki odwrotu, że człowiek ma już tak bardzo dość, że jego świadomość ulega ostatecznemu rozpadowi i czynna pozostała jeszcze tylko jedna funkcja oprogramowania – ta, która pcha go nad urwisko, jak biblijne opętane świnie.

Nierzadko ofiara ściągała w dół również przypadkowych gapiów. Przypadkowymi gapiami byliśmy teraz my.

– A ja miałam o tym nawet nie myśleć – upomniałam Pawła, kiedy cień jego zimnej kalkulacji przemknął po mojej potylicy.

– To było jakieś dwie minuty temu – odburknął zawstydzony.

– Chcecie mnie zabić! – zawył Adam, rzucając się całym ciężarem wymęczonego głodówką ciała na drzwi. Mocniej naparłam na nie plecami. – Wiedziałem, skurwysyny! Wiedziałem!

– No i dupa. – Jak na Pawła było to rzucenie całą wołową tuszą. – Jezu, co teraz…? – jęknął.

Następnego ataku tanie drzwi ze sklejki już nie wytrzymały.

Ja również nie.

Kubek wypadł mi z dłoni, herbata zalała linoleum. Poczułam szarpnięcie i w pierwszym odruchu zamierzałam się bronić, pakując napastnikowi głowę pod brodę, ale w ostatnim przebłysku zdrowego rozsądku, nim adrenalina całkowicie przejęła kontrolę, zorientowałam się, że to Paweł.

Dzięki niemu ciśnięta z wściekłością ryczka[5] trafiła mnie w łydkę, a nie w kręgosłup.

Krzyknęłam, ale nie wiem, czy z bólu, czy z jakiegoś innego powodu. To nie był moment na analizowanie; to w ogóle nie był moment na myślenie. Czułam – słyszałam – że umysł Pawła także przestawia się na inny tryb. Adama już w ogóle. Wysyłał tylko proste komunikaty – nie łączył faktów. Byliśmy dla niego zagrożeniem, które należało zlikwidować.

Więc on dla nas też.

Paweł próbował go obezwładnić, ale niewiele mógł zdziałać wobec czystego, bezmyślnego szału. Potężny cios posłał go na ścianę, coś potwornie trzasnęło, a ja poczułam, że dreszcz spina mi plecy.

Zadziałałam instynktownie, choć z pewnością był to jeden z najgorszych instynktów wypełniających mi głowę. Pobiegłam do kuchni, otworzyłam szufladę i chwyciłam pierwszy większy nóż, który rzucił mi się oczy.

Nie wiem, naprawdę nie wiem, jak to się stało, że kilka sekund później ostrze tkwiło w cudzym brzuchu. Dyszałam ciężko, Paweł krzyczał, Adam próbował zatamować krwotok, przyciskając dłonie do rany. Wzniesione ku mnie oczy – wypełnione oskarżeniem – powoli gasły.

Wrzasnęłam i rozpłakałam się histerycznie, kiedy jego głowa opadła bezwładnie na moje uda, jak głowa dziecka tulącego się do matki.

5 Stołek, taboret.

Gdzie jesteś, mamo?

Ręce mi drżały. Okrwawione, blade i telepiące się nie mogły budzić zaufania.

– Pokaż sznupę[6] – upierałam się mimo to, próbując brzmieć jak człowiek opanowany i zimnokrwisty. – Lepiej teraz, w mieszkaniu. Jeśli mi się zaczniesz zataczać albo puchnąć w trasie, to co ja zrobię?

Paweł, rzecz jasna, nie był skory do współpracy. Dyskretnie rozglądał się za możliwością ucieczki, którą przezornie blokowałam.

– Nie trzeba nic z tym robić – odburknął po raz kolejny, nie wiem który, ponieważ odbijaliśmy tę piłeczkę między sobą już jakiś czas.

Mogliśmy tak jeszcze długo i powinnam to przerwać.

– To przerwij! – Zirytował się chłopak.

– Tak? Tak?! Chcesz tego?!

– Chcę!

– No to… Trzeba coś… coś… zrobić… z…

Nie dokończyłam, ale przecież nie musiałam. Nasz wzrok niemal równocześnie opadł na ciało. W tym ciemnym, od dawna nieremontowanym korytarzu, na brudnym linoleum, w kałuży krwi i aureoli długich włosów metalowca Adam wyglądał jak ofiara z kina moralnego niepokoju.

– Trzeba pozbyć się… – zaczął Paweł.

Oblizałam wargi ze cztery razy, nim zdołałam się odezwać, a i tak nie powiedziałam tego, co zamierzałam.

– Tak. Trzeba.

Tak jak trzeba było wcześniej pozbyć się samego Adama. I ja się tym zajęłam, więc może teraz…

– Teraz co? Mam go zakopać w doniczce?! – wrzasnął Paweł nieomal histerycznie i zrozumiałam, że nie dostanę upragnionej chwili spokoju.

6 Twarz, buzia.

Naturalną pozycją dla mnie był trzeci szereg – mysia dziura. Naprawdę źle czułam się ze wzrokiem przerażonego chłopca szukającym na mojej twarzy wsparcia.

Ale Adama – najsilniejszego z nas – już nie było.

Ostatecznie postanowiliśmy ciało spalić. Co nie jest takie łatwe.

Pewnie istniało wiele innych, lepszych możliwości, ale my tylko improwizowaliśmy: my, gołowąs i kura domowa. Niespecjalnie lubiłam filmy kryminalne, nie oglądałam wielu seriali, zasypiałam przy nich. Nie miałam pojęcia, jak się do tego zabrać.

Ostatecznie podpaliliśmy kontener.

Spaliliśmy Adama razem ze śmieciami na jakimś obskurnym podwórzu. Ilekroć o tym myślę, jestem jednocześnie przerażona, zniesmaczona i naprawdę, ale to naprawdę smutna.

Więc staram się o tym nie myśleć.

O rozmawianiu w ogóle nie ma mowy.

Snuliśmy się jak wcześniej, tylko że we dwoje, nocowaliśmy w opuszczonych mieszkaniach. Mieliśmy zamiar zacząć wymieniać się plotkami albo towarami z napotkanymi ludźmi, którzy – tak jak my – uciekali przed zasiedzeniem i rozpoznaniem.

W Poznaniu jest się względnie bezpiecznym tak długo, jak długo nie ma się swojego miejsca i swoich ludzi. To miejsca i ludzie zniewalają, bo każde należy do jakiejś Macierzy, każdy człowiek do innego człowieka, a w konsekwencji do dzielnicy i samego miasta. Czy drabina sięga wyżej – nie wiem i, prawdę powiedziawszy, nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć.

Mogłam grzebać w śmieciach i szukać chociażby starej prasy, żeby zbierać poszlaki, ale kiedy tylko dotarło do mnie, że dzieje się coś naprawdę złego, odcięłam się od informacji. Chciałam po prostu funkcjonować

tak długo, jak się da. Tak długo, jak się da, wypełniać obowiązki matki, żony i córki schorowanego tatusia.

Potem z dnia na dzień dowiedziałam się, że ojciec jest mną rozczarowany, mąż umiera z nudów, a dzieciaki właściwie wstydzą się przed kolegami, że nie jestem znanym naukowcem ani kosmonautką i tylko gotuję obiady.

Nie potrzebowałam już niczego więcej, żadnych Macierzy i bojówek, żeby uznać, że wydarzyła się tragedia – straciłam przecież wszystko, co miałam. Całą wiarę w to, że moje życie ma sens, a wysiłek kogokolwiek obchodzi.

– Zaczynam wiedzieć – upomniał mnie Paweł drewnianym, cichym głosem, którym mówił, odkąd przestał krzyczeć.

Zacisnęłam usta.

– Przepraszam.

To była druga zasada przetrwania: nie dać się poznać towarzyszom, a jeśli się to stanie, odejść i poszukać innej grupy. Szybko, bo samotnych strzelców z góry uważano za podejrzanych.

Kiedyś możliwości się nam skończą, a człowiekowi bardzo trudno jest nie myśleć o sobie. To spostrzeżenie trzymało mnie ciągle przy Pawle, chociaż może powinniśmy byli się rozstać dużo wcześniej. Ono i jeszcze odpowiedzialność, czy raczej wyrzut sumienia z powodu…

Nieważne.

W każdym razie – Paweł był młody, przerażony i przytłoczony sytuacją. Chyba wolałabym, żeby po prostu dołączył do jakiejś napotkanej przez nas grupy, a nie został, pozostawiony przeze mnie sam na ulicach szalonego miasta.

– Nie trzeba mnie niańczyć.

Dlaczego nadal się mnie trzymał, nie wiedziałam.

Dość dobrze pamiętałam dzień, w którym w ogóle na siebie trafiliśmy. Kręcił się w okolicach Śródki, a ja wracałam z Nowego Miasta. Wędrowałam wówczas z poznanym na Winogradach Adamem, który przekazał mi sporo cennych rad dotyczących przetrwania. To było ironiczne i przerażające zarazem, że musiałam później oglądać, jak popada

w szaleństwo. Nie żałowałam go jako osoby, ale jako mentora, który popełnił błąd.

Pawła znaleźliśmy, kiedy – całkiem skutecznie, biorąc pod uwagę miejsce spotkania – uciekał z Miłostowa. Był brudny, wystraszony i tak bardzo nieprzystosowany, że na początku nie mogłam uwierzyć, że on – właśnie on – zachował swój umysł. Teraz myślę, że chodzi właśnie o to, że jest artystą, indywidualistą. Trudno byłoby go przekonać do pracy dla większego dobra, czy może raczej pracy bez otrzymywania za nią imiennych pochwał.

Jeśli moja teoria miała sens i faktycznie przetrwali głównie egoiści, ci, którzy przedkładali własną chwałę nad wspólne dobro, nie czekała nas świetlana przyszłość.

– Mnie się raczej wydaje, że skończyliśmy tak, bo wszyscy zaczęliśmy być tacy sami – burknął Paweł.

– No nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Jak dla mnie, to każde młode pokolenie twierdzi, że starzy to jednolity moloch. *Nihil novi.*

Prychnął i znów przestał się odzywać.

Zamknij się, głupku. Mama nas zostawiła.

Kiedyś żartowaliśmy, że Kaponiery nie zdążą wyremontować do końca świata.

No i nie zdążyli.

Jedno z najważniejszych rond Poznania, to, które miało olśniewać względnym pięknem i nowoczesnością podczas Euro, a jeszcze długo po imprezie dalej było dziurą w ziemi, wciąż straszyło wywleczonymi na wierzch flakami i kośćcem metalowych stelaży. Wyglądało jak okładka wyjątkowo pesymistycznej powieści.

Jeśli jednak gdzieś naprawdę czuło się, że Apokalipsa wreszcie

nadciągnęła, to bynajmniej nie tutaj. Ten widok został już dawno oswojony, chociaż – z tego, co słyszałam – rajcował część przyjezdnych.

Prawdziwa niespodzianka czekała nieco dalej, pod Zamkiem, ale tam nie zamierzaliśmy się zapuszczać. Nikt o zdrowych zmysłach nie podchodził do Ula Hohenzollernów, a okolice Placu Wolności uchodziły za zakazaną strefę – niewielką, bo zamkniętą między Świętym Marcinem, Wieniawskiego a Fredry, ale zakazaną wyraźnie i ostatecznie.

Gdybyśmy zresztą zbliżyli się do niej za bardzo, Mickiewicz odpowiedziałby ogniem, a Bimbiarze dopadliby nas prędzej czy później i to mimo stawianych przez Jeżyce i Wildę barykad na torach.

Szliśmy więc najpierw Mostem Dworcowym, choć ta okolica też nie należała do najbezpieczniejszych, ponieważ pod nami biegły tory kolejowe – korytarz eksterytorialny Bany – a kiedy wyrosła przed nami Kaponiera, skręciliśmy w stronę Starego ZOO.

Cholera wie po co. Tam niczego nie było. Tylko smród zwierzęcych odchodów i stara, zaniedbana karuzela. Dokądś musieliśmy jednak iść, a okolice Jeżyc po katastrofie nie wydawały się takim złym wyborem. Wraz z powstaniem Macierzy na nowo i ze zdwojoną siłą wybuchły dawne antagonizmy, więc tutejsi zajmowali się głównie laniem tych z Wildy. Stare Miasto, które mogłoby to przerwać, milczało, korzystając na wojence dwóch innych dzielnic.

– Może się pospieszyliśmy…? – powiedział nagle Paweł, siadając na chwilę na plastikowym, kiczowatym kucyku. Rzucił to niby w przestrzeń, ale tu przecież nic nie ginęło nieusłyszane.

– Mieliśmy poczekać, aż nas zabije?

– Nie, ale, ja wiem…? Obezwładnić? – Zaczął odłamywać płaty łuszczącej się farby. – Może by…

Dlaczego to znowu ja miałam być tą rozsądną, ale złą?

Wyruszając w drogę, nigdy nie myślałam, że najbardziej uciążliwe podczas wędrówki może okazać się niańczenie dorosłych facetów. Co by nie było, mój mąż odznaczał się dość rzeczowym charakterem.

Może nadal się odznacza.

Nie wiem. Nie chcę nasłuchiwać. Cokolwiek się wydarzyło, jest tylko przeszłością, a przeszłość – cała przeszłość – okazała się jedynie słodką iluzją.

– Mogłabyś okazać trochę serca.

– Mało go już okazałam?!

Zaczęłam się irytować. To nie Paweł zadał decydujący cios. To nie on wziął na siebie odpowiedzialność. Zrzucił wszystko na mnie, a teraz jeszcze oczekiwał, że będę skakać z plasterkiem w dinozaury nad otarciami jego delikatnej moralności.

Niedoczekanie.

Co z tego, że mam najwięcej lat? Co z tego, że zarówno Paweł, jak i Adam mogliby być moimi synami? Nie zamierzałam matkować żadnemu z nich. Zresztą, co to za matka, która sięga po nóż, kiedy szczun[7] wymyka się spod kontroli.

Gdzie ktoś, kto pomatkuje mi?

– To wcale nie tak – mruknął Paweł, wypluwając nuplany[8] nerwowo sznurek od bluzy.

– A jak?

– Nie zrozumiesz.

– To mi wytłumacz.

– Po co? Przecież i tak słyszysz.

Byłam bliska wybuchu.

– Paweł!

– Co?

– Nie pomagasz! Nie możesz mnie tak zostawić samej! – Ze złością cisnęłam plecakiem o ziemię. – To nie są tylko moje wyrzuty sumienia, rozumiesz?!

Nie zareagował. Skulił ramiona, opuścił głowę i nieruchomo wpatrywał się w plastikową grzywę kucyka.

– Nie chciałam tego! Nie jestem morderczynią! Zginęlibyśmy oboje!

7 Chłopak, smarkacz.

8 Ssany, trzymany w ustach.

Paweł wzruszył ramionami.

– Ogarnij się, fąflu! – ryknęłam.

– Bo co?!

Z tym chłopięcym oburzeniem, zapuchniętą twarzą i sypiącymi się z rzadka kępkami jasnego zarostu wyglądał naprawdę żałośnie. Musiał zobaczyć odbicie tych odczuć w moich myślach, bo przecież nie wszystkie artykułowałam. I może to sprawiło, że buta w jego jasnych oczach nagle zgasła. Wycofał się, schował jak mysz do dziury, wnioski mu się poplątały i została tylko przerażająca, czarna wizja odrzucenia.

– Przecież cię nie zostawię… – Westchnęłam.

Jak to – zostawiła nas…? Mamusiu…

Nie minęła nawet doba, a zaczęłam żałować swoich słów.

Poznań to w sumie pięć wielkich dawnych dzielnic administracyjnych i kilka większych osiedli, które zwyczajowo uchodzą za dzielnice. Matki i córki. Królowie i ich świta. Szefowie gangów i ich mięso armatnie.

O ile nadal można myśleć o tych obszarach jak o miejscach zamieszkanych przez ludzi.

Staram się. Naprawdę się staram, jednak coraz trudniej przychodzi mi odganianie kolejnych – tak teraz trafnych i aktualnych – skojarzeń z kopcem czy ulem. Jednak jeżeli pozwolę sobie na chwilę słabości, to dopuszczę do siebie wizję świata, w którym w drogę włażą nam mrówki i pszczoły.

A je, wiadomo, traktuje się muchozolem, względnie klapaką lub kapciem, bez rozmieniania na drobne i łkania nad każdą urwaną owadzią girkę.

Dziesiątki Adamów, z których żaden nie miałby imienia.

Nadal jednak można było spotkać grupy takie jak nasza – ot, zwyczajnych, wolnych ludzi, uciekinierów i tułaczy, których chronił najwyraźniej tylko egoizm.

Na jedną z nich natknęliśmy się w kamienicy na Słowackiego. Dawne kolegium językowe, które tego lata miało przejść w prywatne ręce, wydawało się dość obiecującym schronieniem. Jak się okazało – nie tylko nam, bo fyrtel[9] został już przez kogoś zajęty.

Takie spotkania zawsze są budujące. Jasne, na początku pojawia się nieufność: trzeba się wybadać, obwąchać, upewnić, że nie ma się do czynienia z czujką którejś z Macierzy. Potem jednak następuje wybuch radości.

A jeszcze później fala goryczy – jak na kacu.

Siedzi się wtedy, wymieniając plotkami – głównie o ruchach bojówek i czujek – oraz prowiantem. Zawsze wiadomo, że to nie potrwa za długo, bo przebywanie w tyle wiary na tak małej przestrzeni zupełnie niespodziewanie może się przerodzić w rzeź – wystarczy, że komuś by odwaliło – więc każdy ruch i słowo aż drżą od pośpiechu.

Tym razem jednak było inaczej, bo ciągnęłam za sobą winę.

Mogłam to sobie tłumaczyć, okręcać watą i próbować wyprzeć, ale myśl o Adamie nadal tkwiła głęboko, nieusuwalna i widoczna z daleka. Myśl o nożu w jego brzuchu i ciele spalonym na stosie pogrzebowym ze śmieci.

Tak, to mogło przerażać. Nawet do tego stopnia, by z okien posypały się na nas cegły i jakieś klamoty.

– Wynoście się!

Uciekliśmy spod kamienicy i tuż za rogiem Paweł ukrył twarz w dłoniach. Myślałam, że został ranny, ale on się po prostu rozpłakał.

Atmosfera gęstniała właściwie z dnia na dzień. Paweł nie spuszczał mnie z oka nawet na moment. Szedł zawsze dwa kroki z tyłu, żeby patrzeć mi

9 Obszar, miejsce, okolica.

na ręce i obserwować plecy – jako kolejny śmieszny niewolnik atawizmów udawał, że to ciężki plecak.

To dlatego rozpadł się nasz oparty na gierkach świat – bo ciągle coś udawaliśmy. Zresztą bezustannie czułam jego świdrujący wzrok gdzieś nad lewą nerką. To też przemyślał – trzymał mnie po swojej prawicy, żeby w razie czego mieć przewagę.

Spryciarz.

Bystry chłopiec i jednocześnie tak głupi.

W głowie odtwarzałam idiotyczne wierszyki z podwórka, serialowe dialogi o miłości i popowe hity z radia, gdzie ordynarny seks mieszał się z łkaniem po rozstaniu. Wszystko, byleby nie myśleć własnymi słowami. Nie pozwolić Pawłowi wyciągnąć fałszywych wniosków.

I, jak się okazało, był to mój największy błąd, bo wnioski wyciągnął i tak.

Jeśli coś ukrywasz – no, desperacko próbujesz ukryć – to znaczy, że masz coś do ukrycia. Proste.

Pewnej dusznej nocy dotarło do mnie, że Paweł tylko udaje, że śpi. Tak naprawdę leżał na boku, zawsze w ten sposób, żeby dzieliło nas jakieś przewężenie – futryna, meble, cokolwiek dającego namiastkę bariery – a jednocześnie by widział mnie jak na dłoni. Czuwał cały spięty i czujny. Zdradziła go jedna głupia, lękliwa myśl, która zaatakowała mnie, kiedy w półśnie obracałam się z boku na bok.

Nie zawaha się.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego – wprost w nienaturalnie bladą w księżycowym świetle twarz i okrągłe, niemal dziecięce oczy. Nawet nie drgnął.

Powinnam była to skomentować, ale zamiast tego zapytałam:

– Od dawna to robisz?

Zacisnął wargi, potem oblizał je nerwowo.

– Co?

Udawał, znów głupio udawał, że nie wie, o co mi chodzi.

– Nie śpisz. Od dawna?

Wzruszył ramieniem, na którym aktualnie nie leżał.

– Ludzie, którzy nie śpią, stają się spięci – brnęłam. – Nerwowi. Niepoczytalni. Mają problem z oceną sytuacji.

– Sugerujesz coś – warknął Paweł.

Tym razem to ja nie odpowiedziałam. Bo owszem, sugerowałam.

Zapadła między nami cisza. Zupełnie bezsensowna i bezproduktywna, bo jasne było, że żadne z nas nie zmruży oka do świtu. Ja polowałam na zdradzające nastawienie myśli Pawła, on pewnie polował na moje. Powinnam pozwolić mu na te łowy, ale nadal uparcie odtwarzałam w głowie durny kolaż z frazesów o miłości.

Od tamtej nocy ja też przestałam spać – za bardzo obawiałam się, że Paweł postanowi zadać cios jako pierwszy. Niewiele by mi przyszło z pośmiertnej moralnej satysfakcji. Zawsze wolałam rosół i pełny brzuch niż możliwość chwalenia się, że żadna kura przeze mnie nie ucierpiała.

Po drugim przypadkowym spotkaniu z niezależną grupą stało się jasne, że jesteśmy obłożeni wyczuwalną z daleka klątwą. Nawet przebywanie w swoim towarzystwie stawało się powoli niebezpieczne. Nie dość, że coraz więcej o sobie wiedzieliśmy, to jeszcze wpadliśmy w potworną spiralę paranoi.

W dodatku z daleka, z północy, od strony Nowego Miasta…

Nie nasłuchiwałam. Nie szukałam ich. Same mnie znajdowały. Nie wiem jak. Nie znam się na tunelowaniu, barierach, nadprzewodnikach, korpuskularno-falowych popierdółkach. Na niczym się nie znam.

Chciałam tylko spokoju.

Mamo, wróć…

Nie do końca wiem, jak to się stało, że wpakowaliśmy się na Zmartwychwstańców. Nic nas nie zaalarmowało – całkiem możliwe, że byliśmy zbyt zajęci próbami włamania się do swoich głów i określenia potencjalnych zagrożeń, zbyt zmęczeni bezsennością, zbyt zaabsorbowani śledzeniem odruchów, by zauważyć zagrożenie. Inna sprawa, że Zmartwychwstańcy nie przypominali innych bojówek, a na pewno nie osławionego zmotoryzowanego Komanda Dębiec. Nie robili tyle hałasu.

Łazarz stanowił przedmurze Grunwaldu i Ogrodów – setek działek, na których wciąż rosły warzywa, owocowe krzewy i drzewa. Jedzenie. Nadeszły czasy, w których każda dość przedsiębiorcza babcia z kawałkiem gruntu i sadzonką pomidorów mogłaby zostać milionerką. Tylko że większość z nich chroniła się za plecami Zmartwychwstańców oraz w umyśle grunwaldzkiej Macierzy. Nadal uprawiały swoje marchewki, rzodkiewki i porzeczki; nadal w pocie czoła pieliły ogródki, zakręcały słoiki z konfiturami i mieszały w kotłach przeróżne zalewy. Tylko że, cóż, już nie dla dzieci lub wnucząt, a dla miasta.

I oto klęczałam, drżąca i przerażona, z lufą przystawioną do skroni.

W pierwszym odruchu chciałam unieść nieco powieki i spróbować złapać wzrok Pawła, ale wcześniej udało mi się uchwycić jego myśl. Wiedziałam już, że nie chcę oglądać tych wielkich, niewinnych oczu na chwilę przed śmiercią – wszystko jedno, którego z nas. Zmartwychwstańcy z tego właśnie słynęli – że zawsze pozwalali przeżyć jednej osobie z grupy, którą atakowali.

Ku przestrodze.

Krążyli jak sępy, milczący i ponurzy, z zamaskowanymi twarzami. Zaciskałam zęby, czekając na strzał, który zakończy życie moje albo Pawła, choć wiedziałam, że to nie będzie takie proste. W tym mieście nikt już nie bał się ludzi, którzy po prostu strzelają ci w tył głowy.

Jednak oni nie powalili jednego z nas i nie zaczęli skórować, jak to mieli w zwyczaju. Zrobili coś znacznie, znacznie gorszego.

– Wybieraj.

Minęła naprawdę długa chwila, nim zrozumiałam, że to do mnie. A może to moje serce tak przyspieszyło, że każda sekunda wydłużała się w nieskończoność.

– Wybieraj!

Kolba pistoletu uderzyła mnie w ramię. Miałam sucho w ustach. Szyja pulsowała, jakby coś miało ją rozerwać.

Przepraszam, Pawle – pomyślałam – *nie poradziłbyś sobie.*

Tak oto zostałam samotnym strzelcem i wylądowałam na tym swoistym bezludziu – o tyle okrutnym, że widzę innych, ale jakby na witrynach sklepowych, z daleka. Oddziela mnie od nich pancerna szyba podwójnego Kainowego piętna. Nie mogę nawet podejść za blisko, żeby nie uruchomić alarmu.

A mimo to przecież nie zostałam naprawdę sama ani na moment. W głowie wciąż huczy mi cudzy hałas, nieustające brzęczenie obcych, niechcianych i zupełnie obojętnych myśli, które najchętniej wyrwałabym ze swojego mózgu, wrzuciła do kontenera i spaliła z innymi śmieciami, jak kiedyś ciało Adama.

Ten sam mechanizm skazuje mnie na tułaczkę w pojedynkę i spycha na krawędź szaleństwa, bo nie ma już niczego, co trzymałoby mnie po stronie normalności. Muszę trzymać się sama. Jak dziecko, które dopiero uczy się chodzić i wierzy, że ściskanie własnego nadgarstka uchroni je przed upadkiem.

– Sama sobie na to zasłużyłaś, Kaśka.

Pewnie tak, a może wcale nie. Gdybym podjęła inne decyzje, już dwa razy byłabym martwa.

– Większość marzy o tym, żeby zginąć, zanim oszaleją.

Tak tylko mówią.

Może sama tak mówiłam, już nie pamiętam.

Coraz mniej pamiętam.

Jednak wciąż wiem, że ryk motocyklowego silnika oznacza śmierć. Rzucam się więc w kierunku pierwszej kryjówki – altany jakiegoś domu. Jak tu dotarłam? Gdzie właściwie jestem? Czy to naprawdę Dębiec? A skoro tak, jakim cudem jeszcze żyję?

Może nikt się mną po prostu nie przejął. Jestem sama i jestem coraz

mniejsza. Kurczę się z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Mogłabym przysiąc, że staję się przeźroczysta. Przez swoją wyciągniętą dłoń widzę kolorowe plamy pożerającego ścianę grzyba.

Warkot silników narasta. Przez potylicę prześlizgują się wezwania wildeckiej Macierzy, pełzną po płatach czołowych i spływają do oczodołów, by tam przeciskać się przez kanaliki łzowe. Plamy z grzyba zaczynają się rozmazywać.

– Ula – syczę do siebie. – Ulka, pamiętaj, kim jesteś.

Pamiętam.

Przytulam się do brudnego tynku, wciskam w kąt i próbuję zamilknąć.

Intruz.

Nie! Nie, nie, nie!

Wypadam ze swojej kryjówki i biegnę, biegnę na oślep, przed siebie, po omacku, bo przerażanie mnie otępia, zabiera rzeczom kolory i kształty. Potykam się, serce dudni, potykam się znowu. Tym razem nie odzyskuję równowagi.

Upadam.

Podnoszę głowę powoli i niepewnie, a ramiona, na których opieram ciężar obolałego ciała, drżą. To się już kiedyś zdarzyło, prawda? Już kiedyś tak upadłam, a kiedy się podniosłam, poczułam na skroni zimny pocałunek lufy.

Ktoś wtedy ze mną był.

I już go nie ma.

Och, to biedne, rozkrzyżowane ciało… Pasy skóry…

Potrząsam głową.

Chce mi się płakać. Wyć. Gardło mam ściśnięte, powieki nie chcą się podnieść, odkąd odruchowo zamknęłam oczy, lecąc w dół.

Ja chyba jęczę.

Kiedy jednak wreszcie znów widzę, patrzę na kogoś innego.

To nie mnie wywlekają zza załomu. To nie mnie biją po głowie kolbą karabinu. To nie moją nogę przywiązują do motocykla i nie moje ciało podskakuje kuriozalnie, gdy odpalają silniki.

A jednak to ja słyszę w głowie agonalne, bezgłośne wycie.

Leżę na chodniku, wstrząsana histerycznym płaczem i spazmami. Nie wiem, już niczego nie wiem, chcę, żeby to się skończyło.

Tylko tyle.

Obudziłam się zmarznięta, skostniała i pusta.

Ale się obudziłam. Ja. Ciągle ja.

Więc wstałam, otrzepałam kolana i poszłam dalej. Nie wiem dokąd, bo zupełnie straciłam orientację w terenie. To niby moje miasto, mój Poznań, znam go od urodzenia, a jakoś nie potrafię się w nim odnaleźć. Możliwe, że to już Górczyn, ponieważ szłam po torach kolejowych – głupia ja – jednak minięcia stacji nie potrafię sobie przypomnieć. Mimo że jest niewielka, trudno ją przeoczyć ze względu na wiadukt i pętlę tramwajową.

Ale zgubić się – to nie jest jeszcze najgorsze. Najgorsza rzecz, jaka może się przydarzyć, to zacząć czytać w swoich własnych myślach.

Po jakimś czasie wracają. Przecież to impulsy. Tu się odbiją, tam rykoszetują i jak człowiek ma pecha, łapie opóźnioną audycję o sobie samym.

Myśl wyciągnięta z głowy i włożona do niej z powrotem, choćby ułamki sekund później, całkowicie traci przydatność do spożycia. Kilka razy przestraszyłam się w ten sposób samej siebie. To potworne uczucie – stać się nagle kimś zupełnie obcym w obrębie tego samego ciała i osobowości. Ba, kimś zupełnie niezrozumiałym.

Dlatego zaczęłam pisać na murach.

W sumie pismo działa podobnie, tylko łagodniej: myśl trzeba najpierw ubrać w słowa, ucywilizować. Już to poddaje ją obróbce, normalizuje, oswaja. Usuwa zakłócenia i to, na co nie ma miejsca w języku – wszystkie niewyrażalne bodźce.

Nawet najdziksze i najbardziej egzotyczne zwierzę nie przeraża, jeśli jest w klatce i siada na komendę. Moje własne uczy się skakać przez płonącą obręcz.

Piszę w różnych językach. Czasem po angielsku, czasem po niemiecku, parę słów po rosyjsku. Czasem pozornie to samo, a jednak zupełnie

coś innego. Analizuję. Długo i dogłębnie analizuję każdy swój intuicyjny wybór.

Także tamten wybór.

I tamten drugi też.

I trzeci.

Wtedy wydawał mi się logiczny.

Potem obrzydliwy i dyktowany egoizmem.

Potem usprawiedliwiałam się przerażeniem.

Potem nastąpił etap racjonalizacji.

Teraz jest tylko pustka.

Wszystko to bardziej przypomina rozwiązywanie krzyżówki niż prawdziwe życie.

Nie spotykam już innych grup. Może jestem za blisko Macierzy? Może nikt tu nie podchodzi, bo ryzyko, że Wilda zmąci umysł albo Dębiec rozjedzie motorami, jest zbyt duże? Ale jednak żyję, prawda?

Już od jakiegoś czasu odnoszę wrażenie, że wolnych grup jest coraz mniej. Bardziej na północ stąd również. Minęłam nawet paru samotnych wędrowców – jak ja – a przecież dawniej było to nie do pomyślenia. Miasto się przerzedza, zostają już tylko desperaci.

Paradoksalnie oznacza to, że ogólnie funkcjonuje lepiej. Latarnie znowu zapalają się po zmroku, a z kranów leci ciepła woda. Macierze dbają o infrastrukturę – to leży w ich interesie. Owszem, zanim zaczęły, doszło do kilku katastrof: Grobla wciąż straszy lejem po gazowni.

Zaczynam być naprawdę zmęczona sama sobą. Tym, że boję się zbliżyć do siebie samej i muszę oglądać się z dystansu, bo to, co do mnie dociera po czasie, wzbudza głównie głębokie obrzydzenie.

Jeśli stracę ten dystans… Nie wiem, co będzie, jeśli stracę dystans.

Skądś pojawiło się we mnie przekonanie, że wtedy stracę też zdolność oceny, czy nadal jestem odrębna. Samodzielna.

Nie śpię po nocach. Płaczę.

Myślę, że ze zmęczenia.

– Musisz spać, Lidka.

To tak łatwo powiedzieć.

Przecieram zapuchnięte oczy.

– Wiem, że muszę.

Kiedyś miałam dzieci. Trójkę. Albo… Albo dwójkę.

Nie mogę sobie przypomnieć twarzy trzeciego. Więc chyba dwójkę. Chłopca i dziewczynkę.

Pierwszy chłopiec miał takie jasne włosy i wielkie, okrągłe oczy. Był artystą. Poetą. Tak go dobrze wychowałam, że nigdy nie przeklinał.

Drugi chłopiec miał ciemne włosy. Paliły się takim żywym płomieniem na stosie ze śmieci.

Trzecia dziewczynka lubiła dżem truskawkowy, a pod łóżkiem trzymała „Cosmo" i myślała, że o tym nie wiem.

I był jeszcze pies.

Kiedyś był jakiś pies.

Na pewno był.

Albo kot.

– Kici kici!

Kogo wołasz, idiotko?

Jesteś tu sama.

To tylko głosy w twojej głowie.

Kuniec Dymbiec, jak to się u nas mówi.

Są decyzje, których wcale nie podejmujemy, bo możliwość wyboru od początku stanowi ułudę. Mogłabym dalej uciekać, mogłabym dalej wmawiać sobie, że to ma sens.

Ale przecież nie ma.

Dotarło to do mnie, kiedy osiągnęłam cel. Nie, nie ten uświadomiony, bo takie pogubiłam już dawno lub straciłam wraz z nadejściem końca świata, ale taki ukryty, niezauważalnie napędzający mnie aż do tej chwili.

Oto osiągnęłam kres.

Kilka, może kilkanaście kroków i wyszłabym z Poznania. Przede mną jest Luboń. Nie wiem, czy również dotknięty przekleństwem powszechnej telepatii, czy nie, ale przecież mogę się łudzić. Kto mi zabroni? Nie został już nikt, kto by mógł albo chciał.

Poza mną.

Poza mną zapisaną na murach.

Poza mną rykoszetującą wśród wymarłych ulic.

Poza mną, której strach wpija się pazurami w nierówny asfalt.

Zamykam oczy i biorę głęboki oddech, jak przed skokiem na główkę.

A później zawracam, bo już wiem, dokąd biegnie moja droga.

Ul Hohenzollernów – tak nazywał przenicowany Zamek Adam, więc ja też zaczęłam go tak nazywać. Najpotężniejsza z Macierzy, choć nie tak wojownicza, jak Wilda i nie o tak krwawej legendzie, jak broniący swoich jadalnych skarbów Grunwald. To było Stare Miasto. Serce. Mózg. Macierz Macierzy.

Przy niej pozostałe dzielnice wydawały się jedynie niesfornymi dziećmi, na które matka wciąż jeszcze patrzy łaskawie i które kiedyś przywoła do porządku jednym groźnym słowem. Jeśli chcę się schronić, nie istnieje lepszy, bardziej logiczny wybór. Tylko najsilniejszy może dać mi to, czego teraz pragnę – spokój.

Ciszę.

Pustkę w głowie.

Jest wam wygodnie?

Jest.

Jesteście najedzeni?

Jesteśmy.

Jesteście wyspani?

Jesteśmy.

Jesteście szczęśliwi?

…

Czy jesteście szczęśliwi?!

Jesteśmy.

Śpijcie, śpijcie, moje dzieci, mamusia jest z wami.

Zostawić zapaloną lampkę?

Siedzimy pod ścianą tej pięknej marmurowej sali wraz z innymi. Jest nam ciepło i wygodnie, ale nie jest nam dobrze. Musimy być jednak zadowoleni. Macierz tego właśnie od nas chce, a że nie jest okrutna i nie jest zła, nie ma więc powodu, żeby sprawiać jej zawód.

Dlaczego ją zawodzimy?

Dlaczego tak trudno jest ją docenić?

Kubek z gorącą herbatą parzy nasze dłonie. Milczymy.

Tu się nie rozmawia, bo rozmowy są zbędne. Jesteśmy wszyscy razem. Zresztą to, co mamy do powiedzenia, straciło wszelkie znaczenie, bo liczy się wola Macierzy. Myśli przepływają swobodnie między naszymi głowami. Wszystko, co złe, niepożądane i bolesne rozkłada się po równo.

Więc dlaczego nie jesteśmy szczęśliwi?

Patrzymy na kubek, a potem jednym zdecydowanym ruchem rozbijamy go o ścianę.

Uznali wreszcie, że jesteśmy gotowi – my, kiedyś ja-żona, ja-matka, ja-morderczyni. Prowadzą nas więc na górę, pod szklany, nowoczesny sufit,

który tak dysonuje w zabytkowym wnętrzu. Dawno temu na galerii była kawiarnia, pamiętamy. Teraz stoją tam ważniejsze ciała Macierzy, podczas gdy mniej ważne kłębią się w dole. Główne ciało czeka w aureoli stiukowego okręgu całkiem blisko, na wyciągnięcie ręki. Patrzymy na jego oblicze.

Jest zaskakująco zwyczajne, szare, nalane. Taka twarz, jakich tysiące mijało się co dzień na ulicach Poznania. Nic wielkiego, co nie oznacza, że nic zaskakującego. Dopuszczono nas przed to oblicze, byśmy dostąpiły oświecenia i mogły przejść rytuał złączenia ze Starym Miastem.

Nasza głowa jest pusta.

Nasze ciało wypoczęte i zdrowe.

Tak, nadszedł ten moment. To właśnie chwila, w której możemy odkupić nasze winy.

Sięgamy pod ubranie, tam, gdzie chowamy odłamki potłuczonego kubka. To niewiele, ale wystarczy, by przebić tętnicę szyjną.

Już raz coś takiego zrobiłyśmy. Raz zabiłyśmy.

Uderzamy.

Uderzamy pewnie i precyzyjnie. Najpierw odłamkiem kubka w szyję, a później w inne miejsce. Zginiemy, będziemy pierwszą ofiarą przemiany, ale będziemy też zbawione.

Stare Miasto ze swoją szarą twarzą biznesmena osuwa się do naszych stóp martwe.

A kiedyś padną też Jeżyce, Grunwald, Wilda i Nowe Miasto.

Wierzymy w to.

Wierzymy w to wszystkie. Jesteśmy matkami, a matki nie zostawiają swoich dzieci.

Poznań 2013

NA OBRAZ I PODOBIEŃSTWO

Krzysztof Rewiuk

– Profesor Neumann?
– Tak?
– Chciałby pan zobaczyć, jak rodzą się bogowie?

Teraz myślę, że te pierwsze słowa, tak jak pierwsze zdanie książki, ukształtowały mnie do końca całej historii. Gdyby nie padły, miałbym dla was zupełnie inną opowieść. Nic na to nie poradzę, tak już jest z mitami.

Wtedy jednak słowa Nguyena nie zrobiły na mnie specjalnego wrażenia. W bogów, przynajmniej w powszechnym tego słowa znaczeniu, nie wierzyłem. Tak jak teraz nie wierzę w człowieka. Przynajmniej w powszechnym tego słowa znaczeniu.

Z drugiej strony w Chinach byłem pierwszy raz, świeżo po sukcesie mojej ostatniej książki. Po wygłoszeniu zakontraktowanych wykładów cierpiałem na kryzys spełnienia. Nie miałem żadnych planów, miałem za to mnóstwo wolnego czasu, stabilną sytuację finansową i całkowicie rozpieprzone życie osobiste. Potrzebowałem nowego początku.

Tak oto trafiłem do Edenu.

W drodze Nguyen niewiele opowiadał o projekcie, do którego zostałem zaproszony, co nie znaczy, że był złym towarzyszem podróży. Dowiedziałem się od niego na przykład, że chińska wódka nazywa się *baijiu* i można ją robić z sorga. I że, nieduzi przecież, Chińczycy mają zaskakująco mocne głowy.

– Nie jestem Chińczykiem, tylko Wietnamczykiem – prostował z uporem Nguyen. – Ale wam, Niemcom, to zawsze wszystko jedno.

– Nie jestem Niemcem, tylko Szwajcarem – odpowiadałem, niezbyt chyba wyraźnie.

Zawsze zastanawiało mnie to, że ludzie w różnych zakątkach świata, zupełnie niezależnie od siebie, potrafili opracować tyle metod produkcji alkoholu. W pewnym sensie stanowiło to analogię do tego, czym zajmowałem się zawodowo.

Eden był ośrodkiem hodowli i badań nad szympansami. Taki chiński kaprys – jakby nie mieli wystarczająco dużo swoich zagrożonych gatunków. O przeznaczeniu kompleksu miała informować szczerząca zęby, drewniana figura małpy z koszmaru, ustawiona przy leśnej drodze, oraz fantazyjna brama wjazdowa w kształcie gigantycznych, skrzyżowanych bananów. Na to, że nie chodzi wcale o ochronę przyrody, wskazywały z kolei otaczające ośrodek zasieki, liczne punkty kontroli i pozdrawiani przez Nguyena uzbrojeni żołnierze. Droga prowadziła między wysokimi panelami z pleksiglasu. Przez pokryte wilgocią tworzywo przeświywały kłęby zieleni.

Dopiero gdy zatrzymaliśmy się przed rozległym, oszklonym pawilonem, poczułem, jak parne było powietrze. Nguyen wyskoczył zza kierownicy jeepa, otworzył mi drzwi i wskazał wejście do budynku.

Wewnątrz panował przyjemny chłód. Było czysto, wręcz sterylnie. Za białym kontuarem siedział kolejny umundurowany strażnik. Spojrzał na

nas bez emocji i wrócił do śledzenia obrazu na monitorze. Ruszyliśmy przez jasny, pusty hol w kierunku jedynych widocznych drzwi. Mój towarzysz wstukał kod i przeszliśmy do następnego pomieszczenia.

Uderzyła mnie w oczy soczysta zieleń. Całą przeciwległą ścianę pokrywały ogromne monitory. Kilka było wyłączonych, ale większość przedstawiała wnętrze dżungli. I małpy. Skaczące, iskające się, wymachujące łapami. Zachowywały się jak dzieci, choć miały pomarszczone twarze starych ludzi.

Dwa dolne, środkowe ekrany przesłaniał niewyraźny cień. Jego kontury drżały w seledynowej poświacie. Cień odwrócił się i dopiero teraz rozpoznałem w nim człowieka – potężnego mężczyznę dobrze po pięćdziesiątce, z siwą brodą, twarzą rybaka dalekomorskiego i uśmiechem godnym rekina.

– Witam, profesorze – powiedział miękkim głosem.

Zaskakująco zwinnie jak na kogoś swojej postury zbliżył się, żeby zmiażdżyć moją dłoń.

– Björn Thorvaldsen – przedstawił się.

Aha. Wiking w środku chińskiej dżungli.

Brodacz zrobił kilka kroków do tyłu i zatrzymał się przy monitorach. Nie musiał nic dodawać, domyśliłem się, że jest w tym budynku samcem alfa.

– Wraz ze znanym już panu doktorem Nguyenem i – Thorvaldsen wskazał na niewidoczną wcześniej, stojącą z boku drobną brunetkę – doktor Pentangeli stanowimy radę projektu. Wobec zaistnienia nowych faktów rada uznała, że pana obecność w ośrodku może być… wskazana. – Zmierzył mnie krytycznym wzrokiem i dodał jeszcze: – Niejednogłośnie.

Wyraz jego twarzy nie pozostawiał złudzeń, kto głosował przeciw.

Schowałem prawą rękę za plecami i kilkakrotnie rozprostowałem palce. Posłałem uśmiech w stronę doktor Pentangeli – trzeba było budować drużynę na wypadek ataku drakkarów. Odpowiedziała przymknięciem powiek.

– Jak panu zapewne wiadomo – kontynuował Thorvaldsen – prowadzimy tutaj długofalowe obserwacje naczelnych. Oto nasza najstarsza

para szympansów. – Wyciągnął rękę w kierunku jednego z monitorów. – Adam i Ewa.

– Gratuluję inwencji. – Wskazałem na sąsiedni ekran, który przedstawiał parę awanturujących się małp. – A to zapewne Kain i Abel?

– Ich już oddaliśmy do ogrodu zoologicznego w New Delhi, ale mamy jeszcze Seta, Henocha, Noego, Rachelę i Sarę.

– Zaprosiliście mnie, żebym pomógł wam dobrać kolejne imiona? – Wciąż próbowałem odzyskać inicjatywę. Ręka nie przestawała boleć.

– Nie, chcieliśmy panu pokazać coś innego.

Thorvaldsen gestem magika włączył kolejny ekran na bocznej ścianie. Na białym tle pojawił się czarny rysunek. Wymalowany grubą, nierówną kreską symbol składał się z pionowej linii zakończonej u góry koślawą pętelką. Całość wyglądała jak wariacja trzylatka na temat litery „P". Thorvaldsen dotknął panelu sterującego i ukazał się kolejny obrazek. Tym razem kreska była bardziej zdecydowana i rozdwajała się w dolnej części, a w środku pętelki można było dostrzec czarny punkt.

Spojrzałem na otaczających mnie naukowców – z wyjątkiem Nguyena wyglądali na zupełnie poważnych.

Następne przeźrocze: dołączyły dwa skośne odcinki i całość zaczęła przypominać patykowatego ludzika z wodogłowiem. Na kolejnym obrazku patyczak był wyraźnie wkurzony – wymachiwał trzymanym w ręce oszczepem. I wreszcie ostatnie zdjęcie: dwie stylizowane ludzkie postaci, jedna większa, druga mniejsza, obie z aureolami lub w hełmach, prowadziły między sobą trzecią, małą istotę, pozbawioną owej tajemniczej ozdoby głowy.

Widziałem już takie rysunki u Dogonów albo na płaskowyżu Nazca. A najwięcej w dzieciństwie, w książkach Dänikena.

– Nie jestem specjalistą od sztuki pierwotnej.

– Ale zna się pan na religiach. A niektórzy z nas uważają, że te obrazki przedstawiają bogów – odpowiedział Thorvaldsen.

– Jakich bogów?

– Najwyraźniej ten większy to ja, a ten mniejszy to Nguyen.

Zdezorientowany spojrzałem na świecące ze ściany monitory.

– One?

Okej, nie byłem w czasie podróży tutaj aż tak pijany, żeby nie zastanawiać się, po co badaczom szympansów potrzebna jest obecność religioznawcy. Spodziewałem się krótkiej zabawy, po której wybiję gospodarzom z głowy głupie pomysły. Rysunków, których wypracowanie zajęło naszym przodkom dziesiątki tysięcy lat, nie było w planie.

Szef ośrodka wzniósł ręce w teatralnym geście, przyzywając wyimaginowane audytorium na świadków mojej niekompetencji. Zganił mnie wzrokiem raz jeszcze i przeniósł spojrzenie na doktor Pentangeli. Kobieta odpowiedziała delikatnym skinieniem głowy. Tych dwoje skutecznie zadawało kłam stereotypom dotyczącym temperamentu swoich nacji.

– Nguyen, pokaż naszemu gościowi młodszych krewnych Adama i Ewy – polecił znużonym głosem Thorvaldsen.

Mój kumpel od *baijiu* włączył kolejny ekran.

– Profesorze, przedstawiam panu Tarzana i Jane.

– Co to jest?! Pieprzony „Park Jurajski"?

– Plejstocen, profesorze, tylko na ciepło.

Obraz z kamery przedstawiał dwoje ludzi, brudnych, włochatych, nagich i brzydkich. Przypominali Aborygenów. Oboje byli rudowłosi, krępej budowy ciała. Znajdowali się na skraju jakiejś polany, na tle drzew. Brodaty mężczyzna, podpierając się kijem, kucał, nieco odwrócony, więc nie widziałem dokładnie jego twarzy. Kobieta siedziała na piętach i trzymanym w ręce kamieniem tarła po powierzchni leżącego przed nią płaskiego głazu. Na chwilę przerwała i spojrzała prosto w naszą stronę. Kamera zareagowała natychmiastowym zbliżeniem. Błękitne oczy nie pasowały do niskiego czoła, zrośniętych brwi, szerokiego nosa i wydatnych warg. Skóra kobiety była bledsza niż jej towarzysza, prawie różowa. Na pełnych piersiach wyraźnie odcinały się duże, brązowe aureole.

– To znaczy, że wy… tu… krzyżujecie ludzi z… – wyjąkałem.

– Björn, on nas chyba uważa za jakichś szalonych naukowców. – Ciepły głos należał do doktor Pentangeli.

– Za dużo pan się naczytał kiepskich książek – skwitował władca Edenu i zrobił kilka kroków, przechodząc na środek pomieszczenia. Uniósł

obie ręce. Facet naprawdę mógłby zrobić karierę w wenezuelskim przemyśle filmowym.

– Profesorze, my tylko ratujemy wymarłe gatunki… – Zawiesił głos, dając mi czas na przyswojenie tej informacji. Jego oczy były oceanami niewinności. – Przyznam, że początkowo myślałem o czymś innym. – Zaczął wyliczać na palcach: – Dodo. Wilk workowaty. Może nawet mamut. Jednak nasi chińscy przyjaciele postawili na neandertalczyka.

– Ale to są ludzie. Nie możecie ich tutaj tak… hodować!

– Uważa pan, że lepiej by się czuli w środku wielkiego miasta? – odpowiedział z dobrotliwym uśmiechem. – W Zurychu albo w Nowym Jorku na Times Square?

– Nie o to chodzi. W ogóle nie powinni być… – Znowu zabrakło mi słów. „Stworzeni" jakoś nie chciało przejść przez gardło.

– A to ciekawe… – Thorvaldsen najwyraźniej dobrze się bawił. – Uważa pan za nieetyczne umożliwienie istnienia czemuś, co do istnienia jest zdolne?

– Ale co to za życie? Pod ścisłą kontrolą?

– Nie są tego świadomi – przerwał Nguyen.

– I nie mają żadnej przyszłości – kontynuowałem, szukając po omacku argumentów na potwierdzenie tego, co wydawało mi się tak oczywiste. Niestety, byłem specjalistą od religii pierwotnych, nie dysponowałem arsenałem środków przygotowanych na taką okazję przez pokolenia myślicieli i etyków. – Przecież ich jest tylko dwoje, nigdy nie utworzą gatunku!

– Stawia pan gatunek ponad jednostką? Wybornie! Proszę pozwolić, że coś panu pokażę.

Thorvaldsen z uśmiechem na ustach ruszył w moim kierunku, próbując zagarnąć mnie niedźwiedzią łapą. Odsunąłem się, rzucając spojrzenie Nguyenowi. Mały Wietnamczyk uspokajająco pokiwał głową, wskazując równocześnie na drzwi po lewej stronie sali. Kątem oka dostrzegłem jeszcze ziewającą doktor Pentangeli. Obejrzałem się na podążającego za mną olbrzyma i ruszyłem we wskazanym kierunku, potykając się przy tym na równej posadzce. Dopadł mnie przy samej ścianie. Drzwi otwierały się do środka. Ustawiłem się w złym miejscu i kiedy Thorvaldsen je szarpnął, oberwałem w bark.

– Niech pan uważa, profesorze – powiedział z wyraźną troską.

Przepuścił mnie w drzwiach. Zdecydowanie wolałbym mieć go przed sobą. Ostrożnie przekroczyłem próg.

Pomieszczenie wyglądało jak skrzyżowanie pokoju biurowego z laboratorium. Ściany i podłogę wyłożono białymi kafelkami. Po obu stronach stały rzędy prostych szafek przykrytych wspólnym blatem. W jednym kącie dostrzegłem coś w rodzaju okapu kuchennego, pod nim trochę szklanych naczyń i stojaki z kolorowymi pipetami. Naprzeciwko duża, chromowana szafa – chyba lodówka. Na blacie pliki papierów, dwa laptopy, mikroskop. Thorvaldsen popchnął mnie w jego kierunku.

– Gdzie to jest? – mruczał, odsuwając kubek z resztką kawy na dnie.

Spojrzałem na wiszącą nad blatem korkową tablicę. Między kilkoma wydrukami jakichś tabeli krzywo przyczepiono dziecięcy rysunek. Trzy postaci, chyba rodzina. Kolorowe ślady kredek przypominały obrazki, które oglądałem przed chwilą. Thorvaldsen dalej rozgarniał piętrzące się bezładnie stosy papierów, aż wreszcie wyciągnął spod nich małe, szklane naczynie, jakby popielniczkę z przezroczystym wieczkiem. Podsunął mi ją przed oczy. Na warstwie różowego żelu wykwitały pstrokate kleksy. Wyglądały jak pleśń. Spojrzałem na niego pytająco.

– *Helacyton gartleri*. Szerzej znany jako linia komórkowa HeLa – wyjaśnił. – Pobrany przed kilkudziesięciu laty z ciała chorej na raka Henrietty Lacks i od tej pory bezustannie namnażany w laboratoriach całego świata. Krew z naszej krwi i kość z kości, odrobinę zmodyfikowane przez wirus brodawczaka. Zdaniem niektórych teraz już osobny gatunek. A z genetycznego punktu widzenia najbliższy żyjący krewny *homo sapiens*.

Zajrzałem jeszcze raz do wnętrza naczynia.

– To nie żyje.

– Żyje! Odżywia się, wydala, rozmnaża. Znalazło swoją własną niszę ekologiczną w szalkach Petriego. Można powiedzieć, że weszło w symbiozę z naszym gatunkiem. A przy tym nie ma naturalnych wrogów i jest nieśmiertelne. Czyż to nie kolejny krok na drodze naszej ewolucji?

Pokręciłem głową.

– To nie jest człowiek.

– No właśnie. Tarzan i Jane też nie są ludźmi.

Wieczorem postanowiłem uderzyć w słabsze ogniwo. Mniejsze, choć wyjątkowo odporne na produkty fermentacji sorgo.

– To, co robicie, jest nielegalne!

– No coś ty! Wszystko jest w pełni zgodne z chińskim prawem. Zresztą, uwierz mi, gdyby Thorvaldsen zechciał, mógłby robić nie takie rzeczy. – Nguyen wyraźnie wierzył w boskość swojego szefa. – Ale on się uparł, że kiedyś opublikuje wyniki i bardzo pilnuje, żeby wszystko było w porządku.

– Na przykład?

– Na przykład pomysł z klonowaniem neandertalczyka zakładał kiedyś wykorzystanie komórki jajowej kobiety. Szef przewidział, że etycy mogą z tego robić problem i wymyślił, że weźmie komórkę od samicy szympansa i że to ona będzie surogatką. Tarzan i Jane zostali urodzeni przez małpy, wychowani przez małpy i żyją jak małpy, więc czym innym mogą być?

– I zgadzasz się, że to takie proste? – zapytałem.

– Jestem weterynarzem. Michael, mówię ci, oni w środku wyglądają zupełnie jak małpy.

– Kroiłeś ich?

– W sumie dlatego tu jesteś – odpowiedział, nalewając mi kolejny kieliszek.

Jak się okazało, kluczowym punktem eksperymentu Thorvaldsena miało być dochowanie się przez parę sklonowanych neandertalczyków zdrowego potomstwa. Tarzan i Jane mieli po szesnaście lat i próbowali już od dawna. Efekt wcale nie musiał być pozytywny. Nguyen wytłumaczył mi, że DNA do ich klonowania pobrano z dwóch ciał zakonserwowanych w tybetańskich śniegach. Znaleziska pochodziły z różnych czasów – kobieta była kilkadziesiąt tysięcy lat młodsza. W efekcie para neandertalczyków z Edenu różniła się między sobą bardziej niż współcześni ludzie i twórcy

malowideł z Lascaux. W takich sytuacjach pojęcie gatunku traci na jednoznaczności. Ale nic tak nie definiuje wspólnoty jak wspólne dzieci.

Kiedy brzuch Jane wyraźnie się zaokrąglił, Thorvaldsen popadł w euforię. Nguyen chciał zbadać ciężarną, ale szef ośrodka na to nie pozwolił. Jednym z założeń eksperymentu był całkowity brak ingerencji z zewnątrz. Podróż neandertalczyków do człowieczeństwa nie mogła przebiegać na skróty.

Problemy zaczęły się przy porodzie. Czaszka neandertalczyka ma większą objętość niż ta współczesnego człowieka. Biedna Jane męczyła się przez kilka godzin, a Thorvaldsen ponoć zdemolował całą salę z monitorami. Nguyen opowiadał, że w pewnym momencie musiał wezwać strażników, ale ci tylko zajrzeli do środka i wycofali się. W końcu szef projektu skapitulował. On i Nguyen przebrali się w specjalne kombinezony mające chronić mieszkańców Edenu przed chorobami zakaźnymi i, łamiąc wszelkie reguły, weszli do środka.

Thorvaldsen znalezionym kijem odganiał broniącego partnerkę Tarzana, a Nguyen podał Jane środki znieczulające. Wspólnie wciągnęli niewielkie ciało do budynku. Dawka leku najwidoczniej była zbyt duża, bo akcja porodowa zupełnie ustała. Zdecydowali się na cesarskie cięcie.

Dziecko urodziło się żywe. Zmarło po dwóch godzinach. Jane nigdy go nie widziała.

Właśnie wtedy, trzy tygodnie temu, zaczęła tworzyć obrazki.

Nastał poranek, dzień drugi. Obudziły mnie światło, uczucie niesmaku i pragnienie. Zwlokłem się z twardej kozetki i poczłapałem w kierunku wyjścia z pokoju. Otworzyłem drzwi. Tuż za nimi stał Thorvaldsen. W jednej ręce trzymał szklankę wody, w drugiej plik papierów. Patrzył na mnie tym swoim wzrokiem rozczarowanego ojca.

– Ile to już trwa? – zapytałem.

– Ponad siedemnaście lat.

Dobrze wiedział, co miałem na myśli.

– I nikt o tym nie słyszał? Nie było żadnych przecieków? Sami się nie chwaliliście?

– To dobre miejsce. Mamy czas i możemy wszystko zrobić porządnie. Nie musimy się martwić o finanse, nasi chińscy partnerzy zapewniają nam w tej sferze komfort – tłumaczył spokojnie. – Z nikim też się nie ścigamy. Na zachodzie biurokracja i wymogi bioetyczne skutecznie hamują rozwój nauki.

Spojrzał na swoje ręce, jakby się wahał, co jest ważniejsze, a potem wręczył mi szklankę z wodą. Wpuściłem go do środka. Minął mnie szybkim krokiem, podszedł do niskiego stolika i rzucił papiery na blat.

– To są kopie rysunków, gdyby chciał je pan przestudiować.

Stałem z tą szklanką w ręce, ale nie piłem. Patrzyłem na niego uważnie.

– Pan wie, że ja nie wierzę w bogów? – zapytałem.

– Ale wierzy pan w mity. Wszyscy czasem wierzymy. Bo tak jest łatwiej i piękniej. Chciałby pan, żeby Tarzan i Jane byli ludźmi, prawda? Ach, jaka piękna historia, jaka tragedia! – Nakręcał się, gestykulując. – Wolny wybór. Każdy widzi po swojemu, każdy tworzy swoją opowieść. Ale to tylko dowodzi tego, że jest pan człowiekiem.

– A pan?

Pochylił się nad stolikiem i przyklepał dłonią przyniesiony przez siebie plik papierów.

– A ja wyznaczyłem sobie cel: przygotować obiektywny raport z realizacji projektu.

Wyszedłem na korytarz i szarpnąłem za klamkę drzwi do pokoju Nguyena. Były zamknięte. Przeszedłem przez salę z monitorami, odwracając od nich wzrok. Trzasnąłem drzwiami wyjściowymi. Strażnik w holu spojrzał na mnie ze znudzeniem i wrócił do swoich zajęć. Znalazłem się na zewnątrz. Lało, jakby cała Ziemia leczyła kaca. Rozejrzałem się, mrużąc oczy. Nigdzie nie dostrzegłem zaparkowanych samochodów.

Nie wierzyłem w bogów. Nie mogłem wierzyć w to, co badałem. Nie byłbym obiektywny. Wyglądało jednak na to, że bogowie uwierzyli we mnie.

Stanąłem na środku podjazdu i spojrzałem w górę. Krople deszczu chłostały moją twarz. Zamknąłem oczy. Zanurzyłem się w pulsującym szumie. Potem otworzyłem usta i piłem wodę prosto z nieba.

Wróciłem do swojego pokoju i, nie zdejmując mokrego ubrania, położyłem się do łóżka. Nie byłem zdziwiony, kiedy wieczorem odwiedził mnie Nguyen i powiedział, że ulewa uszkodziła drogę dojazdową i chwilowo jesteśmy uwięzieni w ośrodku.

Thorvaldsen, Nguyen i ta cała Pentangeli przyjęli taktykę trzech chińskich małp. Nie widzieli zła, nie słyszeli zła i niespecjalnie chcieli o nim rozmawiać. W efekcie przypadła mi rola autorytetu etycznego i sumienia Edenu. Wszyscy bogowie świata mogli potwierdzić, że wyjątkowo kiepsko się do niej nadawałem.

– To dlatego, że jesteś tu nowy – pocieszał mnie Nguyen. – Zobaczysz, z czasem pozbędziesz się wątpliwości. To zupełnie tak jak z *baijiu*. Nie próbowałeś jej wcześniej, dlatego tak mocno na ciebie działa.

Miałem nadzieję, że dzięki Thorvaldsenowi znajdę w kompleksie jakąś porządną skandynawską wódkę. Niestety, szef projektu okazał się abstynentem. W tej sytuacji walkę z sumieniem wspomagały lokalne wynalazki, które Nguyen zdobywał od pilnujących ośrodka żołnierzy.

Trzeciej nocy dołączyła do nas doktor Pentangeli. Też miała mocną głowę. Następnego wieczora Nguyen gdzieś się zawieruszył i po kilku kieliszkach wylądowaliśmy z panią doktor w łóżku. Musiało do tego dojść. Naukowiec zawsze jakoś dogada się z naukowcem. Ann była prymatologiem. Też musiałem sprawdzić w Google, co to znaczy. Zapytałem ją o przyczynę takiego wyboru drogi życiowej.

– Słyszałeś o Jane Goodall? – zapytała.

– To jedna z tych słynnych badaczek małp?

– Tak, właśnie ta, która zajmowała się szympansami. Jako pierwsza nadawała im imiona. Wcześniej obserwowane małpy oznaczano numerami.

– Zaimponowała ci tym?

– Wręcz przeciwnie, zirytowała. Widzisz, ona chciała, żebyśmy uznali podmiotowość zwierząt. Ale przez nadawanie im ludzkich imion i doszukiwanie się podobnych do naszych zachowań spowodowała, że mimowolnie porównujemy je z nami. I co teraz widzimy? Niepełnosprawnych, niezgrabne dzieci, pokracznych idiotów. Zamieniła pogardę czy obojętność na litość.

Ann ujawniała, że posiada emocje, tylko kiedy mówiła o szympansach. Choć wolałbym wierzyć, że to dobroczynny wpływ seksu.

– Tutaj małpy też noszą imiona – zauważyłem. – I to nie byle jakie.

– Tak już było, kiedy dołączyłam do zespołu. To decyzja Thorvaldsena. On był tu od początku.

– Trudny facet, nie?

Zmieszała się.

– Nie… Nie.

Wolałem nie drążyć. Nie w tej sytuacji.

– Co sądzisz o tym klonowaniu? – zmieniłem temat.

– Nie znam się na tym. Ja obserwuję reakcje szympansów.

Podniosłem się na łokciu i spojrzałem na nią. Miała ładne, małe piersi. Jej szczupłe ramię pokryte gęsią skórką otaczał tatuaż z wężem.

– Według ciebie Tarzan i Jane zachowują się jak ludzie czy jak małpy? – zapytałem.

– Właśnie o to chodzi, że nie chcę porównywać, wartościować. Każdy gatunek ma swój świat, niepowtarzalny i nie gorszy od innych. Zresztą, tutaj… to trudne.

– Co masz na myśli?

– No wiesz, mała, zamknięta społeczność i te oddziaływania między szympansami a neandertalczykami. To nie jest normalne. Fascynujące, ale… nienormalne.

Jednak ktoś się ze mną zgadzał!

– Na co dzień oba gatunki trzymają się z dala od siebie – kontynuowała Ann – ale czasem się kontaktują. Neandertalczycy mają swój język. Przychodzą do szympansów, mówią do nich, a one słuchają i czasem odpowiadają. Nie wszystkie gesty i dźwięki rozumiem. Widziałam nawet, jak Tarzan próbował uczyć Seta i Henocha, pokazywał im, jak rzucać kijem, jak łupać kamienie. Jednak bez specjalnego efektu. – Ann zamyśliła się na chwilę. – Jest jeszcze coś… Wiesz, małpy mają bardzo określoną strukturę stada. Tutaj Adam jest przywódcą, ale czuje wyraźny respekt do Tarzana. Nigdy ze sobą nie walczyli, lecz gdy pojawia się Tarzan, Adam wycofuje się i podporządkowuje.

Czułem, że zbliżamy się do czegoś ważnego. Ann ciągnęła dalej:

– To w ogóle mała grupa, nietypowa. Nie ma okazji do walki o samice. Potworzyły się stałe pary: Adam i Ewa, Henoch i Sara. I, co ciekawe, kiedy kopulują, robią to od przodu. To nietypowe dla zwykłych szympansów. Tylko bonobo i ludzie tak robią. I neandertalczycy. Niezwykłe i nienormalne.

Nic z tego, ta kobieta myślała tylko o małpach.

– A właściwie jak to robią zwykłe szympansy? – zapytałem w tej sytuacji.

– Pokażę ci.

Poznaliście już cały panteon. Czas na mit założycielski.

– Mówię ci, to lepsze od telewizji. – Nguyen mógł godzinami wpatrywać się w monitory, jak kot gapiący się na rybki w akwarium. Przerywał tylko wtedy, gdy w sali pojawiał się Thorvaldsen. Wówczas udawał, że przegląda jakieś notatki. – Popatrz, ta mała, Rachela, jest pierwszy raz w ciąży. Kiedyś przystawiała się do Tarzana, rozumiesz, tak po małpiemu.

Kiedy zrozumiała, że on interesuje się tylko Jane, odpuściła i zwabiła do siebie Seta. Teraz triumfuje, jej znaczenie w stadzie wzrosło.

Nieduży szympans – samica, sądząc po obwisłych piersiach – siedział na niskiej gałęzi. Zajadał trzymane w łapie czerwone jabłko. Faktycznie, jego brzuch wydawał się zaokrąglony. Obok, oparte o pień, leżały dwa większe osobniki. Jeden z nich drzemał, drugi sennie obserwował resztę grupy. Kolejny duży samiec turlał się po trawie, atakowany gałęzią przez małą małpkę z odstającymi uszami. Sielanka.

Na sąsiednim monitorze samotna Jane nadal pochylała się nad swoim kamieniem.

– Czasem chciałoby się jakoś zaingerować, włożyć kij w mrowisko. – Nguyen mrugnął do mnie skośnym okiem. – Wiesz, podrzucić im książkę, komputer albo karabin i zobaczyć, co z tym zrobią. Ale Thorvaldsen nie pozwala.

– Co to w ogóle jest za gość? Prowadził wcześniej jakieś badania?

– Nie wiem. Kiedy dołączyłem do projektu, on już tu był. Nic nie znajdziesz na jego temat. Myślę, że Thorvaldsen to przybrane nazwisko. Ale to geniusz.

Nadal patrzyłem na Jane.

– Można to jakoś przybliżyć?

Nguyen podszedł do monitora i dotknął dolnego rogu matrycy. Kamera przeleciała przez polanę, zatrzymała się nad kobietą i wykonała zbliżenie jej dłoni. To, co brałem za jakąś pracę – rozcieranie nasion albo czyszczenie kawałka skóry – okazało się zupełnie inną czynnością. Jane, trzymanym w dłoni kawałkiem krzemienia, cierpliwie ryła w płaskim kamieniu. To był ten sam obrazek, który widziałem jako ostatni – dwóch kosmitów prowadzących za rękę małą postać.

– Ostatnio powtarza tylko ten motyw. Jakby uznała, że jest najlepszy. Zrobiła już kilka takich kamieni.

– Co się potem z nimi dzieje?

– Zostawia je w różnych miejscach. Te wcześniejsze, które ci pokazywaliśmy, kazała Tarzanowi zanieść szympansom.

Przyjrzałem się rysunkowi raz jeszcze.

– To chyba faktycznie wy, w tych skafandrach. Myślisz, że ten mniejszy ludzik to ona sama?

– Nie, raczej jej dziecko.

Jane nagle przerwała rzeźbienie i, jakby czymś zaniepokojona, spojrzała w prawo. Kamera natychmiast odjechała w górę i do tyłu. W kadrze pojawił się Tarzan. Niósł ze sobą naręcze owoców. Podszedł, stanął przed kobietą i czekał. Ona tylko patrzyła, nie reagowała. Po chwili Tarzan złożył owoce na ziemi, przyklęknął i łagodnie dotknął jej ramienia. Uchyliła się. Spróbował jeszcze raz. Równie delikatnie odsunęła jego rękę.

– Od porodu nie dopuszcza go do siebie. Chłopak jest już nieźle sfrustrowany.

Jane sięgnęła po jedno jabłko i położyła je przed kamieniem. Tarzan spojrzał jeszcze na rysunek, wstał i poszedł do lasu. Kobieta wróciła do swojej pracy. Patrzyłem na jej dłonie, falujące piersi, drobne ramiona wyłaniające się spod rudych włosów.

Nguyen szturchnął mnie łokciem. Tarzan pojawił się na sąsiednim ekranie. Kucnął w rogu i obserwował małpią rodzinę.

Nie wiedziałem, jak odnosić się do Ann przy pozostałych. Sami rozumiecie – mała przestrzeń, sieć zależności, kilkanaście lat wspólnej historii i w to wszystko nagle wrzucony ja, nowy człowiek. Już przecież uwikłany, nie chciałem wikłać się bardziej. Na szczęście ona sama zachowała dyskrecję. Pojawiła się w głównej sali dopiero koło południa. Bez słowa podeszła do bocznego monitora i włączyła przewijanie do tyłu. Małpy na ekranie śmiesznie kolebały się na boki, cofając się w przyśpieszonym tempie. Wyskakiwały nagle w górę, by potem ześlizgnąć się po pniach drzew z powrotem na ziemię. Tarzan kucał z boku, od czasu do czasu nerwowo zmieniając pozycję. Ann kilkakrotnie zatrzymywała nagranie i robiła notatki. Dzień na ekranie stopniowo cofał się do świtu, światło nabierało rumieńców. Nawet w tej piekielnej poświacie wyglądała jak zimny posąg profesjonalizmu. Obraz w końcu poszarzał, kontury się rozmyły,

sylwetki małp po raz ostatni wystrzeliły w górę. Uświadomiłem sobie, że przegapiłem zniknięcie Tarzana. Ann zamknęła zeszyt z notatkami, wyłączyła monitor i wyszła z sali, nie patrząc mi w oczy. Tak chyba było najlepiej.

Wróciłem do czasu rzeczywistego. Na środkowym ekranie cała gromada pozostawała na swoim miejscu. Zarośnięty człowiek wciąż kucał w lewym rogu i obserwował małpy. *Zupełnie tak jak ja* – pomyślałem. Przyjrzałem się jego twarzy. Wyglądał na bardziej dzikiego niż Jane. Przypomniałem sobie, że według Nguyena jego DNA było sporo starsze od materiału genetycznego partnerki.

Tarzan gwałtownie podniósł się na nogi, chwycił leżący na ziemi kij i uniósł go nad głową. Potrząsnął nim, jakby na próbę, i wydał pojedynczy okrzyk. Najmniejsza małpka uciekła z piskiem i schowała się za plecami dorosłego samca. Neandertalczyk zrobił kilka kroków w jego kierunku. Małpka wyjrzała zza swojej kryjówki, rozejrzała się nerwowo i nieporadnym susem przeskoczyła na siedzącą obok samicę. Objęła ją za szyję, a ta wycofała się powoli, podpierając się jedną z przednich łap, a drugą przytrzymując maleństwo. Tarzan machnął kijem przed nosem wciąż siedzącego szympansa. Ten podniósł się powoli, nie spuszczając wzroku z neandertalczyka. Drugi zamach kijem i głośny krzyk wystarczyły, żeby zwierzę poszło w ślady swojej poprzedniczki. Tarzan odwrócił się, podszedł do ciężarnej samicy i chwycił ją za futro na karku. Skuliła się, przylgnęła do ziemi. W tym momencie na polanę wpadł jeszcze jeden młody samiec. Przyskoczył do Tarzana, odsłonił zęby i począł wymachiwać łapami. Człowiek puścił samicę, chwycił kij w obie ręce, zamachnął się i uderzył nowo przybyłego. Szympans zatoczył się, ale utrzymał na dwóch łapach. Kolejne dwa ciosy sprowadziły go do parteru. Dopiero trzy następne spowodowały, że wycofał się do lasu. Tarzan odwrócił się w stronę kamery. Jego przyrodzenie sterczało sztywno. Samica leżała u jego stóp, skulona i pokorna. Przypomniałem sobie, że miała na imię Rachela, co po hebrajsku znaczy owieczka. Tarzan pochylił się, przytrzymał ją jedną ręką i wziął od tyłu kilkoma mocnymi ruchami bioder.

– Ma pan swoich ludzi! – Usłyszałem za sobą głos Thorvaldsena.

Wieczorem poszedłem do pokoju Ann. Drzwi były zamknięte.

Kiedy rano pojawiłem się w sali, Thorvaldsen obserwował małpy na monitorach. Odchrząknąłem. Podniósł rękę, ale nie odwrócił się. Zaatakowałem:

– To wasza wina! Sami do tego doprowadziliście!

– Myśli pan, że człowieka, prawdziwego człowieka, można do tego doprowadzić? – odpowiedział spokojnie.

Spojrzałem na ekran. Małpy były wyraźnie podniecone, podskakiwały, pohukiwały, wymachiwały łapami. Kompletny chaos, jak przed stworzeniem świata. I wtedy, właśnie wtedy, przyszedł mi do głowy ostateczny argument. Ten, który cały czas miałem na wyciągnięcie ręki. Wbiłem go jak sztylet w plecy tego drania.

– Jeśli chodzi o Tarzana, nie jestem pewien. Ale ona na pewno jest człowiekiem. Przecież wierzy w bogów!

Thorvaldsen odwrócił się i spojrzał na mnie. Uśmiechał się dobrotliwie jak Tryton z „Małej syrenki" Disneya.

– Skąd pan wie, że ona w coś wierzy? Może tak sobie tylko rysuje. Zupełnie jak pan.

Wytrzymałem jego spojrzenie. Spoważniał. Graliśmy już w otwarte karty.

– Dlaczego zgodził się pan na mój przyjazd? Mógł pan przecież zablokować każdą decyzję rady – zapytałem.

– To doktor Pentangeli była przeciwna. Mówiła, że to kompletny absurd. Nguyenowi było właściwie wszystko jedno, ale on nigdy nie przepuści okazji do dobrej zabawy.

– A pan?

– Powiedziałem już, że moim zadaniem jest przygotowanie obiektywnego raportu. Żaden człowiek nie jest w stanie osiągnąć tego w pojedynkę. A ja nie uważam się za boga.

Odwróciłem się do wyjścia.

– Proszę patrzeć i napisać swój rozdział. – Usłyszałem za plecami.

Dwa dni później Rachela urodziła. Kiedy Tarzan wszedł na polanę, wystarczyło, że podniósł swój kij, a pozostałe małpy wycofały się z respektem poza obręb kadru. Powoli zbliżył się do Racheli, jakby nie chcąc jej wystraszyć. Uchyliła się przed jego wyciągniętą dłonią, obracając się do niego plecami i zasłaniając trzymane w objęciach małpiątko. Zdecydowanie, choć w pewien sposób delikatnie, tak jakby odbierał dziecku zabawkę, chwycił ją za nadgarstki, rozchylił jej ręce i przejął ich zawartość.

Byłem niemal pewien, co się stanie. A właściwie chciałem, żeby tak właśnie było. Przerażało mnie to, co miałem za chwilę zobaczyć na sąsiednim ekranie, ale wiedziałem, że to jedyny sposób, aby moja opowieść miała jakiś sens.

– Wcześniak. Długo nie pożyje – skomentował Nguyen.

Jane czekała na swojej polanie. Tarzan podszedł do niej niepewnie, tak jak wtedy gdy przyniósł owoce. Tym razem przyjęła dar. Przytuliła małpiątko do piersi i uśmiechnęła się. Maluch zawisnął na jej szyi jak włochaty pająk. Tylne łapy z chwytnym paluchem ślizgały się w górę i w dół, zostawiając czerwone pręgi na bezwłosym brzuchu Jane.

Nie mogłem na to patrzeć.

– Nie wiem, kim oni są, ale to nienormalne. Obrzydliwe. Oni nie powinni w ogóle istnieć. Eksperyment trzeba zakończyć, a ich… usunąć.

– Martwi się pan o nich czy o siebie? – zapytał Thorvaldsen.

Spotkałem Ann przy ekranach. Byliśmy sami. Zanim zdążyłem coś powiedzieć, odezwała się pierwsza:

– Zobacz. Wszystko się rozsypało. Adam, przywódca stada, utracił autorytet, dał się przegnać Tarzanowi bez walki. Set, ten młodszy, naturalny

następca, został upokorzony na oczach pozostałych. Jest jeszcze Henoch, ale jego tu wtedy nie było, nie rozumie, co się właściwie dzieje. Samice na razie obserwują, ale wyraźnie unikają samców. Coś się musi wydarzyć. To zupełnie nowa sytuacja, wszyscy jeszcze tłumią emocje, ale stado nie może tak funkcjonować. Potrzebna jest tylko iskra…

– A ona? – Wskazałem na Rachelę.

– Ona nikogo nie interesuje. Tak było zawsze. – Odwróciła się w moją stronę. Wyglądała na wzburzoną. – Björn pokazywał ci komórki HeLa? Tamtej dziewczyny… Henrietty, też nikt nie pytał o zgodę na pobranie tego wycinka. A potem nazwali ją najważniejszą kobietą w historii medycyny!

Po raz pierwszy, odkąd się poznaliśmy, okazała ludzkie uczucia. Powinienem wtedy ją przytulić. Zamiast tego zapytałem:

– Powiedziałaś: Björn. Coś was kiedyś łączyło?

– Byliśmy blisko. – Spuściła wzrok. – Ale teraz… został już tylko szacunek.

Spojrzała mi w oczy. Czułem się winny. Byłem gotów zrobić dla niej wszystko.

Jane nie miała pokarmu, a małpiątko było bardzo słabe. Próbowali z Tarzanem karmić je owocami, ale nie przynosiło to efektu. Kudłaty potworek z wzdętym brzuszkiem leżał teraz bez ruchu na kolanach kobiety, a o tym, że jeszcze żyje, świadczyły tylko czarne oczka, których spojrzenie kierował to na jedno, to na drugie z przybranych rodziców.

Widziałem, że małpy gromadziły się wokół polany. Ich pyski, jak maski klaunów, prześwitywały między drzewami. Nie potrafiłem ich rozróżnić. Choć granica lasu nieustannie wibrowała, wybuchając poruszeniem w coraz to innym miejscu, żaden z szympansów nie odważył się wkroczyć na teren neandertalczyków.

Wpatrywałem się w falujące liście, kiedy nagle Tarzan poderwał się z ziemi. Wzniósł ręce nad głowę, potem zasłonił nimi oczy, wreszcie

wyciągnął je przed siebie, w stronę lasu i obrócił się wokół własnej osi. Przypomniały mi się pantomimy Thorvaldsena. Tarzan wrócił do Jane i delikatnie dotknął małpiego noworodka. Odskoczył jak poparzony, chwytając się obiema rękami za głowę. Zbliżył się jeszcze raz, ostrożnie uniósł małe ramię małpiątka, puścił je, a to natychmiast opadło. Tarzan rozpoczął obłąkany taniec: skakał w miejscu, rwał włosy z głowy, rzucał się na ziemię. Od czasu do czasu doskakiwał do swojej partnerki i trącał leżące na jej kolanach ciałko.

W odpowiedzi na jego szaleństwa dżungla ożyła. Zniknęły plamy małpich pysków, ale wszystko inne – drzewa, krzaki, wielkie liście – zafalowało gwałtownie, jakby chciało pochłonąć polanę. Jane pochyliła głowę tak, że nie było widać jej twarzy, a rude włosy opadły na kolana, okrywając je jak całun. Po chwili wstała i ruszyła w stronę zielonej kipieli. Na samej jej granicy przyklęknęła, wyciągnęła ręce przed siebie i delikatnie złożyła ciało małpki na ziemi.

Dżungla zamarła.

Wieczorem poszedłem do Nguyena poprosić o butelkę na wynos. Wróciłem do swojego pokoju, usiadłem na leżance i sięgnąłem po papiery przyniesione kiedyś przez Thorvaldsena. Pod stosem kartek leżała książka. „Ludzie i ich bogowie" – głosił tytuł. Z tylnej okładki uśmiechała się opalona męska twarz. Ciemne okulary nie do końca maskowały worki pod oczami, a spod kapelusza w stylu Indiany Jonesa wystawały szpakowate włosy. Pod spodem w pięciu zdaniach streszczone było moje życie.

Przejrzałem dokładnie wszystkie rysunki, zabrałem *baijiu* i poszedłem do Ann.

Rano po raz ostatni wkroczyłem do głównej sali, żeby pożegnać się przed odjazdem. Thorvaldsen, Nguyen i Ann stali przed ekranem i obserwowali zgromadzenie mieszkańców Edenu. Małpy wyszły z lasu i dołączyły do Tarzana i Jane, formując półokrąg z przodu sceny, bokiem i nieco tyłem do kamery. Wszyscy – ludzie, zwierzęta i neandertalczycy – tkwili w bezruchu, jakby zatrzymani w stopklatce. Czekali na mnie. Podszedłem do Nguyena. Jedna z małp schyliła się i podniosła coś z ziemi.

Thorvaldsen przesunął się nagle do sąsiedniego monitora, który pokazywał opuszczone przez szympansy miejsce. Dotknął ekranu i kamera zrobiła zbliżenie na kępę krzaków. Między korzeniami leżała dobrze mi znana szklana butelka z chińskim napisem na etykiecie. Stary obrócił się w stronę Nguyena. Mały Wietnamczyk skulił się pod naporem jego spojrzenia.

– To nie ja!

Szukałem wzroku Ann. Jej zimne oczy nie wyrażały zupełnie nic.

Tarzan i Jane stali wyprostowani obok siebie. Wyglądali jak mężczyzna i kobieta z rysunku wysłanego przez Ziemian do obcych cywilizacji. Pierwszy kamień trafił Jane w ramię. Tarzan chciał ją zasłonić, ale ona rozłożyła ręce i wyciągnęła je w kierunku atakujących, jakby gotowa na przyjęcie dalszych ciosów. Następny rzut był niecelny, ale kolejny kamień odbił się już od głowy Tarzana. Mężczyzna zatoczył się. Spod skołtunionych włosów popłynęła krew. To jakby ośmieliło małpy. Następne kamienie poleciały jeden za drugim. Tarzan próbował utrzymać się na nogach, cały czas starając się osłaniać Jane, ale w końcu upadł. Szympansy zrobiły kilka kroków do przodu, więc kolejne rzuty były coraz celniejsze. Jane pochyliła się nad partnerem. Kamienie trafiały ją w głowę. Jeszcze kilka kroków i zgraja małp przesłoniła leżących neandertalczyków. Długie łapy jeszcze przez chwilę na przemian unosiły się i opadały. Potem zwierzęta cofnęły się.

Na środku polany została tylko jedna z małp. Rozpoznałem Rachelę. Samica podniosła leżący na ziemi kij i dźgnęła nim zakrwawione ciała. Nie poruszyły się. Rachela, trzymając badyl w obu łapach, powoli i niezdarnie

wyrysowała jego końcem dwa okręgi. Jeden wokół głowy Jane, drugi wokół głowy Tarzana.

Pozostałe małpy podeszły bliżej i ciasno otoczyły ciała. Dłonie rozwarły się, a ściskane w nich jeszcze przed chwilą kamienie poczęły spadać na ziemię.

Stali tak długo, w milczeniu patrząc na to, co zrobili.

DRUGI TOM ANTOLOGII UKAŻE SIĘ JESIENIĄ.